

Carl Hiaasen, nagradzany reporter „Miami Herald”, wstawił się serią artykułów demaskujących najrozmaitsze skandale i afery. Jego rubryka prasowa stała się postrachem wszystkich tych, którzy balansują na granicy prawa. Światową sławę zyskał jako autor pasjonujących, oryginalnych powieści obyczajowo-sensacyjnych. **Druga skóra, Strefa huraganu, Pechowy fart, Sezon turystyczny, Podwójne oszustwo** oraz sławna powieść **Striptease**, sfilmowana z Demi Moore w roli głównej, osiągnęły wysokie miejsca na listach bestsellerów.

Carl Hiaasen - Szczeniak

Książka ta jest wytworem wyobraźni. Wszystkie nazwiska i postacie są wymyślone lub występują w sytuacjach fikcyjnych. O ile autor wie, nie ma takiego chronionego prawem autorskim produktu, jak „Wampirze Barbie o Podwójnych Stawach”, nie ma też jego filmowej interpretacji. Jednakże, chociaż większość wydarzeń opisanych w tej książce jest wymyślona, zwyczajnie konsumpcyjne zwykłego żuka gnojowego zostały przedstawione zgodnie ze stanem faktycznym.

Rankiem dwudziestego czwartego kwietnia, godzinę po świcie, Palmer Stoał zabił rzadkie zwierzę, afrykańskiego czarnego nosorożca. Strzelił do niego z dwunastu metrów i kopnięcie winchestera 458 przewróciło go na wznak. Nosorożec zawrócił, jakby miał zamiar szarżować, potem dwukrotnie parsknął i opadł na kolana. Jego głowa spoczęła pod kępą rozłożystych palm karłowatych.

Palmer Stoał polecił przewodnikowi, byłemu komiwojażerowi produktów żywnościowych o nazwisku Durgess, by wypakował kamerę.

- Niech się pan najpierw upewni, że nie żyje - powiedział Durgess.

- Żartujesz? Widziałeś ten strzał?

Przewodnik wziął strzelbę od klienta. Podszedł do bezwładnego cielska i szturchnął je lufą w zadek.

Stoał uśmiechnął się, otrzepując zamówione listownie ubranie khaki.

- No, Bungalow Bili, popatrz, co zabiłem!

W czasie gdy Durgess montował sprzęt wideo, Stoał obejrzał swoje najnowsze trofeum, które kosztowało go trzydzieści tysięcy dolarów, nie licząc amunicji i napiwków. Gdy odsunął liście palmy od pyska nosorożca, zobaczył, że coś tu wygląda podejrzanie.

- Jest pan gotów? - Durgess przecierał obiektyw kamery.

- Hej, popatrz no tutaj - Stoał wyciągnął rękę oskarżycielskim gestem.

- Patrzę.

- Mógłbyś wyjaśnić?

- Co wyjaśnić? To jest róg - oświadczył Durgess.

Stoał szarpnął i róg został mu w ręku.

- No i co pan narobił - powiedział przewodnik.

- To lipa, Jethro. - Stoał ze złością cisnął w niego odlany z plastiku stożek.

- Ten drugi jest prawdziwy - bronił się Durgess.

- Ale ten drugi to jakiś guzek.

- Słuchaj pan, to nie był mój pomysł.

- Przykleiłeś lipny róg do mojego nosorożca za trzydzieści tysięcy dolców. Mam rację?

Durgess nerwowo strzelił palcami.

- A coście zrobili z prawdziwym? - spytał Stoał.

- Sprzedaliśmy go. Odcieśliśmy i sprzedaliśmy.

- Wspaniale.

- Są warte majątek w Azji. Podobno to jakieś magiczne fiuteczne lekarstwo. Powiadają, że stoi po nim dwa dni. - Durgess z powątpiewaniem wzruszył ramionami. - W każdym razie to spory szmal, panie Stoał. Taka jest nasza procedura z nosorożcami. Rogi skupuje jakiś Chińczyk z Panama City.

- Zrobiliście mnie w bambuko, sukinsyny.

- Nie, proszę pana. Zamówił pan, zgodnie z katalogiem, afrykańskiego czarnego nosorożca i ma go pan.

Stoał ukląkł w zaroślach, aby przyjrzeć się bliżej. Róg nosorożca odcięto równiutko piłą i został po nim jedynie owalny plasterek, do którego białym klejem przemysłowym dolepiono plastikową kopię. Jakies trzydzieści centymetrów wyżej sterczał drugi róg zwierzęcia; ten był prawdziwy, ale krótki, przypominał jakąś brodawkę i z pewnością nie wyglądał imponująco.

- Cała rzecz w tym - oświadczył z irytacją Durgessowi - że chciałem zawiesić głowę na ścianie mojego gabinetu.

- No i musi pan przyznać, że ma pan głowę jak cholera, panie Stoał.

- Poza jednym maleńkim szczegółem.

Stoał cisnął fałszywy róg w Durgessa. Przewodnik pozwolił mu upaść na ziemię rozmięktą od wydaliny

nosorożca.

- Mam wypychacza, który na boku robi takie rzeczy z włókna szklanego i załatwi panu nowy. Nikt niczego nie zauważy, proszę pana. Będzie wyglądał jak prawdziwy.

- Z włókna szklanego...

- Tak jest, proszę pana - potwierdził Durgess.

- Cholera, czemu nie chromowany - myślałeś kiedyś o tym? Urwij ozdobę z maski cadillaca albo może z 450-SL i przyklej ją na czubku nosa tego palanta.

Durgess popatrzył na Stoata spode łba. Stoat wziął od niego sztucer i przewiesił broń przez ramię.

- Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć o tym zwierzaku? - zapytał.

- Nie, proszę pana. - Nie było sensu informować klienta, że jego pokazowy nosorożec miał katarakty na obu oczach, co wyjaśniało, czemu nie zaniepokoiło go zbliżanie się uzbrojonych ludzi. Poza tym przez całe życie zwierzę było oswojone jak chomik i stanowiło główną atrakcję przyrodniczego zoo w Arizonie.

- Odłóż tę kamerę - polecił Stoat. - Nie chcę, żeby ktokolwiek widział to cholerne bydlę w takim stanie. Załatwisz to jak najprędzej z tym facetem od włókna szklanego?

- Jutro z samego rana - obiecał Durgess.

Palmer Stoat poczuł się lepiej. Przesunął dłonią po grubej, pokrytej szczecinią skórze nosorożca.

- Cóż za wspaniałe stworzenie - oznajmił.

Gdybym tak dostawał dziesięć dolców za każdym razem, kiedy to słyszę, pomyślał Durgess.

Stoat wyciągnął dwa grube cygara i podał jedno swemu wiernemu przewodnikowi.

- Cohibas - wyjaśnił. - Autentyczny towar. - Zapalił swoje teatralnym gestem.

Durgess grzecznie odmówił. Skrzywił się, czując kwaśną mieszaninę dymu cygara i sików nosorożca.

- Powiedz mi coś, mały bwana - odezwał się Stoat. Och, odpalantuj się, niemal się wyrwało Durgessowi.

- Jak myślisz, ile lat ma to zwierzę?

- Nie jestem pewien.

- Wydaje mi się, że był w pełni sił - powiedział Stoat.

- Tak, rzeczywiście - potwierdził Durgess, myśląc jednocześnie: ślepy, oswojony, tłusty i zniedołężniały ze starości -nie ma co, prawdziwa maszyna do zabijania.

Palmer Stoat wciąż podziwiał nosorożca, ponieważ uważał, że tego się oczekuje od triumfującego myśliwego. Jednak, prawdę mówiąc, podziwiał samego siebie i zarówno on, jak i Durgess dobrze o tym wiedzieli. Triumfujący myśliwy poklepał bok zabitego zwierzęcia.

- Chodź, bracie - powiedział do przewodnika. - Postawię ci piwo.

- Fajnie. - Durgess wyjął z kieszeni kurtki safari walkie-talkie. - Ale najpierw zawołam Ase, żeby przyjechał z ciężarówką.

Palmer Stoat miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pojechać do Afryki, ale nie miał na to czasu.

Dlatego polował na grubego zwierza w miejscowych ośrodkach safari - legalnych i nielegalnych. Ten, w którym zabił nosorożca, znajdował się niedaleko Ocala na Florydzie i nosił nazwę Dzika Sawanna. Oficjalnie funkcjonował jako „prywatny rezerwat zwierzyny łownej”, nieoficjalnie było to miejsce, gdzie bogaci ludzie przyjeżdżali, aby strzelać do egzotycznych dzikich zwierząt. Palmer Stoat gościł tu już dwukrotnie - za pierwszym razem polował na wodnego bawołu, a drugi raz na lwa. Droga z Fort Lauderdale była zupełnie niezła, jechało się nieco ponad cztery godziny. Polowania urządzano wczesnym rankiem, więc mógł zdążyć do domu na obiad.

Gdy Stoat wyjechał na międzystanówkę, natychmiast zabrał się do telefonowania. Miał w swoim range roverze trzy linie komórkowe, ponieważ było duże zapotrzebowanie na jego usługi zawodowe.

Zadzwoił do Desie i opowiedział jej o zdobyczu.

- To było klasyczne - powiedział, cmokając cygaro.

- To znaczy? - zapytała żona.

- Że byliśmy w tych zaroślach. Wschód słońca. Mgła. Gałązki trzaskające pod butami. Chciałbym, żebyś którymś razem pojechała ze mną.

- Co on zrobił? - spytała Desie. - Chodzi mi o to, co zrobił, kiedy do niego strzeliłeś.

- No cóż...

- Zaszarżował?

- Nie, Des. Sekundę później było po wszystkim. Czysty strzał.

Desirata, trzecia żona Palmera Stoata, miała trzydzieści dwa lata, była

zapaloną tenisistką, a od czasu do czasu liberałką. Kumpie Stoata nazwali ją kiedyś króliczą mamą, bo nie była entuzjastką krwawych sportów. Wszystko zależy od tego, o czyjej krwi mówicie, odparł wtedy Stoat, śmiejąc się jakby z przymusem.

- Przypuszczam, że nakręciłeś wideo - powiedziała Desie do męża. - Twój pierwszy przedstawiciel zagrożonego gatunku i tak dalej.

- A właśnie że nie. Żadnego wideo.

- Dzwonili z biura Dicka.
- Stoat opuścił okno i stracił popiół z kubańskiego cygara.
- Kiedy?
- Cztery razy - odparła Desie. - Zaczęli o siódmej trzydzieści.
- Następnym razem niech się nagrywają na sekretarkę.
- I tak już nie spałam.
- Kto dzwonił z biura Dicka? - zapytał Stoat.
- Jakaś kobieta.

To rzeczywiście niezwykle cenna informacja, pomyślał Stoat. Dick Artemus był gubernatorem Florydy i lubił zatrudniać kobiety.

- Czy mam przygotować obiad? - zainteresowała się Desie.
- Nie, zjemy gdzieś razem. Żeby uczcić mój sukces, dobrze?
- Wspaniale. Założę coś niezwykłego.
- Paradna jesteś.

Palmer Stoat zadzwonił do Tallahassee i zostawił wiadomość w poczcie głosowej Lisy June Peterson, asystentki gubernatora. Wiele pracownic Dicka Artemusa miało dwa imiona, pozostałość z okresu studiów na Uniwersytecie Stanowym Florydy. Jak dotąd żadna z nich nie zgodziła się na seks z Palmerem Stoatem, ale to były wciąż jeszcze początki nowej administracji. W końcu zorientują się, jakim jest mądrym, potężnym i charyzmatycznym facetem, jednym z dwóch lub trzech najważniejszych lobbystów w całym stanie. Tylko dzięki pozycji politycznej łatwo było którąś przelecieć, żadnej normalnej kobiecie nie zaimponowałyby ani nawet by jej nie zainteresowało, w jaki sposób Stoat zarabia na życie. W Wildwood wjechał na autostradę i wkrótce potem zatrzymał się w Service Plaza Okahumpka na późny lunch: trzy hamburgery ze wszystkimi dodatkami, dwie paczki frytek i superwielki koktajl waniliowy. Prowadził jedną ręką, drugą wpychając jedzenie do ust. Cyfrowa motorola zaczęła dzwonić, Stoat sprawdził, kto jest na linii, po czym szybko wyłączył aparat. Chciał z nim mówić członek komisji samorządowej z Miami, a Stoat miał żelazną zasadę, by nigdy nie rozmawiać bezpośrednio z członkami owej komisji. Przeciwno tym, którzy nie byli jeszcze objęci aktem oskarżenia, toczyło się śledztwo i wszystkie linie telefoniczne do ratusza od dawna były na podsłuchu. A ostatnią rzeczą, na jaką Palmer Stoat miałby ochotę, była kolejna wycieczka przed ławę przysięgłych. Kto ma czas na podobne bzdury? Gdzieś na północ od Yeehaw Junction w tylnej szybie wozu Stoata pojawił się brudny czarny pikap. Półciężarówka podjechała szybko i zajęła pozycję o trzy długości wozu za tylnym zderzakiem rovera. Stoat pogryzał frytki i gadał przez telefon, toteż nie zwracał na nią uwagi. Dopiero po jakiejś godzinie zauważył, że pikap wciąż trzyma się za nim. Dziwne, pomyślał. Na południe jechało mało samochodów - dlaczego ten idiota go nie wyprzedzi? Stoat przycisnął gaz, rover przyspieszył i sunął teraz z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale pikap nadal trzymał się blisko. Stoat stopniowo zdejmował nogę z gazu, aż w końcu zwolnił do osiemdziesięciu, ale czarny samochód wciąż pozostawał na swoim miejscu, trzy długości z tyłu, jak przyczepiony do drążka holowniczego.

Jak większość zamożnych białych posiadaczy wozów sportowo-terenowych Palmer Stoat żył w wiecznym strachu przed rabunkiem samochodu. Zaszczepiono mu przekonanie, że dla bezwzględnych czarnych i latynoskich gangów narkotykowych luksusowe wozy 4x4 są wymarzonymi pojazdami, mówiono, iż w takich kręgach rangę rover jest wyżej ceniony niż ferrari. Odblask na przedniej szybie półciężarówki uniemożliwił Stoatowi ustalenie przynależności etnicznej jego prześladowcy, ale nie miał ochoty ryzykować. Wymacał w schowku półautomatycznego glocka, podarowanego mu w prezencie na Boże Narodzenie przez prezesa stanowego Dobroczynnego Stowarzyszenia Policyjnego, i położył sobie pistolet na kolanach. Z przodu majaczył jadący wolno turystyczny karawan airstream, szeroki jak barka na Missisipi i równie jak ona zwrotny. Stoat przyspieszył i wyprzedził ostro kempingowy pojazd, który znalazł się w ten sposób pomiędzy roverem a półciężarówką. Postanowił opuścić autostradę przy następnym zjeździe i zobaczyć, co wtedy zrobi kierowca pikapa.

Airstream zjechał za Stoatem, a potem pojawiła się brudna czarna półciężarówka. Stoat zeszywniał za kierownicą. Dziewczyna w budce, zbierająca opłaty, zerknęła na pistolet pomiędzy jego kolanami, ale nic nie powiedziała.

- Ktoś za mną jedzie - poinformował ją Stoat.
- Płaci pan osiem dolarów i siedemdziesiąt centów - powiedziała dziewczyna.
- Wezwij patrol drogówki.
- Tak jest, proszę pana. Osiem siedemdziesiąt.
- Nie słyszałaś, co powiedziałem? - zapytał Stoat. Podał jej banknot pięćdziesięciodolarowy.
- Nie ma pan nic drobniejszego?
- Tak. Twój ptasi mózdek - odparł. - A teraz zatrzymaj sobie resztę i wezwij tę cholerną drogówkę. Jakiś wariat mnie śledzi.

Dziewczyna nie zareagowała na obelgę i popatrzyła na pojazdy stojące za rangę roverem.

- Ten czarny pikap za karawanem - powiedział ściszym głosem Stoaat.

- Jaki pikap? - zapytała.

Palmer Stoaat położył glocka pod przednią szybą i wyszedł z samochodu, by zerknąć za airstreama. Następnym samochodem w kolejce było kombi z różnobarwnym proporczykiem na antenie. Prześladowca zniknął.

- Sukinsyn - mruknął Stoaat.

Kierowca karawanu zatrafił. To samo zrobił ktoś inny spośród czekających w kolejce. Dziewczyna z budki podała Stoaatowi resztę z pięćdziesiątki.

- Nadal chce pan, żebyśmy zadzwoniła po patrol drogowy? - zapytała ironicznie.

- Nie, dziękuję.

- A może do CIA?

Stoaat uśmiechnął się z wyższością. Ta mała spryciula nie wie, z kim ma do czynienia.

- Gratuluję, młoda damo - oświadczył. - Stoi pani na progu zimnego, okrutnego świata ludzi bezrobotnych. - Jutro pogada z facetem z Tallahassee i będzie po sprawie.

Palmer Stoaat znalazł stację benzynową Exxon, zatankował, wysikał się i ruszył z powrotem w stronę autostrady. Przez całą drogę do Lauderdale wciąż zerkał w tylne lustro - to niewiarygodne, ilu ludzi miało czarne pikapy. Czy cały świat wypełniają kmioty? Stoaat wrócił do domu zupełnie wykończony nerwowo.

Przedstawili w tęczy barwach swoją koncepcję dotyczącą Wyspy Burzyków gubernatorowi Dickowi Artemusowi i to, co do tej pory usłyszał, spodobało się mu.

Budowane według przemyślanego, szczegółowego planu nadmorskie osiedle. Plaże i aleje spacerowe pomiędzy wieżowcami mieszkalnymi. Publiczne parki, spływy kajakowe i szlak przyrodniczy. Dwa znakomite pola golfowe. Strzelnica do rzutków. Port dla jachtów, lądowisko dla samolotów i śmigłowców.

Ale Dick Artemus nie mógł znaleźć Wyspy Burzyków na wiszącej na ścianie jego gabinetu mapie Florydy.

Dlatego, bo jeszcze się nie nazywa Wyspą Burzyków, wyjaśniła Lisa June Peterson. Nazywa się Ropuszą Wyspą znajduje się dokładnie tu, w zatoce, niedaleko ujścia Suwannee.

- Czy już tam kiedyś byłem? - zapytał Dick Artemus.

- Myślę, że nie.

- Co znaczy „burzyk”?

- To nazwa ptaka - wyjaśniła Lisa June Peterson.

- Czy żyją na wyspie? - zainteresował się gubernator. - Mogą spowodować jakiś problem?

Lisa June Peterson, która już zbadała to zagadnienie, poinformowała szefa, że burzyki są wędrownymi ptakami morskimi, które wolą wybrzeże atlantyckie.

- Ale na wyspie są inne ptaki - dodała.

- Na przykład jakie? - Dick Artemus zmarszczył brwi. - Orły? Nie mów mi, że na wyspie są te cholerne orły tyse, ponieważ oznacza to, że mamy scenariusz federalny.

- W tym tygodniu przeprowadzą badania.

- Kto?

- Badania biologiczne. Ludzie Clapleya - wyjaśniła Lisa June Peterson. Robert Clapley był specjalistą od nieruchomości, który chciał przemianować Ropuszą Wyspę i rozparcelować ją. Niezwykle szczerze, nawiasem mówiąc, finansował kampanię wyborczą Dicka Artemusa.

- Niszczenie buldożerami gniazd orłów nie dodaje głosów - zauważył poważnie gubernator. - Czy wszyscy się z tym zgadzamy?

- Pan Clapley podejmuje wszelkie środki ostrożności w granicach rozsądku.

- I co jeszcze, Lisa? W pięćdziesięciu słowach lub krócej. - Dick Artemus słychał z tego, że potrafił się skupić na jakimś temacie równie długo, jak muszka owocówka.

- Budżet transportowy - oświadczyła jego asystentka - obejmuje sfinansowanie nowego mostu z lądu stałego. Przeszedł w Senacie, ale teraz Willie Vasquez-Washington robi trudności.

Willie Vasquez-Washington był wiceprzewodniczącym Komitetu Finansowania Budownictwa Mieszkaniowego. On i gubernator mieli ze sobą na pieńku.

- Czego chce tym razem? - zapytał Dick Artemus.

- Nie jesteśmy pewni.

- Dodzwoniłaś się do Palmera?

- Wciąż się nie mogę połączyć.

- Jak przypuszczam, ta cała Wyspa Burzyków nie wypali - powiedział gubernator - jeżeli nie będzie nowiutkiego mostu.

- Ten obecny ma sześćdziesiąt lat i jest drewniany - oznajmiła Lisa June Peterson. - Roothaus twierdzi, że nie utrzyma ciężarówki z cementem.

Roger Roothaus był prezesem firmy budowlanej, która chciała dostać kontrakt na projekt nowego mostu na Ropuszą Wyspę. On również hojnie finansował kampanię Dicka Artemusa. Na dobrą sprawę niemal wszyscy, którzy liczyli na zyski z zabudowania Wyspy Burzyków, ofiarowali znaczne sumy na kampanię wyborczą gubernatora. Dick Artemus przyjmował to za pewnik.

- Więc ustaw Palmera, żeby załatwił problem mostu - polecił.

- Dobrze.

- Coś jeszcze?

- Nic wielkiego. Przewidujemy pewną miejscową opozycję - powiedziała Lisa June Peterson.

Gubernator jęknął.

- To na wyspie żyjący ludzie? Chryste, nikt mi o tym nie powiedział.

- Dwieście osób. Dwieście pięćdziesiąt maksimum.

- Kurwa - powiedział Dick Artemus.

- Puścili obiegami petycję.

- Przypuszczam, iż to oznacza, że nie grają w golfa.

- Najwyraźniej nie - przytaknęła Lisa June Peterson.

Dick Artemus wstał i nałożył marynarkę.

- Już jestem spóźniony, Liso June. Czy zechcesz przekazać wszystkie te wiadomości panu Stoałowi?

- Gdy tylko będzie to możliwe - odpowiedziała.

Twilly spędził dzień w Gainesville na wydziale weterynarii Uniwersytetu Stanowego Florydy, podobno najlepszym w kraju. Wiele słynnych parków przyrodniczych i ogrodów zoologicznych, w tym również ten w Walt Disney World, przysyłało tu na sekcję swoje martwe zwierzęta. Twilly dostarczył jastrzębia, który chyba został zastrzelony. Ptak spadł na rzadko odwiedzany, odległy skrawek plaży w Madeira Bay, w Parku Narodowym Everglades. Twilly owinał jego ciało w folię z bąbelkami i położył na suchym lodzie w chłodziarce. Przejechał z Flamingo do Gainesville w niecałe siedem godzin. Miał nadzieję, że pocisk nadal tkwi w ptasich zwłokach, ponieważ pocisk był kluczem do wyjaśnienia zbrodni.

Co jednak nie było tym samym, co identyfikacja sprawcy. Informacja o kalibrze broni mogła okazać się użyteczna, można by ją umieścić w kartotece na wypadek, gdyby strzelec powrócił do parku i był na tyle głupi, żeby dać się wytropić, schwytać i przywiązać na miesiąc nago do mangrowca.

Twilly Spree nie był strażnikiem w parku narodowym ani biologiem zajmującym się dziką zwierzyną, ani nawet obserwatorem ptaków z zamiłowaniem. Miał dwadzieścia sześć lat, rzucił college, był obecnie bezrobotny, a jego problemy psychiczne tworzyły krótką, lecz dość barwną historię. Należy chyba jeszcze dodać, że otrzymał w spadku parę milionów dolarów.

Na wydziale weterynarii Twilly znalazł młodego lekarza, który zgodził się przeprowadzić sekcję jastrzębia, i rzeczywiście okazało się, iż ptak padł od pojedynczej rany postrzałowej. Niestety, pocisk przeszedł na wylot przez pierś ptaka, nie pozostał żaden odłamek, żaden ślad, mogący naprowadzić na trop zabójcy. Twilly podziękował młodemu lekarzowi za jego trud. Następnie wypełnił oświadczenie dla rządu Stanów Zjednoczonych, w którym podał miejsce i okoliczności znalezienia martwego ptaka. Pod dokumentem złożył podpis „Thomas Stearns Eliot Jr.". Potem wsiadł do czarnego pikapa i pojechał na południe. Miał zamiar wrócić bezpośrednio na Everglades, gdzie mieszkał w namiocie wraz z trzynogim rysiem amerykańskim.

Na autostradzie, gdzieś na południe od Kissimmee, Twilly znalazł się za perłowym rangę roverem. Nie zwróciłby uwagi na luksusowy wóz podobnego typu, ale rzuciła mu się w oczy tablica rejestracyjna, na której zielonymi wersalikami wypisane było COJONES [hiszp. - jaja]. Gdy Twilly zjechał na sąsiednie pasmo, z okna koło kierowcy rovera wyleciało opakowanie po hamburgerze Burger King. A za nim powędrowały kolejno: pusty kubek, zmięta papierowa serwetka i następny karton po hamburgerze.

Twilly wcisnął hamulec i zjechał na pobocze autostrady. Poczekał, aż przerwie się sznur jadących samochodów, wybiegł na szosę, wybierał skrupulatnie wszystkie śmiecie i umieścił je w szoferce pikapa. Wystarczyło mu kilkanaście kilometrów, by dogonić świnie w roverze. Twilly ustawił się za nim, zastanawiając się, co robić dalej. Myślał teraz o tym, co zaleciłby mu jego terapeuta, co powiedzieliby jego byli nauczyciele, co zasugerowałyby mu jego mama. Wszyscy oni byli bez wątpienia dojrzałymi i rozsądnymi ludźmi, ale ich rady często okazywały się całkowicie bezużyteczne dla Twilly'ego Spree. Ich sposób widzenia świata wciąż wprawiał go w zdumienie i vice versa.

Widział jedynie ramiona śmieciucha i czubek jego głowy. Odnosił wrażenie, że facet ma niezwykle wielką głowę, ale może było to złudzenie, które stwarzał kapelusz w kowbojskim stylu. Twilly'emu nie chciało się wierzyć, by autentyczny kowboj mógł się splamieć jazdą w zagranicznym sportowo-terenowym wózku perłowego koloru wartym pięćdziesiąt tysięcy dolarów, z tablicami głoszącymi po hiszpańsku chwałę jego jąder. Prawdziwy kowboj, pomyślał Twilly, nie wyrzucałby też nigdy przez okno opakowań po hamburgerze. Nie, to musi być sprawka jakiegoś zwyczajnego dupka... Nagle rangę rover wyskoczył przed jadący wolno kempingowy karawan, a następnie ruszył ostro do zjazdu Yeehaw Junction. Twilly pojechał za nim w stronę placu z budkami poborców opłat, a następnie

skręcił na pasmo z opłatami bez reszty i pojechał dalej. Przejechał szosą stanową 60 do 1-95 i popędził z nierozważną prędkością do Fort Pierce, gdzie znowu wydostał się na prowadzące na południe pasmo autostrady. Zaparkował w cieniu pod mostem, podniósł maskę pikapa i czekał. Dwadzieścia minut później przemknął obok niego rover i Twilly podjął swój pościg. Tym razem trzymał się trochę dalej. Wciąż nie miał żadnego planu, ale miał przynajmniej wyraźnie określoną misję. Gdy śmieciuch wyrzucił przez okno niedopałek cygara, Twilly nie zatrzymał się. To nie zagraża środowisku, ulegnie biologicznemu rozkładowi, pomyślał.

Po trzecim kieliszku wina Desie nie mogła już dłużej udawać, że słucha opowieści męża o imitacji łowów na nosorożca. Patrzyła ponad stołem na Palmera Stoata, jakby był mimem. Jego palce tańczyły, usta poruszały się, ale nic z tego, co mówił, nie docierało do niej. Widziała go w dwóch wymiarach, jakby był obrazem na ekranie telewizyjnym - ożywiony mężczyzna w średnim wieku z niewielkim brzuszkiem, cienkimi włosami blond, rudawymi brwiami, bladą cerą, wygiętymi ku górze wargami i purpurowymi plamami na policzkach (za wiele słońca lub za wiele alkoholu). Palmer miał miękki kark, ale silnie zarysowany podbródek, z pooperacyjnymi bliznami niewidocznymi w mdłym świetle. Zęby miał proste i lśniące, ale jego uśmiechowi towarzyszył grymas permanentnego sceptycyzmu. Desie zawsze się wydawało, że nos męża jest zbyt mały w porównaniu z jego twarzą, właściwie nosek małej dziewczynki, chociaż upierał się, że z takim właśnie się urodził. Jego niebieskie oczy również sprawiały wrażenie niewielkich, mimo iż były bystre i promieniowały pewnością siebie. Twarz, jak na byłego mięśniaka przystało, miał okrągłą, z przedwcześnie obwisłymi policzkami i zachęcającą do zawierania znajomości. Desie nie nazwałaby Stoata przystojniakiem, ale był atrakcyjny na ów kumpelski sposób byłego studencika z Południa i podbił ją ongiś swoją usłużnością, pochlebstwami i tym, że stale się o nią troszczył. Później uświadomiła sobie, że niewyczerpana energia, z którą Palmer prowadził swoje zaloty, była w większym stopniu konsekwencją wrodzonej nieustępliwości niż wyrazem zaangażowania uczuciowego. Takimi właśnie metodami starał się zawsze zdobywać wszystko, czego chciał. Spotykali się przez cztery tygodnie, a potem pobrali się na wyspie Tortola. Desie miała uczucie, jakby żyła we mgłę, a teraz owa mgła zaczęła się rozwiewać. Co ona najlepszego zrobiła, na litość boską? Wyparła to paskudne pytanie ze swoich myśli i dopiero wtedy znowu zaczął docierać do niej głos Palmera.

- Jakiś świr mnie śledził - mówił właśnie - przez chyba sto sześćdziesiąt kilometrów.

- Po co?

- Żeby obrobić moją białutką dupkę.

- Był czarny? - spytała Desie.

- Albo Kubaniec. Nie mogłem zobaczyć - wyjaśnił Stoat. - Ale powiem ci, słonko, że byłem gotowy na spotkanie. Senor Glock leżał na moich kolanach, załadowany i zabezpieczony.

- Na autostradzie, Palmerze?

- Załatwiłbym go na cacy.

- Tak jak swojego nosorożca - powiedziała Desie. - A przy okazji, masz go zamiar wypchać jak pozostałe?

- Spreparować - poprawił ją Stoat. - Ale tylko łeb.

- Cudownie. Możemy powiesić go nad łóżkiem.

- Skoro o tym mowa, zgadnij, co oni robią z rogami nosorożców?

- Jacy oni?

- Azjaci i różni tacy.

Desie wiedziała, ale pozwoliła Palmerowi opowiedzieć. Zakończył opowieść interesującą plotką Durgessa o dwudniowej erekcji.

- Możesz sobie wyobrazić? - zarzął Stoat.

Desie pokręciła głową.

- Kto w ogóle miałby na coś takiego ochotę?

- Może ty któregoś dnia. - Puścił do niej oko.

Desie rozejrzała się, szukając kelnera. Gdzie ten obiad? Dlaczego ugotowanie pasto zajmowało tyle czasu?

Stoat nalał sobie następny kieliszek wina.

- Rogi nosorożca, Jezu Chryste z przerzutką. Co jeszcze?

- To dlatego kłusownicy je zabijają? - zapytała go żona.

-Tak.

- I dlatego prawie je wytrzebiono. Boże, Palmer, o czym ty myślisz?

- O zarabianiu na życie. Dzięki czemu możesz siedzieć w domu, malować paznokcie i dowiadywać się wszystkiego, czego zapragniesz, o zagrożonych gatunkach z kanału Discovery.

- Spróbuj poczytać „New York Timesa” - poradziła Desie.

- No cóż, wybacz mi - parsknął z sarkazmem Stoat. - Czytałem już dziś gazetę, chłopie.

Był to jeden z najbardziej irytujących nawyków jej męża - wtrącanie kawałków tekstów starych rockowych piosenek do codziennej rozmowy. Palmer uważał, że to fajna sprawa, może ów zwyczaj nie obrzydłby nawet Desie aż tak bardzo, gdyby choć czasami cytował wiernie słowa, ale nigdy mu się to nie zdarzało. Chociaż Desie była o wiele od niego młodsza, знаła utwory Dylana, Beatlesów, Stonsów i innych zespołów. W okresie studiów w college'u przez dwa lata pracowała w sklepie muzycznym Sama Goody'ego.

- Więc czego chce Dick Artemus? - zapytała, żeby zmienić temat.
- Nowego mostu. - Stoat odgryzł rożek bułki na zakwasie. - Żaden problem.
- Most dokąd?
- Gdzieś donikąd, na jakąś byle jaką ptasią wyspę w zatoce. Mogłabyś podać mi masło?
- Czemu gubernator chce wybudować most donikąd? Jej mąż roześmiał się, rozbryzgując okruszki.
- A czemu gubernator chce cokolwiek? Nie mnie o to pytaj, kochanie. Ja po prostu odbieram telefony i uruchamiam swoją magię.
- Dzień jak co dzień - powiedziała Desie.
- Zgadłś.

Kiedyś Twilly'emu Spree jako warunek zawieszenia kary wyznaczono przymusowe uczestniczenie w kursie „kontroli gniewu”. W grupie znajdowali się mężczyźni i kobiety, aresztowani za nagłe wybuchy furii, których ofiary stanowili najczęściej współdomownicy. Byli tam mężowie piorący żony, żony tłukące mężów, a nawet pewna babcia oskarżona o to, że spuściła łomot swojemu sześćdziesięciodwuletniemu synowi, ponieważ bluźnił w czasie obiadu w Święto Dziękczynienia. Inni członkowie grupy trafili tu za bójki w barze, porachunki przy kartach albo udział w awanturach kiboli podczas meczów drużyny Miami Dolphins. Trzech strzelało do nieznajomych w czasie kłótni na szosie i dwaj z nich odnieśli rany, gdy dyskutanci odpowiedzieli ogniem. No i był tam Twilly.

Instruktor prowadzący zajęcia przedstawił się jako wykwalifikowany psychoterapeuta. Nazywał się doktor Boston. Pierwszego dnia poprosił, aby każdy członek grupy napisał krótki szkic na temat: „Co mnie naprawdę, ale to naprawdę, wścieka”. W czasie gdy słuchacze pisali, doktor Boston przeglądał przysłany z sądu stos teczek z dokumentami. Po przeczytaniu akt Twilly'ego Spree doktor Boston położył je na rogu biurka.

- Panie Spree - powiedział spokojnym głosem. - Będziemy tu kolejno opowiadać nasze historie. Czy zechciałby pan zacząć?

Twilly wstał.

- Nie skończyłem jeszcze pracy - odparł.
- Może ją pan skończyć później.
- To kwestia wątku, proszę pana. Jestem w środku zdania.

Doktor Boston milczał przez chwilę. Mimo woli zerknął na teczkę Twilly'ego.

- No dobrze, pójdźmy na kompromis. Proszę dokończyć zdanie, a potem może pan wystąpić przed grupą.

Twilly usiadł i napisał ostatnie słowa: „po kostki we krwi durniów!”. Po chwili namysłu zmienił zakończenie na „po kostki w znikającej krwi durniów!”. Potem włożył ołówek za ucho i wstał.

- Gotowe? - zapytał doktor Boston. - Doskonale. A teraz proszę podzielić się z nami swoją historią.
- Cała moja historia zajmie trochę czasu.
- Panie Spree, proszę nam po prostu powiedzieć, dlaczego znalazł się pan tutaj.
- Wysadziłem w powietrze bank wuju.

Wszyscy członkowie grupy wyprostowali się i odwrócili, by popatrzeć na Twilly'ego.

- Oddział - dodał Twilly. - Nie centralę.
- Jak pan sądzi, czemu pan to zrobił? - zapytał doktor Boston.
- No cóż, dowiedziałem się czegoś.
- O pańskim wuju.
- O pożyczce, której udzielił. Bardzo dużej pożyczce bardzo paskudnym ludziom.
- Czy próbował pan to przedyskutować ze swoim wujem? - zainteresował się doktor Boston.
- Pożyczkę? Kilka razy. Nie był zbyt zainteresowany.
- I to pana rozgniewało?
- Nie, zniechęciło. - Twilly przymrugał oczy i splótł palce na karku. - Byłem rozczarowany, sfrustrowany, obrażony, zawstydzony...
- Ale czy nie byłoby uczciwie stwierdzić, że był pan również rozgniewany? Czy człowiek nie musi się dość solidnie rozżłościć, aby wysadzić budynek banku?
- Nie. Człowiek musi być zdecydowany. A ja byłem.

Doktor Boston czuł na sobie rozbawione spojrzenia innych członków grupy, którzy czekali teraz na jego reakcję.

- Mam wrażenie, że usłyszałem tu zaprzeczenie - oznajmił. - A co reszta z was o tym myśli?

- Niczemu nie zaprzeczam - wtrącił się Twilly. - Kupiłem dynamit. Przyciąłem lonty. Biorę pełną odpowiedzialność.

- Czy ktoś zginął? - zainteresował się inny uczestnik zajęć.

- Oczywiście, że nie - warknął Twilly. - Zrobiłem to w niedzielę, kiedy bank był zamknięty. W tym właśnie rzecz. Gdybym był naprawdę wnerwiony, załatwiłbym sprawę w poniedziałek rano i upewniłbym się przedtem cholernie dokładnie, że mój wujek jest już w środku.

Kilka innych osób ze zrozumieniem pokiwało głowami.

- Panie Spree - powiedział doktor Boston. - To, że człowiek jest bardzo rozgniewany, wcale nie musi oznaczać, że doznaje automatycznie jakiegoś ataku czy traci panowanie nad sobą. Gniew jest jedną z tych skomplikowanych emocji, która może znajdować się tuż pod powierzchnią, a bywa też ukryta głęboko, tak głęboko, że często nie jesteśmy w stanie jej zidentyfikować. Uważam, że na jakimś poziomie podświadomości musiał być pan ogromnie rozgniewany na swojego wuja i to zapewne z powodów, które nie miały żadnego związku z jego działalnością bankową.

Twilly zmarszczył brwi.

- Chce pan powiedzieć, że to nie wystarczało?

- Chcę powiedzieć...

- Pożyczył czternaście milionów dolarów firmie wydobywającej kruszywo, która kopie ogromne dziury w dolinie Amazonki. Czegóż więcej było mi potrzeba?

- Wygląda na to - uznał doktor Boston - że stosunki między panem a pańskim wujem były dość trudne i skomplikowane.

- Prawie nie znałem faceta. Mieszka w Chicago. Tam ma swój bank.

- A w dzieciństwie?

- Raz wziął mnie na mecz futbolowy.

- Aha. Czy coś się wydarzyło w tym dniu?

- Owszem - odparł Twilly. - Jedna drużyna zdobyła więcej punktów niż druga i poszliśmy do domu.

Grupa już chichotała i to doktor Boston musiał teraz kontrolować gniew.

- Proszę posłuchać, sprawa jest prosta - powiedział Twilly. - Wysadziłem budynek, żeby ruszyło go sumienie, OK? Żeby go zmusić, aby się zastanowił nad własną chciwością i smutnym faktem, że j ego życie zmierza w niewłaściwym kierunku. Wszystko to napisałem w liście.

- Tak, list jest w aktach - przytaknął doktor Boston. - Ale zauważyłem, że go pan nie podpisał.

Twilly rozłożył ręce.

- Czyja wyglądam na idiotę? Prawo nie pozwala wysadzać w powietrze instytucji finansowych.

- Ani czegokolwiek innego.

- Tak mi wyjaśniono - mruknął Twilly.

- Ale mimo wszystko na poziomie podświadomości...

- Ja nie mam podświadomości, doktorze. To właśnie próbuję panu wytłumaczyć. Wszystko, co dzieje się w moim mózgu, dzieje się na samej powierzchni jak na płycie kuchenki. Mogę to tam widzieć, dotknąć, poczuć żar. - Twilly usiadł i czubkami palców zaczął masować sobie skronie.

- Byłby pan wyjątkowym okazem biologicznym, panie Spree, gdyby pan nie miał podświadomości - powiedział doktor Boston. - Czy nic się panu nigdy nie śniło?

- Nigdy.

- Proszę poważnie.

- Poważnie - oznajmił Twilly.

- Ani razu?

- Ani razu w całym moim życiu.

Któryś z uczestników zajęć machnął ręką.

- Daj spokój, chłopie, nie miałeś nigdy koszmarów?

- Nie - powiedział Twilly. - Nie potrafię śnić. Gdybym potrafił, to może nie byłoby mnie tutaj.

Polizał czubek ołówka i powrócił do pracy nad szkicem, który przekazał doktorowi Bostonowi po zajęciach. Psycholog nie potwierdził, że przeczytał pracę Twilly'ego, ale następnego ranka w ostatnim rzędzie sali zasiadł uzbrojony ochroniarz i powtarzało się to każdego kolejnego dnia przez cztery tygodnie trwania zajęć. Doktor Boston już nigdy więcej nie poprosił Twilly'ego o zabranie głosu. Po zakończeniu kursu Twilly otrzymał notarialnie potwierdzone zaświadczenie, że z wynikiem pomyślnym ukończył program kontroli gniewu, i został odesłany do swojego kuratora, który pochwalił go za poczynione postępy.

Gdyby tylko mogli mnie teraz zobaczyć, pomyślał Twilly. Jak szykuję się do porwania.

Najpierw pojechał za śmieciuchem do jego prywatnej siedziby, na jedną z tych ekskluzywnych wysp nieopodal Las Olas Boulevard, w pobliżu plaży. Facio miał ładną działkę: stary jednopiętrowy hiszpański dom z półokrągłymi dachówkami i pokrytymi stiukiem ścianami, po których pięła się winorośl. Dom stał w zaułku i Twilly, czając się w swoim czarnym brudnym pi-kapie, nie miał bezpiecznej osłony.

Przedostał się więc na znajdujący się w sąsiedztwie plac budowy - wznoszono tam jakąś rezydencję. Jej architektura była utrzymana w stylu przedcaponowskiego Medellin - wszędzie ostre kąty, marmurowe wykładziny i przyciemnione szkło. Półciężarówka Twil-ly'ego świetnie pasowała do zgromadzonych tu koparek i betoniarek. Pod osłoną zapadającego mroku wrócił pod dom śmieciucha, gdzie wtopił się w gęsty fikusowy żywopłot i zaczął czekać. Na podjeździe obok rangę rove-ra stał zaparkowany kabriolet beemka z podniesionym dachem. Twilly uznał, że należy on prawdopodobnie do żony, przyjaciółki lub przyjaciela gospodarza. W następnej sekundzie wpadł na pomysł, który jego samego zmusił do uśmiechu.

Godzinę później śmieciuch pojawił się w drzwiach frontowych. Stał w bursztynowym świetle pod stiukowym łukiem i zapalał cygaro. Po paru chwilach wyszła z domu, cofając się wolno, kobieta i zanim zamknęła za sobą drzwi, schyliła się, jakby żegnała się z małym dzieckiem lub może z psem. Gdy śmieciuch i jego towarzyszka szli przez podjazd, Twilly zauważył, że kobieta z przesadną ostentacją odgania dym. Chyba nie przepadała za cygarami. Gdy Twilly wysunął się pomiędzy żywopłotu i wrócił do pikapa, na jego twarzy znowu zajaśniał uśmiech. Wezmą kabriolet, pomyślał. Żeby mogła oddychać. Pojechał za nimi do włoskiej restauracji usytuowanej przy małym widowiskowym odcinku federalnej szosy szybkiego ruchu, niedaleko od portu morskiego. Biorąc pod uwagę to, co wymyślił Twilly, wybór był idealny. Śmieciuch zaparkował kabriolet w stylu prawdziwego palanta, na ukos przez dwa miejsca. Chodziło o uchronienie kosztownego, importowanego wozu przed zadrapaniami i wgnieceniami, które mogłyby spowodować zwyczajni ludzie, stawiający obok swoje samochody. Twilly'ego ten egoistyczny numer wprowadził w autentyczny zachwyt. Gdy palący cygaro mężczyzna i nienawidząca cygar kobieta weszli do restauracji, odczekał dziesięć minut, żeby upewnić się, że w niej zostaną. A potem wyruszył pędem na poszukiwanie.

Występowała pod pseudonimem Tia i już stała na ich stoliku, machała swoim przysłanym na zamówienie końskim ogonem i zsuwała swój koronkowy stanik, kiedy smród uderzył w nią jak żar z pieca hutniczego. Cholera, pomyślała, pękła rura ściekowa czy co?

I ci trzej faceci szczerzący gęby od ucha do ucha i szczęśliwi, ubrani w identyczne granatowe kombinezony z brudnymi rękawami, śmiejący się, palący papierosy, pociągający swoje piwko po sześć dolarów za kufel i powtarzający: Tee-jaa, tak to mówisz? Co to za imię Tee-jaa? I cała trójka wymachuje pięćdziesiątkami. Śmierdzą jak rzygi sępa, wyśpiewują jej imię i wsuwają nowiutkie pięćdziesięciodolarówki za gumkę fig. Tak więc Tia musiała teraz podjąć poważną decyzję - dokonać wyboru pomiędzy niewiarygodnym szamboidalnym smrodem a niewiarygodnie łatwym zarobkiem. Rozważając tę alternatywę, bardzo starała się oddychać przez usta i w rezultacie po kilku chwilach odór przestał się wydawać nieznośny, a prawdę mówiąc, goście również okazali się zupełnie mili. Prawdziwi faceci od czarnej roboty. Nawet przeprosili, że zasmrodzili knajpę. Po kilku tańcach na stole poprosili Cię, żeby się do nich przysiadła, bo mającej do opowiedzenia naj-niesamowitszą historię na świecie. Powiedziała: „dobra, jedną chwileczkę”, i pobiegła do garderoby. W szafce znalazła chusteczkę, którą spryskała drogimi paryskimi perfumami (kolejny niechciany podarunek od kolejnego oczarowanego klienta). Wróciła do stolika i znalazła na nim otwartą butelkę najdroższego szampana podawanego w klubie i niemal nadającego się do picia. Trójca w brudnych granatowych kombinezonach wznosiła niechlujny toast za kogoś, stukając się kieliszkami i namawiała Cię, by usiadła: „No siadaj. Napij się bąbelków”. Nie mogli się doczekać, by jej opowiedzieć, co się stało, wszyscy trzej mówili jednocześnie, przekrzykując się nawzajem i próbując pokierować narracją. Tia, trzymając pod nosem uperfumowaną chusteczkę, autentycznie dobrze się bawiła i oczywiście nie wierzyła w ani jedno słowo poza tym fragmentem, w którym opowiadali o swoim - raczej trudnym do ukrycia ze względu na zapach - zajęciu.

- Czemu nie wierzysz, że porwano nam cały ładunek? - zawołał jeden z nich.

- Bo to bzdura - odparła Tia.

- Właściwie to była bardziej sprzedaż - wtrącił się jego kumpel. - Młody człowiek dał nam trzy tuzeny gotówką, pożyczył pikapa i powiedział, że spotkamy się tu za godzinę.

Tia uniosła brwi.

- Ten nieznajomy daje wam trzy tysiące dolców i odjeżdża...

- Pięćdziesiątkami - dodał jeden z nich, machając garścią banknotów. - Po tuzenie na łeb.

- Chłopaki, naprawdę wciskacie mi fajans - zachichotała w chusteczkę Tia.

- Nie, proszę pani, wcale nie. Może śmierdzimy, ale nie zalewamy.

Ten, który wymachiwał najgrubszym plikiem, mówił najgłośniej.

- Powiedzieliśmy - oznajmił - najprawdziwszą prawdę o tym, w jaki sposób znaleźliśmy się tu, by popatrzeć na twój taniec. A jeżeli nam nie wierzysz, panno Tee-jaa, to proszę za piętnaście minut wyjść na parking, bo facet powinien wtedy wrócić.

- Może tak zrobię - powiedziała Tia.

Ale ponieważ wtedy już występowała przy stoliku kierowników telewizji kablowej, nie zauważyła Twilly'ego Spree podjeżdżającego do oświetlonego neonami klubu ze striptizem pełnowymiarową

śmieciarką okręgu. Gdy z niej wysiadł, jeden z mężczyzn w granatowych kombinezonach rzucił mu kluczyki od czarnego pikapa.

- Przepuściliście cały szmal, który wam dałem? - zapytał Twilly przyjaznym tonem.

- Nie, ale niewiele brakuje.

- I założę się, że to warte było każdego dolara.

- O, tak.

Twilly uściskał każdemu z nich rękę na pożegnanie.

- Poczekaj, synu, wejdź i wypij jedno piwko. Mamy tam damę, która chce cię poznać.

- Może później - powiedział Twilly.

- No nie, rozumiesz, ona nam nie wierzy. Myśli, że obrobiliśmy salon gry w bingo albo coś w tym stylu. I dlatego prosimy, żebyś wszedł do środka tylko na minutkę i powiedział jej, że nie pieprzymy głupot i naprawdę zapłacicie nam trzy tuzeny za wynajęcie naszego śmieciowozu.

Twilly uśmiechnął się.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział.

- Hej, człowieku, a gdzie ładunek? Ciężarówka wygląda na pustą.

-1 tak jest - odparł Twilly. - Nie macie co wieźć na wysypisko. Możecie jechać prosto do domu.

- A co się z tym stało?

- Lepiej, żebyście nie wiedzieli.

- O rany - mruknął jeden ze śmieciarzy do kolegów. - To jakiś porąbany facio. Na pewno zrobił jakiś cholernie porąbany numer.

- Nie - zaprotestował Twilly. - Wierzę, że pochwalilibyście to, co zrobiłem. - Po czym odjechał, myśląc o tym, jak bardzo mylił się doktor Boston. Gniew wcale nie był takim skomplikowanym uczuciem.

uległa całkowitej przemianie. Pod każdym względem był to ten sam człowiek co dwa lata temu. Desie czuła się winna, że wyszła za niego za męża, winna, że ma teraz wątpliwości, winna z powodu nosorożca, którego zastrzelił dzisiaj rano.

- Jak stąd do baru sałatkowego - wyjaśniał jej Stoat. - Był tak blisko.

- I do tego potrzebny ci jest celownik teleskopowy?

- Lepiej się zabezpieczyć, niż żałować. To dewiza Durgessa.

Stoat zamówił na deser tortoni. Dłubał widelcem w kremie, poszukując kawałków migdałów, które układał w elegancki wzorek na krawędzi talerzy. Obserwując ten rytuał, Desie poczuła przyływ melancholii. Później, gdy Palmer sprawdzał rachunek, przeprosiła go i poszła do toalety, gdzie zmoconym papierowym ręcznikiem starła szminkę i makijaż. Nie miała pojęcia, czemu to robi, ale od razu poczuła się o wiele lepiej. Zanim skończyła, jej mąż opuścił restaurację.

Desie wyszła na zewnątrz i odór niemal zwałił ją z nóg. Zasłoniła usta dłonią i rozejrzała się, szukając Palmera. Stał na parkingu, pod latarnią. Gdy Desie podeszła do niego, smród nasilił się jeszcze bardziej i wkrótce dostrzegła jego źródło - trzymetrową górę śmieci. Desie uznała, że musi ważyć kilka ton. Palmer Stoat stał u podnóża cuchnącej góry z oczami wbitymi smętnie w jej szczyt.

- Gdzie jest samochód? - zapytała, krztusząc się, Desie.

Palmer zatrzepotał rękami i zaczął piszczeć jak zagubione kocię.

- Możesz nie mówić. - Bardzo starała się nie puścić pawia. - Cholera, Palmer. Moja beemka!

Nieśmiało zaczął okrążyć wydmy obrzydliwości. Podniósł rękę, wskazując na nią w pełnym oburzenia oszołomieniu. Chmura much z brzękiem zbliżyła się do jego twarzy, ale nawet nie próbował ich odpędzić.

- Cholera jasna! - krzyknęła Desie. - Czy nie mówiłam ci, żebyś zamknął dach? Nie mówiłam?

Palmer Stoat zamówił sałatę antipasto, bułeczki czosnkowe, fettucine A lfredo, półmisek klopsików i Desie bardzo szybko musiała odwrócić głowę w obawie, że zaraz zwymiotuje. Jadł z takim zapalem, że jego twarz pokryła się potem, gęste krople spływały mu po policzkach. Desie wstydziła się za siebie, że czuje aż tak wielkie obrzydzenie - w końcu to był jej mąż. Nie mogła przecież uznać, że po zawarciu małżeństwa z nią jego osobowość

Twilly zdążył do włoskiej restauracji na przedstawienie. Pod nadzorem kilku rozbawionych funkcjonariuszy policji oddział robotników z grabiami i łopatami przystąpił do nieprzyjemnego zadania, jakim było wydobywanie bmw spod sterty śmieci. Twilly obserwował wszystko przez lornetkę z pobliskiej sosny. Nie było dziennikarzy, co mocno go rozczarowało, bo temat był wymarzony dla telewizji. Przez rytmiczny chrzęst łopaty przebiegał głos śmieciucha, który upominał pracowników asenizacyjnych, żeby, do cholery, byli ostrożni i nie porysowali lakieru! Twilly uznał to za komiczne, biorąc pod uwagę prawdopodobny stopień opaskudzenia beemki. Wyobraził sobie dziewczynę, skórzaną tapicerkę, dojrzewającą pod soczystą warstwą skórek pomarańczy, twarożku, butelek po heinekenie, flisów kawy, skorup jajek, zmiętych kleenexów, skórek kartofli, podpasek higienicznych, kawałków pizzy, rybich łbów, ogryzionych żeberek, przebitych tubek z pastą do zębów, wytopionego z bekonu tłuszczu, zastygłych sosów, samochodowych śmieci i kurzych szyjek. Twilly żałował, że nie może przyłączyć się do grupy czyszcicieli i zobaczyć wszystkiego z bliska.

Widział, jak żona (lub przyjaciółka) śmieciucha spaceruje pod migoczącą latarnią z rękami złożonymi na piersiach. Nie był w stanie dostrzec wyrazu jej twarzy, ale rytm kroków sugerował zniecierpliwienie. Zastanawiał się, czy naprawdę zależy jej na bmw. W każdym razie firma ubezpieczeniowa kupi jej nowe. Twilly pomyślał również o pracownikach asenizacyjnych, ściągniętych o tak późnej porze do tak dziwnej pracy. Wyczuwał, że mogą dobrze się bawić, ekshumując bajerancki czerwony sportowy samochód spod sterty śmieci, ale miał też nadzieję, że płacą im za nadgodziny.

Była to operacja zakrojona na całkiem dużą skalę i Twilly zastanawiał się, czemu nie czuje proporcjonalnej do niej satysfakcji. Odpowiedź przyszła wraz z nagłym wstrząsem, jakiego doznał, obserwując śmieciucha przez lornetkę; zobaczył, że facet zdjął papierka z cukierka - zapewne poobiedniej miętówki z restauracji - a potem zmiażdżył opakowanie i bezceremonialnie rzucił je na ziemię. Ten głupi palant nie zrozumiał! Nie skojarzył swojego świńskiego zachowania na autostradzie ze złośliwym zbezczeszczeniem jego samochodu. Zapewne uznał, że był to przypadkowy przejaw wandalizmu, głupi dowcip.

Powinienem zostawić mu wiadomość, pomyślał pośpiesznie Twilly. Powinienem wyłożyć mu to wszystko jak chłop krowie. Zaklął pod nosem i ostrożnie zszedł po ciemku z drzewa. Zanim dotarł do parkingu, odkopywanie samochodu dobiegło końca. Śmieciuch i jego żona (lub przyjaciółka) odjeżdżali właśnie taksówką. Upaskudzone bmw przyczepiano do sztywnego holu ciężarówki pomocy drogowej, której krzepki kierowca miał na twarzy błękitną maseczkę chirurgiczną i żartował z asenizatorami, wrzucającymi ostatnie śmiecie do śmieciarki.

Twilly zapytał jednego z gliniarzy, co się stało z czerwonym kabrioletem.

- Ktoś wywalił na niego zawartość śmieciarki - odparł funkcjonariusz z ostrym chichotem.
- Jezu! - zawołał Twilly. - Czemu?
- Fiut go wie. Żyjemy w chorym społeczeństwie.
- Jak zobaczyłem tyle radiowozów - powiedział Twilly - przestraszyłem się, że to morderstwo.
- Nie, tylko jakaś szyszka zostawiła w nieodpowiednim miejscu swoje kabrio z otwartym dachem.
- To ktoś znany czy co?
- Nigdy w życiu o nim nie słyszałem - odparł gliniarz - ale najwyraźniej ma swoje układy. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Siedziałbym w domu w gaciach i oglądał koszykówkę. Proszę się cofnąć. Ciężarówka z kabrioletem na holu manewrowała, usiłując wyjechać z parkingu, i policjant pomagał, gestykulując. Twilly wiedział, że nie należy naciskać, by dowiedzieć się nazwiska śmieciucha, a zresztą i tak nie było mu potrzebne. Podeszedł do jednego z pracowników asenizacyjnych i zapytał, czy beemka jest do kasacji.

- Tak, i to nie jest w porządku. Taki słodki wózek.
- Całkowicie zniszczony, co? - rzekł Twilly.
- Po czymś takim nigdy go się nie doczyści w środku. Tu chodzi o minimum - tak sobie obliczam - cztery tony śmieci. - Mężczyzna przestał pracować i oparł się na trzonku łopaty. - Do diabła, przecież to drogi samochód - po co go tak upieprzyć, kiedy można go było po prostu ukraść? Każdy dureń, który zostawia kabriolet z otwartym dachem, zasługuje, aby mu zwinęli brykę. Ale coś takiego? Moim zdaniem to wredny numer. Zadać sobie tyle trudu, żeby zniszczyć idealnie fajny wóz. To cholernie wredny numer.

- Świat jest chory - powiedział Twilly Spree na swoją obronę.

Urodził się w Key West, gdzie jego ojciec pojechał, aby sprzedać wybrzeże pod zabudowę. Mały Phil Spree był specjalistą od nieruchomości. Jeżeli posiadłość nie leżała nad morzem albo zatoką, nie interesowała go. Kupował i sprzedawał działki na plaży, dopóki nie było już czego kupować i sprzedawać, a potem pakował rodzinę i przenosił się do innego miasta, a tu zazwyczaj wpadał w zachwyty: „Brzeg jest czysty!”. Linia brzegowa Florydy liczy ponad dwa tysiące kilometrów i dzięki tym wędrówkom młody Twilly poznał znaczną jej część. Jego matka, która unikała bezpośredniego działania promieni słonecznych, nie była entuzjastką tropików. Ale Mały Phil świetnie zarabiał, toteż Amy Spree

przez osiemnaście lat właściwie nie wychodziła z domu, dbała o cerę i próbowała się zająć jakimś hobby. Hodowała drzewka bonsai. Zaczęła pisać romans. Uczyła się grać na klarnecie. Uprawiała jogę, taniec współczesny i raczyła się mocnym martini. A tymczasem Twilly dziczał, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Każdą wolną chwilę spędzał na dworze. Jego rodzice nie byli w stanie sobie wyobrazić, co tam robił.

Gdy Twilly miał cztery lata, Mały Phil na krótko przeprowadził się z rodziną na Marco Island, słynną ze swoich białych, otoczonych wydmami plaż. Piasek usłany był ozdobnymi, tropikalnymi muszlami. Twilly zbierał je, segregował i układał w pudełkach po butach. Zazwyczaj towarzyszyła mu opiekunka, którą matka wynajęła, aby mieć pewność, że chłopiec nie wejdzie do Zatoki Meksykańskiej i nie utonie. Wiele lat później czternastoletni Twilly spał na krótko stacyjkę kombi przyjaciela i pojechał z powrotem na Marco, aby powłóczyć się po brzegu w poszukiwaniu muszli. Przyjechał późną nocą podczas straszliwej ulewy i zasnął w samochodzie. Gdy się obudził o świcie, po raz pierwszy pojął, w jaki sposób jego stary zarabia na życie. Wyspa zmieniła się nie do poznania. Teraz był tu częstokół wież budynków hotelowych i bloków mieszkalnych. Oczywiście, wybrzeże. Twilly opuścił wzrok i pomaszerował plażą z pudełkiem po butach pod pachą. Miał nadzieję, że jest to miraż, że tak się ułożyły chmury i mgła, ale gdy podniósł głowę, hotele i bloki wciąż tam były, piętrząc się wyżej niż poprzednio. Słońce wspięło się coraz wyżej, budynki rzucały na piasek cienie przypominające nagrobki. Wkrótce Twilly znalazł się w ogromnym prostokącie cienia - cień na otwartej plaży pod czystym jasnym niebem? Padł na kolana i zaczął młócić ubity piasek obydwojma pięściami, dopóki kostki palców nie zaczęły mu krwawić.

Jakaś turystka podeszła do Twilly'ego i powiedziała mu, żeby przestał, bo straszy jej dzieci. Miała na sobie elastyczny dwuczęściowy kostium kąpielowy i mówiła z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Nowej Anglii. Paznokcie jej stóp były pomalowane na karmazynowy kolor, nos pokryty maścią cynkową, a w ręku trzymała broszurowe wydanie Arthura Haileya. Twilly zawył i zaczął znowu okładać piasek. Kobieta spojrzała na niego surowo nad oprawkami okularów przeciwsłonecznych.

- Młody człowieku - powiedziała. - Gdzie jest twoja matka?

Wówczas Twilly odwrócił się gwałtownie, wbił zęby w nagą stopę damy i puścił ją dopiero wtedy, gdy przybiegł potężnie zbudowany ochroniarz z hotelu i oderwał go od niej. Mały Phil pojawił się nieco później tego samego dnia z prawnikami i książeczką czekową. W czasie podróży do domu Twilly nie miał ojcu nic do powiedzenia. Gdy przed pójściem spać Amy Spree weszła do pokoju syna, zobaczyła go, jak włącza do swej ekspozycji morskich muszli jaskrawo wymalowany paznokciec z ludzkiej nogi. Następnego ranka po raz pierwszy zaprowadziła go do psychologa. Twilly poddany został całej serii testów, żaden z nich jednak nie wskazywał na gwałtowną socjopatię. Amy Spree poczuła ulgę, lecz jej mąż nie zmienił sceptycznego nastawienia. „Chłopak nie jest w porządku” - mówił. Albo: „Chłopakowi czegoś brakuje”. Albo niekiedy: „Chłopak gra w złej drużynie”.

W końcu Twilly spróbował porozmawiać z ojcem o Marco Island i innych swoich troskach. Przypomniał mu, że Floryda przez tysiąclecia znajdowała się pod wodą i teraz stopniowo znowu się zapada, a morze podnosi się co roku, by zagarnąć bezcenne wybrzeże, które Mały Phil i inni z takim zapalem rozprzedają. „I co z tego” - odparł Mały Phil. „Dlatego ludzie ubezpieczają się przed zalaniem”. „Nie, tato. Nie rozumiałeś” - powiedział Twilly. A na to Mały Phil rzekł: „No cóż, może nie znam się za dobrze na geologii, ale znam się na sprzedaży i wiem, co to prowizja. I kiedy to cholerne miejsce zacznie tonąć tak, że zobaczę to na własne oczy, wtedy ja, ty i twoja matka spakujemy się i przeniesiemy do Południowej Kalifornii, gdzie człowiek w dalszym ciągu będzie mógł na wybrzeżu nieźle zarabiać”.

A wtedy Twilly powiedział: „Zapomnij, że w ogóle o tym mówiłem”.

W przeddzień osiemnastych urodzin Twilly'ego Mały Phil zawiózł go do biura bankiera w Tampa, gdzie Twilly'emu wyjaśniono, że właśnie ma odziedziczyć około pięciu milionów dolarów, zapisanych mu przez człowieka, którego spotkał tylko raz w życiu, ojca Małego Phila, nieżyjącego już Dużego Phila. Duży Phil zbił majątek na kopalniach miedzi w Montanie i w wieku sześćdziesięciu lat wycofał się z interesów, aby podróżować po świecie i grać w golfa. Wkrótce potem padł martwy na piasku koło szesnastego dołka w Spyglass. W testamencie zapisał jedną trzecią pieniędzy Małemu Philowi, jedną trzecią przekazał pod zarząd powierniczy dla jednego wnuka, Twil-ly'ego, a jedną trzecią Narodowemu Stowarzyszeniu Strzeleckiemu.

Gdy wychodzili z banku, Mały Phil objął ramieniem o wiele wyższego syna:

- To cholerna kupa forsy, żeby młody człowiek mógł się z nią uporać - powiedział. - Ale sądzę, że wiem, co dziadek chciałby, żebyś z tym zrobił.

- Niech zgadnę. Wybrzeże oceanu?

- Sprytny jesteś - rzekł rozpromieniony Mały Phil.

Twilly strząsnął z siebie jego rękę.

- Fundusze inwestycyjne - oświadczył.

- Jak to? - Mały Phil był wstrząśnięty.

- Właśnie tak.

- Gdzieś ty usłyszał o takich bzdurach?

- Czytałem.

- Rozejrzyj się, chłopcze. Czy nieruchomości nie ustawiły nas odpowiednio? - Mały Phil wyrecytował wszystkie wspaniałości ich życia od basenu kąpielowego poprzez motorówkę do holowania nart wodnych po dzierżawę letniska w Vermont.

- Brudna forsa - oświadczył Twilly.

- Co?

- To, co zostawił mi dziadek, jest moje i zrobię z tym, co zechcę. To będą fundusze inwestycyjne. Mały Phil złapał go za ramię.

- Zobaczmy, czy dobrze cię zrozumiałem? Proponuję ci połowę udziałów w dwustupięćdziesięciopokojowym Ramada w Daytona, nad plażą, ale ty wolisz raczej wepchnąć forszę w tę zwariowaną ruletkę, która inaczej zwana jest giełdą nowojorską?

- Tak - oświadczył Twilly.

- No cóż, zawsze wiedziałem, że grasz w złej drużynie. To potwierdza moją opinię - powiedział jego ojciec. - A czy wspominałem, że motel ma licencję na sprzedaż alkoholu?

Kilka miesięcy później Mały Phil uciekł do Santa Monica z sekretarką z firmy ubezpieczającej tytuły własności. Matka Twilly'ego pomimo niechęci syna do spetryfikowanych układów ubłagała go, by wstąpił na Uniwersytet Stanowy Florydy w stolicy stanu, Tallahassee. Twilly przez trzy semestry studiował angielski, po czym rzucił studia i zamieszkał z asystentką, która prowadziła zajęcia z poezji i kończyła pracę doktorską o T.S. Eliotcie. Była dynamiczną, inteligentną kobietą i żarliwie zainteresowała się nowym przyjacielem, a zwłaszcza jego spadkiem. Namawiała go, by wykorzystał swoją fortunę na dobre i szlachetne uczynki i zaczął od kupienia odlotowego nowiutkiego 280-Z do jej garażu. W końcu Twilly został przedstawiony dziekanowi wydziału anglistyki, a ten zaproponował mu ufundowanie stałej Katedry Poezji noszącej imię zmarłego dziadka Twilly'ego, człowieka, który nie odróżniłby W.H. Audena od dr. Seussa.

Twilly powiedział: „Jasne, nie ma sprawy”, ale jego darowizna nigdy nie doszła do skutku. Nie dlatego, że się wycofał, ale dlatego, że tymczasem został aresztowany za napaść na stanowego kongresmana i pobicie go. Ów człowiek, demokratą z okręgu Sarasota, pisał do prasy, opowiadając się za zablokowaniem reform dotyczących czystej wody, a jednocześnie zgadzał się, by właściciele rancza, na którym hodowano bydło i spuszczano nieoczyszczony nawóz do ujścia pewnej rzeki, dokonywali nielegalnie wpłat na jego kampanię. Twilly zauważył kongresmana w restauracji i poszedł za nim do toalety. Tam wepchnął go do kabinki i przez czterdzieści minut tłumaczył mu, że zanieczyszczanie wody jest czynem niemoralnym. Przerażony polityk udawał skruchę, ale Twilly przejrzał jego grę. Spokojnie rozpiął dżinsy, obficie obsikał jego mokasyny od Bally'ego i oznajmił: „Proszę, coś takiego siki z twojego rancza robią z zatoką Black Drum. Jak ci się to podoba?”.

Gdy ocenzonego wydarzenia dotarła do prasy, dziekan anglistyki uznał, że przyjęcie dotacji od obłąkanego faceta stwarzałoby niedobry precedens, i zerwał kontakty z Twillym Spree. Twilly nie przejął się tym zbyt, bo chociaż lubił dobre wiersze, uważał, że działalność wywrotowa jest czymś bardziej szlachetnym. W miarę jak dorastał i spotykał coraz więcej ludzi przypominających mu jego ojca, umacniał się jeszcze w tym przekonaniu.

- Dick powiedział, że jesteś jedynym odpowiednim człowiekiem - Robert Clapley uniósł kieliszek burbona i skinął głową w stronę Palmera Stoata.

- Dick przesadza - rzekł Stoat, który już dawno opanował sztukę wykorzystywania fałszywej skromności.

Jedli późny lunch w pokrytym orzechową boazerią wnętrzu wiejskiego klubu na przedmieściu Tamy. Spotkanie zorganizował gubernator.

- Nie tylko Dick śpiewa hymny pochwalne na twoją cześć – dodał Clapley.

- To bardzo pochlebne.

- Wyjaśnił sytuację?

- W ogólnym zarysie - odparł Stoat. - Chcesz mieć nowy most.

- Tak jest, proszę pana. Budżet jest zatwierdzony uchwałą Senatu.

- Ale masz problem w Kongresie.

- Owszem - przytaknął Clapley. - Facet, który nazywa się Willie Vasquez-Washington.

Palmer Stoat uśmiechnął się.

- Czy masz jakieś pojęcie, o co mu chodzi? - spytał Clapley.

- Mogę się dowiedzieć po jednym telefonie.

- Który ile mnie będzie kosztował? - zapytał cierpkim tonem Clapley.

- Telefon? Nic. Załatwienie twojego problemu - sto paczek. Pięćdziesiąt z góry.

- Naprawdę? A ile odpalasz swojemu przyjacielowi Willy'emu?

Stoat sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Ani centa, Bob. Mogę mówić ci Bob? Willie nie potrzebuje twoich pieniędzy, ale pewnych operacji - może schowania czegoś w budżecie. Rozpracujemy to, nie martw się.

- Tym właśnie zajmują się lobbyści?

- Właśnie. Za to płacisz.

- Tak więc sto kawałków...

- To moje honorarium - oznajmił Stoat. -1 umowa stoi.

- Wiesz, dałem niezłą kupę szmalu na kampanię Dicka. Nigdy dotąd nie robiłem czegoś takiego.

- Przyzwyczajaj się, Bob.

Robert Clapley przebywał na Florydzie od niedawna i był nowicjuszem w interesie budowlanym. Palmer Stoat dał mu krótki wykład na temat polityki - większość gotówki krążącej wokół Tallahassee można było prześledzić do źródła, jakim byli ludzie zajmujący się tym samym co Clapley.

- Próbowałem samodzielnie dotrzeć do Willy'ego - powiedział.

- Wielki błąd.

- No cóż, panie Stoat, dlatego tu jestem. Dick powiedział, że jesteś odpowiednim człowiekiem. -Clapley wyjął książeczkę czekową i wieczne pióro. -Ciekaw jestem, ten Vasquez-Washington to asfalt, meks czy coś innego?

- Willy twierdzi, że odrobina wszystkiego. Mówi o sobie Brat Tęczy.

- Jesteście w dobrych układach? - Clapley podał Stoatowi czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Bob, jestem w dobrych układach ze wszystkimi. Jestem najbardziej lubianym sukinsynem, jakiego spotkałeś w życiu. Hej, czy ty polujesz?

- Na wszystko, co się rusza.

- W takim razie znam wymarzone dla ciebie miejsce - oświadczył Stoat. - Mają każde bydłatko znane ludzkości.

- A co z wielkimi kotami? Zrobiłem miejsce na skórę na ścianie mojej biblioteki - powiedział Clapley. - Do tapicerki najlepiej pasowałoby coś cętkowanego... Może jakiś gepard.

- Tylko powiedz, jaki gatunek sobie życzysz. To miejsce robi wrażenie, jakby Noe zaparkował tam swoją arkę. Mają wszystko.

Robert Clapley zamówił następną kolejkę drinków. Kelnerka przyniosła im zeberka i obaj mężczyźni zaczęli jeść w przyjaznym milczeniu.

- Zauważyłem, że nie zadajesz wielu pytań - powiedział po jakimś czasie Clapley.

Stoat podniósł wzrok znad talerza.

- Ja nie mam wielu pytań - oznajmił, nie przerywając żucia.

- Nie interesuje cię, czym się zajmowałem, zanim przerzuciłem się na budownictwo?

-Nie bardzo.

- Działalność importowo-eksportowa. Elektronika.

- Elektronika - powtórzył Stoat, udając, że wierzy. Clapley miał trzydzieści pięć lat i wyglądał zdecydowanie na yuppie, który kiedyś zajmował się przemysłem. Złoto, marynarska opalenizna, diamentowy kołek w płatku ucha, fryzura za dwieście dolarów.

- Ale wszyscy mówią, że nieruchomości to dobry interes - ciągnął Clapley - w związku z czym kilka lat temu zacząłem wykupywać Ropuszą Wyspę i tak to teraz wygląda.

- Mam nadzieję, że zrezygnujesz z tej ropuszej części nazwy. Zmień na jakąś tropikalną ómę albo coś w tym stylu.

- Na ptaka. Burzyk. Spółka Wyspa Burzyków.

- Podoba mi się. Bardzo elegancko brzmi. I gubernator mówi, że będzie wspaniała. Jak następny Hilton Head.

- Nie mogę przegrać - powiedział Clapley. - Jeśli tylko będę miał mój most.

- Uważaj sprawę za załatwioną, Bob.

- Och, jestem tego pewien.

Palmer Stoat dopił swojego burbona.

- Hej, wreszcie wymyśliłem pytanie - oznajmił nagle.

- Strzelaj pan, panie Stoat - Clapley sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Czy masz zamiar dojeść tego pieczonego ziemniaka?

Tego samego popołudnia niejaki Steven Brinkman został wezwany do zagraconej, dwa razy szerszej niż normalne, przyczepy mieszkalnej na Ropuszej Wyspie. Brinkman był biologiem, świeżo upieczonym absolwentem pomaturalnej szkoły Cornell, wynajętym jako „specjalista do spraw środowiska naturalnego” przez prestiżową firmę budowlaną Roothaus i Syn, projektantów szos, mostów, obiektów golfowych, wieżowców biurowych, centrów handlowych, fabryk i osiedli mieszkalnych. Clapley zlecił firmie sporządzenie projektu Wyspy Burzyków i kluczową sprawą było tu terminowe zakończenie pełnych badań biologicznych. Bez takiego dokumentu prace ugrzęzłyby na nieokreślony czas w biurokratycznym labiryncie, co naraziłoby Clapleya na ogromne koszty.

Zadaniem Brinkmana było sporządzenie listy wszystkich gatunków biologicznych żyjących na tej niewielkiej przybrzeżnej wysepce: roślin, owadów, ptaków, zwierząt ziemno-wodnych, gadów i ssaków. Praca nie mogła być wykonana niedbale czy pośpiesznie, ponieważ rząd mógł przeprowadzić własne badania i porównać wyniki. Prawdę mówiąc, Stevenowi Brinkmanowi proponowano posadę biologa w Korpusie Wojsk Inżynieryjnych Stanów Zjednoczonych, ale wybrał sektor prywatny, ponieważ mógł tu liczyć zarówno na wyższą płacę, jak i na większe szanse awansu. Tak wyglądała jedna strona medalu. Drugą była konieczność pracowania dla takich bezdusznych kretynów jak Karl Krimmler, kierownik projektu, który z entuzjazmem przyjąłby wiadomość, że na Ropuszej Wyspie nie ma w ogóle żadnych zwierząt ani roślin. W przyrodzie Krimmler nie widział ani dzieła sztuki, ani tajemnicy, jedynie biurokratyczne przeszkody. Stado motyli lub pisk wiewiórki mogły go wprowadzić w ponury nastrój, utrzymujący się przez kilka dni.

Teraz Krimmler przytrzymał przy uchu słuchawkę telefonu i wachlował się listą Brinkmana. Krimmler był inżynierem, nie biologiem, i podlegał bezpośrednio Rogerowi Roothausowi. Z nim właśnie rozmawiał teraz przez telefon.

- Aligatory? - przekazał pytanie Brinkmanowi.

Brinkman pokręcił przecząco głową.

- Łyse orły? Jakiegokolwiek orły?

Brinkman odparł, że nie.

- Jest pewien - oznajmił Krimmler. - Nie ma orłów. Chce pan, żebym przeczytał, co znalazł? Tak. Nie. OK, zapytam go.

Po czym wyjaśnił biologowi:

- Wszyscy naprawdę martwimy się zagrożonymi gatunkami.

- Jeszcze ich nie znalazłem.

- Jest pan pewien? Nie chcemy żadnych niespodzianek - za sześć miesięcy jakaś pieprzona czerwono brzucha gąsienica może okazać się ostatnim przedstawicielem swojej rasy. Tego nam nie potrzeba.

- Jak dotąd nie znalazłem żadnego zagrożonego gatunku - odparł Steven Brinkman.

Dla Krimmlera była to najradośniejsza wiadomość i pełnym satysfakcji tonem powtórzył ją do telefonu. Zachichotał, usłyszawszy odpowiedź Roothausa.

- Wiem, wiem - powiedział. - To zbyt cholernie dobre, żeby było prawdziwe. Ale młody człowiek mówi, że jest pewien.

- Nie znalazłem jak dotąd - wtrącił ostrożnie Brinkman. Zawsze była szansa napotkania jakiejś pojedynczej sowy ziemnej czy susłowatego żółwia. Krimmler podniósł wzrok.

- Pan Roothaus chce wiedzieć, czy znalazł pan coś niezwykłego. Cokolwiek, o co musimy zadbać, zanim pojawią się ekofanaty z Ryb i Dzikiej Przyrody.

Brinkman nabrał głęboko powietrza w płuca. Krimmlera byle co mogło doprowadzić do furii.

- No cóż, jest to. - Wyciągnął prawą rękę w stronę rozmówcy.

- Co to takiego, u diabła? - Krimmler spojrzał uważnie na dłoń biologa.

A potem rzucił do słuchawki: - Chwileczkę, Rog.

- To ropucha - wyjaśnił Brinkman.

- O rany, a ja myślałem, że mały jednorożec. Wiem, że to ropucha, jasne? Wiem, jak wygląda pieprzona ropucha. Pytanie, co to za gatunek pieprzonej ropuchy, panie Brinkman.

- Doktorze. Doktorze Brinkman. - Na pewne rzeczy nie można było pozwalać nawet za czterdzieści jeden kafil rocznie.

Krimmler spojrzał na niego wściekłym wzrokiem. Przykrył dłonią słuchawkę i szepnął: „Czekam”.

- Bufo quercicus.

- A teraz po angielsku.

- Ropucha dębowa.

- Czyli?

- Najmniejsza rodzima ropucha w Ameryce Pomocnej.

- W to mogę uwierzyć - powiedział Krimmler. - Ale nie jest na liście zagrożonych gatunków?

- Nie, proszę pana.

- Ani na liście rzadkich?

- Nie.

- Ani na żadnej innej cholernej liście?

- Na żadnej, o jakiej bym wiedział.

- No to w czym problem? - A do słuchawki oznajmił: - Hej, Roger, młody doktor Brinkman podrzucił mi miluśkąropuszkę... No cóż, tego właśnie próbuję się dowiedzieć.

- Właściwie nie ma z nimi żadnego problemu - wyjaśnił Brinkman. - Rzecz w tym, że są tu ich setki,

wszędzie. Nigdy nie widziałem ich tak wiele.

- To pewnie wyjaśnia nazwę wyspy.

- Pewnie tak - przyznał zmieszany biolog.

Ropucha, którą trzymał na dłoni, była mniejsza od ćwierćdolarówki. Miała na całym ciele szare i brązowe plamki, a wzdłuż jej grzbietu biegła pionowa pomarańczowa pręga. Ropucha mrugnęła lśniąco czarnymi oczkami i zaczęła się wyrwać. Brinkman łagodnie przytrzymał ją palcami.

- Wynieś pan swojego małego kumpla na zewnątrz, zanim zasika nam nasze śliczne linoleum - polecił Kimmler. - Zaraz do pana wyjdę.

Brinkman zamknął za sobą drzwi. Słońce świeciło tak jaskrawo, że zaczęły mu łzawić oczy. Ukląkł i położył maleńką ropuszkę na ziemi. Natychmiast uciekła w cień przyczepy.

Pięć minut później Kimmler zszedł po stopniach.

- Pan Rothaus powiedział, że wspaniale się pan spisuje. Ale trochę się martwi tymi ropuchami.

- Są całkowicie nieszkodliwe - poinformował Brinkman.

- Niekoniecznie. W dzisiejszych czasach niewiele potrzeba, żeby uruchomić kolejny scenariusz, jak w przypadku kormorana ślimakojada. To znaczy, gdyby jakiś pieprzony zielony chciał nasypać piasku w tryby naszego projektu.

- Powiedziałem już panu, że nie są zagrożone - odparł Brinkman. - Nawet nie wyglądają ładnie.

Kimmler wzruszył ramionami.

- Ale mimo wszystko musimy być ostrożni. Gdzie pan znafął te ropuchy, doktorze Brinkman?

- Jak już mówiłem, są na całej wyspie.

- Na wzniesieniach czy na mokradłach?

- Najczęściej na wzniesieniach - odparł Brinkman.

- Doskonale.

- W laskach i zaroślach. Jest ich tak dużo, że nigdy ich wszystkich nie wyłapiecie.

- Ma pan całkowitą rację - przytaknął Kimmler. - Dlatego je po prostu zakopujemy.

W drodze na lotnisko mężczyzna wyrzucił z rangę rovera plastikowy kubek po kawie i opakowanie cynamonowo-rodzynkowej bułeczki Little Debbie. Zrobił to, jadąc z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, a przy tym na międzystanówce był akurat zwariowany ruch, dlatego Twilly nie mógł zjechać na bok i pozbierać śmieci. Tym razem zostawił swojego brudnego czarnego pikapa i wynajął popularnego bordowego che-vroleta corsica, takiego jakich w czasie sezonu turystycznego po szosach Południowej Florydy jeździło nie mniej niż pół miliona. Twilly świetnie się bawił swoją anonimowością za kierownicą, a dla kamuflażu położył na kolanach do góry nogami mapę drogową. Jechał za śmieciuchem przez całą drogę aż na lotniskowy kryty parking, a potem szedł za nim do samego terminalu. Przy wyjściu Deltę mężczyzną powitała entuzjastycznie biuściasta blondynka z torbą podróżną Gucciego, co nie powinno właściwie Twilly'ego zdziwić, a jednak, sam nie wiedząc dlaczego, zdziwił się i trochę go to wkurzyło. Pojechał z powrotem przed dom śmieciucha i czekał jakiś czas, licząc na to, że żona (lub przyjaciółka) gdzieś się wybierze. Wyszła, ubrana w krótki komplet tenisowy, niosąc niejedną, ale trzy duże rakiety. Twilly obserwował, jak wsiada do czarnego bmw, które mąż (lub kochanek) musiał dla niej wynająć - Twilly był pewien, że tylko na jakiś czas - zamiast zniszczonego czerwonego.

Gdy odjechała, Twilly przecisnął się przez żywoplot na podwórze, obmacał framugi okien i przekonał się, że zainstalowano tam sygnalizację alarmową. Nie przejął się tym. Na podstawie swoich obserwacji - zdążył już trochę poznać śmieciucha i jego żonę (przyjaciółkę) - doszedł do wniosku, że nie włączają alarmu. I rzeczywiście, żadne z nich nie pamiętało o tym, by zamknąć na klucz drzwi do pralni; otwały się, gdy Twilly je zwyczajnie popchnął. Żadnych syren, gwizdów, żadnego jazgotu. Twilly wszedł do środka i zaczął nasłuchiwać jakichś odgłosów świadczących o obecności pokojówki, kucharza czy opiekunki do dziecka. Przez uchylone drzwi widział wewnątrz kuchni. Chociaż nie dostrzegł żadnego ruchu, wydało mu się, że słyszy czyjś oddech.

-Halo! -zawołał. Gdyby ktoś go zaskoczył, miał przygotowaną bajecz-kę: jest inspektorem z administracji okręgu, który sprawdza okiennice prze-ciwhuraganowe. Zobaczył otwarte drzwi, zaniepokoiło go to i tak dalej. Na wszelki wypadek Twilly założył wąski jednobarwny krawat i białą koszulę z krótkim rękawem.

- Halo! - powtórzył, tym razem głośniej.

Gigantyczny czarny jak sadza pies wyszedł zza rogu i zacisnął zęby na jego prawym udzie. Był to labrador o pysku jak u niedźwiedzia, największy, jakiego Twilly widział kiedykolwiek w życiu. Twilly'ego zirytowało, że nie przewidział obecności przerośniętego domowego zwierzątka, ponieważ doskonale pasowało ono do osobowości śmieciucha.

Stał bez ruchu, pomimo uścisku psich zębów. „Niegrzeczny pies!”-powiedział, licząc, że jego spokój przestraszy labradora, ale tak się nie stało. „Fuj!” - spróbował raz jeszcze. „Brzydkie psisko! Brzydkie psisko!”. Nigdy dotąd nie zaatakował go pies, który nie czekał ani nawet nie warczał. Złapał

czworonoga za jedwabiste uszy. „No dobra, zrozumiałem aluzję. A teraz puść!”.

Pies spojrzał na niego bez żadnej wrogości. Twilly spodziewał się, że poczuje ból, ale labrador właściwie go nie gryzł, ale raczej trzymał z beznamiętnym uporem, zupełnie jakby noga Twilly'ego była jego ulubioną starą skarpetą.

Nie mam czasu na igraszki, pomyślał Twilly. Pochylił się nad psem i objąwszy ramionami jego wielki niczym beczka brzuch, podniósł go nad kafelkami podłogi. Trzymał go w uścisku łbem do dołu - z obwisłymi uszami i zadnimi nogami sterczącymi pionowo do góry - do chwili, gdy pies otworzył pysk. Gdy postawił go z powrotem na ziemi, czworonóg sprawiał wrażenie bardziej oszołomionego niż rozszluszczonego. Twilly pogłaskał go po czubku głowy. Labrador natychmiast zaczął toćotać ogonem i przewrócił się na grzbiet. Twilly znalazł w lodówce trochę zimnego mięsa i położył je na talerzu stojącym na podłodze kuchni.

A potem zaczął myszkować po domu. Z korespondencji, której stos znalazł w przedpokoju, dowiedział się, że śmieciuch nazywa się Palmer Stoat, a kobieta jest jego żoną i ma na imię Desirata. Twilly przeszedł do głównej sypialni, aby lepiej zrozumieć, co łączy to małżeństwo. Stoatowie mieli łóżce z czterema kolumnkami i muślinowym baldachimem z falbankami. Na jednym nocnym stoliku leżała powieść Annę Tyler i plik czasopism: „Town & Country”, „Gourmet”, „Vanity Fair” i „Spin”. Twilly doszedł do wniosku, że ta część łóżka należy do pani Stoat. W górnej szufladzie leżał wypalony do połowy skręt z marihuany, tubka wazeliny, paczka plastikowych spinek do włosów i miękka butelka drogiego mleczka kosmetycznego. Na drugim stoliku Twilly nie znalazł niczego do czytania i to potwierdziło jego już uformowaną opinię o śmieciuchu. W szufladce znajdowały się porządnie ułożone obok siebie: wycinacz włosków w nosie na baterie, naładowany rewolwer kaliber 38, aparat fotograficzny Polaroid i plik zdjęć, które sprawiały wrażenie wykonanych przez Palmera Stoata w czasie, gdy uprawiał seks ze swoją żoną. Twilly uznał za nader znaczący fakt, że na wszystkich fotografiach jedną ręką kierował obiektyw na swoje nagie ciało, a o obecności jego żony świadczyły tylko splecione kasztanowe włosy, uniesione kolano lub biała półkula pośladka.

Z sypialni Twilly przeszedł do gabinetu, przybytku martwych dzikich zwierząt. Najdłuższą ścianą wypełniały wypchane głowy: afrykańskiego bawołu, muflona, sarny, łosia, leśnego wilka i kanadyjskiego rysia. Drugą ścianę w całości zajmowała ekspozycja spreparowanych ryb. Były tam między innymi: tarpon, pasiasty marlin, okoń i dziwna ryba, niewiele większa od banana. Pośrodku dębowego parkietu leżała grzywiasta skóra afrykańskiego lwa - zdaniem Twilly'ego absolutnie żalosny symbol łowiectwa uprawianego przez białych mężczyzn.

Usiadł za zaskakująco pustym biurkiem Stoata. Stały na nim dwa zdjęcia w identycznych srebrnych ramkach - z lewej i z prawej strony. Na jednym była Desirata machająca ręką z dziobu żaglówki. Miała na sobie jaskrawo-żółty kostium kąpielowy, a jej twarz sprawiała wrażenie opalonej. Woda w tle miała za jaskrawy kolor i była zbyt czysta jak na Florydę. Twilly domyślił się, że to pewnie Bahamy albo jakieś karaibskie wyspy. Drugie zdjęcie przedstawiało labradora w czerwonej czapce świętego Mikołaja. Pełna wyrozumiałości mina psa tak rozbawiła Twilly'ego, że głośno się roześmiał.

Wysłuchał telefonów zarejestrowanych na automatycznej sekretarce Stoata i zrobił kilka notatek. Potem wstał, żeby obejrzeć trzecią ścianę gabinetu, sięgającą sufitu, wypolerowaną na wysoki połysk szafę biblioteczną, w której, jak można było przewidzieć, prawie nie było książek. Twilly znalazł jedynie trzy cieniutkie tomiki o sztuce gry w golfa oraz luksusowo wydane, pełne kolorowych zdjęć dzieło upamiętniające zdobycie po raz pierwszy i ostatni mistrzostwa w World Series przez baseballową drużynę Florida Marlins. Tak wyglądała cała biblioteka Palmera Stoata, nie znalazł się w niej nawet dla ozdoby obowiązkowy oprawny w skórę zestaw dzieł Faulknera czy Steinbecka. Regał wykonano z pięknego tropikalnego mahoni, a Stoat wypełnił jego półki, pomyśleć tylko, pudełkami po cygarach - pustymi pudełkami po cygarach, które wyeksponował zapewne po to, by wywarły odpowiednie wrażenie na innych palaczach. Montecristo #1, cohiba, Empress of Cuba Robusto, Don Pateo, partagas, licenciados, H. Upmann, Bauza - Twilly nie znał się na gatunkach wyrobów tytoniowych, ale zorientował się, że dla Stoata puste pudełka były takimi samymi trofeami jak wypchane głowy zwierząt. Poczesne miejsce na osobnej półce zajmował kolejny dowód manii tego faceta: oprawiona w ramki atrapa okładki czasopisma „Cigar Aficionado” z umieszczoną na niej fotografią o wymiarach dwadzieścia dwa na trzydzieści centymetrów, przedstawiającą Stoata w białym smokingu i z potężnym cygarem w ustach. Podrobiony nagłówek głosił: „Człowiek roku”.

Twilly usłyszał jakieś odgłosy dobiegające od strony drzwi i odwrócił się gwałtownie - do gabinetu wkraczał labrador, który zdążył się już uporać z przekąską. „Hej, obiboku, chodź tu” - zawołał go Twilly. Pies powiódł spojrzeniem po pokoju pełnym martwych ryb i ssaków, po czym wymasze-rował stąd. Twilly w pełni podzielał jego uczucia. Przesuwana drabinka biblioteczna zapewniła mu dogodny dostęp do dzieł wypychacza zwierząt. Twilly wędrował od jednej głowy do drugiej i za pomocą szczyrzyka wydłubywał szklane oczy, a potem poukładał je źrenicami ku górze na blacie biurka Palmera Stoata w idealny pentagram.

- Czego właściwie chcesz, Willie?

Palmer Stoat odczekał, aż dotarli do dziewiątego dołka, zanim zabrał się za śliski jak piskorz wiceprzewodniczącego Komisji Budownictwa Komunalnego.

- Co to za głupie pytanie? - odpowiedział kongresman Willie Vasquez-Washington. Spoglądał na kij golfowy, przygotowując się do kolejnego uderzenia. - Skąd ci przyszło do głowy, że czegoś chcesz? Stoat wzruszył ramionami.

- Nie spiesz się, Willie. Mam czas. - Ale jednocześnie pomyślał, że zdecydowanie za mało policzył Robertowi Clapleyowi za tę robotę, ponieważ sto kafli coraz bardziej wydawało mu się zbyt niską zapłatą za zmoreę, jaką było spędzenie całego cholernego dnia na polu golfowym z Williamem Vasquezem-Washingtonem.

Ten zaś, nie trafiwszy do dołka, zapytał Palmera Stoata:

- Chodzi o ten przeklęty most?

Stoat odwrócił się i podniósł oczy ku niebu.

- Jak właściwie nazywa się ta wyspa?

- A jaka to pieprzona różnica, Willie?

- Gubernator mi powiedział, ale zapomniałem.

Podjechali wózkiem do jedenastej podstawki. Stoat uderzył pierwszy i piłeczka poleciała daleko między sosny. Willie Vasquez-Washington posłał swoją na odległość pięćdziesięciu metrów wzdłuż prawej strony fairwayu.

- Czego właściwie chcesz?

Stoat niekiedy jest zbyt bezpośredni, pomyślał Willie. Pytanie w jego ustach zabrzmiało tak pospolicie. I ta nuta wyraźnie sugerująca korupcję.

- To nie kwestia chęci, Palmer, ale potrzeb. W moim okręgu jest dzielnica, która potrzebuje ośrodka kultury. No wiesz, sympatyczna sala widowiskowa. Punkt dziennej opieki. Przyzwoita sala sportowa do koszykówki o północy.

- Ile? - zapytał Stoat.

- Mniej więcej dziewięć milionów. To wszystko było już w wersji preliminarza Kongresu - wyjaśnił Willie Vasquez-Washington. - Ale z jakiegoś powodu Senat storpedował sprawę. Sądzę, że znowu była to sprawka Pan-handle Crackers.

- Ośrodek kultury to doskonały pomysł - oświadczył Stoat. - Coś dla dzieciaków.

- Otóż to. Coś dla dzieciaków.

A także coś dla żony Williego, która zostanie mianowana dyrektorem ośrodka z roczną pensją w wysokości czterdziestu dziewięciu tysięcy pięciuset dolarów, plus opieka medyczna i służbowy samochód kombi. A także coś dla najlepszego przyjaciela Williego, właściciela firmy, która otrzyma kontrakt wartości dwustu tysięcy dolarów na wykonanie okładziny ściennej w nowym budynku. A także coś dla męża szefowej kampanii wyborczej Williego, którego firma zapewni całodobową ochronę ośrodka. I wreszcie na końcu, co nie oznacza wcale, że chodzi o rzecz najmniej istotną, będzie to również coś dla młodszego brata nieudacznika Williego, który przypadkiem był właścicielem bankrutującego sklepu spożywczego, usytuowanego w południowo-zachodnim rogu placu, gdzie zamierzano zbudować ośrodek. Teraz sklep trzeba będzie oddać do rozbiórki, ale przedtem stan wykupi go za sumę przynajmniej pięć albo sześć razy większą niż ta, którą za niego zapłacił brat Williego.

Żadna z tych spraw nie została przedstawiona Palmerowi Stoatowi wprost, ponieważ nie było takiej potrzeby. Nie chciał nawet słuchać jakichś trefnych szczegółów. Przyjął, że ktoś bliski i drogi Williamowi Vasquezowi--Washingtonowi ma zarobić na budowie nowego, wartego dziewięć milionów ośrodka kultury, i byłby wstrząśnięty, gdyby dowiedział się, że jest inaczej. Szmalec był najważniejszym pokarmem polityków. Ktoś zawsze robił pieniądze, nawet na najbardziej szlachetnych skądinąd, opłacanych z podatków przedsięwzięciach. Willie Vasquez-Washington i jego kumple dostaną swój nowy ośrodek kultury, a gubernator ze swoimi kumplami - most na Wyspę Burzyków. Zdaniem Palmera Stoata sprawa była prosta jak drut. Załatwi, by propozycja Williego została zamieszczona w następnym senackim projekcie budżetu, a stamtąd bez trudu przepchnie się ją do komisji doradczej i na biurko gubernatora. I pomijając nawet jego prywatne zainteresowanie sprawą zabudowy wyspy, gubernator Dick Artemus za żadne skarby nie zawetowałby finansowania budowy ośrodka kultury w dzielnicy zamieszkałej przez biedną mniejszość etniczną. Zwłaszcza gdy wybrany reprezentant tego okręgu mógł utrzymywać -jak to już wielokrotnie czynił Willie Vasquez-Washington - że jest częściowo Afroamerykaninem, częściowo Latynosem, częściowo Haitańczykiem, częściowo Chińczykiem, a nawet częściowo Indianinem Miccosukee. Nikt nigdy nie domagał się od Williego udokumentowania jego bogatej spuścizny etnicznej. Nikt nie miał ochoty być tym, kto wystąpi z takim pytaniem.

- Jutro wszystko załatwię - zapewnił Stoat Williego Vasqueza-Washingtona. - Słuchaj, trochę jestem spóźniony na spotkanie w Kapitolu.

- Co to za gadanie „spóźniony”? Mamy osiem dziur do rozegrania. - Willie wymachiwał żelazną trójką. -

Nie możesz zrezygnować w połowie gry. Zwłaszcza kiedy jestem do tyłu dwadzieścia sześć zielonych!

- Zatrzymaj pieniądze, Willie, wózek też ci zostawiam. Wróć piechotą. - Stoat przewiesił torbę golfową przez ramię i wyjął z chłodziarki puszkę piwa. Przyjaźnie, ale zdecydowanie pomachał ręką wiceprezesowi Komisji Budownictwa Komunalnego i zaczął maszerować w stronę budynku klubu.

- Hej, Palmer! Jeszcze jedno! - zawołał Willie Vasquez-Washington.

Stoat odwrócił się i przyłożył dłoń do ucha. Willie przywołał go gestem ręki bliżej. Stoat zaklął paskudnie pod nosem, ale wrócił.

- Chodzi o nazwę - oświadczył Willie półgłosem.

- A konkretnie?

- Nie widziałeś nazwy? W budżecie Kongresu?

- Słuchaj, Willie - odparł Palmer Stoat. - Nie czytam materiałów Kongresu słowo po słowie. Nie czytam również każdej pozycji w książce telefonicznej Miami. Może byś mnie oświecił, co?

- W wersji senackiej powinna być ta sama nazwa. Tylko to chcę powiedzieć.

Stoat miał ochotę wyrwać Williemu żelazną trójkę z ręki i owinać mu ją wokół nabrzmiałej spoczonej szyi. -A chciałbyś, żebym jaką nazwę umieścił w ustawie Senatu? - zapytał cicho.

- Perspektywiczny Ośrodek Kultury Imienia Williiego Vasqueza-Washingtona.

- Dobra - powiedział Stoat i znowu ruszył w stronę klubu.

- Może powinieneś to sobie zapisać?

- Nie, zapamiętam. - Stoat myślał sobie: Perspektywiczny Ośrodek Kultury? Willie wcale nie dba o perspektywy, ale po prostu kosi, jak leci.

- Hej, Palmer, a co z twoim nowym mostem?

- Załatwię ci projekt ustawy. I to wcale nie jest mój most. - Stoat maszerował energicznie długimi zdecydowanymi krokami.

- Chodzi mi o to, czy będzie nosił imię jakiejś konkretnej osoby? - zawołał w ślad za nim Willie. - Jeżeli chcesz, możesz nadać mu imię gubernatora. A może nawet swoje!

- Nie, dziękuję! - odrzyknął Palmer Stoat, nie odwracając się i nie zwalnając kroku. - Gnida - mruknął.

- Kolejna chciwa gnida na dorobku.

Liczba ludności Ropuszej Wyspy malała systematycznie od dłuższego czasu i obecnie mieszkało tu dwieście siedemnaście osób. Podejmowano kolejne próby, aby zbudować teren, i wielu spośród tych, którzy tam jeszcze pozostali, było ofiarami owych skazanych na klęskę przedsięwzięć. Nieoficjalnym burmistrzem był Nils Fishback, były architekt krajobrazu zatrudniony w swoim czasie przy ambitnym projekcie, w którym obiecywano zbudowanie nad plażą trzech wysokościowych bloków z sześciuset mieszkaniami, noszących nazwę Wież Wyspy Tarponów. (Każdy, kto miał zamiar prowadzić jakieś prace na Ropuszej Wyspie, zaczynał od jej przemianowania. Oprócz nazwy Wyspa Tarponów w różnych okresach nosiła inne, każdą kolejną tylko przez krótki okres. Zwano ją już: Wyspą Bellony, Wyspą Delfinów, Wyspą Błękitnej Czapl, Wyspą Białej Czapl, Wyspą Warzęchy, Dużą Wyspą Warzęchy, Ostrowem Brodźca, KępąBrodźca, Wyspą Brodźca i Płyczną Brodźca. Przyczyny niepowodzeń tych zamierzeń w przypadku każdego poronionego pomysłu były inne, ale z ich pełną ponurych szczegółów historią można się było zapoznać w dokumentach dotyczących upadłości znajdujących się w sądzie federalnym w Gainesville).

Najnowszym planom zagospodarowania Ropuszej Wyspy przeciwstawiała się niewielka grupka właścicieli nieruchomości udających obrońców przyrody. Protestując, zaczęli rozpowszechniać patetyczną, pełną cytatów z Thoreau petycję, w gruncie rzeczy chodziło im jednak nie o ochronę dziewiczych wybrzeży przed zniszczeniem, ale o wyciśnięcie pieniędzy od budowniczych. Wśród owych posiadaczy nieruchomości panowało głębokie przekonanie, że Robert Clapley wymiguje się od wykupu ziemi i że z całą pewnością stać go na zapłacenie za ich działki znacznie więcej, niż są warte, tak jak przepłacali poprzednio inni budowniczowie, wykupując działki innych mieszkańców wyspy. Strategia występowania z petycjami zdążyła się już dobrze sprawdzić, ponieważ mobilizowano w ten sposób statutowe organizacje zajmujące się ochroną przyrody, przywabiano także dziennikarzy z wielkich miast, którzy specjalizowali się w pisaniu wstępniaków albo mieli własne kolumny i którzy chętnie się angażowali w sprawę Ropuszej Wyspy. Masakrowani przez prasę inwestorzy zazwyczaj kapitulowali i podwajali swoje oferty. Nie było powodu przypuszczać, że Clapley, chcąc przyspieszyć rozpoczęcie wykopów pod swoją luksusową dzielnicę, postąpi inaczej.

Sława i starszeństwo wyznaczyły Nilsowi Fishbackowi rolę przywódcy w akcji protestacyjnej przeciwko Wyspie Burzyków. W okresie pierwszej fali euforycznych zachwyty nad tym, co wówczas nazywało się Wyspą Tarponów, zakupił na niej trzydzieści trzy działki, inwestując w nie - bardzo nierozsądnie, jak się wkrótce okazało - oszczędności całego życia. Marzeniem Fishbacka była ucieczka z Miami i znalezienie kryjówki w spokojnym, otoczonym wodą raj na wybrzeżu zatoki. Miał zamiar zatrzymać dla siebie cztery najbardziej malownicze działki i za pieniądze zarobione na krajobrazie dla projektu

wysokościowców zbudować dla siebie i żony wielki dwór w stylu plantatorskim. Niestety, pechowo dla Fishbacków Wieże Wyspy Tarponów wypłynęły brzuchem do góry wkrótce po wylaniu pierwszej betonowej płyty, ponieważ dwaj główni inwestorzy, eleganccy kuzyni z Barranquilla, nieoczekiwanie trafili do więzienia. Fishback opracował architekturę krajobrazu jedynie na działce o wymiarach osiemnaście na osiemnaście metrów, na której postawiono kiosk prowadzący wyprzedaż udziałów w Wieżach Wyspy Tarponów -było to dość skromne osiągnięcie architektoniczne, ale Nils Fishback spodziewał się otrzymać za nie rekompensatę. Pieniędzy jednak nie dostał, podobnie jak żaden z pozostałych podwykonawców. Co gorsza, po ośmiu latach i trzech kolejnych nieudanych inwestycjach na Ropuszej Wyspie Fishback wciąż miał jeszcze siedemnaście jałowych działek z zakupionych trzydziestu trzech. Budowa jego wymarzonego domu nie wyszła nigdy poza etap planów budowlanych, a on sam mieszkał samotnie w opuszczonym punkcie handlu udziałami w Wyspie Tarponów, jednym z niewielu wkładów kapitałowych firmy, którym nie zainteresowała się Agencja do Zwalczenia Handlu Narkotykami.

Żona Fishbacka już dawno temu porzuciła wszelką nadzieję i związała na kontynent, pozostawiając munięzdrowaporcję samotności i wolnego czasu. Miał już za sobą okres ostrego picia, kiedy to regularnie zapominał golić się, myć, czesać czy zmieniać ubranie. Najczęściej spędzał wtedy całe dni na plaży, jego skóra stała się więc brązowa i pomarszczona jak orzech włoski. Pewnego ranka, kiedy zalany sikał ze starego drewnianego mostu, podszedł do niego wrażliwy młody dziennikarz z gazety wychodzącej w St. Petersburgu. Po tygodniu pojawił się w niej długi artykuł, w którym nazwano go „burmistrzem Ropuszej Wyspy”. Chociaż Fishback nie mógł sobie w ogóle przypomnieć, że udzielał wywiadu ani którejkolwiek z opowiedzianych w jego trakcie dzikich buj, przyjął ochoczo ów nowy barwny tytuł. Zapisał brodę i ufarbował ją biało, zaczął chodzić bez koszuli, na bosaka i w jaskrawych apaszkach. Następnie zręcznie przeobraził się w samotnika, surowego obrońcę Przyrody, który zamieszkał na wyspie wyłącznie z powodu jej wspaniałości, a nie po to, by zarobić na handlu nieruchomościami. Z radością pozował do fotografii, udając, że głaszcze jedną z maleńkich pasiastych ropuszek, którym wyspa zawdzięczała swą kolejną nazwę. Fishback zawsze przytaczał tęskne cytaty lub przepelnione słodyczą i goryczą sentencje o śmierci starej Florydy. Z tego właśnie powodu przez wiele lat był mile widziany przez „Washington Post”, „Newsweeka”, CNBC i sieci Turnera, nie mówiąc o miejscowych mediach. Dzięki temu stopniowo przekształcił się w słynnego okręgowego ekscentryka.

Prawdę mówiąc, Nils Fishback miał głęboko w nosie, co stanie się z Ropuszą Wyspą albo żyjącymi na niej oślizgłymi stworzeniami. Najbardziej zapierającą dech w piersi, najwspanialszą częścią tego świata, jaką mógł sobie wyobrazić, byłby czek bankierski od firmy Roberta Clapleya, opiewający na pięćdziesiąt jeden tysięcy dolarów, które stanowiłyby nedorzecznie wysoką ceną ofertową za jego siedemnaście osieroconych działek. Oczywiście z euforią przyjąłby zaledwie połowę tej sumy i zniknął z Ropuszej Wyspy przed zachodem słońca. Udawał przerażenie, gdy ludzie Clapleya zaczęli zakopywać buldożerami ropuszki, ale w głębi duszy był rym zachwycony. Nigdy właściwie nie przepadał za ropuchami, a zwłaszcza w okresie, kiedy ich wysokie rechatanie przez całą noc dźwięczało mu w głowie. A poza tym - i to było jeszcze ważniejsze - zmechanizowane natarcie Clapleya na maleńkie płazy stanowiło potężny propagandowy argument wspierający akcję protestacyjną -ten człowiek jest potworem, nieprawdaż? Jak można miazdżyć tysiące niewinnych stworzeń? Fishback miał przygotowany na taką właśnie okazję notatnik Rolodex, wypełniony telefonami kontaktowymi i adresami mediów. Osobiście mógłby poprowadzić ekipę telewizyjną po starym moście i drodze nad plażą do miejsca masakry i pokazać, gdzie mająstawić swoje kamery. Przedsiębiorstwo Wyspa Burzyków nie mogło sobie pozwolić na tak makabryczną negatywną reklamę. Zanim by jednak do tego doszło, mniej więcej godzinę wcześniej Nils Fishback ostrzegłby Roberta Clapleya, dając mu dość czasu, by mógł zadzwonić do banku i polecić przygotowanie czeku za złożone w depozycie tytuły własności działek Fishbacka.

Umysł Fishbacka zaprzętała obecnie tylko jedna kwestia. Kiedy ma podnieść słuchawkę telefonu? Jeżeli będzie czekał zbyt długo, masakra ropuch dobiegnie końca i ludzie z telewizji nie będą mieli co filmować. Z drugiej natomiast strony, jeżeli rozpocznie interwencję zbyt wcześnie, pogłowie ropuch właściwie się nie zmniejszy, tym bardziej że wiosenny okres godowy zaczynał się już za kilka tygodni. Fishback wstał i otrząpiał siedzenie wystrzępionych dzinsów. Wyjął dwa piwa z chłodziarki, jednapuszkę otworzył, drugą zaś umieścił pod pachą. A potem ruszył w dół zbocza wzgórze w stronę lasu, gdzie uzupełniał paliwo jeden z wielkich żółtych buldożerów, i wręczył nie otwartą puszkę kierowcy.

- Jak długo tu będziecie, chłopaki? - zapytał.

- Całe lata, ojczulku - burknął kierowca. - Lepiej oswój się z tą myślą.

- Nie - rzekł Fishback. - Chodzi mi o to tutaj. - Zatoczył łuk ręką kościstą i sękatą jak kawałek wyrzuconego przez morze drewna. - O zakopywanie tych pieprzonych ropuch.

Kierowca przymrużył oczy.

- O czym pan mówi?

- Popatrz na swoje buty, koleś. To ropusze flaki, jeśli się nie mylę.
- Kierowca cofnął się, wycierając podeszwy o sosnowe igliwie.
- Jesteś pan pieprzonym świrem - oświadczył starymu mężczyźnie.
- No dobra. - Fishback parsknął ze zniecierpliwieniem.
- Nie ma w pobliżu żadnego radosnego kabla. Ani jednego. A więc powiedz mi tylko, ile czasu to zajmie.
- Kierowca spychacza popatrzył z uznaniem na zimną puszkę piwa, którą trzymał w ręku. Do diabła, pomyślał, ten stary piernik wygląda zupełnie niegroźnie. Pewnie mu chodzi tylko o hałas.
- Tydzień - odpowiedział. - Na tyle jest wystawione zlecenie.
- Doskonale. - Fishback wskazał ręką las. - Jakieś pół kilometra po tej ścieżce jest staw. To dobre miejsce, żeby zwalić trochę ziemi. To znaczy dużo ziemi.
- Tak? - kierowca sprawiał wrażenie zainteresowanego.
- Nils Fishback mrugnął porozumiewawczo.
- O tak - powiedział. - Mówimy tu o Ropuszym Centrum, kolego.

W następnym tygodniu komisja doradcza Kongresu stanu Floryda zgodziła się wyasygnować dziewięć milionów dwieście tysięcy dolarów na projekt budowlany o nazwie Perspektywiczny Ośrodek Kultury imienia Williego Vasqueza-Washingtona, który miał być realizowany w południo-wo-zachodniej dzielnicy Miami. Ta sama komisja zaaprobowwała wydatkowanie dwudziestu siedmiu milionów siedmiuset tysięcy dolarów z funduszu komunikacyjnego na zaprojektowanie i budowę wysokowodnego czteropasmowego betonowego mostu, który miał zastąpić o połowę węższy chwiejny drewniany most łączący Ropuszą Wyspę z lądem stałym. Gubernator Dick Artemus wyraził swoje zdecydowane poparcie dla obu propozycji i wychwalał członków komisji za ich „ponadpartyjne zaangażowanie na rzecz postępu”.

Kilka dni później, kiedy ostatnie ropuszki zostały już zasypane ziemią, doszło do spotkania Nilsa Fishbacka i dwudziestu dwóch sygnatariuszy protestu przeciwko Wyspie Burzyków z Robertem Clapleyem i jego adwokatami. Spotkanie odbyło się w prywatnej sali jadalnej eleganckiej kubańskiej restauracji w Ybor City. Osiągnięto porozumienie, na podstawie którego Clapley miał nabyć siedemnaście wolnych działek Fishbacka po dziewiętnaście tysięcy dolarów za każdą, czyli o szesnaście tysięcy pięćset dolarów więcej, niż Fishback za nie płacił. Inni „protestanci” z Ropuszej Wyspy otrzymali i chętnie przyjęli podobne propozycje. Odwieziono ich do domu odrzutowcem Gulfstream i następnego ranka Nils Fishback zwołał konferencję prasową przy wjeździe na stary most. W obecności garstki miejscowych reporterów „burmistrz” oświadczył, że kończy akcję protestacyjną, ponieważ Przedsiębiorstwo Wyspa Burzyków przystało „na absolutnie wszystkie nasze żądania”. Wymachując plikiem dokumentów o prawniczym wyglądzie, ujawnił, że Robert Clapley obiecał na piśmie, że zachowa naturalny charakter wyspy i zgodził się zatrudnić na placu budowy biologów, botaników oraz hydrologów, aby nadzorowali prowadzone prace na wszystkich etapach. Dodatkowo Clapley udzielił poparcia ambitnemu planowi kompensacyjnemu, który zakładał zasadzenie półtora hektara nowych drzew w zamian za każde pół hektara lasu wyciętego podczas budowy. Nils Fishback nie wyjaśnił jednak prasie, że Clapley nie był prawnie zobowiązany do rekultywowania Ropuszej Wyspy i nowe drzewa mogły być zasadzone w dowolnym miej-, scu na Florydzie - w tym również w odległym okręgu Putnam, gdzie Clapley przypadkiem miał trzysta sześćdziesiąt hektarów poręby, które trzeba było ponownie zalesić.

Architektem przekrętu z programem kompensacyjnym był nie kto inny jak Palmer Stoat, który spędził weekend bardzo pracowicie. Kumple gubernatora mieli dostać swój nowy most, Willie Vasquez-Washington miał dostać nowy ośrodek kultury, a impertynencka poborczyńni opłat na wjeździe Yeehaw Junction miała otrzymać wymówienie. Palmer Stoat przyleciał do domu z Tallahassee i pojechał prosto do Swaina, swojego ulubionego miejscowego baru cygarowego, aby uczcić to wszystko. Czuł się tu doskonale wśród rumianych młodych prawników oraz bankowców, właścicieli galerii artystycznych i byłych zawodowych sportowców. Stoat świetnie się bawił, obserwując, jak uczą swoje nowe przyjaciółki z wycuciem-i-ostrożnie obcinać koniuszek przemyconego Bolivara. Była to gra wstępna yuppi z lat dziewięćdziesiątych. Miał żal do żony, że nie chciała przyjść do Swaina, ponieważ wyglądałaby szalowo, siedząc tu z nogą założoną na nogę, wystrojona w jedną ze swoich obcisłych czarnych koktajlowych sukni. Ale Desie twierdziła, że cygara przyprawiają ją o mdłości. Wypominała mu niemiłosiernie, że pali w domu - nazywała to obrzydliwym i trującym zwyczajem. A mimo to zapalała skręta z marychą za każdym razem, gdy się kochali - czy Palmer wtedy narzekał? Nie, łaskawa pani. „Wszystko, co pomoże ci przetrwać noc” - mówił jej wesoło. A wtedy Desie odpowiadała: „Mógłbyś się teraz zamknąć, dobrze?”. I tylko w taki sposób to robiła, jedynie kiedy robił swoje i milczał. Rytuał z polaroidem tolerowała, ale jeżeli Palmer wykrztusił choćby jedno słowo, koniec z seksem. Była to niezłomna zasada Desie. W rezultacie nauczył się trzymać w sypialni język za zębami przez jakieś piętnaście, dwadzieścia minut, może dwa razy tygodniowo. Ale zupełnie dobrze sobie radził z tą

sytuacją. Do licha, wszyscy jesteśmy lekko rąbnięci, prawda? A poza tym były przecież inne - zwłaszcza te na Kapitolu, które pozwalały mu gadać, ile chciał, od początku do końca.

Barman podał mu nową brandy.

- Skąd się to wzięło? - zapytał Stoa.

- Od dżentelmena z końca baru.

To było właśnie typowe dla knajp z cygarami, wszyscy klienci byli albo „dżentelmenami”, albo „damami”.

- Którego?

- W ciemnych okularach.

Młody facet w koszuli w tropikalny wzór: papugi i palmowe liście. Stoa nie mógł sobie skojarzyć jego twarzy. Mocno opalona, długie splewiałe od słońca włosy i dwudniowy zarost. Pewnie jakiś majtek na wychodnym z Bania Mar albo Nabrzeża 66, ktoś, kogo spotkał podczas jakiegoś przyjęcia na jachcie.

Stoa podniósł szklaneczkę i poruszył ustami w niemym podziękowaniu. Chłopak w ciemnych okularach odpowiedział lekko drwiącym pochyleniem głowy. Stoa zwrócił uwagę na szampańską brunetkę, która właściwie nie paliła siedemnastocentymetrowego kubańskiego cygara, ale uprawiała z nim seks oralny. I chociaż trudno ją było uznać za prawdziwą znawczynię cygar, jej gardłowy śmiech wyraźnie wskazywał, że jest chętna do nauki. Zamierzał właśnie się jej przedstawić, gdy barman dotknął jego rękawą i podał mu złożoną papierową serwetkę.

- Młody dżentelmen w ciemnych okularach zostawił ją dla pana - wyjaśnił. Palmer Stoa rozłożył list.

Dzwonił pan Yee z Panama City w sprawie twoich „witamin”. A także Jor-ge z Ocean BMW - na poniedziałek będą mieli kolejnego kabrio. Tym razem lepiej najpierw zastanów się, gdzie go parkujesz! Stoaowi trzęsły się ręce, gdy odkładał serwetkę. Powiódł spojrzeniem po barze - żadnego śladu chłopaka w ciemnych okularach. Otworzył telefon komórkowy, wybrał zastrzeżony numer do swojego gabinetu i wystukał kod numeryczny pozwalający odsłuchać sekretarkę. Pierwsze dwa komunikaty, zarejestrowane rankiem tego dnia, kiedy poleciał do Tallahassee, pokrywały się z tym, co chłopak napisał w swoim liście. Pan Yee - nieuchwytny łącznik Durgessa zajmujący się rogami nosorożców - wreszcie odpowiedział na telefon. Stoa postanowił, że bez wiedzy Desie zaopatrzy się w niewielką porcję magicznego proszku erekcyjnego. Planował sobie, że gdy następnym razem wyjedzie w interesach, zaliczy odrobinę dzikich rozrywek. A drugi zapis w sekretarce to rzeczywiście była informacja od sprzedawcy bmw, młodego kombinatora o nazwisku Jorge Hernandez.

Niesamowite, pomyślał Stoa. Albo chłopak podgrandził mi kod telefoniczny, albo węszył po moim domu. Stoa zostawił na barze dwudziestkę i popędził do siebie. Za frontowymi drzwiami wyminął psa i pobiegł do gabinetu. Pokój nie robił wrażenia splądrowanego, żaden przedmiot nie zniknął z biurka, żaden nie został nawet przesunięty.

I nagle Palmer Stoa zobaczył gwiazdę pentagramu ułożoną z wypolerowanych szklanych oczu. Geometria figury była tak nienaganna, że w jakiś nadprzyrodzony sposób odpowiadała obsesyjnemu przywiązaniu Stoa do ładu i porządku. (Odwrotnym przejawem tej manii był przymus usuwania wszystkich przejawów potencjalnego nieładu - wyrzucanie każdego śmiecia czy odpadku - bez oglądania się na konsekwencje. To właśnie uczyniło Stoa niepoprawnym śmieciuchem).

Dlatego też nie zburzył tajemniczego pentagramu. Powoli podniósł głowę i spojrzał na ściany: na wypchanego rysia, wilka, sarnę, muflona, łosia, marlina, tarpona, okonia. Stoa wpatrywał się w nie, ale zwierzęta nie odpowiedziały mu spojrzeniem.

Twilly Spree miał zwyczaj zakochiwać się w każdej kobiecie, która była na tyle miła, że decydowała się z nim przespać. Jedną z nich, o imieniu Mae, była od niego o dziesięć lat starsza. Miała długie jasne jak słoma włosy i piegi od policzków po kostki nóg. Jej rodzina należała do zamożnych, Mae wykazywała więc czarujący brak zainteresowania spadkiem Twilly'ego. Najprawdopodobniej ożeniłby się z nią, gdyby nie fakt, że miała już męża - biznesmena z Singapuru. Wystąpiła o rozwód trzeciego dnia po poznaniu Twilly'ego, ale prawnicy powiedzieli, że odzyskanie wolności potrwa lata, ponieważ jej mąż unikał Stanów Zjednoczonych i wobec tego nie można mu było doręczyć pozwu. Nie mając nic lepszego do roboty, Twilly wsiadł do samolotu, poleciał do Singapuru i odbył krótkie spotkanie z mężem Mae, który szybko załatwił, by Twilly'ego pobito, aresztowano w burdelu i deportowano. Gdy Twilly'ego przewieziono z powrotem na Florydę, z rozbijającą naiwnością powiedział:

- Widziałas, Mae, kiedyś podobnego palanta?

Mae i Twilly żyli razem pięć miesięcy. Powiedziała, że chce, aby jej pomógł stać się wolnym duchem. Twilly słyszał już ten sam tekst od innych przyjaciółek. Nie pytając go o zdanie, Mae zrezygnowała ze swojej ligi brydżowej, środowych wizyt u pedikiurzystki i zajęła się grana mandolinie i cytrze. Ojciec Mae zaczął się niepokoić i przyleciał z Sag Harbor, by sprawdzić Twilly'ego. Był emerytowanym dyrektorem od Forda i ponosił niemal wyłączną odpowiedzialność za zniszczenie Mustanga. Aby zbadać charakter Twilly'ego, zaprosił go na strzelanie do rzutków i wręczył mu remingto-na kaliber 12. Twilly zestrzelił wszystko, co mu rzucono. „No dobra - powiedział ojciec Mae - ale czy potrafisz polować?”. Zabrał Twilly'ego do Alabamy na plantację z przepiórkami i Twilly upolował cztery pierwsze ptaki, które

wystartowały. A potem położył strzelbę na trawie i oznajmił:

- To wystarczy.
- Co z tobą, u diabła? - zapytał ojciec Mae. - Dopiero się zaczęliśmy rozgrzewać.
- Przecież nie mogę zjeść więcej niż cztery ptaki, więc o co chodzi? - powiedział Twilly.
- Nie chodzi o jedzenie - zagrział ojciec Mae. - To sport!
- Doprawdy?
- Zestrzelić z nieba coś pięknego i szybkiego - wyjaśnił mu ojciec Mae. - W tym cała istota!
- Teraz rozumiem - oświadczył Twilly.

Tego samego wieczoru, gdy wycarterowany przez ojca Mae King Air wystartował z wiejskiego lotniska Montgomery, ktoś ukryty z karabinkiem półautomatycznym wśród drzew wydzięrgał idealne X w jednym ze skrzydeł, przebijając zbiornik paliwa i zmuszając samolot do zawrócenia oraz awaryjnego lądowania. Snajpera nigdy nie odnaleziono, ale ojciec Mae urządził drobną awanturę władzom. I chociaż ostatecznie nie udało mu się postawić Twilly'ego Spree oskarżenia, zdołał jednak przekonać córkę, że związała się z szaleńcem o morderczych skłonnościach. Przez jakiś czas brakowało mu jej towarzystwa, lecz z drugiej strony odczuwał satysfakcję; wiedział, że wyraźnie przedstawił swoje stanowisko jej ojcu, który słusznie skojarzył własne przejawy próżności z dziurkami, jakie pojawiły się w jego samolocie.

W gruncie rzeczy o to przede wszystkim Twilly'emu zawsze chodziło - żeby sukinsyny rozumiały w czym rzecz. W większości wypadków sukinsyny rozumiały. Ale nie śmieciuch. Twilly uznał, że z Palmerem Stoatem postępował zbyt subtelnie. Temu człowiekowi należało przedstawić sprawę bardzo jasno i zapewne niejedną raz. Twilly jeździł za nim wiele dni - gdziekolwiek Stoat się udał, wszędzie wyrzucał śmieci przez okno samochodu. Twilly zmęczył się, sprząając po nim.

Pewnego popołudnia Stoat wrócił wraz z żoną ze ślubu senatora w Jack-sonville i znalazł list pod wycieraczką rangę rovera. Tekst na kartce brzmiał: „Przestań zaśmiecać planetę, fiucie”. Stoat ze zdziwieniem wzruszył ramionami i pokazał list żonie. A potem zmiażdżył kartkę i rzucił ją na podłogę garażu. Kiedy wsiadł do swojego sportowo-terenowego samochodu, zobaczył z przerażeniem, że wóz jest pełen żuków gnojowych. Jeden pulsujący kłęb zakrył już jego buty, druga fala tymczasem zalewała kolumnę kierownicy. Na tablicy rozdzielczej formował się trzeci pluton; lśniące brązowe pancerze stukwały jak łożyska kulkowe.

Żuki gnojowe, choć wyglądają groźnie, są właściwie nieszkodliwe i spełniają jedyną w swoim rodzaju bezcenną funkcję na najniższym piętrze łańcucha pokarmowego, spożywając kolosalne ilości odchodów zwierzęcych. Ubóstwiane w starożytnym Egipcie, są niemal w równym stopniu szanowane przez współczesnych hodowców bydła. Ogółem istnieje ponad siedem tysięcy znanych odmian żuków gnojowych, bez tych owadów ziemia dosłownie utonąłaby w ekskrementach. Ten niezbitny fakt nigdy nie był należycie doceniony przez Palmera Stoata, który nie potrafił odróżnić biedronki od karalucha (i obawiał się, że to właśnie te ostatnie okupującego rangę rovera). Wrzasnął, zaczął klepać się po udach i wyskoczył z samochodu jak wystrzelony z armaty.

Desie, która stała, czekając, aż mąż otworzy jej tylne drzwi, z niezwykłym zainteresowaniem obserwowала jego sprinterską ewakuację. Natychmiast wyciągnęła telefon komórkowy, ale Palmer wyrwał go jej z ręki. „Żadnych glin!” -zawołał. „Nie mam ochoty czytać o tym w gazetach!”. Desie zastanawiała się, dlaczego, jego zdaniem, taka bzdura mogłaby zasłużyć na uwagę prasy.

Ze swojego telefonu Palmer Stoat wezwał specjalistę od dezynsekcji, który do usunięcia żuków z rangę rovera użył plecakowego odkurzacza -było ich ogółem około trzech tysięcy, jeżeli ktoś zadałby sobie trud i je policzył. Kiedy przelatowały przez rurę odkurzacza, Desie miała wrażenie, że grzechoczą jak kamyki. Zajrzawszy do ilustrowanego informatora, specjalista zidentyfikował intruzów.

- Co takiego? - spytała Desie.
- Żuk gnojowy. Pospolity żuk gnojowy.
- Niech zgadnę - oświadczyła ironicznie Desie - skąd wzięła się ich nazwa.
- Tak, to prawda - potwierdził specjalista od dezynsekcji.

Stoat skrzywił się.

- Co takiego? Mówicie, że jedzą gówno?

Wciąż nie rozumiał, o co tu chodzi.

Tego samego popołudnia, jadąc na strzelnicę, Stoat wyrzucił pudełko po Kentucky Fried Chickens. Stał wówczas przed mostem zwodzonym na Se-venteenth Street Causeway w Fort Lauderdale. Niedbale przechylił się przez przednie siedzenie i przez okno pasażera wyrzucił pudełko za balustradę mostu. Stojący trzy samochody dalej Twilly Spree widział wszystko - jak kartonowe pudełko, trzepocząca serwetka, obgryzione kości udek i kubeczek po sałatce coleslaw lecą w dół i z pluskiem wpadają do Wewnętrznego Kanału Żeglugowego. Właśnie wtedy Twilly uświadomił sobie, iż Palmer Stoat jest albo bezgranicznie arogancki, albo bezgranicznie głupi i że w obu przypadkach potrzebuje specjalnego

programu wychowawczego.

Rankiem drugiego maja pokojówka weszła do sypialni i oznajmiła, że I Boodle, pies, zaginął.

- Och, to niemożliwe - powiedział Stoał.

Desie narzuciła jakieś ubranie, założyła tenisówki i wybiegła, żeby przeszukać okolicę. Wróciła zapłakana.

- To wszystko twoja wina - oświadczyła mężowi.

Próbował ją przytulić, ale go odepchnęła.

- Kochanie, proszę - rzekł. - Uspokój się.

- Ktoś go zabrał...

- Nie możesz być tego pewna.

- .. i to wszystko twoja wina.

- Desie, daj spokój.

To on rzeczywiście ponosił winę za to, że była taka roztrzęsiona. Poniewczasie doszedł do wniosku, że nie powinien jej pokazywać, co zrobiono z wypchanymi głowami w jego gabinecie. A jednak wówczas Stoał zastanawiał się przez chwilę, czy to przypadkiem nie Desie była owym tajemniczym wandalom - może w ten sposób chciała mu dać coś do zrozumienia. Na pewno nie była entuzjastką łowów na grubego zwierza - pamiętał jej smutek po tym, gdy upolował nosorożca. I prawdę mówiąc, bez trudu mógł sobie wyobrazić swoją żonę, jak stoi na drabince bibliotecznej i za pomocą srebrnego widelca do homara - pochodzącego z kompletu, który otrzymali w prezencie ślubnym od przemysłu z kapitałem wspólnym - wydłubuje systematycznie sztuczne gałki oczne z jego myśliwskich trofeów.

Ale Desie nie mogła tego zrobić. Palmer Stoał przekonał się o tym, gdy zobaczył jej reakcję na makabryczny pentagram na biurku i ścianę pełną pozbawionych oczu zwierzęcych głów. Desie zbladła i wybiegła z pokoju. Potem błagała męża, aby wynajął ochroniarzy, żeby obserwowali dom, oraz oświadczyła, że już nigdy nie będzie się tu czuła bezpiecznie. Stoał jednak powiedział: „Nie martw się, to tylko jakiś miejscowy czubek. Dzieciaki z sąsiedztwa, które włamują się dla draki”. Ale osobiście przypuszczał, że incydent ze szklanymi oczami i splugawienie bmw pozostają w związku z jego interesami - jakiś niezadowolony na wpół świrnięty klient... albo może nawet jakiś zazdrosny konkurent. Tak więc Stoał kazał wymienić zamki, wszystkie numery telefonów i znalazł elektronicznego magika, który sprawdził cały dom, szukając aparatury podsłuchowej. Dla pewności zbadał też za pomocą wykrywacza kłamstw pokojówkę, ogrodnika i dochodzącą kucharkę. Desie zmusiła męża do obietnicy, że od tej pory będzie co noc włączał system alarmowy, a on posłusznie spełniał jej prośbę...

Z wyjątkiem ostatniej nocy, kiedy poszedł do republikańskiego organizatora funduszy i tak się nawalił, że musiał wracać do domu taksówką. Była mniej więcej trzecia w nocy i Stoał z trudem poznał swój dom, strasznie się namordował, zanim udało mu się wetknąć nowy klucz do zamka, a wybranie Pięciocyfrowego kodu na klawiaturze aparatury przekraczało zdecydowanie zakres jego obecnej sprawności manualnej.

Ale mimo wszystko wciąż nie mógł uwierzyć, że ktoś wślizgnął się za nim i porwał labradora. Po pierwsze, Boodle był solidną sztuką - ważył ponad pięćdziesiąt siedem kilogramów. Niemalym kosztem wyszkolono go, by siadał, aportował, otrząsał się, kładł i nie odchodził z obcymi. Do uprowadzenia siłą takiego psa, myślał Stoał, trzeba by było więcej niż jednego w pełni sprawnego mężczyzny.

A wtedy Desie przypomniawsza mu, że Boodle nie był w pełni sił. Kilka dni wcześniej zawieźli go pospiesznie do pogotowia weterynaryjnego po tym, jak zeżarł pięć szklanych oczu z biurka Stoata. Palmer nie zauważył nawet ich braku, dopóki nie przyszedł specjalista wypychacz, by naprawić trofea. Wkrótce potem Boodle stał się apatyczny i przestał jeść. W klinice weterynaryjnej prześwietlono go i wykryto szklane kulki, które utkwiiły w tylnej części żołądka labradora. Cztery z nich łatwo usunięto po otwarciu jamy brzusznej, ale piąta wślizgnęła się do przewodu pokarmowego, skąd chirurg nie mógł jej wydobyć. Gdyby więc Boodle w najbliższym czasie nie wydalił zgubionego oka, należało dokonać kolejnej operacji. A tymczasem pies, faszerywany silnymi antybiotykami, wciąż był ospały.

- Umrze, jeżeli nie sprowadzimy go z powrotem - oznajmiła posępnie Desie.

- Znajdziemy go, nie martw się. - Stoał przyrzekł, że wydrukuje ulotki i rozprowadzi je w okolicy.

- I obiecuję nagrodę - przypomniała Desie.

- Oczywiście.

- Mam na myśli przyzwoitą nagrodę, Palmerze.

- Nic mu nie będzie, kochanie. Pewnie pokojówka nie domknęła drzwi, otworzył je i wyszedł. Już to robił, pamiętasz? Przypuszczam, że wróci, kiedy poczuje się lepiej i zacznie być głodny.

- Dziękuję, doktorze Doolittle - powiedziała Desie. Była wciąż poirytowana, ponieważ Palmer poprosił weterynarza, żeby zwrócił połknięte przez Boodle'a szklane oczy, chciał bowiem je wyczyścić i ponownie przykleić.

- Na litość boską, spraw sobie nowe - błagała męża.

- Do diabła, nie - zaprotestował. - To będzie o wiele lepsza historia, przyznaj sama.

Wydobyte chirurgicznie oczy należały do kanadyjskiego rysia, marlina, łosia i sarny. Wciąż brakowało mu oka bawołu afrykańskiego, największego trofeum Stoata, nic więc dziwnego, że szczególnie zależało mu na jego odzyskaniu.

Desie podeszła do męża z oczami pełnymi łez i oświadczyła:

- Jeżeli ten biedny pies gdzieś umrze, nigdy ci tego nie wybaczę.
- Powtarzam ci, że nikt nie ukraść Boodle'a...

- To nie ma większego znaczenia, Palmerze. To wszystko przez twoje głupie hobby, twoje głupie martwe zwierzęta z ich głupimi sztucznymi oczami. A więc to będzie twoja wina, jeżeli coś się stanie temu słodkiemu szcze-niaczkowi.

Gdy tylko Desie wyszła z gabinetu, Stoat zadzwonił do drukarni i zamówił pięćset ulotek z fotografią Boodle'a oraz obietnicą tysiąca dolarów w gotówce dla każdej osoby, której informacje przyczynią się do odzyskania psa. Stoat nie martwił się, miał bowiem prawie pewność, że żaden z jego wrogów, bez względu na to, jak bardzo byłby okrutny i nieczuły, nie posunąłby się do porwania jego ulubionego psa.

Świat jest chory, myślał sobie Stoat, ale nie do tego stopnia.

Twilly Spree, jadąc za taksówką, którą śmieciuch powracał z przyjęcia, dotarł aż pod sam jego dom. Zaparkował na końcu zaułka i obserwował, jak Palmer Stoat, zataczając się, idzie po podjeździe. Zanim Stoatowi udało się wetknąć klucz do zamka, Twilly stał już w odległości dziewięciu metrów, ukryty za pnem malajskiej palmy. Śmieciuch nie tylko nie zamknął drzwi na zamek, ale nawet zostawił je do połowy otwarte. Wciąż tkwił w łazience na dole, majstrując przy zamku błyskawicznym rozporka i kołysząc się przed umywalką, kiedy Twilly wszedł do domu i zabrał psa.

Z labradorem przerzuconym po strażacku przez ramię pobiegł z powrotem do samochodu. Pies nie próbował go ugryźć i nawet ani razu nie zaszczekał. Był to zachęcający objaw - wielki zwierzęta odbierał właściwe wibracje. Te mądre zwierzęta takie właśnie są, pomyślał Twilly.

Labrador zachowywał spokój nawet wówczas, gdy dotarli do motelu. Wypił trochę zimnej wody z kranu nad wanną, ale zupełnie nie zwrócił uwagi na niezwykle apetyczną zabawkę do gryzienia.

- O co chodzi, stary? - zapytał Twilly. Często rozmawiał ze zwierzętami.

Nie widział powodu, żeby tego nie robić. Nawet z rysiemi, z którym dzielił na miot na bagnach. Twilly poradził mu: „Tylko mnie nie ugryź, mary sukinsynu”.

Pies ułożył mu się u stóp. Twilly poklepał go po lśniącym zadzie i rzekł:

- Wszystko będzie w porządku, stary.

Nie mógł się zmusić, by zwracając się do zwierzęcia, używać imienia, jakie było wypisane na obroży - Boodle. Był to synonim słowa „łapówka”, a jednocześnie przejaw błyskotliwego dowcipu Palmera Stoata.

- Od tej chwili - oświadczył Twilly psu - jesteś McGuinn.

Labrador podniósł łeb, który sprawiał wrażenie ogromnego jak kowadło.

- To po wielkim gitarzyście - wyjaśnił Twilly.

Pies rozciągnął się, położył na boku i dopiero wtedy Twilly spostrzegł plaster i bandaż. Ukląkł przy czworonogu i ostrożnie odchylił opatrunek z wygolonej części brzucha. Pod gazą widniało świeże cięcie chirurgiczne, na którym Twilly naliczył dwanaście stalowych klamerek. Przycisnął z powrotem plaster i delikatnie pogłaskał bok psa. Ten westchnął ciężko, jak tylko labradory potrafią, ale nie sprawiał wrażenia, by coś go bolało.

Twilly martwił się raną i zastanawiał się, co mogło się zdarzyć takiemu zadbanemu zwierzętowi - może woreczek żółciowy? Czy psy w ogóle mają pęcherzyki żółciowe? Wiedział, że chorują na artretyzm, na serce, miewają zaburzenia systemu immunologicznego i raka - z całą pewnością zapadały na choroby nowotworowe. W telewizorze leciała fajna reklama, McGuinn chrapał na chodniku koloru spalonej pomarańczy, a Twilly kłęczał oparty na łokciach w kącie łóżka i rozmyślał.

Ten pies oddychał niezwykle cicho jak na zwierzęta o takich rozmiarach. Twilly musiał się nisko nad nim pochylić, aby usłyszeć posapywanie przypominające oddech niemowlaka w kołysce.

Wciąż zastanawiał się nad sytuacją. Ten biedak pewnie jest na jakichś silnych prochach, które pomagają mu przetrwać okres po operacji. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego tak pokornie dał się zabrać. Im dłużej Twilly rozmyślał, tym większej nabierał pewności, co powinien teraz zrobić. Wrócić do domu Palmera Stoata i znaleźć psie lekarstwo. Było to ryzykowne, szaleńczo ryzykowne, ale Twilly nie miał wyboru. Nie chciał, by cokolwiek stało się McGuinnowi, który był przecież niewinny.

Natomiast z panem Palmerem sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Dał się nabrać. Wrócił następnej nocy, przyjechał dokładnie w chwili, gdy Palmer Stoat odjeżdżał, a w rangę roverze majaczyła przy nim sylwetka kobiety. Twilly uznał, że jest to jego żona i oboje jadą gdzieś na późny obiad.

Okazało się jednak, że ze śmieciuchem wyjechała jedna z pokojówek. Przy okazji podrzucił ją do domu. W taki właśnie sposób Twilly popełnił błąd, który zmienił wszystko.

Od jego poprzedniego włamania Stoatowie jeszcze bardziej skrupulatnie przestrzegali włączania alarmu. Ale Twilly uznał, że nie ma się czym i martwić - po prostu wpadnie, złapie psie pastylki i ucieknie. Wejdzie, wyjdzie i będzie już w samochodzie w niecałą minutę.

Kuchenne drzwi były dziecinną zabawą. Śrubokręt załatwił sprawę i ku zaskoczeniu Twilly'ego nie rozległ się żaden alarm. Włączył światło i zaczął szukać. Kuchnia była obszerna, odnowiona w pustynnym południowo-zachodnim stylu, z szafkami utrzymanymi w kolorze ziemi i wyposażeniem z nierdzewnej stali. Tyle tacy faceci jak Palmer Stoat robią dla swoich nowych młodych żon, pomyślał Twilly; kuchnia i biżuteria to szczyt tego, na co stać ich wyobraźnię.

Znalazł psie lekarstwa w szufladzie koło ekspresu do kawy: dwie małe fiołki i tubkę z maścią - same antybiotyki - i wpakował wszystko do kieszeni, i na haku koło drzwi wisiła smycz i Twilly wziął ją również. Za swój zuchwały rajd przyznał sobie nagrodę w postaci puszki zimnego Sama Adamsa, prosto z lodówki. A kiedy się odwrócił, stała przed nim Desirata Stoat z chromowaną trzydziestką ósemką zabraną z sypialni.

- To ty ukradłeś naszego psa - powiedziała.

- Zgadza się.

- Gdzie on jest?

- Zdrowy i bezpieczny.

- Pytałam gdzie. - Odciągnęła kurek.

- Jeśli mnie pani zastrzeli, już nigdy nie zobaczy pani McGuinna.

- Kogo?

- To jego nowe imię.

Twilly poinformował panią Stoat, że nie wiedział o operacji psa. Nie były to przeprosiny, po prostu wyjaśnił, dlaczego się tu znalazł.

- Wróciłem po jego lekarstwa - powiedział. - A przy okazji, co mu się stało?

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała - odparła żona śmieciucha. - Połóż ręce na głowę.

- Bardzo mi przykro, pani Stoat, ale tak się nie robi w prawdziwym życiu. - Twilly w minutę skończył piwo. - Czy państwo utylizujecie? - zapytał.

Desie gestem wskazała szafkę. W jej wnętrzu znajdowała się plastikowa skrzynka, do której Twilly włożył pustą butelkę. A potem odwrócił się i spokojnie zabrał rewolwer żonie śmieciucha. Wytrząsnął z niego naboje i włożył do kieszeni, w której leżały już psie lekarstwa. Rewolwer włożył natomiast do szuflady ze srebrami.

Pani Stoat opuściła głowę i mruknęła coś niewyraźnie. Była boso, miała na sobie długą białą podkoszulkę, kolczyki z perłami i nic poza tym. Ręce miała opalone tak samo jak nogi.

- Jesteś tym świrem, który wsadził robaki do wozu mojego męża?

- Żuki. Owszem.

- I zostawiłaś te paskudne liściki? Wydłubałaś oczy wypchanym zwierzakom?

- Zgadza się. - Twilly uznał, że nie ma sensu wspominać o sponiewieraniu jej czerwonej beemki.

- Robiłaś straszne rzeczy - uznała Desie.

- Trochę dziecinne - przyznał Twilly.

- A właściwie, o co ci chodzi?

- Najwidoczniej działałem pod wpływem jakiegoś gniewu. Jak się trzyma Palmer?

- Doskonale. Zawiózł pokojówkę do domu i pojechał do Swaina na koktajl.

- Aha, do baru z cygarami. - Był to obiekt, który Twilly chciał zarobaczyć w pierwszej kolejności, dopóki nie natrafił na pewien problem techniczny związany z systemem wentylacyjnym. A poza tym uzyskał sprzeczne opinie naukowe na temat tego, czy żuki gnojowe będą chciały jeść spreparowane liście kubańskiego tytoniu.

- Jak się nazywasz? - spytała Desie.

Twilly roześmiał się i wznosił oczy do góry.

- OK - powiedziała. - Porwałś naszego psa?

- Psa pani męża.

- Chcę tam pojechać.

Oczywiście Twilly roześmiał się. Nie mogła mówić tego poważnie.

- Muszę wiedzieć, o co tu chodzi - oznajmiła - ponieważ nie wierzę, że to sprawa pieniędzy.

- Proszę.

- Sądzę, że chodzi o Palmera.

- Miło mi było panią poznać, pani Stoat.

- Mam na imię Desie. - Poszła za Twillem aż do wynajętego samochodu i wsiadła do środka. Powiedział jej, żeby wyszła, ale odmówiła. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami.

- Będę się darła jak zarzynana. Albo i gorzej - ostrzegła go.

Twilly usiadł ciężko za kierownicą. Co za cholerny pech, że żona Stoata okazała się przypadkiem

psychicznym. W domu po drugiej stronie ulicy zabłysło światło. Desie również je zauważyła i Twilly pomyślał, że zaraz zaczną krzyczeć.

Zamiast tego powiedziała:

- Sytuacja wygląda następująco. Ostatnio zaczęłam mieć wątpliwości w stosunku do wszystkiego. Muszę stąd odjechać.

- Niech pani jedzie na wycieczkę statkiem.

- Nic nie rozumiesz.

- Pies będzie cały i zdrowy. Ma pani moje słowo.

- Mówię o Palmerze - wyjaśniła. - O mnie i Palmerze.

Twilly był kompletnie załamany. Nie potrafił wymyślić niczego poza ruszeniem z miejsca.

- Nie jestem z siebie zbyt dumna - mówiła dalej. - Ale wyszłam za tego człowieka, by uzyskać bezpieczeństwo. Co jest sympatyczniejszą formą i stwierdzenia, że wyszłam za niego dla pieniędzy. Może sobie wtedy nie zdawałam z tego sprawy, a może wręcz przeciwnie.

- Desie?

- Co?

- Czyja wyglądam jak Montel Williams?

- Przepraszam - mój Boże, masz rację. Postępujaj mnie dalej.

Twilly odnalazł drogę na międzystanówkę. Martwił się McGuinnem. Zastanawiał się, jak często pies musiał dostawać swoje pigułki, zastanawiał się, czy była już pora, żeby go wyprowadzić.

- Pozwolę pani zobaczyć psa, pani Stoa, żeby upewniła się pani, że nic mu nie jest. A potem odwożę panią do domu.

- Nie - powiedziała Desie. - Proszę.

- I chcę, żeby powiedziała pani mężowi...

- Tam jest gliniarz...

- Tak. Widzę go.

- Jedziesz sto dziesięć kilometrów na godzinę.

- Sto pięć. A teraz niech pani zapamięta, co ma pani powtórzyć Palmerowi: „Niebezpieczny, zwariowany na punkcie psów, wyjęty spod prawa bandyta porwał naszego ukochanego pieska i nie zwróci go, dopóki nie zrobisz dokładnie tego, co każe”. Da pani radę?

Desie patrzyła z rozszarganiem przez okno.

- Słucha mnie pani? - spytał Twilly. - Chcę, żeby poinformowała pani męża, że jestem skłonny do przemocy, socjopatycznym wariatem. Niech mu pani wyjaśni, że jestem zdolny do wszystkiego.

- Ale nie jesteś.

Miał ochotę wyrecytować listę swoich osobistych konfliktów z prawem, ale pomyślał, że może ją to tak przestraszyć, że wyskoczy z samochodu.

- Wysadziłem w powietrze bank mojego wuja - powiedział na próbę.

- Za co?

- Czy to ma znaczenie? Wsadzenie to wsadzenie.

- Musisz wymyślić coś lepszego - odparła Desie. - W dalszym ciągu nie wierzę, że jesteś świrem.

Twilly westchnął.

- O czym rozmawiacie z Palmerem? O polityce? Telewizji? Represjach w Tybecie?

- O zakupach - odparła Desie bez cienia zawstydzenia czy ironii. - Bardzo interesuje się samochodami i dobrymi ubraniami. Chociaż, jak sądzę, nie jest to zbyt wysoko notowane w twoich kręgach społecznych.

- Nie należę do żadnego kręgu społecznego.

- A także gra trochę w golfa - dodała Desie. - Kiedy nie poluje.

- Pani również gra w golfa.

- Grałam dokładnie dwa razy w życiu. Jesteśmy członkami Bobrzej Doliny.

- To miłe z waszej strony - rzekł Twilly. - Widziała tam pani kiedyś jakieś bobry?

- Nie.

- Czy kiedyś zastanawiała się pani, dlaczego?

- Raczej nie - odparła Desirata Stoa.

Zamknięty w motelowym pokoju McGuinn-Boodle ucieszył się na jej widok. Twilly próbował zabawić się w weterynarza, ale pies wciąż wypluwał pigułki. Wyszła z tego całkiem komiczna scena. W końcu Desie kazała Twilly'emu się odsunąć i przejęła inicjatywę. Wsunęła jedną z wielkich, białych tabletek pod język McGuinna i jednocześnie masowała mu gardło. La-brador spokojnie połknął pastylkę. Ale kiedy Twilly spróbował zastosować jej technikę, pastylka wyleciała na niego jak z procy.

- Przypuszczam, że sprawa jakby się wyjaśniła - powiedziała.

- Nie, nie może pani zostać.

- Ale jestem jedyną osobą, która może mu podać lekarstwo. Wczoraj niemal odgryzł Palmerowi kciuk.

- Nauczę się - upierał się Twilly.
- Gdy Desie skłoniła psa do przełknięcia drugiej pastylki, zapytała Twilly'ego o nowe imię psa.
- To na cześć muzyka, którego bardzo lubię. Rogera McGuinna.
- Jesteś o wiele za młody, by lubić Rogera McGuinna.
- Znasz go? - zapytał podniecony Twilly.
- Oczywiście. Mistrz dwunastostrunowej gitary. Eight Miles High, Mr. Spaceman i tak dalej.
- Fantastyczne! - zawołał Twilly. - A ile ty masz lat?
- Wystarczająco dużo. - Desie uśmiechnęła się porozumiewawczym uśmiechem starszej kobiety. Nie wspomniała natomiast o tym, że pracowała u Sama Goody'ego.
- Twilly zauważył, że jedną ręką głaszcze McGuinna, a drugą skręca rąbek swojej podkoszulki. Wreszcie zdecydowała się zadać najważniejsze pytanie.
- Powiedz mi dokładnie, czego chcesz od mojego męża.
- Chcę, żeby skończył swoje numery.
- Co takiego?
- Jest obrzydliwą świnią. Wszędzie zostawia po sobie śmieci.
- O to ci chodzi? - spytała Desie.
- Chcę, żeby zrozumiał, to wszystko. Chcę ujrzeć wstyd w jego oczach. A potem, do diabła, nie wiem. - Twilly ściągnął cienki koc z łóżka i rzucił go w jej stronę. - Przykryj się, Desie. Widzę twoją pupę.
- Nisko pan mierzy, Mr. Spaceman - oznajmiła.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Wiesz, co mój mąż robi? Masz chociaż zielone pojęcie, w jaki sposób zarabia na życie?
- Nie - odparł Twilly. - Ale tamtej nocy miał na swojej sekretarce tele fon z biura gubernatora.
- Właśnie, otóż to - sam gubernator. Pewnie dzwonił w sprawie tego śmiesznego mostu.
- Jakiego mostu? - zapytał Twilly.
- Desie usiadła po turecku na podłodze i zakryła nogi kocem.
- Opowiem ci parę historii o Palmerze Stoacie - oznajmiła.
- Nie, łaskawa pani, odwożę panią do domu. Ale tego nie zrobił.

Twilly jechał całą noc z kobietą i psem. Na Ropuszą Wyspę przybyli tuż przed świtem. Twilly zatrzymał samochód na plaży i opuścił okna.

- Co będziemy tu robić? - spytała Desie.
- Twilly zamknął oczy. Nie otwierał ich do chwili, gdy usłyszał krzyk mew i poczuł promienie słoneczne na szyi. Zatoka była ołowianoszara i gładka. W oddali widział Desie idącą po białej wstędze piasku, potężnego czarnego McGuinna u jej boku i nad nimi wygłupiające się morskie ptaki. Twilly wysiadł z wozu i przeciągnął się. Zdjął ubranie, rzucił się do zimnej wody i odpłynął ponad dwieście metrów. Stąd mógł spojrzeć z perspektywy żeglarza na wyspę, ocenić jej skromną długość i wysokość, kędzierzawą bujną zieleń. Oczywiście natychmiast zrozumiał, jak straszliwą przyszłość gotuje jej nowy most. Niemal slyszal głos swojego ojca, zachlystującego się z zachwytu nad nowymi perspektywami. To, że ta gęsto porośnięta krzewami wysepka została przeznaczona pod zabudowę, wcale nie zdziwiło Twilly' ego. Szczerze go zaskoczył jedynie fakt, że nikt nie zdążył jej dotąd jeszcze zniszczyć.
- Dopłynął kraulem do brzegu. Nałożył dzinsy i ociekając wodą, usiadł na masce wynajętego samochodu.
- Desie wróciła i powiedziała:
- Boodle chciał wskoczyć do wody i popływać. To znaczy, że czuje się lepiej.
- Twilly spojrzal na nią z wyrzutem.
- Chciałam powiedzieć, McGuinn - poprawiła się. - No i co, właśnie coś takiego spodziewałaś się tu znaleźć?
- Tu jest miło.
- Myślisz, że gubernator Dick ma całą wyspę na własność?
- Jeżeli nie on, to jacyś jego kumple.
- Jak sądzisz? - spytała Desie. - Ilu ludzi chcą tu upchać? Ogółem.
- Nie wiem. Przynajmniej parę tysięcy.
- To wyjaśnia, dlaczego potrzebny jest im większy most.
- O tak. Ciężarówki, spychacze, wywrotki, betoniarki, dźwigi, cysterny z benzyną, samochody i autobusy dowożące personel. - Twilly zamrugał, patrząc w niebo. - To tylko moje przypuszczenia, pani Stoat. Po prostu powtórka z historii.
- McGuinn znalazł człowieka, który zemdlal na plaży - oznajmiła Desie. - Nie wygląda najlepiej.
- Nieprzytomni rzadko kiedy wyglądają kwitnaco.
- To żaden menel. Przywoicie wyglądający facet.
- Przypuszczam, że chce pani, abym go obejrzał - rzekł Twilly. - O to chodziło?
- Zsunął się z maski i ruszył wzdłuż brzegu. Desie gwizdnęła na psa i poszli razem. Zemdlony mężczyzna

leżał w tej samej pozycji, w jakiej go znalazła - na plecach, z białymi dłońmi złożonymi jak u nieboszczyka na piersiach. Usta miał otwarte i chrapał jak zepsuty diesel. Lśniący stożek mewiego gówna ozdabiał mu czoło. Jedno oko miał podbite i niemal całkiem zapuchnięte, a na tym samym policzku widniała brzydka, zapiaszczona rana. W pobliżu leżał but i pusta butelka po wódce.

Machając ogonem, McGuinn przyglądał się zemdlonemu. Twilly Spree potrząsnął go za ramiona. Mężczyzna obudził się, kaszląc, a gdy Tilly zapytał, czy wezwać pogotowie, wyszeptał: „Nie!”.

Desie uklękła koło niego, a wtedy wyjaśnił:

- Upiłem się i spadłem ze spychacza.

- Nieźle.

- Chciałbym, żeby to się nie stało. - Mężczyzna stał rękawem ptasią kupę z czoła. Skrzywił się, gdy mokry nos McGuinna dotknął opuchniętej części twarzy.

- Jak się pan nazywa? - spytała Desie.

- Brinkman. - Mężczyzna usiadł z pomocą Twilly'ego. - Doktor Steven Brinkman.

- Jaki doktor?

Brinkman wreszcie zauważył, co Desie ma na sobie - długą podkoszulkę, kolczyki z perłami i nic więcej - i wyraźnie go to zbulwersowało. Niepokoił go również wielki labrador, który obwąchiwał najintymniejsze zakamarki jego ciała.

- Jest pan doktorem medycyny? - spytała Desie.

- Ee, nie. Jestem biologiem.

Twilly zeszywniał.

- A co robisz na tej wyspie?

- Pracuję tutaj.

- Dla kogo? - spytał Twilly. - Dla korpusu wojsk lądowych? Ochrona Ryb i Zwierząt?

- Niezupełnie - odparł Brinkman.

Twilly wziął go pod ramię, podniósł na nogi i poprowadził w stronę porośniętej trawą wydmy.

- Musimy pogadać - oznajmił.

Nie tylko doktor Brinkman miał ciężką noc. Palmer Stoat zrelaksował się aż do przesady w barze Swaina, a potem przybył na maleńkie przyjęcie w prywatnym salonie właściciela z dwoma butelkami Dom, pudełkiem H. Upmannów prosto z łodzi z Varadero i call-girl, która najpierw zmusiła Stoata, by pokazał jej swoją legitymację wyborcy, ponieważ obsługuje jedynie zarejestrowanych republikanów. Stoat był tak oczarowany jej politycznym zapalem, że nie mógł należycie skoncentrować się na seksie. Ostatecznie przerywany stosunek przemienił się w filozoficzny dyskurs, który trwał do bladego świtu i wyczerpał Stoata bardziej niż rutynowa noc nielegalnego ciupciana. Zaczekał się do domu ze straszliwym bólem głowy i padł w jednym z gościnnych pokoi, żeby nie budzić Desiraty, która, jak sądził, spała samotnie w małżeńskim łóżku.

Stoat przespał południe i obudził się z koszmarnym kacem w absolutnie cichym domu. Słoneczne światło wdzierało się brutalnie przez żaluzje ukośnymi smugami. Stoat ukrył twarz w poduszce i znowu zaczął myśleć o gadatliwej prostytutce od Swaina. Bardzo rzadko zdarzało mu się spotkać kogoś, kto był autentycznym wyznawcą określonych ideałów politycznych. Zajmując się przeprowadzaniem różnych kombinacji, już dawno temu doszedł do wniosku, że jeśli chodzi o sposób sprawowania rządów, demokraci i republikanie właściwie się nie różnią od siebie. Reguły gry pozostawały te same. Zawsze chodziło o korzyści, przyjaciół i o to, kto kontroluje mamonę. Etykiety partyjne pomagały po prostu orientować się w składzie drużyn, programy natomiast były najczęściej zasłoną dymną i wodewilem. Nikt nie wierzył w nic, każdy za to kurczowo trzymał się władzy. Toteż w okresie wyborczym Palmer Stoat zawsze radził swoim klientom, by okazywali hojność, ofiarowując duże sumy wszystkim zainteresowanym stronom. Strategia była ogromnie pragmatyczna i w równym stopniu cyniczna. Sam Stoat zarejestrował się jako niezależny wyborca, ale od czternastu lat nie brał udziału w głosowaniu. Nie mógł traktować poważnie całej tej idei - po prostu zbyt wiele wiedział.

Ale mimo wszystko było czymś odświeżającym słuchać, jak call-girl z takim zapalem mówi o niepowodzeniu działań afirmatywnych, przydatności modlitwy w szkołach państwowych i niebezpiecznym ataku liberałów na Drugą Poprawkę. Żadna z tych spraw nie wywarła na życie Palmera Stoata wpływu dostatecznie silnego, by wyrobił sobie jakąś opinię na jej temat, ale było ciekawe spotkać kogoś, kto miał taką opinię, kogoś bez ukrytych motywów.

Gdyby tylko był w stanie ją przelecieć, tę call-girl Erikę. A może miała na imię Estelle? Stoat pomyślał pogodnie: Mam teraz kandydatką na wieczór z dobrym winem i proszkiem z rogu nosorożca. Zapisał sobie w pamięci, że raz jeszcze powinien porozumieć się z tajemniczym panem Yee w Panama City.

Dzwonek telefonu przeciął niby nóż myśliwski czaszkę Stoata. Rzucił się gwałtownie, by podnieść słuchawkę. Usłyszał w niej głos żony, co go mocno zaskoczyło. Może trafił do cudzego domu? A jeżeli tak, to w jaki sposób Desie go znalazła?

-Nie chciałam, żebyś się martwił - mówiła z drugiej strony przewodu.

- Słusznie - Stoał usiadł gwałtownie, rozejrzał się po pokoju i z ulgą stwierdził, że go poznaje.
 - Mogę wszystko wytłumaczyć - mówiła Desie lekko roztrzęsionym głosem.
 - OK.
 - Ale nie teraz.
 - Dobrze.
 - Nie masz zamiaru zapytać, czy wszystko u mnie w porządku?
 - Tak, kochanie. Ja, eee, odchodziłem od zmysłów, zastanawiając się, gdzie się podziałaś.
- Niezdolność długie milczenie w słuchawce. A potem niebezpiecznie słodki głos Desie:
- Palmer?
 - Tak, złotko?
 - Nawet nie wiedziałeś, że mnie nie ma, prawda?
 - Oczywiście, że wiedziałem. Po prostu... rozumiesz, przyszedłem do domu późno i położyłem się w jednej z gościnnych sypialni...
 - Szesnaście godzin.
 - .. żeby cię nie budzić.
 - Szesnaście cholernych godzin!
 - Co? - zapytał Stoał.
 - Tyle czasu to trwa.
 - Chryste. Gdzie jesteś? Powiedz mi, co się stało.
 - Dopiero wstałeś, prawda? Nie do wiary. - W głosie Desie dźwięczało teraz obrzydzenie. - Byłeś taki naprany, że nawet nie zadałeś sobie trudu, by zajrzeć do sypialni
 - Desie, zaraz po ciebie przyjadę. Powiedz mi dokąd. Ale kiedy mu powiedziała, pomyślał, że żartuje.
 - Stacja Amoco w Bronson? Gdzie u diabła jest Bronson?
 - Niedaleko od Gainesville - wyjaśniła Desie. - Tam właśnie powinieneś wystać po mnie samolot.
- Poczekaj...
- To wcale nie musi być odrzutowiec. Jestem pewna, że jeden z twoich wielkich i bogatych klientów ma coś, co mógłby ci pożyczyć. Czy wspomniałam już, że mnie porwano?
- Stoał czuł mdłości i gorączkę. Trzymając słuchawkę w drżącej dłoni, opadł na poduszki.
- To było swojego rodzaju porwanie - powiedziała Desie. - Historia jest długa i niezwykła, Palmerze.
 - OK.
 - Ale znalazłam Boodle'a.
 - Hej, to wspaniale - Stoał niemal zapomniał o zaginionym psie. - Jak się miewa?
 - Dobrze. Tylko że jest drobny problem.
 - Czemu mnie to nie dziwi? - burknął Stoał.
 - Opowiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy.
 - W Bronson - powiedział słabym głosem Stoał.
 - Nie, w Gainesville. Pamiętasz?
 - Słusznie. Tam mam wystać prywatny samolot.
- Kiedy udało im się wlać w doktora Brinkmana trochę czarnej kawy, doszedł do siebie na tyle, że był w stanie wyruszyć na krótką wycieczkę po przyszłej Wyspie Burzyków.
- Tutaj będzie pogłębione miejsce na port jachtowy. Tu zostaną założone pola golfowe. To miejsce oczyszcza pod lotnisko. A wszędzie indziej będą domy mieszkalne.
 - Domy? - spytała Desie.
 - Bardzo drogie domy - wyjaśnił Brinkman. - Ale również bloki z mieszkaniami własnościowymi, a nawet domy wynajmowane przez cały rok. Dwu- i trzykondygnacyjne.
- Twilly zjechał z drogi w cień kępy sosen.
- Jakie najwyższe budynki mają w planach? - zapytał Brinkmana.
 - Szesnastopiętrowe. Staną na obu końcach wyspy.
 - Dupki - mruknął pod nosem Twilly.
- Uwagę Desie przyciągnęły zbiegające od słońca, pokryte łuszczącą się farbą tablice, reklamujące dawne projekty. Było ich tu mnóstwo. Brinkman wyjaśnił, że wszystkie te przedsięwzięcia zakończyły się plajtą.
- Ale ci nowi faceci mają poważny kapitał i solidne źródła finansowania - dodał. - Sądzę, że tym razem załatwią sprawę.
 - Pod warunkiem że dostaną swój most - zauważył Twilly.
 - Oczywiście.
 - A na czym konkretnie polega pańska praca? - zapytała biologa Desie. Brinkman opowiedział im o studiach polowych.
 - Zasadniczo jest to sporządzenie pełnego inwentarza wszystkich gatunków roślin, zwierząt i owadów żyjących na wyspie.
 - Ooo - powiedziała z podziwem Desie.

Twilly parsknął pogardliwie.

- Żadne „ooo”. Doktorze Steve, proszę wyjaśnić pani Stoał, dlaczego nie powinno to wyrzucić na niej tak wielkiego wrażenia.

- No cóż, dlatego... - Brinkman był wyraźnie zmieszany. - Dlatego, że takie studium jest dość rutynową sprawą. Więcej w tym biurokracji niż nauki, jeżeli mam być szczery. Oczywiście dzięki temu robimy wrażenie, że jesteśmy odpowiedzialni i troszczymy się o środowisko, ale wcale nie chodzi tu o ustalenie, jakie drzewa czy zwierzęta powinniśmy ocalić. Raczej o to, żeby inwestorzy nie znaleźli się w kryzysowej sytuacji, spowodowanej czymś takim jak kormoran ślimakojad.

Desie spojrzała na Twilly'ego, oczekując dokładniejszych wyjaśnień. - Zagrożone gatunki - powiedział. - Zatrzymałoby to całą zabawę, mam rację, doktorze Steve? Zablokowałoby wszystkie prace. Brinkman zdecydowanie pokiwał głową.

- Domyślam się - ciągnął dalej Twilly - że w tym tygodniu ukończył pan swoje prace polowe i nie znalazł na całej wyspie niczego takiego jak kormoran ślimakojad czy sowa cętkowana. Nic na tyle rzadkiego, że przeszkodziłoby w uzyskaniu zezwoleń budowlanych. Domyślam się też, że minionej nocy dlatego poszedł pan i się urzynał, ponieważ w głębi duszy miał pan nadzieję, że znajdzie coś, cokolwiek, co uniemożliwiłoby wydanie zezwolenia - choćby zagrożonego wymarciem komara. Ponieważ jest pan zapewne w głębi duszy przywoitym człowiekiem i wie pan dokładnie, co się tu stanie, jeżeli te skurwysyny zaczną działać.

- To się już zaczęło - odparł Brinkman nabrzmiałym smutkiem głosem.

A potem zaprowadził ich do lasu na wzgórzach, żeby pokazać, co stało się z ropuchami dębowymi. McGuinn natychmiast zaczął kopać.

- Proszę kazać mu przestać - powiedział błagalnym tonem Brinkman.

Desie wzięła psa na smycz i odciągnęła go na bok. Twilly Spree ruszył przed siebie po przypominających szachownicę śladach gąsienic wielkich •buldożerów i kopał świeżo poruszone grudy ziemi. Gdy dotarli do miejsca, w którym stały spychacze, Brinkman wskazał je i powiedział:

- Właśnie z jednego z nich spadłem. Kiedy próbowałem uruchomić to cholerstwo.

- Po co? - spytała Desie.

- Byłem pijany.

- To już ustaliliśmy.

- Miałem ochotę zniszczyć tablicę reklamową pana Clapleya.

- To główny facet? - zainteresował się Twilly.

- Pan Wyspa Burzyków we własnej osobie - wyjaśnił Brinkman. - Robert Clapley. Nigdy go nie poznałem, ale wystawił wielką tablicę ogłoszeniową. Musieliście ją widzieć, przejeżdżając starym mostem. Przypuszczam, że zastanawiałem się, jak ta cholerna tablica wyglądałaby przerobiona na drzazgi.

- Byłbym skłonny pomyśleć o tym samym - powiedział Twilly.

- A co z żabami? - spytała Desie.

McGuinn znowu zaczął myszkować, szarpiąc ją niczym kukielkę.

- Ropuchy - Steven Brinkman zatoczył ręką półkole. - Zakopali je.

- To miłe - rzekł Twilly.

- Ludzie Clapleya wbili sobie do głowy, że mogą stworzyć problem później, kiedy pracownicy zaczną oczyszczać wyspę. Obawiali się, że instytucja taka jak Sierra Club może zacząć robić smród w gazetach, ponieważ ropuchy są takie małe i jest ich tak wiele. Dlatego postanowili od razu zakopać je spychaczami, żeby zabezpieczyć się na przyszłość.

Desie uważnie obserwowała Twilly'ego.

- On to wszystko wymyśla, prawda? - zapytała.

- Chciałbym, by tak było.

- Nie, to zbyt straszne - powiedziała.

- No cóż - oznajmił Brinkman. - Niczego wam nie mówiłem. Nigdy nie rozmawialiśmy, dobra? - Odwrócił się do nich plecami i ruszył wolno pomiędzy sosny. Szedł z opuszczoną głową, zatrzymując się co kilka kroków, jakby czegoś szukał.

- Już dosyć widziałem - powiedział Twilly do Desie.

- Uważasz, że mówił prawdę? Mam wrażenie, że wciąż jest pijany.

- Spuść psa.

- Nie zrobię tego.

Wyrwał smycz z jej dłoni i odczepił ją od obroży McGuinna. Labrador wskoczył na wzgórze usypane ze świeżo rozkopanej ziemi i zaczął kopać z zapalem, kołyszając uniesionym wysoko lśniącem czarnym zadem. Po mniej więcej minucie Twilly powiedział Desie, żeby zawołała psa. Sam podszedł do miejsca, w którym labrador kopał, i czubkiem buta powiększył jamę. Potem pochylił się i podniósł perlową grudę

zmiażdżonych ropuszek.

- Proszę tu podejść, pani Stoa.

- Nie, nie podejść.

- Chciała pani dowodu, prawda?

Ale Desie już uciekała, a McGuinn biegł tuż za nią.

Później, już w samochodzie, Twilly powiedział jej, że nadszedł czas, aby wrócić do domu. Nie była przygotowana na dalszą dyskusję. Wysadził ją na stacji benzynowej w Bronson i dał jej dwie pięćdziesiątki na śniadanie, ubrania i taksówkę do Gainesville. A żeby nie włączyła się na wpół naga, kupił jej w automacie plastikową pelerynę. Płaszcz przeciwdeszczowy był jaskrawożółty i składał się w zawiniątko nie większe niż paczka cameli. Desie rozwinęła go i bez słowa założyła na siebie.

Twilly podprowadził ją do budki telefonicznej i wsunął do jej prawej; dłoni ćwierćdolarówkę.

- To ja już pojedę... - powiedział.

- Czy nie mogę się pożegnać z Bood... to znaczy z McGuinnem?

- Żegnałaś się z nim już dwa razy.

- Pamiętaj tę sztuczkę, którą ci pokazałam. Jak podawać mu pigułki. W rostbefach. Szczególnie lubi surowe.

- Damy sobie radę - powiedział Twilly.

- I nie pozwalaj mu wchodzić do wody, dopóki nie zagoją się szwy.

- Nie martw się - rzekł.

Desie dostrzegła swoje odbicie w pękniętych szklanych drzwiach budki telefonicznej. Śmiejąc się niepewnie, powiedziała: „Boże, co za koszmar. Wyglądam jak utopiony kanarek”. Grała na zwłokę, bo nie mogła dojść do ładu ze swoimi uczuciami, bo nie chciała wracać do swojego bogatego potężnego męża. Chciała pozostać z tym nerwowym młodym przestępcą, który włamał się do jej domu i porwał ulubionego psa. No cóż, oczywiście, że tego chciała. Czyż jakakolwiek normalna, prowadząca ustabilizowane życie żona nie czułaby tego samego?

- Mówiłeś o tym serio? - zapytała Twilly'ego.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Widziałaś to, co ja. Do diabła, oczywiście, że myślę poważnie.

- Ale pójdiesz do więzienia.

- To się jeszcze okaże.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz - powiedziała.

- Owszem, wiesz - uśmiechnął się Twilly. - Moj e nazwisko jest wydrukowane na kwicie z agencji wynajmu samochodów, na tym, który ubiegłej nocy w Fort Pierce świsnęłaś ze schowka na rękawiczki. Zarumieniła się.

- Oops.

Gdy Twilly się odwrócił, Desie dotknęła jego ręki.

- Zanim wrócę do domu, chcę mieć pewność - odezwała się. - To nie był jakiś kawał? Świadomie zakopali wszystkie te nieszkodliwe małe...

- Tak, właśnie tak zrobili.

- Boże. Jacy ludzie mogliby postąpić w podobny sposób?

- Zapytaj męża - rzekł Twilly, cofając rękę.

Przyleciał po nią dwusilnikowy beech. Gdy Desie weszła do środka, pilot zapytał:

- A gdzie pani przyjaciel?

Desie zdenerwowała się. Pomyślała, że pytają o porywacza.

- Pies - wyjaśnił pilot. - Pan Stoa powiedział, że podróżuje pani z psem.

- Pomylił się. Jestem sama.

Samolot wystartował i skręcił na zachód. Desie była zdziwiona, spodziewała się, że zawróci na południe. Mrużąc oczy przed rażącym słońcem, pochyliła się i spróbowała przekrzyczeć warkot silników.

- Dokąd lecimy?

- Jeszcze jeden przystanek - odpowiedział pilot przez ramię. - Panama City.

- Po co? - spytała Desie, ale jej nie usłyszał.

W czasie ponadgodzinnego lotu mocno trzęsło, Desie było niewygodnie i zanim dotarli na miejsce, gotowała się ze złości. Palmer powinien przylecieć, żeby ją odebrać, tak powinien postąpić mąż, którego żonę uwolnił porywacz. Albo przynajmniej powinien kazać pilotowi, żeby przywiózł ją bezpośrednio do domu, on tymczasem zmuszał ją do odbycia tego pełnego podskoków dodatkowego lotu. Desie przypuszczała, że Palmer wykorzystał wypożyczony samolot, aby zabrać jednego ze swoich ważnych kumpli i zaoszczędzić tym samym kilka zielonych na oddzielnym czarterze. Zastanawiała się, kto będzie z nią leciał podczas powrotnego rejsu do Lauderdale, i miała nadzieję, że nie będzie to któryś z tych

dupków -jakiś burmistrz albo senator. Niektórzy z klientów Palmera byli do zniesienia w niewielkich dawkach, ale Desie nie cierpiała polityków, z którymi jej mąż tak chętnie się bratał. Nawet Dick Artemus, niewątpliwie charyzmatyczny gubernator, potrafił podpaść Desie obrzydliwym etnicznym dowcipem zaledwie kilka minut po tym, jak ich sobie przedstawiono. Desie już miała zamiar chlusnąć mu margaritą w twarz, kiedy wtrącił się Palmer i odprowadził ją w jakiś kąt.

Ale w Panama City do beechcrafta nie wsiadł żaden pasażer. Pilot wyszedł na chwilę z samolotu, wrócił z pudełkiem po butach Nike i poprosił Desie, by trzymała je w czasie lotu.

- Co jest w środku? - zapytała.

- Nie wiem, proszę pani, ale pan Stoat powiedział, żeby się tym szczerze gólnie zaopiekować. Powiedział, że to coś naprawdę cennego.

Przez okno Desie widziała cadillaca zaparkowanego na płycie lotnisk koło Terminalu Butlera. Przy drzwiach kierowcy stał Azjata w średnim wieku, ubrany w malinowy golf i lśniące brązowe spodnie. Mężczyzna liczył plik pieniędzy, który następnie włożył do portfela. Gdy samolot zaczął koło-1 wać, Azjata podniósł głowę i pomachał, zapewne do pilota.

Desie poczekała, aż uniosą się w powietrze, i dopiero wtedy otworzyła j pudełko. W środku znajdował się matowy pojemnik wypełniony miłym jasnym proszkiem. Gdyby nie dziwny piżmowy zapach, Desie zapewne uznałaby, że to jakiś dodatek do ciasta. Zamknęła wieczko pojemnika, włożyła go z powrotem do pudełka i zaczęła się zastanawiać, czy jej mąż nie zajmuje się teraz handlem narkotykami.

Palmer Stoat nie poleciał do Gainesville, żeby zabrać stamtąd Desie, ponieważ nieoczekiwanie zadzwonił Robert Clapley, gratulując mu zaklepa- j nia funduszy na budowę nowego mostu na Ropuszą Wyspę. W trakcie rozmowy Clapley wspomniął, że jedzie na farmę przyjaciela nad jeziorem Okee-chobee, aby postrzelać do ptaków, i byłby zachwycony, gdyby Stoat się do niego przyłączył.

- Aha, mam też resztę twoich pieniędzy - dodał.

Stoat pojechał międzystanówką do U.S. 27 i pomknął na pomoc w stronę Clewiston. Godzinę później spotkał Clapleya, który czekał na pozbawionym jakiegokolwiek roślinności polu, będącym nie tak dawno plantacją pomidorów. Teren obficie zanęcono ziarnem i dwaj myśliwi musieli tylko poczekać trochę na pojawienie się gołębi. Tego rodzaju polowanie nie było jakimś szczególnym wyzwaniem, ale odpowiadało to Palmerowi, który jeszcze nie doszedł do siebie po koszmarnej świdrującej głowę kacu. Clapley rozstawił obszerny płócienny namiot strzelecki i otworzył butelkę drogiej szkockiej. Stoat zrewanżował się, wyciągając z kieszeni kamizelki myśliwskiej dwa wielkie cygara. Mężczyźni pili, palili i opowiadali sobie bajki o laskach do chwili, gdy zaczęły przylatywać ptaki. Namiot był na tyle duży, że mogli obaj strzelać jednocześnie ze swoich śrutówek, i w ciągu zaledwie dwóch godzin zabili czterdzieści dwa gołębie, przy czym zaledwie kilka z nich w locie. Pozostałe ptaki w chwili trafienia siedziały na ziemi, dziobiąc bez opa- j miętania ziarno. Niepotrzebny był nawet pies aportujący zdobycz, ponieważ wszystkie gołębie znajdowały się w miejscu, w którym rozsypano większość zanęty, czyli dwadzieścia metrów od namiotu.

O zmierzchu przestali strzelać i zdjęli ochraniacze uszu. Clapley zaczął podnosić małe ciała z nastrozonymi piórami i wrzucać do pokrytego ma-skującym wzorem worka. Za nim szedł na niepewnych nogach Stoat, ze złamaną dubeltówką przewieszoną przez ramię kolbą do przodu.

- Ile chcesz tych smacznych kąsków? - zapytał Clapley.

- Nie za dużo, Bob. Tylko dla mnie i żony.

Później, gdy Stoat wrócił do domu i zaczął trzeźwieć, uświadomił sobie, że Robert Clapley zapomniał dać mu czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Gdy przyjechała Desie, Palmer oskubywał ptaki w kuchni. Wstał, żeby ją objąć, ale się odsunęła.

- Powiedz mi, co się stało, kochanie - poprosił. - Nic ci nie jest?

- Jakby cię to choć trochę obchodziło.

I tak to trwało niemal przez godzinę - Stoat przeproszał, że poprzedniej nocy wrócił do domu tak nawalony, że nie zauważył nieobecności Desie, przeproszał, że nie przyleciał po nią do Gainesville i nie odebrał jej osobiście na lotnisku w Fort Lauderdale (choć postąpił po nią limuzynę z szoferem!). Przeproszał, że nie zwrócił uwagi na jej dziwny strój - workowate spodnie od dresu i pomarańczową koszulkę drużyny futbolowej z uniwersytetu Florydy, zakupione pośpiesznie w księgarni w miasteczku akademickim, przeproszał, że nie zainteresował się wcześniej, czy ten porwany porywacz jej nie zgwałcił albo nie zmaltretował, i w końcu przeprosił za położenie martwych gołębi na stole kuchennym.

A wtedy Desie spytała:

- Czy nie masz nawet zamiaru zapytać o Boodle'a?

Więc Stoat znowu przeprosił, tym razem za to, że nie wykazał odpowiedniej troski o porwanego domowego zwierzę.

- Gdzie on jest, złotko?

- Porywacz wciąż go przetrzymuje - oświadczyła Desie.

- Och, to wariactwo.

- Nie spodoba ci się to.
- Ile chce za niego? - zapytał Stoaat.
- Nie chodzi mu o pieniądze.
- W takim razie o co?

Desie powtórzyła dokładnie to, co polecił jej powiedzieć dziwny psi porywacz. Pominęła jedynie fakt, że to ona poinformowała go o projekcie „Wyspa Burzyków”.

Gdy Stoaat usłyszał, czego żąda porywacz, zarechotał na całe gardło.

- Palmerze, ten człowiek mówił poważnie.
- Doprawdy?
- Lepiej zrób to, czego chce.
- Bo co? - zapytał Stoaat. - Zabije psa? Mojego psa?
- Powiedział, że to zrobi.

Stoaat powtórnie się roześmiał i wrócił do sprawiania gołębi.

- Daj spokój, Des - powiedział. - Najbardziej porąbany sukinsyn na świecie nie skrzywdziłby labradora. A zwłaszcza Boodle'a - wszyscy pałają do niego miłością od pierwszego wejrzenia.

Chociaż strasznie zmęczona, Desie nie mogła się powstrzymać i obserwowała, jak jej mąż skrupulatnie wyrwa jedno po drugim szare pióra i układa je w miękki, jedwabisty stos. Oskubane gołębie wyglądały na zbyt chude, aby je jeść. Piersi miały kościste, a ciała nieapetycznie upstrzone fioletowymi dziurami po śrucinach.

- Och, niemal zapomniałem... - powiedział. - Masz paczkę z Panama City?
- Leży na werandzie - odparła. - A nawiasem mówiąc, co to takiego?
- Papeteria.
- W plastikowym pojemniku?
- No cóż... Tak - wyjąkał jej mąż. - Chroni przed wilgocią, dobry towar. Z tłoczeniami.
- Przestań pieprzyć, Palmerze. To proszek.
- Otworzyłaś paczkę?
- Tak. Mój mąż handluje cukrem. Nic dziwnego, że nie chciałeś, żeby to przysłali pocztą.

Stoaat odchylił głowę i roześmiał się.

- Heroina? Pomyślałaś, że przemycam heroinę! Och, to kapitalne.
- W takim razie co to takiego? - zapytała ze złością Desie. - Co jest w pojemniku? Wyjaśnij mi.

Zrobił to i dodał na końcu:

- Ale chciałem, żeby to była niespodzianka.
- Zmierzyła go surowym spojrzeniem.
- Seksualny proszek z nosorożca.
 - Kochanie, nie zawsze zabijają zwierzęta, żeby zdobyć rogi. To jedynie mit.
 - Jesteś niesamowity - orzekła Desie.
 - Pomyślałem sobie, że może trochę nam to urozmaici te rzeczy. Hej, co szkodzi spróbować?

Bez słowa wstała i poszła do sypialni.

- Nie jesteś głodna? - zawołał za nią z nadzieją w głosie Stoaat. - Marisa szykuje barbecue.

Kolejne czterdzieści pięć minut zajęło mu obcięcie głów i odfiletowanie ptaków. Nie chcąc brudzić pojemnika na śmiecie wnętrznościami, zawinął je w papier pakowy i przez podwórze i żywopłot dotarł na teren niezwykle starannie utrzymanej posiadłości sąsiadów, Clarków, gdzie wrzucił całe to paskudztwo do basenu ze złotymi rybkami. Wiedział, że Ned i Susan Clarkowie są na hazardowej wycieczce do Nassau.

Potem wrócił do domu, odesłał kucharkę, włożył gołębie do lodówki, a następnie długi czas stał pod gorącym prysznicem i zastanawiał się, co począć z Desiratą. Nie wierzył w historię z porwaniem, ale była dla niego powodem, że coś jest bardzo nie tak, że jakiś problem kiełkuje w jej mózgu. Może pod wpływem impulsu uciekła z jakimś facetem, a potem zmieniła zdanie. Albo po prostu odbiło jej. Depresja maniakalna, syndrom rozszczepienia osobowości - Stoaat słyszał o tych chorobach, ale nie bardzo się orientował, jakie są ich symptomy. Jedno było pewne. W świetle dziwacznych wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin musiał zacząć podejrzewać, że jego własna nieszczęśliwa małżonka uczestniczyła w zbezczeszczeniu jego wypchanych okazów, zasypaniu górą śmieci czerwonego bmw, a nawet we wpuszczeniu do jego luksusowego terenowego wozu owadów gównojadów.

Wołanie o pomoc, doszedł do wniosku Palmer Stoaat. Najwidoczniej dziewczynie oblużowały się klepki. Ale bez względu na to, co niesamowitego działo się w Desie, Stoaat nie mógł połapać się w tej części jej bajdy, która dotyczyła psa. Co zrobiła z biednym Boodle'em i dlaczego?

Wytań się ręcznikiem i wpełzł do łóżka. Gdy objął ją ramieniem w talii, poczuł, jak cała sztywnieje.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.
- Jak nigdy dotąd.
- Ładnie pachniesz.

- Mam nadzieję, że lepiej niż worek martwych gołębi.
- Wiem, że jesteś przygnębiona, słoneczko. Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.
- No cóż, uważam, że powinniśmy wezwać policję. - Desie wiedziała, że Palmer nie zrobi tego, ale zirytowała ją, że nawet nie wysunął takiej propozycji. Czy zatroskany mąż nie mógłby przynajmniej zastanowić się nad możliwością poinformowania władz o tym, że do jego domu wdarł się intruz i zabrał mu żonę? Może istotnie nie było to prawdziwe porwanie (ponieważ to Desie uparła się, by pojechać), ale Palmer o tym nie wiedział.
- Kochanie, nie możemy mieszać w to policji - oznajmił.
- Dlaczego? Powiedziałaś, że nie skrzywdzi psa, więc co mamy do stracenia?
- Ponieważ o wszystkim tym będzie w telewizji i gazetach. Moi klienci oczekują, że będę się zachowywał dyskretnie i trzymał się w cieniu - wyjaśnił. - To byłaby katastrofa, Desie. Stałbym się pośmiewiskiem. „Psi porywacz bierze na cel wybitnego lobbystę”. Jezu Hubbardzie Chryste, możesz sobie wyobrazić te nagłówki?
Wyślizgnęła się z jego objęć.
- Sama powiedz, jak po czymś takim mógłbym się pokazać w Tallahassee albo Waszyngtonie? - ciągnął dalej. - Mówię ci, taka historia mogłaby się przerodzić w monolog Lettermana. Spróbuj zrozumieć, jak coś takiego odbiłoby się na moich interesach.
- Świetnie - rzuciła krótko.
- Nie martw się. Odzyskamy naszego szczeniaczka.
- W takim razie musisz spełnić żądanie tego wariata. To jedyny sposób - oświadczyła.
Palmer przetoczył się na plecy, wzdychając teatralnie.
- To nie jest jedyny sposób. Zaufaj mi.
Desie odwróciła głowę w jego stronę.
- Proszę, zrób po prostu to, co on każe.
- Chyba nie mówisz poważnie.
- Przecież to tylko most, Palmerze. Jeden nędzny most na jedną nędzną i wysepkę. Dadzą sobie radę bez niego.
- Sama nie wiesz, o czym mówisz. A poza tym sprawa jest już załatwiona. Nie mógłbym tego zatrzymać, nawet gdybym chciał. A nie chcę.
- Nie kłam. Nie w tej sprawie.
Stoat wciągnął głęboko powietrze, zastanawiając się: O co właściwie jej chodzi?
Desie powtórzyła to, co powiedział jej Twilly.
- Twój kumpel, gubernator Dick, jeszcze nie podpisał ustawy budżetowej, prawda? Powiedz mu, żeby zawetował finansowanie mostu.
- Dobra, już dosyć. - Stoat usiadł i wyciągnął rękę w stronę lampy. Kochanie, najwidoczniej pomieszało ci się w twojej cholernej głowie.
Zamknęła oczy, ale nie odrywała policzka od poduszki.
- W przeciwnym razie nigdy więcej nie zobaczymy naszego psa - powiedziała. - Ten wariat już zmienił jego imię, Palmer. Nazywa go McGuinn.
- Tak. Nie ma sprawy. - Ależ ona ma porąbaną wyobraźnię, pomyślał Stoat. Nie wiedział absolutnie, co robić dalej.
Desie zeszywniała gwałtownie.
- A więc sądzisz, że zwariowałam? Czy nie to właśnie powiedziałaś? Palmer pochylił głowę i delikatnie zaczął masować obolałe skronie.
- Posłuchaj, Des- powiedział- zakończmy tę rozmowę jutro. Teraz mamy noc po cholernie ciężkim dniu. Jego żona jęknęła ze złością i odwróciła się na drugi bok.
Robert Clapley świętował w swoim stylu. Wrócił ze swoją częścią upc lowanych gołębi do mieszkania w usytuowanym na brzegu oceanu w Palm Beach domu, będącym własnością jego firmy. Tam uduślił ptaki w lekkim sosie z wina i podał je Katii i Tisz, które na wpół żartobliwie nazywał Barbie Jeden i Barbie Dwa. Katia pochodziła z Rosji, Tisz z Czech. Obie miały po sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważyły w przybliżeniu po pięćdziesiąt osiem kilo. Clapley nie znał ich nazwisk, prawdziwego wieku i wcale o te szczegóły nie pytał. Spotkał je pół roku temu w South Beach na całonocnym przyjęciu urządzonym przez biseksualnego niemieckiego potentata zajmującego się nieruchomościami. Kobiety powiedziały Clapley-owi, że są modelkami i przyjechały do Miami w poszukiwaniu nowych szans na zrobienie kariery. W Europie Wschodniej trudno było o stałą pracę w modzie i w porównaniu ze Stanami czy Francją kiepsko za nią płacono. Robert Clapley pomyślał, że Katia i Tisz mają trochę zbyt krzykliwy wygląd, by mogły liczyć na karierę jako modelki, ale dla niego były bardzo pociągające. Facet, który urządził przyjęcie, wziął Clapleya na bok i zwierzył mu się, że to właśnie on kupił bilety na samolot Katii, Tisz i kilku innym dziewczynom, które bardzo chciały przyjechać do Ameryki. Wybrał je z kolekcji ponad stu kobiet, którą obejrzał na promocyjnej kasecie przesłanej mu z „agencji talentów” w Moskwie.

- Ale niech ci nie przychodzą do głowy niewłaściwe pomysły, Bob. Te dziewczyny nie są pospolitymi prostytutkami - zapewnił Clapleya.

Nie, Katia i Tisz nie były pospolite. Nim minął tydzień, Clapley ulokował je w jednym ze swoich mieszkań. Znajdowało się ono na szesnastym piętrze w Palm Beach, było wyposażone w jacuzzi z siedmioma dyszami, system dźwiękowy Bose, a z okien każdego pokoju rozciągał się wart miliona dolarów widok na Atlantyki. Katia i Tisz były w siódmym niebie i z zajądłym zapałem okazywały mu swoją wdzięczność. Od czasu do czasu wychodziły na próbne pokazy, ale większość czasu spędzały, pływając, opalając się, robiąc zakupy i oglądając amerykańskie mydlane opery. Gdy wreszcie dobiegł końca okres ważności wiz, były załamane. Zwróciły się o pomoc do swojego hojnego nowego przyjaciela Boba, a on przedstawił im następującą propozycję: załatwi ich problemy wizowe w zamian za pewną uprzejmość - i to wcale niełatwą uprzejmość.

Robert Clapley był najmłodszym z pięciorga rodzeństwa i jedynym chłopcem. W pewnym okresie swojego skądinąd niczym nie wyróżniającego się dzieciństwa młody Bob nabrał nieco niezdrowego zainteresowania lalkami Barbie, które jego siostry zbierały jak kolorowe kamyki. U Clapleyów było tyle Barbie, domków Barbie i ubranek Barbie, że siostry Roberta chyba nie zdawały sobie sprawy, że od czasu do czasu ginęła jakaś lalka. Na pewno też nie przyszłoby im do głowy podejrzewać cichutkiego młodszego braciszka. Fascynacja Roberta Barbie była czymś więcej niż przelotnym młodzieńczym zainteresowaniem. Trzy kuszące trzydziestocentymetrowe boginie - Ślubna Barbie, Kopciuszek Barbie i Disco Barbie (wraz z zestawem ubiorów) - potajemnie towarzyszyły Clapleyowi, gdy w wieku osiemnastu lat rozpoczął naukę w college'u. Potem, gdy dwa razy w miesiącu przewoził prochy z Cartageny na South Bimini, nigdy nie rozstawał się ze swoją ulubioną Przygodową Barbie, ukrytą w zapinanej na zamek błyskawiczny, wyściełanej futrem kieszeni jego skórzanej kurtki lotniczej.

Co takiego uwielbiał w tych plastikowych lalkach? Niewątpliwie ich doskonałą elastyczność i idealne kształty. Z całą pewnością ta obsesja Clapleya miała w sobie pewien ekscentryczny seksualny element, ale upierałby się, że jest w nim więcej nieszkodliwej fantazji niż perwersji. I rzeczywiście traktował swoje Barbie z absolutnym szacunkiem i uprzejmością, rozbierając je wyłącznie na okres niezbędny, aby zmienić (lub wyprasować) ich przepiękne miniaturowe stroje. Bez względu na to, czy jego fascynacja była rzeczywiście niewinna, Robert Clapley wiedział, że musi strzec swojej tajemnicy, któż bowiem by go zrozumiał? Clapley trwał przy swojej manii, a po jakimś czasie zaczął wątpić, czy kiedykolwiek z niej wyrośnie - dopóki nie spotkał Katii i Tisz. Clapley został od razu ugodzony podwójnym gromem pożądania. Posągowe imigrantki stanowiły wspaniałą okazję dokonania uzdrawiającego przełomu - przeniesienia pożądania z lalek na obiekty cielesne, przekształcenia uwielbienia lalek Barbie w fizyczne spełnienie namiętności. Innymi słowy: na przemianę, chłopca w mężczyznę.

Katia i Tisz tak bardzo pragnęły pozostać w USA (i zachować całodobową używalność kurortowych wygod w mieszkaniu Clapleya), że nie okazały się głuche na jego ambitnie porąbaną propozycję. Nadanie włosom odpowiedniego odcienia blond odbyło się bez oporów - dokonano go za pomocą wybranej przez Clapleya farby do włosów stanowiącej produkt renomowanej firmy. Jednakże część chirurgiczna programu - na początek identycznych rozmiarów implanty piersi - wzbudziła w panienkach pewien niepokój.

Nie ma najmniejszych powodów do zmartwień! - upierał się Clapley. W Ameryce są najlepsi lekarze na świecie!

Ostatecznie, pełen entuzjazmu młody gospodarz, rozpieszczając Katię i Tisz i pochlebiając im, zdołał namówić obie dziewczyny, by wyraziły zgodę. Clapley zafascynowany obserwował kolejne transformacje, wszystkie te kosmetyczne zabiegi, dzięki którym jego marzenie o tym, by żyć z żywymi Barbie, miało się wkrótce spełnić. Tak, to już nie potrwa długo!

Siedział u szczytu stołu, sącząc chardonnay, i z promiennym uśmiechem spoglądał na Katię i Tisz, wcinające żarłocznie spieczone tuszki ptaków. Palmer Stoaat sprawia wrażenie faceta, który potrafiłby docenić taki układ, pomyślał radośnie. Nie mogę doczekać się jego miny, gdy przedstawię go dziewczynom.

A Stoaat, jak każdy mężczyzna, który ostatnimi czasy poznał Katię i Tisz, na pewno pochylił się w stronę gospodarza i szepnie: „O rany, Bob, czy one naprawdę są bliźniaczkami?”.

Wtedy Robert Clapley uśmiechnie się i odpowie jak zawsze: „Nie, ale wkrótce będą”.

Kiedy dom Veckera Darby'ego wyleciał w powietrze i spłonął, Twilly Spree spał w najlepsze. Twilly dwa dni później zauważył w gazecie fotografię i tej nocy spał tak samo smacznie. „Sprawiedliwość” - mrucał do McGuinna, trzymającego pysk na jego kolanie. „Sprawiedliwość, stary. O to chodzi”, pies też spał znakomicie.

Vecker Darby pojawił się w ich życiu, gdy siedzieli w samochodzie w gaju palmowym przy gruntowej drodze koło Zolfo Springs. Było tuż przed północą. Zapewne Desirata Stoaat była w domu w Fort Lauderdale ze swoim nic nie wartym, palantowatym mężem - Twilly zdał sobie sprawę, że myśli o niej.

McGuinn pożarł właśnie kolację, cztery czubate michy najlepszej suchej karmy dla psów - Desie poinstruowała precyzyjnie Twilly'ego, jaką markę ma kupować. Polecenie weterynarza, oznajmiła. W charakterystyczny dla siebie sposób McGuinn pochłonął wszystko w mniej więcej czternaście sekund. Potem Twilly podał mu antybiotyki, przemyczone w złożonym poczwornie kawałku krwistego rostbefu, który McGuinn wrębał z równym entuzjazmem.

Twilly miał włączone i głośno nastawione radio, w którym grali właśnie Derek i Dominoes, dlatego początkowo nie usłyszał wywrotki Darby'ego. A także z całą pewnością jej nie zobaczył, ponieważ jechała bez świateł. Twilly bębnił palcami po pudełku od pizzy i zastanawiał się, czy w gruncie rzeczy nie pospieszył się, pozostawiając panią Stoał w Bronson. Nie chodziło mu o to, że mogła pobiec zawiadomić gliniarzy. Czuł, że tego na pewno nie zrobi. Nie, Twilly'ego męczyło to, że jakby mu jej brakowało. Stanowiła fajne towarzystwo, a poza tym miała cudowny śmiech. Pies był wspaniały, prawdziwy czempion, ale nie rozjaśniał samochodu tak, jak robiła to Desie Stoał.

Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę, pomyślał Twilly.

Kiedy piosenka dobiegła końca, wyłączył radio. Dopiero wtedy usłyszał w pobliżu ciężarówkę - ściśle biorąc buczenie hydrauliki przechylającej skrzynię wywrotki. McGuinn uniósł wielką czarną głowę i szczerknął. „Ciil!” - szepnął Twilly. Wyślizgnął się z samochodu i wędrował wśród zarośli do chwili, gdy wyraźnie zobaczył wywrotkę i to, czym zajmował się jej kierowca. Gdy kąt pochylenia skrzyni powiększył się, jej ładunek zaczął wysypywać się na ziemię - plastikowe i blaszane beczki, zbiorniki, butle toczyły się po porośniętej mchem skarpie w stronę brzegów rzeki Peace, nad którymi Twilly Spree miał nadzieję spędzić kojąca, przyjemną noc.

Kierowca, którego nazwisko Twilly poznał dopiero z gazety, nie zwracał sobie głowy obserwacją tego, co czyni. Oparł się biodrem o zderzak, palił papierosa i czekał, aż cały ładunek sturla się po zboczu. Potem opuścił skrzynię, wsiadł do szoferki i pojechał do oddalonego o osiem kilometrów domu. Vecker Darby wciąż jeszcze był pod prysznicem, gdy Twilly spał na krótko stacyjkę ciężarówką i popędził nad rzekę, by pozbierać beczki, zbiorniki i butle. Dwie godziny później, gdy powrócił do domu Darby'ego, ten spał w swoim ulubionym fotelu Naugahyde z sześcioma pustymi puszkami po piwie Coors i włączonym na cały regulator Playboy Channel w telewizorze.

Nie obudził się, gdy zostało otwarte jedno z okien sypialni i przecięta siatka chroniąca przed owadami. Dlatego też nie zauważył, że jakiś nieznajomy, ubrany w jego własny kanarkowy kombinezon (którego on sam prawie nigdy nie nosił, ale trzymał zawsze pod siedzeniem w swojej ciężarówce na wypadek spotkania z inspektorem Agencji Ochrony Środowiska), wsuwa do środka ułamany koniec plastikowej rynny.

Nie obudził się także przez następnych dziewięćdziesiąt minut, w czasie których z rozmaitych beczek, zbiorników i butli przelano prosto do wnętrza jego domu około dziewięćset litrów żrących i łatwopalnych płynów. Powstała w wyniku tej operacji trująca zupa zawierała takie składniki, jak ksylen, fitylat benzylu, metanol, toluen, etylobenzen, tlenek etylenu i zwyczajny kwas mrówkowy. Każdy z nich mógł spowodować ciężkie i długotrwałe skażenie rzeki Peace. Zagrożenie, jakie stworzyły dla zamieszkanego domostwa, było równie poważne, ale to, co nastąpiło później, okazało się przede wszystkim niezwykle widowiskowe.

Gryzące opary obudziły w końcu Veckera Darby'ego. Wstał, kaszląc gwałtownie, i uświadomił sobie z całą ostrością, że coś jest nie tak. Miał zamiar opuścić mieszkanie, ale najpierw postanowił opróżnić swój napęczniały piwem pęcherz. Zapewne przeżyłby krótką wycieczkę do ubikacji, gdyby (z głupiego, bezsensownego nawyku) nie zapalił po drodze marlboro.

Z brutalnie wyraźnych fotografii w „News Press” wydawanej w Fort Myers wynikało, że dom Veckera Darby'ego wypalił się do fundamentów. Budynek stał samotnie w czymś, co było niegdyś gajem pomarańczowym, od miasta dzieliło go wiele kilometrów i dlatego nikt nie wiedział o szalejącym piekle, dopóki nie dostrzegł go pilot pasażerskiego odrzutowca. Zanim przybyły wozy straży pożarnej, nawet ciężarówka ofiary zmieniła się w wypalony szkielet. Autor notatki w gazecie poinformował czytelników, że Darby był właścicielem firmy zajmującej się wywozem odpadków i obsługującej przedsiębiorstwa przemysłowe od Sarasota do Naples. W notatce wspomniano również, że zmarły pan Darby zapłacił kiedyś dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów kary za nielegalne wyrzucenie strzykawek, opatrunków chirurgicznych i innych skażonych odpadków szpitalnych na publiczne wysypisko śmieci za przedszkolem w Cape Coral.

Twilly Spree przeczytał artykuł o Veckerze Darbym, stojąc koło automatu telefonicznego w centrum handlowo-usługowym usytuowanym przy stanowej autostradzie znanej pod nazwą Alei Aligatorów. Twilly czekał, by o umówionej godzinie zadzwonić do Desie Stoał. Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Twilly?

Po raz pierwszy usłyszał, jak wymawia jego imię, i wywarło to na nim dziwne, choć wcale nie nieprzyjemne wrażenie.

- Tak, to ja - odpowiedział. - Możesz mówić?
 - Tylko przez chwilę.
 - Powtórzyłaś mężowi groźbę?
 - Tak.
 - I co?
 - Nie uwierzył - wyjaśniła Desie.
 - W co nie uwierzył? Że zamorduję psa?
- Usłyszał w słuchawce westchnienie Desie i wyczuł w nim niepokój.
- Palmer nie wierzy, że masz naszego psa, Twilly. Nie wierzy, że to było porwanie. Nie wierzy nawet w twoje istnienie. Sądzi, że mi odbiło i wymyśliłam całą tę historię.
 - Nie opowiadaj.
 - Strasznie się pokłóciliśmy. Chce, żebym poszła do psychologa.
 - Ale przecież pies zaginał - zdziwił się Twilly. - Co on na to?
 - Myśli, że wysłałam Boodle'a do matki.
 - Jezu, dokąd?
 - Aż do Georgii.
 - Masz za męża bałwana - uznał Twilly.
 - Muszę już iść - powiedziała Desie.
 - Zadzwoń za dwa dni. A tymczasem powiedz mężowi, żeby czekał na przesyłkę FedEx.
 - Och, nie. Co teraz masz zamiar zrobić?
 - Sprawić, żeby uwierzył - oznajmił Twilly.

Desirata Brock urodziła się w Memphis, a wychowała w Atlancie. Jej matka była lekarzem pediatrą, a ojciec mechanikiem w liniach lotniczych Delta. Desie uczęszczała na Uniwersytet Stanowy Georgii, ponieważ chciała zostać nauczycielką, ale na drugim roku zmieniła plany, bo zaręczyła się z zawodowym koszykarzem, który nazywał się Gorbak Didovlic, miał nieco ponad dwieście dziesięć centymetrów wzrostu i nie mówił po angielsku.

Dido, jak go nazywano w NBA, był początkującym zawodnikiem w drużynie Atlanta Hawks. Wypatrzył Desie na korcie tenisowym i posłał jednego z trenerów Hawksów, żeby zdobył jej numer telefonu. Dido bardzo ładnie się zachował, przyprowadzając na dwie pierwsze randki tłumacza z serbsko--chorwackiego, ale za trzecim razem pojawił się w mieszkaniu Desie sam. Poszli na obiad, a potem do klubu. Dido był zaskakująco gadatliwy i chociaż Desie nic nie rozumiała z tego, co mówił, wyczuwała w jego niepojętym, pełnym spólgłosek monologu jakąś oryginalną imigrancką niewinność. Nie po raz ostatni źle oceniła mężczyznę.

Tuż po pierwszej w nocy Desie postukała palcem po zegarku, dając Dido znak, że pora wychodzić. Odwiozł ją do domu, poszedł pod drzwi i czule pocałował jąw czubek głowy, jedyną część ciała Desie, której mógł bez klękania dosięgnąć ustami. Następnie położył wielkie, szczupłe dłonie na jej ramionach i zaczął mówić żarliwie stłumionym głosem. Zmęczona już Desie kiwała głową, uśmiechała się ciepło i mamrotała uniwersalne frazesy takie jak: „To bardzo miłe”, albo: „Wiem, co masz na myśli”. Ale w rzeczywistości zupełnie nie połapała się, o co Dido właściwie chodziło, ponieważ następnego dnia posłaniec doręczył jej pierścionek zaręczynowy z wielkim brylantem. Prezentowi towarzyszył list, a właściwie były to dwa listy - od Dido, nagryzmoniony ołówkiem na papierze z logo Reeboka, i wymęczone tłumaczenie, które brzmiało: „Ja jestem taki bardzo szczęśliwy, że ty masz być moja żona. Nasze życie razem będzie pełne wielu radości i przyjemności. Dziękuję ci mnóstwo za powiedzenie tak. Twoja najszczęśliwsza miłość, Gorbak”.

Desie była bardzo oszołomiona, dowiedziawszy się, iż Dido się jej oświadczył, ajeszcze bardziej, gdy się zorientowała, że oświadczyły te przyjęła. Ale Dido upierał się, że tak właśnie było, i Desie uwierzyła mu na słowo. Wydało się jej to romantyczne w dziwaczny, sitcomowy sposób. Rzuciła college, bo wpadła na pomysł, że będzie towarzyszyć narzeczonemu w czasie rozgrywek NBA. Wyobrażała sobie, że podróże z Dido będą podniecającą okazją, aby obejrzeć największe miasta Stanów, i szczególnie cieszyła się na Nowy Jork, Boston i Chicago. Ale Dido wyjaśnił przez tłumacza (którego Hawksi przydzielili mu na stałe), że żonom i przyjaciółkom nie wolno towarzyszyć graczom w czasie wyjazdów. Będzie jednak „mnóstwo szczęśliwy - wyjaśnił tłumacz - jeżeli będzie na wszystkich meczach w Atlancie”. „Tak będzie lepiej - dodał tłumacz. - A także możesz zostać w szkole i być chytrzejsza”. Desie nie była do końca pewna, że są to słowa Dido, ale odparła tłumaczowi, że pomyśli o tym.

Pierwszy obejrzany przez nią mecz koszykówki był fajny. Odbył się któregoś stycznia 1988 roku. Desie przez jakiś czas przechowywała bilet w swoim starym pudełku z przyborami do szycia. Hawksi zwyciężyli Chicago Bulls 107 do 103. Dido grał większą część trzeciej kwarty i zablokował cztery rzuty. Desie dostała miejsce blisko parkietu, w części, gdzie siedziały żony i przyjaciółki graczy. Z reguły, podobnie jak ona, były młode i wyjątkowo urodziwe. W czasie przerwy żartowały i plotkowały. Desie nie

interesowała się zawodową koszykówką i nie zdawała sobie sprawy, jak wielkim przemysłem stawał się ten sport. Żona jednego z Hawksów wskazała na przedwcześnie wyłysiałego gracza z Chicago, który ćwiczył rzuty z wysokości, i powiedziała, że zarabia ponad pięć milionów dolarów rocznie, nie licząc honorariów za reklamy. Desie była wstrząśnięta. Zainteresowała się, ile zarabia Dido, a żona innego Hawksa (która pamiętała wszystkie statystyki drużyny) z przyjemnością ją oświeciła. Była to rzeczywiście zbijająca z nóg suma jak na dwudziestodwuletniego człowieka, a na dobrą sprawę jak na każdego. Desie szybko wykonała w myśli obliczenia. Wychodziło na to, że wynagrodzenie Dido wynosi dziesięć tysięcy pięćset dolarów za mecz.

Nie wróciła do college'u. Dido wynajął jej większe mieszkanie w rejonie Buckhead, kupił kabriolet firebird (zarobek przynajmniej dwóch nocy) i załatwił prywatne lekcje tenisa w położonym niedaleko klubie. Reebok dostarczał darmowe buty.

Narzeczeństwo trwało trzy miesiące bez jednego dnia. Zakończyło się, gdy Desie nagle postanowiła polecieć do Detroit, aby zrobić narzeczonemu niespodziankę w dniu jego urodzin. Kiedy zastukała do drzwi jego pokoju w Ritz-Carlton, otworzyła jej kruczowłosa kobieta z wielkimi chromowanymi kolczykami w kształcie kół, ubrana w lateksowe spodenki kolarskie i nic poza tym. Na lewej piersi kobiety wytatuowana była uśmiechnięta czaszka w kowbojskim kapeluszu.

Dama w stroju topless okazała się miejscową tancerką erotyczną, która mówiła nie tylko po angielsku, ale również płynnie po serbsko-chorwacku. Jeden z graczy Pistonów przedstawił ją Dido na przyjęciu kawalerskim. Desie uprzejmie gawędziła z kobietą do chwili powrotu narzeczonego z meczu. Niestety, odesłał tłumacza do domu wcześniej - wychodząc z założenia, że przy dwujęzycznej striptizerce nie będzie mu potrzebny - i dlatego nie pojął większej części burzliwej wypowiedzi Desie. Najwyraźniej jej nastrój nie wymagał tłumaczenia. Dido wyczuł jej gniew, zanim jeszcze wrzuciła pierścionek zaręczynowy do sedesu i spuściła wodę.

Próbował ją przeprosić po powrocie drużyny do Atlanty, ale Desie nie chciała już się z nim spotykać. Wyprowadziła się z mieszkania w Buckhead i przeniosła się do rodziców. Pewnego dnia, gdy Dido pojawił się koło domu, oblała go wodą z węzła ogrodowego. Odtrącenie sprawiło go w depresję, która fatalnie wpłynęła na jego jeszcze marginalne sukcesy na boisku. Pewnej koszmarnej nocy, występując w zastępstwie zagrypionego Mosesa Malone'a, Dido zdobył tylko trzy punkty, zaliczył jedną jedyną zbiórkę, pięć razy źle podał piłkę i w połowie trzeciej kwarty został zdjęty z boiska za faule. Następnego dnia sprzedano go do Golden State Warriors i Desie nigdy więcej go nie zobaczyła, nawet w telewizji.

Och, znajdziesz sobie kogoś innego, zapewniała ją matka. Po prostu i natrafiłaś na niewłaściwego człowieka.

Ale wyglądało na to, że Desie nie jest w stanie znaleźć właściwego. Zanim skończyła trzydzieści lat, zaręczyła się jeszcze trzy razy, ale ani razu nie wyszła za mąż. Dwukrotnie oddała pierścionek bez gniewu, ale raz zatrzymała. Otrzymała go od narzeczonego o nazwisku Andrew Beck, w którym niemal się zakochała. Andrew Beck parał się produkcją i reżyserią reklamówek telewizyjnych dla kandydujących na różne stanowiska polityków, z wykształcenia i powołania był jednak artystą. Przez wiele lat poważnie zajmował się malarstwem oraz rzeźbą i niemal umarł z głodu. Potem dostał się do telewizji i stał się bogaty, jak zresztą wszyscy narzeczeni Desie. Wmawiała sobie, że to przypadek, ale w głębi duszy wiedziała, jaka jest prawda. W każdym razie żywiła silne uczucie do Andrew, który miał w sobie coś marzycielsko twórczego i odległego. Desie to fascynowało, ponieważ nigdy dotąd nie była z mężczyzną choćby odrobinę tajemniczym. Andrew nie cierpiał polityki, pogardał właściwie senatorami i kongresmanami, którzy płacili tak bajeczne sumy za jego umiejętność tworzenia ich wizerunku. Desie zaczęła podziwiać Andrew za to, że nienawidzi swojej pracy - tylko człowiek o wzniosłych zasadach mógł zdobyć się na odwagę i przyznać, że marnuje dany mu przez Boga talent na coś tak płytkiego, manipulatoryskiego i oszukańczego jak trzydziestosekundowe reklamówki polityczne.

Ubocznym skutkiem godnej pochwały szczerości Andrew Becka był fakt, że często błąkał się zamyślony i ogarnięty depresją. Desie obwiniała się o wszystko, co zdarzyło się potem. Namówiła Andrew, aby poszedł do psychologa, a ten wyjaśnił mu, że powinien znaleźć sposób uwolnienia jego wewnętrznej fontanny Angst. Okazało się nim kolczykowanie oraz dziurkowanie i Andrew gorliwie rozpoczął realizację programu samookaleczania. Zaczął od trzech małych otworków w każdej małżowinie usznej, następnie szybko przeszedł do brwi, jednego policzka i obu płatków nosa. Ale nie poprzestał na tym. Wszczepiał sobie ćwieki, klamerki i kolczyki jedynie z najczystszej srebra i nie minęło wiele czasu, gdy sterczały one z tak wielu wykonanych sztucznie otworów, że podróże normalnymi liniami lotniczymi stały się właściwie niemożliwe na skutek opóźnień powodowanych przez wykrywacze metalu. Po każdym nowym zabiegu oblicze Andrew przybierało coraz bardziej groteskowy wygląd, ale wyglądało na to, że jego polityczna klientela zbytnio się tym nie przejmowała. W gruncie rzeczy zapotrzebowanie na profesjonalne usługi Andrew było większe niż kiedykolwiek. Desie natomiast na dobrą sprawę nie mogła na niego patrzeć. Czepiała się nadziei, że to jedynie pewna faza jego życia, i nie zmieniła zdania nawet wtedy, gdy Andrew przebił sobie język, aby umieścić w nim wielki hak na tarpona. Desie doceniła

symboliczny walor tego przedsięwzięcia, ale nie namacalne skutki. W istocie uprawianie seksu z Andrew zaczęło zbytnio przypominać bieg i przeszkodami, ozdoby ciała czeptały się i wbijały w nią w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Jednakże zależało jej na nim i wciąż próbowała. Aż do pewnego wieczoru, kiedy pojawił się z małą, wykonaną z czternastokaratowego złota strzałą Kupidyna, którą przebił sobie fałdy moszny. Wtedy właśnie Desie uświadomiła sobie, że nic nie ocali ich związku, i przeniosła się do domu rodziców. Pierścionek zaręczynowy zatrzymała nie ze względów sentymentalnych, ale ponieważ obawiała się, że Andrew Beck może wykorzystać go w charakterze jakiejś perwersyjnej ozdoby własnego ciała.

Niecały tydzień później Desie odebrała telefon od Palmera Stoata. Spotkała go do tej pory tylko raz podczas adiustacyjnej sesji w studiu Andrew, który nagrywał próbne reklamówki do kampanii wyborczej niejakiego Di-cka Artemusa, zamierzającego ubiegać się o stanowisko gubernatora Florydy. Palmer Stoat przyjechał z Artemusem do Atlanty i siedział obok niego w czasie, gdy wyświetlano reklamówki „Głosuj na Dicka”. Desie przyszła tam, żeby nie dopuścić, by Andrew, który brzydził się swym klientem, obraził Artemusa, co oznaczałoby wyrzucenie przez okno producenckiego kontraktu na sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

W studiu Stoat zaczął flirtować z Desie, dopóki nie powiedziała mu wyraźnie, że jest zaręczona. Stoat przeprosił ją i nie odezwał się już ani słowem, chociaż przez całe popołudnie na dobrą sprawę nie odrywał od niej wzroku. Desie nigdy się nie dowiedziała, jak się to stało, że tak szybko dotarła do niego wiadomość o jej zerwaniu z Andrew Beckiem. Palmer nie tracił czasu i zaczął zasypywać ją telefonami, kwiatami i biletami lotniczymi pierwszej klasy. Początkowo Desie starała się go zniechęcić, lecz ostatecznie przełamał jej opór zręcznie okazywanym entuzjazmem - zawsze dawała się nabrać, gdy ją rozpieszczono i prawiono jej komplementy, a pod tym względem Palmer był wirtuozem. Rodzice Desie zdawali się go uwielbiać (co samo w sobie powinno być dla niej sygnałem ostrzegawczym) i namawiali ją, żeby dała młodemu dżentelmenowi uczciwą szansę. Dopiero później, gdy wyszła za Palmera i przeniosła się do Fort Lauderdale, uświadomiła sobie, że starzy po prostu próbowali wypchnąć ją z domu. (Dwa dni po ślubie ojciec sprowadził brygadę stolarzy, aby przerobili jej sypialnię na pokój do ćwiczeń gimnastycznych).

Nie mogła zaprzeczyć, że Stoat dobrze ją traktuje: beemka, dom nad kanałem w pobliżu Las Olas, wszelkie zakupy, na jakie miała ochotę. I chociaż fizyczne kontakty pomiędzy Desie a jej małżonkiem nie były ani akrobatyczne, ani płomienne, to jednak najczęściej sprawiały jej przyjemność. Palmer był jak na gust Desie właściwie nieco zbyt pulchny, ale kiedy zdjął ubranie, to przynajmniej nie wyglądał jak jakaś cholerna choinka na Boże Narodzenie. Żadna część bladego ciała Palmera nie była przedziurawiona, oklamerkowana czy zakolczykowana, co pannie młodej sprawiało prawdziwą przyjemność. Kochanie się bez obaw o zadrapania czy skaleczenia było miłe, choć nie dostarczało jej raczej zbyt szalonych przeżyć.

Desie czuła się tak wywołana, że w czasie nocy poślubnej na Tortoli nie przestała odczuwać podniecenia - i nie rozchichotała się jak szalona - kiedy Palmer wysapał jej do ucha: „Dalej, dziecińco, rozpal moją świeczkę”.

- Ogień - szepnęła łagodnie.

- Co?

- Tam jest „mój ogień”, kochanie. W piosence jest: „Dalej, dziecińco rozpal mój ogień”.

- Niemożliwe. Widziałem tego facia, zanim kopnął w kalendarz, na jego przedstawieniu w Dinner Key...

- Palmer - przerwała mu Desie, zmieniając temat - mogę teraz być na górze?

Dopiero po trzech miesiącach przyniósł do łóżka polaroid. Desie zgodziła się, choć tego nie aprobowała. Błysk flesza był irytujący, podobnie jak reżyserskie wskazówki Palmera. Co więcej, zdjęcia były tak nieostre i marnie zakomponowane, że nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż uważa je za podniecające. Czy to oznacza, że jest zbokiem? Po intymnych chwilach spędzonych z Andrew Beckiem nic poza średniowieczną maczugą i kolczastą zbroją nie wydawało się jej perwersyjne.

Mimo wszystko jednak skreśliła cygara. Palmer chciał, żeby spróbowała zapalić w sypialni przed seksem, a może również w czasie seksu.

- Nie ma mowy - oznajmiła.

- To przez tego cholernego Billa Clintona, prawda? On i te jego porąbane laski przyniosły cygarom złą sławę. Słowo daję, Des, chcę tylko, żebyś jedno wypaliła!

- Odpowiedź brzmi „nie” i nie ma nic wspólnego z prezydentem.

- No więc o co ci chodzi? - Palmer Stoat wyrecytował nazwiska kilku palących cygara gwiazdek. - Zgódź się - błagał. - To bardzo erotycznie wygląda.

- Bardzo głupio wygląda. Nie mówią już o mdłościach, których dostają.

- Och, Desie, proszę.

- Powodują raka, wiesz? - oznajmiła. - Złośliwe guzy podniebienia miękkiego. Czy to też uznasz za erotyczne?

Nigdy więcej nie wspomniał o seksie z cygarem. A teraz: róg nosorożca. Desie była wstrząśnięta. Zabicie tego zwierzęcia było samo w sobie paskudne, ale coś takiego!

Należało przyznać, że niezbyt często uprawiali seks. Desie wiedziała, dlaczego nie bywa w miłosnym nastroju - nie czuła się zadowolona ani z siebie, ani z małżeństwa. Nie była nawet pewna, czy nadal lubi swojego męża. Uświadamiała sobie także, że on również jakby stracił zainteresowanie. Może utrzymywał jakieś panienki w Tallahassee i Waszyngtonie, a może nie. Może był szczery, kiedy powiedział, że jedynym powodem zakupu czarnorynkowego proszku z nosorożca była chęć ożywienia ich miłości.

Desie nie wiedziała, co robić. Pod względem materialnym miała zapewnione dobre, wygodne życie. Bała się nawet myśleć o zaczynaniu wszystkiego od początku. Ale pustka w jej sercu również była przerażająca i z każdym dniem napawała ją coraz większym lękiem. Nie uważała się za jedną z tych żon, które potrafiły uznać małżeński chłód za coś nieuniknionego, a więc udawały, że nic takiego nie istnieje, zabijały czas w kurortach, odbywały zagraniczne podróże czy zajmowały się modernizacją domu.

A może jednak mogła się z tym pogodzić? Desie samotność wydawała się czymś bardziej trudnym do zniesienia niż pozostawanie w niezbyt udanym związku małżeńskim. Niektóre z jej przyjaciółek trafiły gorzej, ich mężowie mieli wszystko w nosie. Palmer przynajmniej się starał albo udawał, że się stara. Jego nadzieja na dwudniową erekcję była albo ujmująca, albo kretyńska w zależności od rzeczywistych motywów.

W każdym razie Desie była tak rozwścieczona sposobem, w jaki wyśmiał jej historię o porwaniu, że kazała mu spać w jednym z pokoi gościnnych.

- Znajdę ci psychiatrę. Najlepszego w mieście - obiecał jej Palmer Stoa. - Proszę, Des. Po prostu jesteś trochę zdezorientowana.

- I od tej pory wolę zostać w takim stanie - oświadczyła. Stanowczym ruchem zamknęła mu drzwi sypialni przed nosem.

McGuinn nagle przestał jeść i stał się apatyczny. Początkowo Twilly nie wiedział dlaczego. A potem znalazł na podłodze pod tylnym siedzeniem samochodu całą grudę pokrytych resztkami opatrunków pigulek z antybiotykami. Pies przez cały czas tylko udawał, że łyka - zżerał smażoną wołowinę i jakimś cudem chował przypominające kredę pigułki pod językiem. A później, kiedy Twilly nie patrzył, wypluwał je.

W rezultacie uparty zwierzę nabawił się pooperacyjnej infekcji, pomyślał Twilly. Z książki telefonicznej wybrał najbliższy gabinet weterynaryjny. Tam recepcjonistka wzięła kwestionariusz i zadała mu kilka pytań.

- Jak się nazywa?

Twilly podał jej imię psa.

- Rasa?

- Labrador.

- Wiek?

- Pięć lat - na chybił trafił odparł Twilly.

- Waga?

- Pięćdziesiąt cztery. Może cięższy.

- Wykastrowany?

- Niech pani sama sprawdzi.

- Nie, dziękuję - powiedziała recepcjonistka.

- Widzi pani? Jaja.

- Czy nie zechciałby pan kazać mu się położyć, panie Spree?

- Leżeć, stary - posłusznie polecił Twilly.

- Czy życzy pan sobie, żebyśmy go przy okazji wykastrowali?

- Nie mnie powinna się pani o to pytać - odparł Twilly.

- Mamy w tym miesiącu specjalną ofertę dotyczącą kotów i psów - wyjaśniła recepcjonistka. - Otrzyma pan refundację dwudziestu pięciu dolarów z towarzystwa humanitarnego.

- Czy po dwadzieścia pięć za każde jądro?

- Nie, panie Spree.

Twilly poczuł, że labrador wpatruje się w niego.

- Tylko koty i psy?

- Owszem.

- Szkoda.

Recepcjonistka zignorowała ostatnią uwagę. Ubrana w różowy fartuch wysoka kobieta o kędzierzawych włosach przysła, aby zabrać McGuinna. Twilly poszedł z nią do gabinetu zabiegowego i wspólnie ułożyli psa na stole z nierdzewnej stali. Potem przyszedł weterynarz - drobnej postury jęgomość koło

sześćdziesiątki. Miał rudawo-siwe wąsy, okulary w grubej oprawie i mało mówił. Osluchiwał serce McGuinna, obmacał jego podbrzusze i obejrzał szwy.

Potem, nie podnosząc głowy, zapytał:

- Co było powodem operacji?
- Nie wiem - odparł Twilly. Desie obiecała mu powiedzieć, ale nie zrobiła tego.
- Nie rozumiem. To nie pański pies?
- Prawdę mówiąc, znalazłem go kilka dni temu.
- W takim razie skąd pan wie, jak się nazywa?
- Musiałem jakoś go wołać, nie tylko „stary”.

Weterynarz odwrócił się i spojrzał podejrzliwie na Twilly'ego, który I od ręki wymyślił historię o tym, jak znalazł labradora niedaleko Sarasoty, wędrującego poboczem międzystanowej autostrady nr 75. Zapewnił weterynarza, że dał ogłoszenie do miejscowej gazety w nadziei, że uda mu się znaleźć właściciela psa.

- Nie miał numerka poświadczającego, że jest szczepiony przeciwko wścieklicznie? - spytał lekarz.
- Nie, proszę pana.
- Ani obroży?
- Nie - odparł Twilly. Obroża i numerki były w samochodzie.
- Taki pies... aż trudno uwierzyć. To zwierzę ma cechy medalisty.
- Z całą pewnością bym tego nie poznał.

Weterynarz pogłaskał McGuinna po pysku.

- Komuś zależało na nim do tego stopnia, że zabrał go na operację. A potem go porzucił? To przecież bez sensu. W każdym razie ja nic z tego nie rozumiem.
- Ludzie są dziwni. - Twilly wzruszył ramionami. - Chodzi o to, że mnie również na nim zależy. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj.
- No tak, przypuszczam, że ma pan rację.
- Zacząłem się martwić, kiedy przestał jeść.
- Tak, dobrze, że go pan przywiózł. - Weterynarz odwinął McGuinnowi górną wargę i spojrzał na blade dziąsła. - Panie Spree, czy zechce pan poczekać w drugim pokoju?

Twilly wrócił do recepcji i zajął miejsce naprzeciwko dwóch kobiet o macierzyńskim wyglądzie, z których każda trzymała na kolanach spasionego kota. Obok Twilly'ego siedział mężczyzna o ostrych rysach twarzy, tuląc zamszową walizeczkę, z której od czasu do czasu wyłaniał się mały - nie większy od jabłka - kosmaty łepiek. Wilgotne brązowe ślepka lustrowały czujnie cały pokój do chwili, gdy mężczyzna szeptał coś, a wtedy maleńka główka chowała się z powrotem.

Mężczyzna o ostrych rysach spostrzegł, że Twilly przygląda się stworzonku, i opiekuńczym gestem przytulił walizeczkę do piersi. A potem nagle wstał i przesiadł się o trzy krzesła dalej.

- Jak nazywa się pański chomiczek? - zapytał przyjaźnie Twilly.

Młody człowiek złapał weterynaryjne czasopismo i udawał, że czyta.

Również inni właściciele zwierząt sprawiali wrażenie mało towarzyskich i nie przejawiali chęci do nawiązania rozmowy. Twilly uznał, że odnoszą się z dezaprobatą do jego stroju - był bez koszuli, w samych tylko starych szortach i na bosaka. Reszta ubrania znajdowała się w automacie pralniczym na tej samej ulicy.

- No dobra - powiedział i skrzyżował ramiona na piersi. Bardzo szybko zasnął i jak zwykle nic mu się nie śniło. Kiedy się obudził, zobaczył przed sobą twarz kędzierzawej kobiety w różowym fartuchu.
- Panie Spree? Panie Spree?
- Tak? Przepraszam.
- Doktor Whitcomb chce się natychmiast z panem widzieć.

Twilly wstał tak szybko, że zakręciło mu się w głowie.

- Coś się stało? - zapytał kobiety w różowym fartuchu.
- Proszę, niech pan idzie ze mną.

Pies zjawił się u Palmera Stoata przed Desiratą. Był prezentem od Daga Magnussona, prezesa Przedsiębiorstwa Fosfatowego Magnussona, który wiedział, że Palmer lubi polować. Dag Magnusson kupił psa od hodowcy | medalowych labradorów z Hibbing w Minnesocie. Wybrany przez Daga j szczeniak był najlepszy w całym miocie i kosztował tysiąc pięćset dolarów. Stoat nazwał go Boodle, co stanowiło ukrytą żartobliwą aluzję, chociaż pies na dobrą sprawę nie był łapówką, ale raczej nagrodą za jej załatwienie.

Dag Magusson szukał dojścia do Stoata, ponieważ kopalnia Magnussona w okręgu Polk miała właśnie zostać zamknięta przez Agencję Ochrony Środowiska za zanieczyszczanie miejscowego jeziora odpadami chemicznymi ze ścieków. Substancje te były tak wredne, że wytepiły wszelkie formy życia większe od ameby, i rząd zastanawiał się nad wlepieniem Fosfatom Magnussona solidnej, sześciocyfrowej grzywny, a dodatkowo -nad zamknięciem zakładów na kłódkę. Sytuacja była do tego

stopnia politycznie delikatna, a jezioro zmieniono w takie cuchnące szambo, że nie dałoby się skłonić do interwencji żadnego, nawet najbardziej skorumpowanego kongresmana.

Wobec tego Palmer Stoat spróbował zastosować inny manewr. Zapoznał Daga Magnussona z okręgowym inspektorem Agencji, który - o czym niemal wszyscy wiedzieli - miał pewną niewinną słabość: kochał łowić pstrągi. Dag Magnusson zaprosił inspektora na wspólną wyprawę nad będący prywatną własnością odcinek cudownej rzeki w zachodniej Montanie, gdzie szczęściarz inspektor wyciągnął swojego pierwszego półmetrowego tęczaka. Ryba jeszcze nie skończyła podskakiwać na brzegu, kiedy Agencja po cichutku zaczęła negocjować z Fosfatami Magnussona. Kopalnia ostatecz-S nie zgodziła się zapłacić trzy tysiące dziewięćset dolarów grzywny i postawić na własny koszt duże tablice ostrzegawcze na brzegach zatrutego jeziora w okręgu Polk. Dag Magnusson był zachwycony osiągniętym rezultatem i doszedł do wniosku, że Palmer Stoat zasługuje na coś więcej niż tylko na swoje normalne, niebotyczne honorarium.

Stąd właśnie wziął się pies. Ówczesna (druga) żona Stoata protestowała, ale na próżno. Żona miała na imię Abbie i brakło jej cierpliwości do sius-ków i kupek szczeniaka. Niewielu ludzi było w stanie oprzeć się ociężałemu urokowi sześciotygodniowego labradora, ale Abbie potrafiła i wcale tego nie ukrywała, wręcz przeciwnie. Jak sama to przyznała, nie należała absolutnie do miłośników zwierząt. Uważała, że wszystko, co ma na sobie futro, powinno wisieć na ramiączku w szafie, a nie leżeć pod stołem w jadalni, liżąc jej wypedikiurowane paluszki. Jej stosunek do szczeniaka był tak lodowato wrogi, że zaniepokoił męża, którego bawił albo może oczarował rubaszny nowy zwierzak. Palmer Stoat w myślach gromadził motywy rozwodu z Abbie i jej awersja do Boodle'a natychmiast znalazła się na samym szczycie listy (zepschnąwszy na czas jakiś z tej pozycji jej niechęć do kontaktów oralno-genitalnych).

Ostatecznie Stoat zdołał obrócić niechęć swojej żony do szczeniaka na własną korzyść. Pewnego wieczoru powrócił do domu z Tallahassee i zobaczył, jak Abbie histerycznie okłada młodego psa zwiniętym w trąbkę egzemplarzem „Women's Wear Daily”. Boodle miał już prawie rok i ważył ponad czterdzieści kilo, toteż atak Abbie nie wyrządził mu żadnej krzywdy ani nawet go nie zdenerwował (zupełnie nie potrafił też dostrzec związku pomiędzy laniem a koralową wizytową torebką od Rossettiego, którą wybrała na swój najnowszy gryzaczek). Pies uznał, że Abbie się z nim bawi, przez cały czas trwania jej napadu furii machał podobnym do policyjnej pałki ogonem, doceniając, że pani wreszcie wykazała zainteresowanie jego osobą. Palmer Stoat wpadł do pralni i wyrwał żonie z ręki zwinięty magazyn mody. Nim minął tydzień, wręczył jej pozew rozwodowy. Abbie podpisała go bez oporu; wolała to od drastycznego oskarżenia o okrucieństwo wobec zwierząt, które - jak jej mąż zagroził - mogłoby zostać opublikowane w prasie.

Kiedy wreszcie odeszła, Stoat przez jakiś czas próbował zrobić ze swojego medalowego labradora psa myśliwskiego. Boodle doskonale radził sobie z łapaniem, ale okazał się niezbyt dobry w aportowaniu. Potrafił odnaleźć postrzeloną kaczkę w najgęstszych trzcinach, ale zawsze płynął dalej. Zanim Stoat i jego koledzy myśliwi zdołali złapać psa, z nieszczęsnej kaczki pozostawało już tak niewiele, że nie nadawała się do kuchni. Stoat zatrudnił po kolei pół tuzina treserów labradorów i w końcu poddał się. Talent do aportowania, z którego słynął cały ród Boodle'a, najwyraźniej nie objawił się w tym pokoleniu. Stoat przydzielił psu obowiązki psa obronnego, do których pełnienia pozornie świetnie się nadawał z racji swoich dwóch budzących respekt cech: potężnych rozmiarów i smolistej sierści.

Tak więc Boodle stał się panem zaniku. Stoat niewątpliwie był do niego przywiązany i lubił jego towarzystwo w czasie tych rzadkich wieczorów, kiedy ani nie podróżował, ani nie popijał u Swaina. Sprawilo mu też niezwykle radość odkrycie, że w przeciwieństwie do pokonanej Abbie kobiety na ogół uwielbiają ogromne, łase na pieszczoty psy i pociągają je ich właściciele. Boodle (przechwalał się przed kumplami Palmer Stoat) okazał się „wspaniałym Magnesem na laski”. Z całą pewnością sprawdziło się to również w przypadku Desie, która natychmiast zakochała się w psie. Naiwnie uznała pogodne usposobienie labradora za odbicie charakteru jego pana. Taki szczęśliwy pies, rozumowała, mógł wyrosnąć jedynie pod opieką cierpliwego, troskliwego, pozbawionego egoizmu człowieka. Desie wierzyła, że o kandydacie na męża najwięcej można się dowiedzieć, gdy się ogląda jego domowe zwierzę, samochód, zawartość szafy i kolekcję kompaktów. Ponieważ Boodle był komicznie szczęśliwym i łagodnym psem, wydało się jej rzeczą nie do pomyślenia, by Palmer Stoat mógł się okazać wyrachowanym krętaczem i szują.

Chociaż po ślubie opinia Desie o mężu zdecydowanie się pogorszyła, to jej przywiązanie do psa stało się jeszcze głębsze. A teraz Boodle/McGuinn znajdował się pod opieką niezrównoważonego młodego człowieka, który równie dobrze mógł się okazać wariatem, a ona nie mogła przekonać męża, że to prawda. Minęło kilka dni. Pewnego późnego popołudnia Federal Express dostarczył kopertę. Desie zastanawiała się, co takiego Twilly Spree mógł wysłać, by przekonać jej powątpiewającego męża. Pewnie fotografię psa, doszła do wniosku, psa przedstawionego w ewidentnej sytuacji zagrożenia. Ale jakiej? Przywiązanego do zwrotnicy kolejowej? Związanego z rewolwerem przytkniętym do głowy? Desie nie chciała nawet o tym myśleć.

Rejsowy samolot z Tallahassee miał opóźnienie i Palmer zjawił się w domu dopiero o wpół do dwunastej w nocy, kiedy Desie już leżała w łóżku. Usłyszała, jak wchodzi do gabinetu, w którym zostawiła kopertę, jak otwiera szufladę w biurku, w której trzymał pozłacane nożyczki. Przez kilka chwil nie docierał do niej żaden dźwięk, aż w końcu rozległo się drżące beczenie, które w niczym nie przypominało głosu jej męża.

Desie wbiegła do gabinetu. Palmer stał parę metrów od biurka i wskazywał na nie nożyczkami trzymanymi w rozdygotanej dłoni.

- Co się stało?

- Eeeeeaaaah! - zawołał.

Desie podeszła, żeby sprawdzić, co znajduje się w kopercie. Początkowo pomyślała, że to skarpetka, cienka, lśniąca, pomarszczona czarna skarpetka, co przecież nie miałyby żadnego sensu. Desie wzięła do ręki jedwabisty przedmiot, który nagle wydał się jej czymś znajomym, a potem sama krzyknęła.

Było to odcięte ucho psa, dużego psa. Dużego czarnego labradora.

Desie upuściła je, a ucho opadło na jasny dywan niczym martwy nietoperz.

- Jezu! - jęknęła.

Jej zaczerwieniony, rozdygotany małżonek rzucił się w stronę łazie Desie załomotała wściekle w jej drzwi.

- Teraz mi wierzysz? - wrzasnęła, przekrzykując odgłosy wymiotów. I co na to powiesz, Palmerze? Teraz mi wierzysz, cwany sukinsynu?

Twilly'emu brakowało McGuinna. Brakowało mu jego sapania, piżmowego ciepła jego sierści. To przecież tylko pies, myślał. Przez całe dzieciństwo dawałem sobie radę nawet bez złotych rybek, więc czemu czuję się teraz tak bardzo winny z powodu jakiegoś cholernego psa?

Przez dwa dni Twilly jeździł na okrągło i prowadził poszukiwania w miejscach, które wydawały mu się najbardziej odpowiednie. Okeechobee Road w zachodnim Dade. Sunrise Boulevard w Fort Lauderdale. Dixie Highway w Północnym Miami. U.S. 1 od Kendall Drive do Florida City. I przez cały czas brakowało mu McGuinna.

Rozklejam się, mruczał pod nosem. Zdecydowanie dałem tu plamę.

Trzeciego dnia, kiedy wreszcie znalazł to, czego potrzebował, wrócił do kliniki weterynaryjnej. Kędzierzawa dama w różowym fartuchu powitała go w recepcji i zaprowadziła do prywatnego gabinetu doktora Whitcomb. Weterynarz, który rozmawiał właśnie przez telefon, wskazał mu gestem krzesło. Dama w różowym fartuchu wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

-1 co? - zapytał Twilly, gdy tylko doktor Whitcomb odłożył słuchawkę.

- Tak. Powinien pan to zobaczyć. - Weterynarz wyjął z górnej szuflady niewielki, okrągły przedmiot. Podał go Twilly'emu, a ten obrócił go w dłoni. Widział to już w aparacie rentgenowskim, ale ta rzecz trzymana w ręku była czymś zupełnie innym. Pełną garścią winy.

Miał w dłoni szklane oko z wypchanej głowy zwierzęcia.

- Czy może domyśla się pan chociaż - mówił do niego doktor Whitcomb - jakim cudem pies mógł połknąć coś takiego?

- Absolutnie nie - skłamał Twilly. - Już panu mówiłem. Znalazłem go parę dni temu.

- Labrador zeżre prawie wszystko - zauważył doktor.

- Najwidoczniej.

Teraz Twilly znał już prawdę. To on ponosił odpowiedzialność za chorobę psa. Gdyby nie wydtubał szklanych oczu z wypchanych łbów Palmera Stoata, McGuinn nie znalazłby ich i nie połknął.

Twilly zastanawiał się, czemu Desie mu o tym nie powiedziała. Jeśliby znał prawdę o przyczynach operacji, mógłby oddać psa Stoatowi. A teraz czuł się wyjątkowo paskudnie.

- Szklane oko - dziwił się doktor Whitcomb. - Kto by pomyślał.

- Utkwiło w nim?

- Otóż to. Dość daleko w przewodzie.

- Boże - westchnął Twilly. - Trzeba było zrobić biedakowi następną operację?

- Nie, panie Spree. Podać środek przeczyszczający.

Drzwi otworzyły się i McGuinn wkroczył do gabinetu, ciągnąc za sobą smycz. Podniecony zakręcił się naokoło dwa razy, a potem zgodnie z obyczajem labradorów na powitanie wetknął nos w krocze Twilly'ego.

- Bardzo silny środek - dodał doktor Whitcomb. -1 bardzo dużą dawkę.

Twilly zorientował się, że tuli mocno psa do siebie. Czuł, jak gruby niby u krowy język McGuinna pędzluje jego prawe ucho.

- Jest pan pewien, że będzie już zdrowy?

- Całkowicie - odparł doktor Whitcomb. - Ale wkrótce trzeba mu będzie zdjąć szwy z brzucha.

Z wilgotnego zwitka pieniędzy Twilly odliczył tysiąc dolarów w pięćdziesiątkach i podał weterynarzowi.

- O nie, panie Spree, to o wiele za dużo.

- Wcale nie.

- Ie...

- Proszę nie dyskutować, tylko wziąć. Może następnym razem kogoś ie będzie stać, żeby zapłacić, a wtedy...

- Dobry pomysł - oświadczył doktor Whitcomb. - Dziękuję.

Wyszedł z Twillym i McGuinnem na parking, gdzie pies metodycznie obsikał koła pięciu nowiułkich samochodów, w tym również wóz doktora.

- Czy mógłbym pana o coś poprosić? - zapytał weterynarz. - Chodzi

Oto sztuczne oko. Panie Spree, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym zatrzymał je w swojej kolekcji?

- To zależy od kolekcji - odparł Twilly.

- „Dziwaczne rzeczy zjedzone przez psy” - wyjaśnił doktor Whitcomb. - Mam kołki zabezpieczające drzwi, kolczyki, wieczne pióra, zapalniczki, kluczyki do samochodu. Pewna labradorka - nazywała się Rachel – połknęła telefon komórkowy! I śmieszna sprawa, wciążył jej dzwonił w brzuchu. Dzięki temu właściciel dowiedział się, co się stało.

Twilly wyjął z kieszeni koszuli oko afrykańskiego bawołu Palmera Stoata i rzucił je weterynarzowi.

- Należy do pana, doktorze.

Doktor Whitcomb z rozbawioną miną obracał w palcach szklaną kulkę.

- Zwariowany pies - powiedział. - Jak pan myśli, gdzie znalazł coś takiego?

Twilly wzruszył ramionami.

- To cholernie zwariowany pies - odparł.

Czemu nie mógł przestać myśleć o Desie?

A szczególnie o jej szyi - śnieżnobłodej pochyłości pomiędzy jej płatkami uszu z perłowymi kolczykami a obojczykiem. Twilly czuł wielką słabość do kobiecych szyi. Ostatnim razem, kiedy widział równie pociągającą jak u Desie, omal nie został zabity.

Szyja należała do kobiety o imieniu Lucy, a Twilly nie miał pojęcia o lekach, wódzie i rozdwojeniu osobowości. Wiedział jedynie, że Lucy ma niewątpliwie cudowną szyję i że chętnie pozwala, by ją tam całował. Była również na tyle miła, że zechciała się z nim przespać, co oznaczało, że szybko się zakochał i wprowadził się do niej. Znali się wtedy dokładnie szesnaście dni.

Jak się okazało, Lucy nie czuła się dobrze. Brała mnóstwo lekarstw, które sama sobie ordynowała, i popijała je dżinem. Przez kilka nocy była najszczęśliwszą osobą pod słońcem, wcieloną radością. Ale po paru kolejnych nocach stawała się roztrzęsionym potworem, paranoidalnym, skłonny do przemocy i zwariowanym na punkcie broni. Twilly nigdy dotąd nie znał kobiety tak zakochanej w pistoletach. Lucy miała ich kilka, półautomatyczne stanowiły większość. „Mój ojciec był policjantem” - oznajmiła, starając się mu to wytłumaczyć. Za każdym razem, gdy Twilly natykał się na któryś z elementów uzbrojenia Lucy, ukradkiem wynosił go z domu i wrzucał do najbliższej studzienki kanałowej. Ale ona zawsze miała kolejny pod ręką. Niezgłębioną tajemnicą było, gdzie trzymała te wszystkie pistolety. Niekiedy strzelała do telefonu, czasami jej ofiarą stawał się telewizor. Pewnego razu, kiedy Twilly szykował śniadanie, przestrzeliła opiekacz do chleba. Kiedy indziej rozstrzelała komputer osobisty, ponieważ jeden z jej dostawców lekarstw przesłał jej e-mailem wiadomość, że nie ma Percocetu. Zdarzyło się to tego samego popołudnia, kiedy to pobiegła do mieszkania obok i zastrzeliła szkarłatną arę sąsiadki za to, że skrzeczała w czasie jej drzemki (Lucy potrzebowała bardzo dużo snu). Policja zabrała Lucy do centrum, ale jej nie oskarżono, ponieważ natychmiast wynagrodziła stratę pogrążonej w żalu właścicielce papugi i zgodziła się poddać leczeniu. Po owej kuracji terapeuci uznali Lucy za okaz psychicznej równowagi - osobę pełną zaangażowania, samoświadomości i skruchy. A także szczęśliwą. Jedną z najszczęśliwszych pacjentek, jaką kiedykolwiek widzieli. Ale oczywiście nie musieli z nią mieszkać.

Należy uczciwie przyznać, że Lucy nigdy nie chciała z rozmysłem zastrzelić Twilly'ego, chociaż kilkakrotnie niewiele brakowało, by trafiła go przypadkowo. Pomimo jej ogromnego doświadczenia w posługiwaniu się bronią była zaskakująco kiepskim strzelcem. A jednak w czasie czterestu mrozących krew w żyłach tygodni spędzonych pod tym samym dachem lęk Twilly'ego przed zarobieniem kulki tłumilo pragnienie wtulania się w jej szyję. Jak sobie później uświadomił, był to kolejny przerażający przykład Jego niezdolności dokonywania właściwej oceny.

Jaka Lucy wchodzi przez drzwi wejściowe, Twilly dowiadywał się dopiero wtedy, gdy pochylał się, aby ją pocałować w szyję - co było zawsze pierwszą rzeczą, jaką robił. Jeżeli była to Szczęśliwa Lucy, wzdychała i przytulała się do niego. Jeżeli zaś wchodziła Rozdwojona Lucy, odpychała go i jak po sznurku maszerowała do apteczki, a następnie po dżin. Potem mógł się pojawić naładowany pistolet lub dwa. Niemal każdy inny przyjaciel na jego miejscu całkiem rozsądnie zmyłby się po pierwszej strzelaninie, ale Twilly pozostał. Był zadurzony po uszy w Szczęśliwej Lucy. Szczerze wierzył, że może ją z tego wyciągnąć. Gdy pojawiała się Rozdwojona Lucy, Twilly nie postępował zgodnie z nakazami

rozsądku, czyli nie uciekał jak spłoszona antylopa. Zamiast tego kręcił się tuż obok, starając się uspokajać, perswadować i w ogóle nawiązać kontakt. Zawsze próbował spacyfikować Lucy rozmową i serdecznie pragnął być tą osobą, która ją złapie, gdy zacznie się przewracać. I przez to omal nie zginął. Lucy pracowała w klinice terapii akupunkturowej, gdzie prowadziła rachunki. Pewnego dnia lekarz przyłapał ją na błędzie - chodziło o drobne przestawienie cyfr, które spowodowało zawyżenie refundowanego rachunku o trzy dolary sześćdziesiąt centów. Lekarz wytknął Lucy ten błąd w sposób, jej zdaniem, zbyt ostry. Wróciła więc do domu z wilgotnymi oczami i wściekła, co dla Twilly'ego było sygnałem, że po drodze wpadła gdzieś na koktajle i szklaneczkę. Natychmiast też się zorientował, że lepiej nie próbować pocałunków w szyję. Lucy zniknęła w łazience i pięć minut później wyszła z niej całkiem goła, z zaciśniętą w zębach pustą buteleczką po lekarstwach i beretką kaliber 9 mm w prawej dłoni. Twilly, który pamiętał, że Lucy jest leworęczna, rozważnie wycofał się, by przeczekać realizację jej zwykłego programu w stylu Elvisa, czyli rozstrzelanie telewizora, wieży stereo, a nawet ekspresu do kawy. Ponieważ Lucy nie miała w ogóle talentu strzeleckiego, zużyła dużo amunicji, ale mimo to ryzyko, że ktoś wezwie policję, było niewielkie. Lucy, szanując spokój sąsiadów, używała tłumika.

Twilly jak zwykle liczył wystrzał, dzięki czemu wiedział, kiedy magazynek jest pusty. Niemal śmiertelna pomyłka, jaką popełnił tej nocy, polegała na tym, że uznał, iż Lucy jest zbyt naprana, żeby ponownie załadować broń. Kiedy wreszcie się zmęczyła i upadła na łóżko, Twilly cierpliwie czekał do momentu, w którym rozległo się jej nierówne, niespokojne chrapanie, a wtedy wślizgnął się pod kołdrę, otoczył ją ramionami i długo trzymał tak niby niemowlaka. Wkrótce jej oddech stał się cichy i regularny. Przez koszulę Twilly czuł chłodną stal beretty, którą Lucy w dalszym ciągu przytrzymywała obydwoma dłońmi pomiędzy piersiami. Rura tłumika niebezpiecznie wciskała się Twilly'emu między żebra, ale się nie bał. Sądził, że magazynek jest pusty, bo przecież doskonale pamiętał, jak Lucy raz za razem naciskała spust, aż wreszcie pistolet zaczął jedynie glucho szcząkać.

wiedział o zapasowym magazynku, który schowała w stojącym pod zlewem pudełku z tamponami.

Było ze strony Twilly'ego dużą nieostrożnością to, że położył się obok Lucy i wziął w ramiona nieprzytomną, napraną psychopatkę, nie odebrawszy jej uprzednio broni. Jego drugim błędem było to, że uległ swym nagim żądom w najgorszym z możliwych momentów. Twilly przypadkiem objął Lucy swoim pocieszycielskim uściskiem w taki sposób, że opierał się brodą o jej ramię. Obliczył sobie, że lekki obrót głowy pozwoli mu bezpośrednio dotknąć wargami nagiej, jedwabistej szyi, i ku jego błogiemu zachwytowi okazało się, że się nie pomylił.

Być może, gdyby Twilly na tym poprzestał - gdyby zadowolił się tylko tym czystym, leciutkim dotykiem - nie wyładowałby na noszach w pogotowiu. Ale szyja Lucy przedstawiała naprawdę cudowny widok i Twilly, nie bacząc na pistolet, nie mógł powstrzymać się przed dalszymi pocałunkami. Dotyk (a może odgłos żarliwych cmoknięć) wytrącił Lucy ze stanu pół zamroczenia, pół snu pełnego koszmarów. Nagle zeszytniała w ramionach Twilly'ego, otworzyła jedno przekrwione oko i wydała głuchy, pełen zaskoczenia okrzyk. Potem pociągnęła za spust i z powrotem zapadła w letarg.

Pocisk przeszedł mu przez klatkę piersiową, ślizgając się po żebrach jak po tarze do prania, i wyszedł powyżej obojczyka. Krew sączyła się tak obficie i miała tak ciemne zabarwienie, że Twilly obawiał się, iż odniósł śmiertelną ranę. Zerwał prześcieradło (ponownie starannie ułożył na łóżku nawaloną Lucy), owinał nim tors i zrobił w ten sposób coś w rodzaju opaski zaciskowej na całe ciało. Potem pojechał do szpitala, gdzie poinformował lekarzy, że przypadkiem postrzelił się, czyszcząc pistolet. Prześwietlenie wykazało, że pocisk Lucy minął tętnicę szyjną o niecałe pięć centymetrów. Gdyby w nią trafił, najprawdopodobniej zabiłby Twilly'ego.

Wcale nie miała zamiaru go postrzelić. Przestraszyła się i już, a poza tym była zbyt naprana, żeby mogła go poznać.

Twilly nigdy nie powiedział Lucy, co zrobiła. Nie wrócił do domu i więcej jej już nie zobaczył. Od strzelaniny minął ponad rok i w tym czasie Twilly unikał dotykania wargami czyjejś szyi, ponieważ czynność ta w nierozzerwalny sposób kojarzyła mu się z głuchym hukiem beretty. Nawet w zapale miłosnych uścisków bardzo starannie wybierał miejsce, na którym składał pocałunki. Odganiał od siebie wszelkie myśli o rozkosznych wycieczkach w rejon karku.

Do chwili spotkania z Desie Twilly bardzo pragnął ponownie zobaczyć intrygującą panią Stoat, mimo że wiązało się to z dużym ryzykiem - mógł zostać aresztowany i uwięziony. Pragnął nie tylko być blisko niej, ale także przeprosić ją za to, że zostawił szklane oczy na wierzchu, co umożliwiło McGuinnowi ich połknięcie, chciał, aby wiedziała, jak wielką czuje skruchę.

Pies był łącznikiem, więzią z Desie. Obecność psa u boku podnosiła Twilly'ego na duchu i dawała coś, co przypominało nadzieję. Cóż z tego, że była żoną niepoprawnie bezdusznej świni? Każdy może popełnić błąd, pomyślał Twilly. Wystarczy popatrzeć na mnie.

McGuinn natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak - poczuł ten zapach w samochodzie. Nos mu zadrżał i sierść zjeżyła się na karku.

- Uspokój się - powiedział Twilly.

Ale zwierzę wskoczyło na tylne siedzenie i gorączkowo zaczęło drapać tapicerkę.

- Oj, przestań - poprosił Twilly.

McGuinn próbował przekopać się przez oparcie do bagażnika.

-Niewolno! -rozkazał Twilly. -Brzydki pies! -Ostatecznie jednak musiał zjechać z drogi i zatrzymać samochód. Złapał koniec smyczy McGuinna i pociągnął ją ostro.

- Chcesz zobaczyć? Dobra, nie ma sprawy. Twilly wysiadł, pociągając psa za sobą. - Ale wcale ci się to nie spodoba, stary. Masz to jak w banku.

Otworzył bagażnik i McGuinn skoczył do przodu. A potem równie gwałtownie zatrzymał się, rozstawiając niezgrabnie tylne łapy jak łódź na cienkim lodzie. Wydał dźwięk przypominający ni to szczeknięcie, ni to skomlenie szczeniaka.

- Ostrzegalem cię, głupolu - oznajmił Twilly.

W bagażniku leżał martwy labrador. Twilly znalazł go w południowym Miami - w okręgu Dade, na skrzyżowaniu 152 ulicy i U.S. 1, gdzie najwyraźniej potrącił go samochód, leżącego na środkowym pasie zieleni. Owinął go w folię z bąbelkami i ułożył w wynajętym samochodzie na prowizorycznej podściółce z suchego lodu; pies nie żył najwyżej od dwóch godzin. Może nie był tak potężnie zbudowany jak McGuinn, ale Twilly uznał, że doskonale się nada - właściwa rasa, właściwa maść.

Zanim znalazł czarnego labradora, przejechał trzysta pięćdziesiąt kilometrów po autostradach i naliczył trzydzieści siedem martwych ciał innych psów - najczęściej kundli, ale były wśród nich również wyżeł, dwa setery irlandzkie, żółty labrador i para terierów czystej krwi z identycznymi obrożami wysadzonymi kryształami górskim. Teriery zginęły jednocześnie w strefie szkolnej na ruchliwej Bayshore Drive w Coconut Grove. Twilly uznał, że mogło to być podwójne samobójstwo, jeżeli psy są zdolne do układania takich planów. Hipotezę, że ich pan był człowiekiem zimnym i bez serca, potwierdzał fakt, że dwa małe ciała leżały porzucone na jezdni - a przecież łatwo by się zmieściły choćby do papierowej torby na zakupy. Pochowanie psów pod korzeniami starego figowca zajęło Twilly'emu zaledwie dwadzieścia minut. Przedtem jednak spisał dane z psich numerków, dzięki czemu kiedyś - gdy będzie miał więcej czasu - będzie mógł odnaleźć właściciela lub właścicielkę terierów i spaskudzić im dzień.

Zabity na drodze labrador nie miał ani numerka, ani obroży. Twilly ze smutkiem pomyślał, że mógł być bezpieczny, ale w równym stopniu przygnębiłaby go świadomość, że był czymś ukochanym zwierzakiem - najlepszym kumplem dziecka albo wiernym towarzyszem wdowy staruszki. Martwy pies był po prostu czymś smutnym, kropka. Twilly czuł się nie najlepiej, myśląc o tym, co ma zrobić, ale labrador od dawna niczego już nie czuł, a sprawa wydawała się być szlachetna.

McGuinn chodził wokół wynajętego samochodu. Skamlał, łeb trzymał nisko opuszczony i co kilka kroków spoglądał z lękiem w stronę bagażnika, jakby się obawiał, że martwy pies wyskoczy i zaatakuje go. Twilly uspokoił McGuinna, posadził go z przodu i na wszelki wypadek przywiązał smycz do kierownicy. Potem wrócił za samochód i otworzył szczyryk, wspaniałe siedmioipółcentymetrowy Al Mar z Japonii. Nóż był tak dobrze naostrzony, że można się nim było golić.

Twilly był zadowolony, że pies ma zamknięte oczy. Poglaskał go po jedwabistym łbie i powiedział: „Lepiej, jeżeli ja to zrobię niż te cholerne sępy”. Potem schował obcięte ucho do tylnej kieszeni i jeździł po Miami do chwili, gdy zobaczył furgonetkę FedEx na autostradzie Don Shula. Kierowca zatrzymał się i za dwieście dolarów napiwku z przyjemnością odebrał niezaplanowaną przesyłkę.

Wielka wanna z gorącą wodą stała na zewnątrz, na zadaszonym balkonie mieszkania Roberta Clapleya. Cała czwórka ściągnęła ubrania i wskoczyła do wody - Clapley, Katia, Tisz i Palmer Stoa, który potrzebował aż trzech koniaków, żeby się wyluzować. Stoa wstydził się swojej pulchności i miał lekkiego pietra przed dwoma Barbie. Żałował, że Clapley opowiedział mu wszystkie szczegóły.

- Bliźniaczki! - zachichotał Clapley.

- Żartujesz.

- Identyczne bliźniaczki - w samą porę na następne Boże Narodzenie!

- Mówią po angielsku, Bob?

- Cholernie słabo - odparł Clapley. -1 chcę, żeby tak zostało.

Teraz jedna z Barbie usiłowała usiąść okrakiem na Stoacie w balsamicznych wirach wodnych pod tropikalnymi gwiazdami i Stoa przyłapał się, że zerka pod ogromne, unoszące się wysoko na wodzie piersi, chcąc dojrzeć charakterystyczne blizny pooperacyjne. Koniak stopniowo go uspokajał.

- W Moskwie - mówił Clapley - jest szkoła, do której chodzą, żeby zostać światowej klasy oralistkami.

- Kim?

- Artystkami od ciągnięcia druta - wyjaśnił Clapley. - Prawdziwa szkoła... słyszysz, co mówię?

- O tak, słyszę cię - odpowiedział Stoa i pomyślał jednocześnie: Słyszają cię aż do St. Augustine, dupku. Kiedy Robert Clapley był na koce i po kielichu, mówił bardzo głośno.

- Chciałbym być przy końcowych egzaminach - oznajmił z lubieżnym uśmiechem. - Chciałbym osobiście promować te panienki...

- Która jest z Rosji? - zainteresował się Stoa.

Clapley wskazał Barbie, która właśnie usiłowała objąć Stoata nogami w pasie.

- Twoja! - oznajmił. - Ty stary napaleńcu!

- I... ona... chodziła... do... tej... szkoły?

- Sama mi o niej opowiedziała. Prawda, Katia? Pokaż panu Stoatowi, czego się nauczyłaś.

- Ja też! - zawołała Tisz. Gdy sunęła przez wannę, żeby się do nich przyłączyć, jej potężny biust podnosił falę niczym trawler do połowu krewetek. Rozsunęły nogi Palmerowi Stoatowi i przepychając się wesolo, wcisnęły się pomiędzy nie.

- O rany, Bob -jęknął.

Clapley roześmiał się.

- Powiniennem wziąć kamerę wideo.

- Lepiej nie, jeżeli chcesz ją mieć w jednym kawałku. - Zazwyczaj Stoa umiał się niezłe bawić, ale dzisiejszej nocy nie był w odpowiednim nastroju. Wciąż myślał o żonie, a także o odciętym psim uchu dostarczonym przez pracownika FedEksu.

- Chłopie, musisz się rozluźnić - oznajmił Clapley.

- Wpadłem, żeby pogadać o interesach, Bob. Nie miałem w planach utknąć tu na cały wieczór.

- Do diabła, możemy pogadać później. Ile razy w życiu facet ma szansę, żeby zrobiły mu loda dwie prawie identyczne lalki wzrostu metr osiemdziesiąt? Przypuszczam, Palmer, że nie zdarza ci się to co weekend, więc. zamknij się, proszę, i korzystaj. Muszę wykonać parę telefonów.

Clapley wyszedł energicznie z wanny. Stoa słyszał, jak gospodarz rozmawia, ale nie widział niczego poza dwoma Barbie, na których głowach piętrzyło się przynajmniej trzydzieści centymetrów bieżących lśniących tlenionych włosów. Kobiety pociągały, głaskały i poszturchiwały Stoata, więc wreszcie, nie chcąc, aby uważano go za niewdzięcznego gościa, zamknął oczy i poddał się. Było mu przyjemnie, ale nie do tego stopnia, by zapomnieć o celu swojej wizyty.

Zanim Clapley zakończył swoje rozmowy, Barbie załatwiły sprawę, opuściły wannę i weszły pod prysznic. Stoa pływał z wyprostowanymi nogami jak żaba. Udawał, że patrzy w gwiazdy.

- Jak ci się podobała ta podwójna kanapka? - spytał Clapley.

Stoa gwizdnął z uznaniem.

- Cukierek blond jak w piosence.

- Taa, bracie. - Clapley był zbyt narąbany, by dyskutować o tekstach. - Słuchaj, wiem, po co przyszedłeś.

Stoa powoli unióśł się w wodzie, chowając różowe kolana. Skąd Robert Clapley mógł o tym wiedzieć? Czy to możliwe, aby ten zwariowany, obcinający uszy psi porywacz skontaktował się z jego klientem?

- Mam wrażenie, że wciąż ci jestem winien jakieś pieniądze – rzekł Clapley.

- Tak, owszem. - Stoa poczuł wyraźną ulgę.

Owinięci długimi rącznikami i w dobranych frotowych pantoflach kąpielowych przeszli do gabinetu. Clapley usiadł za biurkiem ze szklanym blatem i otworzył książeczkę czekową.

- Kiedy byłeś tu po raz ostatni, zupełnie wyskoczyło mi to z głowy - wyjaśnił.

- Nie ma sprawy, Bob.

- A teraz... ile to było?

- Pięćdziesiąt tysięcy - rzekł Stoa i pomyślał: Dupek. Cholernie dobrze wie ile.

- Pięćdziesiąt? Chłopie, to kurewsko duża kupa naboi do dubeltówek.

Clapley wyraźnie robił aluzję do polowania na ptaki. Chce, żeby to i te niesamowite Barbie załatwiły mu zniżkę, doszedł do wniosku Stoa. No cóż, drogi Bobbie, możesz mi skoczyć.

Robert Clapley poczekał kilka chwil, ale Stoa patrzył na niego bez zmruczenia oka.

- No tak, jest pięćdziesiąt - Clapley starał się robić dobrą minę.

Palmer Stoa doskonale się bawił, patrząc, jak Clapley wypisuje czek.

Rozczarowanie gospodarza rzucało się w oczy i Stoa nie miał nic przeciwko temu, by przedłużyć ów stan. Stawką była ważna zasada, kwestia szacunku, a Stoa uważał się za zawodowca, a w jego fachu zawodowiec nie mógł tolerować prób kombinowania z jego honorarium. Zwłaszcza, kiedy podejmował je fetyszujący Barbie były przemytnik o twarzy dziecka. Stoa przyszedł do Clapleya z zamiarem uprzedzenia go o przejściowym problemie z zamówieniem na most na Ropuszą Wyspę. Był nawet gotów pozwolić Clapleyowi zatrzymać różnicę do chwili wyjaśnienia sytuacji z szantażującym go psim porywaczem. Ale Clapley tak go zirytował swoją tanią pazernością- „ile to było?” - że zmienił zdanie. Weźmie pieniądze i nic nie powie. Poza tym gdyby Desie go rzuciła - a zagroziła, że zrobi to, jeżeli Stoa nie zrealizuje żądań psiego porywacza - będzie potrzebował dodatkowych pięćdziesięciu - (albo i więcej) dla adwokatów rozwodowych.

- No to proszę. - Clapley zamknął swoje wieczne pióro Mont Blanc i podsunął czek Stoatowi.

- Dzięki, Bob. - Uśmiech Stoata można było nawet uznać za szczery.

Nie wziął czeku od razu, ale przez jakiś czas pozwolił mu leżeć na szklanym blacie wypełnioną stroną do

góry.

- Wszystko, co Dick mówił o tobie, to święta prawda - powiedział Clapley.
- Dick ma swoje momenty.
- Kiedy więc powinien podpisać budżet?
- Przypuszczam, że w ciągu tygodnia albo dwóch - odparł Stoaat.
- Fanta-kurewsko-stycznie. Im wcześniej zaczną nowy most, tym prędzej będę mógł odpieprzyć kilka wzorcowych domów.

Jedna z Barbie weszła do gabinetu z tacą, na której znajdowały się dwa koniaki i dwa duże cygara. Clapley gwizdnał, gdy pochyliła się, aby rozstawić kieliszki.

- Dziękuję, kochanie - powiedział lubieżnym tonem. A potem zwrócił się do Palmera Stoata. - No i jak ci się podobały podwójne lody w gorącej wannie?

- Wspaniale - Stoaat myślał: Chryste, ile razy jeszcze będę musiał to powtarzać? - Jedna z najwspanialszych gier na flecie wszech czasów, Bob.

- A wszystko przez to, że się przykładała do nauki i została w szkole. Wiesz, jak mówią: koniec języka za przewodnika. - Clapley mrugnął do wychodzącej Barbie, która w odpowiedzi żwawo machnęła czterema paluszkami. Kiedy zamknęła drzwi, wyjaśnił: - To była Katia. Marzę o dniu, w którym nie będę mógł ich odróżnić.

- To chyba już niedługo - pocieszającym tonem odparł Stoaat.

Kilka chwil poświęcili na obcinanie i zapalanie cygar. A potem Robert Clapley podniósł kieliszek i wznosił toast.

- Za Wyspę Burzyków.
- Amen - dodał Palmer Stoaat.
- I dobre towarzystwo.
- Najlepsze, Bob.

Popijali koniak i wydmuchiwali w stronę sufitu kółka z dymu. pley opowiedział wulgarny dowcip o krótkowzrocznym rabinie. Palmir

zrewanżował się anegdotą o dalekowzrocznej cheerleaderce. Clapley ponownie podniósł kieliszek.

- Z nasze następne wspólne interesy.
- W każdej chwili - oświadczył Palmer Stoaat, myśląc jednocześnie: To będzie wcześniej, niż się spodziewasz, dupku.

Gdy tylko Palmer Stoaat wyjechał do Palm Beach, Desie otworzyła lodówkę i wyjęła plastikowy pojemnik z psim uchem. Obejrzała je z uczuciem obrzydzenia i prawniczą ciekawością zarazem. Ucho wydawało się za małe, by mogło należeć do Boodle'a, ale nie miała pewności. Niewątpliwie było to ucho dużego czarnego psa. Jeżeli okaże się, że jej psa, będzie to oznaczało, iż Twilly Spree jest dzikim potworem i Desie straszliwie pomyliła się w jego ocenie.

Powodem do wstydu był również jej własny udział w zbrodni. W końcu to ona powiedziała Twilly'emu, co dzieje się na Ropuszej Wyspie, i ona podsunęła mu zwiariowany pomysł ocalenia tego miejsca. Dlaczego? Ponieważ chciała, żeby z twarzy jej męża zniknął ten wyraz zadowolenia z siebie, chciała zobaczyć reakcję Palmera w chwili, gdy jeden z jego chorych interesów nie wypali. Ale skąd mogła wiedzieć, że młody Twilly Spree posunie się aż tak daleko?

Desie włożyła psie ucho z powrotem do lodówki - tak, żeby nie było go widać, za dwulitrowy pojemnik z lodami rumowo-rodzynekowymi - i poszła przygotować sobie gorącą kąpiel.

W południe pokojówka zastukała do drzwi i powiedziała, że dzwoni do niej „pan Ezra Pound”. Desie poprosiła, żeby przyniosła jej przenośny telefon.

- No i co, teraz już wierzy? - rozległ się w słuchawce głos Twilly'ego.
- Uważam, że tak, sądząc po tym, iż zwrócił cały obiad – odpowiedziała Desie. - Gdzie pan jest?
- Niedaleko.
- Proszę, niech pan potwierdzi, że to nie jest ucho Boodle'a.
- Nazywa się teraz McGuinn, pamięta pani?
- Ale to nie jego ucho, prawda? Boże, tylko nie wmawiaj mi, proszę, że obciąłeś ucho temu biednemu psu. Nie z powodu kupki martwych ropuch.
- Nie zrobiłem tego - rzekł Twilly. - Nigdy w życiu.
- Wiedziałam!

- Ale tu nie chodzi o ropuchy, tylko o grabież. Mamy do czynienia z niebaczną zbrodnią. – Twilly westchnął z oburzeniem. - Czy nie czyta pani gazet, pani Stoaat? Nie widzi pani, kto kieruje tym wszystkim?

- Niech się pan uspokoi - poprosiła Desie. Nie chciała go, broń Boże, zdenerwować.
- A teraz ja mam pytanie do pani - odezwał się Twilly. - Dlaczego nie powiedziała mi pani prawdy o waszym psie?
- Och... Eee -jąknęła Desie.

Twilly zrelacjonował wizytę u weterynarza i opisał niezbyt elegancki sposób odzyskania szklanego bawolego oka.

- To nie była pańska wina. On je wszystko - wyjaśniła Desie.

- Z całą pewnością to była moja wina.

- Jak on się ma? To dla mnie bardzo ważne.

- Wygląda w porządku - odparł Twilly. - Ale tęskni za panią.

- A ja za nim.

- Jak bardzo? - spytał Twilly. - To znaczy, czy chce pani go zobaczyć?

- Tak!

- W ten sposób będzie pani mogła policzyć mu uszy. Upewnić się na własne oczy, że nie jestem dręczycielem szczeniaków.

- Oczywiście, że chcę go zobaczyć. - Desie wyszła z wody i założyła szlafrok, przekładając telefon z jednej ręki do drugiej. - Gdzie pan jest? - ponownie spytała Twilly'ego.

- Ale nie powie pani swojemu głupiemu mężowi, dobra? Musi nadal być przekonany, że to ucho McGuinna, bo inaczej cały plan weźmie w łeb. Obiecuje pani? Jeżeli Palmer dowie się prawdy, ani on, ani pani już nigdy nie zobaczycie psa. Nie skrzywdzę go, pani Stoa. Jestem pewien, że sama się pani tego domyśliła. Ale jak Boga kocham, więcej już go pani nie ujrzy.

Desie wiedziała, że nie blefuje. Czowała, iż jest do tego stopnia zły, że może ukarać jej męża, i nie powstrzyma się przed porwaniem ich domowego ulubieńca.

- Twilly, nie powiem mu o uchu - oświadczyła. - Słuchaj, ufam ci. A ty też musisz mi zaufać.

Wciąż ociekając wodą, poszła do kuchni i wzięła notes. Kiedy zapisała jego wskazówki, Twilly kazał, żeby je przeczytała.

- Mogę ci coś przywieźć? - spytała.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Tak. Byłbym wdzięczny za książkę.

- Poezje? - zapytała, pamiętając, że przedstawił się jako Ezra Pound.

- Nie jestem w nastroju. Ale może coś Johna D. MacDonalda, to byłoby wspaniałe. A także trochę tic taców. Miętowych, jeżeli nie sprawi to kłopotów.

Desie poczuła, że się uśmiecha.

- Żaden problem - odparła. Coś otarło się o nagie palce jej stóp i podskoczyła - ale to była tylko pokojówka, starannie wycierająca krople wody na kuchennej posadzce.

- Skąd wiesz, że McGuinn za mną tęskni?

- Czasami ma nieszczęśliwą minę - wyjaśnił Twilly.

- Może tęskni za Palmerem?

- Bądź poważna. Do zobaczenia.

- Poczekaj. Chodzi o ucho. Co mam z nim zrobić?

- Cokolwiek chcesz - rzekł Twilly. - Dla mnie możesz je powiesić na choince. Albo przybić do ściany obok innych kawałków martwych zwierząt twojego męża.

O rany, jest w paskudnym nastroju, pomyślała Desie.

- Po prostu jestem bardzo ciekawa - oznajmiła. - Jeżeli to nie jest ucho Boodle'a...

- McGuinna!

- Przepraszam. Jeżeli to nie jest ucho McGuinna...

- Nie jest. Czy ci nie mówiłem?

- Słusznie, mówiłeś - przytaknęła Desie. - Dlatego właśnie jestem ciekawa. Każdy na moim miejscu byłby... gdyby dostarczono mu pod drzwi taką paskudną rzecz. Ale teraz zastanawiam, się, czy rzeczywiście chcę wiedzieć, skąd pochodzi.

- Nie chcesz - oznajmił Twilly Spree. - Z całą pewnością.

Dick Artemus znał Palmera Stoata od trzech lat. Po raz pierwszy spotkali się w Thomasville w Georgii, tuż za granicą stanu, niedaleko Tallahassee, na plantacji, gdzie polowano na przepiórki. Wtedy Dick Artemus był burmistrzem Jacksomedle, a także multimilionerem, właścicielem świetnie prosperujących siedmiu punktów sprzedaży Toyoty. Ze zrozumiałych względów uznał, że musi być gubernatorem Florydy, i metodycznie zaczął wkupywać się w łaski wszystkich głównych postaci na politycznej scenie stanu. Jedną z nich był Palmer Stoa, znany specjalista od załatwiania spraw, usuwania problemów i zawierania układów.

Perspektywa spotkania z Dickiem Artemusem budziła w Stoacie mieszane uczucia, ponieważ niedawno kupił land cruisera Toyoty, z którym ciągle było coś nie tak. W jednym z elektrycznie opuszczanych okien nastąpiło krótkie spięcie, odtwarzacz kompaktów zaciął się, grając Cata Stevensa, a na-Pęd na cztery koła działał tylko na wstecznym biegu. Wspólny znajomy wspomniawszy Dickowi Artemusowi o zmartwieniach Palmera i dwa dni później platforma z nowiutkim land cruiserem zajeżdżała na podjazd przed domem Stoata. Następnego dnia Stoa wynajął samolot do Thomasville.

Przepiórki były tak szybkie, że udało mu się trafić zaledwie kilka. Ko-tejną miłą niespodzianką stanowił Dick Artemus, który okazał się wygadany, odpowiednio czarującym i eleganckim facetem, z idealnym uzębieniem, jakie powinien mieć obowiązkowo szanujący się polityk, oraz grzywą sre-brzystosiwych włosów. Palmer pomyślał, że ten człowiek rzeczywiście może wygrać wybory - był o osiem centymetrów wyższy i wyglądał dziesięć razy lepiej od każdego z kandydatów Partii Demokratycznej.

W zawodzie Stoata nierozsądną rzeczą było występowanie po czyjejś stronie (ponieważ nigdy nie wiadomo, jak zmieniają się prądy polityczne), ale mimo to dyskretnie przedstawił Dicka Artemusa najpoważniejszym politycznym sponsorem na Florydzie, których większość okazała się przypadkiem klientami Stoata (przemysł, nieruchomości i rolnictwo). Przystojny magnat samochodowy wywarł na nich korzystne wrażenie. W połowie lata, dwa miesiące przed wstępnymi wyborami w Partii Republikańskiej, Dick Artemus zebrał ponad cztery miliony dolarów dotacji, w większości pochodzących ze źródeł, które można było zidentyfikować i nawet legalnych. Ostatecznie wygrał wybory gubernatorskie niewielką przewagą dwustu tysięcy głosów.

Dick Artemus nigdy nie zapomniał, ile były warte wstępne wskazówki Palmera Stoata, ponieważ ten nie pozwolił mu o tym zapomnieć. Zazwyczaj to Palmer potrzebował jakiejś przysługi, ale niekiedy dzwonił sam gubernator. Zaprzestali urządzania weekendowych wypraw myśliwskich, ponieważ obaj uznali, że byłoby nieroztropne, gdyby widywano ich razem. Stoat nie mógł sobie pozwolić na irytowanie demokratów, natomiast Dick Artemus nie chciał dopuścić, by go nazywali marionetką jakiegoś kombinatora. Pozostawali w przyjaźni, choć niezbyt bliskiej. Kiedy (po niecałym roku!) Palmer Stoat wymienił toyotę na nowego rangę rovera, Dick Artemus dyplomatycznie ukrył swoje rozczarowanie. Musiał martwić się o reelekcję i wiedział, że będą mu potrzebne kontakty Stoata.

Dlatego gubernator zgodził się oczywiście, kiedy Palmer poprosił o spotkanie w cztery oczy. Lisa June Peterson, asystentka, która odebrała telefon, wiedziała, że sprawa jest poważna, ponieważ Stoat nie próbował z nią flirtować ani zaprosić jej na drinka, nie pytał też o rozmiar jej sukienki, żeby mógł jej kupić jakiś drobiazg, kiedy następnym razem będzie w Miami. Prawdę mówiąc, Lisa June Peterson nigdy dotąd nie słyszała Palmera Stoata tak spiętego i rozkojarzonego.

Dick Artemus urządził jeden ze swoich słynnych prywatnych lunchów w rezydencji gubernatora i zadbał, by Palmer Stoat wszedł drzwiami dla służby, nie dostrzeżony przez gości i dziennikarzy. W menu znalazły się smażone, całkowicie nielegalne małe homary, skonfiskowane u kłusowników przez patrol policji wodnej w Key Largo i następnie przewiezione stanowym śmigłowcem do Tallahassee. (Każdy, kto zadawał pytania, otrzymywał odpowiedź, że niewymiarowe skorupiaki zostały przekazane do kuchni miejscowego sierocińca kościelnego i w rzadkich przypadkach - na przykład, gdy gubernator był już gdzie indziej umówiony na obiad taki akt dobroczynności rzeczywiście miał miejsce).

Homary były tak małe, że Palmer Stoat natychmiast odłożył widelce i zaczął posługiwać się palcami. Gubernator od razu zauważył, jak Stoat delikatnie układa stos z pustych skorupki na talerzyku po maśle - ta precyzja dziwnie kontrastowała z jego niechlujnym sposobem przeżuwania.

- Most - oznajmił Stoat po drugim kieliszku wina.

- Jaki most?

- Ropusza Wyspa. Projekt Wyspy Burzyków - Palmer Stoat miał homara pod każdym z policzków i wyglądał jak cętkowany, wyłupiastooki strzępiel.

- W czym problem, Palmer? - zdziwił się Dick Artemus. - Pieniądze na most są w budżecie - sprawa załatwiona.

- No dobra, chciałbym, żebyś ją odkręcił.

- Żartujesz?

- Nie - zaprzeczył Stoat. - To sprawa życia lub śmierci.

- To nie wystarczy - odparł gubernator.

- Dick, musisz zawetować most.

- Zupełnie zwariowałeś.

- Nie, posłuchaj.

Palmer Stoat wytarł upačkane masłem dłonie w Inianą serwetkę i dopił wino do końca. A następnie opowiedział Dickowi Artemusowi historię zaginionego psa. Jak jakiś porąbany wariat włamał się do jego domu, ukradł Boodle'a i przysiągł, że zamorduje zwierzę, jeżeli Robert Clapley dostanie swój nowy most. Że Desie grozi, iż go porzuci, jeżeli nie spełni żądań psiego porywacza. O tym, że nie stać go na kolejny rozwód, nie może pozwolić, aby ta upokarzająca historia pojawiła się w gazetach i telewizji, i wreszcie, jak bardzo kocha swoje wielkie głupie psisko i nie chce, aby umarło.

Gubernator zareagował pomrukiem niezadowolenia.

- To ten pieprzony Willie Vasquez-Washington, prawda? Chce ode mnie czegoś jeszcze?

Palmer Stoat zerwał się z krzesła.

- Uważasz, że mógłbym wymyślić coś takiego - porwanie psa, na rany Chrystusa! - żeby załatwić coś takiemu chciwemu, byle jakiemu palantowi jak Willie V.? Jest dla mnie niczym, Dick, po prostu

pieprzonym komarem na pieprzonej przedniej szybie życia!

- Dobra, uspokój się. - Rezydencję gubernatora zwiedzało trzystu skautów i Dick Artemus wolał, by ich wrażliwym uszom oszczędzone zostały wulgarne wrzaski Stoata.

- Mówię o swojej reputacji - ciągnął dalej Stoat. - O moim małżeństwie, sytuacji finansowej, mojej całej przyszłości...

- Jaki to pies? - zapytał gubernator.

- Czarny labrador.

Dick Artemus uśmiechnął się czule.

- O, są wspaniałe. Mam takie trzy.

- W takim razie sam rozumiesz - powiedział Stoat.

- Tak, tak, oczywiście, kocham te psiska, Palmerze, ale nie utopię dla kogoś z nich projektu prac społecznych za dwadzieścia osiem milionów dolarów. Rzecz w tym, że jest miłość i miłość. - Gubernator podniósł obie dłonie.

- Nie mówię o spaleniu projektu mostu, przyjacielu. W następnym tygodniu zawetujesz tę pozycję. Może Clapley będzie trochę wrzeszczał i przeklinał. Tak samo Roothaus. Mój zwariowany psi porywacz przeczytał w gazetach o tym, że projekt Wyspy Burzyków nagle szlag trafił, wypuści Boodle'a i wszystko będzie w porządku.

- Boodle'a? - zapytał ze zdziwieniem Dick Artemus.

- Tak się nazywa - to długa historia. W każdym razie, kiedy tylko odzyskam psa, wtedy zrobisz tak, Dick. Zwołasz ponownie Kongres na specjalną sesję w Tallahassee.

- Wszystko z powodu mostu? Chyba nie mówisz poważnie. Przecież prasa mnie rozszarpie.

Stoat podniecony sięgnął po nową butelkę wina.

- Dick, używając nieśmiertelnych słów Jethro Tuli, czasami jesteś głupi jak but.

Gubernator zerknął na zegarek.

- Może przeszedłbyś do rzeczy - powiedział.

- Dobra - odparł Stoat. - Nie zwołujesz specjalnej sesji z powodu jednego marnego mostu, ale w związku z zagadnieniem edukacji. Jesteś niezadowolony ze sposobu, w jaki twoi koledzy w Izbie i Senacie okroili twoją ofertę edukacyjną...

- To prawda.

- ...i dlatego sprowadzasz ich z powrotem do Tallahassee, aby zakończyć dzieło dla dobra wszystkich dzieci z Florydy. Oznajmisz, że zasługują na większe klasy, więcej nauczycieli, nowe podręczniki i tak dalej. Nadażasz za mną?

Gubernator uśmiechnął się.

- Niech zgadnę. Robert Clapley ma zamiar wybudować na Wyspie Burzyków szkołę publiczną.

- Owszem, spodziewam się, że przychylnie potraktuje ten pomysł,

- Ale autobusy szkolne są ciężkimi pojazdami, prawda?

- Absolutnie słusznie, zwłaszcza gdy są pełne. - Palmer Stoat był zadowolony. Jeszcze była jakaś nadzieja dla Dicka Artemusa. - Nie możesz

dopuszczać, aby autobus pełen niewinnych małych dzieciaków jeździł tam i z powrotem po zdezelowanym, starym moście.

- To zbyt niebezpieczne - przytaknął gubernator.

- Ryzykowne jak diabli. A czy można wyznaczać cenę bezpieczeństwa dzieci?

- Wykluczone - oznajmił Dick Artemus.

- Spróbuj powiedzieć tacie i mamie - Stoat melodramatycznie podniósł głos - że mały Jimmy nie zasługuje na nowy bezpieczny most, by po raz pierwszy pojechać szkolnym autobusem do szkoły podstawowej na Wyspie Burzyków. Sprawdź, czy nie uznają, że dwadzieścia osiem milionów dolarów jest niewielką ceną...

Oczy gubernatora rozbłyły.

- Jesteś geniuszem, Palmerze.

- Nie tak szybko. Mamy mnóstwo telefonów do wykonania.

- My? - Gubernator uniósł jedną brew.

- Do diabła, Dick, powiedziałeś, że lubisz psy.

To jakieś szaleństwo, pomyślał Dick Artemus, porąbany świat. To, że w ogóle brał pod uwagę taki plan, było wyraźnym świadectwem, jak rozpaczliwie pragnął utrzymać po swojej stronie Palmera Stoata.

- Zakładam, że Bob Clapley jest w kursie tych bzdurow.

- Och, wszystko z nim załatwię - oznajmił Stoat, machając ręką. - Jeżeli dostanie ten swój most, za cholerę go nie będzie obchodziło, w jaki sposób się to stanie. Nie martw się Clapleyem.

- W takim razie doskonale.

- Prawdę mówiąc, będę się trzymał od niego na dystans, dopóki nie rozwiążemy tego problemu.

- Twoja sprawa, Palmer.

Rozmawiali o koszykówce, polowaniu i kobietach, dopóki nie zjedli deseru, czyli domowego ciasta orzechowego z lodami waniliowymi. Stoaat zakładał marynarkę, gdy gubernator zapytał:

- Skąd wiesz, czy ten twój szajbnięty psi porywacz nie robi cię w bambuko?
- Staąd, że przysłał mi to cholerne ucho - odparł Stoaat. - Ucho prawdziwego psa. Gubernator prawie oniemiał.

- Twojego?

- Nie wiem tego na pewno. Bardzo możliwe - powiedział Stoaat. - Ale nawet jeżeli to nie jest ucho Boodle'a, sam widzisz, jaki to pasztet. Urzynał to cholerne ucho psu, jakimuś psu. O to właśnie chodzi. Autentyczne ucho, Dick, a potem przesłał mi je Federal, pieprzonym Ekspresem. Sam widzisz, z kim mamy do czynienia.
- Tak, już rozumiem. - Gubernator sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Myślał teraz: Znowu „my”?

Palmer zabrał Desie do restauracji z owocami morza na Las Olas Boule-vard, ale jego zachowanie przy stole tak ją zdenerwowało, że właściwie nie przełknęła nawet kęsa. Zamówił dwa tuziny ostryg, które wysysał z takim hałaśliwym entuzjazmem, że goście siedzący przy sąsiednich stołach zniesmaczeni umilkli i wokoło zapadła cisza. Teraz Palmer układał puste skorupki wokół krawędzi talerza - sześć identycznych kupek po cztery muszle w każdej. Gadał bez przerwy, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy ze swojego obsesyjnego porządkowania wszystkiego, co znalazło się w zasięgu jego rąk. Desie była w równym stopniu zdumiona, jak i zakłopotana. Czy nie był to ten sam śmieciuch, który jadąc do restauracji, wyrzucił przez okno rangę rovera pusty kubek po kawie i trzy stosiki ofert reklamowych? Desie nie wiedziała, jaka jest nazwa kliniczna zaburzenia psychicznego jej męża, ale objawy nie należały do trudno zauważalnych - wszystko, czego nie mógł zjeść, wypić lub poukładać, natychmiast wyrzucał.

- Wcale mnie nie słuchasz - powiedział Palmer Stoaat.
- Przepraszam.
- Na co się tak patrzysz?
- Na nic.
- Czy ten filet ci nie smakuje?
- Jest doskonały, Palmerze. A teraz, proszę, powtórz mi, co obiecał Dick.
- Powiedział, że to zrobi.
- Mówisz poważnie? - Desie była dotąd przekonana, że nie ma na to szans.
- Zrobi to dla mnie - oświadczył Stoaat zarozumiałym tonem. - Zetnie ten most.
- Fantastycznie.
- Tak, no cóż, będzie mnie to sporo kosztować. Zanim wszystko się skończy, Bob Clapley będzie chciał powiesić moje jaja na dewizce od zegarka i nie on jeden. Za dwadzieścia osiem milionów zielonych można sobie kupić całą armię wrogów, Des.
- A co według ciebie jest ważniejsze - kolejny głupi ośrodek golfowy czy ocalenie życia twojemu psu?
- Dobra, dobra. Kiedy odda nam naszego łobuziaka?
- Gdy o zawetowaniu mostu napiszą w gazetach. Wtedy porywacz odda Doodle'a. Mówił, że w międzyczasie porozumie się z nami.
- Cudownie - Stoaat poprosił gestem o rachunek. - Szkoda, że nie znasz jego nazwiska.
- Palmerze, przecież to przestępca. Tacy nie rozdają wizytówek - Desie nie rozumiała, dlaczego wciąż stara się ochronić Twilly'ego Spree, ale to nie była właściwa chwila, żeby zmieniać wersję.
- Po prostu jestem ciekaw - rzekł Stoaat. - To musi być ktoś, kto mnie zna. Ktoś, kogo kiedyś wkurwiłem. Do tego stopnia poważnie wkurwiłem, że włamał się do mojego domu i porwał mojego cholernego labradora.

- Co to za różnica? - odparła. - Twierdzisz, że wszystko jest załatwione. Gubernator Dick zrobi, o co go poprosiłeś, a wtedy dostaniemy z powrotem Boodle'a i będzie po sprawie. Mam rację?

- Taki jest plan - przytaknął jej mąż. Po czym zwrócił się do kelnera. - Czy mógłby pan łaskawie dopilnować, żeby danie mojej żony zostało skreślone z rachunku? Filet był tak przemrożony, że nie mogła go zjeść.

- Na litość boską-jęknęła Desie.

W drodze do domu Palmer zdjął jedną dłoń z kierownicy i wsunął jej pod spódnicę.

- Jesteś ze mnie dumna? - zapytał.
- Jestem. - Zacisnęła odruchowo kolana.
- A jak bardzo jesteś dumna?

Desie poczuła, jak coś ją ściska w dołku. Patrzyła wprost przed siebie, udając, że obserwuje ruch na drodze.

- Wystarczająco dumna, by urządzić małe bara-bara?
- Palmer. - Ciężko jej jednak poczuć winy. Oczywiście, będzie dziś w nocy uprawiała z nim seks. Jak

mogłaby mu odmówić po tym, co zrobił dla psa?

- Minęło już parę tygodni - przypomniał.

- Wiem. Kilka trudnych tygodni.

- Dla nas obojga, kochanie. No więc jak? Świece z zapachem bzu. Butelka francuskiego wina...

- To brzmi zachęcająco - przyznała Desie.

- ... i może łyżeczka proszku z nosorożca dla podniecenia superekstra.

- Nie!

-Des, daj spokój.

- Nie ma mowy, Palmer. Nie ma mowy! - Wydobyła jego rękę ze swoich majtek i powiedziała, żeby uważał na drogę. Dopiero po minięciu trzech kolejnych świateł Stoaat zdołał się jakoś pozbierać.

- Masz rację - rzekł do Desie. - Zapomnij o rogu nosorożca, zapomnij, że w ogóle o nim wspomniałem. Przepraszam.

- Obiecuj, że to wyrzucisz.

- Obiecuję - skłamał Stoaat. Właśnie myślał o intrygującej call-girl, spotkanej tamtej nocy u Swaina, tej, która pieprzyła się tylko z republikanami. Ona z całą pewnością nie powinna mieć liberalnych zahamowań w kwestii afrodyzjaków uzyskanych kosztem zagrożonych gatunków. Ani też Roberta, obdarzona wolnym duchem i obfitymi implantami blondynka, która czasami towarzyszyła Stoaatowi w podróży. W zamian za obietnicę nowego i doskonalszego orgazmu Roberta osobiście zabiłaby nosorożca gołymi rękami.

Swojej żonie natomiast Palmer Stoaat oświadczył:

- Wywalę ten proszek z samego rana.

- Dziękuję - powiedziała.

Zerkając na nią ukradkiem, zapytał:

- Czy to oznacza, że w dalszym ciągu jesteśmy umówieni na później?

- Chyba tak. - Desie odwróciła głowę, udając, że ogląda bikini na wystawie sklepu z odzieżą plażową. Poczwała palce Palmera przesuwające się niczym pająki pomiędzy jej udami. Nie cofnęła ręki, nawet gdy światło zmieniło się na zielone.

- Wyglądasz dzisiaj tak niesamowicie - powiedział. - Nie mogę doczekać się na zdjęcia.

O Boże, pomyślała Desie. Znowu szalony fotograf.

- Palmerze, właściwie nie jestem w nastroju.

- Od kiedy? Daj spokój, kochanie, wyluzuj się.

Stoaat zatrzymał się przy sklepie i kupił w nim trzy paczki filmów do polaroida. Odruchowo rozerwał je natychmiast po zajęciu miejsca w samochodzie i wyrzucił puste opakowania na jezdnię parkingu. Desie wysiadła i podniosła je wszystkie, wzbudzając tym konsternację męża.

- Co cię naszło? - zapytał.

- Jedź - odpowiedziała. - Zawieź mnie do domu. Żebyśmy mieli to już za sobą.

Tego wieczoru Twilly'ego Spree zatrzymał policjant na drodze A1A w Lauderdale-by-the-Sea. Twilly przypuszczał, że wie dlaczego: doszło do kolejnego przypadku niewłaściwego kontrolowania gniewu; ten akurat dotyczył czterech osób studiujących w college'u, dwóch skuterów wodnych i dużych ilości piwa.

Zdarzyło się to po tym, jak Twilly zwrócił wynajętego chevroleta corseca i przeniósł McGuinna do czarnego pikapa. Twilly pilnował swojego nosa i czekał w korku na moście zwodzonym Commercial Boulevard, kiedy zobaczył dwa skutery jet ski, pędzące na złamanie karku po Wewnętrznej Drodze Wodnej. Jeden skuter był biały z jaskrawo niebieskimi pasami, drugi zaś biały z pasami czerwonymi. Na obu siedziały identyczne pary: młody mięśniak za sterem, a za nim obejmująca go w pasie młoda laska. Skakali przez ślady torowe jachtów, w niebezpiecznej odległości mijali żaglówki, obryzgiwali wodą rybaków i na wszelki możliwy sposób ogłaszali światu swoje pijane kretyństwo. Tego rodzaju wymóždzone dowcipy były czymś do tego stopnia typowym dla młodych skuterowców wodnych, że właściwie nie powinny nikogo ani dziwić, ani szczególnie interesować. Twilly Spree zapewne nie zwróciłby uwagi na wygłupy, gdyby nie fakt, że most wciąż był podniesiony i musiał na nie patrzeć. Poza tym istniała przekraczająca średnią statystyczną szansa, że naprane chłopaki wyróżną czołowo swoimi kosztownymi zabawkami w opaskę brzegową przy prędkości ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę - a Twilly zawsze chętnie oglądał dowody potwierdzające słuszność teorii Darwina przeprowadzane w tak widowiskowym stylu.

Oba jet ski miały się tam i z powrotem, jazgocząc potępieńczo jak oszalałe piły łańcuchowe. Przerażony pelikan zerwał się z pala i skutery wodne natychmiast rzuciły się za nim w ogłuszający pościg. Twilly wyskoczył z pikapa i podbiegł do poręczy mostu. McGuinn wysunął nos przez okno i zaskomlał.

Niecałą minutę później było już po wszystkim. Początkowo ptak leciał tuż nad wodą, starając się nabrać prędkości. Obaj skuterowcy zbliżali się szybko od tyłu, promienie południowego słońca połyskiwały

na puszkach z piwem. Wszystkie cztery szczeniaki rzuciły je jednocześnie w chwili, gdy pelikan zaczął się już wzbijać. Trzy puszki chybiły, ale czwarta trafiła ptaka w zgięcie skrzydła. Eksplozja złocistej mgiełki stanowiła świadectwo, że puszka była pełna, a wobec tego ciężka jak kamień. Pelikan runął w dół w niezgrabnym korkociągu i z rozwartym szeroko dziobem uderzył grzbietem o wodę. Skuterowcy okrążyli miejsce przymusowego wodowania, a potem pomknęli torem wodnym, pozostawiając za sobą spienione smugi. Byli na tyle daleko, że Twilly nie widział, czy się śmieją, ale przyjął, że tak. Obserwował, jak taksówka wodna wydobywa rannego pelikana, który tłukł o powierzchnię zdrowym skrzydłem, usiłując wzbic się do lotu.

Twilly wsiadł do samochodu, podkręcił radio, podrapał McGuinna pod gardłem i poczekał na opuszczenie mostu. A potem wyskoczył z korka i jak psychopata pomknął na pomoc wzdłuż nabrzeża na poszukiwanie basenu jachtowego, w którym zatrzymali się skuterowcy. O zmierzchu wreszcie znalazł ich na publicznym nabrzeżu w Pompano Beach. Wciągali swoje skutery wodne na dwumiejscową przyczepę, umocowaną do czarnego cadillaca se-ville coupe, nowego, ale bardzo brudnego po długiej podróży. Kosztowny samochód z tablicami rejestracyjnymi stanu Maryland pewnie należał do ojca któregoś z nich. Młodzi ludzie najwyraźniej korzystali z wiosennych ferii 1 byli w ewidentny sposób pijani. Dwaj mięśniacy spędzili wiele czasu na siłowni i teraz nosili siatkowe podkoszulki, aby odpowiednio zareklamować osiągnięte rezultaty. Obie dziewczyny były szczupłymi brunetkami, zapewne siostrami, zbyt trupio bladymi jak na utrzymane w neonowych kolorach kostiumy, które miały na sobie. Ich gołe, pomarszczone od siedzenia na skuterach pośladki wyglądały jak bochenki chlebków pita.

W pierwszym odruchu Twilly miał ochotę wałnąć swym wozem w ca-dillaca tak mocno, żeby stoczył się do tyłu po pochylni dla łodzi. W ten sposób mógłby utopić samochód, skutery, forsy i wszystkie cenne przedmioty. Niestety, caddy zdecydowanie przewyższał masapikapa Twilly'ego, a wobec tego rezultat mógł się okazać inny od oczekiwanego. Twilly w najmniejszym stopniu nie dbał o siebie, ale musiał myśleć o McGuinnie -taki wstrząs z całą pewnością nie byłby niczym dobrym dla biedaka.

A poza tym, tłumaczył Twilly samemu sobie, cóż osiągnąłby, dokonując takiego skromnego aktu zniszczenia cudzej własności? Towarzystwo ubezpieczeniowe odkupiłoby luksusową brykę oraz skutery i w rezultacie nie zdołałby udzielić szczeniakom niezbędnej nauki. Skuterowcy nie dostrzegliby żadnego związku pomiędzy aktem wandalizmu, jaki spotkał należące do nich przedmioty, a ich okrutnym atakiem na pelikana. Dla Twilly'ego takie rozwiązanie było nie do przyjęcia. Uważał, że zemsta nigdy nie powinna mieć w sobie czegokolwiek zagadkowego, niejawnego.

Wziął więc McGuinna na smycz i wysiadł z pikapa. Dwie podcięte dziewczyny z college'u dostrzegły wielkiego psa i rzuciły się w jego stronę, plaskając sandałami po asfalcie. Uklęły przy McGuinnie, gruchały i chichotały, kiedy oblizywał ich słone opalone twarze. Na coś takiego właśnie Twilly liczył, bo labradory działały na kobiety i dzieci jak magnes. Dwaj napakowani przyjaciele dziewczyn podeszli z ponurymi, pełnymi budzącej się zazdrości minami. Wprawdzie byli nawaleni jak stodoły, ale mimo to nie podobało im się, że przestali się znajdować w centrum uwagi. W czasie gdy dziewczyny uwodziły McGuinna, Twilly nawiązał z chłopakami rozmowę na temat ich klawych skuterów wodnych - ile wyciągają, ile kosztują, jaki mają przebieg. Chłopcy szybko się rozkręcili i zaczęli się przechwalać, że ich jet ski zostały nielegalnie przerobione, dzięki czemu rozwijają dużo większą prędkość niż ta, jaką podaje wytwórnia. Twilly zapytał, czy może obejrzeć je bliżej. A chłopaki powiedziały, że jasna sprawa, niech ogląda.

Twilly zapytał dziewczyn, czy mogłyby popilnować psa, i usłyszał w odpowiedzi:

- Czy mogłybyśmy? Chcemy go zabrać ze sobą do domu, do Ocean City. A w ogóle to jak się nazywa?

- Beowulf - odparł Twilly.

- Rany, jak cudownie - zawołała jedna z dziewczyn.

Idąc z chłopakami przez parking w stronę cadillaca z podwójną przyczepą zapytał ich, czy w chłodziarce mają wolne piwo. I była to ostatnia rzecz, jaką dziewczyny słyszały z ich rozmowy. Po kilku minutach Twilly wrócił i wziął psa na smycz. Dziewczyny z college'u tuliły się do „Beowul-fa” i mruczały mu do ucha słodkie słowa pożegnania. Potem wstały niepewnie, a kiedy zaczęły rozglądać się w poszukiwaniu chłopaków, Twilly Spree powiedział im cicho:

- Widziałem, gówniarze, co zrobiliście pelikanowi.

- Hę? - zdziwiła się jedna z dziewczyn.

Druga złapała koleżankę za łokieć i spytała:

- O czym on mówi?

- Nigdy tu nie wracajcie - poradził Twilly. - Nigdy więcej. A teraz zadzwońcie po straż pożarną. Ale szybko.

Bagażnik cadillaca był otwarty, podobnie jak znajdująca się w nim chłodziarka. Chłopcy leżeli na ziemi pod kątem czterdziestu pięciu stopni do siebie jak wskazówki zepsutego zegara. Jeden miał pękniętą kość policzkową, o czym świadczył powiększający się, fioletowy siniak. Drugi miał poważnie

przestawioną szczękę, również ozdobioną paskudnym śladem po uderzeniu. Niedaleko nich leżały dwie zniekształcone puszkę budweisera, zraszając chodnik piwną pianą. Pijane dziewczyny zaczęły zawodzić, wyjęły z chłodziarki parę garści kostek lodu i próbowały położyć je na uszkodzonych fragmentach twarzy ich pijanych przyjaciół. Były tak zaabsorbowane udzielaniem pierwszej pomocy, iż nie zwróciły uwagi na to, że na przyczepie dymią złowieszczo oba skutery i mogą lada chwila stanąć w płomieniach.

Twilly Spree nie czekał na pojawienie się ognia, chociaż ten widok sprawiłby mu ogromną radość. Potem, kiedy we wstecznym lusterku pojawiło się błyskające niebieskie światło policyjnego migacza, doszedł do wniosku, że obie dziewczyny nie były jednak tak naprane, jak sądził. Uznał, że zapamiętały jego pikapa, a może nawet numery rejestracyjne. Sprawy układały się niepomyślnie, ponieważ Twilly nie mógł sobie pozwolić na kolejny pobyt w więzieniu. W każdym razie nie teraz, kiedy sprawa Ropuszej Wyspy wciąż pozostawała nierozstrzygnięta. Nie mógł wybrać gorszego momentu na wyładowanie gniewu na młodych dręczycielach pelikana i był wściekły na samego siebie, że stracił panowanie nad sobą. Po raz kolejny.

Policjant z Lauderdale-by-the-Sea był uprzejmym, młodym człowiekiem, niewiele starszym od Twilly'ego. Stał w pewnej odległości od pikapa, zaglądał do kabiny i potężną latarką oświetlał McGuinna, który zaczął szczeekać teatralnie. Funkcjonariusz najwyraźniej poczuł ulgę, gdy zobaczył, że Twilly ^ieli przednie siedzenie z psem, a nie z jakimś wielkim ciemnoskórym osobnikiem. Poprosił go, żeby wysiadł i pokazał prawo jazdy. Twilly wykonał polecenie. Bez trudu zdołałby rozbroić młodego gliniarza i zwiąć, ale nie mógł porzucić McGuinna. Nie, pójdą na dno razem, człowiek i zwierzę.

- Proszę pana, zauważyłem, że prowadzi pan samochód w nieskoordynowany sposób - oznajmił policjant.

Twilly poczuł się jak w siódmym niebie - zwyczajna kontrola drogowa!

- Tak. Tak - przyznał skwapliwie. - Rzeczywiście jechałem w nieskoordynowany sposób!

- Czy miał pan ku temu jakiś powód?

- Tak jest, proszę pana. Przypadkowo wypadł mi batonik i pies usiłował mi go wyciągnąć spomiędzy nóg. - Była to święta prawda. - W tym momencie - ciągnął Twilly - z całą pewnością zacząłem prowadzić dość dziwnie.

- Duży ten pański pies - powiedział policjant.

- I figlarny - dodał Twilly. - Bardzo mi przykro, jeżeli pana zaniepokoiiliśmy.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia przeciwko dmuchnięciu w alkomat?

- Absolutnie żadnych.

- Pytam, ponieważ wyraźnie czuję od pana piwo.

- Nie piłem piwa. Wylało się na mnie - wyjaśnił Twilly, nie wdając się w szczegóły.

Badanie alkomatem dało absolutnie pomyślny dla Twilly'ego wynik. Młody policjant poszedł do swego samochodu, aby przez radio sprawdzić, czy nie ma jakichś listów gończych, ale Twilly i tutaj okazał się czysty. Wreszcie funkcjonariusz wrócił do pikapa i kiedy ponownie zaczął go oglądać, przyświecając sobie latarką, jej promień padł na stary kufer podróżny stojący w tylnej części samochodu.

- Czy mógłbym zajrzeć do środka? - zapytał policjant.

- Wolałbym nie - odparł Twilly.

- Co pan w nim ma?

- Nie uwierzy pan, jak panu powiem.

- Jeżeli woli pan, żebym się zajął sprawą na poważnie, panie Twilly, mogę wezwać K-9, zespół z psem tropiącym.

- K-9 w Lauderdale-by-the-Sea? - zdziwił się Twilly. - Co usiłują tu wywąchać? Szmuglowany metamucil?

Drugi samochód patrolowy przywiózł przeszkolonego owczarka niemieckiego o imieniu Spike. Twilly i McGuinn otrzymali polecenie cofnąć się i patrzeć, co się będzie działo. Twilly dostrzegł, że labrador spogląda na niego pytająco.

- Masz rację - mruknął do psa. - Jestem dupkiem.

Młody gliniarz otworzył tylną klapę i owczarek niemiecki wskoczył do pikapa. Jedno pociągnięcie nosem przy kufrze i Spike dostał szału - szczeekał, warczał, drapał zamki, kręcił się w kółko.

- Boże wszechmogący - jęknął gliniarz z K-9.

- Kupiłem kufer na wyprzedaży podwórkowej - wyjaśnił Twilly. - Powiedzieli mi, że przyplłynął tu na „Queen Mary”. - Było to dość bliskie prawdy.

- Co u diabła tam trzymasz, synu?

Twilly westchnął. Podeszedł do pikapa i zapytał:

- Czy mogę?

- Zrób to - polecił młodszy gliniarz.

Twilly otworzył zamki i podniósł wieko kufra. Kiedy Spike, tropiący narkotyki owczarek, zobaczył, co jest

w środku, zeskoczył z pikapa i skomlać, uciekł do klatki znajdującej się w samochodzie jego pana. Obydwaj policjanci skierowali światła latarek ku wnętrzu kufra.

- Co to za historia? - zawołał policjant z K-9, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zszokowany.

- On nie żyje - oświadczył Twilly.

- Słucham.

- To tylko suchy lód. To nie prochy.

- Cóż za chętny do pomocy facet - powiedział gliniarz z K-9.

- Żadne prawo nie zabrania posiadać martwego psa - oświadczył Twilly, chociaż nie był tego całkiem pewien.

Policjanci przyglądali się przejechanemu labradorowi. Jeden z nich zapytał:

- Co stało się z jego uchem?

- Sęp - wyjaśnił Twilly.

- A więc dlaczego jeździ pan z tym... tym przedmiotem w samochodzie? - zapytał młodszy gliniarz.

- Ponieważ jest całkowicie porąbanym świrem? - zasugerował funkcjonariusz z K-9.

- Jechałem, żeby go pochować - wyjaśnił Twilly.

- Gdzie?

- Na plaży.

- Niech zgadnę. Ponieważ labradory uwielbiają wodę? Twilly skinął głową.

- Coś w tym rodzaju.

Młodszy gliniarz nie odezwał się ani słowem, wypisując Twilly'emu mandat za nieprawidłową zmianę pasa ruchu. Nie odpowiedział również, gdy Twilly zapytał go, czy kiedykolwiek utracił ukochanego zwierzaka.

- Proszę posłuchać, to nie jest tak, jak pan myśli - nalegał Twilly. - Został potrącony przez samochód.

Zasłużył sobie na przyzwoity pogrzeb.

- Mniejsza o to. - Młody policjant podał mu mandat. - Może pan zapłacić pocztą.

- Nie mam pretensji, że jest pan podejrzliwy.

- Jeżeli przypadkiem mówi pan prawdę ~ wtrącił się policjant z K-9 to niech pan nie próbuje zakopywać tego czegoś na publicznej plaży.

- Dlaczego? Czy jakieś przepisy zakazują tego?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Zrozumiano?

Młodszy gliniarz pochylił się, żeby pogłaskać McGuinna po karku.

- Jeżeli znowu zatrzymam pański samochód - zwrócił się do Twilly'ego - i w środku będą dwa martwe psy, odstrzelę panu dupę. I do diabła z prawem.

- Doceniam pańską szczerłość - odparł Twilly.

Gdy policjanci odjechali, ruszył na południe A1A do Fort Lauderdale, gdzie zaparkował naprzeciwko Bahía Mar. Wyjął kufer z pikapa i cofając się, powłókł go po piasku. Przystanął za hotelem Yankee Clipper i ponad godzinę kopał gołymi rękami. Nikt się nie zatrzymał, by zapytać, co robi, ale wokół kufra zebrał się niewielki tłum zaciekawionych turystów, wśród których było wielu Europejczyków. Zachowywali się, jakby oczekiwali na jakąś atrakcję - może magiczną sztuczkę albo występ ulicznego grajka! Zanim Twilly zasypał kufer, podniósł wieko i pokazał, co jest w środku. Potem jeden z turystów, drobny, siwobrody mężczyzna, podszedł do świeżo usypanego grobu i odmówił modlitwę po duńsku. Wkrótce przyłączyli się do niego inni, mrużąc z szacunkiem modły w swoich ojczystych językach. Twilly był głęboko wzruszony. Objął Duńczyka, a potem po kolei wszystkich turystów. A potem zdjął ubranie i rzucił się do oceanu. Kiedy wyszedł z wody, okazało się, że jest sam na plaży.

Zabrał Desie z Federal Highway przy południowym końcu tunelu New River.

- To był naprawdę wspaniały pomysł - powiedziała, wsiadając do samochodu. - Wszyscy myśleli, że jestem dziwką, która czeka na klienta. Chyba z dziesięciu facetów zatrzymało się, żeby zapytać, ile chcę za zrobienie loda.

- I co im powiedziałaś?

- Bardzo śmieszne.

- No cóż - rzekł Twilly. - Wcale nie wyglądasz na dziwkę.

- Ach, jakież to miłe.

- Czy nie jesteś przypadkiem sarkastyczna?

- Przepraszam - powiedziała Desie - ale miałam paskudny dzień. A tak że, kiedy o tym pomyślę, dość paskudną noc. Gdzie jest mój pies?

- W bezpiecznym miejscu.

- Skończ z tymi gierkami, Twilly. Proszę.

- Musiałem się upewnić, że będziesz sama.

- Kolejne wotum zaufania. Na co się tak gapisz?

- Na nic.

- Dzinsy, sandały i sweter Donny Karan - czy tak się dzisiaj ubierają dziwki?

- Wyglądasz wspaniale - odparł Twilly. - Dlatego się gapię.

- No to nie rób tego. - Zażenowana ściągnęła włosy do tyłu i owinęła je niebieską gumką. Dzięki temu Twilly mógł teraz bez przeszkód podziwiać jej szyję.

- Co ma pani w tej torbie na zakupy, pani Stoat?

Kiedy mu pokazała, uśmiechnął się szeroko. Było to wydanie w miękkiej oprawie książki The Dreadful Lemon Sky, pudełko tic taców, duża paczka batoników Liv-A-Snaps i płyta kompaktowa zatytułowana BackFrom Rio, solowy album Rogera McGuinna, imiennika labradora.

Twilly wsunął kompakt do samochodowego odtwarzacza stereo.

- To wyjątkowo miła niespodzianka. Dziękuję.

- Bardzo proszę.

- O co chodzi?

- O nic - pociągnęła nosem Desie. - O wszystko. - Przygryzła dolną wargę.

- Teraz się zamknę - oznajmił Twilly. Jednakże nie przejechali jeszcze połowy drogi do Miami Beach, kiedy zauważył, że stukta lewą stopą w takt muzyki. Wszystko z nią będzie w porządku, pomyślał Twilly. I to fajne, że znowu siedzi obok mnie.

Miał zarezerwowane dwa pokoje z widokiem na ocean w Delano. Desie nie mogła w to uwierzyć.

- Pies ma własny pokój? - zapytała w windzie.

- On chrapie - wyjaśnił Twilly. -1 puszcza bąki.

- Jak go przeschmuglowałeś koło recepcji?

- Zatrzymała się tu Kate Moss.

- I co z tego? - zdziwiła się Desie.

- Ona i ten jej przyjaciel, aktor. Jak on się nazywa - Johnny Damon?

- Johnny Depp.

- Otóż to - przytaknął Twilly. - „To pies Johnny'ego. Johnny nigdzie się bez niego nie rusza. Johnny i pies są nierozłączni”.

- I uwierzyli?

- Na to wygląda.

- O Boże - westchnęła Desie.

Windę oświetlało czerwone światło, ale pokoje były utrzymane w bia-tym kolorze od góry do dołu. McGuinn tak się podniecił widokiem Desie, że trochę sięposikał na alabastrowe płytki. Wzięła biały ręcznik z białej łazienki i uklękła, żeby zetrzeć siuski McGuinna. Pies uznał, że chce się z nim bawić - przypadł brzuchem do ziemi i zaczął szczeekać ogłuszająco.

- Cicho! - powiedziała Desie, ale wkrótce sama się śmiała i tarzała z psem po podłodze. Zauważyła, że usunięto mu z brzucha klamerki chirurgiczne.

- Doskonale się czuje - oświadczył Twilly.

- Bierze swoje pigułki?

- No problemo.

- Rostbef?

- Nie, sprzykrzył mu się. Teraz używamy kotletów wieprzowych.

Desie podeszła do minibaru, który również był cały biały. Sięgała właśnie po dietetyczną kole, kiedy to zobaczyła - plastikową torebkę. Wzięła ją do ręki, zajrzała do środka i pospiesznie odłożyła pomiędzy herbatniki i ba-tonik czekoladowy Toblerone.

- Mój Boże, Twilly - wykrztusiła z trudem.

Opadł bezradnie na krawędź łóżka. McGuinn podreptał w drugi koniec pokoju i niepewnie przysiadł przy drzwiach.

- Skąd to masz? - zapytała Desie.

- Z tego samego miejsca co ucho.

Desie zamknęła drzwi do minibaru.

- Nie przejmuj się - rzekł Twilly. - Nie zabiłem go. Już nie żył, kiedy go znalazłem.

- Na drodze? - Desie mówiła tak cicho, że Twilly prawie jej nie słyszał. - Znalazłeś go na drodze?

- Tak.

Zerknęła ukradkiem w stronę minibaru.

- Co za niesamowity zbieg okoliczności, prawda? Kolejny czarny labrador.

- Żaden zbieg okoliczności. Szukałem go. Objechałem pół świata.

- Tego właśnie się obawiałam - westchnęła Desie.

- No dobra, co, u diabła, miałem zrobić? - Twilly wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. - Udało się, prawda? Wielki Biały Myśliwy dał się nabrać.

- Owszem.

- W porządku. W takim razie nie patrz na mnie w stylu „ach, ty biedna, chora duszyczko”. Zwierzę już nie żyło, rozumiesz? Już nie potrzebował tego ucha!

Desie gestem dłoni poprosiła, żeby usiadł. Przycupnęła obok niego na łóżku i powiedziała:

- Uspokój się, na litość boską. Jestem po prostu zdziwiona. Wcale nie mam zamiaru cię osądzać.

- To dobrze.

- Po prostu... Myślałam, że ucho wystarczy. Bo myślałam, że zadziałało bez pudła. Gubernator Dick zrobił, co chciałeś, prawda? Zawetował most na Wyspę Burzyków.

- No cóż, wiem z własnego doświadczenia, że nigdy nie zaszkodzi... - Twilly ponownie zerwał się z łóżka - że nigdy nie zaszkodzi postawić jeszcze dodatkowy wykrzyknik.

- W porządku.

- Żeby nie było dwuznaczności, żadnych nieporozumień.

- Rozumiem - rzekła Desie.

- Doskonale. A teraz będzie nam potrzebne pudełko po cygarach.

- Dobrze.

- Pudełko po specjalnych cygarach - dodał Twilly. - Pomożesz mi czy nie?

- Czy mógłbyś trochę ochłoniąć? Oczywiście, że pomogę. Ale przede wszystkim...

-Co?

- Przede wszystkim, jak sądzę, widzę tu kogoś - powiedziała Desie, odwracając się w stronę drzwi - kto chciałby pójść na miły, długi spaacer...

Hebanowe uszy McGuinna stanęły gwałtownie na baczność, a jego ogon zaczął łomotać o kafelki.

Rozmawiałem z gubernatorem. Jezu, Palmer Stoać nie to chciał usłyszeć od Roberta Clapleya, zwłaszcza teraz, gdy był skrępowany sznurem elektrycznym z własnej kuchni, przywiązany do barowego stołka, pokojówka miała wolny dzień, a nieznajomy blondyn stał nad nim z rewolwerem o krótkiej lufie w dłoni.

A Robert Clapley chodził tam i z powrotem, powtarzając teksty w stylu: „Palmer, jesteś pieprzoną gnidą najgorszego rodzaju. Mam rację?”.

I to wszystko działo się niecałe dwie godziny po tym, jak Stoać zadzwonił do Clapleya, żeby go poinformować, iż gubernator zamierza złożyć weto w sprawie finansowania mostu na Wyspę Burzyków. Zwalił winę na Willie-go Vasqueza-Washingtona - tego podstępnego asfalta/meksa/czerwonoskórego! - powiedział, że to Willie wycofuje się z umowy i trzyma gubernatora za jaja, zmusza go, żeby podpisał jakiś pieprzony załącznik, gwarantujący wywodzącym się z mniejszości wykonawcom udziały w budowie nowego baseballowego stadionu w Miami. Haitańscy tynkarze, kubańscy murarze, hydraulicy Miccosukee - Bóg jeden raczy wiedzieć, czego ten Wille żąda! Stoać tłumaczył Clapleyowi: „To polityka rasowa, Bob. Czas dyletantów. Nie ma żadnego związku z tobą albo ze mną”.

Clapley (zgodnie z przewidywaniami Stoata) dostał szału, zaczął wrzeszczeć do telefonu o zdradzie, podłym oszustwie, zemście. Stoać usiłował uspokoić swojego młodego klienta, tłumacząc mu, że ma plan ocalenia mostu.

Wyznał, że to nie będzie łatwe, ale jest prawie pewien, iż uda mu się załatwić sprawę. A potem opowiadał Clapleyowi o planowanej przez Dicka Ar-temusa specjalnej sesji ciała ustawodawczego - w celu zasilenia budżetu edukacji, wyjaśnił. Będą w tym tony szmalu do rozdysponowania, mnóstwo forsy na most Clapleya. Będzie musiał tylko zbudować podstawówkę na Wyspie Burzyków.

-1 możesz nadać jej swoje imię! - podniecał się Stoać.

Z drugiej strony zapadła cisza, która powinna wywołać u Stoata gęsią skórę, ale tak się nie stało. Potem Clapley odezwał się o wiele za spokojnym tonem.

- Szkoła.

- Oczywiście - powiedział Stoać. - Nie rozumiesz, Bob? Szkoła potrzebuje szkolnych autobusów, a szkolny autobus nie może przejechać na wyspę po takim rozsypującym się, starym drewnianym moście. W żaden sposób nie mogą odmówić!

Jeszcze dłuższa cisza ze strony Clapleya, potem coś, co zabrzmiało jak chrząknięcie - a Stoać wciąż jeszcze nie wyczuwał, że sytuacja staje się nie-dobra.

-Uważam, że sprawa jest do załatwienia, Bob. Wierzę, że mogę ją prze-pchnąć.

- Za ile? - zapytał takim samym bezbarwnym tonem Clapley.

- Następne pięćdziesiąt powinno wystarczyć.

- Następne pięćdziesiąt.

- Plus wydatki. Będę musiał trochę pojeździć - dodał Stoać. - Przypuszczam też, że jakieś obiady.

- Skontaktuję się z tobą, Palmer.

Były to ostatnie słowa Roberta Clapleya w tej kwestii, zanim zjawił się niezapowiedziany w domu Stoata. On sam w towarzystwie świra ubranego w garnitur w kratkę. Mężczyzna był niski, szeroki w barach i miał włosy przedziwnie posklejane żelem, a także ufarbowane - ich końcówki były prawie białe i

sterczały sztywno, przypominając kolce. Człowiek Clapleya wyglądał, jakby na głowie siedział mu jeżozwierz z igłami koloru blond.

Stoat otworzył drzwi frontowe i goście weszli do środka. Zanim jednak zdołano wymienić pozdrowienia, kolczasty blondyn wyciągnął krótki rewolwer, przywiązał Stoata do barowego stołka i przeciągnął go do kuchni. Tam Robert Clapley rozpoczął spacer przed umieszczonym w wykuszu oknem, a diamentowy kolek w jego uchu rozbłyskiwał za każdym razem, gdy odwracał się na pięcie.

Swoje przemówienie do Stoata rozpoczął w następujący sposób: „Palmer, jesteś gównojadem, jakiego świat nie widział”. Potem ciągnął dalej w tym samym duchu i wreszcie zakończył słowami: „Rozmawiałem z gubernatorem”.

„Och” - Stoat poczuł wilgotne dygotanie, gdzieś głęboko, głęboko okrężnicy. Zrobiło mu się lodowato zimno na myśl, że jest bardzo prawdopodobne, iż zostanie zwyczajnie zastrzelony. Z goryczą pomyślał o gloc-jdi w schowku na rękawiczki w ranę roverze i o 0.38 w sypialni, niedostępnych, a tym samym beзуytecznych w tym konkretnym momencie zagrożenia.

- Dick powiedział mi wszystko - mówił Clapley. - Wyjaśnił mi, że weto było wyłącznie twoim pomysłem, bo jakoby twój pieprzony psa porwał jakiś tajemniczy wariat. Czy to może być prawda? Oczywiście, że nie. Za nic na świecie.

- Ten facet przysłał mi ucho - powiedział Stoat.

- Co ty powiesz. - Robert Clapley zbliżył opaloną twarz do Stoata. Uśmiechał się szyderczo. Palmer Stoat był wstrząśnięty - nie, obezwładniony - wodą kolońską Clapleya, pachnącą jak sałatka owocowa, która się zepsuła.

- Psie ucho, Bob. Facet mu je obciął i przysłał mi.

Clapley roześmiał się ostro i odsunął nieco.

- Tak, Dick wszystko mi o tym powiedział, o przesyłce FedEksem. A moim zdaniem robisz mnie w bambuko. Przyznaję, twórczo, ale mimo wszystko wstawiasz mi kit. Mówię ci, że jesteś dla mnie światowej klasy gównojadem, który wymyśla historyjki, żeby mnie ustrzelić na dodatkowe pięćdziesiąt kawałków. Proszę, podaj mi choć jeden istotny powód, żebym nie ufał moje mu instynktowi.

W tym samym momencie, jakby pod wpływem impulsu, mężczyzna z je-żozwierzem blond złapał Stoata za włosy, szarpnięciem odchylił mu głowę do tyłu, siłą otworzył mu usta, wsunął do nich coś ciepłego i miękkiego, a potem mocno zacisnął jego szczęki i przytrzymał. Chwył był mocny jak w imadle, ponieważ umieścił kciuk pod wymodelowanym chirurgicznie podbródkiem Palmera Stoata, a dwa inne palce wsunął mu do dziurek nosa.

Robert Clapley mówił dalej.

- Zanim zacząłem zajmować się podnoszeniem wartości nieruchomości, prowadziłem nieco inną działalność - i jak się zapewne domyśliłeś, nie był to eksport magnetowidów. Obecny tu pan Gash był na mojej liście płac, Palmer. Jestem pewien, że nawet ty możesz sobie wyobrazić, co dla mnie robił w ramach swoich obowiązków służbowych. Kiwnij głową, jeżeli rozumiesz.

Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, że pan Gash trzymał go mocno, ale ostatecznie Stoatowi udało się skinać głową. Rozpaczliwie starał się równie nie zwymiotować, ponieważ najprawdopodobniej udusiłby się własny-mi rzygowinami. Wrażenie, że wszystko chce mu wyjechać z gardła, spotęgowało się dodatkowo, gdy mały przedmiot umieszczony przez pana Gasha w jego ustach zaczął się wiercić i Stoat wreszcie zdał sobie sprawę, że dziwne łaskotanie jest spowodowane owym ruchem. Miał wrażenie, że jakiś wilgotny obiekt czołga mu się po języku i usiłuje wcisnąć się od wewnętrznej strony w jego prawy policzek. Niebieskie i wielkie jak u lalki oczy Stoata zbiegły się, jakby miał zęza, i jęcząc, gwałtownie zaczął potrząsać głową.

- No dobra - odezwał się Robert Clapley do pana Gasha - puść go.

Ten uwolnił twarz Stoata, pozwalając mu rozsunąć szczęki i wyrzucić

z ust (poza zjedzoną na lunch zapiekanką z tuńczyka) żywego małego szczura. Gryzoń był niemal bezwłosy, cały pokryty różowymi cętkami i niewiele większy od parówki koktajlowej. Bez szwanku wyładował na blacie kuchennym, w pobliżu butelki sosu tabasco, i zaczął odpełzać na bok.

Potem, kiedy Stoat przestał już parskać i prychać, Clapley położył mu dłoń na karku.

- Ten numer ze szczurem w ustach to małe wspomnienie z dawnych czasów. Działo wówczas, działa i teraz.

- Teraz przynajmniej wiesz, że mówimy poważnie - po raz pierwszy odezwał się pan Gash. Miał zwodniczy głos, łagodny jak głos więziennego kapelana, ale na jego dźwięk lodowaty dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa Stoata.

- Palmer, przypuszczam, że masz mi teraz coś do wyjaśnienia - oznajmił Clapley. - Pomóż mi ułożyć brakujące elementy.

Stoat, któremu nigdy dotąd nie groziły tortury lub śmierć, zmusił się, by przełknąć ślinę. Skrzywił się, czując smak własnych wymiocin, splunął obficie na posadzkę i wychrypiął:

- Zamrażarka. Poszukaj w tej cholernej zamrażarce. - Ruchem podbródka wskazał wielką, zrobioną na

zamówienie Sub-Zero, którą Desie wybrała do kuchni.

Pan Gash otworzył drzwiczki, zajrzał do środka, a następnie spojrzął na Clapleya i wzruszył ramionami.
- Za lodami! - wykrztusił Stoa. Modlił się, żeby Desie nie przeniosła gdzieś tego cholerstwa albo nie wyrzuciła go do śmieci.

Pan Gash wsunął rękę do środka zamrażarki i zaczął przesuwać znajdujące się w niej rzeczy. Niektóre z nich - dwa steki, pudełko zamrożonego groszku, mrożoną pizzę, karton lodów rumowo-rodzynkowych - wyjmował, a następnie rzucał na podłogę. W końcu mruknął ledwo słyszalnie „Hmm!” i wyciągnął przezroczysty woreczek z psim uchem.

- Widzisz! -zawołał Stoa.

Pan Gash postukał zamrożonym uchem o dłoń. Obejrzał je z bliska, podnosząc do światła, jakby było jesiennym liściem albo skrawkiem bezcennego pergaminu.

Potem odwrócił się i oznajmił:

- Tak, jest prawdziwe. Ale co z tego, kurwa?

Robert Clapley wiedział jednak, co oznacza odcięte ucho w zamrażarce. Było to świadectwo, że Palmer Stoa (choć w dalszym ciągu pozostawał gówniarzem), mówił prawdę o porwaniu psa. Clapley orientował się, że Stoa był zdolny do wielu kiepskich numerów, ale obcięcie psu ucha nie było jednym z nich. Facet taki jak pan Gash mógłby to zrobić w ramach przyjacielskiego zakładu. Ale nie Stoa - ten ani za pięćdziesiąt kawałków, ani nawet nie za pięćset kawałków nie byłby w stanie zrobić krzywdy swojemu pieskowi czy jakiemukolwiek innemu.

Dlatego więc Robert Clapley powiedział panu Gashowi, aby rozwiązał Stoa, a następnie dał spoconemu palantowi kilka chwil, żeby się odświeżył i ubrał. Kiedy Palmer wreszcie wyłonił się z łazienki - z opuchniętą i wilgotną twarzą - Clapley dał mu znak, żeby usiadł. Pan Gash zniknął.

- A teraz, Palmer - rzekł Clapley - może zacząłbyś od rozdziału pierwszego.

Wobec tego Stoa opowiedział mu całą historię. Gdy skończył, Clapley odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona na piersi.

- Widzisz, właśnie dlatego nigdy nie będę miał dzieciaków - oświadczył. - Nigdy! Ponieważ cały ten świat jest chory i zбочony. A ten numer z uchem jest jedną z najbardziej pieprzonych, chorych rzeczy, jakie w życiu słyzałem.

- Tak - powiedział Stoa bez szczególnego entuzjazmu. W ustach wciąż jeszcze czuł łaskotanie szczura Clapleya.

A Robert wciąż wygłaszał swoją tyradę:

- Ukraść i okaleczyć czyjegoś psa. Jezu Chryste, to musi być jakiś chory fiutas. Nie masz pojęcia, kto to taki?

- Nie, Bob,

- Ani gdzie jest?

- Nie.

- A co z twoją żoną?

- Spotkała się z nim. Ją również porwał - wyjaśnił Stoa. - Ale wypuścił.

Robert Clapley zmarszczył brwi.

- Jestem ciekaw, czemu to zrobił. To znaczy, czemu ją wypuścił.

- Nie mam pojęcia - Stoa był wykończony. Pragnął jedynie, żeby ten świr wyniósł się z jego domu.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym porozmawiał z panią Stoa?

- Nie ma jej teraz w domu.

- W takim razie kiedykolwiek.

- Po co? - zapytał Stoa.

- Żeby dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o tym szurniętym psim porywaczu. Żeby wiedział, z kim będę miał do czynienia.

- Kiedy będziesz miał do czynienia?

- Gdy wyślę do niego pana Gasha, Palmer. Nie bądź taki tępy. - Clapley uśmiechnął się chłodno i postukał kostkami palców o blat stołu. - Gdy wyślę pana Gasha, żeby znalazł tego porąbanego skurwiela i zabił go.

Stoa kiwnął głową, jakby uważał, że plan jest nie tylko logiczny, ale również zupełnie rutynowy - zrobiłby wszystko, żeby tylko zadowolić Clapleya i przyspieszyć jego wyjście. Kiedy Clapley sobie pójdzie, on będzie mógł się wreszcie upić. Czuł się tak wstrząśnięty i oklapnięty, że z trudem powstrzymywał się, by nie uciec z domu i nie pobiec przed siebie na złamanie karku. Chryste, ten człowiek mówi teraz o morderstwie.

- Nauczyłem się jednego o świecie - perorował dalej Clapley. - Mianowicie tego, że tacy popaprańcy nigdy się nie odczepią. Mówią, że to robią, ale nic z tego. Załóżmy, że Dick zawetuje mój most, a ten perwersyjny dręczyciel zwierząt rzeczywiście uwolni twojego psa albo to, co z niego zostało. Jak myślisz, co się stanie, gdy tylko przekona się, że i tak będziemy budowali most?

- OK, widzę w czym rzecz - powiedział Stoat.
- Pewnie wykręci jakiś kolejny porąbany numer.
- Pewnie tak.
- Nie tylko dla mnie niewygodny, ale również bardzo kosztowny.
- Nie mówiąc o tym, że wredny - dodał Stoat.
- Tak więc jedyną rozsądną rzeczą, jaką można zrobić, Palmer, jest załatwić fiuta. Tak to określaliśmy w starych dobrych czasach.
- Powiedziałeś to gubernatorowi?
- Oczywiście. Zaproponował, że mi pożyczy swojego mac-10 – Robert Clapley ze zniecierpliwieniem bębnił palcami po stole. - Co się, u diabła, z tobą dzieje? Nie, nie mówiłem gubernatorowi. Clapley poinformował Stoata, że sam w głębi duszy również kocha psy. Aby ocalić labradora i dać panu Gashowi czas na namierzenie szalonego porywacza, jest gotów wziąć udział w przekręcie z gubernatorskim weto.
- Ale nie będę za własne, ciężko zarobione pieniądze budował żadnej podstawówki na Wyspie Burzyków. Oznajmiłem o tym naszemu przyjacielowi, gubernatorowi Dickowi wprost, a on powiedział, żeby się nie przejmować. W sprawie szkoły wszystko robimy tylko na pokaz, a kiedy most już stanie, nikt nie będzie pamiętał, żeby to sprawdzić.
- Gubernator ma rację - przytaknął Stoat. - Zapomną o tym.
- A więc wyjaśniliśmy sobie nasz mały problem. Nie martwię się tym - oznajmił Clapley - ale mnie rozczarowałeś, Palmer. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, po polowaniu na gołębie, dupencjach za friko i tak dalej...
- Masz rację, Bob, powinienem od razu powiedzieć ci o wszystkim.
- Och, rozczarowałeś mnie już dlatego, że to przemilczałeś. Ale przede wszystkim i najbardziej dlatego, że usiłowałeś mnie naciąć... a na to trzeba mieć jaja z kryptonu! Nie tylko zważyłeś winę za weto na Tęczowego Williogo, ale chciałeś również dla własnej korzyści posłużyć się nieszczęściem swojego psa - a moim zdaniem jest to najpaskudniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić.
- Przepraszam - powiedział żałośnie Stoat. Powinien był przygotować sobie plan awaryjny. Powinien był się domyśleć, że ten narwaniec Clapley może bezpośrednio skontaktować się z gubernatorem, a Dick Artemus zignoruje polecenia Stoata i odbierze telefon Clapleya. Zrobił to, ponieważ Bob jest jednym z głównych sponsorów kampanii, a Dick jest tłustą, usługową glizdą.
- Przypuszczałem, że wszystko to gówno prawda, dopóki nie zobaczyłem ucha - Clapley uroczystym gestem wskazał zamrażarkę. – Myślałem sobie: Do diabła, Palmer musiał wydumać tę niesamowitą hecę z psim uchem. Uznałem to za nawalankę za pięćdziesiąt tysięcy zielonych. Ale nie wymyśliłeś tego.
- Obawiam się, że nie.
- A to pogarsza sytuację. Pogarsza ją dla ciebie - powiedział Clapley. - Bo jesteś najgorszym z najgorszych na świecie gówniarzy, prawda? Stoat siedział zgarbiony, patrząc tępo przed siebie.
- Czego chcesz ode mnie, Bob?
- Zabawy wartej pięćdziesiąt kawałków - odparł bez chwili wahania Clapley. - Zaczniemy od tego geparda na ścianie. Pamiętam, że mi mówiłeś o miejscu, w którym mógłbym zastrzelić takiego samego. Gdzieś tutaj, na Florydzie, żeby nie musiał latać do jakiegoś Dupotłuko w Afryce czy gdzie indziej.
- Owszem. Plantacja nazywa się Dzika Sawanna.
- Tam zabiłeś swojego czarnego nosorożca?
- Tak jest.
- No to co powiesz, żeby skoczyć tam i zapolować na geparda? Ty płacisz za wszystko.
- Nie ma sprawy - powiedział Stoat, myśląc jednocześnie: Łatwa sprawa. Wystarczy jeden telefon do Durgessa. - Zorganizowanie może jednak zająć trochę czasu - wyjaśnił Clapleyowi. - Mogą nie mieć u siebie tego kota. Wtedy muszą go zamówić.
- Aż z Afryki? To potrwa całe miesiące.
- Nie, nie. Sprowadzają je z ogrodów zoologicznych, cyrków, od prywatnych kolekcjonerów. Transport lotniczy. Dwa dni. Najwyżej trzy.
- Chcę mieć okaz - podkreślił Clapley.
- Oczywiście.
- Skóra pierwsza klasa.
- Gwarantowana sprawa. - Stoat z utęsknieniem myślał o drinku i cygarze u Swaina. O czymś, co zabiłoby odór strachu, a także smak tego gryzonia w ustach. Może będzie tam Estella, republikańska prostytutka, i wysłucha jego koszmarnej opowieści.
- Gepard byłby czymś fantastycznym, naprawdę fantastycznym - mówił Robert Clapley.
- Niedługo do ciebie zadzwonię i podani ci szczegóły.

- Świetnie. A teraz co jeszcze?

Stoat bezradnie potrząsnął głową.

- Czego jeszcze byś chciał?

- Coś dla moich Barbie. Coś szczególnego.

Stoat poczuł tak wielką ulgę, że oklapł zupełnie.

- Właśnie coś mam. - Otworzył kredens i wyjął nieprzezroczysty pojemnik. Zdjął wieczko i pokazał Clapleyowi, co jest w środku.

- Czy to jest to, o czym myślę? - Clapley nie był zachwycony. - Przewoziłem swego czasu wszelkie rodzaje tego gówna, ale nigdy nie używałem. To kwestia zasad, Palmer.

- To nie prochy, Bob. To róg nosorożca. Sproszkowany róg nosorożca.

- Ooo. - Clapley pochylił się i różowym palcem dotknął drobniotkich ziarenek. - Słyszałem o czymś takim.

- Barbie będą cię za to kochały. Kochały, kochały, kochały i kochały – Stoat puścił oko.

- Nie pieprzysz?

- Magiczne erekcje, amigo. Chcę mieć pełne sprawozdanie.

Stoat pogratulował sobie w myślach, że pamiętał o proszku. Teraz znowu byli z Clapleyem niemal kumplami. Clapley zamknął pojemnik i włożył go pod pachę jak futbolówkę. Odprowadzając gościa do drzwi, Palmer poczuł, jak narasta w nim wspaniałe uczucie swobody.

- Co mam właściwie z tym zrobić - pytał Clapley. - Wciągnąć nosem czy palić?

- Dosyp do wina - poradził Stoat. - Pijesz wino. Więc wsyp trochę do kieliszka. - Tak właśnie zalecał robić Chińczyk z Panama City.

- Ale ile? Ile powinienem użyć? - Clapley domagał się konkretów. Palmer Stoat nie znał odpowiedzi. Zapomniał zapytać pana Yee o dozowanie. Dlatego też odpowiedział:

- W normalnych okolicznościach doradzałbym łyżkę stołową. Ale w twoim przypadku - dwie. Po jednej na każdą Barbie.

Clapley roześmiał się:

- Spróbuję nie faworyzować żadnej.

- Otóż to! - Stoat również zaczął się śmiać.

- Dobranoc, Palmer. Przepraszam, jeżeli pan Gash cię przestraszył, ale zawsze należy wyjaśniać nieporozumienia.

- A skoro o tym mowa. - Stoat z niepokojem zerknął przez ramię - prawie zapomniałem, Bob. Co z tym cholernym szcurem?

- Och, możesz go sobie zatrzymać - odparł przyjaźnie Clapley. - Jest twój.

Wbrew powszechnym mniemaniom Lisa June Peterson nie sypiała ze swoim szefem. Prawdę mówiąc, Dick Artemus, zatrudniając ją, takie miał właśnie plany. Dwa imiona przed nazwiskiem, długie włosy koloru słomy, nienaganne referencje od stanu Floryda - był to dla nowego gubernatora wymarzony ideał młodszej asystentki. Ale poniechał swoich lubieżnych zamiarów w stosunku do Lisy June, a stało się to z powodu jej oszałamiającej kompetencji - uznał, iż jest tak cenna, że nie powinna zostać jego kochanką. Dick Artemus nie był szczególnie bystrym człowiekiem, ale doceniał talent, zwłaszcza jeżeli dzięki niemu on sam mógł się dobrze zaprezentować. Skrupulatna, obdarzona szybkim refleksem i intuicją Lisa June bardzo szybko awansowała na stanowisko kierowniczkini sekretariatu - cerbera przed gabinetem gubernatora. Nikt nie mógł uzyskać osobistej audiencji u Dicka Artemusa bez pośrednictwa Lisy June Peterson. Żaden telefon nie docierał do biurka gubernatora, jeżeli najpierw nie odebrała go Lisa June. I w rezultacie, w dużej mierze dzięki niej, biuro Dicka Artemusa działało sprawnie.

Gubernator poczułby się rozczarowany, gdyby się dowiedział, że jej niezmordowane, opiekuńcze i skuteczne działania w żaden sposób nie wiążą się z lojalnością. Była osobą z natury gorliwą i odpowiedzialną. Angażowała się tak bardzo w to, co robiła, nie dlatego, że uważała, iż praca dla gubernatora jest wyjątkowym zaszczytem, kierowała nią przede wszystkim głęboka, połączona z wyrachowaniem ciekawość. Lisa June chciała się zorientować, w jaki sposób naprawdę działa rząd, kto rzeczywiście dysponuje władzą i w jaki sposób ją zdobył. Myślała perspektywicznie - wybiegając myślą daleko poza moment, w którym Dick Artemus powróci do swoich namiotowych złotów Toyoty w Jacksonville - o dniu, w którym ona sama zostanie poważnym graczem i wykorzysta z dobrym skutkiem sztuczki, których się nauczyła, a także wszystkie kontakty, które nawiązała, opiekując się gubernatorem Dickiem...

- Gdzie widzisz się w przyszłości? - pytał ją od czasu do czasu.

- Pewnego dnia chciałabym się zająć lobbingiem - odpowiadała mu wówczas.

Dick Artemus krzywił się, jak gdyby wdepnął w psie gówno, a wymienione przez nią zajęcie było najbardziej obrzydliwym w całym wszechświecie. W takich momentach Lisa June Peterson zawsze miała ochotę zrobić jakąś sarkastyczną uwagę na temat wysokich standardów moralnych przeciętnego

sprzedawcy samochodów...

Trzymała jednak język za zębami i odbierała telefony. Jak na kogoś, kto głosił swoją pogardę dla lobbystów, nowy gubernator miał wśród nich niezwykle wielu przyjaciół. I byli oni (Lisa June pierwsza to przyznawała) najczęściej nader roztropnymi ludźmi. Natychmiast przypominał się jej Neggy Keele, przedstawiciel NRA [National Rifle Association - Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie] z Tallahassee. A także Cal Bandshaw, zawsze ubrany w garnitur w prążki macher, który reprezentował plantatorów trzciny cukrowej i kopalnie fosforanów. No i oczywiście wiecznie spocony Pal-mer Stoat, przewodnik całego tego stada. Żadna sprawa nie była dla Stoata zbyt odrażająca - pracował dla każdego i gotów był zrobić wszystko, jeżeli cena była odpowiednia. Niezbędny brak sumienia łączył się u Stoata z gigantyczną zarozumiałością- czuł się wyraźnie dumny z tego, co robi. Uważał, że załatwianie takich porozumień jest zajęciem prestiżowym.

Inni lobbysci nie próbowali przespać się z Lisa June Peterson, ponieważ uważali, że sypia z gubernatorem. Ani Dick Artemus, ani Lisa nie robili nic, by zdementować takie plotki. Fakt, że nie musiała bez przerwy dawać kosza śliniącym się capom, zdecydowanie ułatwiał jej życie. Palmer Stoat był jedynym z całego grona, który robił wrażenie, że mu na tym nie zależy. W rzeczywistości podczas rozmów z Lisa June często robił aluzje, że wspólnie z gubernatorem dzielili się innymi kobietami, zupełnie jakby zapraszał, żeby przyłączyła się do jakiegoś ekskluzywnego klubu. Odmawiała stanowczo, ale nie robiła mu żadnych wyrzutów. Sam Dick Artemus w ciągu całego dwuletniego okresu tylko raz, porządnie wstawiony, zaczął się po pijaku dobierać do Lisy June Peterson. Zdarzyło się to pewnego późnego wieczoru. Siedziała sama przy biurku, a on podszedł do niej od tyłu, otoczył ramionami i położył obie dłonie na jej piersiach. Lisa June nie protestowała, nie wyrywała się i nie krzyczała - po prostu odłożyła słuchawkę telefonu i powiedziała:

- Ma pan sześćdziesiąt sekund, gubernatorze.

- Na co? - zapytał Dick Artemus, ciężko dysząc. Czowała jego kwaśny, przesycony alkoholem oddech.

- Na dotykanie ich - wyjaśniła Lisa June - i niech pan wykorzysta to najlepiej, jak potrafi, ponieważ będzie to wszystko, co pan ode mnie uzyska. Żadnej laski, żadnych palców, żadnych stosunków, nic. Ma pan, gubernatorze, swoją minutę chwały. Proszę pieścić.

Odskoczył, jakby włożył ręce do gniazda grzechotników, a potem niepewnym krokiem wycofał się do toalety dla kierownictwa, gdzie siedział, dopóki Lisa June Peterson nie poszła do domu. Przekonał się jednak z ulgą, że nigdy więcej nie wspomniała o tym incydencie. Nie przeszkadzała mu w nawiązywaniu związków z innymi kobietami należącymi do personelu ani też ich nie komentowała. Dick Artemus niewłaściwie zinterpretował milczenie Lisy June jako dyskrecję, bo w rzeczywistości był to z jej strony całkowity brak zainteresowania. Prostackie zachowanie gubernatora nie zaskoczyło jej ani też nie oburzyło w stopniu większym niż podobne zachowania członków Kongresu i Senatu, władz wykonawczych czy też lobbystów. Lisa June Peterson wcale nie czuła się zrażona ich skumulowaną obłeśnością, wręcz przeciwnie, uważała, że daje jej ona powód do nadziei. Mogła owinać sobie wokół palca tych lubieżnych, dających łatwo się rozkojarzyć błaznów i w odpowiednim momencie tak właśnie robi.

Na razie jednak będzie w dalszym ciągu patrzeć, słuchać i uczyć się. Każdego ranka przychodziła punkt ósma do pracy, opanowana, serdeczna i zawsze odpowiednio przygotowana - podobnie jak tego właśnie dnia, jednego z bardzo rzadkich dni, kiedy Dick Artemus pierwszy zjawił się w biurze. Czekał przy biurku, gdy przyniosła mu filiżankę kawy. Poprosił, żeby zamknęła drzwi i usiadła.

- Mam mały problem, Liso June. Zawsze używał obu jej imion.

- Słucham pana?

- Muszę znaleźć człowieka, który zaginał jakiś czas temu.

- Natychmiast zadzwonię do FDLE - oświadczyła Lisa June. Chodziło o Florida Department of Law Enforcement (Wydział Bezpieczeństwa i Porządku Stanu Floryda), stanowy odpowiednik FBI.

Gubernator pokręcił głową.

- Nie. Jest lepszy sposób załatwienia tej sprawy. Jeżeli podam ci nazwisko, czy będziesz mogła zdobyć dla mnie jakąś informację?

- Z całą pewnością.

- Poświęć na to tyle czasu, ile będziesz potrzebowała. Nawet cały dzień - powiedział Dick Artemus. - Sprawa jest naprawdę ważna, Liso June.

Podał jej nazwisko tego człowieka i poinformował ją, co ów człowiek zrobił. Sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- To było, zanim zaczęłaś pracować, kochanie.

- Ale mimo wszystko...

- To niemal historia starożytna - wyjaśnił gubernator. - Kiedy się urodziłaś?

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym.

Dick Artemus uśmiechnął się.

- Słodki Jezus, jeszcze nosiłaś pieluchy, kiedy się to stało.

Lisa June Peterson spędziła rano w archiwach stanowych, przerwę na lunch przy telefonie, a popołudnie w archiwum czasopisma „Democrat”. Wieczorem wróciła do biura gubernatora z dwoma kartonowymi pudłami wypełnionymi dokumentami i wycinkami prasowymi.

- Są to bardzo stare materiały - powiedziała. - Za stare. Może już nie żyje.

- Och, raczej w to wątpię. Kto mógłby go dla nas odnaleźć? - zastanawiał się Dick Artemus. - Kto wiedziałby, gdzie go szukać?

Lisa June podała gubernatorowi arkusz papieru. Była to kopia pisma policjanta z drogówki do dowódcy jednostki - pozornie zwyczajna prośba o przeniesienie. Lisa June obwiodła czerwonym atramentem nazwisko wypisane u dołu strony.

- On zapewne mógłby go odnaleźć - oznajmiła. - I w dalszym ciągu pracuje w wydziale.

- Dobrze - powiedział gubernator. - Czy o czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

- Tak - Lisa June Peterson podała mu egzemplarz innego pisma. - To było podpisane przez samego autora.

Dick Artemus przeczytał je i oznajmił:

- Wspaniale. To jest wspaniale! Dziękuję, Liso June.

- Bardzo proszę.

Wróciła do domu, wzięła prysznic, położyła się do łóżka i leżała przez całą noc z otwartymi oczami. Nie mogła przestać myśleć o zaginionym mężczyźnie i zastanawiała się, czemu Dick Artemus tak bardzo chce poznać adres tego człowieka.

Sprzedawca samochodów gubernatorem.

Dicka Artemusa bardzo drażniło, gdy słyszał, jak mówiono o nim w taki właśnie sposób, dając wyraźnie do zrozumienia, że wszyscy faceci handlujący samochodami są dwulicowi i pokrętni, niegodni sprawowania urzędów publicznych. Początkowo Dick Artemus walczył z tą opinią, przypominał z dumą, że w swoich punktach sprzedawał jedynie toyoty, najpopularniejsze i najbardziej niezawodne samochody na świecie. Pojazd wysokiej jakości, podkreślał. Na pierwszych miejscach we wszystkich znaczących czasopismach konsumenckich!

Ale doradcy medialni gubernatora powiedzieli mu, że brzmi to nie tylko małostkowo, ale również autoklamiarsko, i że ludzie kochający swoją nową camry niekoniecznie muszą kochać faceta, który im ten samochód sprzedał. Wyjaśnili mu również, iż najlepiej pomoże swojej przyszłej karierze politycznej, jeżeli sprawi, że wyborcy zapomną o jego działalności jako sprzedawcy samochodów (co nie znaczy, że demokraci pozwolą im kiedykolwiek o tym zapomnieć). Niech się pan wzniesie na najwyższy poziom, poradzili Dickowi Artemusowi doradcy medialni. Niech pan działa po gubernatorsku.

Wobec tego Dick Artemus posłusznie zaprogramował się odpowiednio i nie odpowiadał na żarty i przycinki dotyczące jego przeszłości, chociaż nie było to łatwe. Był dumnym człowiekiem. Co więcej, wierzył, że nie dotarłby do rezydencji gubernatorskiej, gdyby nie te trudne, pełne potu florydzkie wiosny i lata spędzone na placach z samochodami. Tam właśnie uczysz się od swoich ludzi ich umiejętności, mawiał personelowi Dick Artemus. Uczysz się swojej szczerości, sztuki pochlebstw i nabierasz wdzięku. Tam uczysz się uśmiechać w odpowiedzi aż do bólu w policzkach i wyschnięcia dziąseł.

Dick Artemus lubił mówić, że ubieganie się o urząd to mięta w porównaniu ze sprzedażą stu siedmiu lekkich pikapów przez jeden rok (której dokonał w pojedynkę w 1988 roku). Nawet po wygraniu wyborów nowy gubernator często łapał się na tym, że załatwiając sprawy z niewygodnymi lobbystami, kongresmanami, senatorami i wyborcami, często sięga po wypróbowane techniki stosowane przy sprzedaży toyot. Czy polityka nie jest w gruncie rzeczy sztuką przekonywania? Czyż Dick Artemus nie zajmował się tym przez całe dorosłe życie, namawiając opornych i podejrzliwych klientów, by dokonali zakupu, na który w zasadzie nie bardzo ich było stać?

Dick Artemus wiedział wprawdzie, że nie jest przygotowany do pewnych aspektów swej pracy, ale zachował niezachwianą pewność, że potrafi sprzedać wszystko każdemu. (W wywiadach z uporem nazywał się „przedstawicielem przedstawicieli ludu”, chociaż sformułowanie to wywoływało tłumione jęki jego personelu). Wierzył bez zastrzeżeń we własny wdzięk osobisty, stąd w jego rezydencji odbywało się wiele prywatnych spotkań. Tak właśnie załatwiam interesy, lubił powtarzać, w cztery oczy. I nawet jego najbardziej cyniczni współpracownicy przyznawali, że Dick Artemus w rozmowach w cztery oczy był niezrównany. Mógł namówić pchły, żeby dały spokój psu, mówili. Mógłby namówić sępy, żeby odleciały z szambo-wozu.

Teraz właśnie Dick Artemus zajęty był rozmową. Z rozluźnionym krawatem i podwiniętymi rękawami koszuli siedział wygodnie w skórzanym fotelu w swym prywatnym gabinecie, pod którego ścianami stały wysokie dębowe regały pełne książek - żadnej z nich nigdy nawet nie otworzył. Rozmawiał w cztery oczy z czarnym mężczyzną ubranym w surowy szary mundur Stanowej Policji Drogowej. Na rękawie munduru naszyta była odznaka przedstawiająca dojrzałą pomarańczę z Florydy, której przyjemna,

słoneczna plama odwracała uwagę turystów od wypisywanego za nadmierną prędkość mandatu w wysokości stu osiemdziesięciu dolarów.

Czarny policjant siedzący w gabinecie gubernatora miał mocną, przystojną twarz i szerokie ramiona. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, w jego krótko ostrzyżonych włosach można było dostrzec srebrne nitki.

- No i co? - mówił Dick Artemus. - Czy od czasu, kiedy pan tu pracował, dużo się zmieniło? - Miał na myśli rezydencję gubernatora.

- Nie za bardzo - odparł policjant z uprzejmym uśmiechem.

- Jest pan teraz porucznikiem?

- Tak, proszę pana.

- To imponujące - oświadczył gubernator. Obydwaj wiedzieli dlaczego. Drogówka nie słynęła z awansowania przedstawicieli mniejszości etnicznych.

- Jak żona?

- Dziękuję, dobrze.

- Ona również służyła w policji?

- Tak jest.

- Nie wróciła do pracy?

- Nie, proszę pana.

Dick Artemus pokiwał z aprobatą głową.

- Jeden członek rodziny wystarczy. Na drogach jest niebezpiecznie jak diabli.

Zupełnie jakby porucznik sam o tym nie wiedział.

- A teraz dlaczego poprosiłem cię, żebyś wpadł, Jim - zupełnie jakby policjant miał tu jakiś wybór - na prywatną rozmowę - powiedział gubernator. - Mam problem, który należy załatwić szybko i po cichu. Jest to delikatna sytuacja związana z wyjątkowo niezrównoważonym osobnikiem - psychicznym przypadkiem, mówiąc wprost- który jest na wolności gdzieś... gdzieś tam. - Dick Artemus posępnym gestem wskazał okno.

Wyraz twarzy policjanta nie zmienił się ani na jotę, ale gubernator wyczuł budzące się w nim poczucie psychicznej niewygody, nieufność, która pojawiła się w jego spojrzeniu. Artemus wyczuł je natychmiast - z czymś takim spotkał się już tysiące razy u klientów Dick's Toyota Land, USA.

- To, co ci teraz powiem - oznajmił, pochylając się do przodu - musi pozostać wyłącznie między nami. Policjant, który nazywał się Jim Tile, skinął głową: „Oczywiście”.

Dick Artemus opowiedział mu historię, niemal całą historię, o młodym człowieku, który porwał psa Palmera Stoata i wysłał FedEksem jedno z jego uszu, aby w ten sposób uniemożliwić budowę nowego mostu do miejsca zwanego Ropuszą Wyspą.

- Albo WyspąBurzyków, bo tak przemianował ją ten yuppiesowski dupek developer - dodał gubernator.

- Rzecz w tym, że nie wezwałem cię tutaj, aby namawiać cię do ratowania psa jakiegoś pieprzonego lobbyisty - o to już zadbano. Cały problem tkwi w tym młodym człowieku, który, moim zdaniem - choć nie jestem psychiatrą- może kogoś skrzywdzić albo nawet zabić, jeżeli go szybko nie odnajdziemy.

- I co wtedy, gdy go odnajdziemy? - zapytał czarny policjant.

- Oczywiście udzielimy mu pomocy. Specjalistycznej pomocy, poruczniku Tile. Tego właśnie potrzebuję ów młody człowiek.

- Czy wie pan, jak się nazywa?

- Nie - odparł gubernator.

- Jak wygląda?

- Możemy się dowiedzieć. Widziano go w barze o nazwie U Swaina, w Lauderdale.

- Gdzie jest teraz? Co wydaje się najbardziej prawdopodobne?

- Nie mam zielonego pojęcia, przyjacielu - Dicka Artemusa bawiły pytania zadawane z poważną miną przez policjanta, bawiła cała ta farsa.

- W takim razie niewiele mogę zrobić - oświadczył Jim Tile.

- Doprawdy - rzekł gubernator, uśmiechając się. Nie był to uśmiech z placu z samochodami ani z plakatów wyborczych. Był to uśmiech typu „dobra, skończymy z pieprzeniem w bambus”. - Daj spokój, Jim. Cholernie dobrze wiesz, co chcę, żebyś dla mnie zrobił.

Policjant na chwilę odwrócił wzrok. Dick Artemus widział, jak napinają się mięśnie na jego szyi.

- Powiedz, jak się ma obecnie nasz były gubernator? I nie pytaj „który?” Wiesz, o kogo mi chodzi. O tego szajbniętego. Clintona Tyree.

- Nie wiem, proszę pana. Nie rozmawiałem z nim od roku, może dłużej.

- Ale wiesz, gdzie go znaleźć?

- Nie, proszę pana. - Z formalnego punktu widzenia mówił prawdę.

Wiedział, jak znaleźć eks gubernatora, ale nie gdzie.

Dick Artemus wstał, przeciągnął się i podszedł do okna.

- Weterani wciąż o nim gawędzą. Nie pojawił się w swoim biurze jakieś dwa lata przed zniknięciem. A mimo to ciągle się o nim mówi. „Gdzie on jest?“, „Co teraz robi?“, „Czy już go złapali?“, „Jak sądzisz, czy on jeszcze żyje?“. Człowieku, to właśnie takie zwariowane fiuty pobudzają wyobraźnię społeczną, no nie? Jak stary Clint każe się obecnie zwracać do siebie?

- Nie wiem - odparł czarny policjant. - Ja nazywam go gubernatorem.

Powiedział to z tak śmiertelną powagą, że Dick Artemus odwrócił się gwałtownie. W twarzy Jima Tile'a dostrzegł coś gorszego niż nieufność czy nawet niechęć. Była to beznamietna i ponizająca obojętność.

- Posłuchaj, Jim, byłeś tu, kiedy to wszystko się stało. Przecież byłeś jego ochroniarzem, na litość boską.

- I przyjacielem.

- No jasne - przytaknął gubernator - i jego przyjacielem, oczywiście. Kiedy mówię „zwariowany“, wiesz, o co mi chodzi. Są dobrzy wariaci i źli. A ten dzieciak, który kaleczy labradory, żeby w ten sposób zaakcentować swoje polityczne stanowisko, jest wariatem złego rodzaju.

- Jestem pewien, że go pan znajdzie. - Jim Tile podniósł się z krzesła; tył o kilka centymetrów wyższy od Dicka Artemusa.

Ale gubernator nie poddawał się i naciskał:

- Skunk - powiedział. - Zdaje się, że tak się nazywał. A może Skink? Posłuchaj, poruczniku, odrobiłem swoje lekcje. Ponieważ słuchając tych wszystkich opowieści, tych plotek, byłem ciekaw tak jak wszyscy. Wiesz, że nigdy nie pozował do portretu? W całej rezydencji nie ma niczego, żadnego obrazu, żadnej tablicy - nic - co świadczyłoby, że tu mieszkał. A więc do diabła, owszem, byłem ciekaw.

- Proszę pana, przykro mi, ale powinienem już iść - oświadczył Jim Tile. - Uczę w śródmieściu na kursie doskonalenia kierowców, zaczyna się za dwadzieścia minut.

- To zajmie jedynie pięć. - Dick Artemus od niechcienia stanął przed drzwiami. - Ten most na Ropuszą Wyspę jest obiektem za dwadzieścia osiem milionów dolarów. Ludzie, którym zależy na tych kontraktach, dali dość duże pieniądze na moją kampanię. I dlatego ten cholerny most musi być zbudowany tak czy inaczej. Możesz się o to założyć. A teraz w sprawie tego zwariowanego chłopaka. Przez niego mogą pojawić się jakieś paskudne nagłówki, a tego zupełnie nie potrzebuję. Ani moi lojalni przyjaciele z przyszłej miejscowości wypoczynkowej Wyspa Burzyków.

Ale, co gorsza, mam niejasne wrażenie, że takie szajbnięte zachowanie naraża tego chłopaka na niebezpieczeństwo. Ta informacja nie może wyjść poza nas dwóch, poruczniku. Mówię tylko tyle: niektórzy osobnicy związani z tym projektem nie są sympatyczni. Czy jestem dumny z tego, że postawili na mnie jako na gubernatora? - Dick Artemus parsknął. - To zupełnie inna sprawa. Ale teraz muszę mieć pewność, że nic złego nie zdarzy się temu zwariowanemu porwaczowi psów, ponieważ żaden młody człowiek nie zasługuje na to, aby umierać z tak głupiego powodu, a po drugie, gdyby tak się stało, byłby to wyjątkowo przykry nagłówek. Cholernie koszmarny nagłówek, zgoda?

- Naprawdę uważa pan, że mogą go zamordować? - zapytał policjant.

- Jasne, cholera. I jeżeli jest w połowie tak szajbnięty, jak podejrzewam, nie zniknie po cichutku. Narobi dużo szumu, jak zawsze się dzieje w przypadku tych porąbanych ekologów. A wtedy Wyspa Burzyków trafi na pierwsze strony i nie minie wiele czasu, a jakiś pieprzony reporter podaży tym tropem do niżej podpisanego. Który, nawiasem mówiąc, ma nadzieję za dwa lata być wybrany ponownie.

- Rozumiem pana problem, proszę pana - rzekł Jim Tile.

- Świetnie.

- Ale on tego nie robi. Zakładając, że go w ogóle znajdę, nie przypuszczam, że zgodzi się pomóc.

- A ja sądzę, że się mylisz. - Dick Artemus podszedł do kredensu wykonanego z klonowego drewna i wziął do ręki brązową biurową kopertę z dokładnie zaklejonymi obydwoma końcami. - Przekaż ją byłemu gubernatorowi, chcę mieć pewność, że ją otrzyma. Potem możesz zapomnieć o całej tej aferze. Bez względu na to, co postanowi, decyzja należy do niego. Wszystko zostało mu przedstawione czarno na białym.

Gubernator podał policjantowi kopertę. -1 to nie jest rozkaz, poruczniku.

- Tak jest, proszę pana, wiem. Zrobię, co będę mógł. - Jim Tile mówił tonem zdradzającym tak ewidentny brak entuzjazmu, że Dick Artemus zrezygnował z dodatkowej zachęty. Miał zamiar złożyć mu ofertę pracy. Możliwość zejścia z autostrady i zapewnienia wypoczynku swojemu tyłkowi w średnim wieku. Zdjęcia tego gorącego munduru z poliestru i nałożenia eleganckiego garnituru. Powrotu do rezydencji gubernatora i objęcia kierownictwa ochrony.

Ale Dick Artemus nie tracił czasu na przedstawianie tej koncepcji Jimo-wi Tile'owi. Był w stanie rozpoznać niechętnego klienta na pierwszy rzut oka. Porucznik robi, o co go poproszono, ale będzie działał, kierując się wyłącznie poczuciem obowiązku. Nic więcej. Człowiek ten nie był zainteresowany połączeniem swojej przyszłości z gwiazdą gubernatora.

- Prawdę mówiąc - oświadczył Dick Artemus - po tym, co słyszałem, bardzo chciałbym spotkać kiedyś osobiście twojego legendarnego przyjaciela. Oczywiście w zupełnie innych okolicznościach.

- Z całą pewnością to przekażę.

Gdy policjant wyszedł, gubernator nalał sobie trochę świętego burbo-na i usiadł, aby pomyśleć o mniej skomplikowanych czasach. Kiedy najgorszą rzeczą, jaką musiał robić, było wciskanie tapicerki w wiśniowe prążki bezradnym wdowom, właścicielkom dwudrzwiowych corolli.

Miała na imię Estella.

L- Napijesz się drinka? - zapytał Palmer Stoa. A potem zwrócił się do barmana. - Wódka z martini dla mojego cudownego gościa. prostytutka uśmiechnęła się tolerancyjnie.

- Ja też cię pamiętam.

- Cieszę się, Estello.

- Byłeś dosyć gadatliwy. - Miała na sobie fioletową sukienkę koktajlową i dobrane kolorystycznie pończochy. - Opowiadałeś mi o wycieczce na z George'em Bushem.

- Tak, zgadza się - przyznał Stoa. - A ty powiedziałaś, że był najbardziej niedocenianym prezydentem od czasów Hoovera.

- Bush został skurwysyńsko potraktowany przez media. Dlatego, że nie był takim gładziutkim, telewizyjnym ślicznotą z wielkimi zębami. - Szminka Estelli była nieco ciemniejsza niż jej sukienka. Miała ładną cerę i dyskretny makijaż. Natomiast w jej włosach można było znaleźć wszelkie odcienie koloru blond. - Zrobiłabym to z nim za darmo - wyznała. - Tylko żeby powiedzieć: dziękuję, panie głównodowodzący, za wojnę w zatoce. Wykręcił cholerny numer tym gównianym Irakijczykom.

- A poza tym jest bardzo miłym facetem - dodał Stoa. - Bardzo bezpośredni. - Estella przysunęła się bliżej do baru. - Widziałem, jak stracił pięćdziesięciokilogramowego tarpona. Żyłka owinęła się o śrubę i było po wszystkim. A on tak cholernie ładnie to przyjął.

- Wcale mnie to nie dziwi. - prostytutka wyjęła mu z ust cygaro i delikatnie pyknęła nim kilka razy. - A co powiesz o prezydencie Reaganie? - zapytała. - Spotkałeś go kiedyś?

O rany, pomyślał Stoa. Dokładnie według przepisu lekarza.

- Kilka razy - odparł rzeczowym tonem. - W tym przypadku należy mówić o imponującym człowieku. O charyzmie.

Oddała cygaro, wsuwając mu je pomiędzy wargi.

- Opowiedz mi parę jakichś historii, Palmerze.

Poczuł, jak jej drobna dłoń wsuwa się pewnie pomiędzy jego nogi. Do diabła z Robertem Clapleyem i Głową z Jeżozwierzem, pomyślał Stoa. Do diabła z porywaczem psów i mostem na Wyspę Burzyków. Nawet z Desie -gdzie, u licha, poszła sobie dzisiaj? No cóż, do diabła i z nią.

Ponieważ Stoa był obecnie u Swaina i było mu cudownie w dobrze znanej niebieskiej mgiełce, oparach alkoholu i perfum. Pochylił się bliżej do call-girl i oznajmił:

- Ronnie opowiedział mi kiedyś świński dowcip. Chcesz go usłyszeć? Kolejne reklamarskie kłamstwo. Reagan nigdy nie odezwał się do niego choćby słowem.

Estella na dobrą sprawę siedziała już okraciem na Palmerze Stoa, a jej stołek barowy przechylał się niebezpiecznie.

- Opowiedz mi! - Trąciła go znacząco piersią. - No dalej, opowiedz mi!

Ale w chwili gdy Stoa z wysiłkiem próbował przypomnieć sobie puentę dowcipu o napalonej jednookiej papudze, barman (który opowiedział Stoaowi ten kawał) dotknął jego rękawa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale kurier właśnie to przyniósł - powiedział.

Stoa strasznie się zirytował, ponieważ ręka Estelli dotykała tej części jego ciała, która pragnęła dotykania. Miał właśnie zamiar dać barmanowi znak, żeby odszedł, kiedy nagle zobaczył, że mężczyzna trzyma w ręku pudełko cygar. Nawet przez obłoki dymu Stoa rozpoznał charakterystyczną, ozdobną nalepkę, urzędową pieczęć Republiki Kuby, i oczywiście ogarnęło go trudne do opanowania podniecenie.

Odsunął się od call-girl, chociaż jej palce zmagaly się z jego suwakiem. Sięgnął przez bar po pudełko cygar, uznawszy, że jest to podarunek od wdzięcznego klienta. Pomyśleć tylko, tyle lat próbował zdobyć dostęp do tej właśnie marki. Zastanawiał się już, w jakim miejscu najlepiej będzie wyeksponować pudełko na regale stojącym w jego gabinecie, pomiędzy innymi skarbami.

Stoa wziął pudełko w obie ręce i najpierw zauważył, że pieczęć na nim została złamana, a potem, że jest chyba zbyt lekkie.

Postawił je na wypolerowanym dębowym blacie baru, podniósł wieczko - Estella przypatrywała się, opierając podbródek na jego ramieniu - i zobaczył, że wewnątrz nie ma cygar, ani jednego.

Była jedynie łapa zwierzęcia, psia łapa o krótkiej sierści, odcięta zgrabnie w stawie.

- Co to takiego? - prostytutka wyciągnęła szyję, żeby lepiej się przyjrzeć.

Stoa był porażony obrzydzeniem. Ten wariat ponownie pogwałcił jego sanktuarium.

- Daj popatrzeć. - Estella puściła zamek błyskawiczny Stoa i wyciągnęła dociekliwą dłoń - Stoa

musiał przyznać, że bardzo zgrabną - w stronę pudełka po cygarach.

- Nie rób tego - ostrzegł, ale było już za późno.

Zdażyła wyjąć koszmarny przedmiot z pudełka, obracała go w różne strony i przesuwała wymalowanymi paznokciami po aksamitnych poduszczkach psiej łapy, figlarnie poruszając pazurem-ostroga.

- Palmer, to jest jakiś żart, prawda? To nie może być prawdziwe.

Stoat z ponurą miną sięgnął po swojego drinka.

- Muszę iść.

- Ooo. - Teraz prostytutka Estella głaskała delikatnie odciętą łapę. - W dotyku rzeczywiście robi wrażenie prawdziwej.

- Odłóż ją, proszę. Z powrotem do pudełka.

- Chryste, Palmer! - Z nagłym obrzydzeniem odrzuciła pokryty czarną sierścią fragment psiej kończyny. Rozległ się cichy plusk, łapa wpadła do jego brandy i martwe pazury zaczęły o krawędź szklanki. Palmer Stoat porwał pudełko po kubańskich cygarach i rzucił się w stronę drzwi.

Desie chciała zobaczyć miejsce, w którym pochował martwego labradora.

- Nie wierzysz mi - powiedział Twilly.

- Wierzę.

- Nie, nie wierzysz.

Pojechali więc z powrotem do Lauderdale. McGuinn jechał w skrzyni Pikapa. Na międzystanówce powiew powietrza pędzącego z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę sprawiał, że jego uszy sterczały jak skrzy, dla nietoperza. Desie wyraziła żal, że nie ma aparatu fotograficznego. Co chwila odwracała się, aby popatrzeć na psa. W świetle sodowych lamp ulicznych Twilly po raz kolejny zobaczył linię jej szyi. Podobało mu się, że osobiście chciała sprawdzić wszystko, co dotyczyło tamtego labradora. Oczywiście, że chciała - w końcu była żoną faceta, który nałogowo zajmował się wciskaniem kitu. Dlaczego miałyby wierzyć jakiemukolwiek mężczyźnie? Pograżona w różowej poświacie, którą przez całą noc rzucały światła starego hotelu, plaża za Yankee Clipper była prawie pusta. Bryza wiała mocniej i wśród szumu i syczenia fal przyboju Twilly zaprowadził Desie do grobu.

- Przypuszczam, że chcesz, abym go wykopał.

- To nie jest konieczne.

McGuinn z zapalem obwąchiwał niedawno rozkopany piasek.

- Stawiam dziesięć dolców, że go obsika - powiedział Twilly.

McGuinn przechylił głowę, zupełnie jakby go zrozumiał, i zaczął krążyć wokół strefy celu.

- Nie! - Desie schwyła za smycz i odciągnęła psa od grobu. - To takie smutne - powiedziała.

-Tak.

- Czy to cię nie brzydzi? Takie odcinanie ucha i łapy...

- Robi się późno, pani Stoat. Pora, żeby wróciła pani do domu.

- Zostawiłam torebkę w Delano.

- Prześlemy ją pani.

- Mam w niej kluczyki do samochodu i klucze do domu.

- Czy coś jeszcze?

- Tak. Pigułki antykoncepcyjne.

Musiałem zapytać, pomyślał Twilly. Niemal zasnął za kierownicą, wracając do Miami Beach. W pokoju hotelowym postanowił wziąć bardzo gorący prysznic, żeby orzeźwić się przed dalszą drogą. Z łazienki zawołał do Desie: „Proszę zadzwonić do męża i powiedzieć mu, że jest pani w drodze”.

Gdy Twilly wyszedł, zobaczył, że leży w białym łóżku z białą kapą podciągniętą pod samą szyję.

- Obawiam się, że zapiaszczyłam prześcieradło. Która godzina? - powiedziała.

- Pierwsza piętnaście.

- Mam wrażenie, że chcę zostać.

- Mam wrażenie, że chcę, żebyś została.

- Nie masz sił, żeby prowadzić samochód.

- Czy to jedyny powód?

- Owszem, tak właśnie sobie powtarzam.

- W porządku, zostań. Ponieważ nie mam sił, żeby prowadzić samochód.

- Dziękuję - odparła Desie. - Ale bez seksu.

- To ostatnia rzecz, jaka przyszlaby mi do głowy.

Wtedy McGuinn wskoczył na łóżko i zaczął lizać ją w podbródek.

- Mógłbym zażądać jednakowego czasu - oznajmił Twilly.

- To tylko pies - zaprotestowała Desie. - A ty jesteś zwariowanym przestępcą.

- Posuń się.

W taki właśnie sposób spędzili noc - we trójkę pod kocem w Delano, z Desie pośrodku. Obudziła się o świcie, słysząc ochryply oddech psa, i zobaczyła potężny łeb McGuinna spoczywający na poduszce

obok niej. Desie próbowała się odwrócić, ale nie mogła - twarz Twilly'ego wtulona była w miejsce, gdzie szyja łączy się z obojczykiem, a jego wargi miękko dotykały jej skóry. Nie wiedziała o tym, ale śniła. Po raz pierwszy w życiu.

Pan Gash spędził dzień, słuchając taśm z numeru 911. Nigdy nie miał ich tyle, ile pragnął. Z nocnej telewizji zamówił pocztą My bardziej mrozące krew w żyłach wezwania ratunkowe na świecie tomy 1-3. Były to rozmowy zarejestrowane na taśmie przez komendy policji w całym kraju i ktoś wpadł na sprytny pomysł, żeby połączyć je w serie Najlepszych... i sprzedawać w formie kaset i kompaktów. Usunięto jedynie wulgaryzmy na „p”, aby zaoszczędzić ich dzieciom, które być może będą słuchać tych nagrań.

DZWONIĄCA: Dziewięćset jedenaście? Dziewięćset jedenaście?

DYSPOZYTOR: Tu komenda policji. Czy to sytuacja alarmowa?

DZWONIĄCA: Tak, chodzi o mojego brata. On dźga mojego drugiego brata.

DYSPOZYTOR: Mówi pani, że dźga?

DZWONIĄCA: Tak, lepiej przyślijcie tu kogoś szybko. Całe zastony są w [piśniece] krwi. On zwariował, musicie przysłać kogoś szybko, zanim zabije nas wszystkich.

DYSPOZYTOR: Czy może pani opisać broń?

DZWONIĄCA: To nóż, na liłość boską. Wielki [piśniece] rzeźnicki nóż. Ma drewnianą rączkę, a drugi koniec jest naprawdę spiczasty. To wystarczy?

DYSPOZYTOR: Tak, tak, proszę się uspokoić. Gdzie pani brat jest obecnie?

DZWONIĄCA: Na podłodze. A gdzie, u diabła, miałby być? Leży na podłodze i wykrwawia się na śmierć. Wygląda jak kawałek [piśniece] szwajcarskiego sera polany keczupem.

DYSPOZYTOR: Nie, brat z nożem rzeźnickim. Gdzie on jest?

DZWONIĄCA: W kuchni. Pewnie strzela sobie kolejne cholerne piwko. Czy już jedzicie? Bo jeżeli nie, to dajcie mi znać, a ja sama poderżnę sobie gardło. Żeby oszczędzić mojemu porąbanemu i nawalonemu bratu wysiłku.

DYSPOZYTOR: Spokojnie, grupy interwencyjne są już w drodze. Czy może pani pozostać przy telefonie? Czy jest pani w bezpiecznym miejscu?

DZWONIĄCA: W bezpiecznym miejscu? O, Chryste, tak. Jestem zamknięta w [piśniece] łazience przyczepy mieszkalnej. To zupełnie jak [piśniece] Fort Knox. Jestem bezpieczna jak u Pana Boga za piecem - ludzie, co się z wami dzieje? Do diabła, nie, nie jestem bezpieczna. To miejsce może się rozlecieć od kociego pierdnięcia...

DYSPOZYTOR: Proszę pani, proszę zachować spokój.

DZWONIĄCA: O Jezu, to on! Słyszę go za drzwiami! Clete, odejdz stąd! Zostaw mnie w spokoju, bo powiem mamusi, co zrobiłeś Lippy'emu, przysięgam! Nie... nie waż się otwierać tych drzwi! Clete... do cholery, rozmawiam przez telefon z glinami... nie! Mówię ci, nie...

DYSPOZYTOR: Proszę pani, czy to on? Czy rozmawia pani z bratem?

DZWONIĄCA: Nie, z [piśniece] Garthem Brooksem. Co z wami, bałwany, się dzieje... Hej, Clete, przestań natychmiast! Nie, nie... odłóż to, słyszysz? Odłóż to!!!

DYSPOZYTOR: Proszę pani? Halo? Czy wszystko w porządku?

Pana Gasha bawił lęk rozbrzmiewający w ludzkich głosach. Wściekłość, panika, rozpacz – w telefonach na 911 było to wszystko, pełen zestaw pierwotnych reakcji.

Tatuś niszczący wszystko dokoła.

Niemowlę w basenie.

Mamusia wzięła jakieś proszki.

Obcy człowiek w oknie sypialni.

A wtedy ktoś jakoś dostaje się do telefonu i dzwoni po pomoc.

Dla pana Gasha było to lepsze od teatru, literatury, lepsze od muzyki. To było prawdziwe życie, bez żadnych retuszy. Taśmy z 911 nigdy go nie nudzi-

ły. Nawet przekopował swoje ulubione i podłożył pod nie muzykę klasyczną Mahlera do awantur domowych, Czajkowskiego do ataków serca i tak dalej.

Taśmy ze służb ratunkowych pozwalały zająć się czymś w korkach drogowych. Rankiem następnego dnia po męskiej rozmowie ze Stoatem słuchał ich przez cały czas, jadąc na Ropuszą Wyspę. Na długą podróż na pomoc pan Gash wybrał sobie Najlepsze wezwania „pali się!” z akompaniamentem Szostakowicza w tle.

DYSPOZYTOR: Czy to sytuacja alarmowa?

DZWONIĄCY: Pospieszcie się! Mój dom się pali! Pali się!

DYSPOZYTOR: Gdzie pan się znajduje?

DZWONIĄCY: Wewnątrz! Wewnątrz domu!

DYSPOZYTOR: W którym miejscu domu?

DZWONIĄCY: W sypialni, jestem tego pewien! Człowieku, pospieszcie się, to wszystko płonie!

Wszystko!

DYSPOZYTOR: Wozy są w drodze...

DZWONIĄCY: Siedziałem pod choinką...

DYSPOZYTOR: Proszę pana, musi pan natychmiast opuścić budynek.

DZWONIĄCY: Siedziałem sobie, rozumie pan? I jakoś, człowieku, nie wiem, co się stało, ale nagle błysnęło i drzewko się zapaliło i to porządnie. Zaraz potem wszystkie prezenty gwiazdkowe również stanęły w ogniu i prawie natychmiast wszędzie zrobiło się pełno dymu...

DYSPOZYTOR: Proszę pana, musi pan natychmiast wyjść z domu. Niezwłocznie.

DZWONIĄCY: Pospieszcie się, to najważniejsze. Szybko! Ponieważ za cholere nie mam pojęcia, gdzie jest to wyjście. Rozumiesz, co mówię? Jestem zagubionym [piśniece] synem. Kapujesz?

Taśmy były dla pana Gasha wielowątkowym obrazem. Jeden krzyk pozwalał mu wyobrazić sobie doskonale wnętrze domu, puste halle i zagracone sypialnie, wypłowiałe dywany i funkcjonalne meblowanie, zbyt duże obrazy i rodzinne fotografie z uwiecznionymi na nich upozowanymi sztywno osobami. I oczywiście mógł wyobrazić sobie pomarańczowe płomienie liżące ściany.

- Uuuch - powiedział głośno, wciskając pedał gazu.

Ropusza Wyspa była miejscem, gdzie, zgodnie z logiką, należało zacząć polowanie na człowieka, którego miał zamordować. Możliwe, że facet tam mieszka albo w każdym razie musiał kiedyś odwiedzić to miejsce. Bo jeśli nie, to dlaczego miałby go obchodzić most Clapleya?

Na początek pan Gash zatrzymał się przed domem Nilsa Fishbacka, samowważczego burmistrza wyspy i dawnego politycznego przeciwnika Roberta Clapleya. Ten ostami powiedział swojemu wystannikowi, że Fishback będzie znał wszystkie szczegóły dotyczące tych mieszkańców, których można uznać za malkontentów.

Jednakże Nils Fishback powitał pana Gasha w nieelegancki sposób:

- Wyoń się z mojego cholernego terenu! - wrzasnął.

- Przysłał mnie pan Clapley.

- Po co? - spytał Fishback. - Co z twoimi włosami, cudaku? Jesteś z Anglii czy co?

Starszy jegomość stał na trawniku przed domem. Był na bosaka, goły do pasa i miał chustą związaną na szyi. Chusta miała kolor herbaty z mlekiem, podobnie jak długa broda i paznokcie u nóg Fishbacka. Robił wrażenie człowieka, który kąpał się dość dawno.

- Nie zauważyłeś, że jestem zajęty? - Fishback wskazał stojącą na podjeździe ciężarówkę firmy zajmującej się przeprowadzkami. Dwaj potężnie zbudowani mężczyźni wciągali po pochylni na skrzynię ciężarówki długą kraciastą sofę.

- Zajmę tylko minutę - wyjaśnił pan Gash.

- Nie mam minuty.

- Nie ma pan przede wszystkim dobrych manier - odparł pan Gash.

Podszedł do pracowników firmy przewozowej i doradził im, żeby zrobili sobie pół godziny przerwy. Potem złapał Nilsa Fishbacka za kościste ramię i wciągnął go do domu. Tam związał mu przeguby rąk i kostki nóg dakronowym sznurem do zasłon i wepchnął go do wanny. Następnie, znalazłszy po krótkich poszukiwaniach nietkniętą kostkę mydła przeciwpotowe-go Dial, pan Gash wcisnął ją Fishbackowi do ust.

- Pewnie masz ochotę się porzygać - oznajmił pan Gash - ale oczywiście nie możesz.

Fishback patrzył na niego z wanny wzrokiem spłoszonego konia.

- A teraz o tym, czego od ciebie potrzebuję - rzekł pan Gash. Stał nad wanną z rewolwerem trzymany luźno w jednej ręce. - Otóż pewien człowiek sprawia wiele przykrości panu Clapleyowi z powodu nowego mostu. Muszę wiedzieć, panie burmistrzu, kto to jest. Przypuszczam, że może jest to ktoś z tej wyspy. Jakiś palant, który próbuje wycisnąć więcej pieniędzy z mojego dobrego przyjaciela, pana Clapleya.

Nils Fishback gorączkowo pokręcił głową. Pan Gash roześmiał się. Został poinformowany o dokonanej przez Fishbacka lukratywnej wyprzedazy nieruchomości.

- Och, wiem, że to nie ty - powiedział do starszego mężczyzny. - Ty chyba nie zgłaszasz żadnych reklamacji. Obłowiłeś się niezłe na tej transakcji.

Teraz Fishback kiwał potakująco głową. Pan Gash położył rewolwer na sedesie i wyjął scyzoryk, za pomocą którego wyciągnął następnie kostkę mydła z ust Fishbacka razem z wbitym w nią drogim, porcelanowym mostkiem dentystycznym. „Burmistrz” natychmiast wyprostował się i zaczął puszczać pawia na własne kolana. Pan Gash włączył prysznic, zabrał rewolwer i wyszedł z łazienki.

Kiedy Nils Fishback pojawił się ponownie, zachowywał się jak czarujący gospodarz, uosobienie wdzięku i gościnności typowego południowca. Przyniósł panu Gashowi świeżo parzoną kawę i pączki z cukrem pudrem i opowiedział mu o krążących po wyspie plotkach.

- Chodzi o faceta, który pracuje dla Roothausa, firmy budowlanej Clapleya. Ten człowiek ma -jak to się obecnie określa? - ambiwalentny stosunek do swojej pracy. Zaczął się upijać wieczorami, pętać

wszędzie i opowiadać, że to, co Clapley chce zrobić z tą wyspą, jest cholerną zbrodnią.

- Zbrodnią? - Pan Gash był wyraźnie rozbawiony.

- Zbrodnią przeciwko przyrodzie, ów młody człowiek tak się właśnie wyraża. Sądzę, że jest jakimś biologiem. - Nils Fishback przerwał, by włożyć z powrotem mostek. Pomiędzy przednimi zębami wciąż widać było pasemka pomarańczowego mydła.

- Fama głosi, że to typ miłośnika drzew - dodał.

- Ale pracuje dla Roothausa - odparł pan Gash - który pracuje dla Clapleya! Ha! - Pan Gash zmarszczył czoło. - Gdzie się podziała dobra, staroświecka lojalność? Nawiasem mówiąc, kawa jest wspaniała.

- Dziękuję - rzekł Fishback. - Ten młody facet nazywa się Brinkman albo Brickman. Coś w tym rodzaju. Mówią, że jest doktorem biologii.

- Pana informacje są bardzo cenne.

Fishback z niepokojem przesunął palcami po mokrej brodzie.

- Proszę pamiętać, że to tylko pogłoski. Nie chcę, żeby ktoś został skrzywdzony, ponieważ to, co panu powiedziałem, może nie mieć żadnego związku z pana sprawą. Kiedy ludzie są pijani, gadają rozmaite zwariowane głupoty.

Pan Gash wstał i podał Fishbackowi pusty kubek.

- No cóż, takie historie wymagają sprawdzenia. Dokąd się pan przeprowadza, burmistrzu?

- Do Vegas.

- Ooo! Kraj możliwości.

- Nie, po prostu mam kłopoty z zatokami.

Pan Gash uśmiechnął się zachęcająco.

- Zakocha się pan w tej miejscowości - oznajmił.

Krimmler ostrzegł doktora Stevena Brinkmana, żeby ograniczył picie, ale to nie było łatwe. Zbyt często, jeśli nie prawie stale, Brinkman był przygnębiony. Zakończył już niemal inwentaryzację biologiczną Ropuszej Wyspy i nie znalazł żadnego zagrożonego gatunku. Była to wspaniała wiadomość dla Rogera Roothausa i Roberta Clapleya, ale nie dla całej reszty przyrody, dla rybołówów, szopów, szarych wiewiórek, brązowych ślimaków drzewnych ani dla jaszczurek czy brodzieców piskliwych. Ponieważ teraz, z czego Brinkman zdawał sobie sprawę, nic nie mogło zablokować budowy miejscowości letniskowej na Wyspie Burzyków. Fiuty, które załatwiły spychaczami małe ropuszki dębowe, będą mogły zrobić to samo z wszystkimi innymi stworzeniami stojącymi im na drodze i żadne prawo czy władza nie zdołają ich powstrzymać. Dlatego właśnie sporządzony przez doktora Brinkmana dokładny katalog zamieszkujących Ropuszą Wyspę ptaków, ssaków, gadów, płazów, owadów i roślin był na dobrą sprawę listą skazańców, tak w każdym razie młody biolog myślał o swojej pracy.

Niekiedy zakradał się nocami do przyczepy biurowej, by dumać nad imponującą makietą Wyspy Burzyków - miniaturowa wyspa sprawiała wrażenie wspaniale zielonej i zalesionej! Ale Brinkman wiedział, że jest to iluzja stworzona przez dwa olbrzymie pola golfowe - szalona, falista plama zieleni, otoczona domami, chemicznie szmaragdowy odcień, jaki nie występuje nigdzie w przyrodzie. A te jelenie ustawiają się w kolejce, by kupować! Niekiedy Brinkman kucał przy modelu i ponuro przyglądał się „szlakowi przyrody” Clapleya - prostej czterystumetrowej ścieżce przez sosnowy las na pomocnym cyplu wyspy. Była tam również niewielka słonowodna rzeczka dla kajaków i kanadyjek. Na makiecie rzeczkę namalowano błękitną farbą, ale w rzeczywistości (Brinkman o tym wiedział) woda miała kolor herbaty i było w niej pełno mułu. Jeśli ktoś napotkał w niej stadko kielbi, mogłoby to wywołać wielkie podniecenie. Tymczasem ludzie Clapleya plantowali setki hektarów pod budynki mieszkalne, parkingi, lądowisko samolotów i śmigłowców, a także tę pieprzoną strzelnicę. Pogłębiliby również dziewicze ujście rzeczki, aby można tam było ulokować port jachtowy, kompleks sportów wodnych i zakład odsalania wody morskiej. Wzdłuż plaży stanęłyby obrzydliwe wieżowce. Na makiecie każdy z tych szesnastopiętrowych budynków miał wymiary paczki marlboro średniej długości.

Steven Brinkman doznawał okropnych uczuć, gdy myślał o swoim udziale w realizacji projektu Wyspy Burzyków i swojej karierze zawodowej generalnie. „Idź do sektora prywatnego” - tak poradził mu jego stary. Ojciec przez dwadzieścia sześć lat był zatrudniony w Służbie Leśnej USA i nie miał do powiedzenia nic dobrego na temat pracy na posadzie państwowej. „Gdybyin miał zacząć wszystko od początku, złapałbym tę robotę w firmie zajmującej się pozyskiwaniem drewna” - rzucił. „Sektor prywatny, synu, tylko to!”

Chociaż do podpisania umowy z Rogerem Roothausem skłoniła Steve-na Brinkmana wysoka pensja, niezależnie od tego sądził zupełnie szczerze, że będzie mógł wywierać jakiś wpływ na przebieg wydarzeń. Dopiero co ukończył studia i naiwnie uważał, że można znaleźć jakieś rozwiązanie kompromisowe - coś pośredniego pomiędzy tym, czego chcieli szurnięci miłośnicy króliczków, a dążeniami bezlitośnie niszczycielskich firm. Sądził, że nauka i zdrowy rozsądek pomogą wypracować wspólne stanowisko, i wierzył naprawdę autentycznie w przyszłość „kształtowania środowiska naturalnego”.

Dali mu pracę polegającą na liczeniu motylików, ropuch i myszy polnych. Nie minęło wiele czasu, kiedy

Brinkman zaczął również liczyć dni dzielące go od powrotu do domu. Nie chciał znajdować się na Ropuszej Wyspie w momencie, gdy rozpoczną oczyszczanie terenu. I nie zamierzał tu kiedykolwiek wracać, żeby się przekonać, czy w skazanym na śmierć lesie wszystko wygląda jak na makiecie.

Roothaus przydzielił mu jako pomieszczenie mieszkalne używany kontener, ale Steven Brinkman rzadko z niego korzystał, przedkładając noclegi pod gwiazdami i kopułą lasu. Tutaj mógł szaleńczo pić, nie narażając się na gniew Krimmlera. Prawie każdego wieczoru rozpałał ognisko i słuchał muzyki z małego odtwarzacza, który dostał od swojej siostry. Miejscowi już dawno temu uznali Brinkmana za czubka i zostawiali go w spokoju.

Rzadko kiedy jego samotność na świeżym powietrzu zakłócało coś bardziej hałaśliwego niż sowa pójdzka i dlatego zdziwił się, gdy zobaczył krępego nieznanego zmierzającego w stronę jego obozowiska. Blond włosy mężczyzny były pozlepiane w ekscentryczne kolce, ale to jego ubranie w kratkę zaniepokoiło Brinkmana, choć tego wieczoru wypił już pół litra stolicznej.

- Szukam psa - oświadczył mężczyzna niemal kojącym głosem.

Brinkman wstał niepewnie.

- Kim pan jest?

- Szukam czarnego labradora.

Biolog wzruszył ramionami.

- Nie ma tu żadnego psa.

- Być może z jednym obcięty uchem. Nie sędzę, żeby wiedział pan coś na ten temat.

- Nie...

Mężczyzna błyskawicznie przycisnął go do pnia sosny.

- Pracuję dla pana Roberta Clapleya - oświadczył.

- Ja też - odparł Brinkman. - O co panu chodzi?

- Czy jest pan Stevenem Brinkmanem?

- Doktorem Brinkmanem. Tak, a teraz...

- Konfliktowym człowiekiem?

Brinkman usiłował się wyrwać.

- Co? Jestem biologiem.

Mężczyzna o kolczastych włosach schwycił go za gardło.

- Gdzie jest ten cholerny pies, doktorze?

Brinkman usiłował protestować, ale człowiek Clapleya przewrócił go ciosem w brzuch.

- Jezu, zupełnie nie masz pojęcia, o czym mówię - powiedział z odrazą. Kopiąc napotkane przedmioty i klinąc głośno, obszedł całe obozowisko. - Nie masz tego cholernego psa. Nie jesteś tym, o którego mi chodzi.

- Nie. - Brinkman klęczał, usiłując złapać powietrze.

- Ale mimo wszystko sprawiasz kłopoty. A pan Clapley nie lubi takich ludzi. - Mężczyzna wyjął rewolwer.

- A na dodatek jesteś naprany. Niedobrze.

Brinkman z przetrachem uniósł do góry umazane rękę.

- Parę dni temu był tu facet. Miał czarnego labradora.

- Proszę dalej. - Mężczyzna strącił ćmę z klapy marynarki.

- Na plaży. Facet w moim wieku. Bardzo opalony. Miał wielkiego czarnego labradora.

- Z iloma uszami?

- Chyba dwoma. - Brinkman był prawie pewien, że zapamiętałby, gdyby było inaczej.

- Co jeszcze, doktorze?

Mężczyzna przyłożył rewolwer do skroni Brinkmana. Biolog był tak pijany, że nawet nie był w stanie zsikać się w spodnie, ponieważ nie funkcjonowały połączenia nerwowe pomiędzy mózgiem a pęcherzem.

- Ten gość miał czarnego pikapa. I była też kobieta.

- Jak wyglądała?

- Pięknie - oznajmił Brinkman. - Wspaniale. - Stoliczna buzowała w nim cudownie.

Mężczyzna o kolczastych włosach uderzył go kolbą rewolweru.

- Piękna to bardzo ogólnikowe określenie, nieprawdaż?

Brinkman usiłował się pozbierać. Czuł stróżkę krwi pomiędzy brwiami.

- Była brunetką, tuż po trzydziestce. Z takimi długimi włosami... - Brinkman posłużył się obydwoma rękami, aby pokazać, jak były długie - i pies należał chyba do niej. Labrador.

- A więc nie byli parą.

- Czy to pies pana Clapleya? A ci ludzie... czy go ukradli?

Mężczyzna w garniturze w kratkę uśmiechnął się lekko.

- Czy sprawiam wrażenie człowieka, który traci czas na szukanie zaginionych zwierząt domowych?

Naprawdę? Czy potrzebowałbym do tego rewolweru? Masz, fiucie, napij się jeszcze.

Podał butelkę stolicznej Stevenowi Brinkmanowi, który pociągnął łyk i zaczął zastanawiać się nad tym, co usłyszał od blondyna. Oczywiście, był to zawodowy morderca. Clapley wysłał go na wyspę, żeby kogoś zamordował, chodziło o coś, co jakoś wiązało się z psem. Brinkman był zbyt pijany, by dostrzec cokolwiek poza zabawnymi aspektami tej sprawy, i zaczął chichotać.

- Zamknij się i powiedz, jak się ten facet nazywa - polecił mężczyzna.

- Nie powiedział. - Brinkman ponownie poczuł chłodne dotknięcie lufy na skroni. - Nie powiedzieli, jak się nazywają. Żadne z nich - wyjaśnił człowiekowi o kolczastych włosach. - Czemu miałbym kłamać?

- Mam zamiar się dowiedzieć.

A wtedy, jak to często bywa po wódce, Steven Brinkman przeżył gwałtowną zmianę nastroju. Przypomniał sobie, że właściwie polubił opalonego młodego człowieka i niezwykle piękną kobietę z przyjaznym czarnym psem. Sprawiali wrażenie całkiem sympatycznych i odpowiednio wstrząśniętych tym, co się tu dzieje, na przykład zakopaniem ropuszek. Nie każdy przejmował się ropuchami.

A ja teraz, pomyślał pośpiesznie Brinkman, kabluję ich jakiemuś uczesaniem na punka cynglowi. Tak jak zakablowałem Bufo aërcicus Krimmerowi. Zakablowałem całą tę cudowną wyspę. Jakież ze mnie tchórzliwy dupek! - smucił się Brinkman.

- Nazwisko - ponaglił zabójca. - Liczę do sześciu.

- Sześciu? - wybełkotał Brinkman.

- To moja szczęśliwa liczba. Równie dobrą jest trzy - oznajmił tamten. - Może wolisz, żebym policzył do trzech? Jeden... dwa...

Brinkman objął dłonią lufę rewolweru.

- Posłuchaj, nie wiem, jak się ten facet nazywa, ale wiem, gdzie dziś w nocy obozuje.

- To byłby pewien postęp. - Człowiek Clapleya schował broń do kabury i gestem ręki nakazał Brinkmanowi, by go prowadził.

Biolog wziął latarnię gazową i ruszył przez las, ale niezbyt cicho. Był kompletnie pijany i z wielkim trudem podnosił stopy, a jeszcze większą trudność sprawiało mu stawianie ich we właściwym miejscu. Brnął naprzód, odbijając się od pni drzew, przedzierając się przez zarośla i słyszał, jak za Jego plecami nieznamy blondyn kinie wściekle. Niewątpliwie gałęzie sosen i kolczaste pnącza mściły się bezlitośnie na jego kraciastym garniturze.

Pomysł Brinkmana - trudno bowiem było to uznać za plan - polegał na tym, że będzie szedł przed siebie, aż dotrze na polanę, na której będzie mógł odwrócić się raptownie i wyróżnić człowieka Clapleya latarnią w głowę. Jedyne doskonała wódka mogła wzbudzić w Brinkmanie taką nadzwyczajną wiarę we własną siłę i zręczność, ale gniew w jego sercu był szczery i niczym Dleskażony. Kolczastogłowy intruz, prymitywny specjalista od zabijania, stał się idealnym symbolem projektu Wyspy Burzyków i towarzyszącego mu zła. Czy nie byłoby fajnie ogłuszyć skurwiela i oddać go glinom? A potem? Potem będzie siedział i patrzył, jak Robert Clapley się wije, próbując wyjaśnić w mediach cały ten szwindel - wynajętego bandziora z rewolwerem, którego wy. puścić, by na wyspie polował na „sprawiających kłopoty” ludzi. Brinkman uśmiechnął się, nieco przedwcześnie, wyobrażając sobie te nagłówki.

Nagle zorientował się, że wychodzi spomiędzy sosen na otwartą przestrzeń, którą wypełniło blade światło lampy. Zobaczył przysadziste maszyny, bruzdy i kopce wysuszonej ziemi - a pod swoimi stopami zębaty ślad. Wiedział, gdzie się znajduje, i uznał, że to jest dobre miejsce. Wciągnął głęboko w płuca chłodne, słonawe powietrze i przyspieszył kroku.

- Hej, czubku! - To był człowiek Clapleya.

Doktor Brinkman nie odwrócił głowy, ale kątem oka dostrzegł cień - niewyraźną sylwetkę, która dzięki światłu latarni pojawiła się na lemieszu spychacza niczym kukielka na ścianie.

- Hej, myślisz, że to śmieszne?

Człowiek Clapleya przyspieszył kroku i zbliżał się. Doktor Brinkman specjalnie zwolnił, starał się teraz wyciszyć szum w głowie i ocenić, z jakiej odległości dociera odgłos kroków zabójcy, wiedząc, że moment wykonania jego najważniejszego ruchu musi być wybrany idealnie... Ale idealny wybór momentu nie jest, niestety, typowym efektem ubocznym skonsumowania potężnej ilości wódki.

Dlatego też w chwili, gdy Steven Brinkman odwrócił się i zamachnął się ciężką latarnią, człowiek Clapleya znajdował się jeszcze w odległości prawie pięciu metrów od niego, poza zasięgiem ciosu. Siła odśrodkowa obróciła Brinkmanem o prawie trzysta sześćdziesiąt stopni i ten mimowolny ruch obrotowy zahamowało dopiero uderzenie latarni w koło koparki. Brinkman zobaczył biało-różowy, a później jaskrawy niebieski błysk, usłyszał ostry trzask, a potem następny, głośniejszy - była to eksplozja latarni, po której nastąpiło jeszcze coś. Brinkman upadł w ciemność i uznał (mógł tak to ocenić jedynie ktoś mocno pijany), że jest czymś fascynującym czuć wilgoć własnej wypływającej krwi, ale nie czuć zarazem bólu zadanego przez pocisk. Próbował biec, nie wstawszy, i jego nogi kopały beładnie w ziemię do chwili, gdy zabrakło mu tchu.

Na polanie zapadła niezwykle cisza i Brinkman ucieszył się na chwilę bo pomyślał, że może człowiek Clapleya uznał go za martwego i uciekł. Ale w następnym momencie usłyszał, jak rusza spychacz,

strzelając silnikiem przy zmianie biegu. I wtedy już wiedział. Nawet z mózgiem zatopionym w stolicznej domyślał się, co teraz będzie, wiedział też, że powinien być tym przerażony. Ale Steven Brinkman czuł się przede wszystkim zmęczony, tak zmęczony, zziębnięty i przemoczony, że chciało mu się tylko spać.

A do tego

nada się każde miejsce, każde miejsce, gdzie zdoła się położyć, będzie w sam raz. Nawet gdzieś głęboko w ziemi, pomiędzy maleńkimi zakopanymi przez ludzi ropuszkami.

Twilly'emu śniła się wyspa Marco. Śniło mu się, że jest chłopcem, który biegnie po białej plaży i woła ojca. Długi odcinek brzegu, jak okiem sięgnąć, zabudowany był koszmarowymi, wysokimi domami. Budynki w nadnaturalny sposób sięgały chmur, zasłaniały światło słońca i rzucały ogromne chłodne cienie na plażę, po której biegł młody Twilly, trzymając pod pachą wypełnione muszlami pudełko po butach.

W swoim śnie, pierwszym śnie, jaki przyśnił mu się w życiu, Twilly słyszał Małego Phila gdzieś za wysokościami, jego głos odbijający się wesołym echem wśród betonowych kanionów. Twilly biegł, szukając przejścia pomiędzy budynkami. Ale nigdzie nie było ścieżki ani żadnej bocznej uliczki, żadnego wskazującego drogę skrawka światła. Każdy kolejny wieżowiec łączył się z następnym, tworząc nieprzerwany, stromy mur - nieskończenie wysoki, nieskończenie długi - który zagradzał szczelnie całe wybrzeże wyspy.

Twilly Spree biegł i biegł, wykrzykując imię ojca. Nad głową chłopca latały mewy śmieszki, mewy siodlate i rybołówki zwyczajne, wokół jego gołych nóg kręciły się piaskowce i siewki. Zauważył, że przyptyw nadciąga niezwykle szybko, więc jeszcze przyspieszył, mokry piasek rozpryskiwał się mu pod stopami. W swoim śnie Twilly nie mógł rozróżnić słów ojca, ale ton jego głosu zdawał się wskazywać, że Mały Phil nie zwraca się do zagubionego syna, lecz finalizuje jakąś umowę dotyczącą nieruchomości. Twilly wyczuwał fałszywą wesołość i sztuczny niby-przyjacielski ton.

Chłopiec wciąż biegł co sił w nogach, ponieważ plaża zmniejszała się coraz bardziej. Słona woda dotarła do kostek nóg - bardzo zimna, zbyt zimna, by w niej pływać - więc Twilly rzucił pudełko, by móc swobodnie poruszać obiema rękami i biec dzięki temu jeszcze szybciej. Od szczypiącej soli zaczęły go piec oczy i linia brzegu przed nim rozmazywała się. W swoim śnie Twilly zastanawiał się, w jaki sposób przyptyw może narastać tak szybko, ponieważ nie było sztormu, który napędzałby wodę, ani najmniejszego nawet tchnienia wiatru. Morze w oddali było idealnie gładkie, bez żadnej zmarszczki, jak wypolerowane szkło!

Ale mimo to woda sięgała już Twilly'emu do kolan i nie mógł już biec. Chłopca ogarnął paraliżujący chłód, jakby w plecy wbito mu sopel lodu. Przez mgłę, która zasłoniła mu oczy, mógł dostrzec przypominające literę „W” sylwetki morskich ptaków, krążących, nurkujących i przemykających szaleńczo nad skłębioną pianą. Zastanawiał się, dlaczego ptaki po prostu nie wzbijają się w górę i nie odlecają dalej nad zatokę, ale one wciąż uderzały na osłep w monolit budynków z głuchym łoskotem rozbijanych piór i kości. Szalonymi, wirującymi potokami ptaki rozbijały się o szyby i balkony, o markizy i przesuwane drzwi i wkrótce fasady ogromnych wieżowców pokryły się od góry do dołu krwawymi smugami. Twilly Spree nie słyszał już głosu ojca.

We śnie zacisnął powieki, aby nie widzieć umierających ptaków. Przestał poruszać nogami, ponieważ woda sięgała mu już do pasa. Była tak zimna, że z całą pewnością mogła go zabić w ciągu kilku zaledwie minut. Twilly dziwił się, czemu morze jest tak straszliwie chłodne - i to na południowej Florydzie! Na dwudziestym szóstym stopniu szerokości geograficznej! Ale wtedy przyszła mu do głowy odpowiedź, i to odpowiedź tak prosta. Woda była zimna, ponieważ nie ogrzewało jej słońce, ponieważ cholerne drapacze chmur na plaży przesłaniały każdy promień słońca, pogrążając zatokę w wiecznym cieniu. Stąd się brał ten chłód. Z całą pewnością.

Twilly zdecydował, że położy się na wodzie i pozwoli się jej unosić. We śnie sięgała mu już do pach i tak rozpaczliwie starał się złapać oddech, że wydawał dziwaczne, skrzeczące dźwięki niczym żabka drzewna. To nie do przyjęcia, proszę pana! Unoszenie się na wodzie to natomiast fajny pomysł. Będę płynął na plecach i pozwolę, by przyptyw doniósł mnie do jednego z tych budynków, gdzie będę mógł wydostać się z tej lodowatej zupy. I będę wspinał się tak wysoko, tak długo, dopóki nie wyschnę, będę się wspinał jak sprytna, mała żabka, którą jestem. Woda musi w końcu kiedyś ustąpić, prawda?

W swoim śnie Twilly otworzył piekące powieki i zaczął unosić się na wodzie, łapiąc oddech. Prąd zniósł go na budynek mieszkalny, wysoki może na tysiąc pięter, i Twilly objął ramionami pręty balustrady balkonu. Wisiał tak w nadziei, że odzyska choć trochę siły. Wokół niego unosiły się w pianie ciała morskich ptaków, pociemniałe kłębki z zakrzywionymi dziobami, zaciśniętymi, żółtymi pazurami, rozwichrzonymi, poplamionymi czerwienią, piórami...

Chłopiec usiłował wydostać się z lodowatej wody na suchy taras. Uniósł brodę w stronę poręczy, ale mógł sięgnąć tylko na tę wysokość, ponieważ na balkonie stał w mokrych workowatych spodenkach jego ojciec, Mały Ph" Na jego wyciągniętych dłoniach siedziały setki maleńkich, pasiastych ropuszek z

wytrzeszczonymi oczami oraz wydętymi policzkami i skrzeczały tak piekielnie przeraźliwie, że Twilly Spree poczuł gwałtowny ból w uszach.

I w swoim śnie rozplakał się. Zamknął oczy, puścił balustradę i upadł i powrotem do wody, a prąd zakręcił nim jak kawałkiem namokniętego drewna. Coś miękkiego dotknęło jego policzka i uderzył w to z rozmachem, myśląc, że dotyka go martwa siewka lub mewa.

Ale to nie był martwy ptak, była to dłoń Desie. Twilly otworzył oczy i nie mógł uwierzyć, że spoczywa w jej ciepłych objęciach. Słyszał bicie jej serca.

- Już wszystko w porządku - mówiła do niego.

- Tak. - Poczuł lekki pocałunek w czoło.

- Drżysz.

- A więc to nazywają snami - powiedział.

- Przyniosę ci jeszcze jeden koc.

- Nie, nie ruszaj się.

- Dobrze.

- Nie chcę, żebyś odchodziła.

- Dobrze.

- Nigdy - powiedział Twilly.

- Och.

- Rozważ to. Proszę.

Dom był ciemny i cichy. Nikt nie włączył alarmu. Palmer Stoał otworzył drzwi. Zawołał Desie i zaczął przyciskać kolejne włączniki światła. Sprawdził główną sypialnię, sypialnie gościnne, werandę, cały dom. Żony nie było i Stoał poczuł się zawiedziony. Tak bardzo pragnął jej pokazać najnowszy przejaw okrucieństwa - psią łapę w pudełku po kubańskich cygarach. Chciał, żeby usiadła i przypomniała sobie wszystko, co dotyczyło tego wariata, który porwał Boodle'a— każdy najdrobniejszy szczegół - i opowiedziała to człowiekowi Roberta Clapleya, temu sadystycznemu szajbusowi z włosami jak u jeżozwierza, i umożliwiła mu wytropienie psiego porywacza.

I zabicie go.

- Chcę, żeby zginął.

Palmer Stoał stał przed lustrem w łazience. Wyglądał koszmarnie. Oczy wiał zapadnięte, twarz pokrytą plamami, włosy pozlepiane w wilgotne strąki- W jaskrawym świetle widział nawet lśniąca zmarszczkę na podbródku w miejscu, gdzie chirurg umieścił gumowy implant.

- Chcę, żeby zginął - powiedział na głos Stoał, chcąc usłyszeć, jak surowo brzmią te słowa. Rzeczywiście chciał, żeby tego człowieka zabito... usunięto, zlikwidowano, załatwiono, skreślono; obojętne, jak to nazywają faceci tacy jak pan Gash. Ten człowiek, ten młody cwaniaczek, zasłużył na śmierć za to, że przeszkadza w budowie mostu za dwadzieścia osiem milionów dolarów, interesie, który Palmer Stoał tak zręcznie zorganizował, za to, że porwał pocziwego Boodle'a, że używa odciętych części ciała psa do szantażowania go, że psuje jego małżeństwo... w jaki sposób, tego Stoał nie był pewien. Ale od momentu zetknięcia się z psim porywaczem Desie zachowuje się dziwnie. Dowód: jest już wpół do jedenastej w nocy, a jej nie ma w domu. Pani Stoał nie ma w domu!

Przeszedł do gabinetu i zasiadł na swoim tronie pośród ryb o szklanych oczach i zwierzęcych głów z otwartymi paszczami. Zadzwoił do rezydencji gubernatora i zażądał połączenia z Dickiem Artemusem. Lokaj o imieniu Sean - wspaniale! To musiał być Sean! - poinformował Stoata, że gubernator poszedł wcześniej spać i nie można mu przeszkadzać, co oznaczało, że Dick Artemus właśnie pieprzył Lisę June Peterson albo którąś ze swoich asystentek o dwóch imionach przed nazwiskiem, byłych członkiń prestiżowych kół studenckich. Palmer Stoał, który wpatrywał się teraz w spoczywające przed nim na blacie biurka pudełko po cygarach, był zdania, że dostarczenie mu łapy zasługuje na omówienie w osobistej rozmowie z gubernatorem Florydy. Stoał nie miał wątpliwości, że Dick Artemus koniecznie musi wiedzieć, iż porywacz wciąż wywiera na niego presję. Uważał, że należy przypomnieć gubernatorowi Dickowi, aby możliwie jak najszybciej zawetował most na Wyspę Burzyków i zadbał, żeby wiadomość o tym dotarła do gazet, by psi prywacz mógł ją przeczytać.

Ale nie - opiekuńczy, obowiązkowy młody Sean nie połączy go z cudzołożącym byłym sprzedawcą toyot!

- Jak brzmi twoje pełne nazwisko, synu? - zagrzmiął w słuchawkę Palmer Stoał.

- Sean David Gallagher.

- I podoba ci się praca w rezydencji gubernatora? Ponieważ wystarczy moje jedno słowo o twoim niewłaściwym zachowaniu i wrócisz do pieprzonej Pizza Hut, gdzie będziesz polerował okap nad barem sałatkowym. Kapujesz, synu?

- Przekażę gubernatorowi Artemusowi, że pan dzwonił, panie Stoał.

- Zrób to, kolego.

- I pozdrowię również ojca w pańskim imieniu.

- Ojca? - parsknął Stoat. - A kim, u diabła, jest twój ojciec?
- To Johnny Gallagher. Jest tymczasowym przewodniczącym Kongresu.
- Och. Słusznie. - Palmer Stoat wybąkał jakieś pojedyncze zdanie i odłożył słuchawkę. Te cholerne współczesne dzieciaki, pienił się, nie mogą nawet załatwić sobie pracy bez pleców starego. Stoat otworzył pudełko i ponownie zerknął na psią tapę. „Jezu, jaki będzie następny numer” - mruknął, zatrzasnąwszy wieczko.

Próbował przypomnieć sobie, jak tamtego wieczoru u Swaina wyglądał facet, który przesłał mu ten bezczelny liścik. Opalenizna, koszula w kwiaty... Stoat uznał wtedy, że to jakiś łazęga z łódek, jachtowy załogant. Ale twarz? Na pewno młody, to Stoat pamiętał. Lecz w barze było pełno dymu, on sam był pod gazem, a chłopak miał ciemne okulary, a więc... to pech, lecz nie pamięta jego twarzy. Paskudny pan Gash powinien skonsultować się z Desie. Przecież spędziła jakiś czas w towarzystwie porywacza.

Ale Stoata skręcało na samą myśl, że pan Gash mógłby się znaleźć sam na sam z Desie. Co za straszny mały kutafon! Stoat zastanawiał się, czy ten obrzydliwy mały szczurek jeszcze żyje - na pewno popiskuje i czołga się, na wpół ślepy, w szafce z płatkami zbożowymi! To niewiarygodne. Naprawdę wszechświat zostaje sprowadzony do poziomu jakiejś wariackiej historii w stylu prasy brukowej - faceci obcinający psom członki, fetyszyści lalek Barbie i uczesany na punka uzbrojony sadysta, który wciska mu do gardła gryzoniał!

Dzięki Bogu, że nie dowiedzieli się o tym wszyscy ci, którzy bali się go, potrzebowali i którzy mu się podlizywali -jemu, Palmerowi Stoatowi, lobbyście w wielkim stylu. Wszyscy ci ważni mężczyźni i kobiety tłumnie zapisujący się na jego pocztę głosową w Tallahassee... burmistrz Orlando, który potrzebuje zręcznych rąk Stoata, żeby uzyskać czterdzieści pięć milionów dolarów z funduszy federalnych na budowę autostrady; Disney World domagający się jeszcze jednego wyjazdu na 4. Międzystanowaj prezes firmy produkującej automaty do gry, który błaga Stoata, by zaaranżował obiad z wodzem plemienia Indian Seminolów; członkini Kongresu Stanów Zjednoczonych z Palm Beach zebrząca o miejsca w łoży na otwierający sezon mecz Marlinów (nie dla siebie osobiście, ale dla pięciu dyrektorów przedsiębiorstwa cukrowniczego, którzy namówili swoich zbieraczy trzciny cukrowej z Jamajki i Haiti, aby złożyli hojne darowizny - w gruncie rzeczy zdecydowanie przekraczające ich możliwości - na fundusz jej reelekcji).

To był świat Palmera Stoata. To byli jego ludzie. Ta cała porąbana afera musi się skończyć. I zakończy się, gdy tylko Głowa Jeżozwierza wytropi czubka, który przetrzymuje biednego Boodle'a.

Stoat otworzył górną szufladę biurka i odnalazł ulubiony plik zdjęć erotycznych. Zrobił je w Paryżu, gdzie byli razem z Desie na tygodniowej wycieczce opłaconej przez międzynarodowe przedsiębiorstwo produkcji kruszywa. Desie nie była nadmiernie eksponowana na tych zdjęciach - tu kawałek Ua\ tam znowu ramienia - ale to wystarczyło, by jej mąż poczuł ukłucie ^ sercu i drżenie w podbrzuszu. Gdzie ona jest, u diabła?

Palmer Stoat spostrzegł światełko migające na jego automatycznej se-ketarce. Wcisnął guzik ODTWARZANIE i rozsiadł się w fotelu. Pierwszą informację nagrał Robert Clapley. Jego głos był podenerwowany w jakiś szczególny sposób i sprawiał wrażenie, jakby mówiącemu brakowało powietrza.

„Ja w sprawie tego proszku z nosorożca” - nagrał na taśmę. „Palmer, zadzwoń do mnie natychmiast. Gdy tylko odsluchasz moją wiadomość”.

Druga informacja, nagrana trzydzieści minut później, również od Cla-pleya, brzmiała: „Palmer, jesteś tam? Muszę z tobą pogadać. Chodzi o Bar-bie, one... Zadzwoń, dobrze? Obojętne o której godzinie”.

Trzecia wiadomość w automatycznej sekretarce Stoata pochodziła od Desie. Kiedy usłyszał jej głos, szybko pochylił się do przodu i wzmocnił dźwięk.

„Palmerze, u mnie wszystko w porządku. Nie będzie mnie przez kilka dni. Po prostu muszę wyjechać na jakiś czas. Nie martw się, proszę... porozmawiamy, kiedy będę w domu, dobrze?”.

Nie sprawiała wrażenia zmartwionej czy przestraszonej. Jej głos brzmiał zupełnie spokojnie. Ale taśma zarejestrowała również coś dość niepokojącego - jakieś dźwięki rozbrzmiewające w tle. Dały się słyszeć tuż przed momentem, w którym Desie się pożegnała.

Palmer Stoat, aby mieć pewność, odsluchał taśmę trzy razy. Dźwięki brzmiały znajomo i nie można ich było pomylić z niczym innym. To szczekał pies.

I, co istotne, nie był to jakiś tam pies. To był Boodle.

Stoat jęknął i przycisnął mięsiste palce do czoła. Ten pieprznity skurwysyn przyszedł i porwał mu żonę. Znowu.

Ciepłym, wietrznym rankiem pod koniec kwietnia dwanaścioro Japończyków i Japonek wysiadło z wynajętego klimatyzowanego autobusu, który zaparkował w zatoczce dwupasmowej szosy na North Key Largo. Podróżni podzielili się na pary i wsiedli do sześciu kanadyjek pomalowanych na cukierkowe kolory. Pod niebem jak z kremowej porcelany zaczęli wiosłować krętą rzeczką o nazwie Steamboat w

stronę Przesmyku Barnes, gdzie mieli zamiar zjeść lunch, a potem zawrócić. Cała wycieczka miała potrwać cztery godziny, ale kajakarze zaginęli na niemal trzy dni. W końcu znaleziono ich wędrujących w środku nocy wzdłuż drogi lokalnej nr 905. Nie licząc kilku zadrapań i ukąszeń owadów, wszyscy byli cali i najzupełniej zdrowi. Za fakt niezwyklej wszakże należało uznać to, że nikt spośród całej grupy nie chciał powiedzieć policji, co się z nimi działo, i że wszyscy uciekli przed dziennikarzami, którzy chcieli przeprowadzić z nimi wywiady.

Mężczyźni i kobiety byli pracownikami MatsibuCom, jednej z najprężniejszych tokijskich firm budowlanych. Ponieważ w Japonii drewna jest mało, a jego ceny sięgają zawrotnej wysokości, MatsibuCom sprowadzała miliony metrów kwadratowych tego surowca rocznie ze Stanów Zjednoczonych, a konkretnie z Montany i Idaho, gdzie całe góry ogołoco z drzew, wygolono je doszczętnie, pozostawiając zapylone, nagie kopuły. Zyskała na tym panorama Tokio i - wcale nie przypadkiem - MatsibuCom. Firma, która przetrwała w stosunkowo dobrej kondycji azjatycki kryzys finansowy, zafundowała w nagrodę dwunastu członkom swego kierownictwa najwyższego szczebla wspólne wakacje na Florydzie. Zaczęli tydzień oczywiście w Walt Disney World, a zakończyli w Keys, w wykwinnym (i bezpiecznie republikańskim) Ocean Reef Club. Pewną ironią losu było to, że dyrektorzy MatsibuCom wyrazili zainteresowanie ekoturystyką i dlatego właśnie zorganizowano wycieczkę kanadyjkami po Steamboat Creek. Japońskich gości poinformowano, że w czasie jej trwania mogą natknąć się na manaty, węże indygowy, łysy orły, a być może również na nieuchwytnego, północnoamerykańskiego krokodyla, żyjącego w rozlewiskach wśród mangrowców i osiągnącego długość do czterech i pół metra. W przewidywaniu tych atrakcji zakupiono wiele rolek filmów.

Gdy Japończycy nie wrócili ze swojej wyprawy w wyznaczonym czasie, rozpoczęto intensywne poszukiwania, w których wykorzystano ultralek-kie samoloty, poduszkowce, skify i łaziki bagienne. Gubernator Dick Artemus wysłał nawet do pomocy dwa stanowe śmigłowce (był to nader skromny gest, zważywszy, że w dniu objęcia urzędu otrzymał bezpłatne członkostwo Ocean Reef). Tymczasem odpowiedzialni za turystykę oficjele z Florydy zastanawiali się ponuro, ile tysięcy ten sektor gospodarki będzie odzyskiwał siły, jeżeli trzeba będzie ogłosić, że dwunastu zagranicznych biznesmenów wysokiej rangi zostało pożartych przez krokodyla - lub zginęło w równie przerażających okolicznościach - gdy spędzali wakacje w „Słonecznym Stanie”.

Oficjalnie władze lansowały teorię, że japońscy goście „zgubili się” w systemie cieków wodnych płynących wśród mangrowców, ale reporterzy rozmawiali z wieloma przedstawicielami miejscowej ludności, którzy sceptycznie podchodzili do tej wersji, a jednocześnie bardzo chętnie się zgodzili, by ich cytowano. Nawigacja po Steamboat Creek była równie skomplikowana, jak na Międzystanówce 95, ale na pewno tysiąc razy bezpieczniejsza. Obawy, że turyści padli ofiarami jakiejś nieczystej gry, spotęgowały się z chwilą znalezienia zaginionych kanadyjek. Łódki były podziurawione jak sito pociskami 1 powiązane razem niebieską linką narciarską. Zawieszono je pod mostem Card Sound, gdzie kołysały się i kręciły wysoko nad Wewnętrzną Drogą Wodną ticzym ozdoby latawca. Do chwili przybycia policji, która pospiesznie Przecięła linkę, przepływający tamtędy zatrzymywali się, by robić zdjęcia. Po odnalezieniu postrzelanych łodzi zgasty właściwie wszelkie nadzieje, że dyrektorów MatsibuCom uda się odnaleźć całych i zdrowych. Wszystko wskazywało teraz na to, że zostali porwani albo przez psychopatów, albo przez terrorystów - co z reklamowego punktu widzenia było o wiele groźniejsze niż zwykły atak krokodyla. Prywatnym odrzutowcem przybyła z surowymi minami grupa z japońskiego konsulatu w Miami i zatrzymała się w Ocean Reef, gdzie otrzymała zespół pokoi od strony nabrzeża oraz nieograniczony limit rozmów międzynarodowych i międzymiastowych. Tymczasem w Waszyngtonie grupa specjalistów FBI z zakresu medycyny sądowej spakowała już rzeczy przed odlotem na Florydę - czekano tylko na telefon z ponurą wiadomością o odnalezieniu rozkładających się zwłok.

A wtedy dwunastka japońskich kajakarzy zaskoczyła wszystkich. Pojawili się bowiem żywi, cali, zdrowi i małowolni. O świcie 30 kwietnia pracownicy MatsibuCom siedzieli w wyczarterowanym gulfstreamie 5 i lecieli z powrotem do Tokio. Miejscowa prasa wyekspluatowała w pełni temat „zabłąkanej ekowycieczki”, ale wobec braku relacji bezpośrednich uczestników (lub ich ciał) cała sprawa szybko zniknęła z łamów prasowych.

Porucznik Jim Tile usłyszał o niej, zanim informacja pojawiła się w telewizji, ponieważ stanowa drogówka oddelegowała do poszukiwań ważnych gości pięciu funkcjonariuszy z patroli drogowych oraz najlepszy zespół K-9. Odnalezienie kanadyjek - a także dramatyczny sposób ich zniszczenia i wyeksponowania - potwierdziły podejrzenia, jakie Jim Tile miał na temat incydentu na Steamboat Creek. Liczył na to, że Japończycy zachowają milczenie i dzięki temu żaden inny przedstawiciel władz niczego nie skojarzy. Dick Artemus najwyraźniej nie miał żadnych podejrzeń. Z kolei Jim Tile w czasie krótkiego spotkania w Tallahassee zupełnie świadomie nie podzielił się z nim swoją teorią na temat porwania ekowycieczki.

Jednakże tego popołudnia policjant zadzwonił na numer poczty głosowej, wykorzystywany do wymiany

wiadomości pomiędzy nim a przyjacielem - dawno temu urzędującym gubernatorem - i z irytacją przekonał się, że nie ma połączenia. Wobec tego spakował torbę podróżną, pocałował na do widzenia Brendę i nie zatrzymując się nigdzie, ruszył na południe, właściwie przez całą długość stanu. Gdy dotarł do wartowni klubu Ocean Reef w North Key Largo, słońce już od godziny wisało na niebie. Wpuścił go na teren klubowy młody, opryskliwy ochroniarz, który najwyraźniej oblał symboliczny egzamin z czytania i pisania, jaki należało zdać, by móc wstąpić do policji. Strażnik niechętnie odprowadził gościa do biura zarządu klubu, gdzie Jim Tile przedstawił list polecający od prokuratora generalnego, a wtedy pozwolono mu obejrzeć rolkę filmu znalezionej w pozostawionej przez jednego z Japończyków torbie na sprzęt fotograficzny.

Film został wywołany i przeniesiony na czarno-białe stykówki przez pracownika technicznego z miejscowego biura szeryfa, który najwyraźniej nie docenił jego wartości dowodowej. Na trzydziestu pięciu z trzydziestu sześciu klatek na pierwszym planie widniał rozmazany palec - zjawisko występujące nader często, gdy małoobrazkowy aparat fotograficzny dostaje się w ręce łatwo podniecającego się turysty. Jednakże zdaniem Jima Tile'a to, co widniało na zdjęciach ze Steamboat Creek, nie przypominało zabłąkanego paluszka kruchego japońskiego biznesmena, ale raczej solidny, owłosiony, zagięty i podrapany środkowy palec liczącego sobie sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu anglo-amerykańskiego pustelnika obdarzonego szalonym poczuciem humoru.

Ostatnie zdjęcie na filmie, jedyne, na którym nie uwieczniono palca, było dla policjanta w równym stopniu interesujące. Odwrócił się do ślima-kopodobnego ochroniarza i zapytał:

- Czy klub ma łódzie do wypożyczenia? Bardzo odpowiadałby mi skif.
- Mamy w porcie jachtowym trzyipółmetrową łódź. Ale nie może pan nią sam popłynąć. To wbrew zasadom.

Jim Tile złożył stykową wglądówkę i wsunął ją do brązowej urzędowej koperty, tej samej, którą Dick Artemus wręczył mu w rezydencji gubernatora.

- A więc gdzie jest ten port? - zapytał ochroniarza.
- Nie ma pan upoważnienia.
- Wiem. Dlatego pojedziesz ze mną.

Była to płaskodenna łódź napędzana przyczepnym silnikiem o mocy piętnastu koni mechanicznych. Strażnik, który nosił nazwisko Gale, uruchomił motor za trzecim pociągnięciem. Na źle dopasowany mundur nałożył jaskrawopomarańczową kamizelkę ratunkową i powiedział Jimowi Tile'owi, żeby zrobił to samo.

- Przepisy - wyjaśnił.
- Całkiem słusznie.
- Umisz pływać?
- Taa... - odparł policjant.
- Nie zalewasz? Myślałem, że czarni faceci nie umieją pływać.
- Skąd jesteś, Gale?
- Z Lakę City.
- Lakę City, stan Floryda.
- A jest jakieś inne?
- I nigdy nie spotkałeś czarnego człowieka, który umiałby pływać?
- Jasne, w rybnych sadzawkach i takich tam. Mówię o oceanie, człowieku. O słonej wodzie.
- A to taka różnica?

- Wielka różnica - oznajmił rzeczowo ochroniarz. - Dlatego są te kamizelki ratunkowe.

Przepełnęli Card Sound z północnym wiatrem, prostokątny dziób łódki z chlupotem rozbijał szczyty fal. Gale wpłynął do ujścia Steamboat Creek na pełnym gazie, ale zwolnił pod niskim mostem.

- Jak daleko musisz popłynąć? - zapytał siedzącego na dziobie policjanta.
- Powiem ci, gdy będziemy na miejscu, Gale.
- Nosisz 0.375?

-Tak.

- Jeszcze nie dostałem pozwolenia na noszenie broni. Ale w domu mam przy łóżku smitha 0.38.
- Dobry wybór - pochwalił Jim Tile.
- Uważam, że na ulicę muszę mieć coś cięższego.
- Widzisz orła? Tam na szczycie tego drzewa? - wskazał policjant.
- Fajne! - zawołał ochroniarz Gale. - Do tego potrzeba śrutówki, minimum dwudziestokalibrowej... Hej, muszę się zatrzymać i się odlać.
- No to się zatrzymaj - powiedział Jim Tile.
- Wypiłem tego ranka jakieś pięć litrów sanki i chyba zaraz pękne.
- Sikaj, gdzie chcesz, Gale.

Strażnik zgasił silnik i łódź zatrzymała się w ciszy na nieprzezroczystej, zielonej wodzie. Gale zdjął

kamizelkę ratunkową i odwrócił się skromnie, żeby oddać mocz z rufy. Prąd zakręcił lekką jak piórko łódką, ustawił ją bokiem i w tym samym momencie niefortunny podmuch wiatru zmienił tor złocistego strumienia, zdmuchując go na przód munduru Gale'a. Chłopak wrzasnął i niezgrabnie zasunął suwak.

- Jasna cholera. Tak nic z tego nie będzie. - Zapuścił silnik i wprowadził łódź między drzewa.

Wychodząc na brzeg, zaczepił stopą o pokryty pąklami korzeń i niemal się przewrócił. - Zaraz wrócę - oznajmił stanowemu policjantowi.

- Możesz się nie spieszyć, Gale.

Aby uniknąć nieprzyjemnych zakłóceń spowodowanych wiatrem, ochroniarz ruszył w głąb lasu i dopiero po przejściu jakichś dwudziestu metrów znalazł nareszcie odpowiednie miejsce, by rozpiąć spodnie. Był właśnie w połowie czynności - i sikał wspaniale jak ogier - gdy nagle usłyszał warkot zaburtowego silnika. Gale z wysiłkiem zatrzymał swoją potężną kaskadę, schował fiuta i pomknął ku brzegowi rzeki. Gdy dotarł na miejsce, łódki już nie było.

Jim Tile płynął w dół Steamboat Creek ze średnią prędkością. Ławica kielbi długości palca rozsypała się srebrnymi iskierkami przed dziobem. Za plecami słyszał, jak ochroniarz Gale wrzeszczy ochryple z brzegu rzeki. Miał nadzieję, że młody człowiek nie zrobi czegoś absolutnie idiotycznego i, na przykład, nie będzie próbował wracać na piechotę.

Płynąc wzdłuż rzeki, przyglądał się uważnie obu jej brzegom. Nie oczekiwał, że znajdzie jakiś ewidentny trop - flotyła poszukiwawcza pływała już tędy tam i z powrotem i nie znalazła niczego. Jim Tile wiedział, że jego przyjaciel będzie starał się nie zostawiać śladów. Zdjął kamizelkę ratunkową i sięgnął za pazuchę koszuli, gdzie ukrył brązową kopertę. Wyjął wglądówkę stykową i ponownie spojrzął na kadr trzydziesty szósty.

Fotografię zrobiono w chwili, gdy aparat był bezsensownie skierowany w dół, jakby spust migawki przyciśnięto zupełnie przypadkowo. Poza tym zdjęcie było niedoświetlone i nieostre. Tile mógł na nim rozpoznać skrawek wody, pęd mangrowca o trzech końcach i - zatkniętą na ten przypominający trójząb korzeń - puszkę po napoju gazowanym. Chyba po schweppsie.

Piwie imbirowym Schweppsa - chyba najbardziej nieprawdopodobnym ze wszystkich napoi.

To przynajmniej było już coś. Jim Tile zaczął wypatrywać puszek i znalazł ich mnóstwo. Po dietetycznej coli, pepsi, dietetycznej pepsi, mountain dew, dr pepper, orange crush, budweisera, buscha, colta 45, micheloba - widok był odrażający. Ludzie są strasznymi flejtuchami, pomyślał policjant, skoro zaśmiecają takie cudowne i dziewicze miejsce. Któż może być w tak niewybaczalny sposób pozbawiony szacunku dla dzieła boskiego stworzenia? Jim Tile wyrastał w okolicy, gdzie na ziemi więcej było tłuczonego szkła niż trawy, ale jego matka spralaby go po chudym tyłku, gdyby przyłapała go, jak wyrzuca puszkę po napoju gdzie indziej niż do pojemnika na śmiecie...

Policjant przesunął do tyłu manetkę gazu i teraz łódka niemal nie pozostawiała za sobą śladu na wodzie. Halsował tam i z powrotem przez rzekę, podnosząc pływające puszki za każdym razem, gdy je zobaczył - łatwo widoczne, lśniące w jaskrawym słońcu. Ale nigdzie nie było schweppsa. Jim Tile czuł się idiotycznie, podążając tak słabym tropem - doskonale wiedział, że woda poroznosiła wszędzie pływające śmiecie. A jeżeli przyływ był zbyt wysoki, przypominający trójząb mangrowiec znalazłby się pod powierzchnią i stałby się niewidoczny. Policjant zmiął wglądówkę i wetknął ją do kieszeni.

Wciąż jednak uważnie przyglądał się brzegom i odruchowo zbierał inne puszki, butelki i papierowe kubki. Wkrótce wewnątrz jego łodzi zaczęło przypominać ciężarówkę do wywozu śmieci. Płynął właśnie długim zakolem rzeki, gdy coś przyciągnęło jego uwagę - nie była to puszka po piwie imbirowym ani pęd mangrowca o trzech zakończeniach, ale plama od kanarkowej farby. Pojawiła się niczym dyskretna strzałka za kępą rurkowatych łodyg, niecały metr nad linią brzegu, w miejscu, gdzie ktoś ciągnął w stronę drzew coś ciężkiego i jaskrawo pomalowanego. Być może kanadyjkę.

Jim Tile przycumował dziób łódki, podwinął spodnie i zdjął buty. Zszedł do wody i ruszył ostrożnie w stronę gęstwiny drzew. Jego lewa stopa natrafiła na coś gładkiego i metalicznego. Była to puszka schweppsa z fotografii, utrzymywana pod powierzchnią przez pazury mangrowców. Policjant ruszył do przodu, czując, jak podeszwy jego stóp kaleczą się o korzenie i kawałki połamanych skorup małży. Wciąż ślizgały mu się nogi i dwa razy omal nie upadł na twarz. Jim Tile zdawał sobie sprawę, że hałasuje jak stado pijanych bawołów, ale ani przez chwilę się nie łudził, iż uda mu się niepostrzeżenie podkraść do gubernatora. Byłoby to niemożliwe nawet na suchym gruncie.

Drzewa rosły coraz mniej gęsto i policjant znalazł zbielałą kamienistą grań, która doprowadziła go do brzegu płytkiego, sprawiającego wrażenie zabarwionego garbnikiem jeziora. Uświadomił sobie, że wszedł na teren federalnego rezerwatu krokodyli, usiadł więc, stracił z kostek u nóg pająki i zaczął się zastanawiać nad praktycznymi granicami przyjaźni.

Jim Tile był spragniony, wyczerpany oraz niezłe podrapany i wcale nie uważał się za miłośnika drapieżnych gadów. Wstał ogarnięty ponurą determinacją. Kołyszając się na obolałych stopach, przyłożył obie dłonie do ust.

- HEJ! - krzyknął ponad jeziorem. - TO JA!

Wysoko nad głową pisał samotny rybołów.

- JESTEM ZA STARY NA TAKIE GÓWNO! - zawołał.

Nic.

- SŁYSZYSZ MNIE? CHOLERNE KROKODYLE... UWAŻASZ, ŻE TO ZABAWNE? MAM ŻONĘ, GUBERNATORZE! MAM SWOJE OSOBISTE OBOWIĄZKI!

Policjant krzyczał co sił w płucach.

- WYŁAŻ, CZŁOWIEKU! MÓWIĘ POWAŻNIE! POWAŻNIE JAK PIEPRZONY ATAK SERCA! WYŁAŻ! Jim Tile nabrał powietrza i usiadł. Objął rękami kolana i oparł na nich głowę. Udusiłby człowieka za kroplę ciepłego piwa imbirowego. Potem rozległ się wystrzał, a po nim drugi, trzeci i czwarty. Policjant wstał i uśmiechnął się.

- Melodramatyczny sukinsyn - powiedział.

Mężczyzna, na którego poszukiwanie wysłano Jima Tile'a, liczył sobie obecnie prawie sześćdziesiąt lat, ale wciąż trzymał się zdumiewająco prosto i miał potężne bary. Ostłonięta cienkim plastikowym czepkiem kąpielowym czaszka była świeżo ogolona i lśniła jak różowe jajo. Miał na sobie kilt i niewiele więcej, kilt był wykonany z kraciastej flagi z wyścigów samochodowych. „Jiffy Lube 300” - powiedział mężczyzna. „Właściwie, to ją ukradłem”. Nie zadał sobie jednak trudu, by wyjaśnić pochodzenie swej broni, karabinka AK-47.

Mężczyzna zapuścił siwą brodę w taki sposób, że tworzyła dwa przedziwne kosmyki wyrastające z policzków. Opadały mu aż na szeroką, opaloną

pierś niczym pędy winorośli i były tak precyzyjnie zaplecione, że Jim Tile zastanawiał się, czy to nie dzieło kobiecej ręki. Do końca każdego kosmyka umocowane były zakrzywione dzioby jakichś dużych ptaków. „Sępy” - poinformował mężczyzna. „I to wielkie skórkojady”. Jego krzaczaste brwi były ściągnięte w dobrze znanym Tile'owi grymasie dezaprobaty. Udało mu się gdzieś zdobyć nowe szklane oko. Miało szkarłatną barwę i wyglądało wspaniale jak świeżo zakwitły hibiskus. Jim Tile uznał, że uzyskany efekt jest rozbrajający i nieco niesamowity.

Jednooki mężczyzna w kilcie był swego czasu popularną i znaną w całym kraju postacią, bohaterem wojennym, który przekształcił się w politycznego krzyżowca - zuchwałego, nieprzekupnego i tym samym oczywiście skazanego na klęskę. To właśnie Jim Tile prowadził limuzynę, która po raz ostatni uwoziła tego człowieka z gubernatorskiej rezydencji, z Tallahassee, od nadciągającego wybuchu szaleństwa. To Jim Tile przewiózł go - swojego perorującego przyjaciela - na polityczne odludzie i przez ponad dwadzieścia lat udawało mu się śledzić jego poczynania, czuwać nad nim i powstrzymać go, gdy zachodziła taka potrzeba.

Policjant starał się, jak mógł, ale od czasu do czasu następowały nieuniknione eksplozje. Strzelaniny. Podpalenia. Niszczenie własności. A nawet zabójstwa - tak, jego przyjaciel od chwili opuszczenia Tallahassee zabił kilku ludzi. Jim Tile był tego pewien. Był jednak w równym stopniu pewien, że ludzie ci musieli zachowywać się bardzo źle i że postępowanie Clintona Tyrona najlepiej osądzi sam Pan Bóg. Dzień ten nadejdzie może już wkrótce. A tymczasem Jim Tile pozostanie niezmiennie lojalny człowiekowi znanemu obecnie jako Skink.

- Jak się ma twoja piękna małżonka?

- Doskonale - odparł policjant.

- Wciąż lubisz przypalone steki? - Był gubernator pochylał się nad prymitywną jamą na ognisko, a płomienie trzepotały niebezpiecznie blisko loków jego brody.

- Co jest na dziś wieczór w jadłospisie? - zapytał Jim Tile. Było to niezwykle istotne pytanie - obyczajowe konsumpcyjne jego przyjaciela można by określić mianem wyjątkowo eklektycznych.

- Pierwszorzędny filet z lamy.

- Lama - rzekł z namysłem policjant. - Czy w ogóle powinienem pytać?

- Do miasta przyjechał cyrk. Przysięgam na Boga w niebiesiech, to autentyczna prawda.

-Aha.

- To wcale nie to, co myślisz - oświadczył Skink. - Biedactwo spadło z Pochylni ciężarówki i złamało obie przednie nogi. Dziewczyna, która jest właścicielką zwierzaka, nie miała serca sama skrócić jego męczarni.

- Wyobrażam to sobie.

- Wyświadczyłem więc jej tę uprzejmość. A poza tym wiesz, co myślę na temat marnowania mięsa.

- Co u licha robiłeś w cyrku? - spytał Jim Tile.

Skink uśmiechnął się i był to ten sam poranny uśmiech idola, dzięki któremu go wybrano.

- Romans, poruczniku. Nie potrwał długo, ale był przez jakiś czas nader cudowny.

- Ona zaplotła ci brodę?

- Tak jest. Podoba ci się? - Skink pogłaskał się po bujnych srebrzystych splotach. - Dzioby były moim akcentem. Są nowe.

- Zauważyłem.

- Miałem maleńką sprzeczkę z tymi dwoma ptakami. Zaczęły przejawiać niezdrowe zainteresowanie moją lamą.

Jim Tile pokręcił głową.

- Ale znasz przepisy dotyczące sępów. Są pod ochroną.

- Opierając się na moim doświadczeniu, muszę stwierdzić, że niezbyt skuteczną. - Skink odwrócił steki na patelni i cofnął się od ogniska. Rogiem kiltu wytarł gorący tłuszcz, który prysnął mu do szklanego oka.

- Jesteś tu w związku z Japończykami, prawda?

- Nie - odparł policjant - ale mnie to interesuje.

- Wiesz, dla kogo oni pracowali? Dla MatsibuCom. Tych chciwych, niszczących lasy i zatruwających rzeki skurwysynów. Ale to silne małe dranie, co do jednego, nawet damy. Kanadyjki z włókna szklanego są cięższe, niż przypuszczasz, Jim. Nieśli je na ramionach przez ponad trzy kilometry, Jim, często przez dość gęste poszycie.

- Co właściwie zrobiłeś tym ludziom, gubernatorze?

- Nic. Rozmawialiśmy. Wędrowaliśmy. Zrobiliśmy sobie przejażdżkę. Skosztowaliśmy kotletów z lamy. Pokazałem im też parę widoków. Młodego tysego orła. Wylęg motyli. Małe krokodylki. - Skink wzruszył ramionami. - Sądzę, że rozszerzyłem im horyzonty.

- Po powrocie nie mieli wiele do powiedzenia.

- Liczyłem na to, że tak będzie. Wyjaśniłem im, jak bardzo cenię sobie swoją prywatność. Hej, do picia mamy jedynie starą dobrą ha dwa o. W porządku?

- Doskonale - odparł Jim. Eks gubernator był dzisiaj wyjątkowo rozmowny. - Miło, że znalazłem cię w dobrym nastroju.

- To ostatnie przebłyski, przyjacielu - oświadczył tęsknie Skink. - Miała cyrkowy pseudonim Kobieta Guma. Mówili, że potrafiła się wyginać w miejscach, których inne kobiety nawet nie mają. Rozśmieszała mnie, Jim. - Doszedłem do stanu, kiedy liczy się to bardziej niż... no cóż, niż co innego. Co oznacza, że zaczynam się robić albo naprawdę stary, albo naprawdę sprytny. Czy Brenda cię rozśmiesza?

- Cały czas.

- To fantastyczne. A teraz może byśmy się zamknęli i coś zjedli.

Dobrze wysmażone steki z lamy smakowały wspaniale. Po lunchu Skink chwycił swój karabinek szturmowy i poprowadził policjanta szybkim krokiem słabo widoczną ścieżką obok porzuconego ringu do walk kogutów i przez drogę miejscową nr 905 do swojego nowego stałego obozu. Rozbił go w cieniu baldachimu mangrowców w takiej odległości od oceanu, że słychać było jego szum. Nie było tu żadnego namiotu, stał natomiast autentyczny dodge o numerze 77 z wyścigów NASCAR - błękitny i złoty od zderzaka do zderzaka, oklejony barwnymi nalepkami: Purolator, Delco, Firestone, Rain-X, Autolite, Bose, BelSouth, Outback Steak House, Sudafed i tak dalej. Gubernator spostrzegł, że Jim gapi się na samochód, i powiedział:

- To z tego obrzydliwego toru wyścigowego w Homestead. Wydali na niego pięćdziesiąt milionów z pieniędzy podatników. Wóz jest stamtąd.

- Zwinąłeś go.

- Oczywiście.

-Ponieważ...

- Ten przeklęty hałas, Jim. Słyhać go aż zza Card Sound. Wywoływał u mnie koszmarnie migreny... wiesz, jak na nie cierpię.

Oszołomiony policjant obszedł dookoła skradziony samochód wyścigowy.

- To tylko karoseria - wyjaśnił Skink. - Bez silnika i skrzyni biegów.

- W takim razie jak ci się udało?

- Była na osiemnastokołowej przyczepie. Załoga zaparkowała ją po wyścigu za „Mutineerem” - pewnie chodziło o koks, chociaż przypuszczam, że byli wystarczająco dobrzy, żeby wygrać. Powiesili kraciastą flagę na antenie CB, niech Bozia ma w opiece ich burakowe serduszka. - Skink przerwał i z podziwem popatrzył na swój nowy kilt. - W każdym razie obecnie syjam w samochodzie.

Kradzież samochodu była kolejną rzeczą, o której Jim Tile wolałby nie wiedzieć.

- A gdzie jest ciężarówka? - zapytał niepewnie.

- Dalej nad brzegiem w stronę opuszczonego portu jachtowego. Trzymam tam wszystkie swoje książki poza Grahamem Greenem. Z nim zawsze wędruję. - Skink oparł tyłek o lśniąca maskę dodge'a z NASCAR. Leniwie bawił się sępimi dziobami na końcu brody. - No to przekaż mi złe wiadomości, Jim. Policjant spojrzał mu prosto w oczy.

- Chcą, żebyś wytropił człowieka. Jakiegoś młodego szajbniętego chłopaka, który kryje się gdzieś w dziczy. Wydaje się, że przypomina im młodego Clintona Tyree.

- Oni, czyli kto?

- Nasz obecny gubernator, czcigodny Dick Artemus.

- Nigdy o nim nie słyszałem - parsknął Skink.

- No cóż, on słyszał o tobie. Chce się kiedyś z tobą spotkać.
Skink roześmiał się na całe gardło. Policjant ciągnął dalej:

- Chłopak, którego chcą, żebyś znalazł, próbuje nie dopuścić do budowy nowego mostu.
- Przypuszczam, że jakoś się nazywa.
- Nie wiadomo jak.
- Gdzie stawiają ten most?
- W miejscu zwanym Ropuszą Wyspą, nad zatoką. Chłopak porwał psa jakiegoś ważnego faceta, dupkowatego przyjaciela gubernatora. A teraz kumpel gubernatora otrzymuje kawałki psa za pośrednictwem Federal Express.

Brwi Skinka uniosły się wysoko ku górze.

- FedEx? To zależy od rozmiarów zwierzęcia, ale taka zabawa może trochę kosztować.
- Słyszałem, że to labrador. - Jim Tile wziął manierkę przyjaciela i wypił łyk wody. - Rzecz w tym, że gubernatorowi Artemusowi zależy na wybudowaniu tego mostu...
- Obchodzi mnie to...
- ...i chce, abyś wytropił i zatrzymał tego chorego psychicznie chłopaka najszybciej, jak ci się uda. Proszę, nie patrz na mnie w ten sposób.
- Nie jestem żadnym cholernym łowcą nagród - oznajmił Skink.
- Zdaję sobie z tego sprawę...
- A poza tym nie odróżniłbym Dicka Artemusa od hemoroidów słonia. Gównu mnie on obchodzi i tak samo gównu mnie obchodzi ten jego most, chociaż nie podoba mi się sprawa z obcinaniem psich członków. A teraz... - Skink zsunął się z maski samochodu wyścigowego — możesz wrócić do Tallahassee, mój wielki murzyński przyjacielu, i przekazać gubernatorowi, aby się na moją prośbę pieprzył - osobiście i bez oliwy.
- Nie tak szybko. - Policjant sięgnął pod koszulę i wydobyl wilgotną od potu kopertę. - Powiedział, żebym ci to przekazał. Uważa, że jeśli się z tym zapoznasz, możesz zmienić zdanie. Obawiam się, że ma rację.
- Co to jest, u diabła?
- Sam zobacz.
- Zerknąłeś?
- Oczywiście - odparł Jim Tile.

W kopercie znajdowała się pojedyncza kartka papieru, na której czcigodny Richard Artemus nader rozsądnie nie umieścił swojego nazwiska-Mężczyzna zwany Skinkiem dwukrotnie w milczeniu przeczytał list. PoteC podniósł wzrok i powiedział:

- Ten skurwiel może blefować.
- Może...
- Z drugiej strony... - Skink odwrócił się i przez moment patrzył przez mangrowce w kierunku odgłosu fal rozbijających się o korale. - Niech to diabli, Jim.

-Tak.

- Nie widzę innego rozwiązania poza zrobieniem tego.
- Żadnego, z którym mógłbyś potem żyć. Zgadzam się.
- I co teraz?
- Zaprowadź mnie z powrotem tam, gdzie zacumowałem tę łódkę. Popłynę do Ocean Reef i wykonam kilka telefonów. A potem dziś wieczorem spotkamy się koło Last Chance, powiedzmy o dziesiątej.
- Dobra. - Skink nagle zaczął sprawiać wrażenie starego i zmęczonego.

Przewiesił AK-47 przez ramię i poprawił czepek.

- Mam wrażenie - powiedział Jim Tile - że będziesz miał dzisiaj jeszcze jednego nieproszonego gościa. To taki tłustodupy ochroniarz o nazwisku Gale. Zgubił się i będzie spragniony, zmordowany i wściekły jak diabli na pewnego zwariowanego czarnego gliniarza, który zostawił go na brzegu Steamboat Creek. Poza tym jest w gruncie rzeczy nieszkodliwy.
- Doprowadzę go do drogi.
- Będę wdzięczny, gubernatorze.

W drodze powrotnej obaj mężczyźni natknęli się na dorosłego krokodyla z czaplą w pysku. Zwierzę leżało w trzcinach na brzegu słonawego jeziora, a jego potężny żąbkowany ogon zagradzał Skinkowi drogę. Były gubernator zatrzymał się i gestem ręki polecił policjantowi, by zrobił to samo. Żadnemu z mężczyzn nie przyszło nawet do głowy, że mógłby użyć broni. Gad pożerał wspaniałego, długonogiego ptaka, rozsiewając pióra na wszystkie strony, a oni czekali z szacunkiem na koniec tej sceny.

- Smutny widok - szepnął Skink - ale zarazem piękny. Ponieważ nikt się w to nie wtrącał - ani ty, ani ja, ani nikt z pozostałych sześciu miliardów egoistycznych przedstawicieli naszego gatunku.
- Uczciwie mówiąc, nawet bym o tym nie pomyślał.

Jim Tile poczuł ulgę, gdy krokodyl ześlizgnął się z błotnistej brzozy do jeziora. Dwadzieścia minut

później obaj mężczyźni dotarli do łodzi. Skink Przytrzymał ją, by ułatwić policjantowi wsiadanie. Silnik wystygł i zaskoczył dopiero po piątym pociągnięciu. Skink wyprowadził dziób spomiędzy mangrowców i popchnął go lekko.

- Zobaczymy się wieczorem - rzucił na pożegnanie.

Poczekaj, jeszcze jedno - powiedział Jim Tile. Silnik kaszlnął i zgasł, ż zaczęła dryfować, bardzo powoli.

~ Powiesz mi później, Jim - oznajmił Skink.

- Nie, muszą to zrobić teraz. Artemus twierdzi, że ktoś inny także poluje na tego chłopaka. Ktoś zły.

- Wyobrażam sobie.

- No cóż, powinieneś o tym wiedzieć. - Policjant pomachał ręką. – Punkt dziesiąta?

Skink skinął ciężko głową.

- Razem z dzwonkiem. - Pochylił się, zdjął puszkę po schweppsie z korzenia i rzucił ją do wnętrza łódki, gdzie z brzękiem spadała na inne puszki.

Policjant roześmiał się. „Ładny strzał”. Szarpnął sznur startera i silnik z czkawką obudził się do życia.

Skink stał na brzegu, bawiąc się dwoma sępimi dziobami.

- Jim, przepraszam. Słowo daję.

- Za co, gubernatorze?

- Za wszystko, co nastąpi - wyjaśnił. - Z góry przepraszam.

A potem odwrócił się i chlupocząc, ruszył między drzewa.

Zgodnie z umową gubernator Dick Artemus zawetował w budżecie stanowym całe dwadzieścia siedem milionów siedemset tysięcy dolarów, odłożonych na „modernizację mostu i drogi do Ropuszej Wyspy-Wyspy Bu-rzyków”. Wśród innych zablokowanych przez gubernatora pozycji znalazło się siedemnaście i pół miliona dolarów na budowę i promocję Pałacu Sławy Południowych Kręglarzy w Zolfo Springs, czternaście milionów dwieście tysięcy dolarów na „testy agronomiczne” techniki, pozwalającej usunąć genetycznie przypominające pępek wgłębienie w pomarańczach pępkowych, dwa miliony sześćset tysięcy dolarów na odbudowę Aqua Quake, atrakcji rozrywkowej symulującej fale przypiływu, będącej własnością wuja senatora stanowego i zniszczonej przez pożar, który wybuchł w podejrzanych okolicznościach, a także trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów na rozpoczęcie programu hodowlanego rozrodu zagrożonej wyginięciem salamandry różowobrzuchej. O ile wiadomo, zachowało się zaledwie siedem osobników (wszystkie samce). Dick Artemus posłużył się swoim prawem weta, aby wyeliminować z budżetu zobowiązania płatnicze na sumę ponad siedemdziesięciu pięciu milio; nów dolarów. Poza mostem na Ropuszą Wyspę wszystkie projekty złożyli demokraci. Wśród pozycji, których gubernator nie oprotestował, były liczne głupstewka zaproponowane przez kolegów republikanów. Znalazły się tam między innymi: kwota dwudziestu czterech milionów dwustu tysięcy dolarów na przeprojektowanie prywatnego pola golfowego w Sarasota, rzekomo po to, aby mogły się tu odbywać turnieje PGA - w rzeczywistości chodziło o to, by pójść na rękę prezesowi Komitetu Budownictwa Mieszkaniowego, który był właścicielem trzech świetnych działek wzdłuż czternastego stanowiska; kwota ośmiu milionów czterystu tysięcy dolarów na zakup opuszczonej plantacji pomidorów w okręgu South Dade, wycenionej hojną ręką na pięćset sześćdziesiąt jeden tysięcy dolarów, rzekomo w celu stworzenia niezmiernie ważnej strefy buforowej wokół Parku Narodowego Everglades, ale w rzeczywistości po to, by wzbogacić nieobecnych właścicieli owej plantacji, którzy szczerze zasilili stanowy komitet republikanów; kwota dziewiętnastu milionów stu tysięcy dolarów na ułożenie nawierzchni i poszerzenie do sześciu pasem ruchu drogi gruntowej prowadzącej do liczącego sto dwadzieścia sześć hektarów krowiego pastwiska w okręgu Collier, na którym to pastwisku miało stać w przyszłości - czego jeszcze nie ogłoszono publicznie - gigantyczne centrum handlowe, a cichymi współnikami firmy budowlanej byli: żona, szwagierka i siostrzenica republikańskiego przewodniczącego Kongresu.

O żadnym projekcie przeoczonej przez gubernatora Dicka Artemusa nie wspomniano w gazetach, ale o wetach napisano. Desie znalazła ich spis zamieszczony w wydawanym w Fort Lauderdale „Sun-Sentinel” pod nagłówkiem:

GUBERNATOR WYCINA 75 MILIONÓW DOLARÓW Z BUDŻETU I WYPOWIADA WOJNĘ POLITYCZNEMU „SZMALOWI”

Desie przeczytała artykuł Twilly’emu Spree w samochodzie.

- Możesz być szczęśliwy - powiedziała. - Dokonałeś tego. Most jest historią.

- Zobaczymy - odparł Twilly. Trzymał jedną rękę na kierownicy, a drugą wystawił przez okno i chwycił nią powietrze. Skinął głową, gdy Desie zapytała go, czy wciąż myśli o swoim śnie.

- Wiesz, co powiedziała ci psycholog? Że nastąpił u ciebie przełom.

- Wszystko jest możliwe. - Twilly nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego lub zmartwionego, wyglądał po prostu na pochłoniętego jakimiś myślami.

- Czy pamiętasz, co mi powiedziałeś? - spytała Desie.

- Tak.
- Dlaczego to powiedziałaś?
- Ponieważ się bałam.
- Czego? Dalszych snów?

Twilly uśmiechnął się.

- Nie, nie snów - zaprzeczył. Poprawił wsteczne lustro, żeby sprawdzić, jak się ma McGuinn, który jechał w skrzyni pikapa. - Sądysz, że jest mu tam dobrze?
- Och, on kocha takie życie - odpowiedziała Desie.
- Uważam, że powinien jechać razem z nami.
- Twilly, on jest w siódmym niebie.
- Ale jeżeli zaczniesz padać...
- To przecież labrador!
- Ale był chory. Nie powinniśmy go narażać.

Twilly zatrzymał się w zatoczce, przyprowadził McGuinna do szoferki i umieścił go pomiędzy sobą i Desie. Okazało się, że jest teraz bardzo ciasno, a na domiar złego pies puszczał co jakiś czas wiatry.

- To od psiej karmy - wyjaśniła Desie. - Ta o zapachu wątróbki jest najgorsza.

Twilly skrzywił się. Gdy tylko nadarzyła się możliwość, zjechał z autostrady i zatrzymał się w punkcie sprzedaży Buicka, gdzie wymienił pikapa na kombi roadmaster z 1992 roku. Cała transakcja zajęła dwadzieścia jeden minut. Twilly uregulował różnicę gotówką, którą odliczył ze zwitka wyciągniętego z dżinsowej kurtki. Desie przyglądała się tej operacji mocno zaintrygowana.

- To największy pasażerski pojazd rodzinny, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych - oświadczył Twilly, umieszczając McGuinna w ogromnej części bagażowej. - Teraz możesz sobie pierdzieć, ile chcesz.

I ruszyli dalej.

Desie już chciała zapytać Twilly'ego, skąd ma pieniądze, ale uznała, że nie ma to znaczenia. Wiedziała, że nie mógł obrabować kościoła, i w dalszym ciągu nie miała ochoty wracać do domu. Rozumiała go wcale nie lepiej niż samą siebie, ale nie wiadomo czemu, było jej z nim dobrze, czuła się przy nim odprężona i spokojna. Niekiedy widziała, że zerka na nią kątem oka, i było to spojrzenie, jakim nie patrzył na nią dotąd żaden mężczyzna: połączenie jawnego pożądania, przenikliwej ciekawości, a także smutku.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytała w końcu.
- Jaka jesteś piękna.
- Daj spokój, proszę.
- Dobrze. Jak bardzo chcę z tobą spać?
- Nie, Twilly. Jest coś więcej.
- Masz rację. Wciąż zapominam, jaki jestem skomplikowany. - Wciągnął wolno powietrze i splótł obie ręce na górnej części kierownicy. - Myślę o tym - oznajmił - jak bardzo chcę cię pragnąć.
- To już lepsza odpowiedź - powiedziała Desie. - Nie taka pochlebna jak inne, ale nieco bardziej oryginalna.

- A co będzie, jeżeli to prawda?
- I co, jeżeli czuję to samo? Twilly gwizdnął cicho.
- Dokładnie - rzekła.
- A więc oboje wypadliśmy z szyn.
- Można to tak określić, owszem.

Milczał przez kilka następnych kilometrów. W końcu oznajmił:

- To tylko do protokołu. Ja rzeczywiście chcę z tobą spać.
- Och, wiem o tym. - Desie usiłowała nie dać po sobie poznać, że sprawia jej to przyjemność.
- A co ty o tym sądzisz?
- Omówimy to później - odparła. - Kiedy będzie spał, sam wiesz kto. - Popatrzyła w stronę tylnej części samochodu.
- Pies? - zapytał Twilly.
- Pies mojego męża. Czulabym się głupio, robiąc to przy nim - oszukując jego pana.
- Przecież on liże sobie tyłek w naszej obecności.
- Tu nie chodzi o skromność, ale o poczucie winy. I pomówmy może o czymś innym - oznajmiła Desie.
- Na przykład: dokąd, u licha, jedziemy?
- Nie wiem. Po prostu trzymam się za tym samochodem.
- Dlaczego? - zainteresowała się Desie. Przed nimi jechał kobaltowy czterodrzwiowy lexus z numerami rejestracyjnymi z Michigan. - Czy mogę zapytać dlaczego?
- Ponieważ nic nie mogę na to poradzić - wyjaśnił Twilly. - Jakieś trzydzieści kilometrów temu wyrzuciła przez okno papierosa. Zapalonego papierosa. I to kiedy po obu stronach drogi są sosnowe lasy!

- A więc jest idiotką. I co z tego?

- Na szczęście papieros wpadł do kałuży. W innym wypadku mógłby spowodować pożar. Fajnie, pomyślała Desie. Podróżuję z Misiem Strażakiem. A głośno powiedziała:

- W porządku, Twilly, a więc wyrzuciła papierosa. I jedziesz teraz za nią, ponieważ...

W niebieskim lexusie jechała tylko jedna osoba, siedząca za kierownicą kobieta z niepokojąco naelektryzowaną grzywą kręconych włosów. Wyglądało na to, że gada przez telefon komórkowy.

- Często to robisz? - spytała Desie. - Śledzisz najzupełniej obce osoby?

- Lasy wyglądają na suche.

- Twilly, na świecie jest mnóstwo głupich ludzi i nie możesz wściekać się na nich wszystkich.

- Dziękuję, mamuśko.

- Proszę, nie siedź jej na zderzaku.

- Widziałas to? - pokazał Twilly.

Desie widziała. Kobieta w lexusie wyrzuciła przez okno kolejny dymiący niedopałek. Pięści Twilly'ego zacisnęły się na kierownicy, mięśnie na szyi sterczały mu jak sznury, ale na twarzy nie widać było nawet cienia złości. Desie najbardziej przerażał lodowaty spokój w jego oczach.

Usłyszała, jak mówi: „Założę się, że ten samochód ma wielki zbiornik paliwa”.

- Twilly, przecież nie możesz w taki sposób iść przez życie.

Wbijiała paznokcie w podłokietnik fotela. Byli w odległości zaledwie kilku centymetrów od tylnego zderzaka lexusa. Jeżeli ta idiotka dotknie hamulca, wszyscy zginą.

- Myślisz, że możesz zmienić tych ludzi? Sądzisz, że istotnie możesz ich czegoś nauczyć?

- Uważaj mnie za optymistę.

- Popatrz na nią, na litość boską. Ona jest w zupełnie innym świecie. W innej galaktyce.

Twilly stopniowo przesunął się na kilka długości samochodu do tyłu.

- Jestem specjalistką, pamiętasz? - powiedziała Desie. - Jestem żoną jednego z nich.

- I nigdy cię to nie wścieka?

- Twilly, doprowadza mnie to do szału. Dlatego jestem tutaj z tobą - oznajmiła. - Ale teraz tak mnie przestraszyłeś, że zaraz będę miała mokre majtki, więc bardzo cię proszę, zwolnij. Zapomnij o niej.

Twilly poprawił się niespokojnie w fotelu. Kobieta w lexusie wciąż nie miała o niczym pojęcia. Jej spowita dymem kudłata głowa kiwała się i podskakiwała w rytm rozmowy przez telefon.

- Proszę. - Desie dotknęła jego nadgarstka.

- Dobra.

Zdjął nogę z gazu. Kobaltowy lexus zaczął się oddalać, ale w tym samym momencie z okna wyleciała puszka po spricie i potoczyła się w zarośla. Desie westchnęła, zrezygnowana. Twilly wdusił pedał gazu i kombi skoczyło do przodu. Znowu zbliżył się na odległość kilkunastu centymetrów do tylnego zderzaka, tym razem wciskając klakson.

- Jezu -jęknęła Desie. - Przecież mogę zobaczyć jej łupież.

- No cóż, sądzę, że wreszcie zdaje sobie sprawę z naszego istnienia.

Kobieta w lexusie z niepokojem majstrowała przy wstecznym lusterku, które oczywiście było nachylone tak, by mogła sobie poprawiać makijaż, a nie tak, żeby mogła obserwować drogę za sobą.

- Chwila prawdy - oświadczył Twilly.

- Błagam cię - powiedziała Desie. Jadąca przed nimi idiotka za kierownicą rozpaczliwie miotła swoim lexusem po całej jezdni.

Twilly miał teraz tęskną minę.

- Sama przyznaj - powiedział do Desie. - To byłby wspaniały widok. Jej samochód stoi w płomieniach, a ona skacze wokół niego jak świerszcz przy ognisku i drze się do tego cholernego telefonu...

- Nie rób tego - poprosiła Desie.

- Ale sama widzisz, prawda? Że taka myśl może owładnąć człowiekiem - po tym, co ona zrobiła?

- Tak, rozumiem. Ja też jestem wściekła. - Mówiła prawdę. I musiała przyznać, że scena opisana przez Twilly'ego nie byłaby tak zupełnie nieprzyjemna. Ale, mój Boże, to przecież szaleństwo...

Lexus zaczął zwalniać i to samo zrobił Twilly. Kędzierzawa kobieta niezgrabnie skręciła na pobocze, rozrzucając wokół żwir. Desie czuła, jak puls łomocze jej w skroniach, a w ustach ma suchą glinę. Samochód zadrżał, gdy Twilly kilkakrotnie wcisnął hamulec. McGuinn podniósł się, licząc na to, że pójdzie na spacer.

Roadmaster zatrzymał się obok lexusa. Kobieta kulila się za kierownicą. Miała ogromne prostokątne okulary przeciwsłoneczne, które oszczędziły Desie widoku jej przerażonych oczu.

Twilly spoglądał wściekle na kobietę, ale nagle odwrócił się. Desie widziała, jak głęboko nabiera powietrza w płuca. Ona sama wstrzymywała oddech.

Nagle, ku swemu zaskoczeniu, zorientowała się, że kombi jedzie dalej.

- Może innym razem - powiedział cicho Twilly.

Desie pochyliła się w jego stronę i pocałowała go.

- Wszystko w porządku - oznajmiła.
- Kochanie, gdzie jest kompakt z Tomem Pettym?
- Tutaj.

Poczuła pęd powietrza, gdy Twilly pomknął wielkim samochodem w stronę międzystanówki. Nastawił głośniej muzykę.

- Z jedną nogą w grobie - śpiewał.
- A drugą na pedale gazu - wtórowała mu Desirata Stoa. Była szczęśliwa, że jest z mężczyzną, który dobrze pamięta słowa.
- To wszystko twoja wina - powiedział Robert Clapley.
- Słucham?
- Dałeś mi to gówno.

Po pierwsze - odparł Palmer Stoa - miałeś go użyć ty, a nie dziewczyny - Takie, moim zdaniem, jest zastosowanie sproszkowanego rogu nosorożca, Bob. To środek stymulujący dla mężczyzn. Po drugie, jedynie patentowany dureń go pali - trzeba go mieszać z drinkiem. No wiesz, jak nutrasweet.

Stali w drzwiach do głównej sypialni w mieszkaniu Clapleya w Palm Beach. Śmierdziało tu czosnkiem, haszyszem i skwaśniałym potem. Całe pomieszczenie było zdemolowane. Popękane lustro wisiało krzywo, wielki materac leżał na podłodze, jedwabne prześcieradła tworzyły lepki kłęb. Ściany nad wezłowiec były pokryte tłustymi śladami fragmentów dłoni, stóp i pośladków.

- Pieprzona oliwa z oliwek - burknął Robert Clapley. - I naprawdę mam na myśli pieprzoną oliwę z oliwek.

- Co one brały poza proszkiem z nosorożca? - spytał Stoa.
- Hasz, ecstazy, Bóg raczy wiedzieć... Żeby wejść do ich łazienki, musiałbyś włożyć skafander kosmiczny - Clapley roześmiał się ponuro. - Jakiś dupek, którego spotkały w kurorcie, przysłał trochę quaaludesów. Kiedy po raz ostatni widziałeś prawdziwy quaalude, Palmerze? Tego gówna nie znajdziesz nawet w muzeum farmacji.

Obaj mężczyźni podeszli do okna w wykuszu, wychodzącego na taras, gdzie Katia i Tisz leżały naprzeciwko siebie z zamkniętymi oczyma w jacuzzi. Dzisiaj nie bardzo przypominały lalki Barbie, ale raczej przechodzone ćpunk. Istotnie, były tak opuchnięte, pokryte plamami i mało apetyczne, że Palmerowi Stoaowi zrobiło się prawie żal Roberta Clapleya - prawie, ale nie do końca. Ostatecznie to ten sam fiut nazwał go gównojadem, ten sam fiut groził mu i sprowadził do jego domu tego świra, Głowę Jeżozwierz. Dlatego też Stoa nie mógł w pełni współczuć Clapleyowi z powodu jego trudnych przeżyć.

- Jak teraz stoi sprawa, Bob? Pomędzy tobą a bliźniaczkami.
- Wisi mi, a nie stoi - odparł Clapley. Nerwowo zacisnął mocniej pasek szlafroka. Stoa zauważył strupek na płatku ucha - w miejscu, gdzie poprzednio był brylantowy kóleczek.
- Sytuacja wygląda tak. Ostatnich parę dni było dziką, naprawdę seksowną aferą - oznajmił Clapley. - Prawdę mówiąc, z proszku z nosorożca nie miałem żadnej cholernej pociechy i tylko zepsułem sobie dobrego burbona. Ale dziewczyny, Palmer, pomyślały, że to jakieś prochy z superdoładowaniem...

- Ale i tak były nawalone.

- Chodzi o to - rzekł Clapley, unosząc dłoń - iż one sądzą, że to proszek z nosorożca dał im ten wielki mokry haj. Wierzą w to, Palmer, a dziewięćdziesiąt procent działania prochów to wiara w nie. A one nie są - pozwól, że ci przypomnę, partnerze - one nie są najbardziej wyrafinowanymi damami, jakie spotkałeś w życiu. Uciekły z nudnego, zimnego, nędznego miejsca i znalazły się na pięknej, słonecznej, południowej Florydzie, czyli w raj. Tutaj wszystko powinno być nowe i podniecające. Wszystko powinno być lepsze. Nie tylko pogoda, ale również prochy, fiut i przyjęcia. Całość.

Przez barwione szkło Stoa przyglądał się dwóm nagim kobietom w wannie, ich okrągłym implantom, sterczącym z wody jak lśniące boje portowe. Jaskrawe słońce oświetlało ich twarze, obrzmiałe powieki, obrzmiałe wargi-

Wilgotne, zbite włosy dziewczyn wyglądały jak kępki blond wodorostów -ciemne odrosty wskazywały, że nadeszła pora na poprawkę tlenienia.

- One chcą więcej - powiedział Clapley.
- Zużyły wszystko?

Clapley ponuro skinął głową.

- A teraz chcą jeszcze.
- Bob, to gówno jest wyjątkowo trudne do zdobycia.
- Mogę sobie wyobrazić.
- Nie, nie możesz. Nie masz pojęcia.

- Problem polega na tym, że w przyszłym tygodniu powinny mieć zrobione podbródki - oznajmił Robert Clapley. - Uzgodniłem, że pierwszą klasą przyleci z Sao Paulo najlepszy na świecie spec od podbródków. Ale dziewczyny - niech to do ciebie dotrze - z samego ranka oświadczyły: „Żadnego seksu,

żadnych operacji i żadnych ciuchów Barbie, dopóki nie dostaniemy proszku nosorożca". Tak to nazywają: proszek nosorożca.

- Jak cudownie - rzekł Palmer Stoał, głaszcząc własny, artystycznie wyrzeźbiony podbródek. - Mam ci coś poradzić, Bob? Deportuj te nie wdzięczne baby prosto do ich krajów, a potem zajmij się własnym życiem.

Clapley sprawiał wrażenie człowieka, który cierpi.

- Nie rozumiesz. Mam wobec nich swoje plany. Mam harmonogram.

- Bob, zawsze możesz znaleźć nowe Barbie, które wejdą po twoich schodkach do nieba. Floryda jest ich pełna.

- Ale nie takie. Nie bliźniaczki.

- Ale przecież one nie są prawdziwymi bliźniaczkami, na litość boską...

Robert Clapley schwycił go za ramię.

- Za dużo w to zainwestowałem, Palmerze. I nie tylko czas oraz pieniądze. To dla mnie bardzo ważny projekt. One - ruchem głowy wskazał wannę z gorącą wodą - są dla mnie ważne.

Projekt, pomyślał Stoał. Jak udoskonalone Chevy.

- Boże Narodzenie - mówił dalej Clapley. - Trzymamy się harmonogramu, zgodnie z którym powinny być gotowe na święta - wszystko, od czubków głów do palców u nóg. Jesteśmy już tak blisko.

- To dziwki, Bob. Zrobią wszystko, co im każesz.

- Już nie. - Clapley odwrócił się gwałtownie od okna. - Bez proszku nosorożca nic z tego nie będzie.

Palmer Stoał przeszedł za nim do salonu.

- Wykonam parę telefonów - powiedział. - Ale nic nie mogę obiecać.

- Dziękuję. - Clapley opadł w miękki fotel.

- Ale nie biorę odpowiedzialności za to, co może się zdarzyć. Pałac to świństwo, mogą się przekreślić. Mogą ci paść trupem prosto przed nosem. Skąd im przyszedł do głowy taki kretyński pomysł?

- Pewnie widziały coś podobnego w telewizji. Z jakiegoś powodu po stanowiły nabić tym gównem fajkę. Ciągnęły je ze szklanej fajki. Potem zaczęły mi ciągnąć...

- Dosyć. Wyobrażam to sobie.

- Potem pojawił się Kurortowy Chłopak i one ciągnęły jemu, a on im... - Clapley kłapnął zębami. - Och, to był regularny, tropikalny festiwal ciągnięcia, Palmer. Powinieneś tu być.

- Serdeczne dzięki. Miałem swoje własne rozrywki.

- Tak? - Clapley uśmiechnął się obleśnie, ale niezbyt szczerze.

- O tym właśnie muszę z tobą pomówić. O psim porywaczu.

- Co znowu?

- Przesłał mi łapę - odparł Stoał. - W pudełku po kubańskich cygarach.

- Żebyś miał komplet z uchem? - mruknął Clapley. - Człowieku, to ponure.

- Jest coś jeszcze, Bob. Porwał moją żonę.

- Wciąż...? Myślałem... Czy nie mówiłeś mi, że ją wypuścił?

- Owszem - rzekł Stoał. - Ale zabrał ją znowu.

- Jak, na litość boską?

- Kto to może wiedzieć? Rzecz w tym, że z całą pewnością mi jązabrał.

- I psa?

- Tak jest.

- Cholera. - Clapley sprawiał wrażenie wstrząśniętego. - Co za chory, pieprzony świat. Chory, chory, chory.

- A skoro już o tym mowa - oznajmił Palmer Stoał. - Ten twój czarujący pan Gash... gdzie on może być, Bob?

- Według ostatniej informacji na Wyspie Burzyków. Poluje na tego świra psiego porywacza.

- Odwołaj go, proszę - powiedział Stoał.

- Dlaczego?

- Nie chcę, żeby znalazł się w pobliżu mojej żony. Każ mu wrócić i poczekać, aż ten kaleczący szczeniaki szajbus ją wypuści.

- A co będzie, jeżeli jej nie uwolni?

- Zrobi to - zapewnił Stoał. - Gubernator Dick zawetował twój most za dwadzieścia osiem milionów dolarów. Napisali o tym w dzisiejszych porannych gazetach.

Był to bardzo bolesny temat dla Clapleya.

- Masz cholerne szczęście, że jeszcze żyjesz - przypomniał Palmerowi.

- Wiem, wiem. Rzecz w tym, że ten porywający psy facet żądał tylko tego - weta. A więc teraz przypuszcza, że wygrał.

Clapley zaczął się wiercić niecierpliwie.

- A ty uważasz, że na słowie tego gościa można polegać? Jakiś porąbany czubek wysłał ci pocztą

kawałki twojego pieska - a ty mu ufasz?

- Posłuchaj, chcę tak samo jak ty, żeby zniknął. Gdy tylko Desie będzie wolna, pan Gash może zrobić swoje, a ty ruszysz z pracami na Wyspie Burzyków. Proszę cię tylko o kilka dni. Aż znajdzie się w domu cała i zdrowa.

- I pies również? - zapytał Clapley. - Czy może powinienem powiedzieć, to, co z niego zostało?

Stoat zignorował docinek.

- Kiedy pan Gash zazwyczaj się melduje?

- Kiedy może poinformować o jakichś wynikach.

- Gdy następnym razem zadzwoni...

- Zapewniam cię, że powiem mu o twoich niepokojach - rzekł Clapley. - A tymczasem będziesz mógł się zająć sprawą nabycia proszku nosorożca.

Stoat pokiwał głową.

- Jeżeli go znajdę, to nie będzie tani.

- A kiedy doskonałość bywa tania? - Clapley uśmiechnął się ze znużeniem. - Postaraj się najlepiej, jak umiesz, Palmerze.

Na zewnątrz na tarasie wybuchło jakieś zamieszanie. Clapley pobiegł w stronę drzwi, a Stoat za nim. Dwie Barbie walczyły w jacuzzi, zadając sobie nawzajem ciosy i wrzeszcząc w dwóch różnych językach. Gdy Clapley niezgrabnie wszedł do wanny z gorącą wodą, Palmerowi Stoatowi raz jeszcze mimo woli nasunęła się ponura refleksja: jakież to fatalne, niepokojące zmiany zaszły w jego własnym życiu. Stoi tu w palącym słońcu jak sługa eunuch, trzymając posłusznie jedwabny szlafrok człowieka - jego własnego klienta! - który wypchał obie kieszenie lalkami. Nie tylko lalkami, ale także maleńkimi ręcznymi lusterkami i zestawami makijażu, dołączył do tego również nawet szczotkę do włosów!

Stoat trzymał na dłoni miniaturową szczotkę, nie większą niż pasek den-tyny. Włosie było niezwykle delikatne, a rączka... - mój Boże, czy to możliwe? Stoat ze zdziwieniem przymrużył oczy. Perła!

Powoli podniósł wzrok i ponad ponurym kłębowiskiem wrzeszczących ciał w jacuzzi popatrzył na spokojny błękit Atlantyku. Co się dzieje z naszym krajem? - myślał smętnie. Co się dzieje ze mną?

Nie, pan Gash nie był cierpliwym człowiekiem. A Ropusza Wyspa okazała się niewypałem. Ani śladu chłopaka o fiutowatej twarzy, którego miał zamordować.

Po długich poszukiwaniach pan Gash znalazł znośny motel na stałym lądzie. Postanowił, że nie będzie dzwonił do Roberta Clapleya, ponieważ nie miał nic do zameldowania poza sprawą pijanego biologa, którego zastrzelił, a potem pochował, posłużwszy się koparką. Za to nie dostałby dodatkowych punktów.

Pan Gash wsiadł zatem w samochód i wrócił na Ropuszą Wyspę. Przez cały ranek jeździł tam i z powrotem po starym moście, odtwarzając na magnetofonie ulubiony zestaw: Snajperzy w miejscu pracy, z podłożonym akompaniamentem Trzeciej Symfonii D-dur Czajkowskiego.

DZWONIĄCY: To Tim! Tim z rampy! Całkiem mu odbiło! Strzela do wszystkich cholernych przełożonych!

DYSPOZYTORKA: Jak się nazywasz, Tim?

DZWONIĄCY: NIE JESTEM TIMEM! Tim strzela!

DYSPOZYTORKA: Mówisz, że ma broń?

DZWONIĄCY: Do cholery, tak! Ma PIĘĆ pistoletów! Lepiej przyślijcie tu szybko jakichś gliniarzy!

DYSPOZYTORKA: Proszę pana? Proszę pana?

DZWONIĄCY: Słyszałaś to? Jezu Chryste!

DYSPOZYTORKA: Czy to były strzały?

DZWONIĄCY: No cóż, to nie jest [piśniece] Czwarty Lipca. Czy ktoś już tu jedzie?

DYSPOZYTORKA: Tak, proszę pana, jednostki interwencyjne są w drodze. Czy mógłby mi pan podać rysopis podejrzanego?

DZWONIĄCY: Ma około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, sto kilo wagi, ciemne kręcone włosy.

DYSPOZYTORKA: Jak brzmi jego pełne nazwisko?

DZWONIĄCY: Cholera, nie mam pojęcia. On nawet nie pracuje dla mnie, OK? Wiem tylko, że ma na imię Tim... Tim z dziennej zmiany na rampie załadunkowej.

DYSPOZYTORKA: Czy ma on... proszę pana, czy jest pan tam? Proszę pana!

DZWONIĄCY: Tak, jeszcze jestem. Czy nie słyszysz tych strzałów? Nie rozumiesz, co się tu dzieje? Tu się rozpętało [piśniece] piekło. Ten człowiek biega od gabinetu do gabinetu i strzela do kierowników...

DYSPOZYTORKA: Czy ten Tim ma jakieś znaki szczególne, jakieś blizny czy tatuaże?

DZWONIĄCY: Nie, proszę pani, ale łatwo go będzie zauważyć. Będzie jedynym facetem z pięcioma dymiącymi

pistoletami. I jeżeli gliniarze nie zjawią się tu szybko, pędzie jedynym, który jeszcze żyje... 0 Jezu!

DYSPOZYTORKA: Proszę pana?

DZWONIĄCY: Cześć, Timmy! Jak leci, stary?... Tak, to ja... Och, po prostu zrobiłem sobie krótką przerwę w schowku na szczotki... No to jak leci? Człowieku, rzeczywiście wyglądasz na spiętego...

DYSPOZYTORKA: Proszę pana, proszę nie odkładać słuchawki. Proszę pana?

Pana Gasha fascynowała panika, którą wyczuwał jakże wyraźnie, słuchając nagrania. Dzięki temu przenosił się w bardziej znajome obszary i na jakiś czas uwalniał się od posępnego poczucia izolacji na Ropuszej Wyspie. Kursował tam i z powrotem po moście, wychodząc z założenia, że jest to najlepszy sposób sprawdzania, kto przyjeżdża i wyjeżdża. Żaden samochód osobowy ani żadna ciężarówka nie mogły przemknąć się niezauważone, widział też wszystkie małe łodzie podpływające od stałego lądu. Ale nawet mając w samochodzie swoje taśmy z nagraniami z numeru 911, pan Gash walczył z nudą i zniecierpliwieniem. Część jego jestestwa pragnęła jak najszybciej wykonać zadanie zlecone mu przez Clapleya. Mógłby wtedy pomknąć do swego wygodnego mieszkania w South Beach, gdzie przebrałby się w świeży garnitur, zjadł trochę sushi na Lincoln Road, a następnie wyruszył do klubów w poszukiwaniu dziewczyn. Panu Gashowi nigdy nie wystarczała jedna. Och, dawno wyszedł już z etapu jeden na jeden. Dwie były w porządku, ale trzy stanowiły jeszcze lepsze rozwiązanie. W swoim mieszkaniu pan Gash miał zrobione na zamówienie łóżko, dwukrotnie szersze od typowego superdużego. Do przebiegających pod sufitem belek przyśrubowany był system wielokrążków, a do niego umocowana uprząż wykonana z najlepszych gatunkowo skór zielonych iguan. Tapicer z Washington Avenue dopasował tę uprząż do kłocowatego torsu pana Gasha i wykonał swą robotę znakomicie, a w dodatku za rozsądną cenę.

O tym właśnie marzył na jawie pan Gash - że wisi pod sufitem nad trzema wijącymi się długonogimi kobietami, z których jedna trzyma w rękę Platynowe szczypcy do lodu - kiedy koło niego przemknęło kombi z wielkim psem, jadące przez most w przeciwnym kierunku w stronę wyspy. Pan Gash, chichocząc, zawrócił i ruszył śladem tamtego samochodu. Widział czar-' ^ jak smoła głowę psa sterczącą z okna samochodu i był prawie pewien, że Jest to labrador. A patrząc z odległości około czterystu metrów, dostrzegł tylko jedno ucho trzepoczące na wietrze.

Bingo! - pomyślał i z radością nacisnął pedał gazu.

Jak się okazało, pies istotnie był czarnym labradorem. Miał jednak uszy w komplecie - to, którego pan Gash nie był w stanie zobaczyć, po prostu się zawinęło. Pies wabił się Howard i należał do Ann i Larry'ego Doolingów z Re-ston w Wirginii. Doolingowie w niczym nie przypominali pary młodych ludzi, których opisał panu Gashowi nieszczęsny doktor Brinkman. Oboje mieli dobrze po sześćdziesiątce, ona była emerytowaną pracownicą Smithsonian, on zaś urzędnikiem z Departamentu Handlu Stanów Zjednoczonych. Przyjechali na Florydę w pogoni za słońcem, a na Ropuszą Wyspę z powodu plaży, na której właśnie pan Gash nawiązał z nimi rozmowę pod pretekstem szukania właściwej drogi. Kiedy ustalili, iż są zwykłymi turystami, a nie ekoterrorystami lub porywającymi psy szantażystami, postanowił przerwać rozmowę i odjechać.

Ale Larry Dooling podał mu pokrytą kropelkami zimną puszkę budwei-sera i powiedział:

- Objeźdźliśmy cały ten stan, szukając przyzwoitej plaży. Mówiąc „przyzwoitej”, mam na myśli cichą i spokojną.

- Broszury - pisnęła Ann Dooling - wprowadzają w błąd.

Pies Howard obwąchiwał podeszwy butów pana Gasha, gdy tymczasem Larry Dooling liczył, ile plaż na Florydzie zdążyło już ich rozczarować.

- Oczywiście, Fort Lauderdale - spróbuj pan tylko znaleźć tam miejsce do parkowania. Miami ominęliśmy dużym łukiem. Vero było OK, ale wiszą tam ostrzeżenia przed rekinami, więc nie mogliśmy pływać. W Palm Beach były trujące meduzy. I zupełnie nie wiem, co nam strzeliło do głowy, żeby spróbować w Daytonie.

- Nie zapomnij o Clearwater - wtrąciła się Ann Dooling. - Co za zoo... te wszystkie dzieciaki z college'ów. Głosy małżeńskiej pary wbiły się w czaszkę pana Gasha jak ćwieki z tytanu. Gdy kobieta po raz trzeci wspomniała o jego „nowoczesnej fryzurze”, pan Gash z entuzjazmem pograżył się w kolejny sen na jawie. Wyobrażał sobie Doolingów wijących się pod parzydełkami trujących meduz; wyobrażał sobie, że słucha ich głosów nie na zalanej słońcem plaży, ale w chłodnym i mrocznym zaciszu jego mieszkania, odtwarzanych z aparatury dźwiękowej 5,1 Dolby Surround.

Wyobrażał sobie Doolingów nagranych na taśmie z 911.

- Czy nie jest panu za gorąco w tym garniturze? - spytała Ann Dooling. Och, jakaś jego cząstka chciała zdjąć marynarkę i pozwolić Doolingom, aby wytrzeszczyli oczy na jego rewolwer, chciał widzieć, jak opadają im szczęki w chwili, gdy wyciąga go z kabury i celuje prosto w ich lśniące masłem kakaowym czoła... I te gadatliwe pataflany umilkłyby nareszcie.

Ale działo się to w biały dzień i niedaleko dzieci grały na plaży we Fris-bee. Wobec tego pan Gash wyrzucił puszkę, odwrócił się i z niesmakiem pomaszerował do samochodu.

Był już w połowie starego mostu, kiedy zobaczył nadjeżdżające z naprzeciwka kolejne kombi - buicka

roadmastera z drewnianymi elementami karoserii, matkę wszystkich kombi. Jechała w nim następna para i następny czarny pies wystawiał łeb przez okno.

Pan Gash odruchowo przyhamował. A potem pomyślał: Pieprzę to. Mam już na dzisiaj dość turystów. Teraz potrzebował tylko stosu pornosów i butelki meyera. I pojechał byle dalej od Ropuszej Wyspy.

Jutro, powiedział sobie. Jutro wrócę i sprawdzę tego roadmastera.

Wiosną 1966 roku do Wietnamu wyjechali dwaj bracia. Jeden wrócił jako bohater, a drugi jako ofiara wojny. Wojskowy džip, którym jechał Doyle Tyree, dachował piętnaście kilometrów od Nha Trang. Sierżant, kierowca, zginął na miejscu. Doyle Tyree miał złamaną nogę i poważne obrażenia głowy, przewieziono go więc samolotem do Stanów, gdzie spędził sześć tygodni w szpitalu. Źródłem jego niekończącej się udręki stał się fakt, że przyczyną wypadku nie był ogień wroga, zawiniła tu nieostrożność. Razem z sierżantem obalili skrzynkę piwa z Hongkongu i postanowili wybrać się na połów karpia na zalanych polach ryżowych - wędkować sobie po zachodzie słońca w strefie działań bojowych! Wszystko dlatego, że Doyle Tyree tęsknił za Florydą i do szaleństwa martwił się o swojego młodszego brata Clintą, który bawił się w snajpera gdzieś w gorącej górskiej mgie, wśród partyzantów Wietkongu, pijawek i kobr.

Wszyscy chłopcy w rodzinie Tyree dorastali nad pięknym jeziorem pełnym okoni, ale tylko Doyle i Clint nigdy nie mieli dość tego miejsca -przesiadawali tam wciąż po szkole, w sobotnie poranki i w niedzielę, po mszy w kościele. Chodziło nie tyle o wędkowanie, co o wspaniałe godziny spędzane razem i niczym nie zakłócony spokój - wiaterek pochylający trzciny, słońce migoczące na płaskiej jak lustro powierzchni jeziora, żółwie na kłodach drewna, aligatory wśród lilii wodnych oraz kłótlive krzyki świergotków dobiegające z pastwisk. Doyle'a Tyree dręczyła straszliwa tęsknota i samotność, kiedy zaproponował sierżantowi, że pojedą wieczorem łowić karpie - nie wiedząc nawet, czy na zalanych polach ryżowych w ogóle są karpie lub jakiegokolwiek inne cholerne ryby. Wiedział jedynie, że o zmierzchu będzie mu to przypominało jezioro w kraju. Wycięli zatem pędy bambusa na wędki, zrobili haczyki z igieł krawieckich, a na przynętę zwinęli bochenek chleba z kantyny. Potem zabrali butelki piwa, które im pozostały - gorzkiego i ciepłego jak siki, ale kto by się tym przejmował? - i wyruszyli, by wyciągnąć parę wielkich pieprzonych kar-PI- Gruntowa droga była nieoświetlona i pełna wybojów, ale w końcu załatwiła ich cholerna koza, jakaś zaspana, zabłąkana chłopska koza. Gdy sierżant skręcił, by ją ominąć, džip przekoziółkował (jak mają w zwyczaju wojskowe džipy) i koziółkował do chwili, gdy zaprzężony w woły wóz zatrzymał go równie skutecznie, jak betonowa ściana.

Doyle Tyree obudził się w chłodnym białym pokoju w Atlancie w Georgii, ze stalowymi gwoździemi w kości udowej, płytką w czaszce oraz wiek. szym poczuciem winy i wstydu, niż mogła znieść jego dwudziestopięcioletnia dusza. Poprosił, by wysłano go ponownie do Wietnamu - żołnierze ranieni w podobnych okolicznościach często decydowali się na taki krok - ale jego prośbę odrzucono i zdemobilizowano go z pełnymi honorami. Wrócił więc na Florydę i czekał na swojego bohaterskiego braciszka. Dopiero gdy Clint wrócił bezpiecznie z dżungli, uściskali się, pośmiali i spędzili mglisty poranek nad rodzinnym jeziorem, Doyle Tyree pozwolił sobie ulec depresji. Po niecałym tygodniu zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się podział.

Brat znalazł go dopiero po wielu latach. Clinton Tyree był już wówczas gubernatorem i miał do swojej dyspozycji cały stanowy aparat policyjny, który od czasu do czasu miał napady efektywności. Brat gubernatora, który posługiwał się nazwiskiem swojego zabitego sierżanta z Wietnamu, został zdemaskowany przez bystrookiego urzędnika w czasie rutynowej kontroli odcisków palców. Dane te pozwoliły zlokalizować Doyle'a Tyree w celi aresztu w Orlando, gdzie odsiadywał trzydzieści dni za nieuprawnione wkroczenie na teren cudzej własności. Został aresztowany za rozłożenie spiwora i rozpalenie turystycznej kuchenki gazowej w Zamku Kopciuszka w Walt Disney World - po raz trzydziesty szósty w okresie dwóch lat. Policja z Disney Worldu uznała Doyle'a Tyree za pijaczka, ale w rzeczywistości nie wypił on ani kropli alkoholu od owego wieczoru pod Nha Trang. Został zwolniony za kaucją z aresztu w Orlando, wykąpany, ogolony, ubrany i przewieziony do Tallahassee rządowym samolotem.

Dla Clintona Tyree to ponowne spotkanie było jedną wielką męczarnią. Doyle schwycił go za rękę i przez chwilę wydawało się, że w jego martwych oczach błysnęła jakaś iskierka, ale nie powiedział ani słowa przez całą godzinę, którą spędzili razem w rezydencji gubernatora. Siedział na krawędzi skórzanej sofie wyprostowany jakby kij połknął i patrzył tępo na listek mięty, pływający w jego mrożonej herbacie. W końcu Clinton Tyree powiedział: „Doyle, na litość boską, jak mogę ci pomóc?”.

Doyle Tyree wyjął z kieszonki na piersi brata długopis - tanią pamiątkę z nadrukowaną pieczęcią stanu - i napisał coś małymi drukowanymi literami na skórze swojej gołej ręki. Przyciskał kulkowe pióro tak mocno, że każda nowa litera wyciskała z jego ciała kroplę ciemnej krwi. Napisał, co następuje: **UMIEŚĆ MNIE GDZIEŚ W BEZPIECZNYM MIEJSCU.**

Tydzień później zaczął pracować jako latarnik w małej latarni morskiej w zatoce Peregrine, w pobliżu cieśniny Hobe. Wieża w czerwone pasy stanowiła atrakcję turystyczną w Parku Stanowym Zatoki

Peregrine, nie funkcjonowała od czterdziestu lat i latarnik był tam potrzebny zupełnie tak samo jak w mauzoleum. Ale rzeczywiście stanowiła bezpieczne miejsce dla nie-zrównoważonego psychicznie brata gubernatora, którego zatrudnienie ze słomną pensją w wysokości siedemnastu tysięcy trzystu dolarów rocznie było jedynym aktem nepotyzmu popełnionym przez Clintona Tyree.

Który zresztą skrupulatnie odnotował ów fakt w swoich osobistych aktach, dołączając kopię wojskowej i medycznej dokumentacji Doyle'a Tyree. W aktach znalazł się również list, który Clinton osobiście napisał do wydziału parków, uprzejmie prosząc o posadę dla brata.

List był jednym z dokumentów, które Lisa June Peterson posłusznie pokazała swojemu szefowi Dickowi Artemusowi, obecnemu gubernatorowi Florydy, po przekopaniu pudeł z materiałami dotyczącymi Clintona Tyree. Zameldowała również, że Doyle Tyree nadal figuruje na stanowiej liście płac -z niezmienioną pensją - co wskazywało na to, iż nadal zamieszkuje na szczycie latarni morskiej w zatoce Peregrine.

Teraz Dick Artemus groził, że ją przeznaczy do rozbiórki, jeżeli Clinton Tyree nie spełni jego żądania i odmówi wytropienia pomyłonego młodego szantażysty, kaleczącego psy na znak protestu przeciwko projektowi Wyspy Burzyków.

Na tym polegał chwytający za jaja sens niepodpisanego listu, który porucznik Jim Tile dostarczył człowiekowi, znanemu obecnie jako Skink: „Twój biedny, samotny, psychicznie niezrównoważony brat zostanie wyrzucony na bruk, jeśli nie zrobisz tego, co ci każe. Przykro mi, gubernatorze Tyree, ale rząd przeżywa obecnie chude lata - wyjaśniał list. - Po dokonanych ostatnio cięciach finansowych w Służbie Parkowej po prostu nie ma żadnych rezerw budżetowych, żadnych dodatkowych pieniędzy na opłacanie rzadko widywanego latarnika nieczynnej latarni morskiej.

Chyba że zgodzi się pan pomóc”.

Więc się zgodził.

Lisę June Peterson nieoczekiwanie zaintrygował obiekt jej poszukiwań, jedyny człowiek, który kiedykolwiek zrezygnował ze stanowiska gubernatora Florydy. Pochłaniała wycinki prasowe, w których opisany został wlot i upadek Clintona Tyree, od czasów gdy był kandydatem na to stanowisko -charyzmatycznym gwiazdorem sportu i wielokrotnie odznaczonym weteranem, aż po te dni, kiedy uznano go za złowrogiego wywrotowca i partyjnego Rzutka. Jeżeli połowa przypisywanych mu cytatów była prawdziwa, myślała Lisa June, rezygnacja z urzędu zapewne ocaliła mu życie. Gdyby nie odszedł, ktoś z całą pewnością by go zamordował. Czym innym było recytowanie standardowych mantr obrońców przyrody - na litość boską, przecież nawet republikanie nauczyli się pisać hymny na temat Everglades! – czym innym zaś tak zajadle pomstowanie przeciwko rozmaitym naroślom istnieją, cym w stanie, w którym w rzeczywistości władali jego prawdziwi właściciele: banki, firmy budowlane i developerzy...

To było polityczne samobójstwo, zdumiewała się Lisa June Peterson. Ten człowiek prędzej odniósłby sukces, próbując zalegalizować LSD.

Dla pilnej adepty sztuki rządzenia krótki pobyt Clintona Tyree w Talla-hassee stanowił fascynującą lekcję. Najprawdopodobniej miał słuszość w każdym punkcie, myślała Lisa June Peterson, a jednak niemal wszystko robił źle. Przeklinał na konferencjach prasowych. Wygłaszał radykalne przemówienia, cytując Dylana, Johna Lennona i Lenny'ego Bruce'a. Włóczył się na bosaka i nieogolony po Kapitelu. Clinton Tyree był wprawdzie popularny wśród zwykłych obywateli Florydy, nie miał jednak najmniejszej szansy, by rozmontować mechanizmy chciwości i przekształcić Kongres oraz Senat w ciała ustawodawcze obdarzone zdolnością przewidywania i wyznające uczciwe zasady etyczne. Nie mieściło się zresztą w głowie, że ktoś przy zdrowych zmysłach mógł w ogóle podejmować jakieś próby w tym kierunku.

Ale być może Tyree nie miał zdrowych zmysłów. Wystarczy spojrzeć na jego brata, pomyślała Lisa June Peterson, może to cecha rodzinna. Albo popatrzeć na sposób, w jaki gubernator opuścił miasto, uciekły z Kapitolu po tym, jak rząd stanowy zdradził go, likwidując rezerwat przyrody i sprzedając nadmorskie nieruchomości developerom o odpowiednich znajomościach. Zniknięcie Tyree było tak nagłe i całkowite, że ludzie początkowo sądzili, iż został porwany lub zamordowany, lub nawet popełnił samobójstwo - dopóki nie przyszła jego rezygnacja, zaopatrzona we wściekły zygzak podpisu, który poświadczali eksperci z FBI. Lisa June Peterson wykonała dwie fotokopie owego historycznego dokumentu, jedną dla Dicka Artemusa, a drugą do swojego albumu z wycinkami.

Przez jakiś czas po zniknięciu Clintona Tyree gazety pełne były plotek i domysłów. A potem nic, cisza. Żadnemu dziennikarzowi nie udało się go znaleźć, przeprowadzić z nim wywiadu czy choćby go sfotografować. Przez wszystkie te lata jego nazwisko pojawiało się od czasu do czasu w aktach stanowego Departamentu Porządku Publicznego - w związku z podejrzeniami o pewne przestępstwa, niekiedy całkowicie dziwaczne. Ale Lisa June Peterson nie znalazła żadnego meldunku o aresztowaniu i, w gruncie rzeczy, również żadnego dowodu, że były gubernator miał jakiś związek z tymi incydentami. A mimo to fascynująca była sama myśl, że człowiek ten wciąż żyje, zaszyty w jakiejś pustelni na

odludziu.

Oddałabym wszystko, żeby się z nim spotkać, pomyślała Lisa June-Strasznie chciałam się przekonać, czy rzeczywiście mu odbiło.

Nigdy nie zdołała się domyśleć, po co szefowi były potrzebne jej poszu"kiwania. Nie wiedziała, że pewnej nocy Dick Artemus pozostał w biurze do czwartej nad ranem i rył w dokumentach i wycinkach do chwili, gdy natrafił na tragiczną historię Doyle'a Tyree, brata byłego gubernatora, która wprawiła go w stan podniecenia. Nie wiedziała również o niepodpisanym liście, wręczonym przez jej szefa czarnemu policjantowi, ani o bezwzględnym charakterze zawartej w nim groźby.

Nie zdawała sobie też sprawy, że zapoczątkowała, uruchomiła ciąg niezwykle istotnych wydarzeń: z bagien wyszedł zraniony i zgorzkniały człowiek, jakiego nigdy dotąd nie znała ani sobie nie wyobrażała.

- Pieniądze nie są problemem - powiedział do telefonu Palmer Stoał.

- To nie jest kwestia pieniędzy - odparł z drugiej strony przewodu Durgess. - Raczej sprawa długiej odsiadki.

- Chińczyk rzucił słuchawkę.

- Owszem. On nie lubi telefonów.

- Potrzebny mi tylko jeden głupi róg - powiedział Stoał. - Nie możesz się z nim skontaktować? Nie możesz mu powiedzieć, że pieniądze nie są problemem?

- Musi pan zrozumieć, że to nie był dobry rok w handlu rogami nosorożców. Paru facetów, z których usług zazwyczaj korzystaliśmy, wpadło i poszło siedzieć - odparł Durgess.

- Czy on wie, kim ja jestem? - zapytał Stoał. - Czy Chińczyk wie, jakie mam znajomości?

- Proszę pana, zastrzelił pan ostatniego nosorożca, jakiego mieliśmy na miejscu. Zazwyczaj pan Yee może załatwiać interesy bezpośrednio z Afryką, ale Afryka jest na kilka miesięcy zamknięta, bo zrobiła się zbyt gorąca.

Palmer Stoał odsunął słuchawkę, by zapalić cygaro H. Upmanna, ale okazało się, że ma metaliczny i słodkawy smak. Dopiero wtedy przypomniał sobie z obrzydzeniem o wiśniowym cukierku przeciwkaszlowym, który miał pod policzkiem. Gwałtownie wypluł go na biurko.

- Chcesz mi wmówić, że za nieprzyzwoitą cenę pięćdziesięciu tysięcy dolarów twój przedsiębiorczy pan Yee nie może znaleźć na całej planecie Ziemia nawet jednego jedyne rogu nosorożca?

- Tego nie powiedziałem - odrzekł Durgess. - Prywatne zoo w Argentynie chce nam sprzedać jednego starego samca, całkowicie połamanego artretyzmem.

- Ale wciąż ma swoje rogi?

- Oczywiście.

- Doskonale. Jak prędko możesz go sprowadzić?

- Pracujemy nad tym. Mówili, że mniej więcej za miesiąc.

- To za długo - oznajmił Stoał.

- Muszę się zorientować, co można będzie zrobić.

- Hej, skoro już cię mam przy telefonie - Stoał ponownie spróbował zaciągnąć się cygarem - jak wygląda sprawa ze spreparowaniem mojej głowy? Skontaktowałeś się z tym gościem od włókna szklanego?

- Pracuje nad tym - odparł Durgess. - Mówi, że kiedy skończy, będzie wyglądał lepiej niż prawdziwy. Nikt nie pozna, że jest sztuczny, tylko pan i ja.

- Nie mogę się doczekać - rzekł Palmer Stoał. - Nie mogę się doczekać kiedy zobaczę na ścianie to wspaniałe zwierzę.

- No pewnie.

Stoał nie wyczuł kpiny w głosie Durgessa i odłożył słuchawkę zadowolony, że wziął przewodnika do galopu. Starannie zgasił cygaro i poszedł pod prysznic. Zabrał ze sobą do łazienki przenośny telefon na wypadek, gdyby Desie zadzwoniła ze Świata Zakładników...

Światło zgasło, gdy Stoał miał całą głowę pokrytą szamponem. Macał w ciemności, klnąc i plując mydlinami, aż w końcu natrafił na pokręta prysznic. Ale kiedy spróbował otworzyć drzwi, nawet nie drgnęły. Pchnął szklaną taflę ramieniem, ale również bez skutku.

Piekącymi oczami Stoał dojrzał z drugiej strony drzwi kabiny prysznic potężny cień. Krzyk zamarł mu w gardle, gdy pomyślał: znowu pan Gash. Któż inny mógłby to być?

W tym samym momencie szkło rozsypało się i z przeraźliwym trzaskiem poleciało na importowany włoski marmur. Kawałki drzwi upadły wokół bosych stóp Stoata. A potem jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał w łazience, był jego ochryply, przyspieszony oddech. Czuł klucie w lewej nodze i ciepłą stróżkę spływającą w stronę kostki.

Cień już nie tkwił tuż obok. Teraz siedział na sedesie, najwyraźniej opróżniając swoje kiszki.

- Pan Gash? - wykrztusił zdławionym głosem Palmer Stoał.

- Pomyłka - odparł cień.

- W takim razie kim pan jest?

- Przysłał mnie twój przyjaciel Dick - oznajmił nieznajomy. – Dick gubernator. W sprawie jakiegoś zaginionego psa.

-Tak!

- Przypuszczam, że mnie oświecisz.

- Tutaj? Teraz?

Światła zapaliły się. Palmer Stoał, mrużąc oczy, przyłożył dłoń do czoła. Drugą ręką osłaniał skurczone genitalia. Wszędzie naokoło leżało potłuczone szkło. To był cud, że został tylko draśnięty.

- Zaczynaj mówić - przynagliła go niewyraźna postać. - Pospiesz się żołnierzu, życie ucieka.

Gdy oczy Stoata oswoiły się już ze światłem, zobaczył wyraźnie siedzącą na sedesie barczystą postać. Intruz miał ogorzałą twarz i srebrną brodę.

zaplecioną dziwacznie w dwa długie warkoczyki. Do każdego z nich przywiązany był ptasi dziób, żółty i poplamiony niczym stary pergamin. Mężczyzna uiał stare, oblepione błotem buty i brudną pomarańczową kurtkę przeciwdeszczową. Jego kostki otaczała zwinięta, pozbawiona nogawek część garderoby, która mogła być kiltem w czarno-białą kratkę. Przez tani, plastikowy czepek kąpielowy, który miał na głowie, prześwitywała lśniąca łysina. Z jego oczami było coś nie w porządku, ale Stoał nie mógł się zorientować co.

- Jakoś się pan nazywa? - zapytał.

- Mów mi „kapitanie”. - Gość miał niski basowy głos, przypominający przewalający się grzmot pioruna.

- No dobrze, kapitanie. - Stoata nie przerażał zbytnio facet siedzący w takim miejscu. - Dlaczego nie zadzwonił pan do drzwi - zapytał. - Po co się było włamywać? I po co rozwalili pan drzwi od prysznica?

- Żeby wprawić cię w odpowiedni nastrój - odparł mężczyzna. - Miałem także ochotę na trochę solidnego, cholernego hałasu.

- Przysłał pana Dick Artemus?

- W pewnym sensie.

- Po co? Żeby odzyskał pan mojego psa?

- Owszem. Jestem z Opieki nad Zwierzętami. - Mężczyzna roześmiał się sarkastycznie.

Palmer Stoał z wysiłkiem starał się zachować spokój. Biorąc pod uwagę polityczne stawki, było czymś zupełnie zrozumiałym, że gubernator Dick postarał się o własnego tropiciela, który miał się zająć psim porywaczem... może nie zabić go, ale z całą pewnością nie pozwolić na to, by narobił więcej kłopotów. Ale gdzie gubernator znalazł takiego zwariowanego i lekkomyślnego brutala? - zastanawiał się Stoał. Przypominał zupełnie Grizzly Adamsa.

- Jest pan łowcą ludzi? - zapytał Stoał.

- Raczej usuwaczem gówna - odparł gość - i zaczynam od ciebie.

- Niech pan posłucha. Opowiem całą historię, wszystko, ale najpierw proszę pozwolić mi się wytrzeć i trochę ubrać. Proszę.

- Nie. Zostajesz tak, jak jesteś. - Mężczyzna wstał i sięgnął po papier toaletowy. - Moje doświadczenie wskazuje - oznajmił, podciągając kraciasty kilt - że ludzie goli jak święci tureccy i przestraszeni jak diabli chętniej udzielają właściwych informacji. Mają też lepszą pamięć. A więc proszę opowiedzieć mi swoją smutną psią historię.

Stoał wreszcie zrozumiał, co niepokoiło go w oczach przybysza. Nie pasowały do siebie. Lewe oko było sztuczne i miało jaskrawoszkardlatną tęczę. Palmer zastanawiał się, kto mógł wyprodukować taką niesamowitą rzecz i po co.

- Czy zaczniesz wreszcie mówić - zapytał mężczyzna - czy będziesz o tak stał jak kretyn?

Palmer Stoał mówił i mówił, goły i ociekający wodą, stojąc w kabinie prysznica wśród potłuczonego szkła. Powiedział jednookiemu nieznajomemu wszystko, co, jego zdaniem, mogło ułatwić poszukiwania - o śledzący go człowieku w czarnym pikapie, o okrutnym zapaskudzeniu beemki Desie o włamaniu do domu i perwersyjnym zbezczeszczeniu jego wypchanych trofeów, o roju żuków gnojowych wpuszczonych do jego sportowo-terenowe-go samochodu, o porwaniu Boodle'a i związanym z nim ekologicznym szantażu, o projekcie zmiany Ropuszej Wyspy w Wyspę Burzyków i pomysłowych kombinacjach niezbędnych do uzyskania funduszy na nowy most, o szyderczej notatce przesłanej mu u Swaina przez nieznajomego w okularach przeciwsłonecznych - zapewne samego psiego porywacza, o odciętych uchu, które wkrótce potem przybyło FedEksem, i dostarczonej później w pudełku po cygarach łapie; o tym, iż spodziewał się, że wariat lada dzień uwolni jego ukochanego labradora, a także o swojej żonie...

W tym momencie mężczyzna ze szkarłatnym okiem przerwał mu.

- Poczekaj, kolego. Nikt mi nic nie mówił o zakładnicze.

- No cóż, zabrał ją- oznajmił Palmer Stoał. - Jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Dlatego sytuacja jest taka delikatna i dlatego lepiej będzie, jeżeli poczeka pan, aż wypuści Desie.

- A czemu jesteś taki pewny, że ona zechce wrócić do domu? – zapytał mężczyzna.

Palmer Stoał zmarszczył brwi.

- A dlaczego miałyby nie chcieć? - spytał on z kolei. Po czym dodał: - Nie zna pan mojej żony.

- Nie, ale znam takie sytuacje. - Mężczyzna podał Stoatowi ręcznik i powiedział: - Pokaż mi pokój, w którym trzymasz swoje martwe zwierzęta.

Palmer owinał się ręcznikiem w pasie i ostrożnie przeszedł przez porozbijane szkło. Poprowadził brodatego mężczyznę przez hali do gabinetu. Tam zaczął po kolei opowiadać historię każdego trofeum, ale ledwie zdążył rozpocząć sagę o kanadyjskim rysiu, „kapitan” kazał mu się zamknąć.

- Chcę tylko wiedzieć - wyjaśnił Stoatowi - co dokładnie tu zrobił.

- Wydłubał im oczy i zostawił na moim biurku.

- Tylko ssakom czy rybom również?

- Wszystkim - Stoat potrząsnął ponuro głową. - Wszystkie oczy, co do jednego. Ułożył je we wzór. Pentagram.

- Nie pieprzysz? - uśmiechnął się kapitan.

- Nie uważa pan, że to coś chorego?

- Prawdę mówiąc, podziwiam styl tego chłopaka.

Palmer Stoat pomyślał: Nic dziwnego, że on uznaje to za fajne. Facet w zapyziałej kurtce przeciwdeszczowej, dziwnym czepek kąpielowy za pięćdziesiąt centów i z niesamowitym sztucznym okiem. Ale z drugiej strony, myślał sobie Stoat, któż lepiej może wytropić perwersyjnego szajbu-sa niż drugi perwersyjny szajbus?

- Zastrzelełeś te wszystkie zwierzęta z jakiegoś konkretnego powodu? - Mężczyzna zbliżył się do długiej ściany i podziwiał spreparowaną głowę afrykańskiego bawołu. Był tak wysoki, że stał niemal nos w nos z wielkim rogatym kopytnym.

- Po co je zastrzelełeś? Dla zabawy, na żywność? Właściwie dlaczego? - zapytał ponownie, kręcąc ptasie dzioby na końcach warkoczyków.

- Dla sportu - odparł znużonym głosem Stoat. - Po prostu dla sportu.

- Aha.

- Sprawia pan wrażenie kogoś, kto sam poluje.

- Niekiedy tak - odparł mężczyzna.

- A gdzie?

- Zazwyczaj na drodze. Na dowolnej ruchliwej drodze. Większość tego, czego szukam, już nie żyje. Rozumiesz.

Dobry Boże, pomyślał Palmer Stoat. Kolejny zawodowy zabójca. Ten zabija swoje ofiary na szosie, kiedy tkwią w korku!

- Ale w pewnych porach roku - dodał gość - strzelam do jeleni i do indyków.

Stoat poczuł drobniutki przyływ ulgi, wywołanej przez wspólny temat. - Upolowałem pierwszego, kiedy miałem siedemnaście lat - pochwalił się. - Ōsmaka.

- To dobre zwierzę - oznajmił jednooki mężczyzna.

- Istotnie. Rzeczywiście był świetny. Od tej pory zaraziłem się myślistwem - Stoat włączył na pełny regulator swój stały program „słuchaj, stary” i okrasił go dodatkowo południową wymową. - A teraz, niech to szlag, popatrz pan. Zaczyna mi brakować miejsca na ścianie! Pewnego dnia upolowałem czarnego nosorożca...

- Nosorożca! No cóż, gratulacje.

- Dzięki, kapitanie! Mój pierwszy. To było naprawdę rajcujące.

- O, założę się. Ugotowałeś go?

Stoat nie był pewien, czy dobrze dosłyszał.

- Właśnie mi preparują jego łeb - ciągnął dalej - ale, słowo daję, nie wiem, gdzie powieszę to cholerstwo...

- W związku z faktem, że zaczyna ci brakować cholernego miejsca na ścianie?

- Słusznie. - Stoat zaśmiał się niepewnie. Ten wielki sukinsyn nabijał się z niego.

- Posadź tyłek - powiedział mężczyzna, wskazując biurko. Stoat dotknął nagimi plecami skóry fotela - poczuł chłód. Próbował skrzyżować zwiotczone uda, ale był zbyt ciasno owinięty ręcznikiem kąpielowym. Brodaty, jednooki mężczyzna obszedł biurko dookoła i stanął tuż za fotelem. Stoat mógł na niego patrzeć tylko wtedy, gdy odchyłał głowę całkowicie do tyłu. Oglądana z tej pozycji twarz kapitana sprawiała nawet dość sympatyczne wrażenie.

-A więc jesteś lobbystą?

- Tak jest. - Stoat zaczął wyjaśniać swoją niedocenianą rolę w mechanizmach władzy, ale jednooki mężczyzna tak mocno wyrznął pięścią w wypolerowany blat biurka, że przewróciły się stojące na nim ramki ze zdjęciami.

- Wiem, co robisz - powiedział łagodnym tonem mężczyzna. - Wiem wszystko o takich jak ty.

Palmer Stoat zanotował sobie w pamięci, że następnego dnia z samego rana musi zadzwonić do agencji nieruchomości i wystawić na sprzedaż swój dom, który właściwie zmienił się już w izbę tortur.

Praktycznie rzecz biorąc, każde jego pomieszczenie zostało zbezczeszczone przez szalonych intruzów - najpierw psi porywacz, potem pan Gash, a teraz ten szajbnięty łysy cyklop...

- Mam tylko jedno pytanie - odezwał się mężczyzna. - Gdzie jest Ropusza Wyspa?

- Gdzieś na wybrzeżu zatoki. Nie jestem pewien gdzie konkretnie.

- Nie jesteś pewien?

- Nie... kapitanie... nigdy tam nie byłem - odparł Stoat.

- To piękne. Sprzedajesz to miejsce. Własnoręcznie smarujesz, gdzie trzeba, żeby mogło być „przekształcone” w raj dla golfiarzy - czy sam mi tego nie powiedziałeś?

Stoat pokiwał słabo głową. Cyklop powtórzył dokładnie jego własne słowa.

- Kolejny cudowny raj dla golfiarzy. Właśnie tego potrzebuje świat - powiedział jednooki mężczyzna - a ty nigdy nawet nie postawiłeś nogi na tej wyspie, nigdy jej nawet nie widziałeś. Mam rację?

Głosem tak cichym, że ledwo dało się go słyszeć, Palmer Stoat oznajmił:

- Tak się to odbywa. Ja pracuję nad aspektem politycznym, to wszystko. Z samą sprawą nie mam nic wspólnego.

Mężczyzna roześmiał się lodowato.

- „Z samą sprawą!” Chciałeś powiedzieć: z tą potwornością?

Stoat przełknął gwałtownie ślinę. Mięśnie karku bolały go od patrzenia do góry pod tak ostrym kątem.

- Klient zwraca się do mnie o pomoc w rozwiązaniu interesującego go problemu legislacyjnego - powiedział. - Wykonuję więc wtedy telefon lub dwa. Może się zdarzyć, że zaproszę na miły obiad senatora i jego sekretarza. Robię tylko tyle. Taki jest mechanizm.

- A ile za to dostajesz?

- To zależy - odpowiedział Stoat.

- A za most na Wyspę Burzyków?

- Umówiliśmy się na sto tysięcy dolarów. - Palmer Stoat nie potrafił w żaden sposób zapanować nad swoją naturą pawia. Nawet w sytuacji, gdy jego życie było zagrożone, nie mógł się oprzeć pokusie, musiał się pochwalić swoimi nieprzyzwoicie wysokimi honorariami.

- I nie masz problemów z oglądaniem się co rano w lustrze? - zapytał kapitan.

Stoat zaczerwienił się.

- Nie do wiary - rzekł mężczyzna. Specjalnie obszedł skórzany fotel i jedną ręką bez trudu przewrócił biurko. A potem kopnięciem wytrącił fotel spod Stoata, który wyrzucił tyłkiem o podłogę. Ręcznik rozwiązał się i Stoat skoczył, chcąc go pochwycić, ale jednooki mężczyzna był szybszy, złapał ręcznik i teatralnym gestem zarzucił jak mulecę na rogi wypchanego bawołu.

Potem odwrócił się i stanął nad Stoatem, który przypominał teraz tłustą fokę wijącą się na dywanie.

- Wykonam tę robotę dla twojego kumpla Dicka - warknął – ponieważ nie widzę możliwości, by tego nie zrobić.

- Dziękuję - pisnął lobbysta, próbując się jakoś ostonić.

- Co do twojego psa, to jeżeli brakuje mu ucha, łapy czy choćby pazura, potraktuję w odpowiedni sposób młodego człowieka, który to zrobił. - Kapitan umilkł i zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- W kwestii twojej żony... to ona? - wskazał na fotografię leżącą na podłodze i mówił dalej, nie czekając na odpowiedź Stoata. - Jeżeli znajdę ją żywą - oznajmił, chodząc teraz po pokoju - uwolnię ją. Sama zadecyduje, co zrobi potem. Ale mam zamiar poradzić jej, aby rozważyła wszelkie warianty. Chciałbym jej zasugerować, że może się postarać o kogoś lepszego, zdecydowanie lepszego od takiego żalosego zera jak ty.

Palmer Stoat odpełził w róg za szklaną gablotę ze starymi pudełkami po cygarach. Brodaty mężczyzna podszedł bliżej. Jego nogi widoczne pod rąbkiem kiltu były nagie i pokryte smugami brudu. Stoat ostonił głowę rękami. Słyszał, że wielki intruz coś nuci. Była to melodia, którą Stoat znał z albumu Beach Boysów - Wouldn't It Be Great albo coś w tym rodzaju.

Zerknął ostrożnie i zobaczył w odległości kilku centymetrów od swojej twarzy zabłocone buty.

- Na dobrą sprawę powinienem - słyszał głos mężczyzny - powinienem skopać cię na miazgę. To by mnie podniosło na duchu. I dodałoby mi dziarskości, ha! Ale chyba tego nie zrobię.

Mężczyzna przyklęknął na jedno kolano i popatrzył zdrowym okiem na Stoata - było to przeszywające spojrzenie - podczas gdy drugie oko spoglądało gdzieś w bok.

- Nie rób mi krzywdy - poprosił Stoat, opuszczając ręce.

- To takie kuszące.

- Proszę.

Brodaty mężczyzna pomachał ptasimi dziobami, pozwalając Stoatowi przyjrzeć się im dokładniej.

- Sępy - wyjaśnił. - Natknęły się na mnie, kiedy byłem w złym nastroju.

Stoat zamknął oczy i otworzył je dopiero wtedy, gdy znalazł się sam.

Wstał z podłogi po dwóch godzinach, długo po odejściu intruza. Do tego momentu tkwił w kącie z brodą opartą na białych kolanach i starał się jakoś pozbierać. Za każdym razem, gdy przypominał sobie

ostatnie słowa kapitana, przebiegał go dreszcz.
„Twoja żona jest bardzo atrakcyjną kobietą”.

Dla psa nastały wspaniałe czasy. Na tym właśnie polega istota bycia labradorem - jest się stworzonym do zabawy. Rzadko kiedy twój swobodny, niezależny umysł zaśmieca kontemplacja, a nigdy posępne troski. Każdy dzień poświęcał na rozrywki. Czymże innym mogło być życie? Jedzenie było wspaniałością. Sikanie - świętem. Robienie kupy- radością. A lizanie własnych jaj? Rozkoszą. I wszędzie, gdzie się znajdował, byli naiwni ludzie, którzy cię głaskali, przytulali i zajmowali się tobą. Dlatego też pies przeżywał wspaniałe chwile, podróżując kombi z Twil-lym Spree i Desiratą Stoat. Nowe imię? Doskonale. McGuinn brzmiało pięknie. Boodle również było w porządku. Prawdę mówiąc, psa wcale nie obchodziło, jak go nazywają, zareagowałby na każde słowo. Gdyby usłyszał „Chodź, Dupku, czas na obiad!” - galopowałby równie radośnie i jego potężny ogon wachlowałby równie szybko. Nic na to nie mógł poradzić. Labradory wyznawały filozofię, że życie jest zbyt krótkie, by poświęcać je na cokolwiek innego niż zabawy, psoty i radość, jaką niosła spontaniczna zmysłowość.

Czy tęsknił za Palmerem Stoatem? Tego nie można było się dowiedzieć, ponieważ pamięć psa opiera się bardziej na doznaniach niż na uczuciach, wypełniają ją głównie dźwięki i zapachy, a nie emocje. W umyśle McGuin-na na zawsze zapisała się na przykład woń cygar Stoata i dźwięki towarzyszące jego pijackim nocnym próbom otworzenia drzwi frontowych. W równie dokładny sposób mógł przypomnieć sobie owe rzeźkie poranki w namiocie,

kiedy Stoat wciąż usiłował zrobić z niego psa myśliwskiego - gorączkowe trzepotanie ptasich skrzydeł, strzały dubeltówek, dźwięk męskich głosów. W pamięci McGuinna utrwalona była każda ścieżka, którą biegł, każdy kot, którego zapędził na drzewo, każda noga, którą usiłował zgwałcić. Ale któż może powiedzieć, czy naprawdę brakowało mu towarzystwa jego pana? Labradory mają skłonność, aby żyć wyłącznie radośnie i z zapamiętaniem chwilą bieżącą.

Teraz McGuinn był szczęśliwy. Zawsze lubił Desie, bo była ciepła, pełna uwielbienia i pachniała absolutnie wspaniale. A także silnego, młodego człowieka, tego, który wyniósł go z domu Palmera Stoata. Był przyjazny, troskliwy, tolerancyjny i również sympatycznie pachniał. A jeżeli chodzi o ten ponury moment z psem w bagażniku - no cóż, McGuinn już postarał się usunąć ten incydent ze swojej pamięci. Co z oczu, to z serca. Takie jest credo labradorów.

W tej chwili był szczęśliwy, bo znalazł się z powrotem na Ropuszej Wyspie, gdzie mógł biegać po długiej plaży, gryźć wyrzucone na brzeg drewno i szaleć do woli w chłodnych, stonych falach. Pędził bez wysiłku, rozganiając morskie ptaki, czując zaledwie drobne ukłucia bólu w tym miejscu na brzuchu, z którego zdjęto szwy. Szalał na plaży tak gwałtownie i bez opamiętania, że pod koniec dnia był zupełnie wykończony i zasnął natychmiast po powrocie do pokoju. Ktoś pogłaskał go po boku i nie patrząc, wiedział, że ta delikatna, pachnąca dłoń należy do Desie. Aby okazać wdzięczność, załomotał ogonem, ale postanowił nie wstawać - nie miał ochoty na kolejną pastylkę, a zazwyczaj podawała mu je Desie.

Ale co to takiego? Owinięto mu czymś pysk -jakimś kawałkiem materiału, który lekko pachniał mydłem. Pies otworzył jedno oko - ciemność. Co ona mu zrobiła? McGuinn był zbyt zmęczony, by zajmować się tą sprawą. Wkrótce od strony łóżka dobiegły dziwne odgłosy, szepty Desie i młodego człowieka, ale nie zainteresowało to McGuinna; zasnął błyskawicznie i we śnie gonił mewy po brzegu.

- Nie mogę uwierzyć, że zasłoniłaś mu oczy - powiedział Twilly Spree.

Desie podciągnęła prześcieradło pod brodę.

- To pies Palmera. Przepraszam, ale dlatego czuję się dość głupio.

Przysunęła się bliżej i Twilly objął ją ramieniem.

- Przypuszczam, iż oznacza to, że musimy zachowywać się wyjątkowo cicho.

- I tak musimy być cicho. Pani Stinson śpi w sąsiednim pokoju - odparła Desie.

Pani Stinson była właścicielką jedyne miejsca na Ropuszej Wyspie, w którym oferowano nocleg i śniadanie. Oznajmiła stanowczo, że nie przyjmuje żadnych psów, i miała właśnie odmówić im gościny, kiedy Twilly wyciągnął studolarowy banknot i zaoferował go jako „dopłatę za zwierzę”, W rezultacie nie tylko wynajęła im najsympatyczniejszy pokój, ale również przyniosła McGuinnowi przeznaczony wyłącznie dla niego talerz boeuf Stro-gonow.

- Pani Stinson jest na dole i ogląda zapasy w telewizji – powiedział Twilly.

- Ale i tak musimy być cicho - upierała się Desie. - A teraz sądzę, że możesz mnie pocałować.

- Popatrz na psa.

- Nie chcę patrzeć na psa.

- Fioletowa chustka.

- Jest fioletoworóżowa - zaprotestowała Desie.

Twilly próbował się nie roześmiać.

- Stroisz sobie ze mnie żarty - powiedziała.

- Nie, wcale nie. Uważam, że jesteś fantastyczna. Mógłbym szukać tysiąc lat i nie znalazłbym innej

kobiety, która miałaby poczucie winy, baraszkując w obecności psa swojego męża.

- Zwierzęta mają ogromną intuicję. Dlatego może być łaskawie przestał?

- Wcale się nie śmieję. Ale tylko na niego popatrz - rzekł Twilly. - Gdybyśmy mieli aparat fotograficzny...

- Dostyc tego. - Desie wyciągnęła rękę ponad nim i zgasiła światło. Potem usiadła na Twillym, ujęła jego dłonie i położyła je na swoich piersiach. - A teraz posłuchaj - powiedziała cicho. - Mówiłeś, że chciałbyś się kochać.

- Tak. - McGuinn wyglądał niesamowicie. Twilly wciąż nie mógł sobie z tym poradzić.

- Czy zauważyłeś, że jestem stroju, w jakim przyszedłam na świat?

- Tak.

- I co robię?

- Siedzisz na mnie.

- Słusznie. I że twoje ręce są na moich cycuszkach?

- Są.

- A czy przypadkiem zwróciłeś uwagę, gdzie jest moja ręka?

- Z całą pewnością.

- A więc może łaskawie zajmijmy się tym - powiedziała - ponieważ jest to jedno z wielkich pytań, na które nie znam odpowiedzi, a związanych z tą sprawą, czyli faktem mojej ucieczki z tobą, Twilly - tym tematem.

- Seksem?

Desie westchnęła.

- Tak. Seksem. Dzięki Bogu, nie muszę wszystkiego literować. - Ścisnęła go swawolnie pod koldrą.

Uśmiechnął się do niej.

- Nie ma nic lepszego za pierwszym razem niż odrobina nacisku.

- Och, możesz się tym posługiwać - powiedziała Desie, ściskając go mocniej. - Z całą pewnością możesz.

- Hej! Uważaj z paznokciami!

- Cii! - Szepnęła i pocałowała go w usta.

Nie byli wcale ani tacy cisi, ani mało ruchliwi. Potem Desie stoczyła się na bok i położyła głowę na ręcznie wykonanej przez panią Stinson Inianej poduszce tuż obok głowy Twilly'ego. Jego szybko unosząca się i opadająca pierś świadczyła, że wcale nie jest śpiący, wręcz przeciwnie, był wyraźnie napięty. Włączyła światło, a Twilly wybuchnął śmiechem.

- O co chodzi? - Wyprostowała się gwałtownie i zobaczyła w pełni już rozbudzonego McGuinna, siedzącego przy nogach łóżka. Jego ogon wybijał szybki rytm, uszy sterczały czujnie i ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie najszcześliwszego stworzenia na świecie - nawet pomimo tej idiotycznej fioletoworóżowej przepaski na oczach.

- Dobry Boże - szepnął Twilly. - Okaleczyliśmy go psychicznie na całe życie.

Desie rozchichotała się gwałtownie. Twilly zdjął chustkę z psiego łba i wyłączył światło. W panującej ciemności kołt go ich cichy, synkopowany oddech - Desie i McGuinna - ale nie zasnął. O świetle wstał, nałożył dzinsy i podkoszulek. Desie poruszyła się, gdy usłyszała, jak mówi: „Pora na spacer”. Oparła się na łokciu.

- Wracaj do łóżka. On nie musi iść na spacer - powiedziała.

- Nie on, ale ja.

Usiadła i prześcieradło zsunęło się z jej piersi.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Na most - odparł Twilly.

- Po co?

- Też idziesz?

- Na dworze jest chłodno, Twilly. A ja czuję się wykończona.

Odwrócił się w stronę McGuinna: „No a ty?”.

Pies zerwał się natychmiast i z euforią zaczął kręcić się koło nóg Twilly'ego. - Spacer... on chyba żartuje? Po co w ogóle pytać o takie rzeczy?

Krimmler pracował dla Rogera Roothausa od dziewiętnastu lat. Został zatrudniony, ponieważ miał opinię nieustępliwego fiuta. Gdy Krimmler był na placu, budowa postępowała szybko, ponieważ poganiał wszystkich bez przerwy. Im prędzej udawało się zakończyć pracę, tym mniej pieniędzy kosztowała developera i tym większe zyski i chwałę zapewniała firmie Roothaus i Syn. Krimmler nie cierpiał niechlujstwa i opóźnień i nie pozwalał, by cokolwiek - w tym również, jeśli trzeba było, prawo - stało na drodze jego spychaczom. Jeżeli nie otrzymał innego polecenia osobiście od Rogera Roothausa, zaczynał każdy dzień od niwelowania, zakopywania lub wykopy, wania czegoś dużego. Nic bardziej nie radowało jego duszy niż ostry trzask dębu, padającego pod stalowym ostrzem. Nic nie wprawiało go w większą melancholię niż widok stojących beczynninie maszyn do robót ziemnych.

Antypatia, jaką żywił do przyrody, zrodziła się pod wpływem pewnego brzemiennego w skutki incydentu. Gdy miał sześć lat, na pikniku Kościoła luterńskiego ugryzła go w krocze dzika wiewiórka ziemna. Było to wydarzenie absolutnie przez niego nie spowodowane - to jego psotny starszy brat złapał przerażone zwierzątko siedzące na kłodzie drewna i wrzucił je Krimmlerowi do jego sztruksowych spodni - a samo ugryzienie właściwie nie spowodowało krwawienia. Mimo to incydent ów wywołał w chłopcu taki silny uraz, że zaczął się on obawiać przestrzeni poza budynkami i wszystkich mieszkających tam stworzeń. W jego wyobraźni każde nie ścięte drzewo wydawało się mu tajemniczą kryjówką okrutnych, wgryzających siew krocza wiewiórek ziemnych, nie wspominając o węzłach, szopach, pająkach, rysiach... a nawet nietoperzach!

Młody Krimmler czuł się naprawdę bezpieczny jedynie w mieście, osłonięty betonem, stalą i szkłem. To właśnie fakt, że odyskiwał tam - w chłodnym, sterylnym cieniu drapaczy chmur - dobre samopoczucie, skłonił go do szukania kariery w budownictwie. Okazało się, że jest idealnym pracownikiem dla developerów, każde nowe centrum handlowe i osiedle, każdy wysokościowy budynek i magazyn przybliżały bowiem coraz bardziej spełnienie się jego tajemnego marzenia o świecie bez drzew, bez dzikiej przyrody, świecie, w którym istnieje tylko cegła, bruk i panuje idealny porządek. Mówiąc krótko, o świecie bez wiewiórek ziemnych. To, że Krimmler ostatecznie trafił na Florydę, było logiczną i nieuniknioną konsekwencją jego obsesji. Na Florydzie developerzy i bankierzy kupili polityków kierujących rządem, stan urbanizował się szybciej niż jakiegokolwiek inne miejsce na kuli ziemskiej, szybciej niż jakiegokolwiek miejsce w historii ludzkości. Codziennie spychacze likwidowały tutaj sto osiemdziesiąt dwa hektary lasu. Krimmler był szczęśliwy, że znajduje się na pierwszej linii frontu, i dumny, że dobrze odgrywa wyznaczoną mu rolę.

Roger Roothaus dość wcześnie uświadomił sobie, jak ważne jest umieszczenie takiego fanatyka na placu budowy i powierzenie mu obowiązków kierownika projektu. Dopóki wciąż stało chociaż jedno drzewko, Krimmler był zniecierpliwiony, rozdrażniony i pełen mrocznych niepokojów. Brygadziści budowlani nienawidzili go, ponieważ nigdy nie stosował taryfy ulgowej i nie przyjmował żadnych standardowych wymówek, którymi starali się tłumaczyć opóźnienie. Dla Krimmlera burza z piorunami nie była powodem, by wyłączyć sprzęt i uciekać pod dach, ale raczej cudowną okazją do dokonania jakiegoś bezprawnego wyrębu, którego rezultaty można było później zwalić na pogodę. Nie pozwalał, by cokolwiek spowodowało z wytyczonego kursu jego maszyny, które traktował z taką samą ojcowską czułością jak George Patton swoje czołgi.

Dla Krimmlera każda nowa budowa była bitwą, kolejnym etapem zbrojnego podboju. Podobnie traktował kurort na Wyspie Burzyków. Los ropu-szek drzewnych nie zakłócił mu snu ani też nie przyniósł jakiejś szczególnej radości. Zakopanie tych maleńkich zwierzątek było po prostu najbardziej praktycznym sposobem rozwiązania sytuacji. Jeśli chodzi natomiast o nagłe zniknięcie Brinkmana, biologa, którego on sam porównywał do wrzodu na dupie, Krimmler uznał, że nie może zawracać sobie głowy organizowaniem poszukiwań.

- Czy ja jestem jakąś cholerną niańką? - wywnętrzał się w rozmowie z Roothausem. - Facet jest moczymordą. Pewnie nawalił się wodą i zleciał ze starego mostu... A skoro już o tym mowa, co to za gówno, o którym piszą w gazecie?

- Nie ma obaw - zapewnił go Roger Roothaus.

- Ale to prawda? Gubernator zawetował fundusze na most?

- Szczegół formalny - wyjaśnił Roothaus. - Dostaniemy je za miesiąc lub dwa. Całe dwadzieścia osiem milionów.

- A co tymczasem?

- Po prostu odczekaj chwilę.

- Ale w tym tygodniu przyjeżdża z Gainesville ekipa geodetów...

- Uspokój się. To sprawa polityczna - wyjaśnił Roothaus. - Długa historia, ale nie masz się czym przejmować. Musimy po prostu spauzować na jakiś czas. Weź wolne. Pojedź do Cedar Key na ryby.

- Nie ma mowy - zaprotestował Krimmler. - Zapomnijmy o moście. Wciąż mam poważną powierzchnię do oczyszczenia. Kierowcy są gotowi, żeby...

- Nie. Nie teraz. - Słowa Rogera Roothausa Krimmler odebrał jak cios pięścią w brzuch. - Pan Clapley powiedział, żeby chwilowo się nie wychylać, rozumiesz? Żadnych działań na placu, polecił. Istnieje drobny problem i właśnie go rozwiązuje. Powiedział, że to nie powinno potrwać długo.

- Jaki znowu problem? - zaprotestował Krimmler. - Jaki, do cholery, problem może spowodować zawieszenie całych robót?

- Pan Clapley tego nie wyjaśnił. Ale on jest głównym szefem, rozumiesz? Płaci rachunki. Dlatego nie chcę żadnych kłopotów.

Krimmler odłożył słuchawkę, pieniać się ze złości. Wściekał się ciągle idąc spać - sam jeden w luksusowej przyczepie kempingowej, którą przejeżdżał z jednego placu budowy na drugi. I pieniał się również następnego ranka, kiedy obudził się i usłyszał cholerne drozdy śpiewające na wierzchołkach

cholernych sosen, tupot cholernych wiewiórek biegających po aluminiowym dachu przyczepy - to były cholerne kuzynki wiewiórek ziemnych tylko bardziej zuchwałe, większe i paskudne!

Stan, w jakim znalazł się Krimmler po telefonie Roothausa, dałoby się określić najlepiej słowem „żałosny”. Czuł się fatalnie w zamglonej ciszy poranka na wyspie, bez ryczących, zgrzytających trybami swych ukochanych koparek podsiębiernych i nasiębiernych, spychaczy i wywrotek. A kiedy geodeci dokładnie o siódmej zero zero pojawili się w przyczepie biurowej (co samo w sobie było już cudem!), Krimmler nie mógł się zmusić, by ich odesłać tylko dlatego, że jacyś zafajdani politycy wygłupiają się w sprawie mostu. Most był absolutnie najważniejszym elementem projektu - bez niego Wyspa Burzyków na zawsze pozostałaby Ropuszą Wyspą. Przeprowadzenie sprzętu po jednym pojeździe na raz po starym drewnianym przęśle było niebezpiecznym (i bardzo kosztownym!) przedsięwzięciem. Wyładowana do pełna cementem ciężarówka nigdy by po nim nie przejechała, a bez cementu nie zbuduje się żadnej cholerniej nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej. Bez cementu masz figę.

Dlaczego więc nie ruszyć z pracami mierniczymi przy moście? - rozumował Krimmler. Co to może zaszkodzić? Będzie mniej do roboty potem, jedno opóźnienie mniej, kiedy wreszcie spłyną pieniądze z Tallahassee. Do diabła z „nie wychylaniem się”, pomyślał. Roger później mi za to podziękuje.

Dlatego poprowadził geodetów na stary most, a sam usiadł na masce ciężarówki i przyglądał się, jak pracują - przesuwają swoje trójnogi tu i tam, wy-krzykują do siebie dane, malują na ziemi iksy pomarańczowym sprejem, żeby zaznaczyć ważne punkty. Było to żmudne i nudne, ale Krimmler nie ruszał się z miejsca, ponieważ pozostawała tylko jedna inna możliwość - samotne siedzenie w przyczepie i przysłuchiwanie się cholernym ptakom i chorym na wściekłą wiewiórkę. Prace pomiarowe przy moście były w chwili obecnej na Ropuszej Wyspie czymś, co najbardziej przypominało jakiś postęp, i Krimmler czuł przemożną potrzebę pozostawania na tym miejscu. Gdy geodeci sobie pój-
dą, nastąpi przerwa... kto wie na jak długo. Krimmler zmusił się, by o tym nie myśleć. Na razie, gdy tak siedział na masce pikapa F-150 Roothausa i Syna? podtrzymywał go na duchu odgłos przestawianych trójnogów i syk, z jakim tryskała farba z puszek z aerozolem. Na chwilę zamknął oczy, aby wyobrazić sobie lśniący nowy most, stojący na potężnych betonowych filarach wbitych w muli-ste dno zatoki; każdy filar miał obwód jakiejś cholerniej sekwoi...

- Hej, proszę pana.

Krimmler zeszywniał, unosząc odrobinę powieki.

- Coś za jeden? - spytał bez ceregeli.

Stał obok niego młody człowiek o bardzo opalonej twarzy i zbiegających od słońca włosach. Miał na sobie granatowy podkoszulek i dżinsy, ale był na bosaka. Stopy miały również koloru karmelu.

- Turysta - odpowiedział.

- Nie wyglądasz na turystę.

- Doprawdy? W takim razie jak wyglądam? - Młody człowiek uśmiechnął się, co bardzo zirytowało Krimmlera.

- Chodzi mi o opaleniznę - powiedział inżynier. - Jeszcze ciut ciemniejsza i mówiłbyś po jamajsku. A tymczasem większość turystów, jakich tu widzimy, jest biała jak rybie brzuchy.

- No cóż, j jestem, że tak powiem, zawodowym turystą - wy- aśnił młody człowiek. - Dlatego większą część czasu spędzam na słońcu. Co tu robicie? - Gestem głowy wskazał geodetów. - Czy to do tego wielkiego ośrodka golfowego, o którym wszyscy mówią?

- Grasz w golfa? - zapytał Krimmler.

- A jak pan myśli, skąd mam tę opaleniznę?

Swobodna pewność siebie młodego człowieka sprawiła, że Krimmler uznał, iż może on żyć z funduszu powierniczego albo może z zachomikowa-nych zysków za prochy. Zaczął więc zwracać się do niego nie jak do uprzykrzonego natręta, ale jak do potencjalnego klienta i przyszłego członka Country Clubu na Wyspie Burzyków.

- Budujemy dwa mistrzowskie pola - wyjaśnił Krimmler. - Jedno zaprojektowane przez Nicklausa, a drugie przez Raymonda Floyda.

Młody człowiek gwizdnął i spojrzał na wyspę.

- Dwa pola - powiedział ze zdziwieniem. - Gdzie je upchniecie?

- Och, tu jest dużo miejsca - odparł Krimmler - zwłaszcza kiedy przesadzi się parę drzew.

- Aha. - Młody człowiek znowu spojrzał na niego z tym samym dziwnym, jakby nieobecny uśmiechem.

- Będziemy tu mieli bloki z apartamentami, miejskie domy i budowane na zamówienie rezydencje - informował dalej Krimmler. - Działki w pobliżu pola sprzedają się jak świeże bułeczki. Jeżeli jest pan zainteresowany, mamy trochę kolorowych prospektów w przyczepie handlowej.

- Mówi pan, Raymond Floyd?

- Tak jest. Robi południowe pole.

- No cóż, jestem pod wrażeniem - rzekł młody człowiek. - A to wszystko tutaj?

- Do nowego mostu - rzekł Krimmler. - Cztery pasma. Prześwił osiemnaście metrów.

- Ale czy to nie ten, o którym czytałem w gazecie?
- Nie.
- Ten, który zawetował gubernator?
- Niech pan zapomni o prasowych wiadomościach - poradził Krimmler młodemu człowiekowi. - Most to pewna sprawa. Ośrodek to pewna sprawa. Mamy zielone światło.
- To prawda.
- Wkrótce - Krimmler puścił do niego oko. - Naprawdę szybko.
Usłyszał krzyk i odwróciwszy się, ujrzał, jak jeden z geodetów biegnie za wielkim czarnym psem. Smycz zaplątała mu się w trójnog i pies ciągnął go za sobą po chodniku niczym okaleczoną modliszkę.
- Hej, stój - wrzasnął Krimmler. - Stój, do cholery!
Opalony młody człowiek zerwał się do biegu. Dopędził zwariowanego psa i odczepił od niego trójnog, który następnie zwrócił wraz z rozbitym teodolitem poruszającemu się wolniej geodecie. Krimmler dotarł tam na tyle szybko, że zdążył jeszcze usłyszeć, jak młody człowiek przeprosza, i zobaczyć, jak wciska spory zwitek banknotów w rękę mierniczego. A potem poszli razem - chłopak i czarny pies przy jego nodze - przez stary drewniany most w stronę wyspy.
- Hej! - zawołał za nimi radośnie Krimmler. - Proszę nie zapomnieć zajrzeć do biura sprzedaży i wziąć broszurkę!

Gdy Krimmler wrócił do przyczepy mieszkalnej, zaniepokoił się, zobaczył bowiem światła w oknach. Doszedłszy do drzwi, usłyszał podniecone głosy.

- Ona mi wbija! Ta zwariowana... ooch!... suka... auu!... wbija mi!
- Proszę się uspokoić. Proszę spróbować się uspokoić.
- Uspokoić się? Mam widelec... auu!... od fondue wbity w dupę! POMOCY!!!
- Proszę pana, zespół interwencyjny jest w drodze.
- Nie, Debbie, nie tam! Obiecałaś, NIE TAM! AUUA... Jezu, zobacz, co zrobiłaś. Ty cholerna, zwariowana suko!

Krimmler odwrócił się, chcąc uciec, ale w tym samym momencie drzwi przyczepy otworzyły się. W jednej chwili został schwytyany, wciągnięty o. środka i rzucony niczym worek nawozu na dywan. Spodziewał się, że ujrzy straszny bałagan, jakąś oszalałą harpię z zakrwawionym widelcem do sera wzniesionym nad umierającym chłopakiem...

Ale jedyną osobą, jaka znajdowała się w przyczepie Krimmlera, był potężnie zbudowany mężczyzna o blond włosach sklejonych żelazem w niezwykłe kolce z białymi czubkami. Odziany w garnitur w kratkę, miał na nogach brązowe skórzane buty zapinane z boku na zamki błyskawiczne, jakie w 1964 roku mogli nosić Gerry i Peacemakers.

We wnętrzu przyczepy nie było żadnych śladów używania ostrych narzędzi. Krzyki i jęki ofiary oszalałej Debbie wydobywały się ze stereofonicznych głośników. Kolczasto włosy nieznajomy przekręcił regulator natężenia głosu, usiadł w fotelu i obrócił go tak, by mógł patrzeć na Krimmlera.

- Pracuję dla pana Clapleya - poinformował. Miał zwodniczo łagodny głos.
- Ja też pracuję dla pana Clapleya. - Krimmler zaczął podnosić się z podłogi, ale kolczastowłosy mężczyzna wyjął rewolwer i nakazał mu gestem dłoni, żeby się nie ruszał.
- Rozmawiałeś dzisiaj z facetem. Bosym facetem z psem – powiedział nieznajomy. - Koło mostu, pamiętasz?
- Oczywiście.

- Obserwowałem was. Kim on był?

Krimmler wzruszył ramionami.

- Po prostu jakiś turysta. Chciał się czegoś dowiedzieć o nowych polach golfowych. Odesłałem go do biura sprzedaży.

- Co jeszcze?

- To wszystko. Dlaczego włamałeś się do mojej przyczepy? Czy mogę już wstać?

- Nie - odparł mężczyzna w garniturze w kratkę. - Czy pytał o nowy most?

Krimmler skinął głową. -No i?

- Powiedziałem mu, że sprawa jest załatwiona.

- Czemu mu tak powiedziałaś?

- Ponieważ zachowywał się jak ktoś, kto ma pieniądze - odparł Krimmler. - Pan Clapley w dalszym ciągu zajmuje się sprzedażą nieruchomości, prawda?

Nieznajomy wyjął kasetę z odtwarzacza Krimmlera. Przez cały czas trzymając rewolwer w drugiej ręce, włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Krimmler zastanawiał się, czemu Robert Clapley miałby zatrudniać takiego bandziora. Być może nieznajomy kłamał, mówiąc, że dla niego pracuje, a'e w tej chwili nie miało to znaczenia. Krimmler zawsze czuł szacunek dla broni palnej.

- Nigdy dotąd nie widziałem tego typu - powiedział kolczastowłosemu nieznanemu. - Nie przedstawił się, a ja nie pomyślałem, żeby zapytać go o nazwisko.

- Był z kobietą?

- Nie mam pojęcia.

- Wczoraj zobaczyłem w buicku combi parę, która jechała na wyspę - powiedział nieznanemu. - Mieli w samochodzie psa.

- To jest możliwe - odparł niespokojnie Krimmler. - Słuchaj, powiedziałem ci wszystko, co wiem.

- No cóż, on zachowuje się jak ktoś, kto sprawia kłopoty. Nie robił na tobie takiego wrażenia? - Mężczyzna podszedł do lodówki Krimmlera i wyjął z niej puszkę piwa. - Czy był wkurzony, kiedy powiedziałeś mu o nowym moście?

- Nic takiego nie zauważyłem - powiedział Krimmler. - Czemu, do diabła, miałby się interesować mostem?

Mężczyzna z rewolwerem milczał przez kilka chwil. A potem powiedział:

- Masz odjazdowe nagłośnienie w tej swojej przytulnej puszczyce na kółkach.

- Tak. Dziękuję.

- Można rzeczywiście usłyszeć, jak tym ludziom na taśmie brakuje powietrza. Słychać, jak stękają, sapią i srajają nogach. To po prostu zadziwiające, co można uzyskać dzięki pierwszorzędnemu systemowi nagłaśniającemu.

- Głośniki są nowiutkie - odparł Krimmler. - Z Niemiec.

Kolczastowłosey mężczyzna otworzył piwo i wypił łyk.

- No tak. Ten sprawiający kłopoty facet z czarnym psem. Gdzie mógł się zatrzymać na wyspie?

- Jeżeli nie rozbił obozowiska, to pewnie w pokojach do wynajęcia u pani Stinson.

- A gdzie to jest?

Krimmler udzielił mu niezbędnych informacji. Mężczyzna schował rewolwer do kabury i powiedział Krimmlerowi, że może wstać z podłogi.

- Czy mogę zapytać, jak się pan nazywa?

- Gash.

- Rzeczywiście pracuje pan dla Clapleya?

- Tak. Sam go zapytaj. - Nieznajomy skierował się w stronę drzwi.

- Ta taśma, której pan słuchał - zapytał Krimmler. - Czy to było prawdziwe? Czy to pan wołał na niej o pomoc?

Mężczyzna roześmiał się - był to niesamowity, niepokojący chichot, który sprawił, iż Krimmler pożałował, że w ogóle zadał takie pytanie.

- Ale dobre - powiedział pan Gash. - Naprawdę wspaniale!

- Proszę posłuchać. Nie chciałem pana urazić.

- Hej, nie ma sprawy. Śmieję się, bo facet na tej taśmie nie żyje. Jest martwy jak pieprzona kłoda. To, co usłyszałeś, to były jego ostatnie słowa przed śmiercią: „Ty cholerna, zwariowana suko!”. Wypowiedział je, wydając swoje ostatnie tchnienie.

Pan Gash znowu zachichotał i wyszedł w noc.

O dziewiątej trzydzięci wieczorem Lisa June Peterson była sama w swoim gabinecie, który przylegał do gabinetu gubernatora. Gdy zadzwonił telefon, pomyślała, że to Douglas, aplikant w prokuraturze, z którym się już kilkakrotnie umawiała. Za każdym razem, gdy Douglas dzwonił, jego pierwsze pytanie brzmiało: „Co masz na sobie, Liso June?”.

Tego wieczoru zatem, ponieważ była we frywolnym nastroju, odpowiedziała:

- Nie mam majtek!

A męski głos, niższy i brzmiący bardziej staro niż głos Douglasa, odrzekł:

- Ja też, kochanie.

Główna asystentka gubernatora jęknęła.

- Ach, słodka młodości - westchnął jej rozmówca.

Lisa June Peterson wyjąkała przeprosiny:

- Tak mi... myślałam, że jest pan kimś innym.

- Niekiedy sam tak sędzę.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Załatwić mi rozmowę z gubernatorem.

- Obawiam się, że nie ma go w mieście. - Lisa June, próbując dojść do siebie, miała nadzieję, że to, co mówi, brzmi spokojnie i profesjonalnie.

- W takim razie spróbuję go złapać później - oświadczył rozmówca.

Niepokoilo ją coś, co wyczuła w głosie tego mężczyzny - nie, właściwie nie groźba, ale niczym nie zamaskowana stanowczość.

- Może jestem w stanie w czymś pomóc? - spytała.

- Bardzo w to wątpię.
- Mogę spróbować się z nim porozumieć. Czy gubernator Artemus zna pana?
- Najwyraźniej tak - odparł mężczyzna.
- Czy może mi pan podać swoje nazwisko?
- Tyree. Czy mam je przeliterować?
- Nie. - Lisa June Peterson była oszołomiona. - Czy to jakiś żart?
- Zdecydowanie nie.
- Jest pan gubernatorem Tyree? Nie robi mnie pan w konia?
- Od kiedy to eleganckie młode damy używają takich słów w oficjalnej rozmowie? Jestem wstrząśnięty do głębi.

Lisa June Peterson już stała za biurkiem i sięgała po torebkę i kluczyki do samochodu.

- Gdzie pan jest teraz? - spytała rozmówcę.
- Automat na Monroe.
- Spotkajmy się przed Kapitołem. Za dziesięć minut.
- Dlaczego?
- Przyjadę taurusem combi. Mam niebieską sukienkę i okulary.
- Ale bez majtek, pamięta pani?

Żaden z elementów składających się na dotychczasowe doświadczenie życiowe Lisy June Peterson nie przydał się jej teraz, to znaczy nie osłabił wrażenia, jakie wywarł na niej Clinton Tyree. Przede wszystkim wydawał się ogromny jak lodówka. A następnie jego strój - był ubrany jak szajbnięty me-nel: sznurowane buty, własnoręcznej produkcji kilt i czepek pod prysznic. Kiedy wsiadał do jej samochodu, w świetle z kopuły załśniła bielą jego wygolona czaszka i zabłysło jak rubinowa iskra sztuczne oko. Ale dopiero gdy usiedli obok siebie przed ogniskiem na przewróconych blokach żużla, Lisa June Peterson mogła dokładnie przyjrzeć się bujnym warkoczom zaplecionej brody i ozdabiającym je zbielełym ptasim dziobom.

- Sępy - wyjaśnił były gubernator. - Miały pecha.

Twarz miał brązową jak wygarbowana skóra i pomarszczoną, lecz wciąż potrafiła się rozjaśnić w tym samym zabójczym uśmiechu, który Lisa June, prowadząc swe poszukiwania, oglądała na zdjęciach prasowych z okresu, zanim sprawy przybrały zły obrót, który dobrze zapamiętała.

- To naprawdę pan - powiedziała.
- Tylko moja karoseria, kochanie.

Byli na zadrzewionej działce poza miastem, niedaleko lotniska. Eks-gubernator zdejmował skórę z martwego lisa, którego zabrał z Apalachee Par-kway. Powiedział, że zwierzę potrafił motocykl i że można to ustalić na podstawie obrażeń czaszki lisa.

- Jak mam się do pana zwracać? - zapytała Lisa June Peterson.
- Muszę to przemyśleć. Jesteś głodna?
- Byłam. - Odwróciła się, gdy małym nożykiem zaczął oprawiać lisi comber.
- To mój pierwszy powrót do Tallahassee - powiedział.
- Gdzie pan teraz mieszka?
- Wiesz, co naprawdę jest smaczne? Dobrze upieczony opos.
- Będę uważała, czy na jakiegoś nie natrafię.
- Powiedz mi jeszcze raz, co robisz dla pana Richarda Artemusa.

Wyjaśniła.

- Ja też miałem „główną asystentkę” - oznajmił Clinton Tyree. - Starala się, naprawdę. Aleja byłem właściwie niemożliwym przypadkiem.
- Wiem o tym wszystko.
- W jaki sposób? Byłaś wtedy niemowlęciem.

Lisa June Peterson opowiedziała mu o poszukiwaniach, które przeprowadziła na prośbę gubernatora Artemusa. Nie powiedziała mu o pomyśle, który wciąż krążył jej po głowie, nie pozwalając zasnąć nocami - aby napisać książkę o Clintonie Tyree, zaginionym gubernatorze Florydy.

- Czy twój szef powiedział, po co mu są potrzebne moje akta? - Znowu ten uśmiech. - Nie, nie przypuszczam.
- Proszę mi powiedzieć - rzekła Lisa June.
- Moje biedactwo.
- O co chodzi?

- Twój gubernator Dick ma dla mnie drobne, niezbyt przyjemne zlecenie. Jeżeli nie zrobię, czego chce, ma zamiar wyrzucić mojego biednego, bezradnego brata na bruk, gdzie niewątpliwie stanie się ofiarą otaczającego go chaosu. Dlatego tu jestem.

Lisa June poczuła nagle gdzieś wewnątrz bolesne ukłucie. Ona też była winna.

- Doyle'a? - spytała.

Clinton Tyree uniósł krzaczastą brew.

- Tak. Mojego brata Doyle'a. Przypuszczam, że o nim również była mowa w twoich cholernych materiałach.

- Tak mi przykro - powiedziała. Ale jednocześnie myślała: Dick Artemus nie mógłby z zimną krwią szantażować kogokolwiek w ten sposób.

Były gubernator nadział kawałki lisiego mięsa na czubek ostruganej gałęzi dębu i umieścił je nad płomieniem.

- Dlatego przyszedłem zobaczyć się z nim - twoim szefem - aby dać mu do zrozumienia, jak oplakane będą skutki, jeśli spróbuje mnie jakoś oszukać. Musi sobie uświadamiać, jak poważnie traktuję warunki naszej umowy.

- Może jednak źle pan coś zrozumiał? - spytała Lisa June.

Clinton Tyree spojrzął na nią znużonym wzrokiem. A potem pogrzebał chwilę w zakurzonej plecaku i wyciągnął nierówno złożoną i poplamioną kopertę. Lisa June otworzyła ją i przeczytała napisany na maszynie list, dostarczony Clintonowi Tyree przez jego najlepszego przyjaciela, porucznika Jima Tile'a. To, że pismo nie było podpisane, nie miało znaczenia - Lisa June bez trudu rozpoznawała pompatyczną frazeologię, komiczne błędy ortograficzne, wyświechtane zdania. Autorem tej pogróżki mógł być jedynie czcigodny Richard Artemus, gubernator Florydy.

-Mój Boże. - Złożyła list. Ogarnęło ją przygnębienie. -Nigdy bym nie uwierzyła.

Clinton Tyree schwycił ją pod ramiona, uniósł i przybliżył jej twarz do swojej.

- Ja natomiast nie mogę uwierzyć - zagrmiał - że twój szef wpadł na taki beznadziejny, kretyński pomysł, żeby ze mną pogrywać. Właśnie ze mną!

Jego szkarłatne oko skierowało się w górę, do gwiazd, ale drugim, pe]. nym gniewu, wpatrywał się w nią z całą mocą.

- Jeżeli z powodu tej bzdury mojemu bratu zdarzy się coś złego, to ktoś umrze powolną, okrutną śmiercią, związaną z dużą liczbą otworów. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

Lisa June Peterson skinęła głową. Były gubernator postawił ją na ziemi.

- Spróbuj kawałek lisiej nóżki - zaproponował.

- Nie, dziękuję.

- Radziłbym ci spróbować.

- Może maleńki kawałek.

- Ludzie mówią na mnie Skink. Mów do mnie „kapitanie”.

- Dobrze - odparła Lisa June.

- Czy z jakiegoś powodu musisz być dziś w nocy w domu?

- Nie. Niezupełnie.

- Świetnie - rzekł Clinton Tyree i dołożył grubą gałąź do ogniska. - Będziemy więc mieli czas poznać się nawzajem.

Lot z Fort Lauderdale do Gainesville trwał dziewięćdziesiąt minut, więc Palmer Stoat miał mnóstwo czasu, by przemyśleć wydajną połowę dnia. Dzięki dwuminutowej rozmowie telefonicznej zarobił czterdzieści kawałków. Kobieta z drugiej strony przewodu była przewodniczącą Komisji Miami-okręgu Dade i uprzejmie przeniosła na sam koniec porządku obrad nocnej sesji sprawę o wielkim znaczeniu dla Palmera Stoata. Chodziło o wniosek o przyznanie wyłącznej koncesji na pieczone banany w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Miami osobnikowi, który nazywał się Lester „Wielki Louie” Buccione i który, by skorzystać z ułatwień dla mniejszości etnicznych, podawał się obecnie za Le-storina Luisa Banderasa, Amerykanina pochodzenia latynoskiego.

Aby uniknąć nieprzyjemnej perspektywy konkursu ofert, Lester/Lesto-rino zapewnił sobie lobbystyczne usługi Palmera Stoata, którego powiązania z członkami komisji Miami-Dade były dobrze znane. Gdy Palmer znalazł już niezbędną furtkę i porozumiał się z wymaganą przy głosowaniu większością, pozostało mu tylko się upewnić, że sprawa kontraktu na pieczone banany będzie umieszczona na końcu porządku obrad, co zagwarantuje, że „dyskusja” na ten temat odbędzie się nie wcześniej niż o północy. Cała strategia polegała na zminimalizowaniu wpływu na decyzję w tej kwestii osób, które mogłyby się okazać przeciwnikami, dzięki zmniejszeniu do minimum liczby obecnych na obradach. Niewielu ludzi oznaczało niewielką opozycję, co redukowało prawdopodobieństwo, że jakiś tchórzliwy członek komisji przestraszy się i spieprzy całą sprawę.

Była to podstawowa zasada politycznego ustawiania sprawy. Im później głosowanie, tym lepiej. Posiedzenia rządowe były zazwyczaj tak potwornie nudne, że nawet najbardziej wytrzymałe społeczne wampiry nie potrafiły wysiedzieć na nich od pierwszego do ostatniego uderzenia młotkiem. Generalnie rzecz biorąc, jedynymi osobami, które pozostawały na sali do późnych godzin, były te, którym płacono za siedzenie tutaj - prawnicy, lobbyści, stenografowie i nieliczni senni dziennikarze. A ponieważ najbardziej podejrzane interesy zostawiano na sam koniec obrad, kiedy sala już pustoszała, walczone zaciekłe o miejsce na samym końcu listy.

Lester Buccione z zachwytem przyjął wiadomość, że sprawa kontraktu na pieczone banany będzie ostatnią sprawą porządku dziennego i zostanie rozpatrzona w atmosferze cmentarnego spokoju. Przewodnicząca Komisji Miami-okręgu Dade poprosiła tylko, aby w zamian za tę przysługę jeden z jej całkowicie nieudanych kuzynów został zatrudniony na pół etatu jako kasjer w którymś z nowych bananowych kiosków Lestera. „Lestorino” był tak uszczęśliwiony, że natychmiast wysłał do domu Palmera Stoata czek ka-sjerski na czterdzieści tysięcy dolarów, który w cudowny sposób umocnił nadwątloną pewność siebie lobbyisty. Było to bowiem pięciocyfrowe potwierdzenie, że planeta nie zmieniła swojej osi, że słuszny porządek miejskiego łańcucha pokarmowego nie został zakłócony pomimo szaleństw, które nękały prywatny wszechświat Palmera Stoata.

Głaskał właśnie czek od Lestera Buccionega, napawając się jego szeleszczącą obecnością, gdy nagle ni z tego, ni z owego jego zaginiona żona zadzwoniła i poprosiła go, aby znowu wyczarterował samolot do Gainesville. Natychmiast! Palmer Stoat pomyślał: Dzięki Bogu, odzyskała wreszcie zdrowy rozsądek. Polecą po nią, a potem wyjadana jakiś czas gdzieś daleko, do miejsca, gdzie nie będą im już zagrażać szaleni dręczyciele psów, lubieżne, tyse cyklopy, sadystycznymi faceci z blond jeżozwierzem, głaszczący lalki Clapley...

Samolot wylądował o wpół do trzeciej. Stoat wypatrywał Desie w terminalu, ale tam jej nie było. Zadzwonił jeden z jego telefonów komórkowych -zawsze nosił trzy - i Palmer wyszarpnął go z kieszeni. Dzwonił Durgess. Na razie nie udało mu się nic z nosorożcem, ale ma dobre wiadomości w sprawie geparda dla Roberta Clapleya! Znaleźli jednego aż w Hamburgu, w zoo dla dzieci. Kot za kilka dni przyjedzie na plantację Dzika Sawanna, gdzie zostanie umieszczony w klatce, wymyty i utuczony przed wielkimi łowami. „Kiedy tylko będziecie panowie gotowi!” - zaprosił Durgess tak dziarsko, jak nigdy dotąd. »Powiadomę pana Clapleya - odparł Stoat - i skontaktuję się”.

Wyszedł na parking przy lotnisku i mrużąc oczy przed słońcem, rozglądał się, nie wiedząc właściwie, czego ma szukać. Dwukrotnie zatrąbił klakson. Stoat odwrócił się i zobaczył podjeżdżającego wolno białego buicka combi. Za kierownicą siedział mężczyzna, ale Desie nie było widać. Samochód zatrzymał się przy Palmerze i drzwi od strony pasażera otworzyły się. Stoat wsiadł. Na tylnym siedzeniu leżał Boodle, trzymając między łapami pomarańczowo--niebieską piłkę z gąbki. Pies załomotał radośnie ogonem na widok Stoata, ale nie wypuścił zabawki. Stoat wyciągnął do tyłu rękę i pogłaskał go po głowie.

- Tylko na tyle cię stać? - zapytał kierowca.

- On śmierdzi - wyjaśnił Stoat.

- Jasne, że śmierdzi. Cały ranek spędził, goniąc krowy. A teraz przytul go.

Na pewno nie w garniturze za dwa tysiące dolarów, pomyślał Stoat.

- To ty byłeś u Swaina - powiedział do mężczyzny za kierownicą. - Gdzie, u diabła, jest moja żona?

Samochód ruszył.

- Słyszysz mnie?

- Cierpliwości - rzekł kierowca. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Miał na sobie granatowy podkoszulek, luźne, wypłowiałe džinsy, a na nosie okulary przeciwsłoneczne. Jego włosy były rozczochrane i zbieleły od słońca, a skóra brązowa jak u surfera. Prowadził samochód na bosaka.

- Próbowaleś mnie przestraszyć - powiedział Palmer Stoat. - Chciałeś, abym myślał, że pokroiłeś mi psa. Jaki chory skurwysyn mógłby postąpić w ten sposób?

- Zdeterminowany.

- Skąd wzięłeś ucho i łapę?

- To nieważne - odparł młody człowiek

- Gdzie jest Desie?

- O rany, ta twoja woda kolońska...

- GDZIE JEST MOJA ŻONA?

Roadmaster jechał na północ, w stronę Starke, z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Stoat ze złością zacisnął dłonie. Jego wilgotne miękkie pięści wyglądały równie groźnie, jak biskwity.

- Dokąd, u diabła, mnie wieszysz? Jak się nazywasz? - Stoata ośmielał fakt, że porywacz sprawiał wrażenie nieuzbrojonego. - Pójdiesz do więzienia, wiesz o tym, chłopaczku? I im dłużej trzymasz moją żonę i psa, tym dłużej twoja nieszczęsna dupa będzie tkwiła za kratkami.

- Ta blondyna - powiedział kierowca - z którą czasami podróżujesz, ta z torebką od Gucciego... czy Desie o niej wie?

- Co? - Stoat starał się, by w jego głosie zabrzmiało oburzenie, ale jednocześnie myślał: Skąd, u licha, on wie o Robercie?

- Mówię o tej, z którą widziałem cię na lotnisku w Lauderdale, kiedy łaskotała ci migdałki językiem.

Stoat oklapł. Czuł się, jakby miał tysiąc lat.

- No dobra. Postawiłeś na swoim - stęknął.

- Jesteś głodny? - zainteresował się kierowca.

Podjechał do McDonalda i zamówił koktajle czekoladowe, frytki i podwójne cheeseburgery. Boodle wypuścił piłkę i usiadł, by pożerać podawane mu kąski. Kierowca ostrzegł Stoata, aby nie dawał psu niczego z torby od McDonalda.

- Polecenie lekarza - wyjaśnił.

- Jego choroba to przede wszystkim twoja wina - powiedział Stoat z wydętymi, pokrytymi niebieskimi żyłkami i wypełnionymi burgerem policzka mi. - To ty wydłubałeś wszystkie szklane oczy z głów moich trofeów. Tego właśnie się nażarł ten wielki głupol - oczu wypchanych zwierząt.

- Z głów trofeów. Tak, wiem.

- Czy Desie powiedziała ci, ile kosztowała operacja?

Kierowca pokręcił galkami odtwarzacza stereo. Stoat rozpoznał muzykę - była to rockowa piosenka, którą kilka razy słyszał przez radio.

- Słowo daję - oznajmił młody człowiek - te głośniki wcale nie są złe.

- Czemu ukradłeś mi psa? - Stoat wytarł wargi papierową serwetką. - Słucham. To powinno być ciekawe. - Skończył pożerać podwójnego cheeseburgera, a następnie zmiął zatłuszczony woskowany papier opakowania.

Brwi młodego mężczyzny uniosły się do góry, ale nie spuścił wzroku z autostrady.

- Nie mów, że się nie domyśliłeś - rzekł.

- Czego się nie domyśliłem?

- Czemu się tobą zająłem. Od czego zaczęła się ta zabawa na ostro - naprawdę tego nie wiesz?

- Wiem tylko tyle - odparł Stoat - że jesteś jakimś cholernym psycholem. Ja zaś zrobiłem to, czego chciałeś, i przyjechałem odebrać żonę i psa. - Gmerał w drzwiach, poszukując przycisku do opuszczania okna.

- O rany - powiedział kierowca.

Stoat sprawiał wrażenie poirytowanego.

- O co znowu chodzi?

- Nie mogę w to uwierzyć - jęknął chłopak za kierownicą.

- W co uwierzyć? - zapytał Stoat, nie domyślając się niczego. Wyrzucił zwinięte opakowanie po cheeseburgerze z pędzącego samochodu.

- W co uwierzyć? - powtórzył pytanie ułamek sekundy przed tym, kiedy coś boleśnie eksplodowało w jego mózgu i cały świat stał się czarny jak sadza.

W swoim następnym śnie Twilly był na Everglades, gdzie padał deszcz jastrzębi. Znowu biegł po brzegu przylądka Sable, a ptaki spadały wszędzie, zestrzeliwane z nieba. W tym śnie Desie biegła na bosaka obok niego. Podnosili zakrwawione jastrzębie z białego jak cukier piasku w nadziei, że znajdą choć jednego żywego, jednego, którego zdołają ocalić. McGuinn również było obecny we śnie Twilly'ego i gonił go chudy ryś na trzech łapach - byłoby to nawet zabawne, gdyby nie te ptaki, spadające na plażę jak rdzawe, opierzone bomby. We śnie Twilly zobaczył plamkę na horyzoncie, a kiedy podbiegł bliżej, plamka zmieniła się w męczyznę stojącego na grzbiecie wydmy - męczyznę z długą strzelbą wycelowaną w niebo. Twilly pomknął na złamanie karku, krzycząc do mordercy jastrzębi, żeby przestał strzelać. Męczyzna opuścił broń i odwrócił się, by zobaczyć, kto się zbliża. Zesztywniał i z powrotem podniósł strzelbę, tym razem mierząc do Twilly'ego. W swoim śnie Twilly opuścił ramiona i pobiegł, najszybciej jak potrafił, w stronę zabójcy jastrzębi. Zdziwił się, słysząc, że Desie wbiega na wydmy tuż za nim, jeszcze szybciej niż on. Zobaczył błysk z lufy w chwili, gdy dłoń Desie dotknęła jego ramienia. Ale nie była to dłoń Desie, lecz jego matki. Amy Spree łagodnym po-trząśnięciem obudziła syna.

- Mój Boże, Twilly, śniło ci się coś? Kiedy się to zaczęło? - pytała.

Twilly usiadł, zlany zimnym potem.

- Jakiś tydzień temu.

- I co ci się śni?

- Że biegnę po plażach.

- Po tylu latach! Jakież to cudowne.

- I martwe ptaki - dodał Twilly.

- Ojej. Chcesz pić?

- Nie, dziękuję, mam.

- Twoja przyjaciółka odpoczywa na werandzie - powiedziała Amy Spree.

- Idę.

- A ten mężczyzna z poszewką na głowie?

- Tak, mam.

- Ona mówi, że to jej mąż.

- To prawda.

- Och, Twilly. Co jeszcze?

Amy Spree była pięćdziesięciopięcioletnią oszałamiającą kobietą. Miała białą skórę bez najmniejszej skazy, nieśmiało zielone oczy i wspaniałe włosy ze srebrnymi pasemkami. Biorąc pod uwagę zarówno awersję matki do tropikalnego słońca, jak i jej poprzedni związek z rozpustną świnią, która zarabiała na życie wyprzedając nadmorskich nieruchomości, Twilly uznał za swego rodzaju ironię fakt, że po rozwodzie wybrała na miejsce zamieszkania Flagler Beach. Jednakże Amy Spree mówiła, że kojąco działają na nią atlantyckie wschody słońca (które były zbyt krótkie, by spowodować zmarszczki na jej twarzy) i nie żywi urazy do Małego Phila (którego wykreśliła ze swojej pamięci jako „pogmatwanego i bez poczucia bezpieczeństwa”). „Poza tym -oświadczyła - brzeg jest idealnym miejscem do ćwiczenia tańca, gry na klarncie i jogi, ponieważ wszystkie te zajęcia wymagają samotności”. Którą jej syn przerywał raz do roku w dniu jej urodzin.

- Nie wiedziałem, co ci kupić - powiedział Twilly.

- Nonsens - roześmiała się cicho jego matka. - Otrzymałam najlepszy prezent na świecie w chwili, gdy zastukałeś do drzwi.

Znajdowali się w kuchni. Amy Spree przygotowywała dzbanek nie słodzonej, mrożonej herbaty dla Twilly'ego, jego nowej przyjaciółki i jej męża, który siedział przywiązany do białego fotela na biegunach (był to swego czasu ulubiony fotel jej męża).

- A może psa? - Twilly zapytał swoją matkę. - Nie chciałabyś psa?

- Tego psa? - Amy Spree spojrzała na McGuinna, który z wygłodniałąminą usadowił się przy drzwiach do lodówki. - Nie sądzę - powiedziała. - Jestem bardzo zadowolona z moich drzewek bonsai. Ale mimo wszystko dziękuję.

Nałożyła słomkowy kapelusz, wielki jak pokrywka na pojemnik ze śmieciami. A potem zaniósła szklanekę herbaty Desiracie Stoat, siedzącej na zewnątrz, na werandzie wychodzącej na ocean. Twilly przyszedł później, ciągnąc za sobą Palmera Stoata w fotelu na biegunach. Umieścił go na werandzie, obok Desie, a potem usiadł na cedrowej ławce obok matki.

- Z natury nie jestem wścibską osobą - powiedziała Amy Spree.

- Nie ma sprawy - odparła Desie. - Powinna pani wiedzieć. - Spojrzała na Twilly'ego, jakby pytając go, od czego zacząć.

Wzruszył ramionami.

- Mąż pani Stoat jest skończonym śmieciuchem, mamó. Niepoprawnym niechlujem i psujem. Zupełnie nie mogę go nauczyć dobrego zachowania.

- Na wybrzeżu zatoki jest wyspa - wtrąciła się Desie. - Klienci mojego męża mają zamiar przerobić ją spychaczami na ośrodek golfowy. Sympatyczną małą wysepkę.

Matka Twilly'ego skinęła głową.

- Byłam żoną takiego człowieka - oznajmiła, marszcząc brwi. - Byłam młoda. Odeszłam.

Od strony Palmera Stoata dobiegły pojękiwania. Poszewka na jego ustach wydymała się i opadała z powrotem. Desie oparła stopę na biegunie fotela i zaczęła go wolno kołysać.

- O co chodzi? - zapytała męża. - Chce ci się pić?

- Czacha go boli - powiedział Twilly. - Palnąłem go dość mocno.

- Za wyrzucanie śmieci z samochodu - wyjaśniła Desie matce Twilly'ego.

- Och - westchnęła Amy Spree. - Zawsze miał kłopoty z opanowywaniem gniewu. Nawet kiedy był chłopcem.

- W dalszym ciągu jest chłopcem - powiedziała czule Desie.

Amy Spree uśmiechnęła się.

- Wystarczy już tego - powiedział Twilly. Zdjął poszewkę z głowy Palmera Stoata i zerwał mu z ust taśmę klejącą. - Powiedz dzień dobry mojej mamie - polecił.

- Dzień dobry - wymamrotał Stoat, mrużąc oczy przed światłem słonecznym.

- Jak się pan miewa? - zapytała Amy Spree.

- Do dupy. - Policzki Stoata były zaczerwienione, a wargi popękane.

Na jego lewej skroni widniał guz wielkości śliwki.

- Panie Stoat - oznajmił Twilly - proszę opowiedzieć mojej matce o moście.

Palmer Stoat zamrugnął powoli niczym ropucha budząca się ze snu zimowego. Desie dalej kołysała jego fotelem.

- Proszę jej powiedzieć, jak mnie okłamałeś w sprawie tego mostu, jak skłamałeś, mówiąc, że gubernator skreślił most, dzięki czemu wyspa będzie ocalona. Mamó, pan Stoat jest bliskim przyjacielem gubernatora Richarda Artemusa.

- Doprawdy? - zapytała Amy Spree.

Stoatowi udało się spojrzeć gniewnie na Twilly'ego.

- Nie wiesz zupełnie, o czym mówisz.

Twilly uniósł ręce ze zde gustowaną miną.

- Obiecywałeś, że mostu nie będzie, ale - proszę, proszę - z kimże się zetknąłem dzisiaj rana na

Ropuszej Wyspie? Zespół geodetów, mamó. Robiących pomiary - niespodzianka! - do budowy nowego mostu.

- Ooo... - zdziwiła się Amy Spree.

- Bez niego klienci pana Stoata nie mogą zbudować swojego bajeranckiego ośrodka, ponieważ ich ciężarówki z cementem nie zdołają przejechać nad wodą.

- Tak, synku, rozumiem.

Na werandę wkroczył leniwie McGuinn. Obwąchał węzły na przegubach Stoata, a potem od niechcenia szturchnął nosem w krocze swojego pana.

- Boodle, nie! - Stoat szarpnął się w fotelu. - Przestań, do cholery!

Amy Spree odwróciła głowę, starając się powstrzymać chichot. Na plaży za werandą stało z pół tuzina gołych do pasa młodych surferów ze swoimi deskami pod pachą. Patrzyli posępnie na płaską powierzchnię morza. Amy Spree, której najnowszym hobby była fotografia, uznała, że scena ta jest ładnie zakomponowanym obrazkiem. McGuinn zbiegł po schodach, aby powitać nowych przyjaciół.

- I co teraz? - Twilly głośno klepnął dłońmi po udach. - Oto pytanie dnia, Desie. Co zrobimy z tym kłamiwym, śmiejącym palantem, twoim mężem?

Desie spojrzała na matkę Twilly'ego, matka Twilly'ego popatrzyła na Palmera Stoata. Ten zaś odchrząknął i powiedział:

- Dajcie mi jeszcze jedną szansę.

- Mówisz do mnie - zapytał Twilly - czy do swojej żony?

- Do was obojga.

- Palmerze - odezwała się Desie. - Nie jestem pewna, czy chcę wracać do domu.

- Och, na litość boską - parsknął ze zniecierpliwieniem Palmer Stoat. - Więc czego właściwie chcesz, Desie?

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Chcesz zostać Bonnie Parker, co? A może Patty Hearst? Chcesz znaleźć się w nagłówkach gazet.

- Pragnę jedynie...

- Doskonale. W takim razie nie wracaj do domu - powiedział Palmer Stoat. - Możesz się nie trudzić.

Amy Spree wstała.

- Synu, chcę, żebyś mi trochę pomógł na dole, w garażu.

- Spokojnie, mamó - rzekł Twilly. - Wszystko jest w porządku.

Amy Spree usiadła. Desie Stoat zdjęła nogę z bieguna fotela, a jej mąż powoli przestał się kołysać.

- Możesz robić, co sobie chcesz - warknął do żony. - Pieprzę cię. Pieprzę tego głupiego labradora. Do diabła z wami obojgiem.

- Nie musi pan wyrażać się wulgarnie - upomniała go matka Twilly'ego.

- Proszę pani, jestem przywiązany do tego cholernego fotela!

- Och, proszę - powiedziała Desie. - W ostatnich dwóch latach wcale nie byłeś ideałem męża.

Stoat wydał dźwięk jak przedziurawiona futbolówka.

- Moi adwokaci skontaktują się z tobą, Desirato. A teraz lepiej będzie, jeżeli któreś z was, czubki, mnie rozwiąże. - Obrócił głowę, by spojrzeć na Twilly'ego. - A jeżeli chodzi o most na Ropuszą Wyspę, chłopcze, nie ma żadnego cholernego sposobu, dzięki któremu ty albo ktokolwiek na tej bożej planecie mógłby powstrzymać jego budowę. Możesz sobie mieć moją żonę, możesz mieć mojego psa, ale nowy most zostanie zbudowany bez względu na to, czy ten fakt ci się podoba, czy nie. To coś, co nazywamy przesądzoną sprawą, chłopcze - bez względu na to, ile wyślesz psich uszu, łap czy jajek. A więc natychmiast zdejmij ze mnie te sznury, zanim zacznę robić tu piekło.

Desie nigdy dotąd nie widziała swojego męża w stanie takiej pasji. Twarz miał nabrzmiałą jak bakłażan.

- Palmerze, dlaczego musiałeś kłamać? - zapytała.

Zanim Palmer znowu zaczął jej wymyślać, Twilly nakleił mu na usta nowy pasek taśmy klejącej. Powłoczka zasłoniła szeroko otwarte i przepelnione nienawiścią oczy.

- Synu, nie obchodź się zbyt brutalnie z tym człowiekiem - powiedziała Amy Spree.

Twilly ponownie wciągnął fotel do domu, a Desie gwizdnięciem przywołała McGuinna. Potem Amy Spree podała obiad - krewetki w sosie po-midorowo-bazyliowym i ryż. Przyciągnęli do stołu również Palmera Stoata, ale całym szeregiem brząjących arogancko pomruków dał do zrozumienia, że nie jest szczególnie głodny.

- Jeżeli zmieni pan zdanie, jest tego jeszcze dużo - oznajmiła matka Twilly'ego. - I przepraszam was, dzieci, że nie mam wina.

- Mama rzuciła picie - wyjaśnił Desie Twilly.

- Ale gdybym wiedziała, że przyjdziecie, kupiłabym butelkę sympatycznego merlot - dodała Amy Spree.

- To nam wystarczy. Jedzenie jest fantastyczne - oznajmiła Desie.

- A co z waszym szczeniakiem?

- Zje później, pani Spree. W samochodzie jest paczka jego karmy.
Na deser był sernik z czekoladą. Twilly kroił sobie drugi kawałek, kiedy matka powiedziała:

- Ojciec pytał o ciebie.
- Wciąż z nim rozmawiasz?
- Dzwoni od czasu do czasu. Pomiedzy zajęciami.
- 1 jak przebiega zabudowa Zachodniego Wybrzeża? - zapytał Twilly.
- O tym właśnie chciałam ci powiedzieć. Rzucił ten interes!
- Nie wierzę. Rzucił czy się wycofał?
- Między nami mówiąc, odebrano mu licencję na handel nieruchomościami.
- W Kalifornii?
- Nie wdawał się w makabryczne szczegóły.

Twilly wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Czy nie trzeba kogoś wypatroszyć, żeby stracić w Kalifornii licencję na handel nieruchomościami?
- Synu, ja również nie mogłam w to uwierzyć. Wiesz, czym obecnie handluje? Domowymi cyfrowymi systemami rozrywkowymi. Przesłał mi kolorową broszurkę, ale nic z niej nie rozumiałam.
- Wiesz, mam, co mnie wkurza? - zapytał Twilly. - Po śmierci Dużego Phila wcale nie musiał zajmować się interesami. Tyle forsy... tata nie musiał już sprzedawać ani jednego cholernego metra plaży. Mógłby przeprowadzić się na Bahamy i zająć się wędkarstwem.
- Nie, nie mógł - odparła Amy Spree. - Ponieważ ma to we krwi, Twilly. Sprzedawanie wybrzeży oceanu ma we krwi.
- Proszę, nie mów tak.
- Przepraszam - wtrąciła się Desie - ale Palmer zachowuje się tak, jakby chciał skorzystać z pomieszczenia dla chłopców.
- Znowu? - Twilly wstał, poirytowany. - Jezu, on ma pęcherz mniejszy nawet od swojego sumienia.

Później Amy Spree odprowadziła ich na dół, gdzie jej syn wciągnął fotel (wraz z szarpającym się ze sznurami Stoatem) do wnętrza kombi.

- Twilly, co masz zamiar z nim zrobić? - spytała. - Na litość boską, przemyśl to. Masz dwadzieścia sześć lat.
- Chcesz zrobić mu zdjęcie, mam? Lubi, jak się mu robi zdjęcia. Mam rację, Palmerze?

Spod wydętej powłoczki dobiegło parsknięcie.

- Zwłaszcza polaroidy - dodał Twilly.

Desie zaczerwieniła się. Od strony fotela dobiegł bolesny jęk.

- Twilly, nie rób czegoś, czego mógłbyś potem żałować - ostrzegła go Amy Spree. A potem zwróciła się do Desie. - Pozostanie pani przy nim, prawda? Musi jakoś się opanować i popracować nad swoim gniewem.

Twilly wsunął się za kierownicę, Desie usiadła obok, a McGuinn wcisnął się w środek, śliniąc tablicę rozdzielczą.

- Kocham cię, synku - powiedziała Amy Spree. - Masz, zapakowałam ci resztę sernika.
- Ja też cię kocham, mam. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.
- Dziękuję, że pamiętałeś.
- I odwiozę ci ten bujany fotel.
- Nie ma pośpiechu.
- Może w przyszłym roku - obiecał Twilly. - A może wcześniej.
- Kiedy będziesz mógł - odparła jego matka. - Wiem, że jesteś zajęty.

Wiadomość o wecie gubernatora w jakiś sposób dotarła do Szwajcarii. Robert Clapley przeżył wstrząs, gdy w środku nocy zadzwonił do niego jeden z bankierów finansujących Wyspę Burzyków: „Co dzieje się z mostem?” Telefonował aż z Genewy o wpół do trzeciej nad ranem - zupełnie jakby nie wiedział o różnicy czasu, zimnokrwisty skurwiel.

Ale w chwili gdy zadzwonił telefon, Clapley był zupełnie rozbudzony i głowa mu płonęła. Przez całą noc próbował skontaktować się z Palmerem Stoatem, ponieważ Barbie szalały, domagając się proszku nosorożca. Clapley wrócił z Tamy i znalazł je zamknięte w łazience razem z rozkręconym na pełny regulator odtwarzaczem, który wrykiwał muzykę techno. Godzinę Później obie kobiety pojawiły się przed nim, rozchichotane, trzymając się pod rękę. Katia miała włosy pomalowane na różowo - identyczny odcień jak Jej obcisła bluzka - a z opalonego na brąz przedziałka pomiędzy jej piersiami wyłaniała się ozdoba, ruda kobra z obnażonymi kłami ociekającymi Jadem. Dla kontrastu Tisz była przebrana za mężczyznę, miała na sobie ulubiony garnitur Clapleya - ten szary od Armaniego - i nawet przykleiła sobie sztuczne wąsiki.

Clapley był przerażony. Kobiety wyglądały wulgarnie i perwersyjnie -jak anti-Barbie! Oświadczyły, że idą do klubu striptizowego przy lotnisku na konkurs amateerek. Pierwsza nagroda - tysiąc dolarów.

- Dam wam dwa - błagał Clapley -jeżeli zostanieie ze mną w domu.

- Masz róg? - zapytała Katia, puszczając złośliwie oko. - Nie? W takim razie załatwimy sobie parę. – I radośnie wybiegły z pokoju.

Bankier z Genewy pytał przez telefon:

- Most, panie Clapley, co się stało?

Robert Clapley bez końca starał się wytłumaczyć temu upartemu, zakutemu łbu, że nie ma powodu do niepokoju. Słowo daję. Zaufaj mi. Gubernator jest moim bliskim przyjacielem. Weto jest tylko sprytnym wybiegiem. Nowy most jest pewną rzeczą. Wyspa Burzyków to interes, którego nie można spieprzyć.

- Zrelaksuj się, Rolf, na miłość boską- gotowałem się wewnątrz Clapley. Podniósł słuchawkę tylko dlatego, bo myślał, że ten cholerny dupek Stoał wreszcie odpowiada na jego telefon albo może obyczajówka okręgu Palm Beach informuje, że zamknęli w areszcie Katię i Tisz...

- Ale f gazeta piszo...

- Mówiłem ci, Rolf, to tylko polityka. Pieprzona florydzka polityka i to wszystko.

- Ta, ale rozumie pan, pane Clapley, pszy linia kredytowa tak fielka jak ta, która my otfoszyli dla pana...

- Tak, wiem, coście mi otworzyli...

- Sto dziesięć milionów amerykańskich...

- Doskonale zdaję sobie sprawę z wysokości tej sumy, Rolf.

- Fiadomość taka jak ten muszi oczyfista wyfolacz pewna niepokój. To jest zrozumiale, nie? Jeżeli patrzeć na nasze riziko.

- Jasne. Więc pozwól, że powtórzę ci jeszcze raz. I możesz śmiało przekazać tę informację swoim wspólnikom w banku: Nie ma żadnego powodu do niepokoju, jasne? A teraz ty to powiedz.

- Tso? - rozległo się w słuchawce.

- Twoja kolej - rzekł Robert Clapley. - Powtarzaj za mną: NIE MA ŻADNEGO POWODU DO NIEPOKOJU. No dalej, Rolf, mów.

Problem polegał na tym, że Clapley nie miał wprawy w prowadzeniu interesów z bankierami. Przywykł do załatwiania spraw z ludźmi od prochów-przestępcami, oczywiście, ale o wiele bardziej elastycznymi i pragmatycznymi w sytuacjach, kiedy coś się nie układało. Przeciętny przemytnik narkotyków żył w świecie pełnym szajbusów, próżniaków i pierdołów, gdzie żaden dzień nie układa się dokładnie tak, jak planowano. Handlował narkotykami, bronią i lewą forszą, bez przerwy podejmując szaleńcze ryzyko, którego młody jlof w Genewie w żaden sposób nie był sobie w stanie wyobrazić. Ryzyko? -pomyślał Robert Clapley. Ten jeloł nie wie, co to słowo znaczy. -No, Rolf?

- Nie ma szadnego pofodu do niepokoju.

- Otóż to, chłopie - powiedział Clapley.

Zwrócił się do szwajcarskich bankierów tylko dlatego, że projekt Wyspy Burzyków rozrósł się tak bardzo, iż forsa za prochy - w każdym razie taka forsa z tego źródła, jaką dysponował Robert Clapley - okazała się niewystarczająca do jego sfinansowania. Och, Ropuszą Wyspę kupił samodzielnie, bez problemów. Jednakże, aby oczyścić teren i stworzyć tu ośrodek golfa i wypoczynku na światowym poziomie, potrzebny był poważniejszy szmalec. Jedyne dotychczasowe przedsięwzięcie Clapleya - siedemnastopiętrowy budynek mieszkalny przy Brickell Avenue w Miami - zostało sfinansowane wyłącznie z dochodów z marihuany i kokainy, które Clapley wyprał i pożyczył sam sobie za pośrednictwem fikcyjnej holenderskiej firmy holdingowej. Bardzo chciałby wykręcić taki sam numer z Wyspą Burzyków, ale nie miał pod ręką stu milionów w wolnej gotówce, a jedyni ludzie dysponujący taką forszą nie potrzebowali Roberta Clapleya - byli to doświadczeni specjaliści od prania pieniędzy z Kolumbii, którzy woleli inwestować w nieruchomości o charakterze handlowym niż w budownictwo mieszkaniowe.

Dlatego Clapley po raz pierwszy w życiu zaczął szukać legalnych partnerów i w końcu nawiązał kontakt ze szwajcarskimi bankierami, na których zestawienie kosztów i zysków wieżowca przy Brickell Avenue wywarło tak wielkie wrażenie, że zaproponowali mu niezwykle szczerą linię kredytową, by mógł zbudować i wprowadzić na rynek tę malowniczą wysepkę na wybrzeżu Florydy nad zatoką. Potem bankierzy w zasadzie pozostawili Clapleya w spokoju - do tego stopnia, że usłpili jego czujność, pozwalając mu pogrążyć się w samozadowoleniu.

Ponieważ w oczywisty sposób nie spuszczała swoich lodowato niebieskich, aryjskich oczu z jego dupy. Bo gdyby było inaczej, nie wiedzieliby przecież, że Dick Artemus zawetował ten pieprzony most na Wyspę Burzyków.

Mimo wszystko jednak Clapley wyczuwał, że młody Rolf czuje się niezręcznie w roli natrętnego inkwizytora i bardzo pragnie zachować stoicki spokój zgodnie z najlepszymi szwajcarskimi tradycjami bankierskimi...

- Z całą pewnością tego rodzaju drobne komplikacje już się zdarzały.

- Tak, oczywiście - rzekł Rolf. - Trobne komplikacje ciągle się zdarzają.

- Więc dlatego nie ma powodu się gorączkować i niepokoić – oznajmił Clapley. - I jeszcze jedno, Rolf.

-Tak.

- Następnym razem nie dzwoń o takiej pogańskiej godzinie. Mam tu damy.

- Och.

- Damy w liczbie mnogiej - dodał Clapley z wymownym chichotem.

- Jeszcze raz pszepraszam pana. Ale my możemy mieć nadzieje, że nie ma szadnych fięcej niespodzianki? To byłoby topsze.

- Och, to byłoby cudofne - pozwolił sobie na kpiny Robert Clapley, ponieważ wyczuł w głosie młodego bankiera pewną oschłość, która wcale mu się nie spodobała. - A teraz pora się pożegnać. Ktoś puka do moich drzwi.

- Ach, pewnie jedna z pańskich mnogich dam.

- Jeszcze raz dobranoc, Rolf.

Clapley założył jedwabny szlafrok, prawie dopasowany kolorystycznie do piżamy. Szybko podszedł do wizjera i aż zbulgotał z zachwytu. Palmer Stoat! Otworzył gwałtownie drzwi.

- Masz dla mnie proszek nosorożca!

- Nie, Bob. Coś lepszego.

Gdy Stoat go mijał, Clapley poczuł falę odoru rozgrzanego ciała, potu i nieświeżego oddechu. Lobbysta wyglądał koszmarnie - skórę miał wilgotną i pokrytą plamami, na głowie widniał paskudny, fioletowy siniak.

- Chodzi o Ropuszą Wyspę - oznajmił, wchodząc bez zaproszenia do kuchni. - Gdzie są przyszłe bliźniaczki?

- Na mszy - odparł Clapley.

- Po co? Żeby pokazać, jak potrafiąklęczyć? - Stoat sapał, jakby wszedł na szesnaste piętro na własnych nogach. - Nawiasem mówiąc, załatwiłem ci to polowanie na geparda.

- Fajnie. Ale teraz bardziej niż tlenu potrzebuję rogu martwego nosa różca.

Palmer Stoat pomachał dłonią, która sprawiała wrażenie lepkiej.

- Robi się, Bob. Przysięgam na grób mojej matki. Ale nie o tym chciałem ci powiedzieć. - Wyjął z lodówki karton soku pomarańczowego i butelkę wódki Absolut z barku. Następnie zrobił sobie wyjątkowo duży koktajl i opowiedział Robertowi Clapleyowi wszystko, co mu się przytrafiło po tym, jak dostał się w szpony zwariowanego porywacza psów.

- Poza tym urządził pranie mózgu mojej żonie. I dlatego zrobiłem, co następuje, Bob. Oto moja wielka nowina. Powiedziałem temu skurwielowi - nawiasem mówiąc, ma na imię Twilly - że może sobie zatrzymać Desie, zatrzymać tego cholernego psa, ale ma przestać marnować nasz czas. Most zostanie postawiony, powiedziałem mu. Ropusza Wyspa jest już historią. A więc odpieprz się! - Palmer Stoat mlasnęła wargami koloru wątroby i uśmiechnął się - Clapley wzruszył ramionami.

- I to wszystko?

Stoat przymrużył wilgotne świńskie oczka.

- Tak, Bob, ale to dużo. Nie będzie już wymuszeń. Ten facio nie ma już nic, na czym by mi zależało. Nie może nas powstrzymać i nie może nam nic zrobić.

- Masz tylko częściowo rację - oznajmił Clapley. - Jak zwykle.

- Nie, Bob. On jest żalorny.

- Doprawdy.

- On już nic nie znaczy. - Palmer Stoat powiedział to takim tonem, jakby wygłaszał oświadczenie. - Jest komarem. Jest człowiekiem bez miejsca.

- Mówi się „bez przyszłości”.

- Co nam może teraz zrobić? Co mu zostało? - Stoat uśmiechnął się paskudnie. - Już się wystrzelał, Bob.

Robert Clapley myślał o tym, jak Stoat źle wygląda. Prawie tak samo jak wówczas, gdy omal nie połknął małego szczura.

- Co więc chcesz powiedzieć, Palmerze?

- Naprzód przed siebie. - Stoat wlał kolejną porcję wódki do swojego drinka. - Od tej pory jedziemy całapara naprzód. Ty budujesz swój most i urządzasz te śliczne pola golfowe, a ja załatwiam sobie rozwód i nowego psa.

- Powiedziałeś, że ten chory fiutas ma na imię Twilly.

- Zapomnij o nim, Bob. To teraz problem Desie. Clapley zmarszczył brwi.

- Nie, Palmerze, nie mogę o nim zapomnieć. Zadał sobie wiele trudu, aby przedstawić ci swój punkt widzenia. Obawiam się, że nie przestanie robić nam koło pióra.

- Na litość boską, a co on może - rzucić się pod spychacz? Machnij na niego ręką - powiedział Stoat. - Skończona sprawa, Bob. Odwołaj pana Gasha i wyślij go z powrotem do Liquid czy do innego któregoś tam cholernego klubu, skąd go wytrzasnąłeś.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

Stoat ostrożnie przyłożył zimną szklankę z wódką do guza na głowie.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz ochoty tego zrobić, prawda?

- Chcę powiedzieć, że to niemożliwe, Palmer. Nawet gdybym chciał to zrobić. W chwili obecnej pan Gash nie porozumiewa się ze mną. Ma takie napady.

Palmer Stoat zamknął oczy. Przezroczysta kropla ze szklanki z wódką stoczyła się po jego bladym policzku.

- Czy może zrobić krzywdę Desie?

- W pewnych okolicznościach niewątpliwie - odparł Clapley. - Do diabła, spotkałeś go przecież. To prymityw. Weź gorący prysznic, poczujesz się lepiej. A potem pójdziemy poszukać bliźniaczek.

Całą noc czekał na próżno na buicka combi. Zaparkował swój samochód w sosnowym gaju niedaleko od pensjonatu pani Stinson i odtwarzał bez przerwy swoje najcenniejsze nagranie 911 - prywatna, nielegalna produkcja, której nie można było dostać nigdzie i za żadną ceną - nawet w Internecie. Pan Gash dowiedział się o niej pewnego popołudnia podwieszony w swojej wykonanej na zamówienie seksualnej uprzęży pod belkami stropowymi swego klimatyzowanego mieszkania w South Beach. Jedną z kobiet znajdujących się poniżej w łóżku cudownym zbiegiem okoliczności okazała się praktykantką w policyjnej centrali dyspozycyjnej w Winnipeg, w Kanadzie. Miała ona przyjaciela, który miał przyjaciela pracującego w straży pożarnej w Duluth w Minnesocie, gdzie podobno zdarzył się ów niezwykle wypadek.

Za trzysta dolarów pan Gash zdobył to nagranie - nieopracowane i nie-ocenzurowane. Pod rozmowę podłożył ofertorium d-moll Misericordias Domini Mozarta.

DZWONIĄCY: Mam stan zagrożenia!

DYSPOZYTOR: Proszę mówić.

DZWONIĄCY: Moja żona myśli, że jestem w Eau Claire!

DYSPOZYTOR: Słucham?

DZWONIĄCY: Ale jestem pięć i pół tysiąca metrów nad Duluth i spadam jak pieprzony kamień!

DYSPOZYTOR: Proszę pana, tu straż pożarna Duluth. Proszę powiedzieć, na czym polega zagrożenie.

DZWONIĄCY: Dobra, oto moje zagrożenie. Jestem w samolocie, który za chwilę się rozpieprzy. Straciliśmy silnik, może oba - oooo, o Jezu! - i spadamy, a moja żona myśli, że jestem w Eau Claire w Wisconsin.

DYSPOZYTOR: Jest pan w samolocie?

DZWONIĄCY: Tak! Tak! Dzwonię z komórki.

DYSPOZYTOR: I jest pan w Duluth?

DZWONIĄCY: Nie, ale zbliżam się z każdą sekundą. O Boże! O Boże, tak ko... ko... ziołkujemy!

DYSPOZYTOR: Proszę się nie rozłączać...

DZWONIĄCY: Proszę, musicie zadzwonić do mojej żony. Powiedźcie, że firma wysłała mnie w ostatniej chwili w głąb stanu. Powiedźcie jej... nie wiem, wymyślcie coś, gównu mnie to obchodzi... cokolwiek!

DYSPOZYTOR: Proszę pana, ja... czy pilot miał atak serca?

DZWONIĄCY: Nie! Dałbym panu z nim pogadać, ale jest teraz raczej zajęty, próbuje wyciągnąć nas z tego nurkowania... oooo... Matko Boska... ooooo!!

DYSPOZYTOR: Jaki to typ samolotu? Może mi pan podać numer rejsu?

DZWONIĄCY: Nie wiem... O, Boże, tak się kręci, tak się Kręci, o Jezu... Chyba widzę, eee, pola zboża...

Moja żona ma na imię Miriam, OK? Jej numer telefonu ma kierunkowy... ooch... numer kierunkowy...

DYSPOZYTOR: Pola zboża? Coś jeszcze? Czy widzi pan już Duluth?

DZWONIĄCY: Oooooaaach...

DYSPOZYTOR: Proszę pana, muszę znać miejsce, bo nie mogę wysłać jednostek.

DZWONIĄCY: Już za późno na jednostki... Ooooo... po prostu... ooooo, Jezu, po prostu powiedz pan, żeby szukali wielkiej, dymiącej dziury w ziemi... To będziemy my...

O ja pieprzę! JA PIEEPRZE!...

DYSPOZYTOR: Proszę pana, muszę przełączyć pana na oczekiwanie, ale proszę się nie wyłączać. Proszę pana? Jest tam pan?

Pana Gasha fascynowała ta rozmowa - myśl, że oszukujący żonę mąż, który leciał mającym się za chwilę rozbić samolotem, był w stanie zapanować nad sobą do tego stopnia, że potrafił zadzwonić na 911 tylko po to, żeby zabezpieczyć swoją i tak skazaną dupę. Cóż za godny podziwu, daremny wysiłek! Cóż za czarująca desperacja!

Odtwarzał taśmę kilkanaście razy. Wszystko tam było, całe pięć i pół kilometra bebeszastego przerażenia. Wszystko poza ostatecznym uderzeniem

I eksplozją.

„Za późno na jednostki”.

Człowieku, pomyślał pan Gash, ten biedny sukinsyn miał pod każdym względem rację.

Facet z Duluth przesłał panu Gashowi razem z kasetą wycinek prasowy. Dwusilnikowy samolot leciał z

St. Paul. Spadł na pole jakiejś farmy - dwadzieścia jeden trupów, nikt nie ocalał. Miejscowe władze nie ujawniły nazwiska pasażera, który telefonował z kabiny, powiedziały, że nie chcą sprawić przykrości rodzinie. Oryginalna taśma z 911 została przekazana do Narodowego Biura Bezpieczeństwa Transportu i zabezpieczona jako dowód rzeczowy w dochodzeniu powypadkowym. Wersja przesłana panu Gashowi była wysokiej jakości kopią drugiej generacji. Przyszło mu nagle do głowy coś, co zwiększyłoby jeszcze dramatyzm nagrania: należało podłożyć pod to symfoniczny kawałek, który kończyłby się przypominającym katastrofę crescendo cymbałów - muzyczny wariant odgłosu rozbijającego się o ziemię samolotu.

„Proszę pana? Jest pan tam?” Bum, buuum, BAM-BUUUUM!

- O tak - mruknął pan Gash. Wysiadł z samochodu, aby rozprostować kości. Nad Ropuszą Wyspą wstał już niemal dzień, ale wciąż nie widać było żadnego śladu konfliktowca, kobiety, czarnego psa czy buicka roadmastera.

Pan Gash przeszedł przez ulicę, kierując się w stronę pensjonatu. Wszedł po stopniach na ganek i zastukał. Pani Stinson zawołała, żeby podszedł do wejścia kuchennego, ponieważ piecze babeczki. Stojąc przy siatkowych drzwiach, przywitała się z nim ostrożnie, z wyraźną dezaprobatą przyglądając się jego lśniącej, kolczastej fryzurze.

- Szukam faceta z czarnym psem - oświadczył pan Gash.

- Kim pan jest?

- Jeździ dużym kombi. Może z nim być kobieta.

- Pytałam, kim pan jest.

- Ten gość jest mi winien trochę pieniędzy - wyjaśnił pan Gash. – Ma długi u wielu osób, więc na pani miejscu byłbym ostrożny.

Pani Stinson uśmiechnęła się do niego lodowato zza siatkowych drzwi.

- No cóż, zapłacił mi gotówką. Z góry.

- Niech mnie cholera.

- Tak więc wynoś się pan stąd, zanim zawołam policję. Załatwajcie swoje sprawy gdzie indziej, boja nie życzę sobie żadnych kłopotów.

Pan Gash oparł dłoń o drzwi. Zrobił to tak, by gest sprawiał wrażenie przypadkowego, jakby się tylko opierał.

- Czy jest tu teraz? Ten pies jest niebezpieczny. W Clewiston zabił małą dziewczynkę. Rozszarpał jej gardło. Ten facet uciekł również z tego powodu. Czy był tu ubiegłej nocy?

- Nie mam pojęcia, dokąd pojechali, mój panie. Wiem tylko tyle, że zapłacili za pokój, a ja robię babeczki, bo śniadanie wliczone jest w cenę. - Pani Stinson zrobiła krok do tyłu, zajmując pozycję, co pan Gash oczywiście zauważył, w pobliżu wiszącego na ścianie telefonu.

- A jeżeli chodzi o jego psa - dodała - to jest równie groźny, jak złota rybka i niewiele od niej mądrzejszy. A więc wynoś się pan stąd. Mówię poważnie.

- Proszę pani, nie zna pani tego gościa. To zły facet.

- Pana też nie znam - warknęła pani Stinson. - Wynocha! Wynoś się pan razem ze swoją pedalską fryzurką!

Pan Gash miał właśnie zamiar przebić pięścią siatkę w drzwiach, gdy usłyszał skrzęcający za róg samochód. Odwrócił się, czując, jak serce bije mu szybciej, ponieważ pomyślał, że jest to młody konfliktowiec, powracający w buicku z drewnianą karoserią.

Pomylił się. Był to czarno-beżowy radiowóz patrolu policji drogowej.

- I co na to powiesz! - zawołała pani Stinson.

Pan Gash wycofał się spod drzwi. Patrzył, jak radiowóz przejeżdża obok domu. Za kierownicą siedział czarny mundurowy. Na tylnym siedzeniu majaczyła postać człowieka, więźnia opartego o drzwi tak, jakby stracił przytomność. Pan Gash nie był tego pewien, ale wydało mu się, że policjant nieco zwolnił, mijając pensjonat.

Usłyszał za plecami parsknięcie pani Stinson: „Ha! Wciąż chcesz pogadać, cwaniaczkę?”

Gdy policyjny radiowóz zniknął z pola widzenia, pan Gash zszedł z ganku i ruszył przed siebie. Miał już na wszelki wypadek przygotowaną historię: Nie chciał mu zapalić samochód. Poszedł do pensjonatu, żeby skorzystać z telefonu. A ta stara wiedźma zaczęła się od razu wydierać na niego jak wariatka...

Na drodze pan Gash nie dostrzegł żadnego śladu gliniarza z drogówki. Doszedł do samochodu i ruszył dalej, spokojnym krokiem okrążył cały kwartał i wrócił. Lepiej się upewnić, niż potem żałować, pomyślał. Pewnie to nie było nic istotnego. Prawdopodobnie stanowy gliniarz odwoził do mamra jakiegoś pijaczka. Tylko to potrafią, myślał pan Gash. Puszczkować moczycymordów.

Zdjął marynarkę i położył ją na siedzeniu. A potem stanął za sosną, żeby się odlać. Gdy zapinał rozporek, usłyszał jakieś odgłosy - coś się poruszyło na skraju lasu, w pobliżu samochodu. Pan Gash wyjął rewolwer i wyrzucił ostrożnie zza drzewa. Na skraju drogi siedział w kucki jakiś menel.

Pan Gash ruszył powoli w jego stronę. Menel był do niego odwrócony tyłem - wielki skurwiel, trzeba

przyznać. Kiedy wstał, przewyższał pana Gasha niemal o głowę. Miał spódniczkę w biało-czarną kratkę, gołe nogi i wysokie, sznurowane buty.

Pewnym ruchem pan Gash schował rewolwer do kabury pod pachą. Uśmiechnął się do siebie, myśląc: Ten typas zrobiłby furorę na Ocean Drive.

Kiedy menel się odwrócił, pan Gash zmienił zdanie.

- Spokojnie, ojczulku - powiedział, licząc na to, że mężczyzna zauważy rewolwer pod pachą.

Włóczęga nic nie odpowiedział. Na głowie miał tani czepek pod prysznic, jedno jego oko było czerwone i wyglądało jak rekwizyt jakiegoś żartownisia, który bardzo chciał rozbawić znajomych na przyjęciu. Srebrzysta broda zwisała mu z policzków dwoma poskręcanymi warkoczami; każdy ozdobiony był zakrzywionym dziobem. W jednej potężnej dłoni trzymał za ogon oposa z otwartym pyskiem i futrem pokrytym zaschniętą krwią, a w drugiej książkę w miękkiej oprawie.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał pan Gash.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Pan Gash pomyślał zaskoczony, że nigdy nie widział, by jakiś menel miał tak idealne zęby, były bielsze od jego własnych.

- Ładna spódniczka - powiedział pan Gash na próbę.

- Prawdę mówiąc, to kilt. Sam go zrobiłem.

- Jakoś się nazywasz?

- Nie dzisiaj - odparł menel.

- Mam nadzieję, że nie zamierzałeś ukraść mi samochodu. Włóczęga ponownie się uśmiechnął. Pokręcił głową w taki sposób, jakby sugerował, że samochodu pana Gasha nie warto byłoby kraść.

Pan Gash wskazał na oposa i zapytał:

- A twój mały kumpel ma jakieś imię?

- Tak. Lunch. Potrącił go terenowy motocykl.

Pan Gash uznał, że menel sprawia wrażenie dziwnie spokojnego jak na faceta przesłuchiwanego przez nieznanego z wielkim rewolwerem pod pachą.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, ojczulku. Skąd się wzięłeś?

Włóczęga podniósł książkę do góry.

- Powinieneś to przeczytać.

- A co to takiego?

- Komedianci Grahama Greene'a.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Pewnie ucieszyłby się ze spotkania z tobą.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - Pan Gash zrobił dwa kroki w stronę samochodu. Sposób bycia tego faceta i nonszalancja, z jaką trzymał martwego oposa, przyprawiały go o gęsią skórę.

- Mogę ci pożyczyć mój egzemplarz.

Pan Gash wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. Menel podszedł bliżej.

- Zostań na miejscu, ojczulku - oznajmił pan Gash, wyciągając broń.

Facet zatrzymał się. Jego niesamowite, czerwone oko skierowane było w stronę wierzchołków drzew, podczas gdy drugim, normalnym spoglądał na pana Gasha z beznamiętną i denerwującą obojętnością.

- Nigdy mnie nie widziałeś, rozumiesz? - powiedział pan Gash, machając lufą rewolweru.

- Jasne.

- Ani samochodu.

- Nie ma sprawy.

- Na co, do kurwy nędzy, się tak gapisz?

Znowu ten uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

- Ładne włosy - powiedział menel panu Gashowi.

- Powinieneś cię zabić, ojczulku. Tylko za to powinienem odstrzelić ci twoją nędzną, bezdomną dupę...

Ale włóczęga we własnoręcznie wykonanej kraciastej spódniczce już się odwrócił. Z książką i zabitym oposem w rękach wolno skierował się między drzewa, zupełnie jakby nie było tu pana Gasha, jakby nie celował on w jego plecy z rewolweru, gotów go rozwalić po doliczeniu do sześciu.

Pan Gash dodał gazu, pałac opony. Co za pieprzony czubek! - pomyślał. Nienawidzę tego miejsca i nienawidzę tego zlecenia.

Ta cała cholerna wyspa pełna jest ludzi sprawiających kłopoty.

Pan Gash włączył odtwarzacz i przycisnął klawisz PRZEWIJANIE.

Już niedługo, przypomniał sobie. A potem wrócić do domu.

Początkowo, gdy Twilly i Desie się kochali, McGuinn nie zwracał na to uwagi, po prostu kładł się na podłodze i chrapał. Aż nagle pewnej nocy -tej samej nocy, kiedy uwolnili Palmera - pies nagle ogromnie zainteresował się tym, co się dzieje na łóżku. Desie była już na granicy czegoś, co zapowiadało się jako godny zapamiętania moment, gdy całe łóżko zadygotało gwałtownie, a Twilly wydał z siebie jęk, który miał niewiele wspólnego z ekstazą. Wszystkie ruchy ustały, a sprężyny żałośnie umilkły. Desie poczuła gorący, przesycony zapachem sucharków z wątróbką oddech na policzku i miazdzący ciężar na piersiach. W migotliwej poświacie stojącego w motelowym pokoju telewizora zobaczyła, że labrador skoczył na nagie plecy Twilly'ego i usadowił na nim całe swoje pięćdziesiąt siedem kilogramów żywej wagi. Już sam ten fakt mógł rozproszyć uwagę Twilly'ego (który w objęciach Desie był w pełni skoncentrowany), ale pies dodatkowo uczynił swoją obecność niemożliwą do zignorowania, zważywszy szczęki na jego karku, zupełnie jakby schwytał niczego nie podejrzewającego królika.

- Brzydki pies - upomniał go Twilly przez zaciśnięte zęby. McGuinn nie gryzł go mocno ani nie sprawiał wrażenia złego czy nawet podnieconego. Był jednak całkowicie skupiony na tym, co robi.

- Brzydki pies - spróbował ponownie Twilly.

- Mam wrażenie, że czuje się opuszczony - szepnęła Desie.

- Co proponujesz?

- Czy cię skrzywdził?

- Tylko mnie zdekoncentrował - odparł Twilly.

Desie puściła podgłówek i przesunęła ręce nad ramionami Twilly'ego. Wsunęła palce pomiędzy szczęki labradora i pociągnęła łagodnie. McGuinn posłusznie puścił. Potężny pies, unosząc z zaciekawieniem uszy, spoglądał w dół na Desie. Słyszała, jak jego ogon łomocze radośnie o tors Twilly'ego.

- Dobry piesek - oznajmił Twilly głosem tłumionym przez prawą pierś Desie. - Chcesz na spacerek?

McGuinn zeskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi. Desie rogiem prześcieradła otarła ślinę z karku Twilly'ego, na którym widniał dokładny odcisk psiego uzębienia.

- Nie krwawisz - poinformowała go.

- A co z tym palantem?

- Może miał zły sen.

- Albo naprawdę dobry.

Spróbowali jeszcze raz później, po spacerze z McGuinnem. Poczekali, aż zacznie chrapać na dywanie przy telewizorze. Tym razem zakłócony został obiecujący orgazm Twilly'ego - pies wyskoczył nie wiadomo skąd, odbierając Twilly'emu oddech i zrzucając go z Desie.

- Brzydki pies - wychrypiął Twilly. - Jesteś brzydkim, bardzo brzydkim psem. Paskudnym, niedobrym, bezwartościowym psem.

- Znowu gryzie cię w kark!

- Nie ulega wątpliwości.

- Może za bardzo hałasuję, gdy to robimy - powiedziała Desie. - Może przypuszcza, że robisz mi krzywdę.

- Nic go nie usprawiedliwia. Już nie jest szczeniakiem.

Ale im gorliwiej Desie starała się rozewrzeć psie szczęki, tym trudniejszy do pokonania stawał się ich uścisk. Dla McGuinna była to nowa zabawa, a labradory uwielbiają zabawy.

- No cóż, mam zamiar trochę odpocząć - oznajmił Twilly. - Jeżeli ten głupi sukinsyn nie puści mnie do rana, zabiję go.

I Twilly zasnął z ogromnym labradorem przyczepionym do karku. Wkrótce pies zasnął również, tak spokojnie, jakby miał ulubioną piłeczkę w pysku. Desie leżała sztywno na łóżku, słuchając, jak obaj oddychają miarowo pogrążeni w głębokiej, kojącej drzemce. Myślała sobie: Tak więc wygląda mój status w wieku trzydziestu dwóch lat - sama ze zwariowanym psem i pory-waczem-kochankiem w pokoju motelowym za dwadzieścia dziewięć dolarów w Fort Pierce na Florydzie. Jakież ciekawe decyzje podejmuję! Proszę o pokazanie moich osiągnięć; najpierw niegodny zaufania Gorbak Didovic, niezbyt utalentowany debiutant w NBA, potem błyskotliwy Andrew Beck, samodziurkujący się producent oszukańczych reklamówek politycznych, następnie specjalista od gładkich słówek Palmer Stoat, męcząco nieszczerzy małżonek, którego zaledwie dwie godziny temu wysadziliśmy obok restauracji Cracker Barrel przy autostradzie międzystanowej 89.

I wreszcie młody Twilly Spree, który zapewne będzie mnie kochał wiernie i zawsze na swój czarujący, młodzieńczy sposób, ale który poza sianiem zniszczenia nie ma żadnych ambicji, a także żadnej dającej się wyobrazić przyszłości, która nie obejmowałaby pobytu w więzieniu. Mężczyzna moich marzeń!

Rozrywkowy? I to bardzo. Zapewnia gwałtowne przyływy adrenaliny. Tajemniczo bogaty, jest także źródłem mnóstwa innych niespodzianek. A potem co? - zastanawiała się Desie. Potem, oczywiście, zniknie.

No cóż, zawsze pozostaje Palmer. Wprawdzie jest fałszywym dupkiem, ale mimo wszystko zakłuło ją coś w sercu, gdy zobaczyła go związanego i zakapturzonego w fotelu na biegunach. A także wyraz jego

ciasto watej twarzy, kiedy Twilly zdjął mu z głowy przepoconą powłoczkę i przeciął sznury - spojrzenie pełne złośliwej pogardy, przywołane specjalnie dla Desie. Patrz, jaki jestem poważny!

Ale wiedziała, że mąż przyjmie ją natychmiast z powrotem, Palmerowi potrzebna była świetnie wyglądająca żona, która stanowiłaby uzupełnienie jego podróży z określonymi atrakcjami, niesportowych wypraw myśliwskich i wszystkich tych niesamowitych sesji polaroidowych w sypialni. Palmer wiedział, jaką wartość ma dla niego Desie, wiedział też, ile kosztuje rozwód. Tak więc z całą pewnością przyjąłby ją z powrotem.

Byłoby to również najłatwiejsze wyjście dla Desie, ale nie mogłaby się na nie zdecydować. Nie potrafiłaby, patrząc na męża, nie myśleć o maleńkich ropuszkach w pomarańczowe paski, które rozjechało spychaczami na miazgę.

A jej rodzice w Atlancie? Przyjęliby ją z otwartymi ramionami - na jakiś czas. Mama miała mnóstwo zajęć związanych z praktyką medyczną, ale tata wkrótce odejdzie z Dety na emeryturę. Może powinnam wrócić na uniwersytet, pomyślała Desie, i skończyć moje studia nauczycielskie.

Tak, oczywiście. A potem przeniosę się w Appalachy, będę mieszkała w blaszanym baraku i na ochotnika pracowałam z niepełnosprawnymi. Kogo, u licha, ja oszukuję?

Twilly poruszył się, gdy Desie pogłaskała go po czole.

- Obudziłeś się?

- Już tak - odpowiedział.

- Śniło ci się coś?

- Nie wiem. Czy mam na plecach wielkiego czarnego psa?

- Obawiam się, że tak.

- W takim razie nic mi się nie śniło - oznajmił Twilly.

- A ja leżałam, zastanawiając się... co będzie dalej?

- Chodzi ci o plan podróży?

- Plan działania - poprawiła go.

- No cóż, najpierw mam zamiar tak poważnie upieprzyć sprawę, żeby Wyspa Burzyków nigdy nie została zbudowana.

Desie oparła brodę na dłoniach.

- Nie możesz temu zapobiec.

- Mogę spróbować.

- Załatwią to tak, że ci się nie uda. Palmer i gubernator. Przykro mi, ale to fakt - powiedziała Desie. - Jeżeli powiedzieli, że sprawa mostu jest załatwiona, to jest załatwiona.

- Jeszcze zobaczymy.

- Nie możesz nic zrobić, Twilly, możesz jedynie kogoś zabić.

- Zgadzam się.

- Mój Boże.

- Co?

- Nawet nie żartuj na ten temat - zaprotestowała Desie. - Żaden podobny cel nie jest wart ludzkiego życia.

- Nie? A co jest warte życie wyspy? Bardzo jestem ciekaw. - Twilly sięgnął za plecy i sprytnie połaskotał McGuinna w czubek nosa. Pies obudził się ze zdziwionym szczeknięciem, puścił kark Twilly'ego, zeskoczył na podłogę i zaczął optymistycznie drapać we framugę.

Twilly oparł się na łokciu i spojrzał na Desie.

- Byłaś kiedyś na wyspie Marco? Nie wyobrażasz sobie, jak ją zmasakrowali.

- Wiem, kochanie, ale...

- Gdybyś mogła zobaczyć wtedy, gdy byłem dzieciakiem, i teraz, sama byś powiedziała, że to zbrodnia. Powiedziałabyś, że komuś powinno się odstrzelić za to jaja. I miałabyś rację.

- Jeżeli próbujesz mnie odstraszyć od siebie, to bardzo dobrze ci idzie - powiedziała Desie.

- Zadałaś mi pytanie.

Desie objęła go mocno.

- Przepraszam. Możemy porozmawiać o tym rano. Zupełnie jakby mogło być inne zakończenie.

- Cała cholerna wyspa - usłyszała, jak mruczy. - Nie mogę pozwolić, aby coś takiego zdarzyło się ponownie.

Dick Artemus zaproponował Lisie June Peterson drinka. On sam był już po trzecim.

- Nie, dziękuję - powiedziała.

- Wciąż jeździsz tym taurusem? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Ranisz mi serce, Liso June. Mogę załatwić ci nowiutką camry po cenie kosztów.

- Nie ma potrzeby, panie gubernatorze. Ale dziękuję.

Telefon na biurku wciąż dzwonił. Dick Artemus nie ruszył się, aby podnieść słuchawkę.

- Czy Dorothy poszła już do domu? Jezu Chryste!

- Jest szósta trzydzieści. Ona ma dzieci - przypomniała Lisa June Peterson. Wyciągnęła rękę nad biurkiem i wcisnęła guzik na konsoli telefonu.

Dzwonek natychmiast umilkł.

Gubernator rozkoszował się swoim burbonem. Mrugnął i powiedział:

- Co masz dla mnie?

Wspaniale, jest na wpół naprany, pomyślała Lisa June.

- Dwie rzeczy. W sprawie tej specjalnej sesji - zanim wyślemy informację do prasy, powinien pan wiedzieć, że Willie Vasquez-Washington dostaje histerii. Mówi, że nie chce w przyszłym tygodniu lecieć z powrotem do Tallahassee, nie chce przerywać sobie wakacji. Mówi, że jeśli ściągnie pan Izbę i Senat z powrotem na sesję, ma zamiar stać się dla pana wielkim wrzodem na dupie...

- Dokładnie tak powiedział? - skrzywił się Dick Artemus. – Wielkim wrzodem na dupie?

Lisa June Peterson cierpliwie wyjaśniła zawiązanemu gubernatorowi, że Willie Vasquez-Washington nie jest głupcem i szybko się zorientował, jaki jest prawdziwy cel specjalnej sesji, że chodzi o reanimację projektu mostu na Ropuszą Wyspę na rzecz kumpli gubernatora...

- Do cholery, to nie są moi kumple! - wybulgotał Dick Artemus. – To nie moi koledzy ani partnerzy. To po prostu solidni biznesmeni, którzy finansowali kampanię. Do diabła z tym Williem, sam też nie jest święty...

Lisa June Peterson poinformowała szefa, że Willie Vasquez-Washington nie wie (albo go to nie obchodzi), dlaczego gubernator zawetował finansowanie mostu, ale obiecał, że gubernator drogo zapłaci za popsucie mu planów podróży.

- Ma zamiar pojechać na narty do Banff - doniosła Lisa June. – Razem z całą rodziną.

- A kto za to płaci? - parsknął Dick Artemus.

- Mogę się dowiedzieć.

- Nie. Do diabła. - Gubernator ze zde gustowaną miną wydał policzki. - Wiesz co, w Toyota Land nigdy nie musiałem się bawić z takim gównem. Co jeszcze, Liso June? Załatwmy to.

- Poprzedniej nocy, kiedy był pan w Orlando, Clinton Tyree przyszedł się z panem zobaczyć.

Dick Artemus wyprostował się w fotelu.

- Do licha. Czego chciał? Co powiedział?

- Oznajmił, że zrobi to, o co pan go prosi...

- Fantastycznie!

- ...ale wróci do Tallahassee i zamorduje pana, jeżeli cokolwiek stanie się jego bratu Doyle'owi. Poprosił, żebym podkreśliła, że zamorduje pana wolniutko.

- Och, na litość boską. - Gubernator zmusił się do śmiechu.

- Wspomniał o następujących elementach: widły, kajdanki, dwustupięćdziesięcilitrowa beczka ługu i żmija koralowa - dodała Lisa June.

- To wariat - oznajmił gubernator.

- Ale mówił poważnie.

- No cóż, nie ma obaw, ponieważ nic się nie stanie jego bratu Doyle'owi. Na litość boską. - Dick Artemus z rozrządzeniem sięgnął po butelkę burbona. - Biedna Liso June, zapewne zastanawiasz się, w jakie piekło się wplątałaś w tej zwariowanej pracy. Nie możesz się połapać, o co tu chodzi.

- Wiem, o co chodzi - odparła Lisa June Peterson. - Pokazał mi list, który pan napisał.

- Jaki list?! - udał zdziwienie Dick Artemus. A potem dodał z zakłopotaniem: - No już dobrze. Tak, napisałem go. Rozumiesz, czasami...

Spojrzał mętnym wzrokiem do szklanki.

- Co czasami? - zapytała Lisa June.

- Na tym świecie niekiedy trzeba robić niesympatyczne rzeczy.

- By powstało pole golfowe.

- Nie szczyp mnie, kochanie. To o wiele bardziej skomplikowana sprawa. - Gubernator uniósł głowę i uśmiechnął się do niej ojcowsko. – Należy uwzględnić naturalny porządek rzeczy. Sposób, w jaki działają pewne mechanizmy. Wiesz o tym, Liso June. Zawsze tak było. Ani ty, ani ja nie możemy tego zmienić i jakiś zwariowany pustelnik z morderczymi inklinacjami - Skink, tak się sam nazywa, prawda? - z całą pewnością również, do cholery, tego nie zmieni.

Lisa June Peterson wstała, wygładzając spódnice.

- Dziękuję za budujące przemówienie, gubernatorze.

- Oj, nie dąsaj się na mnie. Usiądź jeszcze. Powiedz mi, jak wygląda. Powiedz mi, co się zdarzyło, umieram z ciekawości.

Ale nawet gdyby Dick Artemus był trzeźwy, Lisa June nie mogłaby się zmusić do opowiedzenia mu o tym, co się działo przy ognisku - że były gubernator przez całą noc wygłaszał gorączkowy monolog, że opowiedział jej prawdziwe historie o dawnej Florydzie, że deklamował, śpiewał i wrzeszczał do gwiazd,

chodząc tam i z powrotem. Że łyzy ciekły mu z jednego oka, podczas gdy drugie płonęło czerwienią jak węgle. Że lisią krwią wymalował sobie łyzy na nagiej skórze czaszki, że porwał swój dziwaczny, kratkowany kilt, wążąc na drzewo, a ona poszczepiała go trzema agrafkami, które znalazła w zakamarku torebki. Że pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek.

Lisa June Peterson nie mogła się zmusić, by opowiedzieć swojemu szefowi, że pozostawiła nagiego Clintona Tyree chrapiącego w lesie w odległości zaledwie szesnastu kilometrów od Kapitolu ani że pognęła do domu chcąc przenieść wszystko na papier - wszystko, co powiedział i zrobił, a także powiedział, że zrobił - by utrwalić to i wykorzystać w książce, którą zamierzała napisać. Gdy wróciła do mieszkania, wzięła prysznic, zrobiła sobie filiżankę herbaty, usiadła i położyła przed sobą notatnik, ale nie potrafiła napisać nawet jednego słowa.

- Właściwie nic więcej się nie zdarzyło - powiedziała gubernatorowi Lisa June Peterson.

Dick Artemus przechylił się do przodu i oparł łokcie na blacie biurka.

- No dobra, a jak wygląda? Według dokumentów skurwiel jest ogromny.

- Jest rzeczywiście duży - potwierdziła Lisa June.

- Wyższy ode mnie?

- Wygląda starzej.

- Bo jest stary. Co jeszcze?

- I smutny.

- Ale założę się, że wciąż szajbnięty.

- Widziałam bardziej szajbniętych.

- Och, jesteś na mnie wkurzona. Nie bądź taka. - Dick Artemus wyciągnął ręce błagalnym gestem. - Słowo daję, że wcale nie miałem zamiaru eksmitować jego brata z latarni morskiej, Liso June. Czy na serio uważasz, że mógłbym zrobić coś tak wrednego?

- List był wystarczająco wredny.

- Och, na litość boską. - Gubernator złapał swojego burbona i odchylił się do tyłu, stawiając szklankę na brzuchu. - Chciałem tylko, żeby znalazł tego zwariowanego chłopaka z psem. To wszystko.

- Och, znajdzie go na pewno - oświadczyła Lisa June Peterson. - A teraz, jak ma pan zamiar załatwić sprawę z czcigodnym kongresmanem Vasquezem-Washingtonem?

- Ten pieprzony Willie. - Dick Artemus zaśmiał się cierpko. - Wiesz, co zrób, Liso June? Zadzwoń do Palmera Stoata. Poleć mu, żeby wyprostował sprawę.

- Tak jest, proszę pana.

- Hej. Co sobie zrobiłaś w kolano? - zapytał gubernator, przechylając głowę, aby spojrzeć pod lepszym kątem.

- To tylko zadrapanie. - Lisa June pomyślała: Nie powinnam była zakładać dziś rajstop. Dick Artemus zawsze był niepoprawnym obserwatorem damskich nóg.

- Ooch. Jak się to stało?

- Wspinałam się na drzewo - wyjaśniła.

- Bardzo chciałbym poznać szczegóły - powiedział Dick Artemus.

- Na pewno ich pan nie pozna - odparła Lisa June.

Klub nosił nazwę W Łonie.

Po przekupieniu bramkarza Robert Clapley dowiedział się ku swemu rozgoryczeniu, że Barbie bez trudu zajęły pierwsze miejsce w konkursie amateerek, zagarnęły tysiąc dolarów nagrody i opuściły lokal w towarzystwie osobnika, który nazywał się Avalon Brown i twierdził, że jest niezależnym producentem filmowym z Jamajki.

- Fatalnie się czuję - powiedział Clapley Palmerowi Stoatowi.

- I zupełnie niesłusznie. To najlepsze, co mogło cię spotkać - odparł Stoat. - Wreszcie pozbyłeś się tych dwóch ćpuńskich dziwek.

- Odczep się, Palmer. Potrzebuję tych dziewcząt.

- Tak, w równym stopniu jak hemoroidów.

Stoat był poirytowany i niespokojny. Wszędzie wokół niego były swawolne, nagie kobiety, tańczące na stolikach, on jednak nie mógł przestać myśleć o Desie i polaroidzie.

Ale tamte noce się skończyły, podobnie jak jego małżeństwo.

- Chodźmy - zaproponował Clapley. - Może wróciły do mieszkania.

Palmer Stoat podniósł rękę. „Poczekaj”. Konferansjer przedstawiał uczestniczki ostatniego konkursu na sobowtóra Pameli Anderson Lee.

- Ooo, mam! - jęknął Stoat.

- Gdybym miał nożyk do owoców - oświadczył Robert Clapley - wydlubałbym sobie oczy.

- Bob, żartujesz? One są wspaniałe.

- Są koszmarnie. Tanie śmiecie.

- W przeciwieństwie do twoich arystokratycznych bliźniaczek - rzekł wyniośle Stoat. - Księżniczki

Grace i księżnej Di, które w chwili obecnej ciągną druta jakiemuś rastafariańskiemu pornografowi za całe pół grama boliwijskiego talku.

Clapley schwytał Stoata za kołnierz.

- Palmer, jesteś cholerną świnią.

- Obaj jesteście świnie, Bob, więc się uspokój. Daj sobie siana. Dostarczę ci róg nosorożca, a wtedy odzyskasz swoje bezcenne Barbie. – Palmer uwolnił się z chwytu Clapleya. - Poza tym nie możesz już mi zrobić nic więcej prócz tego, co już zrobiłeś - poczynając od tego pieprzonego gryzonia, którym twój czarujący pan Gash omal mnie nie udusił.

- To było po tym, kiedy próbowałeś mnie naciąć -przypomniał mu Clapley. - Chciałeś, żebym ci dwa razy zapłacił za załatwienie mostu. Albo może i trzy razy?

- Może istotnie byłem trochę chciwy, ale mimo wszystko...

Na scenie trzynaście Pameli Anderson Lee tańczyło albo przynajmniej podskakiwało w rytm tematu muzycznego z serialu Słoneczny patrol. Pal" mer westchnął z podziwem.

- Człowieku, żyjemy w niewiarygodnych czasach. Tylko na to popatrz.

- Idę stąd.

- Proszę bardzo. Wezmę taksówkę. - Wzrok Stoata był przykuty do pneumatycznych wdzięków eksponowanych na scenie. Tego właśnie potrzebował, by zapomnieć o Desie.

- Nie dzwoń do mnie, dopóki gubernator Dick nie podpisze kwoty na most, a ty nie zdobędziesz proszku z nosorożca. To są jedyne informacje, jakie chcę od ciebie usłyszeć. Zrozumiałeś?

Stoat przytaknął niewyraźnym pomrukiem.

- Bob, zanim sobie pójdziesz... - dodał.

- Co jeszcze?

- Może dałbyś mi jeszcze jedno kubańskie?

Robert Clapley z trzaskiem położył cygaro na stole.

- Gównojad - powiedział.

- Słodkich snów, Bob.

Chłodną majową nocą nieoznakowana ciężarówka przywiozła na plantację Dzika Sawanna zbitą dyktę skrzynię. Przesyłkę dostarczono bezpośrednio na prywatne lądowisko w Ocala na Florydzie, dzięki czemu uniknęła kontroli Urzędu Celnego Stanów Zjednoczonych, Agencji Ochrony Ryb i Dzikich Zwierząt oraz innych instytucji, które mogły się nią zainteresować z uwagi na ich uprawnienia i statutowe obowiązki.

Na plantacji skrzynię załadowano na wózek transportowy i przewieziono do niskiej, pozbawionej okien szopy, nazywanej kwarantanną numer jeden. Niecałą godzinę później wezwano telefonicznie z domu Dur-gessa. Na zewnątrz obiektu czekał na niego niejaki Asa Lando, który w ośrodku myśliwskim zajmował stanowisko o nazwie Nadzorca Zwierzyny Łownej.

- Jak bardzo kiepski? - zapytał Durgess.

Asa Lando splunął na ziemię.

Przewodnik zmarszczył brwi.

- No dobra, niech go zobaczą.

Szopa podzielona była na osiem stanowisk zaopatrzonych w bramki i ogrodzonych grubą siatką sięgającą od podłogi do krokwi stropowych. Na każdym stanowisku znajdował się zainstalowany pod pułapem wentylator, grzejnik, stało też ocynkowane koryto na karmę i wodę. Zwierzę przysłane z Hamburga ulokowano na stanowisku trzecim.

- Chyba żartujesz - powiedział Durgess.

- Chciałbym. - Asa Lando wiedział, że znalazł się w tarapatkach. Do jego obowiązków należało dostarczanie zwierząt na polowania.

- Przede wszystkim - zaczął przewodnik - to nie gepard.

- Wiem...

- To ocelot albo dziki kot południowoamerykański. Do diabła, przecież on nie waży więcej niż piętnaście kilo.

- Nie truj, Durge - oświadczył nadzorca. - Mam oczy. Widzę, że to nie gepard. Dlatego wyciągnąłem cię z łóżka.

- Po drugie - powiedział Durgess - ma tylko dwie cholerne łapy.

- Liczyć też potrafię. - Asa posępnie dłużył czubkiem buta w trocinach pokrywających podłogę. - Mogło być gorzej.

- Jak? - spojrzał wściekle Durgess. - Chyba gdyby przystali go w puszcze.

- Posłuchaj, nie pierwszy raz wyładowaliśmy w takiej sytuacji - przypomniał mu Asa. - Mieliliśmy wielu klientów, którzy byli szczęśliwi, chociaż strzelali do skancerowanej zwierzyny.

- Ale nie ten klient - powiedział Durgess. Raz udało mu się wykipić zwierzakiem o trzech łapach, ale taki,

który miał tylko dwie łapy, w ogóle nie wchodził w grę, zwłaszcza jeśli był to wielki kot.

Obaj mężczyźni z ponurymi minami stali przy ogrodzeniu. Ocelot podskoczył zawadiacko bliżej i zaczął ocierać się zadem o siatkę.

- Ciekaw jestem, co mu się, u diabła, stało - powiedział Durgess.

- Doc Terrell mówi, że najprawdopodobniej taki się urodził - z jedną przednią łapą i jedną tylną. Biorąc to wszystko pod uwagę, jest w cholernie dobrym stanie.

Durgess przytaknął bez zapału.

- Powiedz mi jeszcze raz, skąd go wzięłeś.

- Z Zoo Wujka Wilhelma ze Zwierzątkami do Pieszczenia - wyjaśnił Asa. - Pozbyli się go, bo im zeżarł wszystkie papugi. Nie pytaj mnie, w jaki sposób łapał te cholerne ptaki, ale przypuszczam, że nauczył się skakać jak skurwysyn.

- A ile żeśmy za niego zapłacili? - Durgess zebrał się w sobie.

- Pięć tysięcy minus transport.

- Słodki Jezu.

- Płatne przy odbiorze.

- Asa, drogi kolego, mamy poważny problem. - Durgess wyjaśnił, że jeden z ich najlepszych klientów, Palmer Stoat, ma zamiar sprowadzić do Dzikiej Sawanny swojego ważnego wspólnika w interesach, aby upolować tu geparda, pełnowymiarowego afrykańskiego geparda.

- To duża sprawa - oznajmił ponurym tonem Durgess. - I duża forsa.

Asa popatrzył na niezmordowanego kota.

- Może zdążymy go do tego czasu utuczyć.

- Jasne - rzucił ironicznie Durgess. - A przy okazji przyczepimy mu parę lipnych łap. Asa, czasami zastanawiam się, czy masz dobrze w głowie.

Ale Nadzorca Zwierzyny Łownej nie miał ochoty przyznać się do porażki.

- Z trzystu metrów, Durge, każdy kot wygląda jednakowo. Pamiętasz Bezzębny Lwa?

Durgess machnął ręką z niesmakiem. Bezzębny Lew, dawniej znany jako Maksymilian III, był gwiazdą pokazów tresury zwierząt w przydrożnym kasynie funkcjonującym w pobliżu Reno w Nevadzie. Na skutek podeszłego wieku i nieuleczalnej słabości do lodów z kawałkami czekolady wielki kot utracił najpierw kły, a potem wszystkie zęby, wobec czego utracił też status gwiazdy i sprzedano go hurtownikowi dzikich zwierząt, który z kolei opchnął go plantacji Dzikiej Sawanna. Nawet Asa Lando był wstrząśnięty, kiedy otworzono skrzynię. Durgess doszedł do wniosku, że w żaden sposób nie pozbędą się nowego zwierzaka. Któż bowiem chciałby zapłacić żywą gotówką za możliwość zastrzelenia zgrzybiałego, bezzębny lwa?

A jednak znalazł się taki dureń. Nazywał się Nick Teeble, był emerytowanym dyrektorem firmy tytoniowej i wybulił osiemnaście tysięcy dolarów, bo tak bardzo pragnął mieć lwia skórę przy kamiennym kominku w swoim domku wakacyjnym w Kostaryce. To właśnie Asa słusznie ocenił, że Nick Teeble jest palantem, i przekonał Durgessa, aby do polowania wykorzystał leciwego Bezzębny Lwa. I miał rację: Nick Teeble był w równym stopniu niczego nieświadomy, jak niekompetentny, co stanowiło dla ludzi z Dzikiej Sawanny idealne połączenie. Dopiero siódmym strzałem zabił lwa, którego niechęć do biegania, a nawet obudzenia się z drzemki należało uznać za całkowicie zrozumiałą, biorąc pod uwagę to, że był całkowicie i nieodwracalnie głuchy (co stanowiło konsekwencję faktu, iż przez dwadzieścia jeden lat jego występom towarzyszyła bardzo głośna i bardzo niedobra orkiestra dęta kasyna).

- To było coś zupełnie innego - powiedział Durgess do Asy Lando. - Teeble był jełopem.

- Wszyscy klienci są jełopami - zwrócił mu uwagę Asa. - Z całą pewnością nie są myśliwymi. Po prostu chcą mieć na ścianie coś dużego i martwego. Skoro mowa o jełopach, możemy zacząć od twojego pana Stoata.

- Facet, którego tu sprowadzi, był na prawdziwych polowaniach na grubą zwierzynę. Nie da się nabrać na taki numer jak z Bezzębnym - zapewnił go Durgess. - Jeżeli powiemy mu, że odstrzelił kotu obie łapy, na pewno tego nie kupi.

- Nie bądź taki pewny - upierał się Asa.

- Hej, ten człowiek chce geparda, który jest najszybszym ssakiem lądowym na świecie. A ten biedak... - Durgess wskazał zwichrowanego ocelota - nie przegoniłby fotela na kółkach mojej babci.

Jakby zrozumiałwszy tę obelgę, kot zakręcił się gwałtownie, uniósł do góry ogon i strzelił przez siatkę klatki, obryzgując spodnie obu mężczyzn.

- Cholera! - wrzasnął Asa Lando, odskakując od stanowiska.

Durgess odwrócił się i wolnym krokiem wyszedł z budynku.

Późnym popołudniem w milczeniu przejechali przez stary most. Choć oboje byli głodni, Twilly Spree skierował samochód w stronę plaży, zamiast jechać do pensjonatu. Miał nadzieję, że zachód słońca poprawi nastrój Desie.

Jednakże zbliżał się front atmosferyczny i cała linia horyzontu zniknęła za skłębionymi, obramowanymi

fioletem chmurami. Cały brzeg spowiła nagle szarość i od zatoki powiała chłodna, pachnąca wilgocią bryza. Twilly i Desie szli, trzymając się lekko za ręce. McGuinn wybiegł do przodu, aby nękać rybołówki i mewy.

- Idzie deszcz - powiedział Twilly.

- To cudowne uczucie. - Desie wciągnęła głęboko powietrze.

- Na każdym końcu plaży chcą postawić domy mieszkalne – powiedział Twilly. - Zupełnie jak szesnastopiętrowe podpórki na książki. „Ceny za luksusowe mieszkania zaczynają się od dwustu dolarów!”. Był to cytat z nowej tablicy reklamowej, którą Robert Clapley ustawił przy U.S. 19. Twilly zauważył ją tego ranka, kiedy jechali z powrotem na wyspę.

- Mam pytanie - powiedziała Desie. - Nie musisz na nie odpowiadać, jeżeli nie chcesz.

- W porządku.

- A właściwie dwa pytania. Czy kiedyś zabiłeś człowieka?

Twilly pomyślał o domu Veckera Darby'ego, eksplodującym w chmurze chemicznego ognia. W środku budynku znajdował się sam Vecker Dar-by, zbyt powolny zatruwacz środowiska odpadami toksycznymi.

- Zrobiłeś to? - spytała Desie.

- Pośrednio.

- Co to za odpowiedź?

- Ostrożna.

- Zrobiłbyś to jeszcze raz? Z powodu ropuch? Kochanie, za zmiażdżenie ropuch można kogoś aresztować. Ale nie zabić.

Twilly wypuścił jej dłoń spomiędzy palców.

- Desie, tu nie chodzi tylko o ropuchy i dobrze o tym wiesz.

- W takim razie o co? O bloki? Dwa wstrętne wysokościowce? Zachowujesz się, jakby brukowali całe wybrzeże.

- A ty zaczynasz mówić jak twój mąż.

Desie zatrzymała się i język fali omył grzbiety jej stóp. Powiew wiatru odwiał włosy z jej szyi, jej niezwykle pięknej szyi. Twilly przewyciężył impuls, by ją pocałować.

- To wszystko moja wina - powiedziała.

- Co takiego?

- Nie powinnam ci mówić o tej wyspie, o tym, co mają zamiar tu zrobić.

- Dlaczego? To przecież straszne.

- Tak, ale teraz ty zaczynasz mówić o zabijaniu ludzi, a to także jest niesłuszne - powiedziała Desie. - Nie wspominając nawet o tym, że jest to przestępstwo, a ja nie mam szczególnej ochoty zobaczyć, jak wędrujesz do więzienia. Więzienie nie wpłynęłoby dobrze na nasz związek, Twilly.

- Gdyby nie było Wyspy Burzyków, zdarzyłoby się coś innego – odrzekł Twilly. - Gdyby nie była to ta wyspa, byłaby inna. Musisz to zrozumieć.

- A gdybym to nie ja była z tobą na plaży, byłby ktoś inny. Prawda?

- Proszę, nie mów tak. - Twilly chciał ją objąć w pasie, ale odwróciła się i ruszyła w stronę (tak przypuszczał) samochodu.

- Desie!

- Nie teraz - rzuciła przez ramię.

Z drugiej strony dobiegło gwałtowne szczekanie. W pierwszej chwili Twilly pomyślał, że to jakiś inny pies, ponieważ nigdy dotąd nie słyszał, by McGuinn tak się awanturował. Ale to był on. Twilly widział daleko na plaży znajomy czarny kształt, jak na zmianę przypada do ziemi, a następnie biega wokół kogoś po piasku. Jego zachowanie wcale nie wyglądało na zabawę.

Twilly zaczął biec. Paskudny incydent z pogryzieniem kogoś był ostatnią rzeczą, na jaką miałby ochotę tego wieczoru - karetka pogotowia, gliniarze, zawodząca ofiara. Takie już moje szczęście, pomyślał ponuro Twilly. W jaki sposób można wkurzyć labradora? Poza walnięciem go kijem do base-balla jest w stanie wszystko potraktować jako zabawę. A jednak komuś udało się zdenerwować zazwyczaj wyjątkowo spokojnego McGuinna. Pewnie jakiś idiota turysta, wściekał się Twilly, albo jego równie idiotyczne dzieciaki.

Biegł szybciej, rozbryzgując wodę za każdym razem, gdy drogę przegradzała mu fala. Bieg przypomniał mu oba jego sny, ale teraz nie było martwych ptaków i uczucia paniki. Przed nim, dalej na plaży, McGuinn wciąż zachowywał się tak samo. Twilly mógł już zobaczyć, co denerwuje psa - to był niski barczysty facet w garniturze. Mężczyzna skakał z rozpostartymi rękami w stronę labradora, który za każdym razem odskakiwał na bezpieczną odległość.

Co teraz? - zastanawiał się Twilly.

Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, zaczął przywoływać psa. Ale McGuinn był w wariackim nastroju i prawie nie odwrócił głowy na dźwięk jego głosu.

Zareagował natomiast nieznanym. Zaprzestał prób złapania psa i przybrawszy niedbałą pozą, czekał

spokojnie na Twilly'ego.

Twilly przygotował się na kłopoty. Zwolnił i ostatnie dwadzieścia metrów przeszedł, by złapać oddech i ocenić sytuację. McGuinn natychmiast ustawił się pomiędzy Twillym a nieznajomym, który najwyraźniej nie był turystą. Miał na sobie wygnieciony garnitur w kratkę i buty z sięgającymi do kostek cholewkami zapinanymi na zamki błyskawiczne. Jego ufarbowane na blond włosy pozlepiane były w sterczące kolce, które bardziej pasowałyby do kogoś piegowatego i z ciekającym nosem.

- Leżeć! - zawołał Twilly do McGuinna.

Ale labrador wciąż warczał i kłapał zębami, a jego gęsta sierść sterczała jak u dzika. Twilly był pod wrażeniem. Podobnie jak Desie uważał, że zwierzęta mają wrodzone wyczucie zagrożenia, i wierzył, że McGuinn prawidłowo ocenił nieznajomego, który tak nie pasował do tego miejsca.

- Szkoła posłuszeństwa - powiedział mężczyzna. - Albo któraś z tych elektrycznych obroży. To załatwiłoby sprawę.

- Ugryź pana? - Ton głosu Twilly'ego wyraźnie wskazywał, że zdrowie nieznajomego nie jest przedmiotem jego szczególnej troski.

- Nie. Tylko się bawiliśmy. Jak się wabi?

- Może pan się bawił - odparł Twilly - ale nie on.

McGuinn położył się na ziemi. Zawarczał głucho i zaczął dyszeć, nie mrugając oczami. Łapy miał podkulone, mięśnie napięte, jakby szykował się do skoku.

- Jak się nazywa? - zapytał ponownie mężczyzna.

Twilly powiedział.

- Brzmi z irlandzka - zauważył mężczyzna. Jego oczy biegały od Twilly'ego do psa i z powrotem. - Jest pan Irlandczykiem? - zapytał.

- Musi pan wymyślić coś lepszego.

Nieznajomy udawał urażoną niewinność.

- O co panu chodzi? Po prostu starałem się być uprzejmy.

- Przestań pan pieprzyć.

Pogoda zmieniała się szybko. Zimna kropla deszczu uderzyła w szyję Twilly'ego. Kolejna trafiła w nos mężczyznę z kolcami na głowie. Wytarł ją rękawem marynarki.

- Deszcz zniszczy panu buty w ciągu niecałych dwóch minut - zauważył Twilly.

- Pozwoli pan, że sam się będę martwił o moje obuwie - odparł nieznajomy, ale mimo wszystko zerknął na swoje nogi. Twilly wiedział, że zastanawia się, ile mogą kosztować brązowe skórzane buty.

- McGuinn! Idziemy! - Twilly klasnął głośno.

Pies nie poruszył się i nie spuścił wzroku z mężczyzny w cuchnącym stęchlizną ubraniu. Labrador zapamiętał niewiele z tego krótkiego okresu, gdy go kształcono na psa myśliwskiego, ale nie zatracił na pewno jednego - wrażliwości na broń i pewne związane z nią zjawiska. Uzbrojony człowiek zachowywał się wyraźnie inaczej niż nieuzbrojony. Palmer Stoat, który brnął przez mokradła z dubeltówką opartą na ramieniu, był na dobrą sprawę całkiem innym gatunkiem niż Palmer Stoat, który co noc przypinał McGuinnowi smycz i po kryjomu prowadził go pod sąsiedni dom, żeby zrobił kupę w ogrodzie sąsiadów. Dla Stoata i jego przyjaciół myśliwych zachodząca w nich przemiana - postawa, krok, sposób zachowania i głos - była czymś tak subtelnym, że jej nie zauważali, ale dla McGuinna stanowiła coś absolutnie oczywistego. Widok samej broni był już właściwie zbyt oczywisty - ludzie, którzy ją mieli, odznaczała się cechami, których nie dawało się pomylić z niczym. Nawet ich pot pachniał inaczej - nie gorzej, ponieważ w wiecznie pełnym zapachów psim świecie nie było właściwie czegoś takiego jak zły zapach. Ale inaczej.

Przez chwilę nieznajomy zachowywał się tak, jakby chciał się zaprzyjaźnić. Wsunął rękę pod pachnącą stęchlizną marynarkę i powiedział:

- No, piesku. Mam tu coś, co ci się spodoba...

McGuinn przechylił głowę, oblizując wargi i nie spuszczać pełnych nadziei brązowych oczu z dłoni nieznajomego, która wyłoniła się spod marynarki z...

Z rewolwerem. Oczywiście.

Labrador usłyszał, jak z tyłu młody człowiek mówi:

- Spokojnie, piesku. Nie ruszaj się!

McGuinn nigdy dotąd nie słyszał, by polecenie wydawano mu tak stanowczo. Pod wpływem kaprysu postanowił się podporządkować.

Na Ropuszej Wyspie był jeszcze jeden uzbrojony człowiek - Krimmler, który po wizycie, jaką w jego przyczepie złożył wynajęty przez Roberta Cla-pleya szajbus, zaczął nosić ze sobą naładowany rewolwer kalibru 0,357.

Broń jeszcze bardziej denerwowała Krimmlera, a miał bardzo dużo czasu na denerwowanie się. Prace przy budowie ośrodka Wyspa Burzyków w dalszym ciągu były zawieszona i cisza, która zapadła nad wyspą, sprawiała, że Krimmler był poirytowany i niespokojny - dobiegały do niego bowiem dźwięki

samej przyrody, która stopniowo odzyskiwała grunty zniwelowane przez jego ukochane spychacze. Pewnego ranka ze zgrozą znalazł zielony pęd wyrastający w starych koleinach pozostawionych przez koparkę. Małe drzewko! - pomyślał Krimmler, wyrwijając je z ziemi. A małe drzewko może wyrosnąć na wielkie, zamieszkałe przez wiewiórki drzewo!

Spokój, który niegdyś jedynie drażnił Krimmlera, teraz spowodował jego przemianę w osobnika paranoidalnego. W nocy spał z rewolwerem pod poduszką, prawie pewien, że przypadkowo odstrzelił sobie ucho, gdy sytuacja zmusi go do szukania po omacku broni. W dzień wsuwał go z przodu za pasek spodni, również prawie pewien, że w chwili zagrożenia odstrzelił sobie genitalia.

Jednakże, jak się okazało, nie wpakował sobie pocisku w żadną część ciała. Sięgnął po rewolwer dokładnie raz, wytrącając go zza paska tak, że ześlizgnął mu się aż do dołu prawej nogawki jego workowatych spodni. Broń z hukiem wylądowała na cienkiej podłodze przyczepy biurowej, skąd podniósł ją uśmiechnięty łysy menel w owiniętej wokół pasa fladze z wyścigów.

- Ty draniu! - powiedział do Krimmlera.

- Oddaj to! - zawołał inżynier.

Włóczęga wytrząsnął pociski z bębenka, a potem oddał mu pusty rewolwer.

- To dobry sposób, żeby odstrzelić sobie fiutka - zauważył.

- Czego chcesz?

- Szukam młodego człowieka, kobiety i psa. Czarnego labradora.

- Co jest? - zawołał Krimmler. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że również pracujesz dla pana Clapleya?

Łysy menel zaczął bawić się długimi - sprawiającymi wrażenie niezbyt czystych - warkoczykami, w które zapleciona była jego broda. Do ich końców przyczepione były jakieś zeschnięte przedmioty.

- Labrador może nie mieć ucha. A także innych części ciała.

- Powiem ci to samo, co tamtemu facetowi - oznajmił Krimmler. Ten łowca nagród był jeszcze większy i gorzej ubrany od pana Gasha. Miał sztuczne oko, dzięki któremu robił wrażenie bardziej niezrównoważonego psychicznie. - Nie wiem, gdzie jest ten twój chłopak ani jego cholerny pies. Jeżeli nie obozuje na plaży, pewnie mieszka w pensjonacie. Albo może wyjechał z wyspy. No wiesz, turyści czasami tak postępują.

- Nie pracuję dla Clapleya - oświadczył menel.

- Wiem o tym, dupku!

- Pracuję dla gubernatora Richarda Artemusa.

- Słusznie - odparł Krimmler. - A ja jestem Tipper Gore.

- Jedno pytanie, proszę pana.

- Pieprz się - stwierdził Krimmler. - Ale najpierw idź się wykapać.

Wtedy włóczęga uderzył Krimmlera. Palnął go otwartą dłoń - inżynier widział, jak się zbliża. Ale ten cios otwartą dłoń był tak mocny, że odebrał mu przytomność na czterdzieści pięć minut. Gdy się ocknął, był nagi i siedział w połowie wysokiej sosny, niezbyt mocno wciśnięty w rozgałęzienie trzech konarów. Szorstka kora straszliwie ocierała jego pachy i krocze. Szczęka pulsowała mu od uderzenia.

Niebo było zachmurzone i od zachodu wiał chłodny wiatr. Krimmler czuł, jak kołysze się wraz z drzewem. Na sąsiedniej gałęzi siedział włóczęga w spódniczce z flagi wyścigowej. Popijał napój gazowany i czytał (zdrowym okiem) książkę w miękkiej oprawie.

Zerknął na Krimmlera i powiedział:

- Jedno pytanie, proszę pana.

- Co tylko pan sobie życzy - odparł słabo inżynier. Nigdy nie był bardziej przerażony. Na szczycie drzewa na pewno pełno było cholernych wiewiórek wrednych jak leśne wilki!

- Jakiemu „tamtemu facetowi”? - zapytał menel.

- Temu z lewą taśmą.

- Proszę powiedzieć mi dokładniej. - Włóczęga zamknął książkę i włożył ją do kieszeni kurtki przeciwdeszczowej razem z pustą puszką po napoju.

- Miał taśmę, na której umierał jakiś biedny palant. Zadźgała go na śmierć jego przyjaciółka. Nagraną na żywo, tak jak to było naprawdę. - Krimmler bał się spojrzeć w dół, ponieważ miał lęk wysokości. Obawiał się również popatrzeć do góry, ponieważ bał się, że zobaczy jakąś wiewiórkę albo nawet bandę zmutowanych wiewiórek ziemnych. Dlatego właśnie zaciskał mocno powieki.

- Jak wyglądał ten drugi facet? - zapytał włóczęga.

- Niski. Muskularny. Brzydki garnitur i pasujące do niego włosy.

- Blondyn? - wypytywał dalej włóczęga. - Z włosami jak kolce jeża?

- To on! - Krimmler poczuł ulgę. Teraz menel wie, że on mówił mu prawdę, nie ma więc żadnych dostatecznych powodów (poza ogólną antypatią do Krimmlera), by zepchnąć go z drzewa. Włóczęga wstał, by się przeciągnąć, i konar sosny zaskrzypiał pod jego ciężarem. Słyszając ten dźwięk, Krimmler otworzył oczy.

- Jak się ten facet nazywał? - zapytał menel.
- Gash - odparł Krimmler. Zimna kropla deszczu spadła na jego nagie udo, przyprawiając go o dreszcz. Kolejna kropla wylądowała mu na plecach.
- To jego imię czy nazwisko?
- Przedstawił się jedynie jako pan Gash.
- Czego chce od tego młodego człowieka z psem?
- Powiedział, że przysłała go pan Clapley. Mówił, że chłopak sprawia kłopoty. Nie pytałem go, co to oznacza. - Wiatr się wzmagał, igły sosny zaczęły wydawać dźwięk podobny do brzdąkania na gitarze. Krimmler wbił paznokcie w korę. - Czy może mnie pan łaskawie stąd zdjąć?
- Mogę - odparł menel, zeskakując na niższą gałąź - ale nie sądzę, bym to zrobił.
- Dlaczego nie, u diabła! Co robisz?
- Muszę iść - poinformował włóczęga drżącego Krimmlera. - Pora na kąpiel.

Zabiłem wiele psów - oznajmił mężczyzna w butach zapinanych na zamki błyskawiczne. - Tyle, że chyba wystarczy.

- Nie wątpię - odparł Twilly.
 - Kociaków również.
 - Och, wierzę panu.
 - A pewnego razu również ulubioną małpę pewnego palanta. Miała na imię Bernardo. To był pawian. Zerwała mu się z linki i wskoczyła mi na głowę - dodał mężczyzna. - Mówią, że małpy są sprytnie. Gówno prawda. Psy są sprytniejsze.
 - Tak - przyznał Twilly.
 - Ale jeśli spróbujesz być cwany, stuknę ci tego.
 - No cóż. Nie jest mój.
 - Co mówisz? - Deszcz rozpląszczał kolce na głowie mężczyzny. Trzymał prawą rękę wyprostowaną, celując z rewolweru prosto w czoło labradora. - Nie obchodzi cię, czy rąbnę tego kundla?
 - Tak nie powiedziałem - oświadczył Twilly. - Mówiłem jedynie, że nie należy do mnie. Jego właścicielem jest facet, który cię tu przysłał.
 - Błąd! - Mężczyzna wydał dźwięk jak brzęczyk podczas konkursów telewizyjnych. - Należy do wielkiego dupka, który nazywa się Palmer Stoaat.
 - To nie on cię wynajął?
- Mężczyzna zachichotał i znowu udał dźwięk brzęczyka.
- Myślisz, że pracowałbym dla takiego fiuta jak on? Ha!
 - Tak właśnie sądziłem - odparł Twilly.
 - Zatrudnił mnie pan Clapley.
 - Aha.

- Mam usunąć tych, którzy sprawiają mu kłopoty. A teraz może byśmy się ruszyli. Zawołaj tego cholernego psa i chodźmy, zanim zmokniemy - powiedział mężczyzna. - Gdzie masz samochód?
- Tam. - Twilly wskazał w głąb plaży.
- A twoja przyjaciółka?
- Odeszła. - Twilly pomyślał: Boże, mam taką nadzieję. - Pokłóciliśmy się. Zerwała ze mną.
- Szkoda. Miałem pewne plany.

Twilly zmienił temat.

- Mogę o coś zapytać?
- Nazywam się pan Gash.

Wtedy właśnie Twilly zdał sobie sprawę, że człowiek w brązowych, zapinanych na zamki błyskawiczne butach ma zamiar go zabić. Nie przedstawiłby mu się, gdyby nie wiedział, że Twilly nie zdoła nikomu przekazać tej informacji, bo umrze.

- Czy mogę o coś zapytać?
- Jeśli będziesz przebierał nogami - odparł mężczyzna.

Szli wzdłuż smaganego wiatrem wybrzeża. McGuinn trzymał się przy nodze Twilly'ego, a pan Gash podążał kilka metrów za nimi. Bardzo uważał, żeby fale przyboju nie zamoczyły mu obuwia.

- Dlaczego celuje pan do mnie, a nie do psa? - zapytał Twilly.
- Ponieważ widziałem, jak ruszyłeś dupę, kiedy uznałeś, że Azor ma kłopoty. Bardziej się troszczysz o tego durnego zwierzaka niż o samego siebie - wyjaśnił pan Gash. - Pomyślałem więc, że nie będziesz próbował żadnych głupich pierdoł, dopóki będę celował w mózg Azorka, a jestem pewien, że jest nie większy niż pastylka dentyny.

Twilly opuścił rękę i podrapał McGuinna po czubku głowy. Labrador, doceniając ten gest, pomachał ogonem. Wydawało się, że przestał przejawiać zainteresowanie dziwnie pachnącym człowiekiem z rewolwerem.

- A także - powiedział pan Gash - uważam, że będzie fajnie patrzeć, jak obserwujesz śmierć psa. Ponieważ tak się właśnie stanie. Załatwię najpierw Azora.

- Dlaczego?

- Zastanów się, człowieku. Jeżeli ciebie zastrzelę pierwszego, pies dostanie amoku. A jeśli najpierw rąbnę psa, to co, u diabła, mi zrobisz? Ugryziesz mnie w jaja? Poważnie w to wąpię.

- Dobrze pomyślane - przyznał Twilly.

Nogi miał jak z ołowiu, a ręce zimne. Temperatura gwałtownie spadała. Pył wodny szczypał w oczy, więc Twilly szedł z opuszczoną głową. Widział na piasku ślady Desie, prowadzące w tym samym kierunku.

Pan Gash mówił:

- Mam taśmę z niesamowitego ataku psa. Chow-chow, który nazywał się Brutus. Właściciel dał się przez telefon o pomoc, a Brutus trzymał go za jaja i nie puszczał. Operator z 911 powiedział facetowi, żeby szybko spróbował odwrócić uwagę psa. Więc ten biedny dupek wylał cały dzbanek bezkofeinowej kawy na Brutusa i ostatnią rzeczą na taśmie jest wrzask, który trwa bez końca. Ten cholerny pies urwał mu wszystko! Cały komplet.

- Ojej - powiedział Twilly.

- Powinieneś tego posłuchać.

- Skąd pan ma taką taśmę? - zapytał Twilly, myśląc jednocześnie: Ważniejsze jest pytanie - po co?

- Mam swoje źródła - odparł pan Gash. - A w ogóle, to gdzie jest twój cholerny samochód? Jestem już coraz bardziej przemoknięty.

- Niedaleko.

Twilly sposepniał, gdy dostrzegł roadmastera za porośniętą krzewami wydumą, tam, gdzie go zaparkował. Miał nadzieję, że Desie zauważy kluczyki w stacyjce, pojedzie z powrotem do pensjonatu i tam będzie się dąsać albo zacznie pakować torbę czy też zajmie się czymkolwiek w tym rodzaju.

Może postanowiła pójść na piechotę, pomyślał Twilly. Najważniejsze, żeby była gdzie indziej, gdzieś w bezpiecznym miejscu.

Ale nie była gdzie indziej. Leżała na tylnym siedzeniu. Pan Gash zastukał lufą w zalane deszczem okno. Desie usiadła ze zdziwieniem i przysunęła twarz do szyby. Pan Gash pokazał jej rewolwer i kazał otworzyć drzwi. Gdy zobaczył, że się waha, schwycił McGuinna za obrożę, uniósł go ponad ziemię i przyłożył mu broń do karku.

Drzwi otworzyły się natychmiast.

Pan Gash rozpromienił się.

- Popatrz, Azor. Ona też cię kocha.

Policjant dotarł do starego drewnianego mostu, zanim zmienił zdanie. Zawrócił radiowóz i pojechał z powrotem do swojego przyjaciela. Trzydzieści minut później znalazł go na wydmie. Gubernator stał nago z podniesioną ku górze twarzą i rozkrzyżowanymi rękami, pozwalając, by wiatr i deszcz chłostały, go i myły.

Jim Tile zatrząbił i błysnął reflektorami. Mężczyzna, który sam siebie nazywał Skinkiem, spojrział z oburzeniem przez strugi ulewy. Gdy zobaczył radiowóz drogowki, przeszedł przez piasek i usadowił się, ociekając obficie, na przednim siedzeniu.

- Myślałem, że się już pożegnaliśmy - burknął, wyzymając brodę.

- Zapomniałem ci coś dać.

Były gubernator skinął z roztargnieniem głową.

- Gubernator Fiutas miał rację. Wysłali kogoś za tym chłopakiem. Chłopakiem z psem.

- Ma dwadzieścia sześć lat - zauważył Jim Tile.

- Ale wciąż jest chłopcem - odparł Skink. - I jak przypuszczaliśmy, jest tutaj, na wyspie. Sądzę, że spotkałem człowieka, którego wysłali, aby go zabił.

- W takim razie cieszę się, że wróciłem.

- Nie możesz zostać.

- Wiem - powiedział policjant.

- Musisz pamiętać o Brendzie. O emeryturach, opiece medycznej i różnych takich. Nie możesz być zamieszany w takie gównno jak tutaj.

- Nie jest nigdzie powiedziane, że nie wolno mi zdjąć munduru, nawet na kilka minut, gubernatorze.

- Ale jest coś takiego jak zdrowy rozsądek.

- Gdzie masz swoje cholerne ubranie?

- Wisi na drzewie - odparł Skink. - Co mi przywiozłeś, Jim?

Policjant kciukiem wskazał bagażnik radiowozu.

- Otwórz mi go, dobrze?

Skink wyszedł na deszcz i powrócił z paczką, którą Jim Tile owinął w papier pakowy. Uśmiechnął się, ważąc ją w ręku.

- Ty stary łajdaku! Przypuszczam, że to smith & wesson.

Policjant poinformował go, że broń jest czysta - nie ma numerów seryjnych.

- Jeden z moich ludzi odebrał ją kurierowi z koką w okręgu Okaloosa. To była również bardzo chytra operacja - osiemnastoletni kubański chłopak prowadził żółtego land rovera z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę o trzeciej w nocy po międzystanówce 10. Dziwne, że w ogóle zwróciliśmy na niego uwagę.

Skink pożyczył chustkę, by zetrzeć kropelki wody ze szklanego oka.

- Nie kapuję. To przecież ty mi powiedziałeś, żebym nie brał AK-47.

- Może robię się nerwowy na stare lata - odparł policjant. - Jest coś jeszcze w schowku na rękawiczki. Weź to.

Skink otworzył klapkę i skrzywił się, gdy zobaczył telefon komórkowy.

- Nie, Jim. Nienawidzę tych cholernych urządzeń - powiedział.

- Proszę. Wyświadczyć mi przysługę - rzekł policjant. - Dzięki temu zdecydowanie poprawi się mój czas reakcji.

Skink zamknął telefon w dłoni.

- Lepiej już startuj - burknął. - Ten cholerny samochód rzuca się tu w oczy jak przysłowiowy fiut na weselu.

- A ty nie rzucasz się w oczy?

- Za chwilę się ubiorę.

- Och, wtedy rzeczywiście wtopisz się w otoczenie.

Skink wysiadł z radiowozu i włożył ciężką paczkę pod pachę. Zanim zamknął drzwi, pochylił się i powiedział:

- Przekaż pozdrowienia małżonce.

- Gubernatorze, jeżeli nie będę miał wiadomości od pana w ciągu dwudziestu czterech godzin - oświadczył policjant - wrócę na tę przeklętą wyspę.

- Jeżeli nie będziesz jej miał za osiem, możesz się nawet nie fatygować.

Skink podniósł kciuk do góry. A potem odwrócił się i zaczął biec przez smagane wiatrem wydmy. Biegł zygzakami, wysoko unosząc nogi i kręcąc tyłkiem. Jim Tile nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Patrzył, jak przyjaciel znika w szarożółtej mgiełce podnoszącej się n0 burzy. A potem zawrócił samochód i ruszył w stronę stałego lądu.

DZWONIĄCY: Pomocy! Pomóżcie mi, Boże, proszę, o Boże, pomocy...

DYSPOZYTOR: Jaki ma pan problem?

DZWONIĄCY: Podpaliła mi włosy! Palę się, o Boże, proszę!

DYSPOZYTOR: Proszę nie odkładać słuchawki, wóz jest już w drodze. Pomoc nadchodzi. Czy może pan przejść do łazienki? Proszę, niech pan spróbuje przejść do łazienki i włączyć prysznic.

DZWONIĄCY: Nie mogę, nie mogę się ruszyć... Przywiązała mnie do tego cholernego łóżka. Ona... jestem przywiązany do łóżka... o Jezu, moje włosy!... sznurem do bielizny. Aaaahh-hooooohhh...

DYSPOZYTOR: Czy może się pan przekreślić? Proszę pana, czy może się pan obrócić?

DZWONIĄCY: Cindy, nie! Cindy nie rób tego! CINDY!

DYSPOZYTOR: Proszę pana, jeżeli jest pan przywiązany do łóżka, w takim razie jak...

DZWONIĄCY: Przyłożyła mi telefon do ucha, ta chora suka. Wybrała dziewięćset jedenaście, przyłożyła mi telefon do ucha, a teraz... Oooch... Przestań!... Teraz robi śla-zówki. Włosy mi się palą, a ona gotuje... Przestań, Boże, przestań, palę się, Cindy!... Śla... o, Jezu... zówki... Cindy, ty zwariowana psychiczna suko...

Pan Gash zmniejszył głośność i powiedział:

- Widzicie? Oto, co miłość robi z człowiekiem. Żona tego faceta przywiązała go do łóżka, udając, że będzie się z nim pieprzyć jak głupia. Zamiast tego przyłożyła mu zapalniczkę do włosów i gotowała ślazówki na tym płomieniu.

- Czy to się zdarzyło naprawdę? - zapytała Desie.

- O tak, w Wirginii. - Pan Gash wyjął kasetę z odtwarzacza i przeczytał z nalepki: - Tacoma, stan Waszyngton. Dziesiąty marca 1994. Ofiara nazywała się Appelman. Appelman Junior.

- Czy umarł?

- W końcu tak - poinformował pan Gash. - Zajęło mu to sześć tygodni. - Według gazety Appelmanowie mieli poważne problemy rodzinne. A teraz najlepszy kawalek: Okłamał dyspozytora. Związała go nie sznurem do bielizny,

ale rajstopami. Wstydził się o tym powiedzieć. Nawet paląc się! Tak więc, inoim zdaniem, romans to mordercza pierdoła. Spójrzcie na was oboje. Twilly i Desie wymienili spojrzenia.

- Nie byłibyście tu teraz już prawie martwi - dodał pan Gash - gdybyście nie zaangażowali się uczuciowo. Założę się o wszystko.

Wszyscy siedzieli w kombi zaparkowanym w lesie, pomiędzy spychaczami. Desie zapamiętała to miejsce z wycieczki po wyspie z doktorem Brink-manem. Zapadła noc i rzęsy deszcz zamienił się w mżawkę. Jedyne światło w samochodzie zapewniała lampa podsufitowa, którą pan Gash zapalił, odtwarzając kasetę z 911 dla swoich więźniów. Siedział obok Twilly'ego Spree na przednim siedzeniu. Desie zajmowała miejsce z tyłu razem z McGuinnem, który hałaśliwie zagłębił pysk w paczce suchej karmy i w związku z tym zupełnie nie zwracał uwagi na rewolwer wycelowany w jego głowę.

- Jak się nazywasz, dziecinko? - zwrócił się do Desie pan Gash.

- Mniejsza o to.

Pan Gash trzymał broń w prawej ręce, opartej o zagłówek fotela. Lewą grzebał w torebce Desie do chwili, gdy znalazł jej prawo jazdy. Kiedy zobaczył, na czyje nazwisko jest wystawione, mruknął: - „O, kurwa”.

Desie skuliła się na siedzeniu.

- Nikt mnie nie uprzedził. Ciekaw jestem dlaczego - zastanawiał się na głos pan Gash. - Powiedzieli mi o psie, ale nie o żonie!

- Jej mąż nie wiedział - wyjaśnił Twilly.

- Raczej można sądzić, że to go nie obchodziło.

- Popelnia pan błąd - rzekł Twilly. Mężczyzna w brązowych butach zapinanych na zamki błyskawiczne oczywiście zignorował jego słowa.

- No cóż, pani Stoa. Miałem wielkie plany na dzisiejszą noc. Zamierzałem zawieźć panią z powrotem na kontynent i nawiązać kontakt z paroma rozrywkowymi dziewczynami. A następnie wprowadzić panią w cudowny świat seksu z wieloma partnerami. - Pan Gash wpatrywał się w fotografię Desie w prawie jazdy. - Lubię oświatowy charakter tych masówek. Dobrze tu pani wygląda.

Desie oparła się chęci skomentowania wyglądu platynowoblond brwi zabójcy.

- Jak właściwie wymawia się twoje imię? - zapytał pan Gash. - Dez-aj-rotta? Jakoś tak?

- Wystarczy Desie.

- Jak ten Kubańczyk w starym spektaklu Lucy.

- Mniej więcej.

- Zdejmij kolczyki - polecił jej pan Gash. - Mam przyjaciółkę w Miami, Włoszkę, która będzie w nich wyglądała odjazdowo. Niemal tak jak ty.

Desie zdjęła kolczyki z perłami i podała mu je.

- Jesteś za ładna dla tego mazgajowatego świntucha, twojego męża. A ponieważ od sześciu dni nie miałem kobity, do diabła z tym, zabawię się z tobą.

Twilly zeszytywniał.

- Nie bądź idiotą - powiedział. - Clapley nie płaci ci za molestowanie żon swoich przyjaciół.

- Przyjaciół? Według pana Clapleya Stoa jest zerem - cytuję - „gównojadem”. Poza tym - oznajmił pan Gash - moim zadaniem jest usuwanie ludzi, którzy sprawiają kłopoty. A ponieważ pani Stoa sypia z człowiekiem sprawiającym kłopoty, sama też należy do tego grona.

Desie udawała, że patrzy w zaparowane okna. Łza spłynęła po jej policzku.

- Widzę to tak: morderstwo i samobójstwo - ciągnął pan Gash. - Młody, napalony kochanek. Zamężna kobieta, która odmawia porzucenia bogatego męża. Kochankowie sprzecząją się. Chłopakowi odbija. Rozwala laskę, rozwala psa, a w końcu strzela sobie w łeb. Oczywiście, na miejscu znajdują broń - pan Gash ruchem głowy wskazał swój rewolwer.

- Niezbyt oryginalne - stwierdził Twilly.

- Zabity pies, to jest oryginalne w tej historii. O tym będą mówili gliniarze - rzekł pan Gash. - Jaki świr mógłby zrobić krzywdę niewinnemu psu? A skoro już o tym mowa, zanim cię zastrzelę, chciałbym zapytać: Skąd wzięłeś to cholerne ucho, które wysłałeś Stoaowi? Jezu, ależ to było porąbane!

Twilly przesunął się trochę na siedzeniu kierowcy. Oparł się mocno plecami o drzwi i jakby przypadkowo zdjął prawą rękę z kierownicy.

- Naprawdę zbierasz te koszmarnie taśmy? - głos Desie palił niczym kwas.

- Masowo - pan Gash uśmiechnął się okrutnie.

Na kilkanaście sekund w samochodzie zapadła cisza, zakłócały ją tylko nierówne oddechy. Cała trójka, nie wyłączając pana Gasha, była maksymalnie spięta. Twilly zerknął nad siedzeniem, żeby sprawdzić, co się dzieje z McGuinnem. Pies skończył już jeść swą karmę i teraz żarł papierową torbę. Labrador miał aż za dobrze znajomą minę, wyrażającą zadowolenie po godziwym posiłku.

Boże, pomyślał Twilly, proszę, spraw, żeby nie pierdnął. Ten psychopatyczny punk zastrzelił go natychmiast.

- Kiedy znajdą ciała, przede wszystkim zadzwonią na dziewięćset jedenaście. Może będziecie już tylko szkieletami, ale mimo to wezwą służby alarmowe. - Pan Gash przerwał, aby ponapawać się ironią tej sytuacji. - I wie pani, co mam zamiar zrobić, pani Stoa? Mam zamiar zdobyć taśmę tej rozmowy telefonicznej jako wspomnienie naszej pierwszej i ostatniej wspólnej nocy. Co pani o tym

myśli?

- Myślę, że jesteś potworem!
- „Prawdopodobne ludzkie szczątki”. Tak właśnie gliniarze nazywają te przypadki.
- Proszę nie zabijać mojego psa - poprosiła Desie Stoa.
- Za chwilę się załamie nerwowo - rzekł pan Gash.
- Zrobię wszystko, co chcesz. Cokolwiek.

Desie pochylała się do przodu i schwyciła wilgotny rękaw garnituru w kratkę pana Gasha.

- Wszystko, pani Stoa? Ja mam bardzo bogatą wyobraźnię.
- Tak, możemy się tego domyślić, patrząc na twój strój - wtrącił się Twilly. Zaciśnął prawą dłoń w pięść, oceniając w myśli odległość od szczęki pana Gasha.
- Proszę - powtórzyła Desie. - Nie ma potrzeby tego robić.
- Przykro mi, dziecinko - wzruszył ramionami pan Gash. - Kundel zginie pierwszy.
- W takim razie mam nadzieję, że lubisz nekrofilie - odparła, drżąc na całym ciele - ponieważ, jeżeli zastrzelisz McGuinna, czeka cię najgorszy seks w całym twoim życiu. Obiecuję.

Pan Gash wydał woskowe wargi i zamyślił się. Twilly widział, że groźba Desie wywarła właściwy skutek

- dziwaczne fantazje zabójcy legły w gruzach.
- Dobra, wypuszczę go - powiedział wreszcie pan Gash.
- Tutaj? - Desie zmarszczyła brwi. - Nie możesz go po prostu wypuścić.
- Czemu nie, do diabła?
- Był chory - wyjaśnił Twilly. - Jest na lekach.
- Lepiej być chorym niż martwym.
- To pies, a nie zółw. Nie możesz go po prostu wypuścić – zaprotestowała Desie. - Nie potrafi polować, żeby zdobyć pożywienie. Co będzie tu jadł?
- Was, na przykład - odparł pan Gash. - O ile wiem, psy jedzą świeże mięso.

Desie zbladła. Pan Gash bacznie obserwował jej reakcje, wręcz się nimi napawał. Twilly wyczuł nadarżającą się okazję. Napiął mięśnie, nabrał głęboko powietrza i...

I wtedy dosięgnął go smród, przenikliwy, nie dający się pomylić z niczym innym. McGuinn!

Nos pana Gasha zadrżał. Jego twarz wykrzywiła się groźnie.

- Auu, kto zepsuł powietrze? Czy to jego robota?
- O czym ty mówisz? - zapytał Twilly, starając się oddychać przez usta.
- Nic nie czuję - upierała się Desie, chociaż oczy zaczęły jej łzawić.
- Twój cholerny pies puścił gazy!

Pan Gash klęczał, klnąc zapamiętałe i machając rewolwerem. McGuinn miał promienną, uroczą minę, sugerującą absolutną niewinność i dobrze znaną wszystkim właścicielom labradorów. Wygląd ten kształtował się przez setki lat jako jedna z podstawowych cech ułatwiających przetrwanie, a służył do oczarowania zdenerwowanych ludzi i uzyskania ich przebaczenia.

Niestety, pan Gash był na to zupełnie nieczuły.

- Otwórz te cholerne okna! - wysapał do Twilly'ego.
- Nie mogę. Są na elektryczność, a ty wzięłeś kluczyki.

Pan Gash wygrzebał kluczyki z kieszeni i wcisnął je w stacyjkę. A potem przechylił się gwałtownie, oparł górną połowę ciała na kolanach Twilly'ego i zaczął gorączkowo wciskać wszystkie znajdujące się na drzwiach guziki mechanizmu opuszczania okien. Pan Gash pozostawał w tej pozycji wystarczająco długo, by odebrać Twilly'emu oddech bijącym od jego ciała odorem - w porównaniu z nim zapachy wydzielane przez McGuinna sprawiały wrażenie aromatu kwiatów pomarańczy.

Gdyby Twilly miał możliwość odetchnięcia niezatrutym powietrzem, zapewne wyciągnąłby rękę i złamał panu Gashowi kark albo przynajmniej rękę z rewolwerem. Ale smród przepeconego garnituru podziałał na niego paraliżująco, a zanim doszedł do siebie, pan Gash znowu oparł się torsem o przednie siedzenie i umieścił lufę rewolweru pomiędzy spokojnymi, wciąż pełnymi ufności oczami McGuinna.

- A byłeś już wolny, Azorku. Ale musiałeś sobie pierdnąć.

Desie krzyknęła i objęła ramionami potężny kark McGuinna.

Przez kilka chwil nikt się nie poruszył. Przesycony zapachem sosen wiatr wdarł się przez otwarte okna roadmastera. Twilly miał nadzieję, że orzeźwi pana Gasha i ostudzi jego wściekłość.

Ale tak się nie stało. Zabójca odciągnął kurek.

- Wracamy do planu A - oznajmił.

Twilly rzucił się w poprzek siedzenia i wyrznął pięścią w klatkę piersiową pana Gasha, najbliższy dostępny cel. Cios nie przyniósł jednak spodziewanego efektu. Twilly oczekiwał bólu spowodowanego uderzeniem kości o kość, poczuł tymczasem, że trafił w coś o wiele bardziej miękkiego, niczym sofa. Nie mógł przewidzieć, że pan Gash pod marynarką, szelkami z kaburą i koszulą z długimi rękawami nosi watowany gorset z wyprawionej skóry grzechotnika.

Ten element stroju został wykonany przez tego samego tapicera cudotwórcę z Washington Avenue,

który sporządził na zamówienie seksualną uprząż ze skóry iguany. Twilly nigdy nie zdołał zadać pytania, czemu pan Gash zakładał pod ubranie gorset. Odpowiedź brzmiałaby następująco: Zabójca odznaczał się pewną próżnością, gdy chodziło o jego wygląd. Był więc zmuszony podjąć odpowiednie kroki, by w sztuczny sposób nadać bardziej smukły kształt swojej talii, która w ostatnich latach zaczęła zdradzać wyraźną tendencję do zaokrąglania się. Było to irytujące zjawisko, które pan Gash z rozgoryczeniem przypisywał siedzącemu trybowi życia płatanego zabójcy. Zawód ten nie wymagał częstych intensywnych ćwiczeń fizycznych, co więcej, nie pozwalał właściwie na tego rodzaju trening - te ciągle przeloty samolotem, podróże samochodem, niekończące się wyczekiwania w zasadzkach w pokojach motelowych i w barach. Dla pana Gasha, który zdawał sobie doskonale sprawę ze swojego niskiego wzrostu, widok pożyłkowanego, coraz bardziej krągłego brzucha stał się czymś nie do zniesienia. Dobrze skrojony i dyskretnie noszony gorset wydawał się dobrym, tymczasowym rozwiązaniem problemu, przynajmniej do chwili, gdy znajdzie wreszcie czas, by udać się do uzdrowiska. A ponieważ mieszkał w South Beach, nie mógł posługiwać się byle jakim gorsetem. Ale gdy pan Gash wybrał się na zakupy, znajdował tylko wykrochmalone, białe lub beżowe gorsety medyczne, pozbawione wszelkich kolorów czy wzorów. Pan Gash chciał mieć coś wykonanego z inwencją, co nie wyglądałoby jak pas do zaciśnięcia zwiótczałych mięśni, coś, czego nie powstydziliby się, zdejmując ubranie w obecności kobiet, które zapraszał do domu, coś, co byłoby na tyle intrygujące, by mogło odwrócić uwagę od jego galaretowatego brzucha.

Wybrał oczywiście skórę węża. Skóra węża gwarantowała, że wszędzie na Ocean Drive zostanie dobrze przyjęty. Pan Gash zdecydował się na grzechotnika diamentowego, ponieważ kobiety, które zgadzały się pójść do jego domu, zazwyczaj pociągało niebezpieczeństwo i dlatego (rozumował pan Gash) bardziej powinny je podniecić szczątki jadowitego węża niż kawałki powłoki zwykłego boa czy pytona. Przez cały ten czas gorset ze skóry grzechotnika bardzo dobrze służył panu Gashowi zarówno w sensie towarzyskim, jak i pod względem kosmetycznym. Gdy nie miał go na sobie, wydawało mu się, że jest niezgrabny i gruby, a także - co było dość dziwne - niższy! Gdyby pan Gash nie miał na sobie gorsetu, nie czułby się wygodnie w swoim garniturze w kratkę (nie próbowałby go nawet nałożyć).

Twilly Spree nic o tym wszystkim nie wiedział. Wiedział jedynie, że choć trafił przeciwnika wyjątkowo dobrym ciosem, ten nie przewrócił się, stęknął, ale nie krzyknął z bólu, skrzywił się, ale nie wyrwał oczami jak ktoś, kto za chwilę straci przytomność. Wobec tego Twilly rozpaczliwie schwycił pana Gasha w pasie, starając się przewalić go do tyłu i odebrać mu broń. Jednakże w tym samym momencie w prawym uchu Twilly'ego eksplodowała bomba, a w oczodołach rozbłysły białe fajerwerki. Miał nadzieję, że to początek kolejnego snu, ale tak nie było.

Wiatr pachniał wspaniale. Dla McGuinna ważniejsze było jednak, że wspaniale smakował. Był dla psich zmysłów niczym kusząca, wykwinna przystawka. Niósł ze sobą kwaśną woń szopa, piżmowy aromat samicy oposa, znajomy odór podnieconego rysia - cały bukiet nowych, intrygujących leśnych zapachów, które wymagały natychmiastowego zbadania. Noc zrywała McGuinna, a ponieważ psiej karmy już nie było, nie widział żadnego powodu, by nie odpowiedzieć na ten zew.

Z wyjątkiem Desie.

Wciąż go przytulała, a dla labradora nie było nic miłszego na świecie niż uczucie okazywane przez ludzką samicę. Pachniały fantastycznie! Dlatego w McGuinnie walczyły pierwotna potrzeba podążania za tropem i mniej pierwotne pragnienie bycia tulonym i głaskanym.

Wystrzał przerwał te wahania. Był tak głośny, że McGuinn aż podskoczył, ale uruchomił jedną z kilku reakcji, które utrwaliły się na dłużej w jego niestałej jak lotne piaski pamięci. Wystrzał oznaczał, że powinien biec! To właśnie dokładnie zapamiętał z owych mroźnych dni spędzonych na mokradłach z Palmerem Stoatem. Wystrzał oznaczał, że kaczki spadają z nieba! Ciepłe, mokre, smaczne kaczki! Kaczki, które należy wywachać, schwytać unoszące się na powierzchni stawu w zęby i wynieść galopem, a potem tarmosić je do chwili, gdy ludzki samiec przybiegnie z wraskiem i zabierze zdobycz. To właśnie dla McGuinna oznaczał wystrzał.

Dlatego wyskoczył z kochających ramion Desie przez otwarte okno samochodu (zaskomlał krótko, gdy pooperacyjna rana otarła się o guzik blokady drzwi, w przesyconą mgłą ciemność w poszukiwaniu... kaczek? Ale gdzie?

Pan Gash popatrzył, jak odbiega, i powiedział:

- To rozwiązuje problem psa.

Wypchnął sprawiające wrażenie martwego ciało Twilly'ego Spree z samochodu, zamknął drzwi i przedostał się na tylne siedzenie do Desie. Zastanawiał się, czy nie kazać jej przejść jeszcze dalej do tyłu, do części ładunkowej, ale było tam pełno przeżutych zabawek McGuinna i jego kłaków. Pan Gash wolał seks, po którym nie trzeba było się czyścić odkurzaczem od stóp do głów.

- Zdejmij ubranie.

Przyłożył rewolwer do skroni Desie. Mechanicznie zdjęła sweter, stanik i dżinsy. Pan Gash zrzucił z

siebie marynarkę w kratkę i swobodną ręką złożył ją zgrabnie w kwadrat.

- Połóż to sobie pod głowę - polecił Desie.

- A co z twoimi spodniami? - Była tak przerażona, że odnosiła wrażenie, jakby jej głos dobiegał z jaskini. Jakaś odległa, niedostępna część jej świadomości nakazywała jej grać na zwłokę, na czas, by zając tego potwora tak długo, jak będzie to możliwe, choćby zmuszało ją to do rzeczy najokrutniej szych.

- Spodniami? - zapytał pan Gash.

- Są mokre.

- No tak, owszem. To od deszczu.

- Wiem - powiedziała Desie. - Ale kiedy dotykają mojej skóry, są zimne. Proszę, mógłbyś je zdjąć? I koszulę.

Leżała na wznak, osłaniając sutki dłońmi. Teraz była to wyłącznie kwestia przetrwania. Nie mogła niczego zrobić dla Twilly'ego, który był albo martwy, albo umierający. Będzie go opłakiwała później, jeżeli uda się jej przeżyć.

Pan Gash przysiadł na krawędzi fotela.

- Nie ruszaj się - powiedział do niej. - Nawet nie mrugnij.

Rozpiął zamki błyskawiczne swoich brązowych butów, ściągnął je i umieścił pod siedzeniem. Potem ściągnął wilgotne spodnie i przewiesił je przez jeden z zagłówek. Następnie przyszła kolej na kaburę i koszulę.

- Co to jest? - zapytała Desie. Nawet po ciemku mogła zauważyć, że ma on na sobie coś niezwykłego.

- Kamizelka kuloodporna - skłamał pan Gash.

- Czy to z węża?

- Jasne. Chcesz dotknąć?

- Nie.

- On nie żyje. No dalej, dotknij.

Desie wykonała polecenie i przesunęła palcami po karbowanych łuskach skóry. Zadygotała właściwie nie pod wpływem dotyku, ale raczej na myśl o pochodzeniu tego materiału.

- Proszę, zdejmij i ją - powiedziała.

Pan Gash, szamocząc się z gorsetem, powiedział:

- Pani Stoaat, nie sądzę, że to do pani dotarło. To nie jest cholerny miesiąc miodowy, ale coś, co gliniarze nazwaliby dokonaniem w stanie wzburzenia wymuszeniem seksualnym. A pani w tej chwili denerwuje mnie coraz bardziej.

Gdy wsunął się na nią, gestem robota położyła mu dłonie na ramionach, które sprawiały wrażenie tłustych i kluchowatych. Coś twardego szturchnęło ją w szyję i domyśliła się, że to rewolwer.

- O, kurwa - stęknął pan Gash.

- Co się stało?

- Ten cholerny samochód przecieka.

Desie spojrzała do góry i dostrzegła w dachu roadmastera dziurę o rozmiarach dziesięciocentówki. Wybił jącisk, przypadkowo wystrzelony przez zabójcę w chwili, gdy uderzył rewolwerem w głowę Twilly'ego Spree. A teraz przez otwór woda kapiała na nagi tors pana Gasha.

- Prosto na rowek w mojej dupie - mruknął ponuro.

Usiadł i pospiesznie zatkał przeciek zwiniętym kuponem rabatowym na psią karmę Purinę o smaku kurczakowym. A potem znowu zaczął się układać na Desie i oznajmił:

- No to już. Nareszcie.

Postanowiła nie stawiać oporu - pan Gash był zbyt dobrze umięśniony. Ale miała inny plan - siłą woli sparaliżować się od szyi w dół tak, aby zupełnie go nie czuć. Była to technika, którą Desie wypracowała w okresie, gdy żyła z drapiącym różnymi cielesnymi ozdobami Andrew Beckiem. Potem ta odrętwiająca hipnoza okazała się przydatna w małżeństwie z Palmerem Stoaatem, zwłaszcza gdy jego polaroidowe wyczyny zaczynały już być nużące.

Wszystko polegało na wyobrażeniu sobie, że żyje w pożyczonym ciele, dzięki któremu może widzieć i mówić, ale pozbawiona jest czucia. Początkowo rzeczywiście zupełnie nie czuła pana Gasha.

- Jeszcze chwilka. - Zaczął oddychać w ciężkim rytmie, jakby oddawał się medytacji. - Poczekaj trochę - powiedział.

Desie z zachwytem pomyślała: Temu szajbusowi nie może stanąć!

Ale ulga szybko zmieniła się w przygnębienie i lęk, ponieważ uświadomiła sobie, że i tak ją zabije - a pod wpływem gwałtownej frustracji zapewne zrobi to nawet jeszcze szybciej.

- Pomóż mi w tym, dziecko.

Ocierał się o nią z ponurą determinacją. Jego kości biodrowe zderzały się z jej kośćmi biodrowymi, tors uderzał o jej piersi, broda wbijała się w jej czoło...

Desie walczyła z ogarniającymi ją mdłościami - mężczyzna śmierdział nieświeżym potem, słodkawą wodąkolońską i brudną bielizną.

- Nie... nawykłem... do tego... - wysapał pan Gash.
Jego cuchnący oddech sprawił, że Desie wzdrygnęła się.
- Do czego? - zdziwiła się Desie. - Do kobiet? Jesteś bi?
- Nie! Nie... nawykłem... do jednej kobiety. Przyzwyczyłem się, że jest ich więcej.
- Ile?
- Dwie, trzy. Czasami cztery. - Powiedział jej, co lubił robić (i co one mu robiły), kiedy wisiął pod sufitem w swojej uprzęży ze skóry jaszczurki.
- No, no, no - odparła Desie. - Nic nie mogę w tym pomóc, wodzu.
Pan Gash zaprzestał się ocierać i dźwignął się na ramionach.
- Ależ oczywiście, że możesz. Istnieje wiele rzeczy, które może pani zrobić, pani Stoat.
Twilly ocknął się, leżąc twarzą w błocie. Uniósł głowę i wydmuchnął z nozdrzy grudki ziemi.
Jego głowa! Nigdy dotąd nie czuł takiego bólu. Próbował splunąć i znowu omal nie zemdał. W lewym uchu brzęczało mu coś jak dzwonek alarmowy. Cała lewa strona czaszki płonęła, miał wrażenie, że jej kości są galaretowate i poprzestawiane.
Przypuszczam, że w końcu do mnie strzelił, pomyślał Twilly. Był rozżłoszczony, ale niezbyt przestraszony i to był stały problem w jego życiu - złość wypierała normalne, uzasadnione lęki. Niezdrowy brak troski o własne bezpieczeństwo stanowił istotną cechę jego charakteru.
Przetoczył się na plecy i zobaczył gwiazdy. Znikały za cienką zasłoną mknących szybko chmur. Była już noc i rześisty deszcz ustawał. Twilly nie wiedział, gdzie się znajduje ani co tu robi, ale miał przeczucie, że ktoś wkrótce zechce się nim zainteresować. Dotknął dłonią głowy i odnalazł na niej wielki bolesny guz, lecz nie wyczuł rany postrzałowej. Palce lepiły mu się, zbliżył je więc do twarzy, aby sprawdzić, jakiego koloru jest krew - im jaśniejsza, tym lepiej. I wtedy zorientował się, że nie widzi na lewe oko.
- Cholera - mruknął.
Czubkiem palca wskazującego ostrożnie obmacał oczodół i z ulgą stwierdził, że gałka oczna jest nienaruszona. Uniósł się na łokciach, kołysząc się niepewnie w grząskim błocie. Gwiazdy i chmury nad jego głową zawirowały wokół wierzchołków drzew. Twilly czekał cierpliwie, aż świat przestanie się kręcić. Zdrowym okiem zobaczył po obu stronach potężne nieruchome kształty - z lewej spychacz, z prawej przypominający łódź samochód kombi.
To już postęp, pomyślał.
Huczący w jego głowie dzwon stopniowo cichł i Twilly był w stanie rozróżnić poszczególne dźwięki - szum wiatru wśród sosen, a także rozlegające się w tle dziwne brzęczenie, przypominające janczary przy sankach...
A z wnętrza samochodu dobiegały go stłumione odgłosy szamotania.
Twilly próbował się podnieść, opierając o zderzak. Spostrzegł, że się chwieje. Kiedy wreszcie stanął, poczuł zawrót głowy i mdłości. Przez cały czas brzęczenie zbliżało się coraz bardziej, co skłaniało go do przypuszczeń, że dobiega ono z wnętrza jego czaszki i powoduje je coś, co mu się tam obluźowało lub urwało.
Ale kombi naprawdę się kołysało - słabo, ale w stopniu wystarczającym, by zniszczyć słabutkie poczucie równowagi Twilly'ego. Opadł na kolana i oparł się o bok samochodu, przyciskając policzek do zimnej stali. Próbował po omacku znaleźć jakiś uchwyt i znalazł klamkę drzwi.
Wisiął na niej jak pijany alpinista do chwili, gdy zamek ustąpił z trzaskiem i ciężkie drzwi otworzyły się na oścież. Ręka Twilly'ego puściła uchwyt i osunął się bezwładnie w błoto. Leżał, mrugając oczami i patrząc w niebo, a w jego uszach pobrzękiwały dzwonki nadjeżdżających sanek. Ale gdzie jest śnieg? - pomyślał sennie.
Chwilę później Twilly zobaczył, jak sanie przelatują nad nim potężnym, czarnym cieniem, który na chwilę przesłonił gwiazdy i chmury., Cień wydzielał również zapach, który jednak w niczym nie przypominał Bożego Narodzenia. Raczej dużego mokrego psa. Z wnętrza samochodu dobiegł pełen zaskoczenia okrzyk i nagle Twilly przypomniał sobie, gdzie jest i co się dzieje. Przypomniał sobie wszystko.
- On myśli, że to zabawa - wyjaśniła Desie.
- Każ mu się wynosić!
- Nie robi ci krzywdy.
- Do cholery! Każ mu zejść ze mnie, żebym mógł go zabić.
McGuinn - mokry brudny labrador! - siedział na panu Gashu jak na koniu. Żółtymi kłami trzymał go za kark - nie tak mocno, by przeciąć mu skórę, ale w wystarczająco zdecydowany sposób, by spowodować poważny rozstrój nerwowy pana Gasha, który nie był miłośnikiem zwierząt. (Uważał taśmę z 911, na której chow-chow odgryzał ofierze jądra, za jedną z najbardziej wstrząsających w całej jego kolekcji).
- Zabijałem psy - syknął do Desie - za o wiele bardziej niewinne numery niż ten.
- On uważa, że się bawimy.
- Chcesz powiedzieć, że wykręcał już coś takiego? Kiedy się pieprzyliście?

- Dla niego to jest jak zapasy. Nie cierpi, żeby zostawiano go samego. - Połączone masy i zapachy dwóch zwierząt, labradora i pana Gasha, sprawiały, że Desie mówiła z wyraźnym trudem.

- Kto go nauczył otwierać drzwi?

- Nie wiem. To jego nowy pomysł.

- Każ mu zejść! Waży pieprzoną tonę.

- McGuinn, idź sobie - słabym głosem poleciła Desie.

Pies nie zmienił pozycji. Słyszeli, jak ogon wesoło uderza o tapicerkę.

- Jezu, oślinił mnie całego! - zawołał pan Gash.

Desie zobaczyła stróżkę śliny lśniąca na jego lewym uchu. Odsunął rewolwer od jej szyi i przełożył go za głowę, tak że oparł lufę o dolną szczękę psa.

- Duży błąd - oznajmiła Desie.

- Co? Ten głupi kundel musi umrzeć - po pierwsze dlatego, że zniweczył wysiłki pana Gasha, by uzyskać erekcję, a po drugie - że zapaskudził mu włosy śliną.

- Czy masz pojęcie, jak twarda jest psia czaszka? - spytała Desie.

- O czym pani mówi, pani Stoa? Rewolwer ma kaliber zero czterdzieści pięć.

- Chcę tylko zwrócić uwagę, że ma łeb jak z żużlobetonu. Pocisk może się odbić od niego i trafić w ciebie lub we mnie. Warto się nad tym zastanowić.

Uwaga Desie rzeczywiście skłoniła pana Gasha do przemyślenia sprawy. Miała rację. W końcu ta bestia siedziała mu dokładnie na plecach. A poza tym musiałby strzelać na ślepo, trzymając lufę nad ramieniem. Bardzo ryzykowne.

- Kurwa - jęknął pan Gash. Wieczór nie przebiegał tak, jak to sobie zaplanował. - Jak długo on tak potrafi?

- Aż się znudzi. Albo zgłodnieje. - Desie coraz silniej ogarniało uczucie klaustrofobii i wrażenie, że się dusi.

- Jeżeli znowu pierdnie, na pewno pociągnę za spust.

- Powiedz to jemu, nie mnie - mruknęła.

Twilly Spree stał na czworakach w błotnistej mazi, spoglądając przez otwarte drzwi na tylne siedzenie.

W zielonkawej poświacie górnego światła widział Desiratę Stoa i psa oraz obscenicznie wciśniętego między nich pana Gasha. Żadne z nich nie mogło zobaczyć Twilly'ego, który wpelzł jak żuk wodny pod roadmastera i tylko przez chwilę słuchał pełnej napięcia rozmowy.

Cholerny, zwariowany pies, pomyślał. Zaraz zginie.

Panu Gashowi już niewiele brakowało, by mu odbiło i zaczął strzelać. Należało więc w jakiś sposób ściągnąć McGuinna z zabójcy, a potem zabójcę z Desie.

- Puść mnie, ty głupi skurwysynu! Puść mnie! - w panu Gashu narastała furia.

Twilly oblizał wargi i próbował gwizdnąć. Nie udało mu się - zimna wilgoć sprawiła, że drżał cały.

Usłyszał krzyk Desie: „Co robisz?”.

I odpowiedź pana Gasha: „To, co trzeba”.

Samochód znowu zaczął się kołysać. Twilly energicznie wytarł z policzków lepka wilgoć. Starał się zagwizdać dwie charakterystyczne nuty, którymi zazwyczaj wzywał McGuinna na obiad. Nadał policzki i dmuchnął. Tym razem mu się udało.

Samochód przestał się kołysać. Rozległ się okrzyk, plusk, zabrzmiało pytające szczeknięcie. Pies puścił zabójcę i wyskoczył z samochodu, poszukując miejsca, skąd rozległo się wezwanie na obiad. Twilly wiedział, gdzie McGuinn się znajduje, bo słyszał pobrzękiwanie jego obroży. Było rzeczą oczywistą, że wiecznie głodny labrador wywacha jego kryjówkę w ciągu kilkunastu sekund.

- Kto tu jest? Co to był za gwizd? - ryknął pan Gash z tylnego siedzenia.

- Jaki gwizd? - rozległ się głos Desie. - Chodzi ci o tego ptaka?

- To nie był żaden cholerny ptak.

Twilly znowu gwizdnął, tym razem wykonał jakiś treł. Zobaczył, jak łapy McGuinna sztywnieją. Pies natężył maksymalnie węch, wzrok i słuch i zaczął go namierzać.

Jeszcze nie, pomyślał Twilly, błagam. Usłyszał nad sobą jeszcze inny ruch - to pan Gash gramolił się z wnętrza kombi.

- Otóż to - mówił zabójca - ktoś tam jest. Jakiś kurewski intruz.

Twilly wciągnął powietrze, gdy ruchliwy nos McGuinna pojawił się pod

tylnym zderzakiem. Pies zaczął skomleć i drapać ziemię. Nie! - pomyślał Twilly. Leżeć!

Wreszcie wyczekiwane przez Twilly'ego dwie blade stopy wyłoniły się z samochodu i opuściły się na ziemię. A potem zniknęły w błocie, gdy zabójca się wyprostował.

- Cholera - stęknął pan Gash. - Ale zimne.

Z miejsca, w którym się znajdował Twilly, białe kostki stóp wyglądały jak pędy osiki. Wyciągnął obie ręce, każdą z nich zacisnął na innej kostce i szarpnął. Zabójca wyrznął o ziemię mocno i z hałasem. McGuinn cofnął się zdezorientowany i zawył głośno.

Twilly wyczołgał się spod samochodu i rzucił się na miotającego się po ziemi pana Gasha. Grudka błota trafiła w jego zdrowe oko, ostatecznie pozbawiając go wzroku. Szaleńcze uderzenia trafiały w ręce i ramiona pana Gasha, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Zabójca, który po prostu odrzucił Twilly'ego na bok, podniósł rewolwer i wystrzelił.

Tym razem Twilly wiedział na pewno - został postrzelony. Pocisk trafił w prawą stronę klatki piersiowej i oszołomił go. Właściwie nie upadł, ale jakby złożył się wpół.

Słyszał szum wiatru. Łkanie Desie. Niesamowite dzwoneczki przy saniach rozlegające się wśród drzew. Łomotanie własnego serca.

Miał nawet wrażenie, że słyszy krew wypływającą z dziury pomiędzy zębami.

A także dziwny nowy głos, zapewne produkt wyobraźni.

- Zabiorę go stąd - był bardzo niski, prawie basowy.

- Co? Takiego grzyba? - To mówił pan Gash, zabójca.

- Chłopak pójdzie ze mną.

- Ha! Ojczulku, powinienem był odstrzelić ci dupę tam na drodze. A teraz spierdalaj stąd w podskokach.

- Niech pan ucieka. Sprowadzi pomoc! Proszę. - To pewnie była Desie.

- Zamknij się, pani Stoa - to znowu zabójca - a ja odstrzelę łeb temu staremu pierdole.

- Powiedziałem, że chłopak jest mój. - Głęboki, zadziwiająco spokojny głos.

- Jesteś szajbnięty czy co? Chyba tak - oznajmił pan Gash. - Mniejsza o to. To będzie dla mnie tylko następny martwy facet, który sprawiał kłopoty.

Twilly poczuł, że się przesuwają, jakby znajdował się na tratwie spływającej spokojnie w dół rzeki. Jeżeli umierał, to uczucie nie było wcale takie złe. A jeżeli był to jedynie sen, nie miał ochoty się budzić. W końcu należało mu się za dwadzieścia sześć lat niewykorzystanych snów.

Pod wpływem impulsu postanowił wezwać McGuinna - pies jest zawsze dobrym towarzyszem na rzece.

- Powiedziałem, że chłopak jest mój.

O kim on mówi? - zastanawiał się Twilly. O jakim chłopaku?

Zastanawiał się również, czemu nie słyszy swojego gwizdania, dlaczego nagle przestał słyszeć cokolwiek.

Czego właściwie chcesz, Willie?

Odwieczne pytanie. Palmer Stoa zadzwonił kostkami lodu w szklance i czekał na odpowiedź wiceprzewodniczącego Komisji Budownictwa Mieszkaniowego.

- Ty i te twoje wulgarny maniery - odparł Willie Vasquez-Washington. - Człowieku, powiem ci, czego chcę. Żeby czcigodny Robert Artemus nie spieprzył mi wiosennego wyjazdu na narty. Chcę być za tydzień w Kanadzie i nie chcę siedzieć w Tallahassee na jakiejś gównianej sesji specjalnej.

- Posłuchaj, Willie, jest już za późno...

- Daruj sobie to „posłuchaj, Willie”. Tu nie chodzi o szkolny budżet, amigo, ale o ten pieprzony most na pieprzonej wyspie. Sądziłem - nie, to ty mi powiedziałeś - że wszystko zostało już załatwione kilka tygodni temu. I nagle... - Willie Vasquez-Washington przerwał, by wypić łyk mrożonej herbaty Long Island. - I nagle twój gubernator Dick wetuje tę pozycję. Swoje własne dziecię! Dlaczego?

Palmer Stoa odpowiedział swoim standardowym wywróceniem oczu, które oznaczało: „Tak naprawdę wcale cię to nie interesuje”. Siedzieli w barze u Swaina, ostatnim miejscu na całej planecie, w którym miałby ochotę opowiadać paskudną sagę o psim porywaczu. W końcu ten wariat tutaj przysłał mu psią łapę. Krążyły nawet pogłoski, że barman nazwał tak nowego drinka, chcąc upokorzyć w ten sposób Stoata.

- No dobra. Możesz nie mówić - mruknął Willie Vasquez-Washington. - Ale wiesz co? To nie mój problem, Palmer.

- Hej, dostałeś swój dzielnicowy ośrodek społeczny.

- Nie zaczynaj o tym.

- Przepraszam. Ośrodek Kultury Perspektywicznej - powiedział Stoa. - Dziewięć milionów zielonych, prawda?

- Zejdź z tego tematu!

- Posłuchaj, chcę tylko powiedzieć... - Lobbyista zniżył głos, ponieważ nie chciał robić wrażenia, że obraża afro-haitańsko-hiszpańsko-azjatycko-rodzimego Amerykanina (zakładając, że Willie Vasquez-Washington należy rzeczywiście do choćby jednej z tych wielu mniejszości, do których się przyznawał). W każdym razie ekskluzywna, rozkoszująca się cygarami klientela u Swaina była bezwzględnie anglosaska, toteż obecność kolorowego osobnika (zwłaszcza tak nienagannie ubranego jak kongresman Vasquez-Washington) powodowała unoszenie się niemal tyłu brwi, co widok odciętej łapy labradora.

- Willie, chcę tylko przypomnieć - ciągnął Palmer Stoa - że gubernator dotrzymał swojej części umowy. Zrobił coś dobrego dla ciebie. Czy nie możesz pomóc mu się wydostać z tego paskudnego bigosu?

Zaszły okoliczności, na które nie miał wpływu.

- Przykro mi, człowieku.

- Nie da rady wydobyć się z tego bez ciebie.

- Zdaję sobie sprawę - odparł Willie Vasquez-Washington, bębniąc paznokciami po dębowym blacie. - W każdej innej chwili, Palmerze, ale nie teraz. Planowałem te wakacje od lat.

Stoat wiedział, że to była bzdura. Wycieczkę potajemnie opłaciła wielka centrala opieki medycznej, wyrażając w ten sposób wdzięczność Williemu Vasquezowi-Washingtonowi, którego interwencja zapobiegła, mogącemu okazać się dość nieprzyjemnym i kłopotliwym, dochodzeniu w sprawie pewnych budzących wątpliwości praktyk medycznych. Konkretnie chodziło tu o to, że firma zachęcała bardzo niewiele zarabiających pracowników własnej centrali telefonicznej do udzielania (oczywiście przez telefon) porad lekarskich znajdującym się, po przebytej operacji, w bardzo ciężkim stanie pacjentom. Cóż za szczęśliwy przypadek (pomyślał z ironią Stoat), że Willie Vasquez-Washington co sobota gra w golfa ze stanowym komisarzem do spraw ubezpieczeń.

- Willie, a co powiesz na taki wariant? Przywieziemy cię samolotem na głosowanie nad Ropuszą Wyspą, a potem odwieziemy cię z powrotem do Banff. Załatwimy leara.

Willie Vasquez-Washington spojrział na Stoata, jakby ten był robakiem.

- Pewnie uważasz, że jesteś taki cholernie cwany? Pozwól, że powiem ci to głośno i wyraźnie, mój bracie: nie mogę olać sesji specjalnej i pojechać na narty tak, jakbym tego chciał. Dlaczego? Ponieważ obrobiliby mi dupę w gazetach, które kupiły to gubernatorskie pieprzenie w bambus. Sądzą, że wszyscy zostaliśmy wezwani do stolicy, aby przegłosować dofinansowanie biednych uczniów. Dlatego, że prasa nie wie ni cholery o twoim przekręcie z mostem. A więc to ja dałem tu dupy, kapujesz?

Teraz nadeszła kolej Williego Vasqueza-Washingtona, by zniżyć głos. -Nie mam wyboru, człowieku. Muszę jechać na tę sesję, co oznacza, że nie będzie nart, moja żona i dzieciaki wkurzą się ekstremalnie, a to z kolei oznacza, że - przepraszam! - nie będzie nowego mostu dla Czciwego Dicka i jego przyjaciół.

Palmer Stoat zamówił ruchem dłoni następną kolejkę. Podał Williemu Vasquezowi-Washingtonowi autentyczne montecristo especial i przypalił mu je. Był lekko poirytowany zaistniałym impasem, ale zbytnio się nim nie martwił. Potrafił po mistrzowsku rozwiązywać problemy stwarzane przez zarozumiałych dupków. Miał nadzieję, że któregoś dnia będzie działał na pełnym etacie w Waszyngtonie D.C., gdzie zarozumiałość była cechą powszechną, ale na razie zadowalał się doskonaleniem swoich umiejętności w bagnie rozpasanej chciwości znanym pod nazwą Floryda. Dostęp do tych, którzy się liczyli, wpływy, prezentacja, polecenie kogoś komuś - tym właśnie handlowali wszyscy lobbyści. Ale najlepsi z nich byli zarazem ludźmi o szybkiej reakcji, pomysłowymi i twórczymi - specjalistami od rozwiązywania kryzysowych sytuacji. A Palmer Stoat uważał się za jednego z naprawdę najlepszych w tym interesie. Za wirtuoza.

Wyspa Burzyków! Jezu Chryste, co za kurewska sprawa. Kosztowała go żonę, psa i niemal własne życie, ale nie narazi na szwank jego reputacji specjalisty od rozwiązywania problemów. Nie, ta przeklęta sprawa musi być załatwiona. Pieniądze na most zostaną zatwierdzone. Ciężarówki z betonem przejadą po nim, wysokościowce zostaną zbudowane, powstaną znakomite pola golfowe. Gubernator będzie szczęśliwy, Robert Clapley będzie szczęśliwy, wszyscy będą szczęśliwi - nawet ta gnida Willie Vasquez-Washington. A potem wszyscy będą mówili, że nic by się nie udało, gdyby nie cudotwórstwo Palmera Stoata.

Który teraz szeptał przez szczypiącą w oczy niebieską mgiełkę do wiceprzewodniczącego Komisji Budownictwa Mieszkaniowego.

- On chce z tobą porozmawiać, Willie.

- Myślałem, że to twoja robota.

- W cztery oczy.

- Po jaką cholere?

- Dick jest człowiekiem, który służy ludziom - wyjaśnił Palmer Stoat.

- Jest cholernym sprzedawcą toyot.

- Chce pozostawić ci decyzję, Willie. Chce dowiedzieć się, co może zrobić, aby unormować sytuację.

- Zanim rozpocznie się sesja, o to mogę się założyć.

Stoat mrugnął konspiratorsko.

- W przyszłym miesiącu będą jakieś wolne pieniądze. Jaka jest sytuacja ze szkołami w twoim okręgu? Potrzebujesz nowej szkoły?

- Człowieku. Mówisz poważnie? - Willie Vasquez-Washington roześmiał się ostro. - Wszystkie nowe szkoły dostają przedmieścia.

- Niekoniecznie - zaproponował Palmer Stoat. - To stanowy tort, federalne kojarzenie i loteria przy rozdziale. Słuchaj, pomyśl o tym.

- Nie wierzę w te pierdoły.

Stoat wyjął wieczne pióro i napisał coś zgrabnymi, dużymi literami na papierowej serwetce. Przesunął japo barze do Williego Vasqueza-Washing-ona, który zachichotał i przetoczył cygaro z jednego kącika ust w drugi.

- No dobra, już dobra - powiedział. - Zobaczę się z nim. Gdzie?
- Mam pomysł. Czy byłeś kiedykolwiek na safari na grubego zwierza?
- Nie, nie byłem od czasu, gdy wyjąłem sobie z nosa tę pizczel, którą nosiłem dla ozdoby, ty dupku.
- Uwierz mi, Willie, to ci się spodoba. - Stoat mrugnął i skinieniem ręki poprosił o rachunek.

Wzrok Williego Vasqueza-Washingtona jeszcze raz spoczął na serwetce, którą schował w dłoni, a następnie wrzucił do popielniczki. Jadąc z powrotem do Miami, myślał o słowach, które Palmer Stoat napisał na niej. Wyobraził sobie, że mają półtora metra wysokości i wykute są na marmurowej fasadzie.

LICEUM IMIENIA WILLIEGO VASQUEZA-WASHINGTONA

Asa Lando zmusił Durgessa, żeby sprawdził róg. Przewodnik nie mógł zaprzeczyć, róg rzeczywiście był pierwsza klasa. Jednakże...

- Ile lat ma ten nosorożec? - zapytał.
- Prawdę mówiąc, nie wiem - odparł Asa Lando. - Mówili, że dziewiętnaście.

Był to najstarszy nosorożec, jakiego Durgess kiedykolwiek widział -jeszcze starszy i słabszy niż ten, którego załatwił dla Palmera Stoata. Ważył, co prawda, przynajmniej dwieście kilogramów więcej, ale stanowiło to dla Durgessa dość niewielką pociechę. Zwierzę przybyło do plantacji Dzika Sawanna z parku zoologiczno-krajobrazowego usytuowanego w okolicach Buenos Aires. Park wysłał nosorożca na emeryturę, ponieważ teraz sypiał przeciętnie dwadzieścia jeden godzin na dobę. Turyści sądzili, że jest z gipsu.

- Powiedziałeś, że pieniądze nie mają znaczenia.

Durgess podniósł rękę.

- Masz rację. Nawet nie będę pytał.
- Nazywa się El Jefe. - Asa Lando wymówił to jak Jeffy.
- Po co mi to mówisz? - warknął Durgess. - Nie chcę wiedzieć, jak się nazywa. - Przewodnik czuł się znacznie lepiej, gdy wmawiał sobie, że zwierzęta w Dzikiej Sawannie są rzeczywiście dzikie, a wobec tego polowania, jakie się tu odbywają, nie są zwykłą grą pozorów. Jeśli zwierzę miało jednak imię, oznaczało to zazwyczaj, iż jest oswojone, i nawet Durgess nie mógł udawać przed samym sobą, że owe łowy zawierają chociaż okruszek prawdziwego sportu. Nie były one bardziej podniecające ani bardziej niebezpieczne od tropienia oswojonych chomików.
- El Jeffy znaczy „wódz” - rozwinął się dalej Lando. - Po hiszpańsku. Mieli dla niego również amerykańskie imię, ale zapomniałem jakie.
- Przestań. Mówię ci, przestań.

Durgess z ponurą miną oparł się o bramkę zagrody nosorożca mieszczącej się w kwarantannie numer jeden. Wielkie zwierzę klęczało na posłaniu ze słomy, sapiąc w głębokim śnie, z którego w zasadzie mogło się nie obudzić. Jego skórę pokrywały barwne plamy jakiejś egzotycznej, powodującej ropienie egzemy. Wokół jego uszu, które sprawiały wrażenie wykonanych z pergaminu, brzęczały muchy, a pokryte zaschniętą ropą powieki były prawie zamknięte.

- A czego się spodziewałeś, Durge? - zapytał Asa. - Był zamknięty w pudle przez pięć dni.

Durgess delikatnie trącił uszatego nosorożca trzonkiem miotły. Pomarszczona szara skóra zwierzęcia drgnęła lekko, ale poza tym żadnej reakcji nie było.

- Oprócz tego - tłumaczył Asa Lando - powiedziałeś, że nie ma znaczenia, jaki jest, byleby rogi były w porządku. Każdy nosorożec, jakiego uda ci się znaleźć, powiedziałeś.

Durgess uderzył kostkami jednej pięści o drugą.

- Wiem, Asa. To nie twoja wina - powiedział.
- Przy tak krótkim terminie nie można liczyć na zbyt wiele. W każdym razie nie w przypadku takich zagrożonych zwierzątek jak nosorożce czy słonie. Trzeba brać to, co jest, Durge.
- Nie ma sprawy. - Durgess widział, że El Jefe był swego czasu doskonałym egzemplarzem, odkarmionym i zadbanym. A teraz był po prostu stary, niewiarygodnie stary, i fizycznie wyniszczony długim, męczącym lotem.
- Czy może przebiec? - zapytał. - Choćby niewielki kawałek?

Asa Lando pokręcił ponuro głową.

- No dobra, a czy może chodzić?
- Od czasu do czasu. W końcu wyszedł ze skrzyni, w której go wieziono.
- Hura.

- Oczywiście było z górki.
- Do diabła - rzekł ze zniecierpliwieniem Durgess. - Przecież musi się poruszać, żeby jeść. Spójrz na rozmiary tego skurwiela.

Asa Lando odchrząknął.

- Widzisz, oni, eee, przynosili mu całe żarcie - gałęzie, krzaki i różne takie. Najczęściej przez cały dzień tkwi w jednym miejscu i żre, co mu położą pod pyskiem. Powiedzieli mi, że wystarczy mu dać wielkie, cieniste drzewo i nigdzie się nie ruszy.

- Jestem tego pewien.

- Jak sądzę, w taki właśnie sposób wystawimy go na strzał. Pod jednym z wielkich dębów.

- Dęby mamy - westchnął Durgess.

Pomyślał: Może uda się nam zabić dwa zające za jednym strzałem. Może ważny myśliwy pana Stoata zechce zapolować na leciwego afrykańskiego nosorożca zamiast na geparda - nawet śpiący nosorożec robił imponujące wrażenie. A przedni róg El Jefe'a był pierwsza klasa - według tego, co mówił Stoat, za przyzwoity róg można dostać pięćdziesiąt kawałków. Durgess leniwie się zastanawiał, czy tajemniczego pana Yee dałoby się namówić na licytację...

- Muszę zatelefonować - powiedział do Asy Lando.

- Jeszcze jedno. To może pomóc.

- Co?

- Zdeptał faceta na śmierć, Durge.

- Nie chrząń!

- Sześć albo siedem lat temu. Jakiś superkretyński turysta - wyjaśnił Lando - wskoczył mu na grzbiet, żeby jego żona mogła mu zrobić zdjęcie. Zupełnie jakby miał do czynienia z nieujeżdżonym koniem. Jak powiedzieli mi Argentyńczycy, staremu El Jeffy'emu odbiło. Zrzucił turystę na ziemię i rozdeptał mu głowę jak melona. Było o tym we wszystkich gazetach w Ameryce Południowej.

Durgess uśmiechnął się krzywo.

- A więc nie mamy tu zwyczajnego nosorożca, Asa. To nosorożec morderca. Słynny na cały świat nosorożec morderca.

- Właśnie tak. To pomoże?

- Możesz się założyć - odparł Durgess. - Zadzwoni do mnie, kiedy się obudzi.

Pan Gash nie mógł uwierzyć, że menel ze szkarłatnym okiem i w niesamowitej spódniczce w kratkę mógł pokazać się w nocy w środku lasu. I to z rewolwerem!

- Powiedziałem, że chłopak jest mój.

Pan Gash uśmiechnął się szyderczo.

- Taki jesteś, ojczulku? Lubisz cioty.

- Kobietę też wezmę. - Włóczęga wskazał rewolwerem kombi z Desiratą Stoat.

- Ojczulku, możesz mieć chłopca. I tak umiera. Ale dama - powiedział pan Gash, machając swoim rewolwerem - zostaje ze mną. A teraz spierdalaj stąd. Liczę do sześciu.

Menel błysnął zębami. Z warkoczyków jego brody po biegu przez deszcz ściekała woda, maleńkie, idealnie okrągłe kropelki toczyły się w dół po zbiegających dziobach sępów. Pana Gasha denerwował ów widok, podobnie jak niesamowity spokój tego człowieka. Nagi i zziębnięty pan Gash znajdował się w gorszej psychologicznie sytuacji. Teoretycznie powinien czuć się pewny, ponieważ zwykły smith & wesson nie mógł się równać z jego wypróbowanym półautomatycznym rewolwerem. Ale przecież wystarczyłby jeden udany strzał w ciemności - a nawet taki włóczęga mógł mieć szczęście.

Pan Gash uznał za stosowne działać ostrożnie, aby przypadkiem jego fiutek nie został odstrzelony.

- Możesz zabrać sobie również psa - powiedział menelowi.

- Byłem dość głodny, panie Gash. Może tak zrobię.

- Jaki porąbany numer masz zamiar wyciąć, ojczulku? - Pan Gash przyklęknął na jedno kolano. Jego stopa wydała mlaszczący dźwięk, gdy wyciągał ją z błota. W jakiś sposób pochlebiali mu to, że menel zna jego nazwisko.

- Przysłał mnie gubernator, panie Gash. Od tej pory to ja zajmuję się tą sprawą.

- Ho, ho, ho! Gubernator!

- Tak jest. Żebym zabrał tego młodego człowieka.

- No cóż, pan Robert Clapley wysłał mnie - oznajmił pan Gash - żebym zrobił dokładnie to samo. A moim zdaniem pan Clapley płaci o wiele lepiej niż gubernator. A więc mamy tu pewien konflikt, prawda? Spomiędzy sosen dobiegło dzwonienie i na skraju polany ukazał się cień McGuinna. Drugi wystrzał wysłał go znowu na bezowocne poszukiwanie zestrzelonych kaczek, a gdy powrócił, napotkał jeszcze jednego człowieka z bronią - niezwykle wielkiego człowieka, który pachniał smażonym oposem i dymem palonego drewna. Do pyska McGuinna napłynęła ślina. Wysunąwszy język, zaczął dreptać przed siebie, aby powitać nieznanego w przyjęty przez labradory sposób.

Pan Gash zobaczył go i napiął ramię, szykując się do wystrzału. Oto była okazja, na którą czekał. Menel nie będzie w stanie zignorować psa. Nikt nie mógłby zignorować tego uprzykrzonego kundla. A w chwili, kiedy uwaga menela zostanie odwrócona, pan Gash strzeli mu w serce.

- McGuinn! Chodź tu, piesku! - zawołała z samochodu Desie.

Oczywiście pies nie zareagował na jej okrzyk. Biegając na powitanie obcego, wesoło przeskoczył nad

rozciągniętym na ziemi krwawiącym Twil-lym Spree.

- Brzydki pies! Chodź tu! - krzyknęła Desie, ale na próżno.

McGuinn wyczuł, że niezwykle wielki człowiek z bronią nie jest niebezpieczny i można się po nim spodziewać przekąski z oposa. Koniecznie musiał się z nim zaprzyjaźnić...

Kiedy psi nos zniknął pod rąbkiem kratkowanej spódniczki menela, wskazujący palec pana Gasha zacisnął się na języku spustowym. Czekał na reakcję włóczęgi - żeby odskoczył, wrzasnął, odepchnął psa. Zrobił coś Cokolwiek.

Ten jednak nawet nie drgnął. Nie spuścił też zdrowego oka (ani lufy rewolweru) z pana Gasha. Po prostu stał, uśmiechając się tak promiennie, że jego uśmiech widoczny był nawet w mroku bezksiężycowej nocy.

Uśmiechał się, kiedy brudna, prawie sześćdziesięciokilogramowa kupa futra obwąchiwała mu genitalia! Pan Gash był zgorszony.

- Jesteś chorym skurwysynem - warknął do włóczęgi.

- I kto to mówi - rozległ się głos za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył Desie, która stała w drzwiach samochodu, przymierzając jego gorset z wężowej skóry. Pan Gash przyjął, że zboczony menel ostupieje na widok pani Stoaat, i postanowił wykorzystać nadarżającą się szansę.

- Wszyscy j esteście chorzy! - warknął.

W chwilę po tym, jak wypowiedział te słowa, a jeszcze zanim zdążył nacisnąć spust, panu Gashowi zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Włóczęga strzelił do niego dwukrotnie. Pierwszy pocisk rozwalił mu prawą rękę kolanową, przewracając go na bok. Drugi trafił go w chwili, gdy padał, wszedł przez jeden policzek i wyszedł przez drugi.

Wijąc się na ziemi, pan Gash poczuł, jak duży but mocno przycisnął mu gardło, a z jego dłoni wyrwany został rewolwer. Zaczął gwałtownie krztusić się grudką błota i zapadać w ciemność, gdy naraz wielka dłoń schwyciła go za włosy i posadziła jednym szarpnięciem. W tej pozycji kaszłał gwałtownie do chwili, gdy udało mu się wypluć grudkę.

Ale to nie było błoto, lecz ważna część języka pana Gasha, odcięta drugim pociskiem włóczęgi. Dopiero gdy pan Gash usiłował przemówić, zdał sobie sprawę z charakteru odniesionej rany.

- Ochechiłeś mój pieoohy jehyk!

Włóczęga uszczypnęła go w brodę.

- Nieźle, stary. Mógłbyś zostać gwiazdą rapu.

- Hy huhwyhyhu!

Menel podniósł pana Gasha, trzymając go pod pachy, i cisnął głową naprzód na jakby wyszczerzoną w uśmiechu maskę buicka. Zabójca zwinął się w brudny nagi kłębek na ziemi i wolałby pozostać tu w nieskończoność, do chwili gdy ustana dręczące go liczne i straszliwe bóle. Włóczęga miał jednak wobec niego inne plany.

Twilly już nie płynął po rzece. Leżał na odchyłonej dolnej części tylnych drzwi roadmastera. Dobrą nowiną było to, że w mniejszym lub większym stopniu odzyskał wzrok. Pochylały się nad nim dwie sylwetki: pani Desirata Stoaat oraz wysoki, siwy nieznajomy o srebrzystych warkoczach opadających mu po obu stronach twarzy. Palcem sondował bulgoczącą dziurę w klatce piersiowej Twilly'ego.

- Nie ruszaj się, synu - poradził.

- Kim pan jest?

- Mów mi „kapitanie”, ale na razie się zamknij.

- Kochanie, straciłeś trochę krwi - powiedziała Desie.

Twilly skinął ospale głową. Nie zdziwiłby się wiadomością, że stracił ją całą. Ledwo mógł unieść powieki.

- Z tobą w porządku? - zapytał Desie. - Skrzywdził cię?

- Nie zrobił mi nic, czego nie ulecą trzy, cztery miesiące kąpieli w ukropie. Ale nie, nie dostał tego, czego chciał - odparła. - Dzięki tobie, McGuinnowi i temu dżentelmenowi.

Twilly odetchnął głęboko.

- Ktoś tu strzelał. Poznają po zapachu.

- Synu, powiedziałem ci, żebyś był cicho - rzekł kapitan. Potem zwrócił się do Desie. - Ma pani coś czystego, czego mógłbym użyć?

Wyciągnęła z samochodu stanik. Kapitan scyzorykiem wyciął kawałek wyściółki z jednej z miseczek. Zwinął gąbkę w zaimprovizowany korek, który delikatnie wsunął do rany Twilly'ego.

- Gdzieś w mojej kurtce przeciwdeszczowej jest telefon – powiedział do Desie. - Może mi go pani dać?

Twilly zamknął oczy. Chwilę później Desie wzięła jego dłonie i dotyk ten był nadzwyczajnie gorący. Tracił jego czucie, zapadał się. Słyszał piśnięcie przyciskanej klawiatury, a potem jedną część rozmowy. Głos kapitana podążał za Twillym w jego sen, trzeci od chwili narodzin. Sądził, że może być również ostatnim.

- Jim, nie śpisz?

We śnie Twilly znajdował się na plaży, która bardzo przypominała Ro-puszą Wyspę. Było samo południe.

- Słuchaj, ile śmigłowców czeka obecnie na dyspozycje gubernatora? Ponieważ muszę jeden z nich pożyczyć. Najszybszy, jaki mają.

We śnie Twilly jakoś dogonił psa, mijając go z niezwykłym przyspieszeniem. Gwałtownie zmniejszył dystans do uciekającego człowieka. Zbliżając się, dostrzegł, że mężczyzna ma na sobie workowate spodnie gimnastyczne i podkoszulkę bez rękawów. Sprawiał wrażenie kościstego i starego, zbyt starego, żeby poruszać się tak szybko.

- Wciąż jesteśmy na wyspie. Możesz posadzić śmigłowiec na plaży.

Twilly rzucił się na mężczyznę od tyłu. Przetoczył go po piasku i właśnie miał zamiar go uderzyć, gdy zorientował się, że to jego ojciec. We śnie Mały Phil Spree, spojrzawszy na syna, zamrugał i zaszczebotał: „Wybrzeże jest puste! Wybrzeże jest puste!”

- Mam człowieka, który postrzelił tego chłopaka... Jeszcze nie podjąłem decyzji, Jim, ale możesz nie zaprzętać sobie tym swojej ślicznej główki.

We śnie pies zaczął wściekle ujadać i kręcić się w kółko -jakby nagle zdzićcał. Twilly Spree odsunął się od ojca i zerwał na nogi. Wzdłuż całego brzegu, jak okiem sięgnąć, stały lśniące, musztardowożółte spychacze. Były na każdej wydmie! Połyskując w słońcu lemieszami, wszystkie ustawione pod identycznym kątem zajęły pozycję wyjściową niczym dywizja czołgów. „Brzeg jest wolny!” - zawodził ojciec Twilly'ego.

- Kobieta dobrze sobie radzi. Przypuszczam, że będzie chciała polecieć tym wiatrakiem. Kiwa głową, że tak. Jest tu również kombi, które należałoby stąd szybko usunąć.

Twilly rzucił się na złamanie karku do wody. Czarny pies popędził za nim, wyjąc szaleńczo. Zatoka była zimna i gładka jak lustro. Gdy pies w końcu przestał szczeleć, Twilly usłyszał, jak jego ojciec zawodzi bezmyślnie na plaży - a także napawający grozą łoskot spychaczy, orzących wyspę. We śnie Twilly poczekał, aż pies go dogoni, i razem popłynęli w stronę horyzontu. Niebo nad wodą pociemniało, przesłoniły je ptaki, które uciekały z wyspy, spłoszone łoskotem maszyn. Płynąc coraz dalej w morze, czuł, jak narasta w nim lęk, że mewy, rybołówki i brzytwodzioby zaczną spadać z nieba jak poprzednio, zmasakrowane i zakrwawione. Jeżeli tak się stanie, nie zniesie już tego - czuł się zbyt słaby i zagubiony. Wiedział, że jeżeli ptaki znowu zaczną spadać, będzie już po wszystkim. W tak makabrycznym deszczu na pewno się utopi. Nie przeżyje własnego snu.

- Dobra wiadomość. Ja również polecę tym śmigłowcem... Mam drobną sprawę do załatwienia i będziesz mi musiał pomóc, poruczniku... Ponieważ za żadne skarby świata nie chciałbyś, żeby cię to ominęło.

Och, pan Gash niewątpliwie walczył. Nie była to jakaś wielka walka, ale w końcu nie miał rzepki kolanowej i dużej części języka. Ból stanowił więc ważny czynnik. Poza tym był zupełnie nagi, co w poważnym stopniu utrudniało mu zastosowanie własnego, swobodnego stylu walki wręcz. Mimo to zdołał jednak zadać parę prawych sierpowych, a każdy z nich rzuciłby na kolana większość ludzi.

Jednakże owe ciosy nie wywarły najwyraźniej żadnego wrażenia na włóczędzie w spódnicze w kratkę, który w tym czasie transportował pana Gasha w dół zbocza wzgórza. Strome wzniesienie nie było naturalną formacją - Ropusza Wyspa była płaska jak stół. Stworzyły je koparki ze zgarniętej ziemi, pni drzew i krzaków - pozostałości po pracach związanych z budową drogi przez sosnowy las. Menel przerzucił sobie pana Gasha przez ramię niczym worek wapna i zbiegał po słabo ubitej pochyłości. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu się spieszy. Pan Gash uderzał go zaciekle, udało mu się zadać przynajmniej dwa potworne ciosy -jeden w żebra, a drugi w nerki. Bez żadnego skutku - tamten nawet nie stęknął. Włóczęga realizował swój zamysł. Pan Gash machał rękami i bełkotał niezrozumiale... Wiedział, że nastąpi coś niedobrego, nie wiedział tylko co.

U podnóża wzniesienia włóczęga rzucił go na ziemię i zawrócił.

Co teraz? - pomyślał pan Gash. Wykonał jeszcze jeden wściekły zamach, ale udało mu się jedynie zerwać z mężczyzny pospinaną agraftami spódnicę w kratkę, która okazała się flagą, jaką macha się na linii mety wyścigów samochodowych. Pan Gash wykorzystał ją do usunięcia krwi z dziur w swoich policzkach. Kikut języka piekł jak wszyscy diabli. Leżał w błocie i zastanawiał się, co począć dalej. Możliwości miał dość ograniczone. Ponieważ przestrelona prawa noga była właściwie do niczego niezdatna, nie mógł uciec, biegnąc, idąc czy też czołgając się. Musiał więc pełznąć i to szybko, ponieważ należało przyjąć, że włóczęga jeszcze z nim nie skończył.

Ze strasliwym wysiłkiem pan Gash obrócił się na brzuch. Wyciągnął obie ręce, wbił palce w namokniętą ziemię i podciągnął się tak, że dotknął podbródkiem grzbietów dłoni. Całkowita pokonana odległość - maksimum sześćdziesiąt centymetrów.

Kiepsko, pomyślał pan Gash. Czuł łaskotanie owada wędrującego po jego pośladku i odpędził go

niezgrabnie. Z drugiej strony sztucznego wzgórze dobiegło go dudnienie silnika, zbyt głośne, by mógł wydawać je samochód. Słysząc je było coraz wyraźniej. Pan Gash obrócił głowę, wpatrując się w mrok. Oczywiście, wiedział, co to za odgłos. Sam prowadził jeden z tych cholernych pojazdów owej nocy, kiedy załatwił sprawę tego konfliktowego Brinkmana. A teraz machina pokonała wierzchołek wzgórze i zmierzała prosto na niego. Wyraźnie widział jej zwartą, ostro zarysowaną sylwetkę. Czuł duszące spaliny. Wysoka postać wyłoniła się z kabiny, a potem znowu sięgnęła do środka - niewątpliwie po to, by zwolnić hamulec.

- O kurwa - jęknął pan Gash.

Spychacz z brzęczeniem i łomotem zjeżdżał w dół zbocza. Pan Gash gorączkowo usiłował usunąć się mu z drogi i niemal mu się udało. Gaśienica przygwoździła jedynie połowę jego ciała - dolną połowę. Toteż jego płuca jeszcze pracowały, co było pocieszającym faktem. Innym pozytywnym - i zdumiewającym - faktem było to, iż zupełnie nie czuł bólu od pasa w dół. Pan Gash doszedł do wniosku, że spychacz właściwie nie zmiął dolnej części jego ciała, ale wduśił ją w gąbczastą ziemię. Jego główną troską stały się teraz spaliny, które zionęły mu prosto w twarz. Oczy go piekły, a żołądek wywracał się na drugą stronę - najwyraźniej rura wydechowa maszyny została uszkodzona w czasie zjazdu. Ostatecznie zabrakło paliwa i silnik zgaśnie, ale pan Gash zastanawiał się, czy oddychając tą cuchnącą chmurą, zachowa do tego momentu przytomność. Czuł się senny, ale jednocześnie wstrząsały nim drgawki.

Pojawiła się przed nim para zabłoconych butów turystycznych. Potem spychacz zakrzuszył się i umilkł. Gdy dym się rozwiął, pan Gash uniósł się na łokciach i odetchnął świeżym wiatrem. Obok niego siedział w kucki włóczęga, którego szklane oko lśniło w świetle gwiazd niczym wypolerowany rubin.

- Umrzesz tutaj - powiedział do pana Gasha.

- Hobahymy.

- Tak, tak, Jeżyku. To już koniec.

- „Jeżyku”? Ten dupek wyśmiewa się z moich włosów! - wściekł się pan Gash.

- Umierasz nawet teraz, kiedy rozmawiamy - mówił włóczęga. - Możesz mi wierzyć. Wiem coś niecoś o śmierci na drodze. Kwalifikujesz się.

- Pehdahaj!

- Jeżeli nie zauważyłeś, to powiem ci, że twoja dupa leży pod cat D6. To dwadzieścia ton stali - powiedział menel. - Nie wiem, co sądzisz o pogodzeniu się z Bogiem, ale mam wrażenie, iż nadeszła odpowiednia pora, abyś powiedział tej młodej damie, jak ci jest przykro, że próbowałeś ją skrzywdzić. Czy chcesz, żebym ją tu przyprowadził?

- Pehdahaj, htahy.

Menel wstał.

- To bardzo niewłaściwe podejście jak na człowieka, który krwawi z obu uszu - oznajmił. - A teraz, wybacz, Jeżyku, ale muszę znaleźć pewnego głupiego psa.

- PEHDAHAI!

Głowa pana Gasha opadła. Po chwili usłyszał, jak ciężkie kroki włóczęgi cichną wśród drzew.

Co za idiota, pomyślał pan Gash. Powinien mnie zastrzelić! Wydostanę się stąd do świtu!

Pospiesznie usiłował wykopać się spod spychacza. Zadanie okazało się wyjątkowo trudne. Ponieważ leżał na brzuchu, był zmuszony sięgać za siebie i poruszać rękami niczym żółw płetwami. Po dwudziestu minutach pan Gash całkowicie opadł z sił. Zasnął, chociaż stonoga wędrowała mu pomiędzy łopatkami. Był zbyt zmęczony, aby ją zrzucić.

Kilka godzin później obudził go śmigłowiec. Był już dzień, wysoki błękit nieba zabarwił się lekko na różowo. Pan Gash nie widział śmigłowca, ale słyszał charakterystyczny odgłos obracającego się wirnika. Uniósł głowę i zawył przeraźliwie - ból wreszcie go dopadł. Straszliwy, szarpący nerwy, miazdzący kości ból. Spostrzegł z rozpaczą, że jego uporczywe kopanie niewiele dało. Zdołał odgarnąć zaledwie kilka garstek ziemi wokół nóg, na których stał niewzruszenie Caterpillar D6. Pan Gash nie mógł wysunąć się spod niego nawet na milimetr. Po trzeciej próbie zrezygnował.

Teraz zamiast o ucieczce, zaczął myśleć o przeżyciu. Oczywiście, śmigłowiec. Wkrótce wystartuje - pan Gash domyślał się tego, słysząc narastające wycie silników. Gorączkowo rozejrzał się wokół siebie, szukając w swoim zasięgu czegoś, co mogłoby zwrócić uwagę pilota. Jego oczy spoczęły na leżącym w błocie zwiniętym kawałku materiału, chyba jedwabiu. Była to spódnica tego zwariowanego menela - kraciasta flaga z wyścigów, teraz obficie poplamiona zaschniętą krwią pana Gasha. Schwycił ją i otrząpał z błota.

Nad wierzchołkami sosen pojawił się z przeraźliwym warkotem czarno--szary śmigłowiec. Pan Gash obydwoma rękami podniósł kraciastą flagę. Zaczął machać nią w przesadnie zamaszysty sposób, ruchem wycieraczki samochodowej przesuwając z boku na bok górną część ciała. Było to dla niego całkiem nowe uczucie - rozpacz. Wymachiwał flagą z zapalem pijanego kibola piłkarskiego, ponieważ obawiał się, że pilot nie dostrzeże go - pokrytego błotem i na wpół pogrzebanego pod spychaczem.

Obawy okazały się słuszne. Śmigłowiec zatoczył krąg nad polaną, ale nie zatrzymał się w powietrzu. Wykonał ostry zakręt na północ i odleciał, terkocząc.

Flaga wypadła z rąk pana Gasha. Cały był cierpieniem, śmiertelnym i w najczystszej postaci. Od pasa w dół - martwy. Od pasa w górę - każda komórka jak rozpalony żużel. W głowie mu tootało. Ręce miał jak z łoświu. Dla poszarpanego kikuta języka podniebienie było niczym potłuczone szkło. Obrzydliwe strumyczki ściekały po zaroście na krawędziach kości szczękowych aż do podbródka - ciepła krew z jego uszu.

Ten pieprzony włóczęga miał rację. Było po wszystkim.

Albo może i nie.

Pan Gash zauważył na ziemi mały przedmiot, coś, czego nie mógł dostrzec w ciemnościach. Ów przedmiot leżał zaledwie kilkadziesiąt centymetrów poza zasięgiem jego rąk, częściowo schowany za liściem palmy. Był czarny, prostokątny, wyglądało na to, że jest zrobiony z plastiku, i przypominał pilota do magnetowidu albo magazynek glocka.

Albo telefon komórkowy.

Pan Gash przyciągnął go za pomocą złamanej gałęzi. Niepewnie wcisnął palcem wskazującym guzik z napisem WŁ. Telefon pisnął zawadiacko, a jego wyświetlacz rozjarzył się brzoskwiniowym blaskiem. Pan Gash przyglądał się numerom na klawiaturze. Na jego blednących wargach pojawił się zatroskany uśmiech.

- Dobre wieści, Bob - oznajmił Palmer Stoał.

- Lepiej niech takie będą.

Spotkali się w południe w Łonie, tym razem w szampańskiej łośy zarezerwowanej na prywatne tańce-ocierańce.

- Pamiętasz tamtą noc, kiedy tu byliśmy? - zapytał Stoał. - No cóż, miałem potem randkę z jedną z Pamel Anderson Lee.

- Jesteś świnią - skomentował beztłośnie Robert Clapley.

- Jeżeli chodzi o mnie, wróciłem do kawalerskich czasów. Zaczynam działać!

- I to jest ta twoja wiadomość?

- Nie - odparł Palmer. - Wiadomość jest fantastyczna.

Clapley wyglądał, jakby nie spał od roku. Posępnie dotykał złotego łańcucha na szyi. Do stolika podeszła tancerka i przedstawiła się jako Cindi. Clapley dał dziewczynie dychę i odesłał ją.

- Zakładam, że nie znalazłeś swoich Barbie.

- Zadzwońiły do mnie.

- Hej! Jest więc jakiś punkt zaczepienia.

- Z rezydencji pana Avalona Browna - Robert Clapley wypił łyk burbona. - Pan Brown zbiera inwestorów do swojego najnowszego projektu filmowego. Katia i Tisz uznały, że byłoby miło z mojej strony, gdybym się włączył. One, oczywiście, mają główne role w tym filmie.

-Który nosi tytuł...

- Podwój swoją rozkosz.

- Aha. Film artystyczny - Palmer Stoał uśmiechnął się współczująco. - Ile zgodziłeś się zainwestować?

- Za sto tysięcy dolarów pan Avalon Brown obiecuje uczynić mnie pełnoprawnym partnerem. Za jedną dziesiątą tej sumy mógłbym kazać go zabić.

Stoał wzdrzgnął się wewnątrz. Paskudny skandal połączony z zabójstwem zniweczyłby wszystko: układy w sprawie Wyspy Burzyków, szansę Dicka Artemusa na ponowny wybór i (co bynajmniej nie byłoby dla niego czymś najmniej ważnym) jego własną karierę.

Pocieszającym gestem położył dłoń na ramieniu Clapleya.

- Bob, po raz ostatni radzę ci, zapomnij o tych dwóch dziwkach. Musisz zerwać tak jak ja.

- Nie mogę.

- Z całą pewnością możesz. Wstąp do laskowego patrolu Palmera.

- Wiesz, co mam w kieszeniach spodni? - zapytał Clapley.

- Łalki?

- Właśnie.

- Ile? - zapytał zgnębionym tonem Stoał.

- Po dwie w każdej kieszeni.

- A może to Wibracyjne Barbie?

- Odpieprz się, Palmer. Brakuje mi bliźniaczek. Chcę je odzyskać - oświadczył Clapley, odganiając gestem kolejną tancerkę. - Powiedziały, że jeżeli nie pomogę przy filmie, obetną włosy i pojedą do Kingston.

- Na słoneczną Jamajkę?

- Światowa kwatera główna Avalon Brown Productions.

- No to niech sobie jada- powiedział Stoał. - Błagam cię.

- Głuchy jesteś? Coś takiego nie może się zdarzyć - Clapley roześmiał się ostro. - Po to właśnie istnieją ludzie tacy jak pan Gash - istnieją i prosperują. Aby rozwiązywać sytuacje takie jak moja.

- A skoro już o tym mowa - oznajmił Palmer Stoa - oto obiecana dobra wiadomość. Ten wredny problem, który mieliśmy z Ropuszą Wyspą, został załatwiony. Dzieciak, który mi zwinął psa, leży w szpitalu z dziurą kalibru 0,45 w piersi.

- Fantastyczne! To oznacza, że pan Gash może zająć się następnym zleceniem.

- Nic nie wiem o panu Gashu. Moja informacja pochodzi bezpośrednio od gubernatora, który nie wdawał się w szczegóły - odparł Stoa. - Najważniejsze jednak, że ten szajbnięty szczeniak wreszcie zniknie ze sceny. Aha, Desie i Boodle również są cali i zdrowi. Chociaż gówno mnie to obchodzi. Robert Clapley zorientował się, że patrzy za plecy Stoata na tancerkę występującą w sąsiedniej łoży. Miała długie złote włosy, strome, stożkowate piersi i nadęte wymalowane wargi.

- Prawie - Clapley mówił wyłącznie do siebie. - Gdyby tylko była trochę wyższa.

- Jezusie Hubbardzie Chryste. Chcesz usłyszeć resztę czy wolisz się pobawić laleczkami? - Palmer wyciągnął z futerału cohibę i zapalił ją zawadiackim gestem. Cieszył się swoją wielką chwilą. Nie odrywając wzroku od złotowłosej kobiety, Clapley rzucił:

- Gadaj teraz o finansowaniu mostu. Powiedz, że wszystko już jest załatwione.

- Jesteśmy niemal u mety, Bob. Sprawa jest gotowa na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- A kto jest tym jednym procentem?

- Willie Vasquez-Washington.

- Znowu!

- Nie martw się. Jest już prawie gotów.

- Kiedyś już coś takiego słyszałem - parsknął Robert Clapley. - Jak myślisz, ile wzrostu ma ta dziewczyna? Blondynka?

- Rany, Bob, cholernie trudno zgadnąć w momencie, gdy ma stopy założone za uszy.

- Zakładam, że masz już inny plan.

- Och, i to dobry.

- Opowiedz.

- Jedziemy z Tęczowym Williem na wyprawę myśliwską. Ty, ja i gubernator Dick. Do prywatnego rezerwatu w okręgu Marion, o którym ci wspominałem. A tam zaprzyjaźnimy się z Williem, bez względu na wszystko.

Clapley się skrzywił.

- Poczekaj. Ten mały fiut nie dostanie mojego okazowego kota.

- O tym też miałem ci powiedzieć. Durgess, mój przewodnik, mówi, że przystali na ranczo skancerowanego geparda. Kulasa.

- I to jest ta dobra wiadomość?

- Nie, Bob, dobrą wiadomością jest to, że zamiast niego ma nosorożca. Autentycznego nosorożca zabójcę - Stoa zrobił pełną napięcia pauzę. - Kilka lat temu zdeptał człowieka na śmierć. Głowa Clapleya odwróciła się gwałtownie. Drżąc na całym ciele, wyprostował się momentalnie.

- A róg? - zapytał z wysiłkiem.

- Wielki - szepnął Stoa. - Mnóstwo proszku.

- Boże. Wspaniale.

Ręce Clapleya zanurkowały pod stół, do kieszeni. Stoa udawał, że tego nie widzi.

- Kiedy polowanie? - Clapley nie mógł złapać tchu.

- W ten weekend. Durgess mówi, że im szybciej, tym lepiej.

- Tak! Teraz Katia i Tisz do mnie wrócą, wiem na pewno, że wrócą. - Clapley promieniał. - Przybiegną do domu po dobry towar - zwłaszcza kiedy dowiedzą się, że zamierzam osobiście zastrzelić tego wielkiego skurwiela. Nosorożec zabójca. Wyobrażasz sobie? Odstawiaj ten gówniany hasz w mgnieniu oka.

- I wobec tego nie będziesz musiał zabijać faceta, prawda? - Stoa dostawał dreszczy za każdym razem, kiedy myślał o amoku Głowy Jeżozwierza. Clapley wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, wolę wydać pieniądze na coś innego. Pan Gash nie jest tani. - Wyciągnął cygaro z kieszeni Stoata. - Podobnie jak ty, Palmerze. Ile ta dodatkowa zabawa będzie mnie kosztowała? Pamiętaj, byłeś mi winien geparda i jeszcze coś. A więc... ile jeszcze?

- Ani centa, Bob. Polowanie jest na mój koszt.

- To bardzo uprzejme.

- Ale róg będziesz musiał kupić osobno - oznajmił Stoa. - Za cenę, jaką ustaliliśmy. Takie są zasady.

- Z przyjemnością - odparł Clapley. - A tak na marginesie, twoje cohiby są fałszywe.

- Co? Nie ma mowy.

- Poznać po obrączkach, Palmerze. Widzisz te maleńkie czarne kropki? Powinny być wypukłe, dzięki czemu czujesz je pod czubkami palców. Takie właśnie robią w fabryce w La Habana. A te twoje -

powiedział, machając cygarem przed nosem Stoata - są głdziutki. Co oznacza, że są el podróbko.

- Nie ma mowy - nadał się Stoat. - Trzysta dolarów za pudełko w Marina Hemingway. Nie ma mowy, żeby były lewisną. - Wyjął cygaro z ust i położył je na krawędzi stołu. Pochylił głowę, aby przyjrzeć się obrączce.

Robert Clapley wstał, szykując się do wyjścia. Poklepał Stoata po plecach, mówiąc:

- Nie martw się, stary. Na polowanie na nosorożca załatwię autentico.

W tym samym momencie samochód Patrołu Drogowego Florydy wjeżdżał przez czarną, wykonaną z kutego żelaza bramę rezydencji gubernatora w Tal-lahassee. Stojący przy drzwiach agent FDLE gestem ręki zaprosił porucznika Jima Tile'a do środka, przedtem jednak obrzucił pełnym sceptycyzmu spojrzeniem jego dwóch towarzyszy. Jednym z nich był czarny pies, drugim zaś mężczyzna odziany w strój niezbyt odpowiedni na taką okazję jak lunch z najwyższym rangą przedstawicielem władzy stanowej.

Czekała na nich Lisa June Peterson.

- Miło cię znowu widzieć - oznajmił Skink, całując ją w policzek. – Jak zawsze wyglądasz cudownie.

Policzki Lisy June spłonęły rumieńcem. Jim Tile spojrzął ostro na przyjaciela, który uśmiechnął się niewinnie.

- Wpakowałem go pod prysznic - oznajmił policjant - ale tylko tyle udało mi się wskórać.

- Wygląda doskonale - oświadczyła Lisa June Peterson.

Były gubernator Clinton Tyree miał na sobie turystyczne buty z wysoką cholewką, jaskrawopomarańczową kurtkę przeciwdeszczową i takie same spodnie, nowy czepek pod prysznic (tym razem z wzorem w stokrotki) oraz kamizelkę ze skórek chihuahua.

- Na specjalne okazje - wyjaśnił.

- Dobry Boże - westchnął Jim Tile.

- Naprawdę jest unikatem.

Lisa June nie odezwała się. Niewątpliwie z kamizelką wiązała się jakaś historia i na pewno nie chciała jej wysłuchać. Przyklęła, żeby podrapać McGuinna po podgardlu.

- Och, co za przystojniak - powiedziała.

- I jako pies zupełnie w porządku - przyznał Skink - ale z całą pewnością nie jest to najjaśniejsza żarówka w całym żyrandolu. Lisa June ujęła byłego gubernatora pod ramię.

- Chodźmy. On czeka na pana.

- Och, drzę cały z podniecenia.

- Nie zaczynaj - upomniał go Jim Tile. - Obiecałeś.

- Kochanie, nie zwracaj uwagi na Jima - powiedział Skink do Lisy June.

- Jest wkurzony, bo zgubiłem jego komórkę.

Zaprowadziła ich do jadalni. Na lunch była sałatka z rdzenia palmowego, potrawka z małży, medaliony cielejące i placek cytrynowy.

- Całkowicie florydzkie menu - oznajmiła Lisa June z dziwnym ukłonem. - Na pańską cześć, pszepana.

Skink zasiadł u szczytu długiego stołu.

- To miejsce gubernatora, gubernatorze - zwrócił mu uwagę bez cienia ironii w głosie policjant.

- Tak, Jim, pamiętam

- Nie rób tego.

- Czego?

- Nie ma sprawy, poruczniku - wtrąciła się Lisa June. – Gubernator Artemus został w pełni poinformowany.

- Z całym należnym szacunkiem, poważnie w to wątpię.

Dick Artemus wyszedł z bocznych drzwi, energiczny, wytworny i nastawiony na to, by czarować. Miał rumianą, świeżo wymytą twarz, lśniące, dokładnie wyszczotkowane włosy, jego zielone oczy były czyste i błyszczące. Gdy Clinton Tyree wstał, gubernator objął go, jakby byli bliźniakami, którzy od dawna się nie widzieli.

- Jeden i niepowtarzalny! Nie mogę uwierzyć, że jest pan tutaj! – Dick Artemus sprawiał wrażenie autentycznie wzruszonego.

Potem uklęknął na jedno kolano, czule złapał McGuinna za kark, pomrukując „kuczi-kuczi”, i w końcu powiedział:

- Hej, piesku, cieszę się, że masz dalej oboje uszu. Że ten zły człowiek jednak cię nie skrzywdził.

Skink zerknął sceptycznie na Jima Tile'a.

- To dla mnie zaszczyt - oświadczył Dick Artemus, wstając.

- Dlaczego? - spytał Skink.

- Ponieważ jest pan legendą, gubernatorze.

- Jestem cholernym przypisem w księdze historii. Nic poza tym.

- Może szklanekę soku pomarańczowego? - zaproponowała Lisa June Peterson.
- Dzięki. Dużo mięszu - odparł Skink.
- Dla mnie też - zawołał Dick Artemus. - Najlepszy to taki, który trzeba na końcu przeżuwać. Co to za małe ślicznotki ma pan przywiązane do końców brody, jeżeli można zapytać?
- Dzioby sępów.

272

- Aha. A ja omal nie pomyślałem, że to orle. - Dick Artemus dał znak jednemu ze służących. - Sean, sok pomarańczowy dla gubernatora, a dla mnie wódka z sokiem. A dla was?

Jim i Lisa June unisono podziękowali za alkohol.

- A więc proszę mi powiedzieć - Dick Artemus zwrócił się radośnie do Skinka - jak to miejsce wygląda? North Adams Street 700...

- Mniej więcej tak samo.

- Przywołuje wspomnienia?

- Raczej powoduje pokrzywkę.

Gubernator nie dawał się zniechęcić.

- Czy, kiedy pan tu mieszkał, była już sala gimnastyczna? A może pana oprowadzić?

Skink spojrzął na Lisę June.

- On tak naprawdę? - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na głos. - Wycieczka!

W czasie lunchu w dalszym ciągu rozmawiano o głupstwach. Dick Artemus był w prowadzeniu tego typu rozmów mistrzem świata. Porucznik Jim Tile, przez cały czas napięty jak struna, zmiatał swoje dania z talerza tak szybko, jak tylko pozwalały na to zasady dobrego wychowania. Był zdecydowanie przeciwny pomysłowi takiego spotkania, ponieważ nikt nie mógł przewidzieć, jak Clinton Tyree zareaguje na powrót do rezydencji po tylu latach. Nie miał również złudzeń, że byłemu gubernatorowi spodoba się jego obecny następca, i nie spodziewał się, że okaże mu choćby odrobinę szacunku. Ostrzegał Lisę June Peterson, iż nic dobrego nie wyniknie z tej wizyty, i dziewczyna obiecała, że uprzedzi o tym gubernatora.

Ale Dick Artemus wcale się nie martwił, ponieważ uważał, że jest takim sukinsynem, któremu nikt na całym świecie nie potrafi się oprzeć. Był święcie przekonany, że potrafi zmusić każdego, by go polubił. Czuł się także pochle-biony faktem, że legendarny Clinton Tyree zechciał się z nim spotkać.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim oku - zaszczebiotał.

- Jeżeli pan mi opowie o swoich włosach.

- Gubernator Tyree stracił oko wiele lat temu podczas zuchwałego napadu rabunkowego - pospieszyła na odsiecz Lisa June.

- Prawdę mówiąc, był to napad raczej dość staroświecki- ocenił Skink, wchłaniając potężny kawałek ciasta. - Zmieniam moje szklane oczy jak bieliznę. Moja przyjaciółka znalazła mi to w Belgradzie. - Postukał w szkarłatną tęczówkę trzonkiem srebrnego widelczyka deserowego. - Powiedziała, że należało kiedyś do cygańskiego króla, i postanowiłem jej uwierzyć. Miała za sobą dość rozrywkową przeszłość.

Gubernator pokiwał głową, jakby codziennie prowadził taką rozmowę. Jego uwagę rozproszyło coś, co szturchało go między nogami - był to żebrzący o jedzenie labrador. Dick Artemus przyjaznym gestem podał mu kawałek chleba zbożowego.

- Pogadajmy o ostatnich wydarzeniach - powiedział. - Przede wszystkim chcę panu podziękować, gubernatorze, że znalazł pan tego niezrównoważonego młodego człowieka.

- Niestety, ktoś inny znalazł go pierwszy.

- Tak, wiem. Porucznik Tile poinformował mnie natychmiast, gdy się o tym dowiedział. Opowiedział mi również o tym, jak ryzykował pan życiem, żeby uratować tego dzieciaka.

- Umowa to umowa. - Skink odłożył widelec, który brzęknął ostro. - Ja dotrzymałem swojej części.

- Tak. Nie ulega żadnej wątpliwości. - Gubernator poprawił się z zakłopotaniem w krześle, a potem udał, że przyczyną był pies, szturchający go nosem pod stołem. Lisa June Peterson i Jim Tile znali jednak prawdę.

- Powiedział pan, że ma zamiar załatwić chłopakowi jakieś konsultacje psychologiczne.

- Zgadza się.

- Gdzie?

- No... no cóż, gdzie tylko będzie chciał - jąkał się gubernator. - A przy okazji, jak on się czuje? Jak ciężko został ranny?

- Wyjdzie z tego. Jest twardy - odparł Skink. - Po co są ci wszyscy gliniarze przed jego pokojem w szpitalu?

- Dla jego bezpieczeństwa - odparł rzeczowo gubernator. - W końcu ktoś usiłował go zabić, pamięta pan?

- A więc nie jest aresztowany?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Pan Stoat nie zamierza wnosić oskarżenia. Mówi, że rozgłos spowodowany procesem byłby niepożądany, a ja w pełni się z nim zgadzam.

- Dobra - rzekł Skink, opierając się łokciami o blat stołu. - A teraz co z moim bratem?

- Tak? - Gubernator rzucił spojrzenie na Lisę June Peterson.

- Doyle - odpowiedziała.

- Ach tak. Doyle Tyree! - zawołał z ulgą Dick Artemus. - Latarnik. Z całą pewnością może zostać tam tak długo, jak zechce. Przesmyk Hillsborough, prawda?

- Zatoka Peregrine - Skink ponownie zwrócił się do Lisy June Peterson. - Czy pozwolicie, pani i Jim, że porozmawiamy z gubernatorem w cztery oczy?

Lisa June próbowała protestować, a Jim Tile westchnął ciężko, ale Dick Artemus załatwił sprawę.

- Oczywiście, że pozwolą. Liso June, może wzięłybyś tego pieska na zewnątrz i pokazała mu nasze wspaniałe sosny.

Dick Artemus miał za pół godziny wygłosić przemówienie i nie miał ochoty, by ktoś zobaczył go z psim pyskiem przy kroczu.

Gdy znaleźli się sami, były gubernator zwrócił się do obecnego:

- A co z wyspą?

- Kiedy zrobią, co zaplanowali, będzie tam naprawdę ładnie.

- Teraz jest naprawdę ładnie - odparł Skink. - Był pan tam kiedyś?

Dick Artemus odparł, że nie.

- Proszę posłuchać - powiedział. - Sam pan pamięta, jak wszystko działa. - Tropiąc ostatnie krople wódki, opróżnił szklankę, pozostawiając w niej tylko kostki lodu. - Ten facet podpisał kilka dużych czeków na moją kampanię. W zamian oczekuje pewnych względów. Ulg, jeżeli pan woli. A muszę przyznać, że zrobił wszystko tak, jak nakazują przepisy. Podział na strefy, zezwolenia, inwentaryzacja przyrody - wszystko jest całkowicie koszerne. Tak mówią moi ludzie.

- Powinien pan przynajmniej zobaczyć to miejsce, zanim pozwolił im je pan zniszczyć.

- Gubernatorze, w pełni rozumiem, co pan czuje.

- Akurat... Gówno pan rozumie.

- Co pan robi? Hej, proszę mnie puścić!

Sen ze spychaczami wciąż powracał, chrapliwy chór silników odganiał Twilly'ego Spree coraz dalej i dalej od brzegu. Kończył się w ten sposób: mewy zaczęły spadać z nieba, stało się właśnie tak, jak obawiał się tego Twilly. Zanim uderzyły w wodę, były już sztywne i spadały jak kamienie, wzbijając fontanny wokół jego głowy. Nurkował, by uciec przed nimi, ale za każdym razem, gdy się wynurzał, trafiał go w głowę przyprawiający o mdłości cios. Twilly tracił siły, nie mógł już płynąć i wkrótce zdał sobie sprawę, że tonie w lodowatym wirze z kobaltu i piany. Miał wrażenie, jakby ściągały go w dół jakieś szpony, jakby śmierć szarpała go pazurami za gołe nogi. A potem coś potężnego chwyciło go i poderwało do góry, wydobywając z wirującego chłodu poza zasięg pazurów.

Czarny pies! Zupełnie jak w cholernym filmie Disneya dzielny pies płynie na ratunek i wyciąga go na powierzchnię, na powietrze...

Ale to nie pies go podnosił. To była Desie, która jedną ręką podtrzymywała mu głowę, a drugą poprawiała poduszkę. Pierwszą rzeczą, jaką Twilly zobaczył po otwarciu oczu, był bladny rowek u nasady jej szyi. Pochylił się, by go pocałować, i ten ruch (sądząc po bólu) rozerwał mu pierś.

Desie uśmiechała się.

- Ktoś tu się lepiej czuje... - powiedziała.

- O wiele - jęknął Twilly.

- Nie próbuj mówić - powiedziała - ani całować.

Cmoknęła go w czoło, co nie było dobrym znakiem. Zawsze, gdy całowały go w czoło, chwilę później mówiły mu do widzenia.

- Przepraszam za wszystko - powiedział jej.

- Dlaczego? Byłam tam, ponieważ chciałam.

- Wyjeżdżasz?

Skinęła głową.

- Do Atlanty. Spędzę trochę czasu u staruszków.

- Kocham cię - oświadczył niewyraźnie, choć była to święta prawda. Podobnie jak prawdą było, że jak zawsze zakochałby się w następnej kobiecie, która by się z nim przespała.

- Wiem o tym - powiedziała Desie Stoat.

- Wyglądasz niewiarygodnie.

- To Demerol, kochanie. Wyglądam jak upiór. A teraz trochę odpocznij.

- A co z tym człowiekiem...

- Och! - Desie uszczypnęła go przez koc w kostkę. - Nigdy się nie do myślisz kto to taki!

Gdy mu wyjaśniła, Twilly zareagował tak, jakby wstrzyknięto mu czystą adrenalinę. Jego głowa

poderwała się z poduszki:

- Znam to nazwisko - wykrztusił. - Od mojej matki.

- Clintona Tyree?

- Całą historię. Uważała, że jest bohaterem. Mój ojciec twierdził, że był czubkiem.

- No cóż, przystawiał się do mnie w śmigłowcu - rzekła Desie.

- Widzisz? To dowodzi, że jest normalny. - Twilly uśmiechnął się słabo, opadając z powrotem na poduszkę.

- Wyraził również wyjątkowo niepochlebny opinię o moim mężu. Oświadczył, że wyżej stawiałby ekshibicjonistę ze szkolnego boiska.

Twilly zachichotał. Wpadła siostra, żeby pomajstrować przy jego kroplówce. Poleciała mu, żeby się trochę przespał, a wychodząc, obrzuciła Desie piorunującym spojrzeniem.

- Rozmawiałam dzisiaj rano z Palmerem. Tylko po to, żeby wiedział, że ze mną jest wszystko w porządku - poinformowała Desie. - Sprawił wrażenie szczęśliwego jak wszyscy diabli. Wybiera się w ten weekend na polowanie z gubernatorem Dickiem i - zgadnij z kim jeszcze - z Robertem Clapleyem. Przypuszczam, że świętują sukces z Wyspą Burzyków.

- Na co polują? - mruknął Twilly zaciekawiony. - Gdzie?

- Kochanie, nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym ci. - Desie uśmiechała się smutno. Przesunęła palcem po jego policzku. - Wszystkie te zwariowane teksty o zabiciu kogoś... jeżeli będziesz się tak zachowywał, zapaleńcu, czeka cię wczesna mogiła. Możesz nazwać mnie egoistką, ale nie chciałabym być w pobliżu, kiedy się to stanie.

Twilly odezwał się jak przez mgłę:

- Miej wiarę.

Desie roześmiała się smętnie.

- Mam wiarę. Natomiast w niebezpiecznym stopniu brakuje mi zdrowego rozsądku.

Kiedy wstała, Twilly zobaczył, że ma na sobie nową letnią sukienkę w kolorze morskiej zieleni z cieniutkimi jak spaghetti ramiączkami. Poczł nagłe ukłucie w sercu.

- Chciałabym, żebyś wyświadczył mi przysługę - powiedziała. - Chodzi o McGuinna. Czy mógłbyś go zatrzymać, dopóki nie uporządkuję swoich spraw? Moja mama ma straszliwą alergię na psy.

- A co z Palmerem?

- Nic z tego. Może nie dostanę zbyt dużo z tego rozvodu, Twilly, ale z całą pewnością mój mąż nie zatrzyma McGuinna. Proszę, czy mógłbyś się nim zaopiekować?

- Oczywiście. - Twilly lubił psa i podobała mu się myśl, że ponownie zobaczy Desie, gdy przyjedzie, żeby go zabrać. - Gdzie jest teraz?

- Z porucznikiem Tile'em i wiesz kim. Motel, w którym się zatrzymałam, nie przyjmuje zwierząt. - Desie sięgnęła po torebkę. - Muszę zdążyć na samolot. Obiecuj mi jeszcze jedno.

- Mów.

Oparła się kolanem o krawędź łóżka i pochyliła nad nim, żeby go pocałować. Tym razem był to prawdziwy pocałunek. A potem szepnęła:

- Nie kochaj się z nikim w obecności psa. To tak go dezorientuje.

- Obiecuję. - Twilly dla żartów próbował złapać za ramiączka, ale wyslizgnęła mu się.

- Zachowuj się grzecznie. Przed drzwiami masz czterech gliniarzy i nikogo, kogo mógłbyś nałomotać.

Twilly spróbował jej zasałutować, ale ledwo mógł unieść rękę.

- Do widzenia, kochanie - powiedziała Desie.

- Poczekaj. A ten drugi facet, Gash?

Jej oczy nagle zrobiły się twarde.

- Miał głupi wypadek.

- Bywa. - Twilly poczuł się raptem bardzo senny. - Kocham cię, Desie.

- Do zobaczenia, tygrysie.

DZWONIĄCY: Pomohy! Phohę!

DYSPOZYTOR: Czy jest pan w niebezpiecznej sytuacji? DZWONIĄCY: Hak. Hehem w ebehpyeh hyhuahi. Mam pehohoy hpyhah a moey hupie.

DYSPOZYTOR: Hpyhah? Proszę pana, bardzo przepraszam, ale musi pan mówić wyraźniej. Tu straż pożarna okręgu Levy, czy ma pan do zgłoszenia niebezpieczną sytuację?

DZWONIĄCY: Hah! Hahuku! Mam hłamahy khehohtup! Poheoo me w hwasz. Pohehuhe pomohy.

DYSPOZYTOR: Proszę pana, czy mówi pan po angielsku?

DZWONIĄCY: Ho het ahieki! Oheloho mi jehyk! H hehołwehu!

DYSPOZYTOR: Proszę poczekać, panie Hpyhah. Przełączam pana do kogoś, kto przyjmie od pana zgłoszenie...

DZWONIĄCY: Hiee! Hohohy! Hohe!

DRUGI DYSPOZYTOR: Diga. ¿Dónde estas?

DZWONIĄCY: Aaaaa!

DRUGI DYSPOZYTOR: ¿Tienes un emergencia?

DZWONIĄCY: 0 huhwa. Umhe.

DRUGI DYSPOZYTOR: Señor, por favor no entiendo nada que estas diciendo.

DZWONIĄCY: Hohohy! Hohohy!

Pracując jako sprzedawca samochodów, Dick Artemus stykał się stale z mnóstwem wkurzonych ludzi - wściekłymi, toczącymi pianę z pyska, purpurowymi na gębie klientami, który uważali, że zostali orznięci, oszukani, wpuszczeni w maliny, zrobieni w bambuko i w ogóle wyrolowani na wszelkie możliwe sposoby. Prowadzono ich do Dicka Artemusa, ponieważ tutaj zaczynał działać jego ujmujący sposób bycia, jego niewyczerpana jowialność, a także zadziwiająca umiejętność dowartościowywania najbardziej nieszczęsnych jełopów i pozytywnego nastawiania ich do samych siebie - czyli w gruncie rzeczy do całej ludzkości! Bez względu na to, jak bezczelnie wpuszczono ich w kanał, żaden z nich nie wychodził rozzłoszczony z biura Dicka Artemusa - wręcz przeciwnie, wszyscy byli spokojni, jeżeli nawet nie promiennie pogodni. Tego talentu inni handlarze samochodów mogli mu tylko zazdrościć. Facet taki jak Dick pojawiał się może raz na pięćdziesiąt lat.

Ów nadprzyrodzony talent do wciskania kitu służył wspaniale również gubernatorowi Florydy Dickowi Artemusowi. Nawet jego najbardziej zaciekli przeciwnicy polityczni przyznawali, że gdy rozmawiało się z nim w cztery oczy, nie sposób było go nie lubić. A więc jak to było możliwe, dziwił się ponuro Dick Artemus, że Clinton Tyree jest odporny na jego osobisty magnetyzm? Ten człowiek go nie lubił, a nawet więcej, pogardzał nim. Dick Artemus nie mógł wyciągnąć żadnego innego wniosku, wziąwszy pod uwagę fakt, że były gubernator trzymał go za gardło, przyciskając do wyłożonej drewnianą boazerią ściany gubernatorskiej jadalni. Wszystko zdarzyło się tak szybko - został przeciągnięty jak szmaciana lalka przez stół, po kwaskowatym półksiężycu, jaki pozostał z placka cytrynowego - że nie zdołał zadzwonić po Seana albo ochroniarzy.

Brwi Clintona Tyree poruszały się, jego szklane oko drgało, a jego uścisk był tak silny, że gubernator nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Na tym polega cały problem, użalał się nad sobą Dick Artemus. Gdyby tylko ten zwariowany skurwiel trochę zwolnił uścisk, może udałoby mi się jakoś do niego przemówić i wypłatać się z tej sytuacji.

Podczas tego zamieszania Clinton Tyree zgubił swój czepek i jego łysa, okrągła jak pocisk głowa dodatkowo zwiększała nastrój zagrożenia. Zbliżywszy twarz tak, że znalazła się w odległości paru centymetrów od wysmarowanego kremem nosa gubernatora, powiedział:

- Powinienem cię wypatroszyć jak makrelę.

Skóra na twarzy Dicka Artemusa była tak napięta, że nawet mruganie sprawiało mu ból.

- Nic nie może zakłócić spokoju mojego brata. Nigdy - wyszeptał ochryple były gubernator.

Dick Artemus zdołał skinać głową, chociaż w zawiasy jego szczęki wbijały się brutalnie kciuk i palec wskazujący tego brutala.

- W co pan właściwie wierzy, panie gubernatorze?

- Hę? - pisnął Artemus.

- Chodzi mi o wizję. Jaka jest pańska - budować domy i centra handlowe jak okiem sięgnąć? Więcej, więcej, więcej? Więcej ludzi, więcej samochodów, więcej dróg, więcej domów. - Oddech Clintona Tyree parzył policzki gubernatora. - Więcej, więcej, więcej - powtórzył. - Więcej, więcej, więcej, więcej, więcej, więcej, więcej, więcej...

Dick Artemus czuł, że jego nogi majtają w powietrzu - ten szalenciec jedną ręką podnosił go do góry. Z ust gubernatora wyrwało się pełne przerażenia skomlenie.

- Nie pasuję tu, Dick - mówił Clinton Tyree. - Ale ty tak! To twoje miejsce i twój czas. Handel - to potrafisz robić najlepiej, a każdy błogosławiony centymetr tego stanu jest na sprzedaż. Tak samo się działo, kiedy ja byłem na tym stanowisku, Dickie, ale teraz stawki są o wiele wyższe, ponieważ jest mniej dobrego towaru do podziału. Ile wysp pozostało jeszcze nietkniętych?

Clinton Tyree roześmiał się zjadliwie i pozwolił Dickowi Artemusowi osunąć się po ścianie na podłogę. Pochylił się nad nim jak grabarz.

- Wiem, co powinienem z tobą zrobić - oznajmił. - Ale to mogłoby skomplikować życie moim przyjaciółom, więc zamiast tego...

Teraz gubernator zdał sobie sprawę, że jest rozebrany; zdjęto z niego marynarkę, krawat i koszulę. Leżał nagi do pasa na podłodze, a ważący około stu kilogramów jednooki psychopata klęczał mu na plecach.

- Co robisz, u diabła? - zawołał, a wtedy jego głowa została brutalnie szarpnięta do tyłu i dostrzegł bezlitosny szkarłatny błysk w sztucznym oku Clintona Tyree.

- Zamknij się teraz, gubernatorze Dicku.

Dick Artemus zamknął się więc i skoncentrował się na pęcherzu - musiał panować nad nim, jeśli chciał

ocalić swoją godność, a także oszczędzić gubernatorski dywan. Skoro Clinton Tyree nie ma zamiaru go zabijać, to o co właściwie mu chodzi? Dick Artemus zadrżał, poczuł bowiem, że prześladowca rozpina mu spodnie i ściąga je w dół.

O Jezu, pomyślał. To jak w Deliverance.

Mimowolnie jego odbyt zacisnął się i nagle Dick Artemus uświadomił sobie, że możliwość uratowania go przez kogokolwiek przed zgwałceniem budzi w nim ambiwalentne uczucia - nagłówki gazetowe mogły być bardziej bolesne niż akt homoseksualny. Zostać jedynym gubernatorem Florydy, którego zgwałcił były gubernator na podłodze gubernatorskiej rezydencji! To jest odpowiedni kawałek dla książek historycznych, pomyślał niepocieszony Dick Artemus. I na pewno będzie czymś więcej niż zwykłym cholernym przypisem.

Ale czymś gorszym nawet od publicznego upokorzenia były potencjalne skutki polityczne. Czy Floryda była gotowa wybrać ponownie zbezczeszczonego najwyższego urzędnika? Dick Artemus poważnie w to wątpił. Pamiętał, jak publiczność odnosiła się pod koniec filmu do postaci kreowanej przez Neda Beatty'ego - można facetowi współczuć, ale nikt nie ustawia się w kolejce na następną wycieczkę kajakiem.

Pokryta odciskami dłoń schwyciła jeden z pośladków gubernatora. Nieszczęśnik przygotował się na najgorsze. A potem - nieoczekiwane doznanie, zupełnie jakby sucha gałązka przesuwiała się po jego ciele albo namiętnie drapały go kobiece paznokcie - lekki ból, ale przyjemny. Dick Artemus leżał nieruchomo i dziwnie spokojny. Zastanawiał się, co ten ogromny świr właściwie wyrabia, siedząc nad jego tyłkiem i nucąc coś cichutko pod nosem.

Dziwna operacja została przerwana, gdy drzwi otworzyły się, a jakiś kobiecy głos wykrzyknął imię byłego gubernatora. Dick Artemus odwrócił głowę i zobaczył, jak Lisa June Peterson i porucznik Jim Tile trzymają za ręce Clintona Tyree i wyciągają z jadalni tego uśmiechającego się, lecz posłusznego szaleńca.

Dick Artemus wstał, podciągnął spodnie i przygładził rozwichrzone włosy. Żadne z nich nie wspomni nawet jednym słowem o tym żalonym epizodzie - wiedział, że może tu w pełni liczyć na Lisę June i policjanta. Nikt się niczego nie dowie! Przeszedł szybko do sypialni po świeżo odprasowaną koszulę i powiadomił kierowcę, że jest już gotów. W samochodzie, jadąc do Plan-ter's Club, energicznie przeglądał notatki do przemówienia, zupełnie jakby nic nie zaszło. Dopiero później, po zejściu z podium przy akompaniamencie uprzejmych oklasków, Dick Artemus zobaczył, co mu zrobił Clinton Tyree. Agent FDLE, czuwający przed męską toaletą, usłyszał łkanie, a gdy otworzył drzwi, zobaczył gubernatora Florydy, który stał z krótkimi, pokrytymi plamkami krwi kałesonami zwiniętymi wokół kostek i wypiętym w stronę lustra mlecznobiałym tyłkiem. Z żalną miną oglądał go w lustrze.

- Proszę pana? - odezwał się agent.

- Wyjdź - wychrypiął Artemus. - Wynocha!

Ale agent zdążył już to zobaczyć. I przeczytać, choć widział tylko lustrzane odbicie.

Na gołym tyłku gubernatora widniało słowo WSTYD, starannie wydra-pane sępiem dziobem.

- Tym razem przeszedłeś już samego siebie - oznajmił Jim Tile.

- Pójdę do kicia? - spytał Skink.

- Albo do czubków.

- Żartuje pan? - wtrąciła się Lisa June Peterson. - Nikt nie pójdzie do kicia. Przecież nic się w ogóle nie wydarzyło.

Jechali do szpitala samochodem patrolowym Jima Tile'a. Policjant i Lisa June siedzieli z przodu. McGuinn i eks gubernator leżeli zwinięci w dwie aromatyczne kupki - jedna była czarna, druga pomarańczowa - na tylnym siedzeniu, w okratowanej części dla aresztantów.

- Proszę wyobrazić sobie, że gubernator Artemus występuje z oskarżeniem przeciwko gubernatorowi Tyree - tłumaczyła Lisa June. - Gdy tylko historia ta wydostanie się na zewnątrz, Boże, staje się wiadomością na pierwsze strony gazet w całym kraju - i nie są to materiały, które na miejscu Dicka Artemusa wycinałoby się do pamiątkowego albumu rodzinnego

- Po co ten hałas? Nie będzie miał blizny - dobiegło z tylnego siedzenia.

- Mam wrażenie, że nic nie rozumiesz - rzekł Jim Tile.

- Za dwa tygodnie jego tyłek będzie jak nowy. Co? - Skink zerknął w górę. - Liso June, czyżbyś chichotała?

- Nie.

- Ależ tak!

-No cóż, to było...

- Śmieszne? - odpowiedział Skink.

- Nie to, co spodziewałam się zobaczyć, i tyle. - Lisa June Peterson starała się opanować. - Ty na nim siedzisz. On - z wypiętą pupą.

Jim Tile, przypominając sobie tę scenę, również zaczął się śmiać.

- Kiedy będę mógł pojechać do domu? - zapytał.

- Kiedy tylko zabierzemy chłopaka - padła odpowiedź z tylnego siedzenia.

- Jeżeli ktoś będzie pytał, oto, co miało miejsce w dniu dzisiejszym - powiedziała Lisa June. - Gubernator Richard Artemus spotkał się na lunchu z byłym gubernatorem Clintonem Tyree. Spotkanie upłynęło w bardzo serdecznej atmosferze. Mówiono o - pomyślmy chwilę - łowieniu okoni, o historii Florydy, restrukturyzacji rządu stanowego - i o tym, jak wiele wysiłku wymaga sprawowanie najwyższej władzy wykonawczej stanu. Spotkanie trwało niecałą godzinę, po czym były gubernator Clinton Tyree zrezygnował ze zwiedzania przebudowanej rezydencji, ponieważ wcześniej obiecał przyjacielowi przebywającemu w miejscowym szpitalu, że go odwiedzi w tym dniu. Wszyscy się zgadzają?

- Dla mnie brzmi to zupełnie dobrze - oznajmił Jim Tile.

- Dla gubernatora Artemusa będzie to brzmiało jeszcze lepiej. Proszę mi zaufać.

Skink usiadł za okratowaną przegrodą.

- A co z mostem?

- Nawet o tym nie myśl - odparł Jim Tile.

- Do diabła, jestem tylko ciekaw.

- Pan już zrobił swoje, gubernatorze.

- Och, wyluzuj się, poruczniku.

- Za tydzień podczas specjalnej sesji ponownie uchwalą finansowanie mostu. A kiedy się to stanie, Wyspa Burzyków będzie faktem.

Skink pochylił się do przodu, wczepiając palce w stalową siatkę.

- A więc weto było pieprzeniem w bambus. Oszukali chłopaka.

- Oczywiście. Myśleli, że ma zamiar zabić twojego kumpla. - Lisa June skinęła głową w stronę drzemiącego psa. - To było wymuszenie, kapitanie. Nie mogli ustąpić.

- A poza tym most jest pozycją wartą dwadzieścia osiem milionów dolarów.

- Owszem, zgadza się.

- I nie zapominajmy, że gubernator Fiutek Dick jest szczerze oddany developerowi zainteresowanemu Wyspą Burzyków.

- Zgadza się - potwierdziła Lisa June Peterson. - Chodzi jednak o to, że wszystkie problemy zostały rozwiązane. Pies pana Stoata jest bezpieczny. Żona pana Stoata jest bezpieczna. A młody człowiek, pan Spree, będzie miał zapewnioną profesjonalną pomoc, której potrzebuje...

- Natomiast z wyspą sprawa jest przerżnięta... - parsknął Skink.

W samochodzie policyjnym zapadła smętna cisza. Jim Tile pomyślał: Tego właśnie się obawiałem. Oto zagrożenie, które sprowokowali, wyciągając go spomiędzy bagien na tak bezlitosnych warunkach.

- Gubernatorze, dokąd zabierzesz chłopaka? - zapytał.

- W bezpieczne miejsce. Nie martw się.

- Dopóki nie poczuje się lepiej?

- Oczywiście.

- A co potem? - spytała Lisa June.

- Potem może sobie spalić pieprzony budynek Kapitolu, jeżeli będzie miał na to ochotę. Nie jestem jego ojcem - zrzędził Skink - ani jego rebe. - Ponownie zwinął się w kłębek jak gąsienica i położył ogoloną głowę na sie dzeniu. Labrador obudził się na chwilkę i polizał go w czoło.

Gdy Jim Tile podjechał pod bramę szpitala, Lisa June Peterson zapytała:

- Jest pan tego pewien? Może podróżować?

Policjant wyjaśnił, że postrzałowa rana Twilly'ego jest niegroźna - drobne uszkodzenie prawego płuca, dwa pęknięte żebra, główne żyły i tętnice nie zostały naruszone.

- Facet miał szczęście - oznajmił. - W każdym razie jest bezpieczniejszy z nim - wskazał wzrokiem tylne siedzenie - niż gdziekolwiek indziej. Ktoś chciał, żeby zginął. Może w dalszym ciągu chce.

- Co będzie, jeżeli funkcjonariusze na górze nie zechcą go wypuścić?

- Panno Peterson, trzech spośród tych policjantów będą opiniowani w przyszłym miesiącu do awansu. Proszę zgadnąć, kto jest jednym z oceniających? - Jim Tile zdjął lustrzane okulary przeciwsłoneczne i włożył je do kieszeni na piersi. - Nie sądzę, by robili aferę, jeżeli pan Spree postanowi się wypisać.

- Byłaś tam kiedyś? - doleciało z tylnego siedzenia.

- Słucham, gubernatorze?

- Jim, mówię do Lisy June. Kochanie, czy byłaś kiedykolwiek na Ropuszej Wyspie?

-Nie.

- Mogłaby ci się spodobać.

- Z całą pewnością.

- Nie, chodzi mi o to, że mogłaby ci się spodobać w takim stanie, w jakim jest obecnie. Bez pól golfowych, portów jachtowych i tego całego turystycznego gówna.

Lisa June Peterson odwróciła się w jego stronę.

- Wiem dokładnie, o co panu chodzi, kapitanie.

Jim Tile zaparkował w cieniu i zostawił niewielką szczelinę w tylnych oknach, żeby pies mógł mieć trochę świeżego powietrza. W czasie gdy pielęgniarka zmieniała opatrunek Twilly'emu, wszyscy troje - Skink, Lisa June i Jim Tile - czekali przed drzwiami pokoju. Jim Tile rozmawiał cicho z czterema młodymi policjantami czuwającymi nad bezpieczeństwem pacjenta, a potem poprowadził ich przez hali na kawę. Skink usiadł po turecku na podłodze, a Lisa June pożyczyla krzesło z pokoju pielęgniarek i zajęła miejsce obok niego.

Spojrzał na nią z dobrodusznym rozbawieniem.

- A więc masz zamiar zostać w Tallahassee. Poznać metody. Zostać gwiazdą. - Były gubernator puścił do niej oko.

- Może zamiast tego napiszę o panu książkę.

- Lubię Grahama Greena. Lubię myśleć, że uznałby mnie za ciekawą postać - myślał na głos Skink - albo przynajmniej moralną.

- Ja tak uważam - oświadczyła Lisa June.

- Nie, napisz książkę o gubernatorze Bezjajecznym i opublikuj ją przed następnymi wyborami. Czyż nie byłby to kopniak w samego kindybała? - Dziki śmiech Skinka przestraszył pacjenta w średnim wieku, który miał założony kołnierz ortopedyczny i toczył obok siebie stojak z kroplówką. Mężczyzna wykonał chwiejny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i pożeglował do bezpiecznej przystani swojego pokoju.

- Proszę posłuchać, myślałam... - powiedziała Lisa June Peterson, zniżając głos.

- Ja również - odparł kapitan, żartobliwie szczypiąc ją w kostkę.

- Nie o tym.

- No cóż, powinnaś. Dobrze by ci zrobiło.

- O nowym moście - szepnęła Lisa June. - Wyspie Burzyków.

- Tak?

- Sprawa nie została jeszcze dopięta do końca. Będzie jeszcze jedno spotkanie. - Wyjaśniła mu, kto powinien w nim uczestniczyć. - I oczywiście Palmer Stoa. Zorganizował całą sprawę. To ma być wycieczka myśliwska.

Krzaczaste brwi Skinka uniosły się w górę.

- Dokąd?

- W tym cały problem. Jadą do prywatnego rancza z dziką zwierzyną w okolicy Ocala. Trzeba mieć zaproszenie, żeby się tam dostać.

- Kochanie, proszę.

- Ale powiedzmy, że je dostaniesz - ciągnęła dalej Lisa June. - Myślałam, że powinieneś porozmawiać z nimi o Ropuszej Wyspie. Porozmawiać z nimi tak, jak mówiłeś mi o Florydzie tamtej nocy przy ognisku. Kto wie, może zgodziliby się zmniejszyć skalę swojego projektu. Zostawić kilka wolnych plaż i przynajmniej kilka drzew. Gdybyś tylko mógł przeciągnąć Dicka na swoją stronę...

- Och, Lisa June...

- Posłuchaj! Gdyby udało ci się przeciągnąć Dicka na swoją stronę, może inni by mu się podporządkowali. Wierz mi, on potrafi być wyjątkowo przekonujący. Nie widziałeś go w jego najlepszej formie.

- I mam nadzieję, że nie zobaczę - odparł Skink, bawiąc się sępimi dziobami. - Lisa June, właśnie wyryłem poważną obelgę na zadku tego człowieka. On nigdy nie będzie po mojej stronie. Dobrze o tym wiesz. - Kapitan pochylił się na bok i cmoknął ją w kolano. -Ale szczerze ci jestem wdzięczny za informacje.

Drzwi do pokoju Twilly'ego Spree otworzyły się i oboje wstali. Przyjemna piegowata pielęgniarka oznajmiła im, że stan pana Spree poprawia się z godziny na godzinę.

Lisa June Peterson pociągnęła Skinka za rękaw.

- Lepiej będzie, jeżeli wrócę do Kapitola. Szef ma pracowite popołudnie.

- Nie chcesz poznać notorycznego, psychopatycznego porwacza psów?

- Lepiej nie. Mogłabym go polubić.

Skink skinął głową.

- To byłoby kłopotliwe, prawda?

- Raczej miałabym złamane serce - odparła - gdyby mu się stało coś złego.

Gdy objął ją potężnymi ramionami, Lisa June poczuła się dziwnie bezpieczna.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by się aż tak zamartwiał o wszystko jak ty i Jim - powiedział.

Usłyszał jej pytanie dobiegające gdzieś spomiędzy zmiętych fałd materiału:

- Ale nie zaszkodzi spróbować, prawda? Chodzi mi o przemówienie im do rozsądku. Czy to może zaszkodzić?

- To wyprawa myśliwska, kochanie. Nie można głośno rozmawiać podczas polowania. Trzeba siedzieć bardzo cichutko, żeby podejść zwierzynę. - Skink dotknął wargami jej czoła. - Przepraszam za

zamieszanie w czasie lunchu. Może spróbujemy kiedyś jeszcze raz?

- W każdej chwili.

- A więc na razie, Liso June.

- Do widzenia, gubernatorze.

Uprawiali seks na lwiej skórze w gabinecie, w obecności przyglądających się im tępyim szklanym wzrokiem ryb i dzikich zwierząt zabitych przez Palmera Stoata - afrykańskiego bawołu, wilka leśnego, rysia z pędzelkami na uszach, łosia, pasiastego marlina, tarpona...

Potem Estella, prawicowa prostytutka od Swaina, zapytała:

- Tęsknisz za nią?

- Czy tęsknię? Wykopałem ją! - oświadczył Stoat. - Co innego pies. Boodle był dobrym towarzyszem.

- Jesteś porąbany.

- Może następnego drinka?

- Czemu nie? - odparła.

Oboje byli nadzy i palili najlepsze hawany, Romeo y Julieta. Palmer Stoat był uszczęśliwiony tym, że znalazł partnerkę, która w czasie dynamicznego stosunku potrafiła utrzymać cygaro w ustach. Potem, jeżeli uda mu się ponownie go postawić, zrobi kilka zdjęć - ich oboje w czasie zabawy, cygaro w cygaro jak pojedynkujące się kominy.

Po otrzymaniu nowej szkockiej Estella położyła się na boku i pogłaskała kędzierzawą, kasztanową grzywę lwa.

- Sam go zastrzeleś?

- Już ci mówiłem, cukiereczku. Upolowałem je wszystkie. - Stoat po klepał ciemnożółtą skórę, jakby to był bok jego ulubionego wierzchowca. - Ten sukinsyn był twardy. Musiałem trzykrotnie strzelać do niego z bliska.

Wystarczyłby jeden pocisk, gdyby Stoata nie zbiło z nóg stado czternastu wygłodzonych ogarów, które Durgess wysłał, żeby zapędziły wyczerpanego kota na drzewo. Padając, Stoat oddał dwa strzały: jednym trafił nieszczęsnego kosa, a drugim palmę karłowatą. Tymi barwnymi szczegółami nie podzielił się z zasłuchaną Estellą.

- Opowiedz mi o Afryce - powiedziała, wydymając wymalowane wargi, aby puścić kółko z dymu.

- Afryka. Tak. - Większość jego informacji o Afryce pochodziła z programów telewizyjnych National Geographic.

- Gdzie położyłeś tego lwa? W Kenii?

- Tak, w Kenii. - Stoat przesunął suchym językiem po wargach, zlizując warstewkę Johnnie Walkera. - Afryka jest... niezwykła - oznajmił. - Niewiarygodna.

- Och, dałabym wszystko, żeby tam kiedyś pojechać - oświadczyła z rozmarzeniem Estella, potrząsając włosami.

Trzymając drinka w jednym ręku, Stoat ostrożnie obrócił się na bok i przylgnął do jej pleców.

- Jest taki duży - powiedział cicho. - Afrykański kontynent.

- Duży. Tak. - Estella wygięła się kusząco i Stoat szybko się odsunął, żeby jej loki w rozlicznych odcieniach nie zajęły się od jego cygara.

- Cukiereczku, trzeba by było lat, żeby wszystko zobaczyć.

- Moglibyśmy pojechać razem, Palmerze. Ty mógłbyś polować, a ja zbierać starocie. I żadnej opłaty za seks. Płacisz za moje bilety lotnicze, a bara-bara jest za friko.

Stoata kusiło, żeby powiedzieć tak. Bóg świadkiem, że potrzebował takiego wyjazdu. A gdy tylko Kongres i Senat zakończą w przyszłym tygodniu tę ostatnią bzdurę... no cóż, czemu by nie urządzić sobie wakacji i safari w Afryce? Do czasu kiedy wróci, firma przewozowa wywiezie wszystkie bambetle Desie i wreszcie będzie się czuł jak u siebie w domu. Znowu urządzi się po kawalersku. (Zmienił zdanie na temat przeprowadzki. Znalezienie domu z tak idealnym pomieszczeniem na trofea zajęłoby mu całe lata).

- Zobaczmy, jak uda się to pogodzić z moimi zajęciami - powiedział Estelli, najpierw bowiem chciał się podzielić afrykańskim pomysłem z osobą, która zajmowała pierwsze miejsce na jego liście kandydatek, sobowtórem Pameli Anderson z Łona. W tym momencie Stoat nie mógł przypomnieć sobie jej imienia, chociaż był pewien, że zapisał je na serwetce i włożył do portfela.

- Dlaczego tu jest puste miejsce? - zapytała Estella, wskazując na rzucającą się w oczy wolną przestrzeń na ścianie z trofeami.

- To na mojego czarnego nosorożca. Położyłem go parę tygodni temu.

- Nosorożca!

- Wspaniałe zwierzę - oświadczył Stoat, zaciągając się głęboko. - Sama zobaczysz, kiedy skończą go wypychać.

- Znowu wyjeżdżałeś do Afryki? Kiedy to było? - spytała Estella. - Czemu mi nie powiedziałeś?

- Bo zawsze rozmawiamy o polityce, dziecinko. W każdym razie to był szybki wypad, tylko na parę dni -

powiedział lekceważącym tonem. – Mam wrażenie, że to było w ten weekend, kiedy pojechałaś na ten zjazd „Quayle na prezydenta”.

Obróciła się do niego twarzą.

- Wyjašnjmy to sobie. Pojechałaś aż do Kenii na weekend?? Boże, ty naprawdę musisz uwielbiać polowania.

- Och tak. I znowu jadę tam w sobotę. - Stoał natychmiast pożałował swoich słów.

Estella poderwała się, podniecona, oblewając ich oboje szkocką.

- Mogę pojechać z tobą, Palmer? Proszę.

- Nie, kochanie, tym razem to interesy. Biorę ze sobą ważnego klienta. Obiecałem mu takiego samego nosorożca jak mój.

- Oj, daj spokój. Będę się trzymała cały czas z dala.

- Przykro mi, kochanie.

- W takim razie przywieź mi ładny prezent, dobrze? Tylko nie jakieś tanie paciorki czy spódniczkę z trawy. Jakaś fajną rzeźbę w drzewie albo może... Już wiem! Masajską włócznię!

- Uważaj sprawę za załatwioną- oświadczył Stoał, myśląc jednocześnie: Gdzie ja jej znajdę coś takiego w Ocala na Florydzie?

- O rany. Aż do Afryki. - Estella, unosząc swoje pomalowane na fioletowo rzęsy, spojrzała na długą ścianę pełną wypchanych zwierzęcych głów i laminowanych ryb - trofea Stoata. - Nigdy nie wystrzeliłam nawet z pistoletu na kapiszony - powiedziała - ale co roku daję trochę pieniędzy na Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie. Całkowicie popieram Drugą Poprawkę [Druga Poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, która zaproponowana była wraz z dziewięcioma innymi 26 września 1789 roku i weszła w życie 15 grudnia 1791 roku, gwarantuje obywatelom Stanów Zjednoczonych prawo do noszenia broni. Związane z Partią Republikańską National Rifle Association (Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie) należy do obrońców tego - poważnie obecnie kontestowanego w USA - prawa (przyp. tłum.)]*.

- Ja też. Jak widać. - Stoał teatralnym gestem wskazał spoglądające pustym wzrokiem eksponaty. - Jak śpiewają w piosence: „szczęście to gorąca strzelba”.

Estella uśmiechnęła się, zaciekawiona.

- Chyba nigdy jej nie słyszałam.

Krimmler nie mógł spać. I może nigdy już nie zasną, pomyślał.

A Roger Roothaus nie uwierzył w historię o „menelu na drzewie”! Zapytał go, czy pił. Sugerował, żeby wziął sobie urlop, pojechał przyczepą do Cedar Key albo Destin.

- I tak na wyspie nic się nie dzieje - powiedział. -1 nie będzie się działo, jeśli nie dostaniemy nowych poleceń od pana Clapleya. A więc jedź się zabawić. Ja funduję.

Krimmler zaprotestował. Upierał się, że nic mu nie jest.

- Menel rzeczywiście włamał się do mojej przyczepy, pobił mnie i zaciągnął na cholerne drzewo. A potem mnie tam zostawił, Rogerze! Musiałem spelzać na dół w czasie ulewy. Niemal rozbiłem sobie dupę.

- Człowieku, martwię się o ciebie - powiedział Roothaus.

- I powinieneś!

- Nie mów ani słowa o tym panu Clapleyowi, OK?

Ale Clapley również wysłał tu faceta, innego świra, który wdarł się do mojej przyczepy i brutalnie się ze mną obchodził. Miał lewe taśmy...

- Dzwoni drugi telefon - oznajmił krótko Roothaus. - Musisz na jakiś czas odpuścić, Karl. Mówię poważnie.

Lecz Krimmler nie miał zamiaru wyjeżdżać z Ropuszej Wyspy, ponieważ generał nigdy nie porzuca pola bitwy przed jej zakończeniem, nawet gdy mu proponują wakacje na wybrzeżu i opłatę wszelkich kosztów. Dlatego załadował swój 0,357, przyczaił się w przyczepie i czekał na następnego intruza.

Mijały godziny i nikt nie przychodził, ale tętno wyspy groźnie huczało za drzwiami. Wiatr. Morskie ptaki. Szelesty i poszum liści. Krimmler znosił prawdziwe udreki. Oblężony przez Przyrodę, miał wolę stawiania oporu i broń - ale nie miał wojska. Był rzeczywiście sam.

Och, gdyby mógł usłyszeć dobrze znany odgłos strzelającego gaźnika, nadmiernie wyładowanej ciężarówce, jęgliwe wycie pił łańcuchowych, metaliczne, szarpiące kręgosłupem uderzenia kafara... jakżeby wówczas dusza Krimmlera tańczyła z radości.

Ale jego ukochane maszyny stały milczące i opuszczone i z każdą mijającą chwilą przeklęta wyspa odżywała - poruszała się, kwitła, powracała do życia. Zamknięty w cuchnącej stęchlizną przyczepie Krimmler zaczął niepokoić się o swoje zdrowie psychiczne. Każdy krzyk brodzca, każde skrzek-nięcie szopa, każde zuchwałe piśnienie wiewiórki (zaczął się lękać wiewiórek drzewnych w równym stopniu, jak przeklętych wiewiórek ziemnych) były dla niego torturą. Gdy zapadł zmierzch, odgłosy za drzwiami jeszcze się jakby nasiliły i aby je zagłuszyć, wrzucił kompakt z Tomem Jonesem do stereo. Wyłączył wszystkie światła, podstawił krzesło pod klamkę, wczołgał się pod koce... i czekał na sen, który nie

chciał nadejść.

Za oknami szydziła z niego Ropusza Wyspa.

Krimmler zatkał uszy i pomyślał: może już nigdy nie zasną.

Zacisnął powieki i zaczął obmyślać plan. O świcie weźmie jeden ze spychaczy i zacznie karczować drzewa - będzie to po prostu terapia zajęciowa. Wskoczy w D9 i wyorze szeroki, zapylony rów przez jakiś cichy sosnowy zagajnik. Pieprzę was, wiewiórki. Życzę miłego dnia.

Krimmler uśmiechnął się do swoich myśli.

Po chwili usiadł i zaczął nasłuchiwać. W przyczepie panowała cisza, słychać było jedynie miarowy stukot kropli spadających na dach z gałęzi. Krimmler pospiesznie złapał rewolwer i poszedł włożyć kolejny kompakt.

Wtedy właśnie usłyszał krzyk, niepodobny do żadnego, które słyszał do tej pory. Zaczynał się jako niski, gardłowy jęk i narastał do zawodzącego, cichnącego powoli wrzasku. Włosy na przedramionach Krimmlera stanęły dęba, a język stał się suchy jak kreda. Wrzask był na tyle silny, że mógł go wydać wielki kot, na przykład pantera, ale przemądrzały doktor Brinkman powiedział, że wszystkie pantery zostały dawno temu wystrzelane na pół-nocno-zachodniej Florydzie albo stąd uciekły. Krimmler przypominał sobie, że Roger Roothaus bardzo wyraźnie pytał, czy istnieje możliwość, iż na Ropuszej Wyspie mieszkają pantery, chciał mieć całkowitą pewność w tej kwestii, ponieważ zwierzęta te znajdowały się w wykazie gatunków chronionych. Jeden parszywy kociak i cała operacja na Wyspie Burzyków mogła zostać zawieszona, być może na zawsze.

Znowu rozległ się ten niesamowity krzyk. Krimmler się wzdygnął. Czy mogło to być coś innego niż pantera? Ten cholerny Brinkman! Ten gabinetowy miłośnik króliczków nas okłamał, pomyślał Krimmler. Przez cały czas tak przypuszczałem! To tłumaczy, dlaczego tak nagle zniknął. Pewnie poleciał, żeby zakablować federalnym.

Krimmler szarpnięciem otworzył drzwi przyczepy i zaczął wpatrywać się w błękitną mgłę i mżawkę. Koci wrzask zdawał się dobiegać z tego samego, położonego w wyższej partii wyspy lasu, w którym kazał zakopać drzewne ropuchy. Drżące wycie sprawiało wrażenie niemal ludzkiego i brzmiało tak, jakby je wydawał umierający powoli człowiek.

Hohooohyyy!

No cóż, prawie jak człowiek, pomyślał Krimmler. Jeżeli pozwolić rozhulać się wyobraźni.

Załóżyl brezentowe spodnie robocze i kurtkę. Potem wziął rewolwer i latarkę i wyszedł ostrożnie w mgłę. Do diabła z tym pijanym kapusiem Brink-manem, gdziekolwiek się znajduje, pienił się Krimmler. Ta pieprzona wyspa zostanie oswojona - oczyszczona, zmeliorowana, osuszona, splantowana, wyrównana, wybrukowana, otynkowana, pomalowana i odrodzi się jako coś odpowiadającego ludzkim wartościom -jako światowej klasy ośrodek golfowo-wypoczynkowy.

Dla Krimmlera nocne wrzaski były wezwaniem do broni. Nie będzie się krył ani się nie wycofa. Nie pozwoli też, by projekt Wyspy Burzyków został zniweczony przez jakieś śmierdzące, kulawe, zapchłone kocisko. Na pewno nie dopuści, by doszło do tego - zbyt wiele pracy, pieniędzy w niego włożono, zbyt wiele tych pieprzonych kombinacji politycznych wymagał.

Sam zabije to cholerstwo, zaprzysiągł sobie Krimmler. Raz jeszcze noc rozdarło przeraźliwe zawodzenie i Krimmler ruszył w stronę, skąd dochodziło, pełen buntowniczej wściekłości. Ta pantera już nie jest zagrożona, pomyślał. Ten skurwiel jest skazany na zagładę.

Jego szarża została na chwilę powstrzymana, gdy poślizgnął się na kłodzie drewna i padając, rozbił latarkę. Szybko się jednak pozbierał i ruszył dalej, machając przed sobą ręką, w której dzierzył rewolwer, i w ten sposób oczyszczając drogę pomiędzy sylwetkami drzew. Dziki krzyk docierał z polany, gdzie stały spychacze, którymi rozgniatano ropuchy, i ogarnięty furją Krimmler zaczął strzelać od razu, gdy tylko wypadł spodzie drzew.

- Tutaj, kotku, koteczku! - wołał w uniesieniu i uśmiechał się dziko.

Hohooohyyy!

Dla Roberta Clapleya poza pieniędzmi czymś najważniejszym, co zapewniał mu narkotykowy biznes, a czego mu obecnie najbardziej brakowało, był szacunek. Jeżeli znano cię jako przemytnika dużego kalibru, przeciętny szmondak nawet nie marzył, by z tobą pogrywać.

Na przykład taki szmondak jak Avalon Brown - który kazał Clapleyowi dojrzewać w hallu hotelu Marlin, ponieważ właśnie załatwiał na górze „ważne interesy” z dwoma Barbie.

Chociaż Avalon Brown najwyraźniej uważał, że okazywanie lekceważenia zamożnemu amerykańskiemu developerowi jest niezłą zabawą, nigdy (Clapley był pewien) nie ośmieliłby się potraktować z takim nierozważnym brakiem szacunku poważnego importera kokainy. Im dłużej Clapley musiał czekać, tym częściej przychodził mu na myśl pan Gash - o, ten facet mógłby nauczyć Avalona Browna dobrych obyczajów i udzieliłby mu takiej lekcji z prawdziwą przyjemnością.

Clapley zastanawiał się, czemu pan Gash nie zadzwonił jeszcze z Ropuszej Wyspy. Jeśli nawet ten, kogo dotyczyło zlecenie, nie został zastrzelony, pan Gash składał bezpośredni meldunek z terenu.

Może jest w kiepskim nastroju, domyślał się Clapley, ponieważ psi porywacz przeżył. Pan Gash był zawsze bardzo ambitny, gdy chodziło o jego pracę.

Mimo wszystko powinien jednak wkrótce zadzwonić, pomyślał Clapley. Poczekajcie, powiem mu o Avalonie Brownie - taki gównojad to coś, co z pewnością poprawi panu Gashowi nastrój. Wiadomo było, że tego rodzaju zadania wykonuje za darmo.

- Bobby?

W hallu stały Katia i Tisz. Zachowywały się z rezerwą, ale nie były raczej w jakimś wyraźnie złym nastroju.

- Bobby, pan Brown chce wiedzieć, gdzie są pieniądze na film.

- Moi prawnicy przygotowują dokumenty w sprawie partnerstwa. Chodźmy na lunch - powiedział Robert Clapley.

Kiedy szli do News Cafe, Clapley niemal się załamał. Barbie wyglądały upiornie. Ufryzowały sobie włosy i ufarbowały je na kruczoczarno, pomalowały usta i powieki. Na luźne przezroczyste bluzki narzuciły staroświeckie koronkowe szale, miały na sobie obcisłe skórzane spodnie i buty ze sprzączkami i wycięciami na palce, toporne jak holowniki. To zbrodnia, lamentował w duchu Clapley. Te kobiety są stworzone do krótkich spódniczek i wysokich obcasów, do diabła, przecież wie to najlepiej. To on był głównym projektantem! Niemałym kosztem przekształcił Katię i Tisz w idealne bliźniacze ucieleśnienie amerykańskiego ideału piękna. I oto, jakie otrzymał podziękowanie - bunt. Palce u stóp pomalowane na czarno!

Przy kawie i bajgielkach zapytał:

- Tęsknicie za mną, dziewczęta?

- Pefhie, Bobby - odparła Tisz.

- Znalazłyście już jakiś proszek z nosorożca?

Tisz pokręciła lekko głową, Katia spuściła oczy.

- Nie miałyście szczęścia, co? - Clapley zachichotał z ironicznym współczuciem.

- Tylko kokaina. Kokaina jest nutna - odparła Katia, rozgryzając pod smażonego rodzynkowego bajgielka.

- Bardzo nudna - przyznał Robert Clapley. - A po co ten nowy wygląd? Czy to do waszego filmu?

- To swobodny gotik, Bobby. - Jakby chcąc udzielić dodatkowych wyjaśnień, Tisz wskazała srebrny krucyfiks wiszący na jej szyi. Clapley zauważył, że Katia nosi taki sam.

- Gotyk? Macie na myśli nietoperze, wampiry i różne takie gówna?

- Ta - oświadczyła Katia. - 1 krfafe oprzęty.

Clapley zachichotał szyderczo.

- Krwawe obrzędy i brednie. Rzeczywiście, trafiłyście w odpowiednie miejsce.

Narastający w nim lubieżny niepokój sprawiał, że drżał cały i pokrywał się potem. Całą siłą woli skupiał na tym, by utrzymać nieruchomo filiżankę z kawą. A tymczasem uwagę Barbie przyciągnął młody mężczyzna bez koszuli, który jechał do tyłu na tyżworolkach - obfity koński ogon, daszek Oakley i białe kakadu na ramieniu.

- Dziewczyny! - Robert Clapley czuł się jak nauczyciel, który słyszy chichoty dobiegające z tylnych ławek. - Katia, Tisz!

Przewrotne uśmieшки zniknęły z ich twarzy.

- Wciąż jeszcze chcecie trochę proszku nosorożca?

Tisz zerknęła na Katię, która uniosła nie wyszczypaną brew.

- Hdzie? - spytała podejrzliwie.

- Mieszkanie w Palm Beach.

- Kiery? Masz teraz?

- Nie dzisiaj - odparł Clapley. - Pojutrze.

- Nie pieprzysz, Bobby? Masz róg? - spytała Tisz.

- Będę miał.

- Jak znalazł? Hdzie on jest? - dopytywała się Katia.

Ich włosy i makijaż były tak koszarne, że Clapley prawie nie mógł na nie patrzeć. Poza tym żarły jak zgłodniałe jałówki!

- Zkąd mieć będziesz ten róg? - nalegała Katia.

- Z prawdziwego nosorożca. Sam go zastrzelę.

Tisz zamarła z bajgielkiem pod woskowymi policzkami. Katia pochyliła się do przodu, wysuwając jak kociak język spomiędzy zębów.

- Czarny nosorożec. Potwór - oświadczył Robert Clapley. - Polowanie jest wyznaczone na sobotę rano.

- Ty strzela nosoroga? Nie pieprzyć?

- Tak jest.

- Co, jeżeli nie trafisz?

- Wtedy zapewne mnie zabije. Tak jak kilka lat temu zabił innego człowieka. - Clapley westchnął żałościwie. - To była naprawdę koszmarna sprawa. Przewodnik mówi, że to wyjątkowo niebezpieczne zwierzę. Zabójca.

Barbie siedziały jak sparaliżowane z szeroko otwartymi oczami. Kolejny nastoletni łyżworolkarz przemknął obok, kręcąc opiętymi spandeksem pośladekami, ale kobiety nie odrywały wzroku od wielkiego białego myśliwego.

- Nie martwcie się. Nie chybię - powiedział Clapley. - Nigdy nie chybiam.

- Wielka strzelba, tak? - zapytała Katia.

- Największa.

- A wtedy, potem przewieziesz róg do domu!

- Tylko jeżeli będziecie tam na mnie czekać.

Kobiety pokiwały głowami z synkopowanym entuzjazmem.

- Fantastycznie. Ale nie mówcie nikomu, a zwłaszcza panu Brownowi - ostrzegł je Clapley. - To, co dla was robię, jest bardzo ryzykowne. Mógłbym mieć mnóstwo kłopotów.

- OK, Bobby.

- Nie wspominając o tym, że mogę zostać zdeptany na śmierć.

Katia czule położyła rękę na dłoni Clapleya.

- My kochamy, Bobby, że ty będziesz robił takie ryzykowne rzeczy dla nas. Strzelać taki niebezpieczny nosorog.

- Czy nie dawałem wam zawsze tego, co chciałyście? Nie dawałem? Ty i Tisz poprosiłyście mnie o więcej rogu, a tylko w ten sposób mogę go dla was zdobyć. Ryzykując życiem.

- Dziękujemy, Bobby.

- A więc zobaczę was obie w sobotę wieczorem. Ale z włosami blond. Proszę.

- I na wysokich obcasach też - zachichotała Tisz.

- To byłoby fantastyczne. - I tyle jeżeli chodzi o to gotyckie gówno, pomyślał Robert Clapley.

Oszłomiało go poczucie tryumfu i pożądanie. Wkrótce jego bliźniaczki będą znowu w domu.

Gdy znaleźli się znowu w hallu Marlina, objął je obie i powiedział:

- Mam nadzieję, że pan Avalon Brown załatwił wam miły apartament z widokiem na ocean.

Tisz spojrzała pytająco na Katię, a ta sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Nie? No cóż, może kiedy już film okaże się hitem... - Clapley pochylił się, żeby pocałować je na do widzenia, i skrzywił usta, czując opary mdlących nieznanomych perfum.

- Co to takiego? - wysapał uprzejmie.

- Nazwa jest Żywy trup - odpowiedziała Katia. - Ja sądzę, że Calvina.

- Urocze. Powiedzcie panu Brownowi, że będę w kontakcie.

- Bądź ostrożny strzelić nosoroga, Bobby.

- Nie martwcie się o mnie - oznajmił Clapley. - Och, niemal zapomniałem. Doktor Mujera przyleci w przyszłym tygodniu z Ameryki Południowej. Tylko przypominam. - Postukał się palcem wskazującym po podbródku. - Zakładając, że jesteście wciąż zainteresowane.

- Może - odparła ostrożnie Katia.

- Ta, może - powtórzyła Tisz.

- Dla was dwóch tylko to, co najlepsze. Prawda? Jest najlepszym facetem na świecie od tych spraw.

- Ale pan Brown mówi, że lubi nasze podbródki takie jak teraz.

- Doprawdy - rzekł słabiutko Clapley.

- Dobre podbródki do filmowe oświetlenie - wyjaśniła Tisz.

- Okrągłe - dodała Katia. - Mówi: Okrągłe wyglądają lepiej. Nie ostre jak u amerykańskich modelek.

- Doktor Mujera operował bardzo wiele międzynarodowych gwiazd filmowych.

- Naprawdę, Bobby? Podbródki gwiazd filmowych?

- Sam porozmawiam z panem Brownem. Przypuszczam, że będzie bardzo zadowolony z kwalifikacji doktora. - Robert Clapley spojrzął na zegarek. - Właściwie mam teraz trochę czasu. Może zadzwoniłybyście do pokoju i poprosiły pana Browna, żeby wypił z nami drinka?

- Nie - odpowiedziała Katia. - Pani od masaż jest tam.

- Druga godzina każdego dnia - dodała Tisz.

- Pani od masażu?

- On mówi, że to od stres - wyjaśniła Katia.

Clapley uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Pan Brown musi znajdować się w ogromnym napięciu.

- Zobaczymy się w sobotę, Bobby. My balować jak przedtem, OK?

- Dziecinko, nie mogę się doczekać.

- I powodzenia z czarnym nosorog.

- Nie martwcie się o mnie - powiedział Clapley dwóm przyszłym bliźniaczkom Barbie. - Zajmijcie się

tylko doprowadzeniem włosów do porządku.

Kiedy wsadzili Twilly'ego do radiowozu policji drogowej, był nafaszerowany środkami przeciwbólowymi. Działały znakomicie, bo gdy McGuinn natychmiast skoczył mu na pierś, żeby się przywitać, zabolalo jak diabli, ale nie na tyle, by zemdlal.

Najpierw zatrzymali się przy banku Barnett, skąd Twilly podjął gotówkę. Kwota przez czysty przypadek była równa, niemal co do dolara, trzem rocznym pensjom porucznika Jima Tile'a i wstrząsnęła nawet eks gubernatorze.

- Spadek - wyjaśnił niewyraźnym głosem Twilly. - Mój dziadek przewraca się w grobie.

Następny przystanek wypadł u dealera General Motors przy wyjeździe z Tallahassee.

- Po co? - zapytał kapitan.

- Potrzebujemy samochodu.

- Prawie wszędzie chodzę na piechotę.

- No cóż, a ja nie - odparł Twilly. - Przynajmniej nie z dziurą w płucu.

Jim Tile wydawał się świetnie bawić. Twilly wyczuł, że Clinton Tyree był przyzwyczajony do dyrygowania orkiestrą.

- Czy mam mówić do pana: gubernatorze?

- Lepiej chyba nie.

- Panie Tyree? A może Skink?

- Ani tak, ani tak.

- W porządku, kapitanie - oznajmił Twilly. - Po prostu chciałem panu podziękować za to, co zrobił pan na wyspie.

- Proszę najuprzejmiej.

- Ale zastanawiałem się, dlaczego pan się tam znalazł.

- Wiosenny urlop - odparł Skink. - A teraz załatw sobie jakieś kółka.

Pamiętając wciąż o McGuinnie, Twilly wybrał kolejnego używanego roadmastera kombi, ale tym razem granatowego. Kiedy wypełniał wszystkie dokumenty w kantorku sprzedawcy, policjant, kapitan i wielki pies wałęsali się po sali wystawowej. Żaden ze sprzedawców nie odważył się do nich podejść. Potem, już na parking, Jim Tile podziwiał wielkiego buicka. McGuinn leżał rozwalony z tyłu, Twilly siedział z przodu, na miejscu dla pasażera, a Skink za kierownicą.

- Właściwie nie chcę wiedzieć, dokąd wasza trójka się wybiera - powiedział policjant - ale, gubernatorze, interesuje mnie, co pan zrobił z rewolwerem, który panu dałem.

- Leży w Zatoce Meksykańskiej, Jim.

- Nie skłamałby mi pan, prawda?

- Wyrzuciłem ze śmigłowca. Zapytaj chłopaka.

Twilly skinął głową. To była prawda. Pilot rozsądnie nie zadawał pytań.

- Ale z tą komórką kupiła smutna historia, Jim. Musiałem zgubić ja w lesie - rzekł Skink. - Wielki stan Floryda powinien kupić ci nową. Powiedz gubernatorowi Dickowi, że takie jest moje zdanie.

Jim Tile okrzyknął samochód, podszedł od strony Twilly'ego i pochylił się przy oknie.

- Zakładam, że wiesz, z kim będziesz podróżował - powiedział.

- Wiem - odparł Twilly.

- Jest moim drogim przyjacielem, ale niekoniecznie przykładem do naśladowania.

- Kolejne oświadczenie policji drogowej! - wtrącił się Skink.

Twilly wzruszył ramionami.

- Po prostu szukam ciszy i spokoju, poruczniku. Boli mnie całe moje doczesne jestestwo.

- W takim razie powinieneś traktować to na luzie. Naprawdę na luzie. - Policjant wrócił na stronę kierowcy. Najwyraźniej coś go dręczyło.

- Jim, możesz uwierzyć w rozmiary tego wózka? - zapytał Skink.

- Jak dawno temu prowadziłeś samochód?

- Trochę czasu minęło.

- Tak, a od jak dawna masz prawo?

- Od dwudziestu dwóch lat. Może dwudziestu trzech. A dlaczego pytasz?

Kapitan leniwie przesunął palcami po kierownicy. Twilly musiał się uśmiechnąć.

- Powiem ci, co mam zamiar zrobić - rzekł Jim Tile. - Mam zamiar natychmiast stąd odjechać, żeby nie patrzeć, jak wyjeżdżacie tym okrętem z parking. Ponieważ gdybym tego nie zrobił, musiałbym was zatrzymać i wlepić pieprzony mandat.

W oczach Skinka rozbłysły kpiarskie ogniki.

- Oprawiłbym go, Jim.

- Niech mi pan wyświadczy grzeczność, gubernatorze. Ten młody człowiek naprawdę dostał ostatnio w dupę i z trudem udało mu się przeżyć. Niech mu pan nie podsuwa jakichś zwariowanych nowych

pomysłów.

- W jego głowie nie ma już miejsca na więcej. Mam rację, chłopcze?

- Rozpocząłem nowy rozdział mego życia - oznajmił Twilly ze śmiertelną powagą.

Policjant założył okulary przeciwsłoneczne w drucianej oprawie.

- Z równym skutkiem mógłbym gadać do tego cholernego psa – mruknął - Clinton Tyree wyciągnął rękę i stuknął go w ramię. Jim Tile z poważną miną oglądał swego stetsona z szerokim rondem, którego krawędź McGuinn zdążył już ponadgryzać.

- Gubernatorze, powtórzę jeszcze raz. Jestem za stary na takie pieprzenie w bambus.

- Jesteś, Jim. A teraz jedź do domu, do swojej małżonki.

- Nie chcę czytać o was obu w gazetach: Proszę.

Skink zdjął mu z nosa okulary i wygiął je tak, by pasowały do jego twarzy.

- Nieuchwytni i samotni! To właśnie my.

- Po prostu bądźcie ostrożni. Proszę - powtórzył Jim Tile.

Gdy tylko odjechał, ruszyli prosto na międzystanówkę. Twilly wchodził do kodeinowego królestwa i wychodził z niego, ale nic się mu nie śniło. Niedaleko Lakę City podniecony kapitan obudził go, żeby pokazać martwego dzika na poboczu autostrady.

- Możemy się żywić tym dwa tygodnie!

Twilly usiadł, przecierając oczy.

- Czemu się pan zatrzymał?

- Jeśli nie marnujesz, to nie potrzebujesz.

- Jeśli tak bardzo kocha pan bekon, wykupię panu dostawę z hurtowni - odparł Twilly. - Ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli wetknie pan dziewięćdziesięciokilogramowego świńskiego trupa do mojego nowego kombi. Bez urazy, kapitanie.

W tyle samochodu McGuinn piszczał i kręcił się.

- Pewnie chce się wysikać - doszedł do wniosku Skink.

- To jest nas dwóch - stwierdził Twilly.

- Nie, trzech.

Wysiedli wszyscy i podeszli do skraju lasu. Były gubernator spojrział tęsknie przez ramię na zabitego przez samochód dzika. McGuinn obwąchał krótko trupa, a potem pobiegł, by zbadać trop królika. Twilly postanowił, że pozwoli mu pobiegać kilka minut.

Gdy wrócili do samochodu, kapitan zapytał Twilly'ego, jak się czuje.

- Naćpany. Obolały. - Twilly ze stęknieniem podciągnął się i usiadł na masce. - I szczęśliwy.

Skink oparł jedną nogę na zderzaku. Zdjął czepek kąpielowy i potarł kostkami opalonych palców po szczecinie rosnącej na czaszce.

- Musimy podjąć pewne decyzje, panie Spree - powiedział.

- Kiedy pan zniknął, moja matka zbierała wszystkie wycinki. Za każdym razem, kiedy pojawiał się nowy artykuł, czytała nam go przy śniadaniu - wspominał Twilly. - Doprowadzała tym mojego ojca do furii. Sprzedawał wybrzeże.

Skink gwizdnął ironicznie.

- Pierwsza liga. Więcej, więcej, więcej.

- Twierdził, że musi pan być swego rodzaju komunistą. Mówił, że każdy, kto występuje przeciwko zabudowie, jest antyamerykański.

- A więc twój tatuś był patriotą, co? Życie, wolność i podążanie za prowizją za nieruchomości.

- Matka uważała, że był pan po prostu człowiekiem, który próbował ocalić miejsce, które kochał.

- I poniósł spektakularną klęskę.

- Mówiła, że jest pan bohaterem ludowym.

Skink wyglądał na rozbawionego.

- Twoja matka sprawia wrażenie romantyczki. - Umieścić czepek z powrotem na głowie. - Byłeś wtedy gdzie, w przedszkolu? W pierwszej klasie? Nie możesz pamiętać tak dawnych rzeczy.

- Potem przez wiele lat mówiła o panu, być może tylko po to, żeby władować szpilę mojemu tacie. Albo może dlatego, że w głębi duszy była po pańskiej stronie. Wiem też, że głosowała na pana.

- Jezu, daj już spokój...

- Przypuszczam, że by ją pan polubił. Moją matkę.

Skink zdjął okulary przeciwsłoneczne i przyjrzał się swojemu odbiciu w zderzaku. Dwoma palcami przesunął szkarłatne oko, ustawiając je mniej więcej w takiej samej pozycji jak prawdziwe. A potem spojrzął na Twilly'ego Spree i rzekł:

- Synu, nie mogę ci mówić, co masz zrobić ze swoim życiem - do diabła, widziałeś, co zrobiłem ze swoim. Ale powiem ci, że zapewne dla ludzi takich jak ja i ty nie ma chyba pokoju na tym świecie. Ktoś musi się wściec, ponieważ nic nie byłoby załatwione. Dlatego jesteśmy skazani na to, żeby być wciąż wkurwieni.

- Z tego powodu skazali mnie, żebym chodził na zajęcia terapeutyczne, kapitanie. Ale się nie wyleczyłem.

- Zajęcia terapeutyczne?

- Kontrola gniewu. Mówię zupełnie serio.

Skink ryknął śmiechem.

- Na litość boską, a co z kontrolą chciwości? Każdy w tym stanie powinien przejść taki kurs. Jeżeli nie zaliczysz, to odstawią twoją żalną dupę do granicy i wywalą z Florydy.

- Wysadziłem w powietrze bank mojego wuja - wyjaśnił Twilly.

- No to co! - zawołał Skink. - Gniew nie jest niczym hańbiącym, chłopcze. Czasami jest to jedyna zdrowa, logiczna i moralna decyzja. Jezu, nie trzeba przechodzić terapii, żeby się go pozbyć. Fundujesz sobie drinka albo kulkę. Albo stajesz do walki ze skurwysynami.

Były gubernator uniósł podbródek i zagrział:

Znacie kraj, gdzie laur chwały i cyprys żaloby

Godłem są dni obecnych i wieków minionych,

Gdzie żalobna turkawka i sęp krwawodzioby

Powtarza dzikość panów i jęk zwyciężonych?

- Aleja tu już jestem, kapitanie - powiedział cicho Twilly.

- Wiem o tym, synu. - Powoli opuścił głowę i warkoczyki jego brody obwisły niczym pasemka srebrzystego mchu. Dwa ptasie dzioby zetknęły się, kołysząc się przy jego torsie.

- Lord Byron? - zapytał Twilly.

Skink skinął głową, wyraźnie zadowolony.

- Narzeczona z Abydos.

Twilly sprawdził kciukiem zabandażowaną ranę. Ból był do wytrzymania, chociaż środki uśmierzające go przestawały już działać.

- Przypuszczam, że wie pan o łowach na grubego zwierza? - zapytał.

- Tak, drogi panie.

- Pewnie pan nie wie, gdzie to będzie.

W tym momencie Skink miał możliwość zakończyć całą sprawę. Ale nie mógł tego zrobić.

- Wiem - oznajmił i powtórzył informację Lisy June Peterson.

- A więc co pan teraz sądzi? - zapytał Twilly.

- Sądzę, że takie puszkowane polowanie jest najpodlejszą rzeczą pod słońcem.

- Nie o to mi chodziło.

- Aha. Chodziło ci o miejsce nadające się na zasadzkę?

- No cóż, wciąż myślę o Ropuszej Wyspie - przyznał Twilly - i o tym, jak powstrzymać budowę tego cholernego mostu.

Płonące oko Skinka wpatrzone było w autostradę, w przemykające obok samochody osobowe i ciężarówki.

- Popatrz na tych skurwieli - powiedział cicho, jakby do siebie. - Dokąd oni wszyscy j adą?

Twilly zsunął się z maski buicka.

- Powiem panu, dokąd ja pojedę, gubernatorze. Do Ocala. A po drodze mam zamiar zatrzymać się w zaprzyjaźnionym sklepie z bronią i nabyć dobry sztucer. Chce pan też?

- Kopnięcie odrzutu uczyni cuda z twoim ramieniem.

- Tak, wyobrażam sobie, że będzie bolało jak skurwysyn. - Twilly wyjął kluczyki spomiędzy palców Skinka. - Jeżeli nie chce pan jechać, mogę wysadzić pana w Lakę City.

- A więc tak traktujesz ludowego bohatera? Zostawiasz go w Lakę City?

- Gorąco tu. Jedźmy dalej.

- Czyja czegoś nie przeoczyłem? - zainteresował się Skink. - Czy istnieje jakiś plan?

- Jeszcze nie. - Twilly Spree oblizał wargi i zagwizdał na psa.

Durgess grzał dłonie o kubek z kawą, a w tym czasie Asa Lando tankował duży podnośnik widłowy. Do świtu pozostały jeszcze trzy godziny.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Durgess.

- Nie poruszył się od wczorajszego południa.

- Chciałeś powiedzieć, że się nie obudził.

- Nie, Durge. On się nie poruszył.

- Ale wciąż oddycha, prawda?

- Oczywiście - odparł Lando. - Mówią, że nawet zrobił kupę.

- Rzecz w tym, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Jeffy nigdzie sobie nie pójdzie.

Durgess wylał kawę na ziemię i wszedł do budynku z napisem kwarantanna numer jeden. Asa Lando wjechał podnośnikiem od tyłu. Nosorożec leżał oparty na piersiach i kolanach, w pozycji, którą

weterynarz określił jako „podparcie mostkowe”. Weterynarz ocenił również wiek zwierzęcia na ponad trzydzieści lat i użył słowa „demencja”, które Asa Lando uznał za łaciński odpowiednik „u wrót śmierci”. Czas był sprawą kluczową.

Durgess otworzył zagrodę i Asa Lando wjechał do niej podnośnikiem. Nie mogli ustalić, czy nosorożec śpi, czy nie, ale Durgess trzymał strzelbę w pogotowiu. Zbliżająca się maszyna nie wywoływała żadnych reakcji El Jefe'a. Durgessowi wydawało się, że zobaczył, jak jedno ucho drgnęło, w momencie gdy Asa ostrożnie wsunął stalowe szyny pod potężny brzuch nosorożca. Widły zaczęły się powoli unosić i z pokrytych szczecina nozdry zwierzęcia wydobyło się zmęczone, cuchnące westchnienie. Uniesiona ze sfilcowanej słomy potężna opancerzona głowa obwisała, a przypominając sznurek ogon kołysał się bezwładnie wśród roju końskich much. Krótkie nóżki wisiały nieruchomo jak cztery szare beczułki.

- Teraz ostrożnie! - zawołał Durgess, gdy Asa Lando wyprowadzał podnośnik tyłem, by go następnie skierować do ciężarówki z otwartą platformą.

Durgess był oszołomiony: zawieszony dwa i pół metra nad ziemią nosorożec zachowywał się tak spokojnie jak żółw w sklepowym terrarium. Usypiająca strzałka zapewne wprowadziłaby go w stan śpiączki.

Przygotowując ciężarówkę do transportu delikatnego ładunku, Asa Lando wyłożył platformę dwoma warstwami wielkich materacy. Gdy kładziono na nich gruboskórnego zwierza, ten mrugnął dwukrotnie (co Durgess optymistycznie uznał za oznakę zaciekawienia). Potem Asa wrzucił do samochodu naręczne świeżo ściętych gałęzi i powiedział: „Bardzo proszę, panie El Jefe. Czas na śniadanie!”.

Durgess osobiście wybrał miejsce, w którym zwierzę miało zostać upolowane - stary, omszały dąb, stojący samotnie w niebieskozielonym wgłębieniu pomiędzy dwoma rozległymi trawiastymi zboczami, w odległości mniej więcej półtora kilometra od domu myśliwskiego Dzikiej Sawanny. Sto lat temu hodowano tu cytryny i bawełnę, ale powtarzające się rokrocznie zimowe mrozy zmusiły właścicieli do przzerwyczenia się na bardziej wytrzymałą roślinność - melony, kapustę i dynie. Potem synowie i wnukowie ogrodników ostatecznie porzucili pola uprawne i sprzedali je korporacji Dzikiej Sawanna. Współposiadaczami tytułu własności do niej zostali: tokijski kartel zajmujący się handlem skorupiakami i projektant kostiumów kąpielowych z Miami, niejaki Minton Tweeze.

Znalezienie w ciemności wyznaczonego dębu zajęło Durgessowi pół godziny - prowadził ciężarówkę wolno, aby nie zgubić Asy Lando, który jechał za nim podnośnikiem. Durgess zaparkował ciężarówkę tak, by reflektory oświetlały oczyszczony krąg wokół pnia starego drzewa. Przed wyładowaniem nosorożca Durgess założył mu na szyję pętlę z grubej liny. Drugi koniec sznura umocował do haka holowniczego ciężarówki.

- Po co zwracasz sobie głowę? - zapytał Asa Lando.

- Mam pięćdziesiąt tysięcy doskonałych powodów.

Ale nosorożec nie wykonał żadnego ruchu, który świadczyłby o tym, że chce się wyrwać na wolność, prawdę mówiąc, w ogóle się nie poruszał. Gdy Asa opuścił zwierzę na ziemię, natychmiast opadło na kolana i pozostało nadal senne. Ani Durgess, ani Asa Lando nie byli w stanie zgadnąć, czy jest zadowolone z tego, że znowu znalazło się na otwartej przestrzeni. Równie dobrze mogli przedstawiać rzeźbę.

Durgess z niepokojem przyglądał się bezcennej zdobyczy Roberta Cla-pleya, oświetlonej dwoma reflektorami ciężarówki.

- Asa, on nie wygląda dobrze - powiedział.

- Starość. Dlatego umiera.

- Byle dotrwał do ranka. - Durgess przechylił naraz głowę i przyłożył poplamiony tytoniem palec do warg. - Słyszałeś szczekanie psa?

- Nie, ale słyszałem rżenie. - Asa Lando kciukiem wskazał nosorożca. - Zapalenie oskrzeli. Doktor Terrel mówi, że pewnie złapał to w samolocie.

Durgess pospiesznie zgasił cygaro.

- Chryste. Nosorożec z pieprzoną astmą.

- Pojawia się i znika, Durge. Tak samo jak artretyzm.

- Do diabła z tym. Słyszałem psa. Przysięgam.

Przyłożył dłoń do ucha i nasłuchiwał. Bez skutku. Asa Lando wzruszył ramionami.

- Mówię ci, to rzezi w piersiach Jeffy'ego. To wszystko.

Durgess ostrożnie podszedł do śpiącego nosorożca i zdjął linę z jego szyi. Wydawało mu się zbyt dużą bezwzględnością przywiązywanie tego leciwego stworzenia tak, jak robiono z innymi przyszłymi trofeami (było to konieczne wobec żalosnych umiejętności strzeleckich klientów Dzikiej Sawanny, których większość nie miała wielkiej szansy trafić w nic, co nie zostało przywiązane do palika).

Asa Lando wziął aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie nosorożca, by zamieścić je na stronie internetowej plantacji. Potem ułożył belę pszenicy przed zwierzęciem, które skwitowało ten gest solidnym niuchnięciem.

- No cóż, Durge, tak się sprawy mają. Teraz możemy już tylko posiedzieć do świtu w domku myśliwskim.

- I pomodlić się- dodał Durgess. - A co będzie, jeżeli on zdechnie, Asa? Jak sądzisz, czy upadnie na bok, czy zostanie... no wiesz...

- Wyprostowany? To dobre pytanie.

- Ponieważ jeśli nie upadnie, to znaczy, jeżeli będzie tak jakby klęczał...

Asa Lando rozpromienił się.

- Wtedy nic nie poznają.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo - przytaknął Durgess. - To cholera może być już zimnym trupem, a...

- Z pięćdziesięciu metrów jak będą mogli to poznać?

- O tym właśnie mówię, Asa. Te błazny nigdy się nie połapią. Jeśli tylko Jeffy nie przewróci się, zanim wystrzela.

Durgess podszedł bliżej w smugę białego światła i wirujących owadów. Zerknął z powątpiewaniem na nieruchomego nosorożca.

- Jesteś jeszcze z nami, staruszk?

- Jest - zapewnił Asa. - Chyba że to ty zrobisz tę kałużę sików.

Grupa myśliwych przybyła poprzedniego wieczoru i wbrew porodom Durgessa balowała do późna przy obfitych deserach, koniaku i kubańskich cygarach. Gubernator nieczęsto miał okazję się relaksować bez obawy, że trafi na kolumnę jakiegoś wścibskiego czasopisma. Zazwyczaj bardzo się starał, by nie widziano go w sytuacjach, które mogłyby świadczyć o tym, że pozostaje w zażyłych stosunkach z lobbystami, takimi jak Palmer Stoat, czy podejrzanymi sponsorami swej kampanii wyborczej, takimi jak Robert Clapley. Po przyjeździe do Dzikiej Sawanny Dick Artemus był wyraźnie przygaszony, jakby nieobecny duchem, niedawny incydent we własnej rezydencji pogłębił dodatkowo jego ostrożność.

Jednakże w miarę upływu czasu zaczął się czuć coraz swobodniej w chronionej bramami prywatności plantacji Dzika Sawanna - siedząc w popękany skórzany fotelu przy przytulnym kamiennym kominku, popijał świetną whisky i przerzucał się sprośnymi anegdotami. Tak właśnie musiało być w starych dobrych czasach, myślał smętnie gubernator, gdy najważniejsze sprawy stanu rozpatrywało się i załatwiano z dala od sterylnych, nudnych pomieszczeń Kapitolu - gdy uzgodnienia te przekształcali w prawo ludzie obdarzeni sportowym duchem, przy rozgrywanych w barach w kłębach dymu partiach pokera, w obozach wędkarskich i domkach myśliwskich; niewymuszona sceneria, która zachęcała do prostego języka i stosowania nieskrępowanych zasad handlowych, wolna od wścibstwa nadgorliwych dziennikarzy i nieświadomego społeczeństwa.

Willie Vasquez-Washington nie czuł się jednak równie swobodnie wśród orzechowych szafek na broń i wypchanych głów zwierzęcych, które nie mrugnawszy powieką, patrzyły na niego z wysoka ze ścian. Podobnie jak gubernator Willie Vasquez-Washington miał wrażenie, jakby znalazł się w dawnych czasach - kiedy to osoba o jego kolorze skóry nie byłaby mile widziana na plantacji Dzika Sawanna, chyba że nosiłaby szkarłatną kurtkę i kamizelkę i podawała tace z ostrygami Apalachicola (tak jak robił to właśnie zręczny Ramon). Nie zachwycalo też szczególnie Williego towarzystwo w domku myśliwskim. Nie uległ jeszcze słynnemu czarowi Dicka Artemusa, a Palmer Stoat był, no cóż, Palmerem Stoatem - układnym, przyjemnie przewidywalnym i równie interesującym, jak zimna chrząstka. Nie wywarł na nim korzystnego wrażenia również Robert Clapley, zawadiacki młody developer Wyspy Burzyków, który przywitał go podejrzanie silnym uściskiem dłoni i mruknięciem: „A więc to pan jest tym facetem, który próbuje wypieprzyć mnie z nowego mostu”.

Willie Vasquez-Washington gorąco pragnął, aby udało się dokonać politycznych uzgodnień już teraz przy obiedzie i drinkach, co oznaczałoby, że zostanie mu oszczędzone zaplanowane na następny dzień polowanie na nosorożca. Na wpół pijani biali mężczyźni z doskonałą bronią palną nastrajali go wyjątkowo nerwowo. I chociaż Willie Vasquez-Washington nie był miłośnikiem przyrody w żadnym znaczeniu tych słów, nie miał szczególnej ochoty patrzeć, jak jakieś biedne zwierzę zostaje zastrzelone przez takich facetów jak Clapley.

Dlatego też kilkakrotnie przy różnych okazjach próbował odciągnąć gubernatora na bok, aby przedstawić prostą propozycję. Nowe liceum w zamian za tak przy głosowaniu nad finansowaniem mostu na Ropuszą Wyspę. Jednakże Dicka Artemusa opanował już szampański nastrój zabawy przed polowaniem i nie miał ochoty odejść od kominka. Palmer Stoat nie okazał się pomocnym pośrednikiem. Za każdym razem gdy Willie Vasquez-Washington zbliżał się do niego, wielki lobbysta miał usta tak wypełnione jedzeniem, że wszelkie jego odpowiedzi były zupełnie niezrozumiałe. W łagodnym świetle padającym z kominka spoczone i obrzmiałe oblicze Stoata przypominało ogromną białą najeżkę. Jego dalekie od ideału manieri demonstrowane przy stole po trzeźwemu rozpadały się wyraźnie pod wpływem remy martin i pieczonych żeberek. Bryzgi wydobywające się z ust Stoata stanowiły nie tylko obrzydliwy widok, ale również (jak podejrzewał Willie Vasquez-Washington) zagrożenie dla zdrowia.

Rozsądnym wyjściem było cofnięcie się na bezpieczną odległość, poza ich zasięg.

O pierwszej w nocy Willie Vasquez-Washington miał dość. Poszedł na piętro do łóżka, w chwili gdy pijani Stoat i Clapley zaintonowali piosenkę:

Nie możesz zawsze mieć tego, co chcesz,

O nie, nie możesz zawsze mieć tego, co chcesz.

Zatrzymali się w sklepie z flagą Konfederacji przybitą do drzwi, przy szosie stanowej 301 pomiędzy Starcę a Waldo. Twilly Spree nabył reming-tona 30,06 z celownikiem optycznym oraz pudełko pocisków. Clinton Tyree dostał nocną lornetę Zeissa i używanego wojskowego colta 0,45 do użytku na niewielkie odległości. Gotówkowy „datek” w wysokości pięciuset dolarów na rzecz Klubu Łosia wyraźnie przyspieszył prace papierkowe i skłonił urzędnika, który stał się w jednej chwili niezwykle przyjacielski, do machnięcia ręką na krótki okres kwalifikacyjny zazwyczaj wymagany w stanie Floryda przy zakupie broni palnej.

Skink i Twilly zatrzymali się w mieście McIntosh, dwadzieścia siedem kilometrów przed Ocala, aby kupić jedzenie dla psa, ubrania maskujące i inne zapasy. W czasie obiadu wstydliva, niezgrabna kelnerka o imieniu Beverly na ich oczach rozkwitła nagle, przekształcając się w smukłą, południową wersję Rosie O'Donnell. Przemianę tę znacznie przyspieszył studolarowy napiwek i drobny upominek -jedyna w swoim rodzaju kamizelka ze skórek Chihuahua, którą Skink natychmiast dobrodusznie zdjął z siebie i jej ofiarował. Beverly przysunęła sobie krzesło i podzieliła się z nimi licznymi, skandalizującymi anegdotkami o tym, co dzieje się na plantacji Dzika Sawanna, a co ważniejsze, wyjaśniła im precyzyjnie, jak tam trafić. Nim zapadł zmierzch, Twilly i Skink obozowali już wygodnie na pomocnym krańcu posiadłości, pokonawszy trzymetrowe ogrodzenie z drutu kolczastego za pomocą szczypców przegubowych do cięcia prętów. Były gubernator przygotował miejsce na ognisko pod osłoną palmowego lasku, a Twilly zabrał McGuinna, by wspólnie przeprowadzić rozpoznanie rejonu. Pies zachowywał się na smyczy niczym tańczący derwisz i ciągnął tak mocno w tak wielu różnych kierunkach, że niemal wyrwał ze stawu bardzo wrażliwe prawe ramię Twilly'ego. Gdy wrócili do obozowiska, Skink przygotowywał już nad ogniem obiad - dla Twilly'ego kawałek schabu i dwa pieczone kartofle, a dla siebie duszonego królika, ogon aligatora i smażonego węża - wodnego mokasyna. Wszystkie świeżo zabite zwierzęta zostały zebrane z trzykilometrowego odcinka szosy na południe od Micanopy.

- Żadnego śladu wojowników? - zapytał Skink.

- Żadnego, ale ze wzgórza mogłem dostrzec światła głównego budynku. Przypuszczam, że znajduje się jakiś kilometr stąd. - Twilly owinał smycz McGuinna wokół kostki i usiadł z dzbankiem wody w ręku przy ognisku. Pies oparł łeb na wyciągniętych łapach i pożądlawie wpatrywał się w skwierczące mięso.

- Wciąż nie masz koncepcji? - zapytał Skink.

- Prawdę mówiąc, po prostu powinniśmy wystrzelać skurwieli.

- To twoja broszka, synu.

- A może coś by mi pan podpowiedział? - Twilly chciał, żeby kapitan zapewnił go, że poza popełnieniem morderstwa nie ma innego sposobu ocalenia Ropuszej Wyspy.

Zamiast tego Skink rzekł:

- Próbowałem wszystkiego innego i zobacz, co osiągnąłem.

- Po prostu jest pan zmęczony.

- Nie domyślasz się nawet w połowie jak.

Jedli w niespokojnym milczeniu, a noc opadała na nich jak wilgotny szary całun. Nawet McGuinn przysunął się bliżej do ognia. Twilly myślał

O Desie - tęsknił za nią, ale był zadowolony, że jej tu nie ma.

- Proponuję, żebyśmy się przespali - oznajmił Skink, gryząc ostatnie dzwonko węża.

Twilly pokręcił głową.

- Nie będę spał tej nocy.

- Przypuszczam, że zawsze możemy ich porwać.

- Tak.

- Złożyć polityczne oświadczenie.

- O tak. Na to właśnie czeka świat - powiedział Twilly.

- A poza tym z zakładnikami jest dużo roboty. Trzeba ich karmić, wyprowadzać do kibla, prać ich brudne gacie, żeby nie zasmrodzili samochodu. I słuchać ich cholernego skomlenia, słodki Jezu! - Skink roześmiał się pogardliwie.

- Z drugiej strony - powiedział Twilly -jeżeli ich zabijemy, będzie nas ścigało całe FBI. Nie jest to radosna perspektywa.

Były gubernator wyjął szklane oko i rzucił je Twilly'emu, który przez chwilę trzymał je przed ogniem.

Przedmiot ten wyglądał surrealistycznie i obco, jak rozżarzone, czerwone słońce.

- Lepsze od zwykłej, starej opaski - zauważył Skink, wycierając pusty oczodół.

Twilly podał mu sztuczne oko.

- Jak pan myśli, na co będą jutro polowali?

- Na coś dużego i powolnego.

- A kiedy będzie już po wszystkim, zbiorą się wokół kominka, wypiją toast za martwe zwierzę i przejdą do interesów. Zawrą swoją drańską umowę i podadzą sobie ręce. A ta cudowna mała wysepka w zatoce będzie na zawsze spieprzona.

- Tak się zazwyczaj dzieje.

- Nie mogę się na to zgodzić, kapitanie.

Skink ściągnął buty i ustawił je obok futerału z lornetką. W kieszeni kurtki przeciwdeszczowej znalazł skręta i włożył go do ust. Przysunął twarz do płomieni tak blisko, że koniuszek samodiałka zaczął się żarzyć.

- Synu, ja też, nadal - powiedział. - I nigdy nie będę mógł. Chcesz sztacha?

Twilly grzecznie odmówił.

- Czy kiedyś lizaleś ropuchy, żeby być na haju? - zapytał Skink.

- Nie.

- To tego nie rób.

- Powiniem pana ostrzec - rzekł Twilly. - Nie jestem zbyt dobrym strzelcem.

- Może nie będziesz musiał strzelać. - Skink zaciągnął się głęboko. - Głupolom może się zdarzyć w lesie wiele paskudnych rzeczy.

- Mimo wszystko plan by się przydał.

- Oczywiście, synu.

Twilly położył się, McGuinn zastąpił mu poduszkę. Rytmiczny ruch unoszącej się i opadającej psiej piersi działał kojąco. Skink zalał wodą ogień i zapach dymu drzewnego zmieszał się z wonią marihuany.

- Która godzina, gubernatorze?

- Późna. Odpocznij, coś wymyślimy. Będą mieli więcej broni niż my.

- To święta prawda.

Labrador poruszył się lekko pod głową Twilly'ego, Twilly podrapał go pod brodą. Jedna z tylnych łap McGuinna zaczęła drgać spazmatycznie.

- Trzeba również o nim pomyśleć.

- Nie musimy go ze sobą brać - rzekł kapitan. - Możemy przywiązać go do drzewa w jakimś bezpiecznym miejscu.

- A co będzie, jeżeli nie uda się nam wrócić?

Kapitan zrobił głęboki wydech.

- Słuszna uwaga - powiedział.

Twilly zasnął i miał kolejny sen. Tym razem śniło mu się, że spada. Miał w piersi dziurę po pocisku i spadając, ciągnął za sobą poskręcaną smugę krwi. Daleko pod nim widniały zielone fale i długa biała plaża, a na niebie wokół niego znajdowały się morskie ptaki, które spadały z taką samą prędkością-pozbawione życia bryłki z połamanymi piórami i powykręcanymi dziobami. Gdzieś w górze rozlegał się słaby, zanikający warkot śmigłowca. W swoim śnie Twilly szaleńczo usiłował schwycić spadające mewy, aż wreszcie udało mu się złapać jedną z nich. Przyciskając ptaka do piersi, w prawym karkociągu mknął w stronę plaży. Uderzył mocno plecami w piasek i na chwilę stracił przytomność. Gdy się ocknął, spojrzał w dół i zobaczył, że mewa ożyła i odleciała, wydostawszy się z jego rąk. Było ciemno. Stał nad nim z lornetką zawieszoną na szyi Clinton Tyree. Trzymał na rękach McGuinna, który miał wyraźnie zawstydzoną minę i przypominał grubego płaszcz na watinie. Twilly uniósł głowę.

- Co się stało?

- Platforma i podnośnik. Nie uwierzysz.

Skink rozpałił ponownie ogień i zrobił kawę. Bez słowa nałożyli maskujące kombinezony, a następnie rozdzielili broń oraz amunicję. Twilly zdjął psu obrożę, żeby nie brzęczała.

- Hej, kapitanie, mam coś dla pana. Nie plan, ale wiersz.

- Fajnie.

- Powiniem być parą nierównych pazurów - rzekł Twilly. - Przemykającą po dnie milczących mórz.

Były gubernator Florydy klasnął z zachwytem.

- Jeszcze! - zawołał. - Jeszcze, jeszcze, jeszcze! - Jego śmiech dudnił jak grad wśród wysokich drzew i krzewów.

Durgess obudził wszystkich godzinę przed świtem. Nikt z myśliwych nie miał ochoty na solidne śniadanie i cała czwórka zebrała się w ciszy wokół stołu przy kawie, aspirynie, imodium, a w przypadku Roberta Clapleya dwóch Krwawych Mary. Wille Vasquez-Washington słusznie przewidział, że khaki będzie najmodniejszym kolorem tego dnia. Zastanawiał się, czy Clapley, Stoat i gubernator Dick nabyli swoje niemal identyczne stroje łowców grubego zwierza na wyprzedaży (absurdalny kowbojski kapelus z Stoata nieco go wyróżniał).

Przy stole panował przygaszony nastrój - padło tylko kilka kulawych, skacowanych dowcipów i wymuszonych pytań o pogodę. Durgess usiadł, aby wyjaśnić, w jaki sposób ma przebiegać polowanie. Ponieważ nosorożec był zwierzyną Clapleya, Durgess wraz z nim wejdą w zarośla pierwsi. Asa Lando znajdować się będzie mniej więcej dwadzieścia metrów z tyłu w towarzystwie gubernatora, Palmera Stoata i Williego Vasqueza-Washingtona. Dziesięć metrów za nimi zajmą pozycje dwaj etatowi ochroniarze gubernatora.

Następnym tematem rozmowy była broń. Robert Clapley oświadczył, że przybył uzbrojony w weatherby 0,400, „Testarrosę broni myśliwskiej”.

- To wszystko, czego nam potrzeba - powiedział Durgess, myśląc jednocześnie: Zapewne wystarczyłyby proca i kamień.

Aby nie dać się zakasować, Stoat oznajmił, że przywiózł swojego Winchestera 0,458 Magnum.

- To również mój wybór - wtrącił Dick Artemus, który nigdy nie polował na nic większego i groźniejszego od cietrzewia. Gubernator nie wystrzelił jeszcze ani razu z winchestera, którego otrzymał jako łapówkę, kiedy działał w radzie miejskiej w Jacksonville.

Wszelki sprzeciw był beznadziejny, ale Durgess uważał, że wyrażenie go jest jego obowiązkiem.

- Sztucer pana Clapleya wystarczy. Gdyby zwierzę sprawiało jakieś kłopoty, będę uzbrojony, Asa również. Podobnie ludzie gubernatora. - Ochroniarze z FDLE mieli lekkie półautomatyczne karabinki szturmowe Ruger.

- Ma rację - zauważył Clapley. Nie chciał, aby ktokolwiek strzelał do jego okazowego nosorożca.

- Chwileczkę - powiedział Palmer Stoat do Durgessa. - Mówiłeś, że to zabójca, prawda? Samotnik.

.- Tak, proszę pana.

- A w takim razie - proszę nie traktować tego jako brak szacunku dla ciebie, Bobby, czy też dla ludzi gubernatora - mam zamiar sam zadbać o swoje bezpieczeństwo. Biorę swoją broń.

- Ja też - oznajmił gubernator. - Im więcej, tym weselej.

Durgess poddał się bez dalszych komentarzy. Z tymi dupkami z wielkich miast zawsze była taka sama historia, zawsze ten konkurs na długość fiuta. Skoro jeden facet bierze broń, wszyscy uważają, że muszą mieć ją również.

- Pan też jest zwolennikiem winchestera? - zwrócił się do Williego Vasqueza-Washingtona.

- Nikkormata. Strzelam tylko fotki.

- Świetna sprawa. - Kiedyś Durgess odrzucił propozycję pracy przewodnika fotograficznych safari na grubego zwierza w Afryce Południowej, ponieważ słyszał, że myśliwi dają lepsze napiwki niż fotografowie. Niekiedy, zwłaszcza rankami takimi jak ten, żałował, że nie skorzystał z okazji.

- Jedną rzecz chciałbym ustalić z góry - oznajmił Robert Clapley. - Chodzi o róg - biorę go dzisiaj ze sobą do domu. Dzisiaj.

Jasne, twardzielu, pomyślał Durgess. Gdy tylko zobaczę szmalec. W przeciwnym razie pan Yee już czeka z gotówką w zębach.

- Róg? Co, u licha, masz pan zamiar z nim zrobić? - zapytał Willie Vasquez-Washington.

Palmer Stoat wyjaśnił, że róg nosorożca mieli się na nielegalny proszek, który sprzedawany jest jako afrodyzjak.

- Nie dodał grafitu ołoweczkowi Boba - oznajmił - ale jego dwie blond laseczki dostały zajoba na punkcie tego towaru.

Willie Vasquez-Washington chrząknął ze zdziwieniem.

- Były takie mokre, że Bob musiał odczepiać je szpachelką od prześcieradeł - Stoat mrugnął łobuzersko do Clapleya, który zrobił się czerwony jak jego pomidorowy koktajl.

Dick Artemus dziarsko podniósł znad filiżanki z kawą oczy, wciąż podkrążone po ubiegłej nocy.

- Słyszałem o tym proszku od kumpla, który pracuje w centrali Toyoty. Mówi, że te rogi są bardzo drogie, a poza tym trzeba po nie jechać aż do Hongkongu albo Bangkoku. Podobno wystarczy nasypać je do sake i ma się go sztywnego dłużej niż trwa sezon hokejowy.

- Niekiedy tak, ale nie Bob - zachichotał Palmer Stoat.

Willie Vasquez-Washington nie mógł uwierzyć własnym uszom - Clapley był najwyraźniej bardziej podniecony zdobyciem seksualnego proszku niż łowami na groźnego afrykańskiego nosorożca. Biali faceci są rzeczywiście żalosni, a najbardziej wtedy, gdy zaczynają martwić się o swoje fiuty.

- Palmer nie akceptuje moich dwóch dam, chociaż podejrzewam, że przez zazdrość. To prawda, mają dość egzotyczne upodobania - ale również odpowiednie talenty - powiedział Robert Clapley.

Wszyscy roześmiali się z uznaniem.

- Przynieś więc piłkę do rogu - zdecydowanym głosem polecił Clapley Durgessowi.

- Tak jest, proszę pana.

- Wiecie, co podobno jest dobre na sztywnego? Bycze jaja - uraczył obecnych informacją gubernator.

-Nazywajaje ostrygami z Gór Skalistych. Możecie sobie wyobrazić konsumpcję byczych jaj z rusztu.

Durgess wstał niezgrabnie, jakby był zakuty w żelazo.

- Lepiej już ruszajmy - powiedział do zebranych. - Pójdę po Ase. Spotkamy się przed domem.
- Z bronią - dodał Palmer Stoat.
- Tak jest, proszę pana. Z bronią- przytaknął Durgess tonem ponurej rezygnacji.

Znaleźli wzgórze, z którego rozpościerał się swobodny widok na stojący u zbiegu dwóch zboczy potężny, obrosły mchem dąb. Obaj mężczyźni położyli się w wysokiej trawie i osłonięci nią czekali na myśliwych. Twilly ustawiał celownik remingtona, Skink natomiast obserwował okolicę przez lornetkę. McGuinn siedział niespokojny pomiędzy nimi, wężąc w przesyconym poranną mgłą powietrzu. Koniec jego smyczy był owinięty wokół przypominającego trzonek siekiery przegubu Skinka.

- Czy on żyje? - zapytał Twilly, spoglądając przez celownik sztucera.
- Trudno powiedzieć - odparł Skink.

Rozmawiali o czarnym nosorożcu.

- On je - powiedział Skink, który potrzebował tylko połowy lornetki. - Zobacz sam.

Twilly przesunął nitki celownika i zobaczył dwa obłoczki pary unoszące się z pyska ozdobionego potężnym rogami. Chwytna górna warga gmerała niemrawo po beli siana.

- Wygląda, jakby miał tysiąc lat - orzekł Twilly

- Jeżeli chcemy coś zrobić, cokolwiek to będzie - oznajmił posępnie Skink - musi się to stać, zanim zastrzeli tego biednego skurwysyna. Nie mam ochoty na to patrzeć, rozumiesz?

McGuinn przesunął się sprytnie po zboczu, ale Skink przyciągnął go z powrotem za tyłek.

- Jada, kapitanie! - wskazał Twilly lufą sztucera.

Grupa myśliwych przybyła w pasiastej jak zebra chevy suburban i zatrzymała się nie dalej niż dwieście metrów od samotnego dębu. Składała się z ośmiu mężczyzn, którzy wcale nie starali się kryć. Wielki El Jefe przeżuwał spokojnie pod drzewem, nie zwracając uwagi na trzaskające drzwi, szczerkanie przesuwanych zamków karabinów i donośne męskie głosy.

Na chwilę zatrzymali się przed ciężarówką i odbyli krótką naradę - Skink dostrzegł pomarańczowy płomień zapalniczki - po czym zaczęły się już prawdziwe podchody. Dwaj uzbrojeni mężczyźni wysunęli się na czoło. Twilly nie znał żadnego z nich, ale wiedział, że jednym z nich jest Robert Clapley.

W drugiej grupie szło czterech mężczyzn. Twilly nie potrzebował optycznego celownika, żeby rozpoznać męża Desie. Zapamiętał jego zbyt wielki kowbojski kapelusz już pierwszego dnia, w którym prześladował obrzydliwego śmieciucha na Florida Turnpike. Innym charakterystycznym znakiem było cygaro. Z wiatrem czy pod wiatr, tylko palant typu Stoata mógł palić w czasie tropienia grubego zwierza.

- Masz tu swojego chłopaka - powiedział Skink. Zapamiętał krągłą postać Stoata z owej nocy, kiedy włamał się do domu lobbyisty i bezprawnie skorzystał z jego toalety. Widząc go teraz znowu, uczestniczącego w czymś tak niewybaczalnym, Skink był w jeszcze mniejszym stopniu skłonny do litości. Twilly Spree opowiedział mu, w jaki sposób zaczęło się to szaleństwo -jak Stoat bezczelnie wyrzucał opakowania po hamburgerach przez okno swojego range rovera. Były gubernator doskonale rozumiał furiacką reakcję Twilly'ego, ponieważ tak oburzającego zachowania nie można było tolerować. Zdaniem Skinka, które jednak zachował dla siebie, Twilly wykazał niezwykłą powściągliwość.

W tej samej grupie myśliwych co Palmer Stoat szedł gubernator, który wyglądał niezwykle bojowo w swoim australijskim kapeluszu. Dick Arte-mus niósł sztucer w sposób sugerujący, że miał w życiu do czynienia ze wszystkim poza strzelaniem. Trzeci mężczyzna, szczuplejszy, ciemnoskóry, trzymał aparat z długim obiektywem, ale nie miał broni. Czwarty członek grupy szedł na jej czele z bronią gotową do strzału - ubrany raczej jak mechanik niż myśliwy sprawiał wrażenie żyłastego i był wyraźnie starszy od pozostałych.

Dwaj ostatni uczestnicy tego pstrokatego safari trzymali się kilkanaście kroków z tyłu i mieli krótsze karabinki - półautomatyczne, posępnie poinformował Twilly'ego Skink. Obaj mężczyźni mieli na sobie dżinsy, lekkie buty i granatowe kurtki z literami FDLE na plecach.

- Ochroniarze gubernatora Dicka - oznajmił Skink - z mini-14, jeżeli się nie mylę.

Twilly'emu nie podobał się stosunek sił. Słońce wstawało za wzgórzem, co oznaczało, że on i kapitan będą mieli pewną osłonę przed żarem. Ale mimo wszystko...

Skink trącił go lekko.

- Daj znać, synu. Nie robię się coraz młodszy.

Jak rozczłonkowana stonoga grupa myśliwych maszerowała ostrożnie wzdłuż rozpadliny u podstawy trawiastych stoków. Podeszedłszy bliżej do swojej ofiary, dwaj idący przodem mężczyźni zmienili sposób poruszania się, zaczęli się skradać, przystając co kilka kroków i przykucając na trawie. Ten, który idzie pierwszy, to pewnie przewodnik, wywnioskował Twilly. Natomiast facet ubrany jak model Eddiego Bauera to zapewne Robert Clapley.

Oglądane z daleka podchody sprawiały wrażenie komicznej parodii prawdziwego polowania. Za każdym razem, gdy prowadząca dwójka zatrzymywała się i kuciała, ludzie idący z tyłu robili dokładnie to samo. Niska trawa nie dawała myśliwym żadnej ochrony ani osłony, ale i jedno, i drugie było zbyteczne.

Nosorożec zabójca ze stoickim spokojem przeżuwał dalej.

- Gdybyś miał załatwić jednego z nich, którego byś wybrał - gubernatora Bezjajecznego? - zapytał Twilly Skinka.

- Szkoda amunicji. Mają linię produkcyjną do wypuszczania dupków takich jak on. Nawet by nie zauważyli.

- W takim razie Stoata?

- Może, ale tylko dla przyjemności. W Tallahassee jest więcej lobbystów niż termitów - odparł Skink.

- W takim razie pozostaje jedynie pan Clapley. - Twilly przyklnął jedno oko i zamknął developera dokładnie pomiędzy nitkami celownika. Twarz Clapleya sprawiała wrażenie zastygłej w drapieźnym skupieniu. Twilly ostrożnie położył palec wskazujący na spuście remingtona.

- To jego projekt - powiedział Skink. - Jego cholerny most. To on wynajął bandziora, który próbował cię zabić.

Twilly zrobił wolny wydech, by rozluźnić prawe ramię. Przewodnik i Cla-pley zbliżyli się na odległość trzydziestu metrów do nosorożca.

- Z drugiej jednak strony - mówił dalej Skink - byłoby o wiele pożyteczniejszą rzeczą po prostu porwać skurwiela i zabrać na jakieś trzy-cztery miesiące na Everglades. We dwójkę reedukowalibyśmy drania nad Shark River.

Twilly odwrócił głowę:

- Kapitanie!

- Mogłoby być zabawnie. Dla młodego Boba Clapleya byłoby to czymś w rodzaju licealnej wycieczki albo obozu wakacyjnego! - myślał na głos Skink. - Wypuścilibyśmy do domu nowego człowieka - oczywiście po tym, jak banki cofnęłyby mu kredyty budowlane...

- Kapitanie!

- To twoja decyzja, synu.

- Wiem o tym. Ale gdzie jest ten cholerny pies?

- Pies? - Skink zerwał się i rozejrzał z niepokojem wokoło. - O Jezu!

Tyle zniewalających zapachów!

McGuinn delektował się porankiem na wsi. Wschód słońca, szczyt zielonego wzgórza, gdzie wszystko - liście, skały, żdźbła trawy, sama rosa -przesycone były dziwnymi, uderzającymi do głowy woniami. Wielkie zwierzęta, wywnioskował McGuinn z potężnego, piżmowego aromatu - giganty. Jakże one mogą być? I co to za miejsce?

Chociaż większość zapachów, które docierały na wzgórze, była zbyt słaba, by zasługiwać na coś więcej niż tylko pobieżne pociągnięcie nosem lub wyznaczający granice terytorium krótki sik, jedna konkretna woń snuła się ciepła i świeża, przenikając ostro przez leciutką mgiełkę. McGuinn ogromnie pragnął się uwolnić i zbadać jej źródło.

Nie był to zapach domowego kota ani innego psa. Z całą pewnością nie pochodził też od kaczki czy mewy. Nie wchodziły również absolutnie w grę królik, szop, sarna, skunks, szczur piżmowy, mysz, ropucha, żółw czy wąż. Ten ciężki, nowy zwierzęcy odór nie przypominał żadnego spośród tych, z jakimi McGuinn się zetknął do tej pory. Sprawiał, że sierść psu się jeżyła, nos drgał. Owa woń tak wyraźnie przesyciła powietrze, że musiało ją wydzielać stworzenie o ogromnych rozmiarach. McGuinn strasznie pragnął pogonić za tym pierwotnym potworem i sprawić mu okrutne lanie... albo przynajmniej podręczyć go przez jakiś czas, zanim nie znajdzie nic ciekawszego do roboty.

W oddali zatrzymał się pojazd, wysiadła z niego nowa grupa ludzi i wkrótce McGuinn wyczuł nowe zapachy - spaliny, filtr przeciwsłoneczny, płyn po goleniu, dym cygar i oliwę do smarowania broni. Ale to właśnie woń nieznanej bestii wabiła go nieodparcie. Pies rozejrzał się wokoło i spostrzegł, że nikt się nim w tym momencie nie interesuje. Młody człowiek, przyjaciel Desie, był zajęty celowaniem gdzieś w dół ze sztucera. Co innego również przykuło uwagę jego towarzysza podróży, człowieka o owłosionej twarzy, który był nasycony raz na zawsze, nieodwołalnie zapachem spalonego drzewa i martwego oposa i którego przegub otaczała luźną pętlą ta przekłeta smycz.

McGuinn w niezauważalny sposób uniósł zad z trawy, odpełził kilka centymetrów do tyłu i usiadł znowu. Żaden z mężczyzn nie spojrział nawet w jego stronę. Więc McGuinn zrobił to znowu, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż w końcu smycz utraciła cały luz. Teraz pozostało już tylko napiąć mięśnie i zastosować Rzut - wykonywany szaleńczo, na złamanie karku manewr ucieczki, dobrze znany wszystkim właścicielom labradorów. McGuinn stosował Rzut, osiągając wspaniałe rezultaty, podczas wielu wieczornych spacerów - Palmer Stoat albo Desie pozostawali daleko w tyle, łapiąc powietrze pustymi rękami, podczas gdy on mknął jak burza, by rozprawić się z bezczelnym syjamskim kotem albo odświeżyć się w New River. Pies zdawał sobie sprawę, że jest niezwykle szybki i żaden człowiek nie jest w stanie doścignąć go na własnych nogach.

Gdy tylko uda mu się uwolnić.

Tym razem udało się to tak łatwo, że poczuł niemal zawód. McGuinn skoczył do przodu i smycz po

prostu tak gładko wysunęła się z ręki mężczyzny z owłosioną twarzą, że nawet tego nie poczuł. A chwilę potem pies już zwiwał - nie zauważony i nie ścigany. Pędził w dół długim zboczem - z powiewającymi uszami, wywalonym ozorem, aksamitnym nosem przy trawie - coraz szybciej i szybciej, aż stał się czarną smugą, która przemknęła nagle koło oszołomionych myśliwych. Usłyszał gwar podnieconych głosów, potem znajomy, ostry rozkaz: „Boodle, nie!”, który ze złośliwą radością zignorował. Gnał dalej przed siebie, smycz objęła mu się o tylne nogi, a potężna, obca woń prowadziła go, jak wędkarz prowadzi tkwiącą na haku barrakudę. Na wprost niego majaczyło pokrzywione, obrosłe mchem drzewo, a pod nim stało wielkie rogate stworzenie. Było tak ogromne i nieruchome, że McGuinn pomyślał początkowo, że jest z kamienia.

Ale nie, wystarczyło powąchać! Pikantna mieszanka oparów trawiennych, kwaśny odór ciała i parującego nawozu. Z tryumfalnym wyciem pies runął w tę stronę. Zatoczył koło najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a potem z warkotem przypadł do ziemi za pokrytym pancernymi płytami cielskim zwierzęciem. McGuinn oczekiwał, że bestia odwróci się i zacznie się bronić, ale majestatyczny zad pozostał nieruchomy. Po chwili ostrożnie, centymetr po centymetrze, obszedł stworzenie dookoła i ustawił się przed wydłużonym pyskiem, gdzie rozpoczął serię udawanych ataków czołowych z prawej i lewej strony, które miały pozorować zdecydowaną szarżę. Ale stworzenie nie cofnęło się, nie odskoczyło i nie rzuciło się na swojego dręczyciela w odpowiedzi na tę dobrze wyreżyserowaną choreograficzną histerię. W ogóle się nie poruszyło i tylko patrzyło na psa przez szczeliny pomarszczonych, pokrytych komarami powiek.

McGuinn był zdumiony. Nawet najbardziej leniwa, najgłupsza dojna krowa już by się spłoszyła! Pies cofnął się, by odsapnąć trochę i rozpatrzeć możliwości (które z uwagi na ograniczone zdolności intelektualne labrado-rów były raczej skromne i nieliczne). Z pyska spływała mu stróżka perłowej śliny, ale ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że potwór spokojnie zajął się znowu skubaniem swojej beli z pożywieniem. Niewiarygodne!

Potem usłyszał zbliżające się miarowe kroki, a w chwilę później natarczywe ludzkie szepty. McGuinn wiedział, co to oznacza. Nie będzie już zabawy. Wkrótce ktoś schwyci jego smycz i zaciśnie kolczatkę na szyi. Czas uciekał. Pies postanowił spróbować jeszcze po raz ostatni. Zawarczał, położył uszy i zaczął podkradać się jak wilk. Znowu zaczął okrążać nieruchawego potwora, który (jak spostrzegł McGuinn) przestał przeżuwać, namoknięte łodygi sterczały z jego paszczy niczym bokobrody. Teraz jednak pies skupił uwagę na zadzie swojej ofiary, na zwisającym kusząco niewielkim sznureczku ogona. Skok, błysk kłów i McGuinn już go trzymał!

Zwierzę natychmiast eksplodowało, obracając się z tak piekielną siłą, że pies został odrzucony na bok i wyrzucił mocno o pień potężnego starego dębu. Zerwał się natychmiast i otrząsnął energicznie od głowy po ogon. Z mieszanymi uczuciami zaskoczenia i zachwytu patrzył, jak potwór ucieka - i to cholernie szybko!

Wiedziony odwiecznym instynktem, ale również czystym pragnieniem radości, McGuinn rzucił się w namiętny pościg. Czy los może ofiarować w wiosenny poranek coś wspanialszego niż taki bieg? Pędzisz swobodnie przez chłodne, zielone łąki, skubiąc parę uciekających pośladków, podczas gdy ci powolni ludzie coś tam bezradnie jazgoczą, protestując!

Każdy pies marzy o takiej przygodzie.

Widokiem czarnego labradora szarżującego przez linię ognia najbardziej wstrząśnięty był Palmer Stoat, ponieważ ten labrador wyglądał jak jego pies - Jezu Chryste, to przecież BYŁ jego pies! - który zniknął z jego życia na tyle dni, a teraz musiał się pojawić w najgorszym momencie i w najbardziej nieodpowiednim miejscu. Stoata ogarnęła nagła, prawdziwa rozpacz, wiedział bowiem, że pies nie biegnie ze wzgórza po to, by go powitać, lecz po to, by spłoszyć bezcennego nosorożca Roberta Clapleya, udaremnić polowanie i tym samym zapewne storpedować (po raz kolejny!) umowę w sprawie Wyspy Burzyków.

To była jakaś klątwa.

- Boodle, nie! - krzyknął Stoat, machając cygarem. - Niedobry pies!

Kilka metrów dalej stał Robert Clapley, którego zasmucona mina zdradzała wszystko - chciał zastrzelić psa, ale Durgess mu nie pozwalał. Przewodnik dawał teraz im wszystkim znak, żeby się zatrzymali.

- Stajemy - Asa Lando posłusznie polecił grupie Stoata.

Dick Artemus pochylił się i szepnął: „Palmer, czy to twój zwariowany pies?”. Willie Vasquez-Washington zachichotał i zaczął robić zdjęcia. Oniemiali z wrażenia przewodnicy i myśliwi patrzyli z podziwem, jak labrador okrąża i drażni nosorożca. Nawet Asa Lando uznał tę scenę za nieodparcie zabawną. Ten pies to był rzeczywiście dobry numer!

Palmer Stoat zerknął nerwowo w stronę Clapleya, pogrążonego w ożywionej dyskusji z Durgessem. Ze wszystkich obecnych tylko on sam znał szczególną obsesję Clapleya. Wiedział z całą pewnością, że w kieszeni jego kamizelki z amunicją ukryte są lalki, a zapewne również miniaturowa szczotka do włosów z perełką w rękojeści. Tylko Stoat wiedział o erotycznym zasadniczym elemencie motywacji Clapleya

(nie mającym nic wspólnego ze sportem) i zdawał sobie sprawę, co jest prawdziwym powodem jego paniki. Nie będzie nosorożca, nie będzie rogu, a jak nie będzie rogu, nie będzie i żywych Barbie! W zestawieniu z tak szalenie ważnym równaniem jeden rozbrykany labrador nic nie znaczył.

Stoatowi zdecydowanie za późno przyszło do głowy, że powinien był poprzedniej nocy wziąć Boba na bok i wyjaśnić mu, że „nosorożec zabójca” nie ucieknie, bo nie może, ponieważ cała plantacja Dzika Sawanna otoczona jest nie dającym się sforsować płotem z drutu kolczastego. I chociaż wiadomość ta może trochę przyćmiłaby blask tych łowów, zmniejszyłaby wariacki niepokój Roberta Clapleya do jakichś rozsądniej szych rozmiarów, przy których nie próbowałby może celować ze swojego weatherby w coś tak nieważnego jak uprzykrzony pies. Z miejsca, w którym klęczał Stoat, widział wyraźnie, że Clapley raz po raz próbuje unieść lufę i za każdym razem Durgess uderza w nią, po czym lufa opada z powrotem w dół.

- Boodle, do nogi! - zawołał zdesperowany Stoat.

Dick Artemus włożył dwa palce do ust i usiłował gwizdnąć, ale dźwięk, który wydał, przypominał raczej skrzeknięcie chorej na gruźlicę papugi ary.

Labrador wciąż na nic nie reagował. Patrząc na to, co się dzieje, przez obiektyw o pięciusetmilimetrowej ogniskowej, Willie Vasquez-Washington był w stanie dojrzeć niezwykle szczegóły - na przykład lśniąca zielone muchy unoszące się wokół zadu nosorożca, lśniąca strużka śliny na psim pysku...

Więc kiedy labrador nagle skoczył i schwycił za ogon nosorożca, to właśnie Willie Vasquez-Washington krzyknął podniecony: „Patrzcie na tego zwariowanego sukinsyna!”.

Palmer Stoat zobaczył, że nosorożec obraca się. Ujrzał Boodle'a koziółkującego w powietrzu. Widział, jak Robert Clapley uwalnia się od Durgessa i podrywa się na nogi. A potem zobaczył, jak nosorożec zaczyna biec, a ten zwariowany pies gryzie go w piętę. Bestia skręciła najpierw w jedną stronę, potem w drugą i udało się jej wspiąć do połowy północnego stoku, zanim zatrzymała ją siła ciężkości. Ze zdecydowanym parsknięciem nosorożec zakręcił w dół wzgórza i skierował się w stronę trzech grup mężczyzn, których być może mylił z krzakami lub pasącymi się antylopami (czego powodem mógł być słaby, jak ogólnie wiadomo, wzrok nosorożców). W rezultacie na drogę ucieczki wybrał dwudziestometrową lukę pomiędzy dwoma pierwszymi grupami. Pies z radosnym szczekaniem kontynuował pościg.

Rozmiary nosorożca - przypominał niewielką barkę - i jego majestatyczny trucht sprawiły, że szybkość, z jaką się zbliżał, została mylnie oceniona zarówno przez Stoata, jak i przez Clapleya, ale nie przez dwóch przewodników - zdecydowana niechęć do gwałtownej śmierci pomogła im przewyciężyć w miarę szybko oszołomienie spowodowane nagłym powrotem sił leciwego zwierzaka. Durgess, który przewidział następną fazę wielkiej katastrofy, rozpląszczył się na ziemi. Asa Lando obrócił się na pięcie i pobiegł w stronę dębu. Gubernator Dick Artemus zrozumiał aluzję: rzucił karabin i klapnął tyłkiem na trawę. Jego dwaj ochroniarze podbiegli, schwycili go gwałtownie pod pachy i powlekli do pasiastej jak zebra ciężarówki. A tymczasem Willie Vasquez-Washington cofał się rakiem, trzaskając zdjęciami podczas tego pospiesznego odwrotu.

Natomiast Palmer Stoat, widząc szarżującego afrykańskiego nosorożca, podniósł sztucer i wycelował. Znajdujący się w odległości dokładnie dwudziestu metrów od niego Robert Clapley zrobił to samo. Byli zbyt nabuzo-wani adrenaliną, by móc uświadomić sobie, jak wielkie zagrożenie stwarza dla nich obu zabójcza geometria ognia krzyżowego. Obydwu również ogarnęło tak silne, przyprawiające o łomot serca poczucie męskości, że absolutnie nie mogli odsunąć się w bok i w ten sposób uniknąć nadciągającego nieszczęścia.

Już od bardzo wielu lat Stoatowi nie zdarzało się strzelać do zwierzęcia, które nie byłoby w mniejszym lub większym stopniu przypadkiem klinicznym, i dlatego drżał z podniecenia, mierząc w posiwiaty łeb zbliżającego się nosorożca i składając się do strzału. W przypadku Clapleya natomiast zabicie tego zwierzęcia byłoby czymś więcej niż przejawem machismo - oznaczałoby, że spełnia się to, o czym marzył stale, dniem i nocą. Przez celownik optyczny (śmiesznie zbędny przy tak niewielkiej odległości) Clapley z zapartym tchem podziwiał ogromny róg nosorożca. Wyobrażał sobie, jak ofiarowuje ten owłosiony totem - sterczący i wyzywający - na atlasowej poduszce swoim bliźniaczym Barbie, które będą leżały zwinięte nagie, uperfumowane i (miał taką żarliwą nadzieję) blondwłose. Oczywiście duszy widział już ich niemal doskonale twarze promieniejące wdzięcznością.

Gdy nosorożec przebiegał pomiędzy nimi, Clapley i Stoat jednocześnie zaczęli prowadzić go lufami, zupełnie jakby był lecącym wysoko w powietrzu gołębiem. Z tajemniczą różnicą, że mierzyli nie w górę, lecz poziomo.

- Nie strzelać! - krzyknął Durgess wyłącznie po to, by jego słowa znalazły się w dokumentacji.

Tego wieczoru, po ostrym picu w barze w McIntosh, ani on, ani Asa Lando nie byli w stanie powiedzieć, który z tych durniów strzelił pierwszy. Sadząc po stereofonicznym huku wystrzałów - i natychmiastowych rezultatach - Robert Clapley i Palmer Stoat zapewne nacisnęli spusty jednocześnie. Oczywiście obaj fatalnie chybili nosorożca i obydwoj bardzo ciężko runęli na ziemię - Clapley

przewrócony potężnym kopnięciem zwierzęcia, Stoat zaś na skutek połączonego działania siły odrzutu i odłamka.

Rekonstrukcja tej rozgrywającej się w ułamku sekundy katastrofy nie była łatwa, ale dzięki pomocy mistrza Jacka Danielsa Durgess i Asa Lando doszli ostatecznie do wniosku, że pocisk Stoata musiał trafić w pień dębu, a w tym samym momencie pocisk Clapleya trafił w winchestera Stoata, który na dobrą sprawę eksplodował mu w rękach. W tym momencie lobbysta był jeszcze żywy, chociaż prawe ramię miał poważnie zmasakrowane przez rozbite łożysko strzelby.

Asa Lando wspominał, że patrzył z drzewa w dół i widział, jak oszołomiony Stoat z gołą głową klęka z wysiłkiem. Podobnie Durgess przypominał sobie, że pomagał Robertowi Clapleyowi zająć identyczną pozycję, dzięki czemu obaj myśliwi znaleźli się naprzeciwko siebie niczym rywalizujące pieski preriowe. Ale przewodnicy doskonale wiedzieli, że Stoat nie patrzył na Clapleya, a Clapley nie patrzył na Stoata - obaj mężczyźni wypatrywali w okolicy świeżego trupa nosorożca.

- Chybił pan - Durgess poinformował Clapleya.
- Co? - Clapleyowi dzwoniło po wystrzale w uszach.
- Pan Stoat też chybił - dodał Durgess pocieszająco.
- Co?

Gdy Durgess wstał, by zobaczyć, gdzie jest zbiegły nosorożec, usłyszał rozpaczliwe wrzaski dobiegające z wysoka, spośród gałęzi dębu. Krzyczał Asa Lando, który próbował go ostrzec. Ziemia pod stopami Durgessa zaczęła drżeć - tak przynajmniej opowiadał o tym później.

„To było jak cholerne trzęsienie ziemi, Asa. Też to czułeś?”

Nosorożec nieoczekiwanie zawrócił i teraz zbliżał się do rozproszonych myśliwych od tyłu - ofiara, która zmieniła się w drapieźnika. Nie było czasu na ucieczkę. Asa wrzasnął na drzewie. Palmer Stoat wypluł złamane cygaro i otworzył szeroko usta. Durgess rzucił się w stronę Roberta Clapleya, ale go nie znalazł, ponieważ tamten na czworakach szukał swojego sztucera. Durgess bezradnie zwinął się w kłębek i czekał, aż zostanie rozdeptany. Ziemia pod nim podskakiwała niczym diabelska trampolina.

Czuł, jak nosorożec przebiega koło niego, sapiąc i rżąc niczym lokomotywa parowa. Podniósł głowę w samą porę, aby zobaczyć wydłużoną czarną sylwetkę, która pojawiała się na moment na tle biało-różowego nieba i poczuł pazury labradora ocierające się o jego czoło. Durgess uznał wtedy, że nie należy się spieszyć ze wstawaniem, i decyzję tę umocniły w nim dodatkowo krzyki Clapleya.

Przewodnik pamiętał, że leżał bez ruchu do chwili, gdy usłyszał czyjeś ciężkie kroki i poczuł padający na niego cień. Zapamiętał też, że obrócił się wolno, spodziewając się ujrzeć Asę, ale zamiast niego zobaczył uśmiechającą się promiennie brodatą zjawę z płomińście czerwonym okiem, które sprawiało wrażenie, jakby wydłubano je z czaszki samego diabła.

- Przyszliśmy po psa - oznajmiła zjawa.

Kiedy go wleczono do samochodu, gubernator utracił świeże strupki na poślaskach. W momencie, gdy ochroniarze dociągnęli go do chevy suburban, krew przesączyła mu się przez spodnie khaki - i słowo WSTYD pojawiło się w poprzek jego tyłka niczym stygmat. Jeżeli Willie Vasquez-Washington zauważył je, nie dał tego poznać po sobie. Wrzucono go, razem z Dickiem Artemusem, na tylne siedzenie. Agenci FDLE wskoczyli na przednie, zablokowali drzwi i wezwali przez radio śmigłowiec i karetki pogotowia.

W drodze do domku myśliwskiego gubernator sprawiał wrażenie wstrząśniętego i przybitego, a jego grzywa srebrnych włosów wyglądała jak wronie gniazdo po przejściu tornada. Opadł nisko w fotelu. Z kolei Willie Vasquez-Washington był wyprostowany jak struna i na jego twarzy malowało się wyraźne rozbawienie.

- Słodki Jezu - powiedział. - Widziałeś to?

- Willie?

- Biedne skurwiele.

- Willie!

- Tak?

- Nigdy tu nie byłem. Ty też nigdy tu nie byłeś. - Gubernator położył lepką dłoń na kolanie Williego Vasqueza-Washingtona. - Możemy się tak umówić?

Wiceprzewodniczący Komisji Budownictwa Mieszkaniowego potarł z namysłem szczękę. Drugą ręką dotknął guzika nikkormata, który wciąż wisiał mu na szyi, i nastawił go na automatyczne przewijanie. Nic nie mogło bardziej zdenerwować Dicka Artemusa niż to brzęczenie przypominające odgłos roju os.

Popatrzył ponuro na aparat fotograficzny.

- Zrobiłeś jakieś zdjęcia, co?

Willie Vasquez-Washington skinął głową.

- Całą rolkę.

- Kolorowe czy czarno-białe?

- Och, kolorowe.

Dick Artemus odwrócił się i zapatrzył się prosto przed siebie. W tym momencie pomiędzy kapuścianych palm wybiegł jeleni i stanął na drodze nadjeżdżającej ciężarówki. Agent, który siedział za kierownicą, wcisnął pedał gazu i zgrabnie wyminał zwierzę.

- Ładny ruch! - pochwalił go Willie Vasquez-Washington, podskakując na siedzeniu.

Gubernator nie drgnął ani nawet nie mrugnął.

- Willie - odezwał się zmęczonym głosem.

- Tak?

- Czego byś chciał?

Twilly Spree próbował pobiec za McGuinnem, ale został dopędzony i przewrócony na ziemię przez Clintona Tyree, który szepnął mu do ucha: „Niech się to stanie, synu.”

Powiedział to tak zaskakująco pogodnym tonem, że Twilly w końcu zrozumiał, co utrzymywało przy życiu tego człowieka - niezachwiana wiara, że Przyroda ostatecznie sama wyrówna wszystkie rachunki i uporządkuje wszystkie sprawy.

Pozostawili więc psa w spokoju, a potem obserwowali, jak nosorożec z parsknięciem rusza do akcji. Wbiegł do połowy zbocza, by potem zawrócić w stronę grupy myśliwych, która poszła w rozsypkę. Oglądana ze wzgórze paniczna ucieczka stanowiła spektakl zmierzający w zwolnionym tempie ku nieuchronnemu finałowi - dwaj idioci składali się do strzału, gdy osaczony nosorożec usiłował przedostać się między nimi, i ich celowanie pod kątem zmieniło się w zabójcze celowanie na wprost. I kiedy rozległy się wystrzały, rzeczywiście mogło się wydawać, że Palmerowi Stoatowi i Robertowi Clapleyowi udało się załatwić siebie nawzajem bezmyślnym, krzyżowym ogniem.

Skink i Twilly trochę się zdziwili, gdy zobaczyli, że obaj mężczyźni podnoszą się na kolana. W mniejszym stopniu natomiast zaskoczył ich widok nosorożca, który zawrócił jeszcze raz i tym razem zaczął na oślep szarżować na myśliwych z tyłu.

Skink z sykiem nabrał powietrza w płuca.

- Powiedźcie pa, pa.

Clapley macał bezmyślnie w trawie, gdy nosorożec w pełnym biegu nadział go na róg. Jego krzyki, przedrzeźniane krakaniem przez gderliwe wrony, dobiegły aż na wzgórze. Jak zaba na haczyku Clapley rozpaczliwie usiłował zsunąć się z rogu nosorożca (róg ten miał czterdzieści dziewięć centymetrów długości i rzeczywiście można go było uważać za wspaniały okaz). Zwierzę wściekle podrzucało w czasie biegu głową, masakrując ofiarę.

Biegło prosto na Palmera Stoata, którego winchester był w kawałkach i który reagował w całkowicie bezładny sposób. Stoat machał pulchną ręką, starając się odstraszyć zwierzę (które, jak zauważył później Skink, i tak zapewne go nie widziało, zwłaszcza jeżeli uwzględni się fakt, że nadziane na róg ciało Roberta Clapleya bardzo ograniczało mu widoczność). Ścigany przez szczypiącego go w nogi McGuinna nosorożec - dwie tony z ćwiercią wagi - wgniół Stoata w ziemię równie skutecznie, jak ciężarówka z piwem.

Twilly i Skink wstrzymali się z zejściem ze wzgórze do chwili, gdy zwierzę się zmęczyło, a pasiasta jak zebra chevy suburban odjechała, zabrawszy gubernatora i jego ochroniarzy. Jeden z przewodników leżał wciąż na ziemi, skulony niczym pancernik. Skink sprawdził go w pierwszej kolejności, Twilly'emu tymczasem przypadł nieprzyjemny obowiązek zbadania, w jakim stanie znajduje się Stoat. Szeroko otwarte oczy lobbysty wpatrywały się w coś nieskończonego i nieosiągalnego. Przypominały Twilly'emu szklane kulki, które kiedyś wydłubał z wypchanych myśliwskich trofeów Stoata.

Wyczerpany nosorożec powrócił w cień dębu i opadł na kolana. Z odległości trzydziestu metrów Skink i Twilly słyszeli rżący oddech zwierzęcia i widzieli rozgrzane powietrze drgające nad jego grubą skórą. Nad jego pyskiem zwiślał bezwładny i poskręcany Robert Clapley.

- Co z psem? - spytał Twilly'ego Skink.

Gdy tylko opancerzony potwór przestał się bawić w berka, McGuinn zaczął się nudzić i szukać jakiejś innej rozrywki. Drzewo. Na drzewie siedział człowiek! Pies zajął stanowisko pod wysokim dębem i zaczął szaleńczo ujadać, którą to czynność przerywał co jakiś czas, by rzucać się na pień.

- Wszystko z panem w porządku? - zapytał Twilly człowieka siedzącego na gałęzi.

- Raczej tak. A kim wy, u diabła, właściwie jesteście? - Był to drugi przewodnik, ten, który przypominał z wyglądu mechanika.

- Nikim. Przyszliśmy tylko po psa.

- To wasz? Widzicie, co narobił? - Mężczyzna na drzewie był bardzo zdenerwowany. - Widzieliście ten pożar w burdelu, który urządził ten wasz przekłęty pies!

- Wiem, wiem. Bardzo brzydko się zachował.

Twilly dmuchnął w gwizdek, którym przywoływał psa na obiad. McGuinn, który zdążył już stracić rachubę czasu, dał się nabrać. Opuściwszy z zakłopotaniem głowę, podwinął ogon i zbliżył się do Twilly'ego, przyjmując dobrze wyćwiczoną, pełną skruchy pozę. Twilly schwycił smycz i przytrzymał ją mocno. Nie chciał, żeby pies zobaczył, co się stało z jego dawnym panem.

Skink podszedł i przytulił McGuinna w niedźwiedzim uścisku. Labrador schwycił jeden z warkoczyków brody Skinka i zaczął go ciągnąć. Były gubernator chichotał jak uczeń.

- Lepiej już idźmy - powiedział Twilly.

- Nie, synu. Jeszcze nie.

Wstał, wyjął pistolet i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę nosorożca.

- Co robisz? - zawołał Twilly. W zamieszaniu zostawił remingtona na wzgórzu. - Nie!

Gdy Skink podszedł do nosorożca, głos z drzewa zapytał:

- Czy ci całkiem, kurwa, odbiło?

- Zamknij się - odparł były gubernator Florydy.

Nosorożec poczuł zbliżającego się człowieka i usiłował wstać.

- Spokojnie, stary. Spokojnie - mówił Skink, przysuwając się ostrożnie. Jego prawa ręka uniosła się powoli i lufa colta znalazła się na wprost czaszki zwierzęcia - tak przynajmniej wydawało się Twilly'emu, który postanowił nie podchodzić bliżej. Zastanawiał się ponuro, czemu Skink postanowił zabić starego nosorożca - może nie chciał, by zabił go ktoś inny, gliniarz albo strażnik leśny. W tym samym czasie McGuinn szarpał się na smyczy, myśląc, że pachnący opasami człowiek przygotował nową zabawę.

- Hej, co robisz? - zawołał ponownie Twilly. Pole widzenia nosorożca w dalszym ciągu zasłaniał jakiś obiekt nadziany na jego róg. El Jefe nie mógł wyraźnie widzieć ani srebrnobrodego mężczyzny, ani wycelowanego pistoletu i dobrze, że tak było, bo człowiek ten wcale nie miał zamiaru go skrzywdzić.

Widząc, jak ramię Skinka sztywnieje, Twilly przygotował się na huk wystrzału. Nie doczekał się go jednak, ponieważ Skink nie przyłożył broni do czoła starego zwierzęcia. Dotknął natomiast lufą otwartego prawego oka Roberta Clapleya, aby upewnić się, że dupek istotnie nie żyje. Przekonawszy się o tym, cofnął się i opuścił broń. Mężczyzna, który siedział na drzewie, zeskoczył na ziemię i uciekł. McGuinn szczerzył z oburzeniem i wtedy nosorożec ponownie ożył. Z grzmiącym stęknieniem wykonał nagły ruch i zrzucił z siebie ciało Roberta Clapleya, które upadło jak sterta szmat koloru khaki.

Skink podszedł i trącił je czubkiem buta. A potem pochylił się i podniósł coś z ziemi. Kiedy po jakimś czasie wszedł na zbocze, wyjął ów przedmiot z kieszeni i pokazał go Twilly'emu.

- Co myślisz o tym? - zapytał.

Była to seksowna lalka o włosach koloru blond, ubrana w skąpy skórzany strój, przypominający kostium, jaki nosiła Maureen O'Sullivan w starych filmach z Johnnym Weismullerem. Barbie jako Jane.

- Wypadło z Clapleya - wyjaśnił Skink, marszcząc brwi. - Dziewczyńska lalka.

Twilly Spree pokiwał głową.

- Chory świat - powiedział.

Na szczyt latarni morskiej prowadziły spiralne schody. Przeliczył je wszystkie, gdy wspinał się na górę - było ich siedemdziesiąt siedem. W miejscu gdzie schody się kończyły, zobaczył wypaczone drzewo, pomalowane łuszczącą się już czerwoną farbą, bez klamki od zewnętrznej strony. Były gubernator Florydy zastukał trzykrotnie, odczekał chwilę i zastukał jeszcze raz. Wreszcie usłyszał za drzwiami ruch, raczej szuranie niż kroki.

- Doyle?

Cisza.

- Doyle, to ja, Clint.

Słyszał oddech brata.

- Wszystko u ciebie w porządku?

Jedynym światłem, jakie docierało się do tej kamiennej kolumny, wpadało przez wąskie, zalepione solą okienka. Na podłodze od ściany do ściany leżały koperty - setki identycznych kopert, pożółkłych i nie otwartych. Czekał z myślą o stanie Florydy. Minęło wiele czasu, bardzo wiele, od chwili kiedy Clinton Tyree widział podobny bałagan.

Zobaczył stojącą w cieniu skrzynkę świeżych pomarańczy, trzy pięcio-litrowe pojemniki z wodą i ustawione jak książki w bibliotece dwa tuziny pudełek z ryżem Minutę. Właśnie zapach gotującego się ryżu dolatywał teraz zza drzwi.

- Doyle?

Tak bardzo chciał spojrzeć na brata.

- Nie zostanę. Muszę tylko wiedzieć, że u ciebie jest wszystko w porządku.

Clinton Tyree oparł się ramieniem o drzwi. Trzymały mocno. Usłyszał znowu szuranie, odgłos, jaki wydawały metalowe nogi przesuwanego po podłodze z sosnowych desek krzesła, syczący protest taniej poduszki, na której ktoś pośpiesznie usiadł.

- Strażnicy z parku krajobrazowego mówią, że ludzie przynoszą ci jedzenie. Doyle, czy to prawda?

Milczenie.

- Ponieważ, jeżeli czegoś potrzebujesz, załatwię ci to. Prowiant, lekarstwa, cokolwiek. Wszystko. Książki, czasopisma, obrazy, wideomagnetofon, fortepian koncertowy... a co powiesz o zupełnie nowym

życiu?

Jezu, pomyślał Clinton Tyree, kogo chcę oszukać.

Usłyszał, że krzesło przysuwa się ze zgrzytem do drzwi. A potem rozległo się metaliczne szczęknięcie jakby otwieranej zapalniczki czy scyzoryka. A potem wydało mu się, że słyszy mruczenie.

-Doyle?

Wciąż ani słowa.

- Przyszedłem, bo... posłuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć, że nigdy nie będziesz musiał opuszczać tego miejsca, jeżeli nie zechcesz. Wszystko zostało załatwione. Nigdy więcej się nie bój, bo jesteś tu bezpieczny. Dobra? Jak długo zechcesz. Daję ci słowo.

Zza drzwi dobiegło kolejne szczęknięcie, potem rozległy się dwa mocne kroki. Clinton Tyree przyłożył policzek do pokrytego solą drewna i bardziej poczuł, niż usłyszał, że jego brat po drugiej stronie robi to samo.

- Doyle, proszę - szepnął. - Proszę.

Usłyszał odgłos przesuwanego rygla i odsunął się. Drzwi uchyliły się i powoli wyłoniła się zza nich ręka - chuda, blada, pokryta płataniną niebieskich żył ręka starego człowieka. Na wewnętrznej stronie przedramienia, pomiędzy przegubem a łokciem, widniały wyblakłe ślady starej blizny. Dłoń była wielka, ale koścista i wychudzona. Clinton Tyree schwycił ją, uściśnął serdecznie i przekonał się, że jego brat wciąż jest silny. Błady przegub kręcił się tam i z powrotem w jego uścisku i wtedy zobaczył nową ranę na przedramieniu, wycięte w skórze litery - Kocham cię - nabrzmiewające kropelkami czerwonymi jak płatki róży.

A potem Doyle Tyree wyszarpnął rękę i zamknął drzwi bratu przed nosem.

Schodząc z powrotem z góry, były gubernator Florydy znowu przeliczył wszystkie siedemdziesiąt siedem stopni. Gdy znalazł się na dole, położył się na brzuchu i przecisnął przez szczelinę między deskami, którymi zabito wejście, by uniemożliwić dostęp wandalom i zbyt ciekawym turystom.

Mrużąc oczy jak nowo narodzony, Clinton Tyree wypełził z mroku w zapierający dech w piersi wiosenny poranek. Wstał i wystawił twarz ze śladami łez na chłodny wiatr wiejący od Atlantyku. Zobaczył tarpona atakującego za linią przyboju stadko cefali.

Deski, którymi zabito wejście do latarni morskiej, pokryte były oficjalnymi zawiadomieniami, wyblakłymi i pokrytymi solą:

WEJŚCIA NIE MA WSTĘP OSOBOM POSTRONNYM WZBRONIONY

DO ODWOŁANIA WŁASNOŚĆ STANOWA - WSTĘP WZBRONIONY

Ktoś jednak niedawno przypiął do desek wizytówkę. Pinezka była lśniąca, nie zardzewiała i wizytówka przyciągała uwagę swoją białością i świeżością. Clinton zbliżył do niej zdrowe oko i uśmiechnął się. Uśmiechem z inauguracji.

LISA JUNE PETERSON

GŁÓWNY ASYSTENT

BIURO GUBERNATORA

Zdjął wizytówkę z deski i wsunął pod elastyczną opaskę czepka kąpielowego. Potem powędrował plażą przez wydmy i porastające je trawy, a następnie przeszedł ulicę, kierując się w stronę Centrum Turystycznego i Promenady Widokowej Zatoki Peregrine, gdzie stał zaparkowany granatowy roadmaster.

Palmera Stoata pochowano z jego ulubionym kijem golfowym Ping, aparatem Polaroida i pudełkiem kubańskich montecristo #25, co stało się przyczyną prawdziwej żałoby wśród uczestniczących w ceremonii miłośników cygar. Nabożeństwo żałobne odprawiono w kościele prezbiteriańskim w Tallahassee - pastor wychwalał Stoata jako podporę społeczeństwa, obrońcę procesów demokratycznych, człowieka oddanego rodzinie, miłośnika zwierząt i przyjaciela ludzi wielkich i małych. Obecni byli między innymi: prostytutka, nocny barman od Swaina, wypychacz zwierząt, trzech kongresmani z Kongresu Stanów Zjednoczonych, jeden emerytowany senator. Na uroczystość przybyło także sześciu urzędujących sędziów okręgowych, trzydziestu sześciu byłych i aktualnych członków komisji municypalnych z całej Florydy, zastępca gubernatora i czterdziestu jeden członków obecnych stanowych władz ustawodawczych (większość z nich wybrano dzięki funduszom na kampanie zebranych przez Stoata, który skądinąd nie zawsze był wielbicielem ich polityki). Bogate wieńce i wiązanki kwiatów nadesłały: Philip Morris Company, Shell Oil, Przedsiębiorstwo Budowlane Roothaus i Syn, Spółka Fosfatowa Magnussona, Kooperatywa Cytrusowa okręgu Lake, Amerykański Cukier, Budownictwo MatsibuCom z Tokio, Nieruchomości Port Marco, Południowy Związek Drzewiarski, Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie, University of Florida Blue Key, Komitet Wykonawczy Partii Republikańskiej i Komitet Wykonawczy Partii Demokratycznej. Kondolencje nadesłali kongresman Willie Vasquez-Washington i gubernator Richard Artemus, ponieważ żaden z nich nie mógł przybyć na nabożeństwo.

- Nasz obecny żal powinna złagodzić myśl - powiedział na zakończenie pastor - że ostatnie doczesne

dni Palmer spędził szczęśliwie, oddając się sportowi ze swoim bliskim przyjacielem Bobem Clapleyem - właśnie oni dwaj wędrowali wśród wspaniałej przyrody, którą tak bardzo kochali.

Pogrzeb odbył się na pobliskim cmentarzu, który był również miejscem spoczynku przynajmniej dwudziestu jeden najbardziej skorumpowanych polityków Florydy wszech czasów. Po mieście krążył dowcip, że grabarz potrzebuje tu świdra zamiast łopaty. Stoaowie uczestniczyli w pogrzebach kilku złodziei pochowanych tutaj, w tym również paru skazanych, Desie znała więc to miejsce. Dla Palmera wybrała pozbawioną cienia działkę na łysym pagórku z widokiem na międzystanówkę nr 10. Ponieważ tak często (i z entuzjazmem) przepowiadał, że Floryda stanie się któregoś dnia równie gwarna i rojna, jak Nowy Jork lub Kalifornia, uznała, że doceniłby widok na spełniające się jego marzenia.

Przy grobie wypowiedziano dalsze miłe słowa. Desie, która siedziała w pierwszym rzędzie ze swoimi rodzicami i jedynym kuzynem Stoata, pozbawionym uprawnień pediatrą z Jacksomedle, popłakała się rzewnymi łzami ogarnięta szczerym, bolesnym smutkiem - nie pod wpływem mów (które najczęściej były beletrystyką), ale ponieważ zdała sobie teraz sprawę, jakie uczucia żywiła wobec męża i w jakim stopniu przyczyniła się do jego przedwczesnej śmierci. Chociaż nie mogła się obciążać winą za niesamowity wypadek na polowaniu, nie ulegało jednak wątpliwości, że ta fatalna wyprawa na nosorożca wiązała się ściśle z kryzysem wywołanym sprawą porwania psa - która z kolei została dodatkowo skomplikowana jej zainteresowaniem Twillym Spree i współudziałem w jego poczynaniach. Oczywiście, Palmer wciąż jeszcze byłby żywy, gdyby na samym początku postąpił honorowo i wycofał się z projektu Wyspy Burzyków. Ale nie było na to najmniejszej szansy, żadnego sensownego powodu, by mogła oczekiwać, że jej mąż nagle odnajdzie swój wewnętrzny, moralny kompas - i kto jak kto, ale Desie powinna o tym wiedzieć.

Czuła się więc winna. A także smutna, bo chociaż nie kochała Palmera romantyczną miłością, nie czuła również do niego nienawiści. Był, jaki był, nie taki znowu zupełnie do końca zły, bo w przeciwnym razie nie wyszłaby za niego. Odczuwał autentyczną potrzebę towarzystwa, lubił sprawiać przyjemność i chociaż trudno by to nazywać jakimś wewnętrznym ciepłem, było to na tyle sympatyczne, że teraz jej tego brakowało. Umieszczenie w trumnie polaroida było pomysłem Desie, jej prywatnym żartem. Palmer też by się uśmieł, pomyślała, chociaż niewątpliwie wołałby fotki z sypialni. Ale je zniszczyła.

Kiedy opuszczano trumnę, wśród zebranych żałobników dał się słyszeć nagle jakiś szmer. Desie usłyszała sapanie i poczuła, jak coś wilgotnego i aksamitnego ociera się o jej dłonie. Spojrzała w dół i zobaczyła McGuinna dotykającego pyskiem jej splecionych palców. Wielki pies miał zawiązaną na szyi czarną, jedwabną muszkę, a w pysku trzymał gryzaczek - gumową żabę z pomarańczowym paskiem na grzbiecie. Żaba rechotała za każdym razem, gdy McGuinn ją przygryzał, a robił to mniej więcej co dziesięć lub dwanaście sekund. Kilku ludzi roześmiało się cicho - byli wdzięczni za moment odprężenia, ale pastor spojrzał w stronę Desie lodowatym wzrokiem, nawet cień rozbawienia nie zagościł na jego twarzy.

Nie jest miłośnikiem psów, uznała Desie, i wyciągnęła zabawkę spomiędzy szczęk McGuinna. Labrador zwinął się u jej stóp i patrzył z zainteresowaniem, jak kolejne wielkie, drewniane pudło znika pod ziemią. Uznał, że zawiera jednouchego psa, takiego, jaki znajdował się w pudle zakopanym na plaży. Ale jeżeli w powietrzu unosiła się woń śmierci, McGuinn nie mógł jej wyczuć, bo zbyt wiele było tu tych wszystkich kwiatów.

Tymczasem wdowa Stoat z nadzieją zerknęła najpierw przez jedno ramię, potem przez drugie, wpatrując się w twarze żałobników. Nie było go tu. Otworzyła dłoń i spojrzała na gumową zabawkę, która, prawdę mówiąc, bardziej przypominała ropuchę niż żabę. Odwróciła ją i zobaczyła, że na blade-żółtym brzuchu ktoś napisał długopisem: Śniłaś mi się!

A pod spodem numer skrytki pocztowej w Everglades City, niedaleko od wyspy Marco.

Kichnięcie omal nie rozerwało mu płuc. Twilly Spree skrzywił się.

- Chyba nie musiałeś się aż tak na mnie rzucać.

- Och, z całą pewnością musiałem - oznajmił Skink. - Nigdy bym cię nie złapał zbiegającego po zboczu. Jesteś o wiele za szybki dla takiego starego pierdoły jak ja.

- Tak, słusznie. Powiedziałeś, że ile ważysz?

- Po prostu doszedłem do wniosku, że może nie chcesz zostać znowu postrzelony i to tak szybko po pierwszym razie. A tak pewnie by się stało, kiedy te dwa fiuty zaczęły strzelać ze swoich armat. Albo to, albo ten cholerny nosorożec rozdeptałby cię na placuszek.

- Dobra, dobra, dziękuję - odparł sarkastycznym tonem Twilly. - Bardzo ci dziękuję, że skoczyłeś mi na połamane żebra. Zapomniałem, jakie to miłe uczucie.

Znowu kichnął i zabolalo go tak, że oczy zaszczyły mu łzami.

- Mam pomysł - oznajmił Skink. - Zatrzymaj się przy następnym zjeździe.

Na stacji benzynowej odkurzaczem wyczyścili kombi z psiej sierści - było jej tyle, zauważył Skink, że wystarczyłoby na całego nowego labrado-ra. Twilly został wyleczony z kichania. Pojechali na południe po Florida Turnpike, któremu ostatnio nadano (z przyczyn, których nikt nie był w stanie należycie

wyjaśnić) imię Ronalda Reagana.

- Mogliby nazwać jego imieniem parking wypoczynkowy. To miałyby sens - gderał Skink. - Ale całą autostradę? Chryste, kiedy to cholera budowano, wciąż kręcił kowbojskie filmy.

Twilly oznajmił, że jeżeli o niego chodzi, mogliby poświęcić szosę Ka-thie Lee Gifford, pod warunkiem że podnieśliby opłatę do stu dolarów za samochód.

- To nie dość dużo. Lepiej pół kafła - orzekł Skink. - A dwa razy tyle za karawan lub przyczepę kempingową.

Na drodze, jak zwykle, panował wściekły ruch. Twilly poczuł dobrze mu znane pogorszenie nastroju.

- Dokąd teraz jedziesz? - zapytał kapitana.

- Chyba z powrotem nad Crocodile Lakes. Moją obecną rezydencję stanowi przytulny, ale dobrze przewietrzany dodge NASCAR. A ty?

- Do Everglades City.

Skink uniósł brew.

- Po co?

- Zająć strategiczną pozycję- wyjaśnił Twilly. - A może połowić trochę łososi. Kto wie?

- O rany.

- Hej, jest coś, o co chciałem cię zapytać. Czy przez wszystkie te lata nigdy nie pomyślałeś, żeby wyjechać?

- Codziennie, synu.

- Dokąd? - spytał Twilly.

- Na Bahamy. Turks i Caicos. Znaleźć jakąś wysepkę tak malutką, żeby nie postawili na niej Club Med. Pewnego razu kupiłem bilet na Grenadines i dotarłem aż do Miami International...

- Ale nie mogłeś wsiąść do samolotu.

- Nie, nie mogłem. Miałem wrażenie, że wymykam się tylnymi drzwiami z domu umierającego przyjaciela.

- Znam to - powiedział Twilly.

Skink wystawił głowę przez okno i ryknął jak postrzelony w brzuch niedźwiedź.

- Cholerna Floryda - oznajmił.

Przez piętnaście kilometrów jechali w milczeniu. Nagle Twilly poczuł żar spojrzenia - i kątem oka zobaczył sępie dzioby wirujące w lewo na końcach lśniących warkoczyków.

- Synu - odezwał się Skink. - Nie mogę ci poradzić, jak uporać się z bólem ani gdzie znaleźć chwilę spokoju - nawet na jedną noc. Mam tylko nadzieję, że będziesz miał więcej szczęścia niż ja.

- Gubernatorze, ja również mam taką nadzieję.

- W takim razie - rzekł Skink ze zmęczonym uśmiechem - poradzę ci tylko jedno. Jeżeli będzie do tego stopnia szalona, że napisze do ciebie, koniecznie jej odpisz.

- Rany. Spróbuję się do tego zmusić. A przy okazji, jak ci się powiodło z bratem?

- Byłeś na tyle miły, że nie pytałeś.

- No cóż, to było sto sześćdziesiąt kilometrów temu - odparł Twilly. - Dlatego pytam teraz.

- Udało się doskonale. Świetnie porozmawialiśmy. - I w pewnym sensie rzeczywiście tak było. Skink wyciągnął lustrzane okulary Jima Tile'a i założył je na nos. - Jedziesz Szlakiem?

Twilly skinął głową.

- Pomyślałem sobie, że tak zrobię. Miła, prosta droga.

- I do tego cholernie ładna. Wysadź mnie na Krome Avenue. Złapię autostop do Keys.

- Za cholere. Chcę zobaczyć ten rzekomy samochód wyścigowy. - Twilly wyciągnął rękę do odtwarzacza. - Nie masz nic przeciwko Neilowi Youngowi?

- Fantastycznie.

Przejechali więc obok zjazdu na Szlak Tamiami i pozostali na Ronald Reagan Turnpike. Była końcówka godzin szczytu i ruch jeszcze się nie zmniejszał.

Wewnątrz buicka roadmastera drżało niczym nitrogliceryna niewypowiedziane pytanie - czy zdołają przejechać przez Miami, czy zdołają wydo- stać się z tego przekłętego miasta, zanim ktoś nie zrobi czegoś, na co po prostu nie można będzie patrzeć przez palce...

Jakoś jednak udało im się przez nie przebrnąć, sunąc dalej przez piekielną dziurę zachodniego Kendall w stronę Snapper Creek, Cutler Ridge, Homestead, aż wreszcie autostrada doprowadziła ich, mniej lub bardziej zdrowych psychicznie, do Florida City. Patrzyli ponuro na beznadziejne skupisko mini-tar-gowisk i punktów z fast-foodem, aż wreszcie uciekli na Card Sound Road, wzdłuż której ciągnęły się jedynie zarośla i mokradła, i kiedy buick skierował się w stronę North Key Largo, obaj zaczęli lżej oddychać. Twilly mruczał coś pod nosem, a Skink nawet wystukiwał butami rytm muzyki, gdy nagle...

- Widziałeś to? - Twilly zeszywniał za kierownicą.

- Co takiego?

- Ten czarny firebird przed nami.

- Co takiego? - spytał Skink.

Ale oczywiście widział to samo co Twilly - butelkę po piwie, która wyleciała przez przednie okno od strony pasażera i sponżyła niebieską czaplę stojącą na brzegu kanału.

- Dupek - mruknął Twilly, zaciskając palce na kierownicy.

Kolejna butelka, tym razem od strony kierowcy. Skink naliczył w fire-birdzie cztery podrygujące głowy - dwie pary, wyruszające na radosne wakacje. Sprawiali wrażenie młodych. Wóz był wynajęty.

- Nie do wiary - oznajmił Twilly.

Nie, to nie to, pomyślał melancholijnie Skink. Więcej, więcej, więcej...

Następnym śmieciem wyrzuconym z firebirda był plastikowy kubek, a za nim wyfrunął przez okno palący się niedopałek, który upadł na wysuszoną na pieprz trawę obok pobocza.

Skink zaklął. Twilly wcisnął hamulec, potem wrzucił wsteczny bieg i cofnął się do miejsca, w którym wylądował papieros. Wskoczył z samochodu, zdeptał mały płomień i przez całą minutę dalej zataczał ciasne kręgi, by mieć pewność, że nie pozostała żadna iskierka. Sprawiało to wrażenie świetnej terapii. Skink miał ochotę przyłączyć się do niego.

Gdy Twilly ponownie usiadł za kierownicą, spokojnie nacisnął pedał gazu do oporu. Skink patrzył, jak wskazówka prędkościomierza przesuwana się aż do stu siedemdziesięciu pięciu. Firebird nie był już odległą kropką na asfalcie, rósł w szalonym tempie.

- Chciałbym wiedzieć - oznajmił idealnie opanowany Twilly. - Czy bardzo się spieszysz do domu?

Skink myślał o tym, myślał o wszystkim. Palmer Stoa. Dick Artemus. Doyle. Twilly. Zapracowana czapla, której kolację tak brutalnie przerwała butelka po piwie. Pomyślał też o dwóch parach w firebirdzie: śmiali się i pili, ale najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że dwóch zaniedbanych, głęboko poruszonych ludzi siedzi im na zderzaku. Jak inaczej bowiem można było wytłumaczyć to, co stało się potem - przez otwierany dach firebirda została wyrzucona niedbale puszka po altoids. Uderzyła o przednią szybę buicka kombi i jako śmieć wylądowała w wodzie.

Twilly zacmokał niecierpliwie językiem.

-No i jak, gubernatorze. Możemy?

Pomyślał: A, do diabła z tym.

- Gdy tylko będziesz gotów, synu.

Epilog

Po śmierci Roberta Clapleya Grupa Bankowa Swii One z siedzibą w Zurychu zamknęła wszystkie linie kredytowe dla Korporacji Developerskiej Wyspa Burzyków, która natychmiast przestała istnieć. Podczas postępowania upadłościowego przeprowadzonego przez syndyka masy spadkowej Clapleya liczne parcele na wybrzeżu Ropuszej Wyspy, jakimi dysponował zmarły, sprzedano anonimowemu nabywcy, który ostatecznie nadał jej nazwę Wyspy Amy i przeznaczył wszystkie parcele na ochronę przyrody. Nie zbudowano nowego mostu.

Norva Stinson, jedyna pozostała na Ropuszej Wyspie prywatna właścicielka nieruchomości, stanowczo odmówiła sprzedaży jej maleńkiego pensjonatu Ochronie Przyrody za sumę mniejszą niż pięćdziesiąt siedem tysięcy pięćset dolarów - czyli sześciokrotnie wyższą, niż ustaliła wycena. Jej żądanie zostało uprzejmie odrzucone i pani Stinson mieszka w swoim domu do dzisiaj, żywiąc się głównie jedzeniem z puszek ofiarowanych przez miejscową grupę parafialną.

Trzy miesiące po upadku projektu Wyspy Burzyków wędrujący po Ropuszej Wyspie obserwatorzy ptaków znaleźli ludzki szkielet. Nogi były zmiażdżone jakimś ogromnym ciężarem, a w kościach dłoni znajdował się telefon komórkowy Nokia. Anatomopatolodzy z FBI zidentyfikowali później szczątki jako należące do Dariana Lee Gasha, przestępcy, który miał za sobą liczne wyroki więzienia, był notowany za wykroczenia o charakterze seksualnym i znano go z działalności w klubach South Beach. Ustalono, że przyczyną śmierci były rany postrzałowe spowodowane pociskami dwóch różnych egzemplarzy broni palnej kalibru 0,375, z których odnaleziono tylko jeden.

się trzydzieści jeden lat wcześniej. Jego potężny róg bezboleśnie odpito-wano, toteż zwierzę utraciło wszelką wartość dla kłusowników i myśliwych.

Taśma z numeru 911, na której nagrane zostało szaleńcze, choć w dużej mierze niezrozumiałe wzywianie pomocy przez pana Gasha, została włączona do czwartego tomu Najbardziej mrozących krew w żyłach wezwań ratunkowych na świecie i szeroko rozpowszechniano ją za pośrednictwem sklepów telewizyjnych i przez Internet. Cena kasety wynosi 9,95 dolarów, a płyty kompaktowej 13,85 dolarów plus opakowanie i koszty wysyłki.

Ciało Karla Krimmlera odnaleziono w płytkiej części słonych bagien, w sosnowym lesie na wyżynnej części Ropuszej Wyspy. Został uwięziony w kabinie spychacza Caterpillar D-6, który z niewyjaśnionych przyczyn wjechał na pełnej prędkości do wody. Sekcja ustaliła, że śmierć nastąpiła na skutek utonięcia,

przy czym anatomopatolog odnotował „obecność w górnych drogach oddechowych ofiary wielkiej liczby zdolnych do życia kijanek”. W tym samym bagnie nurkowie policyjni znaleźli rewolwer Smith & Wesson model 0,375, który później powiązano z zabójstwem Doriana Lee Gasha. W związku z dość barwną przeszłością pana Gasha detektywi wysunęli teorię, że śmierć obu mężczyzn była wynikiem ponurego zabójstwa i samobójstwa. Szczątków doktora Stevena Brinkmana nigdy nie odnaleziono.

Po nieudanym polowaniu na nosorożca federalni agenci ochrony środowiska dokonali nalotu na plantację Dzika Przyroda, wdarli się do jej zagród i znaleźli w nich dwanaście antylop impala, osiem gazeli Thompso-na, pozbawioną zębów jadowych kobrę malajską, młodego bawołu afrykańskiego, trzy skradzione z cyrku szympansy, grupę pawianów poddanych działaniu silnych środków uspokajających, muła pomalowanego tak, by przypominał zeburę, oraz swawolnego dwunogiego ocelota. Obiekt został zamknięty przez Biuro Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych pod zarzutem wielokrotnego naruszania Ustawy o Zagrożonych Gatunkach oraz innych przepisów. Nosorożec znany jako El Jefe został bezpiecznie schwytyany, uśpiony i przewieziony do chronionego rezerwatu zwierząt w Kenii, znajdującego się niedaleko miejsca, w którym urodził się John Randolph. Durgess przeniósł się do zachodniego Teksasu, gdzie podjął pracę przewodnika w prywatnym, liczącym dziewięć tysięcy hektarów rezerwacie łowieckim, nazwanym Serengeti Pines. Tam zabiła go i częściowo pożarła dzika puma, która przeskoczyła ogrodzenie, by pożywić się importowanymi dik-dikami.

Asa Lando został zatrudniony w parku tematycznym w Walt Disney World's Animal Kingdom niedaleko Orlando. Dwa miesiące później został dyskretnie zwolniony po niewytłumaczalnym zniknięciu z parku jedyne samca geparda.

Avalon Brown Production wypuściło film Podwój swoją rozkosz, podwój swój ból z Katią Gudonow i Tisz Karpinski w rolach głównych, który natychmiast rozszedł się na kasetach. W ciągu kilku tygodni Matell Corporation otrzymało doraźny nakaz sądowy zakazujący obu gwiazdom filmu „grania roli, portretowania się, przebierania, reklamowania oraz występowania w jakikolwiek inny sposób jako lalki Barbie, produkt chroniony znakiem firmowym. Nakaz ten obejmuje, aczkolwiek nie ogranicza się werbalne i wizualne wyobrażenia jak Gotyckie Barbie, Barbie Żywe Trupy oraz Wampirze Barbie o Podwójnych Stawach”. Następnie obu kobietom złożyli niezbyt przyjazne wizyty agenci Służby Imigracyjnej i Natura-lizacyjnej Stanów Zjednoczonych, po czym obie panie opuściły Stany Zjednoczone, udając się na przedłużone wakacje robocze na Karaiby.

Estella Hyde, znana również funkcjonariuszom policji obyczajowej z Fort Lauderdale jako Crystal Barr, Raven McCollum i Raven Bush, została społeczną skarbniczką Komitetu Społecznego kandydatury Quayle'a okręgu Broward. W czasie pikniku na Nabrzeżu 66 połączonego ze zbieraniem pieniędzy na fundusz byłego wiceprezydenta poznała gubernatora Dicka Artemusa i zaprzyjaźniła się z nim. Wkrótce potem zaprosił ją on do Tallahassee i powierzył jej stanowisko w Komisji Służb Publicznych.

Phillipp Spree Jr. oddał swoją kalifornijską licencję na handel nieruchomościami, by uniknąć postępowania prokuratorskiego, po czym przeniósł się do Beaufort w Południowej Kalifornii, gdzie specjalizował się w sprzedawaniu nieruchomości na wybrzeżach nisko położonych wysp barierowych. Wkrótce Mały Phil sam uwierzył we własne entuzjastyczne zapewnienia reklamowe i wybudował sobie domek na palach tuż nad brzegiem Atlantyku. Zginął wraz z czwartą żoną i swoim architektem, gdy pewnego lata huragan „Barbara” rozbił w drzazgi jego bungalow na plaży.

Latarnia morska w zatoce Peregrine w dalszym ciągu jest zamknięta dla publiczności, chociaż niektórzy żeglarze płynący wzdłuż południowo-wschodniego wybrzeża Florydy twierdzą, że widzieli jaskrawe światło rozbłyskujące w kopule pasiastej wieży. Straż Przybrzeżna niezmiennie klasyfikuje owe obserwacje jako złudzenia wywołane złą pogodą, ponieważ, jak wiadomo, latarnia morska jest nieczynna i niezamieszkała.

Amy Spree wyszła za mąż za swojego instruktora jogi i przeniosła się do Cassadaga na Florydzie, gdzie corocznie w dniu urodzin odwiedzają syn.

Porucznik Jim Tile odszedł z Policji Drogowej stanu Floryda na emeryturę i otworzył niedaleko Apalachicola obóz wędkarski wraz z restauracją. W następane Boże Narodzenie otrzymał pocztą paczkę opakowaną w wesolutki papier. W jej wnętrzu znajdował się nowy telefon komórkowy Nokii z zaprogramowanym przyspieszonym wybieraniem zastrzeżonego numeru w North Key Largo. Po połączeniu włącza się powitanie poczty głosowej, zawierające wyłącznie solowe wejście gitarowe do Fortunate Son w wykonaniu Credence Clearwater Revival.

Lisa June Peterson zrezygnowała ze stanowiska głównej asystentki gubernatora Dicka Artemusa i zajęła się lobbieniem na rzecz Grupy Walki o Czystą Wodę. Następnej wiosny odegrała główną rolę w uchwaleniu prawa przeciwko zanieczyszczeniom, na podstawie którego osławione ze swojej truciciel-skiej działalności zakłady fosfatowe Magnussona w okręgu Polk obłożono grzywną w wysokości pięciu tysięcy dolarów dziennie. W rezultacie rozwścieczony właściciel kopalni Dag Magnusson ze złości zmienił swoje sympatie polityczne i do końca swoich dni zawzięcie pompował ciężkie pieniądze na nielegalne fundusze wyborcze kandydatów Partii Demokratycznej.

Dziesięć miesięcy po katastrofie na polowaniu odbyła się w Miami ceremonia wmurowania kamienia węgielnego w miejscu budowy Liceum imienia Williego Vasqueza-Washingtona. Na uroczystości obecny był gubernator Dick Artemus, który wraz z uhonorowanym kongresmanem pozował fotografom do zdjęć. Obaj mężczyźni trzymali w dłoniach pomalowane na złoto łopaty.